

CRAIG
THOMAS



OPERACJA
WROŃNA



CRAIG
THOMAS

OPERACJA
WRONA

Przekład: Zbigniew Idziakowski

Interart

Warszawa 1994

Tytuł oryginału: A Hooded Crow

Opracowanie graficzne: Roman Kirilenko

Redakcja i weryfikacja

tłumaczenia: Jolanta Kaszkur

Redaktor techniczny: Zygmunt Sułek

Korekta: Wanda Korolczuk, Anna Dzieńkiewicz

Skład: Danuta Kaśka, Warszawa

Motta przełożył Robert Stiller

Fragment *Hamleta* Williama Shakespeare'a

w przekładzie Stanisława Barańczaka

Copyright © 1992 by Craig Thomas & Associates

Copyright © for the Polish edition by

Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo

INTERART, Warszawa 1994

ISBN 83-7060-192-8

Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo

INTERART,

00-403 Warszawa,

ul. Solec 30A/31

Wydanie I.

Ark, wyd. 24; ark, druk. 25

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna, Warszawa

Eden płonie, więc albo pogódź się z zagładą,
Albo miej w sercu odwagę i wytrzymaj zmianę warty.
Bob Dylan: *Zmiana warty*

...słońce niszczy
Ciekawość tego, co się dzieje w cieniu.
Philip Larkin: *Wesela w Zielone Świątki*

Prolog

Tak właśnie my, bogatsi doświadczeniem
I zrozumieniem, działamy okrężnie
Albo fortelem, i tak dochodzimy
Nieprostą drogą do prostych rozwiązań.

W. Shakespeare, *Hamlet*, Akt II

Spoza otwartych drzwi St. George Hall, gdzie odbywało się oficjalne przyjęcie, słychać było gwar rozmów, które do Andrew Babbingtona docierały jak wymówka, kiedy schodził wielkimi krokami z galerii, zmierzając w stronę Kapustina. Południowe słońce przeświecało przez wysokie okna, z których widać było panoramę Moskwy. Kapustin stał pochylony, z dłońmi skrzyżowanymi na plecach, jakby zasłaniał się przed gwarem przyjęcia na cześć Davida Reida oraz otaczających go aroganckich brytyjskich biznesmenów i urzędników, wszystkich, którzy przybywali z kredytami, aby pomóc sowieckiej gospodarce i Matce Nikitinowi w jego pierestrojce. Babbington uświadomił sobie, że jego twarz wyraża pogardę i chyba ironię, i poczuł nerwowe drżenie, gdy dostrzegł Nikitina oraz Davida Reida stojących razem i śmiejących się. Gdyby Reid się teraz odwrócił, rozpoznałby Babbingtona pomimo jego brody. Czy Kapustin, zastępca szefa KGB, wezwał go tylko po to, aby go tak małostkowo i gorzko upokorzyć?

Bogata sztukateria zdobiła ściany galerii. Były tam wielkie cynkowe kolumny podtrzymujące szereg postaci przedstawiających boginię Zwycięstwa, każda zwieńczona wawrzynem. Babbington zastanawiał się, co to za zwycięstwo, skoro przedstawiciele rządu brytyjskiego byli zabawiani z taką uniżonością, aby załatwić jakieś marne handlowe interesy, czy też krótkoterminowe pożyczki? Na marmurowych płytach we wnękach były umieszczone nazwiska oficerów i żołnierzy z rosyjskich armii, którzy otrzymali order św. Jerzego. On także go dostał. Teraz mogą wybić nowy order św. Jerzego, aby uczcić to, co rozgrywało się właśnie na jego oczach. Prawdopodobnie Kapustin zaaranżował całe to upokorzenie. Babbington czuł, jak ściska go w żołądku. Znał tych ludzi, niektórzy z nich zawdzięczali mu swą karierę. W tym pokoju świętowano

zwycięstwo nad nazistami w 1945 roku. Nikitin niezbyt zasłużył na to, aby tu być!

Głowa Kapustina nagle drgnęła, jak gdyby wyczuł raczej, aniżeli dostrzegł, zbliżanie się Babbingtona. Tak, był świadom ironii obecności Babbingtona, ale nie wyreżyserował tego, aby go upokorzyć. Był nadal – i na zawsze pozostanie – zdrajcą swego kraju, który wyjechał do Moskwy po zdemaskowaniu go przez Aubreya. Kiedyś użyteczny, podniesiony do rangi generała w KGB, teraz jego możliwości wyczerpały się. Ufali mu, bo byli pewni, że nie miał żadnego wyboru. Stałe racjonowanie upokorzenia i nienawiści.

Wielka, chłopska gęba Kapustina wyrażała złość, zdecydowanie i wyrachowanie. Ubrany był w niemodny garnitur bogato udekorowany medalami. Uchwycił spojrzenie Babbingtona i uśmiechnął się.

– Na niektóre z nich rzeczywiście zasłużyłem, generale – wymamrotał i potrząsnął głową. – W przeciwieństwie do pewnych obdarowanych, których mógłbym wymienić.

– Panie wiceprzewodniczący, dlaczego nagle zażądał pan mojej obecności tutaj, na tej upokarzającej farsie? – zanim zauważył kogoś w pokoju przy drzwiach, odwrócił się i pokręcił głową. Pomyłka.

– Wezwałem pana, ponieważ musimy coś teraz przedyskutować, natychmiast. Przejdźmy się, tutaj jest za głośno.

Gdy zaczęli się przechadzać po oszklonej galerii, Babbington skierował swój wzrok w stronę rzeki. Wielkie zdenerwowanie paraliżowało go. Statki turystyczne z dachami ze szkła poruszały się po rzece jak ruchome szklarnie. Gdy przechodzili koło otwartych drzwi, dobiegł ich śmiech i odgłosy rozmów. Babbington skrzyżował dłonie na plecach, jak gdyby parodiował Kapustina. Dwa szpaki na trawniku, pomyślał sobie. Niekształna głowa Kapustina poruszała się na wysokości jego ramion, jakby dziobiąc coś od czasu do czasu, akcentując obecne zagrożenia i wskazując na drzwi, które wydawały się oddzielać ich od pewnej przeszłości, nawet jeśli mieli omawiać niepewną, chociaż już zaplanowaną, przyszłość. Kapustin wydawał się niespokojny; był zły, ale czujny. Spojrzał na Babbingtona:

– Andrew, muszę poinstruować cię o akcji, która się tobie nie spodoba i nie będziesz wierzył w jej powodzenie, ale jest konieczna.

– A cóż to jest?

Dłoń Kapustina zacisnęła się na jego rękawie.

– Andrew, nie bądź wobec mnie taki niechętny. Właśnie spędziłem bardzo nieprzyjemny kwadrans z Matką Nikitinem oraz jego i naszymi sojusznikami z Politbiura. Zostałem tam wezwany i otrzymałem rozkazy. Towarzysze Lidiczew i Czewrikow niestety nie zdołali odwrócić jego uwagi. Prawdopodobnie obecność brytyjskiego ministra handlu spowodowała u niego zaćmienie umysłu – nie wiem. Nasi przyjaciele, a zwłaszcza przewodniczący, zgadzają się z nim w tej kwestii...

– Kapustin, o czym my rozmawiamy? – spotkania z tymi ludźmi to było jakby inne i jeszcze bardziej pełne napięć i tajemnic życie aniżeli to, jakie prowadził w Londynie, zanim Aubrey go odkrył i pozyskał. – Co to za interes, do cholery?

– Rozmawiamy o zabawkach, amuletach i błyskotkach. O podjęciu naszych głównych inwestycji, jak mi to przedstawił – Kapustin machnął rękami, jakby posługiwał się językiem migowym lub jakąś sztuką walki.

– Co pan ma na myśli?

Oczy Kapustina zaiskrzyły się złością, chociaż mrużył je w słońcu świecącym nad ramieniem Babbingtona.

– Mam na myśli udowodnienie Nikitinowi i innym, że nie zaprzepaściliśmy pieniędzy! – jego dłoń zacisnęła się mocniej na rękawie Babbingtona. – Oni się boją – wszyscy, włącznie z naszym przewodniczącym – o pieniądze, inwestycje i dobra, które możemy utracić, od chwili gdy poinformował nas pan, że Shapiro ma być aresztowany i wydaje się przygotowany na przedyskutowanie z FBI i CIA sposobu wyjścia z kłopotów.

– Wyraziłem swoje zdanie jasno. Shapiro jest już bezużyteczny. Materiał, który dostarczył z Reid Group, był przestarzały. Teraz może jedynie zaszkodzić, bo będzie gadał. Zasugerowałem, że powinniśmy załatwić się z nim, zanim do tego dojdzie. Obecnie ukrywa się w Londynie, bojąc się wrócić do Ameryki. Proszę mi więc pozwolić usunąć go z drogi...

– On nie jest jedyną przeszkodą! Większość naszych operacji w Kalifornii zostało wykrytych przez FBI – firmy, w których mamy udziały, bank we Fresno, banki i firmy holdingowe na Karaibach... i to, że ludzie Aubreya nie zostali odstawieni na zieloną trawkę, jak nas zapewnialiście, gdy choroba odsunęła od tego sir Kennetha.

– Wszystko inne jest bezpieczne!

– Nie, nie jest – Kapustin spojrział na Babbingtona. Było to spojrzenie oskarżycielskie, spojrzenie nauczyciela, który zawiódł się srogo na swym wcześniej chwalonym pupilu. – Rezydent londyński sprawdza działalność małej grupy ludzi wokół Aubreya. Prowadzone jest dalej dochodzenie w sprawie Reid Group i ich dostawców. Godwin, Hyde i inni mogą w każdej chwili znaleźć nic uruchamiającą wszystkie alarmy, Andrew. Nie można do tego dopuścić.

Promienie słońca odbijały się od powierzchni rzeki i pływających statków. Babbington potarł czoło, które połyskiwało od potu. A może była to reakcja na odgłosy dochodzące wciąż spoza drzwi, jak gdyby specjalnie obliczone na sfrustrowanie go.

– Panikujecie bez potrzeby – powiedział Babbington.

– Ja nie panikuję, ale Mateczka Nikitin i część jego sojuszników wpada w popłoch. Ich marzeniem jest nowa generacja układów scalonych i transputerów, którą mogą dostać od Reid Group, ale teraz, a nie wtedy, kiedy uznacie, że jest odpowiedni czas.

– Chcecie zmarnować wszystkie lata operacją śmierdzącą szabrownictwem i bazarem? – Babbington odruchowo podniósł rękę. – Nie wierzę własnym uszom, Kapustin. Materiał, którego się domagacie, musi być dostarczony w częściach, jeżeli w ogóle ma być przewieziony. Chcecie specjalnie zwrócić uwagę ludzi Aubreya? Dlaczego więc nie zadzwonić do nich, jeśli o to chodzi!

– Nikitin nastawił się – wyszeptał Kapustin z wściekłością – na wydostanie tej nowej generacji obwodów scalonych z Reid Group. Ma to pomóc naszemu przejściu do kapitalizmu, które zajęło nam już cztery lata, i jak na razie bez oczekiwanych efektów! – przysunął się bliżej do Babbingtona, żeby wyższy od niego mężczyzna mógł go dobrze słyszeć. – Właśnie my jesteśmy wyznaczeni do zaspokajania jego dziecięcych zachcianek na te nowe zabawki. Czy wyrażam się jasno, Andrew?

Kelnerzy poruszali się w wielkiej hotelowej sali balowej z tacami kanapek i butelkami szampana, napełniając kieliszki gości.

Błękitny dym z cygar i papierosów unosił się pod sufitem.

– Rozumiem was; jednak się nie zgadzam. Prawdę mówiąc, zdecydowanie się nie zgadzam...

Kapustin machnął ręką zniecierpliwiony.

– Nie obchodzi mnie, że się nie zgadzasz. Więcej nie będziemy ryzykować. To ostatni raz. Weźmiecie najdroższe, najdoskonalsze urządzenia ze Zjednoczonego Królestwa, głównie nową generację układów scalonych i transputery. Zrobicie to teraz jak najszybciej i bezwzględnie. Potem przerwiecie operację aż do czasu, gdy będzie można nadal przeprowadzać penetrację firm zajmujących się rozwiniętą technologią. Możecie przenieść na razie swą działalność do Niemiec lub Francji. Do emerytury Aubreya... lub jego śmierci – uśmiechnął się złowieszczo.

– Pobożne życzenie – wymamrotał Babbington.

Zaczęli iść wzdłuż długiej galerii. Na pobliskim moście był wielki korek, a statki turystyczne pozostawiały za sobą wąskie smugi połyskujące na wodzie. Kolorowe punkciki zabarwiły odległe nabrzeże.

– Spójrz na to, Andrew. Musicie...

– Jeżeli zlikwidujemy naszą dochodową operację w Zjednoczonym Królestwie, to po prostu sami się wykończymy – kontynuował Babbington gardłowym, wściekłym szeptem. Dłoń opuszczonej ręki zaciskała się w pięść i otwierała ze złości. – Będziemy musieli zaczynać od początku penetrację firm zajmujących się zaawansowaną techniką.

– Zróbcie to, Andrew. Chcemy utrzymać nasz wpływ na Nikitina, co w tej chwili jest jeszcze możliwe. Czas nas goni. Aby zmniejszyć jakiegokolwiek dodatkowe ryzyko, zaplanowano, że ta działalność – oczywiście to pomysł Kapustina – osiągnie punkt kulminacyjny podczas targów VIATE w Wenecji, co będzie dobrym kamuflażem...

– To niemożliwe!

– ... zakończenie na tych targach pod koniec miesiąca. To nie jest niemożliwe. Musi być zrobione. Pozbądźcie się Shapiro i potem szybko działajcie – klepnął Babbingtona po ramieniu. – Przykro mi, że tak musi być, Andrew. Penetracja Reid Group, udziały, które osiągnęliśmy w takiej tajemnicy... wielka szkoda. Ale inne zadania są ważniejsze. Teraz musimy zjednać sobie Nikitina i Politbiuro, a oni, mniej lub bardziej zgodnie, domagają się pieniędzy na inwestycje. Gdzie są zabawki, które nam obiecaliście? płaczą jak dzieci. Potrzebujemy ich, aby pokazać nasz ekonomiczny cud! To śmieszne, ale konieczne – złapał go znów za ramię. – Rozumiesz, Andrew, prawda?

Babbington skinął głową, po przerwie wypełnionej tylko wybuchami śmiechu dochodzącymi z St. George Hall.

– Rozumiem – powiedział krótko. Potem odchrząknął i powtórzył: – Rozumiem. Te instrukcje pochodzą od...

Przerwał, jakby przyłapał się na tym, że chce zdradzić jakąś tajemnicę.

Kapustin uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

– Oczywiście, że rozumiesz. Dobrze... teraz ruszaj i zorganizuj cały ten interes. Sio! – machnął ręką, jakby odganiał kurczaki na chłopskim podwórku.

Policzki Babbingtona były czerwone ze złości. I ze wstydu, pomyślał, gdy odwrócił się i zaczął iść wzdłuż długiej galerii z taką obojętną godnością, jaką tylko mógł z siebie wykrzesać, aby utrzymać swe ramiona i krok równo. Instrukcje pochodzą od... – wygadał się, chcąc powiedzieć, że wszystkie wypowiedane przez Kapustina argumenty były jedynie pozornie słuszne. Pochodzą od tych mopsowatych generałów oraz ludzi z obrony, z którymi zmuszeni jesteśmy się spotykać i nazywać ich przyjaciółmi. Ci wieśniacy w mundurach z szamerunkiem, których oczy łzawiły i napływała im ślinka do ust od chwili, kiedy zobaczyli pierwsze kroniki filmowe z Zatoki. Wszystkie te błyszczące zabaweczki! Zdobądźcie je dla nas, musimy je mieć!

Dotarł do końca galerii i zniknął z oczu Kapustina, o którym wiedział, że będzie obserwował jego... ucieczkę. Zachował sztywną, wojskową postawę.

Generałowie i inni twardogłowi – wszyscy ci zasługujący na pogardę, potężni mali ludzie – zaczęli całą tę ryzykowną grę; musieli dostać nową technologię. Byli o dziesięć lat opóźnieni w przemyśle zbrojeniowym w stosunku do wszystkiego, co pokazano w Zatoce, i chcieli po raz kolejny to dogonić.

Ryzyko było teraz bardzo duże. – Będą bez litości wobec tych, którzy ich zawiodą.

Część pierwsza

SPRZEDAWANIE ANGLII ZA FUNTA

Nigdy nie uważam, aby kraj należało sądzić po jego politykach. W końcu my, Anglicy, jesteśmy z natury całkiem uczciwi, prawda?

Z filmu Dama znika Hitchcocka

Rozdział pierwszy

BIEDACY ZAZDROSZCZĄ BOGATYM

W pokoju zbyt wiele się działo, zbyt wielu ludzi poruszało się jak czarne cienie rzucane w promieniach letniego słońca, wpadających przez żaluzje. Był wściekły i jego nastrój stanowił dysonans z tym, co się działo w pokoju, w którym sprawy gładko dobiegały końca. Jedyną bierną i obojętną osobą był Shapiro. *Na miłość boską, jak do cholery mogło się to stać? Ten wszarz miał być właśnie aresztowany i odesłany, a teraz popełnił samobójstwo!*

Daniel Garrison, szef komisariatu CIA pomachał do niego, więc podszedł stąpając ciężko po grubym, błękitnym dywanie. Przez okna korytarza hotelowego widać było samochody poruszające się z gracją i gwałtownością matadora dookoła Wellington Arch.

Tony Godwin był tam zaproszony honorowo, jak gdyby został nagrodzony cholerną nagrodą pocieszenia za dobrą pracę; plusik w szkolnym zeszytcie z ćwiczeniami. Shapiro popełnił samobójstwo w sypialni apartamentu hotelu Intercontinental. Ubrany w surdut przedstawiciel dyrekcji wyglądał jak pracownik zakładu pogrzebowego, szczególnie odkąd wydawało się, że ściskanie rąk uznał za dodające otuchy zajęcie. Wyłowił wzrokiem postać Godwina z tłumu przedstawicieli Oddziału Specjalnego, zarządu Departamentu Ceł, zespołu adwokackiego i innych. Godwin złożył swoje kule, jakby salutował Garrisonowi, i zerknął w kierunku uchylonych do połowy drzwi sypialni. Spojrzał na ludzi Garrisona stojących tam na posterunku. Shapiro zabijając się spieszył, mówiąc najprościej, sześć miesięcy pracy!

A przecież nie przejawiał nigdy skłonności samobójczych. Był jedynie bardzo rozmowny, gdy już został przyszpilony.

– Więc? – warknął do Garrisona, który potrząsał głową z ponurą miną. – Dan, jak do cholery mogło do tego dojść, właśnie teraz, kiedy już prawie został

złapany za kołnierz? Nawet okazywał chęć współpracy z nami, na miłość boską!

Przezeszał wielką ręką poczochrane blond włosy, widząc w lustrze swój zaniedbany wygląd, zażenowany, roztrzęsiony i rozdrażniony jak sfrustrowane dziecko. Zacisnął dłoń w pięść. Słońce nagrzało błękitny dywan i pomimo klimatyzacji w pokoju było gorąco.

– Dlaczego, do diabła, on to zrobił?

Jego złość narastała w rozgrzanej taksówce, która przywiozła go tutaj z domu. Nie zatrzymał się nawet, aby nakarmić Dubczeka, czarnego kota przywiezionego wiele lat temu z Pragi.

– Uspokój się Tony, bo się roztopisz – w tej uwadze nie było złościwości.

– Słuchaj, nie wiemy, dlaczego to zrobił. Sugerował, że chce powiedzieć nam wszystko, co wie. A teraz to... – przywołał dwóch oficerów z dochodzeniówki.

– Twoi ludzie widzieli, jak wchodził tutaj poprzedniego wieczora pod rękę z wysokiej klasy dziwką i uśmiechem na twarzy. Ona wyszła około...

– Był tu ktoś jeszcze? Więc niekoniecznie sam ze sobą skończył! Co mówi lekarz na temat czasu zgonu?

– Pomiędzy pierwszą a trzecią nad ranem.

– Jak?

– Pigułki nasenne popite szampanem Krug. Mógł się z nią kochać, dziewczyna musiała wyjść, a on popadł w depresję. Prawdopodobnie nie mógł przyzwyczać się do myśli o dziesięciu latach więzienia po tym...

– Im więcej by nam powiedział, tym krótszy byłby wyrok. On to dobrze wiedział! Kim była dziwka, z którą przyszedł?

– Nikt nie wie. Nie organizował sobie nic na miejscu czy też przez telefon.

– Więc ona go poderwała. Gdzie jadł ostatniej nocy?

– Twoi ludzie go obserwowali. Wszedł do jakiegoś klubu i wyszedł z nią.

– Więc to ona mogła go zabić!

– Nie wiemy, Tony! – potarł czoło. – Posłuchaj, jestem tak samo wściekły jak ty. Ale to naprawdę nie wygląda, jakby ona wcisnęła mu buteleczkę pigułek do gardła! Przepraszam, ale uważam, że facet stchórzył w ostatnim momencie, kto wie?

– A może to lepiej dla Langleya i Waszyngtonu, że się pożegnał z życiem?

Oczy Garrisona otworzyły się szeroko na to oskarżenie.

– Nikt tak naprawdę nie pragnął kolejnej afery z KGB, prawda? Nie chcieli tego, biorąc pod uwagę te wszystkie kredyty podane na talerzu i Nikitina mającego odwiedzić Amerykę we wrześniu. To bardzo niewygodne, wręcz skandal!

Garrison zignorował sarkazm i powiedział:

– Chcesz na niego spojrzeć? Wygląda na...

– Mówisz jak jego krewny! Czyż nie wygląda na spokojnego! Sześć miesięcy ciężkiej, wytrwałej pracy obrócone w gówno, ponieważ gruby pan Shapiro z Shapiro Electrics w San Jose w Kalifornii popełnił samobójstwo lub też został zamordowany. To niczego nie zmienia, niezależnie od tego, co mu się przytrafiło.

W pokoju zapanowała cisza, cienie znieruchomiały na tle żaluzji. On był aktorem, a oni tylko widzami. To zbyt prawdziwe, pomyślał gorzko. Ich gra skończyła się po długim biegu, podczas gdy jego zamknęła się z powodu braku poparcia!

– Cholera! – wrzasnął na całe gardło. Tak wiele mogli dowiedzieć się od Shapiro. Szczegóły na temat siatki, metody przeprowadzania operacji, kredyty, przemyt, rozszerzenie penetracji KGB w Reid Group – wszystko, do cholery! Szczególnie interesujące mogły być informacje na temat siatki i zaangażowania się w to Malana. Pieprzyć to! Operacja była teraz skończona.

– Czy zostawił jakiś list? – zapytał.

– Tylko krótką odręczną notatkę na papierze firmowym hotelu.

Godwin pociągnął nosem z niedowierzaniem.

– Naprawdę. Miał nam za złe, że go niepokoimy, obawiał się o interesy, bał się więzienia, czy nawet czegoś gorszego. Zwyczajna paranoja.

– Nie musiał się niczego obawiać! – wrzasnął Godwin.

– Może był zbyt przerażony, aby mówić?

– A może zabili go, bo właśnie miał zacząć?

Garrison wzruszył ramionami.

– Niezależnie od przyczyn, to już koniec. Może wystraszyliśmy Rosjan i na jakiś czas przerwą działalność. Żeby uspić naszą czujność...

– O Boże, zanim nadarzy się lepsza okazja, aby dowiedzieć się, co oni zamierzają, będą już właścicielami Saks Fifth Avenue!

- Przykro mi, Tony, naprawdę bardzo mi przykro – odchrząknął. – Słuchaj, muszę złożyć raport twojemu szefowi generalnemu, sir Clive'owi.
- Wspaniale. Nareszcie będzie miał pretekst, aby nas rozpuścić – teraz, kiedy Aubrey porzucił nas i poszedł na zwolnienie.
- Przykro mi. Postaram się mu zasugerować, że powinienes dalej prowadzić tę sprawę. Zrobię, co w mojej mocy.
- To jest zablokowane, Dan, wszystko zablokowane! – rzucił okiem na drzwi sypialni. – Dzięki, cholerny panie Shapiro, dzięki za takie nic!

Promienie słoneczne przenikały przez frontowe okno pubu znajdujące się za jego plecami i padały na wyblakły, brudny dywan przy otwartych drzwiach. Wchodzący klienci przez moment byli jak czarne niewyraźne cienie, gdy spoglądał na nich znad „Evening Standard”, kiedy wchodzili powoli w żółtą poświatę. Godwin był rozszalony z powodu Shapiro, ale telefon od Kelletta wprowadził go w nastrój podniecenia. Patrick Hyde wyglądał na znudzonego. Wydawał się bardziej zainteresowany krykietem rozgrywanym na ekranie milczącego telewizora za barem.

Osoba Davida Reida, sekretarza stanu do spraw handlu i przemysłu, zajmowała większość pierwszych stron gazet. Zamieszczone tam było wielkie zdjęcie, tak jakby ktoś specjalnie je opublikował, aby zdenerwować Hyde'a. Reid wymieniał uścisk ręki z Aleksandrem Dubczekiem w praskim zamku na Hradczanach.

Delikatna postać Dubczeka z uśmiechniętą twarzą, bardziej realna niż duch przeszłości, była władcza i przypominała o zaistniałych zmianach. *Otello stracił swoje zajęcie...* Aubrey był bardzo sprytny, gdy oskarżył starego o udzielanie poparcia DTI we wszystkim, co robili! Szmuglowanie mikroukładów scalonych i może transputerów oraz technologii obwodów scalonych odbywało się na taką skalę jak legalna sprzedaż laptopów, systemów telekomunikacyjnych, kuchenek mikrofalowych i pieprzonych lodówek. Ciekawe, kto tak naprawdę za to odpowiadał?

Chyba nie tacy kapitaliści jak Jankesi. Za jakiś rok będziemy im sprzedawać nową generację układów scalonych, transputery i wszystko, czego zapragną, bo teraz wszyscy jesteśmy kumplami i oni płacą w twardej walucie wymiennej,

mającej pokrycie w ich rezerwach złota.

Zdjęcie Davida Reida... odwiedzającego nowe demokracje Europy Wschodniej. Hyde rozpoznał twarze przynajmniej czterech osób otaczających Reida i Dubczeka. Dyrektorzy zarządzający i prezesi wielkich firm ze Zjednoczonego Królestwa. Boże, co za spotkanie. Podrapał się w niezbyt starannie ogolony policzek i pociągnął głośno nosem. Odwrócił gazetę na ostatnią stronę, gdzie były tabele wyścigów konnych. Cholerny Royal Ascot. Wyjął z kieszeni brudnej bawełnianej marynarki pióro kulkowe i zaczął zakreślać swoich faworytów na popołudniowy bieg. Spojrzał na cień wchodzący w drzwi. To nie ten. Znowu zajrzał do gazety.

Reid Electronics Group. Jeżeli mieli wykonać robotę, jak się należy, musieli w tym celu założyć podsłuch w biurach firmy w Nat West Tower. Ale Orrel nie pozwolił im na to. Hyde potrząsnął głową, uśmiechając się z sarkazmem. Stary, ostrożny palant. Nie może zniszczyć firmy takiej jak Reid, czy też ich poprzedniego głównego udziałowca i założyciela, sekretarza stanu do sprzedaży Anglii za funta. Reid dorobił się fortuny sprzedając swe udziały Reid Electronics Group. Oczywiście o niczym nie wiedział, a jego udziały znajdowały się w rękach jego brokerów, gdy był w rządzie – wszystko zgodnie z prawem. A zarobił jedynie jeszcze jedno dziesięć milionów lub więcej, rezygnując z rodzinnego holdingu w Reid.

Och, przestań zrzędzić. Spojrzał na telewizor za barem, popijając piwo. Ktoś wycofywał się z pochyloną głową od bramki. Pojawiła się tablica z wynikiem 57 : 4. Tak mogła grać jedynie Anglia. Uśmiechnął się. Prawdopodobnie mógłby skoczyć tam na kilka godzin po południu i popatrzeć trochę na mecz. Wielu facetów, których znał, tam będzie, z chorągiewkami i butelkami po piwie przewracanymi jak kręgle. Byłoby to zabawniejsze od tego oczekiwania w pubie na Kelletha. Ponownie zwrócił swą uwagę na rubrykę z zakładami. Godwin miał obsesję na temat Reid Electronics Group, ale nie mylił się. Jego człowiek z Reid, Kellett, był już – spojrzał na zegarek – dwadzieścia minut spóźniony. Powiedział, że to pilne. *Chyba tym razem na coś trafiłem.* Kellett potrzebował potwierdzenia celowości wydawania na niego pieniędzy. O Chryste, nudzi mnie to.

Podniósł się, aby napelnić ponownie szklanek i znowu usiadł. W drzwiach pojawił się Kellett, wyłaniając się z plamy cienia. Młody, w stylu yuppie,

wydający dwukrotnie więcej niż zarabiał. W kwietniu przekonał Shelleya do zapłacenia jego najpilniejszych rachunków za zakupy dokonane na karty kredytowe i dostał wystarczająco dużo kieszonkowego, by zapewniło mu to kilka tygodni z szampanem i wędzonym łososiem. W ten sposób pozyskali sobie człowieka ze ścisłego kierownictwa Reid Electronics. Nigdy jednak nie dostarczył im dobrych informacji, wszystkie były do chrzanu. Może teraz? Hyde chciał, by Kellett podszedł prosto do baru. Ten jednak zawahał się, skinął głową Hyde'owi i dopiero potem podszedł zamówić sobie coś do picia.

Czy w końcu Kellett coś znalazł? Wyglądał na zdenerwowanego, ale był taki zwykle, gdy się spotykali. To część gry, gry która nadwerżyła zdrowie Aubreya, gdy jakiś znachor z Harley Street postawił diagnozę nerwowego wyczerpania i początku – *jedynie początku, przypominam, nie ma się czego obawiać* – dusznicy bolesnej i zalecił miesiąc odpoczynku. Tak więc Aubrey siedział w domu z nogami na stole lub łaził po ogrodzie swego domku letniskowego w Oxfordshire, podczas gdy ta rozpoczęta przez niego operacja przebiegała leniwie i bez żadnego ładu.

W drzwiach pojawił się inny cień. Hyde spojrzał na mężczyznę, ponieważ towarzyszyła mu młoda kobieta. Rozmawiali głośno i śmiali się, gdy przechodzili przez drzwi. Jego akcent, gdy prosił o dwa kieliszki białego wina, był bezbłędnym akcentem wyższych sfer klasy średniej, z Oxbridge, w stylu Juliana i Nigela. Szeroka marynarka, rozwiązany krawat, modna fryzura; w pubie było sześć innych osób podobnych do niego. Kobieta uśmiechała się, jak zauważył Hyde, z pewną przesadą. Poza tym jej oczy były zbyt rozbiegane; tylko przez chwilę patrzyła dłużej w tę stronę, gdzie siedział. Pochylała się do swego towarzysza jak zakochana gołąbka. Kellett zapłacił za pół butelki czerwonego wina i zaczął zbliżać się w stronę Hyde'a, który skinął lekko głową i machnął gazetą w kierunku otwartych drzwi. Ten gest oznaczał, aby na wszelki wypadek trzymał się z daleka.

Ścisnął kurczowo gazetę. Kellett podszedł do stolika po drugiej stronie wejścia. Głowa dziewczyny poruszała się w dalszym ciągu, płynnie jak taśma maszyny do pisania. Nie wydawała się przekonana dystansem między Hyde'em i Kellettem. Ale Hyde był przekonany. Mężczyzna, który jej towarzyszył, stanowiąc dla niej parawan. Spojrzała ponownie w kąt, w którym był Hyde. Była

z pewnością narybkiem Priabina, świeżo z jakiejś moskiewskiej szkoły. Priabin wysyłał swoich agentów tajnymi kanałami, aby wtopili się w znany mu pejzaż Londynu; na kursach szkoleniowych robiono dobrą robotą. Hyde nie poznał jej. A to dlatego, że nikogo to już nie obchodziło; zdjęcia z Heathrow dostarczono z Wydziału przez MI5 opóźnione kuka tygodni – jedne cholernie długie wakacje, podczas gdy kontenery zapakowane kuchniami mikrofalowymi i telewizorami stały w kolejce w Dover, wszystkie z nalepkami kierującymi je do Pragi, Warszawy czy Bukaresztu.

Podniósł pustą szklankę, wstał i poszedł w kierunku baru, pomimo że kobieta, z podniesioną głową, nadal obserwowała salę jakby w poszukiwaniu materiału do kolumny z plotkami. Jej arogancja była trochę zbyt perfekcyjna, a protekcyjność wobec osób przebywających w pubie precyzyjna jak w zegarku. Hyde poruszył lekko gazetą za plecami, dając Kellettowi znak, aby wyszedł. Podszedł do baru i postawił na nim szklankę, zamawiając kolejne piwo.

Kobieta miała niewiele ponad dwadzieścia lat, była ubrana w szeroką, kwiecistą spódnicę i czarną błyszczącą bawełnianą obcisłą bluzkę. Jej wąskie ramiona i małe piersi tonęły w zbyt obszernej marynarce. Gracze krykietowi opuszczali miniaturowe zielone pole telewizora idąc na przerwę śniadaniową. Pomieszczenie wydawało się bardziej zadymione i gwarne. Kamienny rondel z pokrywką zasyczał na gorącej płytce, wydzielając zapach taniego czerwonego wina. Towarzysz kobiety śmiał się bezgłośnie z czegoś, co mu szeptała. Obserwowała go z udawanym brakiem zainteresowania, a potem zapaliła papierosa. Hyde podniósł pełną szklankę do ust i podjął decyzję – piwo rozlało się na jej marynarkę i bluzkę. Kobieta odepchnęła jego łokieć. Rozejrzał się szybko dookoła. Kellett, zaalarmowany, nadal siedział.

– Ty pijana świni! – wrzeszczała na niego kobieta, jej akcent był bezbłędny i tak samo bezbłędnie wyrażał złość. Zaczęła z wściekłością strząsać piwo z marynarki, jej policzki poczerwieniały ze złości, a w błyszczących oczach czaiło się wyrachowanie. Jej towarzysz przysunął się bliżej do Hyde'a.

– Zobacz, co narobiłeś!

W pubie nastała prawie całkowita cisza.

– Przepraszam, to... to moja wina – mamrotał, wciągnięty do gry przez naskakującego na niego mężczyznę.

– To znowu ty! – krzyczał mężczyzna w twarz Hyde'owi. – Ostrzegalem cię wcześniej, żebyś trzymał się z dala od Nicky! – mówił ze starannym akcentem, kontrolując się pomimo udawanej złości.

Sztucznie stworzona sytuacja nabierała przyspieszenia, stawała się poważna. Kellett obserwował ich zdziwiony, ale jeszcze nie zaniepokojony.

– Nie znam cię – wymamrotał ostro, lekko się chwiejąc i podnosząc jedną rękę. Barman pochylił się nad nim i złapał go za nadgarstek.

– Nic z tego. Masz już dosyć, przyjacielu. Przeprós – był trochę zmieszany, jak gdyby jego fachowa ocena miała zostać podważona. Hyde stał się nagle pijany. – Zna pani tego gościa?

– Sąsiad. To pijak. Napastuje Nicky, jak zwykle – wyjaśnił facet z obstawy. Wiedział, z kim ma do czynienia, to było oczywiste.

Kellett stał się jeszcze jednym człowiekiem na widowni, która teraz zaczynała włączać się do intrygującej gry. Seksualne niedopasowanie, pijaństwo – mydlana opera w miniaturze. Dwoje Rosjan grało według świetnego scenariusza. Miało to swoją głębię i potrzebowało widowni. Hyde, zmuszony do uczestnictwa, kołysał się coraz wyraźniej i zachowywał się coraz agresywniej, mając nadzieję, że Kellett zrozumie i wyjdzie.

– Odwal się.

– Uważaj, co mówisz – ostrzegł go barman.

Kobieta zdjęła marynarkę i oglądała ją z przerażeniem.

– Kosztowała mnie cztery setki! Zniszczyłeś ją! Jimmy, zmusz go, żeby za to zapłacił!

Ktoś się roześmiał.

– Potrąciłaś moją rękę – zaprotestował Hyde.,

– Nieprawda! Zachwiałeś się w moją stronę. Dlaczego nie dasz mi spokoju, przestań za mną wszędzie łązić!

– Czy on...?

– Odpierdol się – warknął Hyde do barmana.

– Koles, jeżeli szukasz kłopotów... – padły słowa z ust człowieka o zwalistej figurze, który podniósł się z jednej z ławek pod oknem. Po jego ubraniu i twarzy tańczyły refleksy z witraży okiennych, pobłyskując barwami fioletu, czerwieni i złota, prześlizgując się po nim, gdy się poruszał. Nie, było ich dwóch... nie byli to Rosjanie, po prostu nieoficjalna obstawa na wypadek

gdyby yuppies zaczęli rozbijać puste butelki i talerze.

– Jakieś problemy, George?

Kellett siedział wystraszony jak zając w światłach samochodu. Rusz się, spadaj stąd! Idź do domu, wynoś się gdziekolwiek – ja cię znajdę. Było gorzej, niż myślał. To celowa gra, aby przejąć samego Kelletta. Chcieli go odseparować.

Chyba naprawdę na coś wpadłem. To jest ważne, wiele warte, wiem, że tak jest. Och, tak, odpowiedział zdruzgotany Hyde. Kellett zadzwonił do niego do Centre Point. Godwin przekazał mu słuchawkę. Kellett histeryzował, tak jak oni wszyscy, gdy byli już przyszpileni i namierzeni. Teraz wiedział, że ten człowiek ma coś rzeczywiście wartościowego. Oni też o tym wiedzieli, Bóg wie, jakim sposobem. Informacja była tak ważna, że opracowali jak szaleńcy tę niebezpieczną, skomplikowaną szaradę w mniej niż kilka godzin. Śledzili Kelletta, tak, ale musieli wcześniej sprawdzić miejsce spotkania, choćby po to, by przyjrzeć się potencjalnie użytecznej obstawie. *Jestem pewien, że to jest to, czego pan szukał.* Nie wierzył Kellettowi – który powinien teraz wyjść, kiedy Hyde skupiał ich uwagę na sobie. Kellett był spięty, oszołomiony i podejrzliwy, ale wciąż siedział. Kobieta nadal czyściła swoją zmoczoną bluzkę i żakiet, przekonując Kelletta, że to był przypadek. Hyde oparł się jedną ręką o brzeg baru, chwiejąc się.

– Nie znam nikogo z was.

– Ty kłamliwy palancie! Kręcisz się koło mieszkań, podglądasz Nicky. Robiłeś to przez całe miesiące. Nawet policja cię ostrzegła... – Oczy faceta zabłyśły, strzelając w kierunku dwóch goryli. Niczym Gog i Magog, bracia Grim – pomyślał. Wyglądali na zdolnych do fachowego brutalnego pobicia. Cholera, to śmieszne, jak łatwo dał się wmanewrować w tę sytuację.

– Do cholery, ja nie...! – zaprotestował, patrząc na barmana, rozszerzając jeszcze fikcję, starając się utrzymać Rosjan w stworzonych przez nich samych warunkach tak długo, jak długo Kellett nie zdecyduje się wyjść. Spieprzaj! Machnął rękami.

– Nie znam, do cholery, nikogo tutaj! – goryle pogardzali nim. Obecny na sali jeszcze przed chwilą wydawał się śmieszny, ale seksualne insynuacje spowodowały, że zaczęli go traktować jak robaka, coś, co zasługiwało na zdeptanie. Kobieta patrzyła na niego, potrząsając gwałtownie głową.

– Owszem on to robi! Jest nawet znany policji – musiałam zameldować, że mnie podgląda!

Och, do cholery, jesteś całkiem dobra. Jej głos był tak naturalny, że Sloane musiałby ciężko ćwiczyć, aby do tego dojść. Doskonały. Pułapka była wspornie przygotowana, rodzaj egzekucji. Teraz Rosjanie kontrolowali całe pomieszczenie.

– Och, spływaj kochanie, nie znam cię! Kto by cię zresztą chciał z takimi małymi cyckami? A ciebie też w ogóle nie znam! – powiedział pochylając się do jej towarzysza. Sytuacja szybko dojrzewała do bójk, co zresztą było nieuniknione. Dwaj goryle zamierzali chyba być *deus ex machina*, przeznaczeniem. Kręcili się jak rottweilery z trudnością utrzymywane w ryzach.

– Ja wychodzę, cholera...

Odsunął się od baru, zachwiał się wywołując śmiech na sali, ze zwieszonymi ramionami, grając rolę, jaką mu przydzielili, nawet klepiąc się wierzchem dłoni po opadłej szczęce. Widział, jak kobieta i jej ochrona wymienili szybkie, podejrzliwe spojrzenia. Mężczyzna spojrzał na Kelletta. Światło słoneczne wpadało przez otwarte drzwi. Kellett wstał od baru, ale wciąż się wahał, nic nie rozumiejąc...

– A co z moją marynarką?

W tej chwili jeden z goryli znalazł się tuż przed Hyde'em, kładąc swoją wielką rozcapierzoną łapę na jego klatce piersiowej.

– Słyszałeś, koleś. No więc, co z marynarką tej pani?

Pseudowiktoriański wygląd wnętrza zniknął jak stare malowidło. Oczy goryla były uważne, ale pewnie siebie, wielki brzuch wystawał niestosownie nad paskiem, gdy musiał radzić sobie z pijakiem o wiele mniejszej postury.

– Spływaj, teraz! – warknął Hyde, patrząc na Kelletta, który wymamrotał coś do siebie, przetarł usta i wyszedł. Jego cień był czarny w słońcu. Teraz trzeba tylko pozbyć się tego durnia i dogonić go...

Uderzył głową goryla, który się cofnął – odgłos łamanej kości utonął w skowycie, jaki wydał z siebie z bólu. Drugi goryl uderzył Hyde'a w nerki, zanim ten zdążył się odwrócić, cofnął się i dostał drugi raz i trzeci. Błyskawicznie oddał ciosy. Nikt już nie wierzył, że był pijany, ale to nie miało znaczenia. Krew zalała twarz pierwszego goryla jeszcze większą, brzydszą plamą niż

światło z witraża na jego ubraniu, gdy leżał niedaleko drzwi. Za nim był przewrócony stolik, a na dywanie pieniało się piwo. Ktoś narzekał, że zaplamiono mu spodnie.

Hyde odwrócił się, ale ktoś go podciął. Kobieta pośpiesznie i z trudem wkładała mokrą marynarkę, a cień mężczyzny już zakrywał wejście. Ruszyli za Kellettem, a on nie mógł wyjść...

Poczuł ciężki but na żebrach. Potoczył się na bok. Wrzask widowni wyrażał zadowolenie z łomotu sprawianego nieznanemu. Żebra go piekły, a nerki bolały. Pierwszy goryl podniósł się i podszedł chwiejnie w jego kierunku. Gdy podniósł nogę, by go kopnąć, Hyde złapał ją i wykręcił pozbawiając go równowagi. Kiedy Hyde się podnosił, drugi goryl kopnął go w udo i poleciał na bar. Szklanka sama wpadła mu w garść. Barman był już przy telefonie. Zniszczenia osiągały powoli wysokość nie do zaakceptowania za samą przyjemność zobaczenia, jak ktoś dostaje po gębie. Hyde stłukł szklankę i trzymał szkło przed sobą.

Goryle wahali się. Ktoś ich zachęcał. Kobieta i jej obstawa zniknęli. Boże, co za bałagan...

– No, zabawmy się! – zachęcał ich. – Pochlastam wam gęby!

Pośpiesz się, ty idioto! – krzyczał w myślach na barmana mamroczącego do słuchawki i patrzącego na niego. Inni obecni w pubie już się podnosili, jakby wszyscy byli kumplami. Każdy chciał skosztować mikstury przygotowanej przez Rosjan, niebezpiecznego, zdecydowanego smaku przemocy. Gdyby nie rozbita szklanka w jego rękę zaczęliby go teraz otaczać.

Pośpiesz się... ostatnie dojsście Godwina do Reid Group właśnie odchodziło z KGB na karku! Cholera jasna, pośpiesz się...

– Posłuchaj, nie mogłem przyjechać tutaj szybciej! – krzyczał Godwin do Hyde'a, kuśtykając na swych kulach, aby stanąć naprzeciw niego. – Terry Chambers prowadzi inwigilację Malana, młody Darren jest zajęty czym innym, a ja starałem się sklecić raport, który przekona Orrella, by pozwolił nam dalej prowadzić ten cholerny bałagan ze śledztwem! W porządku?

Na ekranie telewizora znajdującego się za biurkiem sierżanta na posterunku

policii powtarzany był materiał z wieczornego wydania dziennika o Davidzie Reid wnoszącym toasty na cześć czeskich gospodarzy. Wszyscy byli uśmiechnięci i wyglądali na zadowolonych.

– Na miłość boską, siedziałem w tej cholernej celi przez całe popołudnie, i to z powodu komisarza. Szef i jego ludzie nie uwierzyli mi bez mojej legitymacji. A ja nie miałem tej cholernej legitymacji – Hyde naciągnął marynarkę na ramiona, kuląc się z powodu nawrotu bólu w nerkach i żebrach.

– Dobrze się czujesz?

– Żadnych złamań – wymamrotał sierżant zza biurka, nie podnosząc głowy znad gazety. – Lekarz przyjrzał mu się dobrze – spojrzął w górę z dezaprobatą. – Samochód dojechał tam, zanim zdołał narobić większych szkód, sobie lub komukolwiek – spojrzął na Hyde'a. – Powiesz swoim przyjaciółom, że zawsze znajdują gliniarza, jeśli będą go potrzebować, prawda? – potem potrząsnął głową i powrócił do krzyżówki, ssąc końcówkę swego pióra. Po przeciwnej stronie pod ścianą siedział, osuwając się na ławce, pijak. Czuć go było piwem i wymiocinami. Jego twarz była szara z powodu nie golonego zarostu i osłabienia.

– O co więc chodzi? – zapytał Hyde, a potem zawołał przez ramię: – Odląłem się jeszcze na koc, zanim wyszedłem – zaśmiał się.

– Chryste, Patrick, nic dziwnego, że zdenerwowałeś tych ludzi.

– Posłuchaj, siedziałem tam kilka godzin i nikt nie był tym w najmniejszym stopniu zainteresowany. Byli zbyt zajęci poszukiwaniem świadków!

– Wszystko z powodu tej demokracji, no nie? Tak właśnie to działa.

– Oni zamierzali oskarżyć mnie o uszkodzenie ciała, na miłość boską!

– Och, uspokój się. Co się stało z Rosjanami?

– Wyszli za Kellettem. A czego się spodziewałeś? Zrobiłeś coś w związku z tym?

Godwin spojrzął bardzo zasepiony.

– Jeszcze nic – poza wyciągnięciem ciebie z więzienia.

– O Boże, czasami zastanawiam się nad tobą! – krzyknął Hyde. – Albo Kellett coś miał, jakieś zabezpieczenie na życie, albo nie miał. Ale lepiej zabierajmy się, żeby jeszcze coś złapać! Ruszajmy.

Samochód, którym przyjechał Godwin, był zaparkowany w odległości pięćdziesięciu metrów od komisariatu na Old Jewry. Kierowca wyprostował się

wyrwany z drzemki, gdy Hyde otworzył drzwi. Godwin wcisnął się na tylne siedzenie, a Hyde usiadł obok niego.

– Mieszkanie Kelletta na Docklands – Hyde podał adres. – Powiedziałem ci przez telefon, kiedy wreszcie udało mi się do ciebie dodzwonić i byłeś łaskaw porozmawiać ze mną, że on może potrzebować ochrony. Ale byłeś zbyt zajęty pilnowaniem swojej dupy, żeby się tym zająć! – usiadł opierając się nogami o przednie siedzenie niczym dziecko i spojrzął na zegarek. Jedenasta.

– Nie zrobiłem nic, bo byłem zbyt zajęty ratowaniem czegośkolwiek z tego cholernego bałaganu! – ostro odpowiedział Godwin.

– W porządku, nie denerwuj się. Kellett jest praktycznie wszystkim, co możemy uratować z tego fiaska, koleżko. Powinieneś o tym wiedzieć.

Budynek Bank of England zniknął z bocznego lusterka.

– Czy grozi mu coś poważnego?

– Bóg raczy wiedzieć. W końcu wyszedł stamtąd, jakby spodnie mu się paliły. Ale oni poszli za nim. Miejmy nadzieję, że go nie dorwali. Boże, wszystko przebiegało całkiem gładko.

– I ty wpadłeś w sam środek.

– Kellett dzwonił do biura przed dziesiątą trzydzieści. O dwunastej trzydzieści oni wiedzieli o wszystkim i już działali.

Minęli Eastcheap, potem Tower.

– Co on mógł znaleźć i to tak nagle? Był po prostu przerażony, czy tak?

– Ale dlaczego?

– Nie wiem! Po prostu wcześniej nic dla nas nie miał.

– Jak oni w ogóle się o nim dowiedzieli? – zapytał Hyde. – Chyba że mają w Reid Electronics podsłuch, o którym my nie wiemy! Cholernie bym się uśmieł, gdyby to była prawda. Sir Clive by się spalił, gdyby tak było – musiałby zamówić sobie ekstra mocny aperitif przed obiadem.

Hyde odwrócił się do Godwina. – To jest spieprzone, jeśli Kellett nie żyje?

Godwin kiwnął głową z ponurą miną. Pojawiła się przed nimi Królewska Mennica.

– Cholera.

W końcu dojechali na miejsce. Limehouse: nowe domy nad rzeką, budynki otaczające nowoczesne ulice i szykowne alejki. Hyde podskakiwał na swym

miejscu jak sprężyna, gdy kierowca skręcił w prawo i zaczął omiatać światłami ściany, ozdobne bramy, brukowane podjazdy i nadbrzeże. Samochody Porsche, BMW zebrane były w grupy jak muchy, a przez otwarte okno dochodził do nich hałas z barów winnych i dyskotek. Czuć było zapach rzeki. Hyde pociągnął nosem, gdy długonoga dziewczyna wyskoczyła z kabrioletu Escort śmiejąc się i potrząsając długimi włosami jak na reklamie szamponu.

– To jest to – ogłosił, klepiąc kierowcę w ramię. – Ta panienska tam.

Kierowca zarechotał i zatrzymał się naprzeciwko ceglanego budynku mieszkalnego, strzelistego i zakończonygo flankami jak ściana twierdzy; jak gdyby miejsce to potrzebowało obrony przed okolicznymi mieszkańcami. Hyde wyszedł z samochodu i nabrał głęboko powietrza. Kellett zajmował mieszkanie na siódmym piętrze z widokiem na rzekę. Nie było go stać na to mieszkanie i taki styl życia, a szczególnie na dawki kokainy, przy bardzo wysokim oprocentowaniu kredytów i BMW oraz bardzo drogim sprzęcie hi-fi. Godwin szedł obok Hyde'a w kierunku foyer. Hyde nacisnął wideofon do mieszkania Kelletta – drugi i trzeci raz. Spojrzał ponuro na Godwina.

– Wchodzimy na legitymację?

Godwin skinął głową, więc Hyde nacisnął przycisk do portiera. W końcu ktoś się odezwał:

– Kto tam?

– Jesteśmy z wydziału śledczego. Proszę nas wpuścić. Chcemy się zobaczyć z panem Kellettem. Nikt u niego nie odpowiada

– Godwin cierpliwie trzymał swą legitymację przed okiem kamery.

– W porządku – zamek zazgrzytał i Hyde pchnął drzwi.

– Albo ma to gdzieś, albo wspaniały wzrok. – W foyer i windzie czuć było zaduszone, nieprzyjemne zapachy kuchenne.

– Cieszę się, że nie jest moim portierem.

– Ros nawet ciebie ledwo wpuszcza.

Winda ruszyła w górę.

– Powinienem cię ostrzec, masz rację. Powinienem – powiedział cicho Hyde.

– Jesteśmy na miejscu – odpowiedział Godwin, dając do zrozumienia, że był to rodzaj przeprosin. Drzwi windy otworzyły się i szcęknęły.

– Które?

- Mieszkanie numer 62... tu jest 61... – Hyde szedł korytarzem.
- Wyglądasz jak facet szukający szaletu – zauważył Godwin, przysuwając się do ściany.

– To tutaj.

Odgłos muzyki dochodził ze środka do uszu Hyde'a, gdy naciskał dzwonek u drzwi. Ten sukinsyn był wewnątrz. Godwin podszedł do Hyde'a po poplamionym dywanie. Przy następnych drzwiach stały torby ze śmieciami. Słysząc było dochodzący skądś hałas, mogący wydobywać się jedynie z telewizji satelitarnej – głos komentatora futbolu amerykańskiego. Hyde ponownie nacisnął dzwonek i usłyszał brzęczenie głośniejsze od dochodzącej muzyki. Dwa tysiące funtów, żeby grać takie byle co – pomyślał – regularny idiota nieobecny w prawdziwym świecie, trzymający się go jedynie lekko końcami palców.

– Chyba nie wystawił swych toreb dla portiera.

– Cholera, nie zrobił tego.

Hyde ukląkł i odchylił klapkę do wsuwania poczty.

– No i co?

– Śmieszne schodki, nie mogę nic, cholera, zobaczyć.

– Więc?

– Czuję gaz, a ty?

– Całkiem możliwe.

Hyde kopnął słabe drzwi, zrobione z płyty wiórowej, jak się zorientował patrząc przez klapkę na listy, i nie miały zamków Banham. Otworzyły się za trzecim podejściem. Wszedł do mieszkania. Cztery schodki prowadziły prosto do rozległego salonu. Poczł zapach nowego dywanu i nie całkiem wyschniętej zaprawy murarskiej, a w uszach brzmiała dochodząca ze sprzętu hi-fi muzyka. Na ścianach były obrazy, plakaty i abstrakcyjne malowidła.

– Kto do cholery poradził mu, żeby w to zainwestował? – zapytał Godwin.
– Nic dziwnego, że nie ma pieniędzy. Wszystko z Bond Street i galerii Mayfair... patrz, wszystkie podpisane, unikatowe egzemplarze – zauważyli monochromatyczny obraz przedstawiający wschód księżyca nad otwartym polem. – Czy ty wiesz, po ile ten stary palant sprzedaje takie malowidła? – mamrotał. – Jakkolwiek się nazywa...?

Hyde wzruszył ramionami. Rozejrzał się po pokoju. Skórzane meble, chińskie dywaniki, które nie były wcale tańsze w Hongkongu niż w Mayfair. Stały

tu wielkie głośniki i z tuzin segmentów sprzętu hi-fi, z których wydobywała się ta hałaśliwa muzyka. Plakaty, reprodukcje i unikatowe obrazy na ścianach... a także stare, oprawione w skórę książki – wziął książkę Dickensa z półki i sprawdził datę; oczywiście pierwsze wydanie. Pokój był biblioteką, galerią, rodzajem wystawy i inwestycji. Za pożyczone i przekroczone fundusze. Pokój był też odbiciem jego zachłanności. Duma osiemdziesięciolatka w dwudziesto-pięcioletnim chłopcu, który nie mógł czekać. Prawdopodobnie rodzice ze wsi zaszczytli mu gust i zamiłowania. Pokój był pusty i cichy, jeśli nie liczyć hałasu dochodzącego ze sprzętu hi-fi.

– Co za życie on prowadzi? – zapytał Hyde. – Komu chce zaimponować?
– Ktoś go utrzymuje, czy ma zaślepionych rodziców?
– Nie są zaślepieni, a nawet niezbyt dobrze sytuowani – odpowiedział Hyde, szukając innych śladów, zanim dojrzał kostki i buty Kelletta wystające z za wysokiej skórzanej sofy Chesterfielda.

- Nie będzie już więcej robił nic z tych rzeczy.
- O cholera – wyszeptał Godwin.

Hyde uklęknął obok. Kellett był bez wątplenia martwy. Nieruchome oczy w młodej twarzy wpatrywały się w niego bez skargi. Szklanka whisky leżała niedaleko jego głowy, a na ustach i policzku widniała strużka wymiocin. Hyde stwierdził brak pulsu. Skóra była jeszcze ciepła i miękka. Na stoliku leżały mały kawałek folii, zapalniczka i inhalator, rzeczy, które nie znalazły się tam przypadkiem. Były dowodami, oszukańczą sztuczką. W pokoju pachniało morderstwem – to ta cholerna rosyjska aktorka w stylu Sloane'a, ta krowa!

Godwin krążył wokół niego, ciężko dysząc.

– Też będzie miał zawał serca, jak sądzę – to jest tak cholernie dobrze zaaranżowane, że nikt nie podda tego w wątpliwość.

– Orrell nie uwierzy, to pewne – wymamrotał Hyde.

Godwin odchodził pomrukując.

– Ktoś zatrzaskuje drzwi jedne po drugich, zanim podłoży ogień.

Hyde spojrział na błądą, młodą twarz, potem odwrócił się do Godwina wybierającego numer na telefonie komórkowym.

– Jak wyglądała ta dziwka, którą Shapiro przyprowadził do swego pokoju?
– zapytał Hyde.

- Co? A, dziwka – biała, jak z żurnala w każdym detalu.
- W takim razie, powiedz temu staremu pierdzielowi Orrellowi, żeby nam lepiej pozwolił założyć podsłuch w Reid Electronics, albo niech nam poszuka innej pracy!

To był DC-3, stara dakota, pokryta maskującymi barwami pustyni, nieruchoma i rozbita. Prawe skrzydło było złamane. Za wrakiem widać było połamane drzewa i powyrywane krzaki. Samolot rozbił się niedawno. Cienka strużka tłustego dymu wydobywała się z silnika.

Richard Anderson zwołnił land rovera około sześćdziesiąt metrów od nieruchomego samolotu, na brzegu wydmowego wzniesienia i oparł się ramionami na kierownicy, obserwując dakotę. Czuł, że nie znajdzie tu jakichkolwiek oznak przeżycia; był pewien śmierci całej załogi. Broda połaskotała go w szyję, gdy kilkakrotnie potrząsnął głową. Mógł dokładnie zobaczyć wnętrze samolotu, przez goły szkielec, do połowy spalony. W upale poranka krążyły nad nim ptaki. Jego ramiona zaróżowiły się od słońca wstającego za nim, w którym jego land rover i on sam rzucił cień w kierunku wraku dakoty. Na kadłubie samolotu widoczny był kurz, powodujący zmatowienie szkła i metalu. Dlaczego samolot rozbił się tutaj? Poprzedniej nocy w Windhoek nie było żadnej nawałnicy. Stary samolot leżał jak gdyby osadzony przez wielką falę na czerwonej, piaszczystej ziemi. W prawie nieruchomym porannym powietrzu czuł zapach wyciekającego paliwa.

Ze szczytu wzniesienia widać było okolicę na kilka mil wokół. Był sam w tej części buszu. Ścieżka, którą wyrył samolot, prowadziła na zachód, w kierunku wybrzeża i Walvis Bay. Ciekawość w końcu wzięła górę i ruszył w dół doliny land roverem podskakującym i zmagającym się z piachem. Mignęła przed nim niebieska jaszczurka, przecinając mu drogę. Długa, cętkowana szyja oderwała się od odległego końca DC-3 i w polu widzenia pojawiła się żyrafa, na wpół przestraszona, i odbiegła spokojnym truchtem. Przejechał wśród suchych, wypalonych szarych drzew.

Pozbawiona wyrazu twarz wyglądająca jak biała plama, tkwiła przy oknie obok miejsca pilota, patrząc ślepo w dół przez zakurzony pleksiglas. Od ucha tego człowieka ciągnęła się przez policzki ciemna strużka. Był sam...?

Barwy maskujące dakoty mogły być wojskowe, ale na kadłubie nie było żadnych oznaczeń czy jakichś znaków firmowych. Gdzie w takim razie zmierział? Jeżeli leciał z Walvis Bay do jakiegokolwiek miejsca w Afryce Południowej przewożąc jakikolwiek ładunek, zszedł przynajmniej sto mil z kursu. Czarne włosy ułożyły się w poprzek szerokiego czoła martwej twarzy w kokpicie.

Anderson wyskoczył z samochodu, napinając mięśnie. Prawą ręką przeciągnął po kadłubie. Na palcach pozostał kurz. Podeszedł do silnika na prawym skrzydle. Plama wyciekającego paliwa była wciąż mokra. Samolot musiał się rozbić tuż przed świtem, godzinę temu. Nerwowo spojrział na niebo. Puste. Ostrożnie obszedł dookoła nieruchomy samolot, aż dotarł do drzwi w głównej kabynie, które otworzyły się podczas katastrofy. Oparł się obydwoma rękami o ramę i podciągnął się do ładowni. Nikogo. Jedynie pudła i paczki wyłoniły się z mroku, gdy jego oczy przyzwyczały się do ciemności panującej wewnątrz. Wymalowane litery na porozrzucanym ładunku i nawet podarte nalepki. Gdy stał czujny przy wejściu, cisza wewnątrz ładowni wydawała się bardziej przyniatająca niż ta w buszu wokół wraku. Przeszły go ciarki.

Jaszczurka, która tu już wpełzła, zeszła z jego butów, gdy ruszył w kierunku drzwi kokpitu. Jego ręka zawahała się na klamce. Zatarte wyrazy i instrukcje na metalu w języku afrikaans i po angielsku. Wojskowe? Ostrożnie pchnął drzwi i schylając się wszedł do małego kokpitu.

Zauważył, że było ich dwóch. Wokół ciał podniosła się chmara much, które zaraz usiadły ponownie, aby się dalej pożywiać. Twarz pilota była przyciśnięta do bocznego okna, a ciało drugiego pilota przewieszona przez oparcie fotela jak porzucona marionetka brzechomowcy. Jego głowa była opuszczona, a szyja spoczywała na drążkach sterowniczych; wyglądał jak człowiek czekający na uderzenie wyimaginowanego ostrza gilotyny. Muchy zebrały się wokół ust, uszu i nosów obydwu mężczyzn, tworząc ze strużek krwi czarne i lepkie plamy. Obserwował nieruchome twarze i prawie identyczne ubrania na obydwu ciałach, piaskowego koloru ubiory traperskie, jasne sztruksowe spodnie pilota, brudne bawełniane spodnie drugiego mężczyzny. Więc nie wojskowi. Pochylił się do przodu i zatrzymał z wahaniem rękę nad ubraniem drugiego pilota. Muchy podleciały do niego sprawdzając pot na jego czole i pod pachami. Wiele

lat minęło od czasu, gdy widział jakiegokolwiek martwe ciała oprócz przypadkowych kłusowników słoni zabitych przez patrol. Przełykając ślinę przeszukał kieszenie. Wyczuł małe zgrubienie w tylnej kieszeni drugiego pilota. Uniósł ciało, machając rękami, aby utrzymać muchy na odległość, i wyciągnął pognieciony, pozbawiony kształtu skórzany portfel. Potem, z muchami i zapachem krwi powoli doprowadzającym go do mdłości, przeszukał ciało pilota. Nic. Dziwne, ale nic nie znalazł, żadnego dowodu tożsamości.

Odganiając ponownie muchy, zatrzasnął za sobą drzwi kokpitu. Jeżeli zegar na tablicy kontrolnej zatrzymał się w chwili uderzenia, to znaczyło, że dakota rozbiła się niecałe czterdzieści minut temu. Muchy towarzyszące mu powoli odleciały. W ładowni było teraz goręcej. Nic na tablicy kontrolnej nie wyjaśniało przyczyny katastrofy. Suchy wiatr wzmógł się i naniósł kurzu przez otwarte drzwi kabiny.

Ukląkł na podłodze ładowni obok pakunku oznakowanego w języku angielskim. Nazwa i znak firmowy były zamazane czarną farbą. W świetle padającym przez otwarte drzwi otworzył portfel. Waluta z Namibii, kilka randów w banknotach o niskim nominale. Jakieś zdjęcie i złożona legitymacja. Na zdjęciu była młoda kobieta trzymająca na ręku dziecko, a za nią rozciągała się ogromna przestrzeń jakiegoś miejskiego placu. Odwrócił zdjęcie. Imię kobiety, dziecka i nazwa miejsca oraz data, wszystko zapisane ozdobnym pismem. Jak zauważył, wieże kościelne za plecami kobiety zakończone były zwieńczeniami w kształcie cebuli. Nowogród, 1989 rok. Zdjęcie zadrzało w jego dłoni. Legitymacja była czerwona. Wewnątrz zdjęcie pilota i jego nazwisko takie samo jak kobiety. Rodzaj paszportu lub legitymacji. Znał rosyjski. Widział tego rodzaju rzeczy już wcześniej. Była to legitymacja KGB.

Opis na najbliższej paczce był wystarczająco czytelny, aby można go było odczytać.

REID ELECTRONICS GROUP, PLC. UNITED KINGDOM.

Jego oczy patrzyły to na zdjęcie, to na legitymację i ładunek – zdjęcie, legitymacja, paczki...

Pilot prawdopodobnie ukrywał swoją tożsamość. Czy był z Republiki Południowej Afryki? Rosjanin nie chciał zostawić swojego portfela lub zdjęcia żony, czy też swej oficjalnej tożsamości. *Nowogród, 1989 Reid Electronics, United Kingdom*. Podniósł się ciężko i szybko wepchnął legitymację i zdjęcie

do portfela, a portfel do swej tylnej kieszeni. Przez moment ogarnęła go chęć ucieczki z ładowni, ucieczki z tego miejsca; powoli jednak wrócił mu dawny instynkt, jak gdyby jego obecna osobowość została zepchnięta przez inną należącą do młodszej, wyszkolonej osoby, jaką kiedyś był. Znów się poccił i słyszał bicie swego serca w ciszy ładowni.

Stopniowo uspokoił się, głęboko oddychając. Ładunek został rozsypany przez uderzenie i zniszczony. Zawierał telewizory, jak mówiły opisy ładunku. Kolorowe telewizory. W innych paczkach były kuchenki mikrofalowe, w jeszcze innych przenośny sprzęt hi-fi... śmiesznym było doszukiwanie się w tym jakiejś zagadki. Spojrzał na drzwi kokpitu. Obstawia KGB dla kuchni mikrofalowych i telewizorów? Odciągnął długi drewniany kawałek drewnianej skrzyni, potem drugi, odkrywając...

To nie były telewizory. Co to było, nie miał pewności. Zerwał toporek z tablicy z narzędziami na kadłubie i rąbał zapamiętałe. Drzewo rozpryskiwało się, leciały drzazgi.

Wewnątrz były kulki polietylenu i polistyrenu zabezpieczające zawartość, która, gdy rozbił jedno pudło, rozczarowała go.

Tranzystorowe podzespoły, małe klawiatury jak od komputerów. W innej paczce – coś w rodzaju urządzeń nadawczo-odbiorczych. Na opakowaniu dostrzegł napis INFRA-RED. Jego młodsze „ja” przynagliło go do zabrania paczek opakowanych w polietylen z bąbelkami powietrza i kartonowych opakowań. Nie wiedział, co zawierały, wiedział jedynie, że są... dowodem. Lub czymś kompromitującym.

Temperatura w ładowni dakoty stawała się nie do wytrzymania. Jego pięćdziesięcioletnie doświadczenie mówiło mu, że przecież jest to po prostu rozbity stary samolot z cywilnym ładunkiem, ale pamiętał o rosyjskim portfelu w swojej tylnej kieszeni. Śmieszne – mówił sobie, niosąc paczki do land rovera, lekko oszołomiony tym szybkim przejściem z ładowni na czerwona w ziemię. Wrzucił je do bagażnika pojazdu i poczuł zawrót głowy. Gorąco. Na niebie krążył orzeł, ale poza tym było puste. Będą szukali samolotu.

Wrócił do dakoty i wszedł z dużym wysiłkiem do ładowni. Ruszył w stronę drzwi do kokpitu, zawahał się, ale otworzył je i wkroczył w chmurę much. Przeszukał kieszenie na drzwiach, schowki nad ciałami mężczyzn, półkę pod tablicą kontrolną – nic nie znalazł. Żadnych planów lotu, nic. Kolejny dowód.

Spojrzał na Rosjanina, instynktownie obwiniając go o swój strach. Odgonił muchy, potem wyszedł z kokpitu i ponownie wyskoczył na piasek, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że zostawia wiele odcisków butów, śladów opon land rovera prowadzących prosto do dakoty. Uderzył się w czoło, nie wiedząc, co począć.

Niedługo tu będą. Czarna kropka na niebie to wciąż był orzeł lub sęp, a nie zbliżający się samolot czy helikopter. Oficer KGB jako drugi pilot cywilnego samolotu przewożącego ładunek bez planu lotu. Nie miał pojęcia, co to wszystko może znaczyć, chociaż wiedział, że jest przestraszony, przerażony swym odkryciem. Potrzęsnał głową jak ranny byk.

Suchy wiatr uderzał tumanami kurzu w bok land rovera. Wiedział, że chociaż miał chęć uciec, musi zostać, ukryć pojazd, znaleźć dobre miejsce i zmusić się do czekania. Niedługo... będą rozpaczliwie poszukiwać tego, co było w dakocie. A on musi się dowiedzieć, kto przyjedzie na poszukiwania. Wysoko rozwinięta technika przewożona jako telewizory i kuchenki mikrofalowe. Dziwne i zastanawiające. Kamuflaż. Oficer KGB w Namibii zmarły w kokpicie starej dakoty...

Wciągnął głęboko powietrze.

Bezbarwne niebo drgało od gorąca jak kawałek materiału poruszany wiatrem. Zatrzeć ślady pojazdu oraz własne odciski butów i ukryć się. Nie, najpierw wrócić, powiesić z powrotem toporek i oczyścić ostrze z resztek drzewa. Zniszczyć pudła i pakunki, aby wydawało się, że zostały rozbite podczas katastrofy. Potem trzeba się ukryć.

– Siadaj, Godwin.

Okna wielkich biur sir Clive'a Orrella, dyrektora generalnego SIS* wychodziły na rzekę, i zawsze wydawało się, że kiedy zaczynał mówić w swój zwykły, powolny, autorytatywny sposób, specjalnie odwracał się od pałacu Westminster. Biura wyglądały jak orle gniazda. Boże, zaczynam się wyrażać w stylu Duncana Campbella czy „The Guardian” – pomyślał sobie. Z drugiej strony Hyde nazwał kiedyś to miejsce Berchtergarten nad Tamizą, a zaraz potem Orrell przejął tę rezydencję jako dyrektor generalny.

* SIS – Secret Intelligence Service – tajna służba wywiadowcza [przyp. tłum.].

Orrell wskazał krzesło stojące przed swoim masywnym mahoniowym biurkiem, a potem powędrował do okna. Gołąb patrzył w porannym świetle bardziej błagalnie niż zwykle. Prawdopodobnie był przyzwyczajony do braku współczucia u Orrella. *Wiem, jak się musisz czuć, synu.* Aubrey przydzielił ich z powrotem do służb śledczych i pod kontrolę Orrella, gdy poszedł na urlop; ale Aubrey stracił wszelkie zainteresowanie śledztwem, kiedy nie byli w stanie znaleźć czegokolwiek podejrzanego w lutym, gdy ścigali Reid Group jak łowcy głów. Orrell także był bliski utraty wszelkiego zainteresowania, jakie kiedykolwiek okazywał. Koniec pieśni, koniec sezonu.

– Dziękuję, sir – wymamrotał grzecznie. Orrell lubił, gdy mu okazywano szacunek.

Godwin spostrzegł swój raport dla Orrella na biurku razem z raportem z Grosvenor Square z symbolem CIA w rogu. Nie był to widok obiecujący.

Postawił swe kule za fotelem i usadowił się w nim przy trzeszczącym proteście materiału. Był skórzany, podobnie jak meble w całym biurze, takie, jakie Orrell widział kiedyś na filmie o Whitehall i zwrócił szczególną uwagę jedynie na pokazywane tam wyposażenie i meble.

– Chciał mnie pan widzieć, sir?

Orrell widocznie zirytowany natrętnym gołębiem odwrócił się od okna i podszedł do biurka.

– Tak, Godwin, po prostu, aby panu odpowiedzieć, że mam – poklepał plik papierów na biurku – cały raport z Grosvenor Square dotyczący samobójstwa tego Shapiro, i na podstawie tego raportu zamierzam... rozwiązać pański oddział.

Nie patrząc nawet na Godwina, podniósł rękę, aby powstrzymać komentarz, i przyglądał się ścianie za swoim biurkiem, gdzie monarcha na portrecie patrzył raczej ponuro i z widoczną dezaprobatą na sztych po swojej prawej stronie, przedstawiający kompozycję składającą się z bażantów i owoców.

– To jest moja decyzja, Godwin, i niełatwo przyszło mi ją podjąć.

Zatrzymał się znowu przy oknie. Gołąb uparcie dziobał w szybę, trochę przestraszony, kiedy nagle pojawiła się przed nim masywna postać Orrella w ciemnym ubraniu.

– Sądzę, że zbadał pan tę sprawę tak dalece, jak to było możliwe, z całą uwagą i dociekliwością, oczywiście.

Godwin pomyślał o Shelleyu, do którego Aubrey go początkowo wysłał razem z Hyde'em i Chambersem. Shelley bezpośrednio po tym został przeniesiony na eksponowane stanowisko w europejskich służbach bezpieczeństwa w Berlinie. Orrell, uważający Shelleya za kolegę Aubreya, uniknął kłopotów, wysyłając Shelleya z powrotem do Europy. Potem było pewne, że wiatr sceptycyzmu – lub słaby wiaterek wywołany przez wszystkich emerytowanych pracowników i odznaczonych Wielkim Krzyżem Orderu Św. Michała i Św. Jerzego – powieje w SIS.

Orrell był nadzorcą – lub też raczej kimś, kto unikał nadzoru, zależy, jak się na to patrzyło – kimś w rodzaju gentlemena oczekującego, aż sekretarz Gabinetu zadecyduje, jaki będzie przyszły kształt i cel służb specjalnych. Jednak Jankeśi lubili tego pompacyjnego starego piernika. Był nawet głupszy od ich własnego dyrektora.

– Rozumiem, sir, ee... czytał pan mój raport na temat śmierci pana Kelletta, naszego informatora w...

– Pracownika, którego przekupiliście. Nie wyszło to na dobre – krzyknął Orrell. – Narkomana o absurdalnie wysokich wydatkach! Zmarnowaliście tysiące funtów z funduszków służby na tego bezwartościowego małego człowieka, po to tylko, aby przedawkował!

– Tak jest, sir.

To nie miało sensu, tak jak przypuszczał. Orrell nie czułby się wstrząśnięty ani zaskoczony, nawet gdyby dostał między oczy grabiami, na które by w roz-targnieniu nadepnął. Zgasił pojawiający się na swej twarzy uśmiech.

– Musi pan przyjąć do wiadomości, Godwin, że ta pańska zgubna i źle pomyślana wyprawa krzyżowa przeciwko Reid Electronics Group i stowarzyszonym z nią organizacjom zostaje teraz zatrzymana. Nie ma już na to środków. Ten Shapiro został bez wątpienia doprowadzony do samobójstwa przez twarde metody Amerykanów, które, jak się zdaje, tak bardzo się panu podobają. Tak więc mamy jedno samobójstwo, jedno przedawkowanie i pańskie niczym nie uzasadnione podejrzenie, że Rosjanie muszą nad czymś pracować, gdyż mordują połowę populacji stolicy! – ozdobna retoryka, którą się popisował, wydawała się sprawiać mu ogromną przyjemność.

– Nie, sir...

Orrell odwrócił się do niego twarzą.

– W CIA przyznają, że stanęli w martwym punkcie, Godwin, a pan nie. Dlaczego, proszę powiedzieć?

Zaskakując siebie i Orrella, Godwin wyjęczał:

– Przepraszam sir, źle spałem.

Orrell skinął głową, na znak, że uznaje tę fikcję.

– Rozmawiałem z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i Departamentem Stanu i doszedłem do wniosku, że nie mam wyboru i muszę powstrzymać marnowanie funduszy naszego wydziału na tę operację. Ta decyzja nabiera ważności od tej chwili.

– Sir – zaprotestował Godwin.

To był ton, na który Orrell chyba właśnie czekał i od razu wybuchnął.

– Wyczerpał pan cierpliwość Kennetha Aubreya i prawdopodobnie zrujnował jego zdrowie, a teraz wygląda na to, że jest pan zdecydowany wykończyć mnie! Godwin, ta sprawa staje się pańską obsesją. Grupa Malana wycofała się z Reid całkowicie. Nie ma już, powtarzam, *nie ma* związku, nawet najmniejszego pomiędzy Rosjanami a Reid Group. Pańskie teorie stają się bardziej dziwaczne, kiedy konfrontuje się je z faktami. Teraz mamy jeszcze dwa tak zwane morderstwa w jednym dniu na podtrzymanie tej pańskiej farsy! Nie ma mowy, Godwin, to już dłużej nie zadziała.

Machnął ręką w stronę Godwina.

– To wszystko, co miałem do powiedzenia. Należy się panu kilka dni wolnego – proponuję, by je pan wykorzystał i zgłosił się do dowództwa swojej sekcji na początku przyszłego tygodnia. Doceniam pański zapał i boleję nad brakiem racjonalności. Do widzenia, Godwin.

– Do widzenia, sir.

Wziął swoje kule i przeszedł przez całe akry dywanu w kierunku wyjścia. Gołąb właśnie odleciał. Prawdopodobnie był świadkiem, jak Orrell ćwiczył rozprawienie się z Godwinem przed jego przyjściem. Godwin usłyszał, jak Orrell wcisnął się w swój skórzany fotel, a potem szelest papierów wpychanych do jednej z szuflad. Koniec opowieści. Ostatnie sześć miesięcy jego pracy. Chryste, czy rzeczywiście łatwiej było uwierzyć, że ludzie z KGB nagle stali się grzeczniejsi i przyzwoitsi niż mormoni?

Uniknął kontaktu wzrokowego z sekretarką Orrella i młodym asystentem, który pochylał się nad biurkiem. Jego długie włosy opadały na krawat z reklamą klubu rugby. Więcej filarów ataku w SIS niż na tournée British Lions, twierdził Hyde. Tych wszystkich graczy rugby przyjmowali całymi pęczkami. Lady Orrell najwyraźniej jeszcze nie sprawdziła nowej sekretarki, która była niezła, klasycznej urody. Głupia, oczywiście, jak każda po szwajcarskiej szkole.

Doszedł do windy na korytarzu, zanim na jego twarzy pojawiła się złość. Zauważył, że się poci. Krawat dusił go, a koszula ścisnęła jak zbroja.

Poddać się? Pieprzyć cię, sir!

Rozdział drugi

WYSPA JEST PEŁNA PLOTEK

Słońce było teraz wysoko, nie świeciło już tym czerwonym blaskiem jak podczas wschodu, gdy natknął się na DC-3. W oddali unosił się kurz, sprawiając złudzenie, jakby widać było na horyzoncie góry. Znajdujące się bliżej zebry, gazy i inne dzikie zwierzęta wyglądały jak poruszające się punkciki; mniej realne niż rozbity samolot i małe postacie poruszające się wokół niego.

Anderson siedząc na gałęzi akacji patrzył w dół, po raz kolejny czyszcząc szkła w lornetce. Rozpoznał ich dowódcę, ale chciał się jeszcze upewnić...

Przez lornetkę ujrzał wyraźnie twarz mężczyzny, pokrytą do połowy cieniem rzucanym przez lewe skrzydło wraku. Szeroka kwadratowa twarz, dokładnie wygolona; miał około czterdziestu lat. Ciemne okulary skrywały jego oczy. Gruba szyja i szerokie ramiona. Wyglądał jakby był pewien niezawodności swego ciała, chociaż pozostawał rozluźniony i nieruchomy. Usta i szczęki wyrażały tę samą pewność.

To był Blantyre. Pułkownik Robin Blantyre, były członek rodezyjskiego Selous Scout, były członek południowoafrykańskiego Komando Zwiadowczego. Obecnie był pracownikiem Malan-Labuschagne, które kontrolowało teren Walvis Bay wraz z jej handlem i wydobywaniem minerałów, oraz zwykłym weteranem, który został w niepodległej Namibii, ponieważ pokochał spokój buszu i przewodzenie oddziałem antyklusowniczym stworzonym z takich samych weteranów. Był ponadto uczestnikiem dwóch tuzinów wypadów do Angoli, Mozambiku, Zimbabwe i Zambii; charyzmatyczny, uwielbiany, odznaczany medalami, niebezpieczny Robin Blantyre.

Rozpoznanie tej osoby wstrząsnęło Andersonem siedzącym na szczycie akacji w swym ukryciu, jakby nagły silny wiatr przeniknął przez gałęzie i

skrywające go liście. Obecność Blantyre'a w tym miejscu była poważnym wydarzeniem i stanowiła niebezpieczeństwo. Przyjechał na miejsce katastrofy w odpowiedzi na sygnał samolotu patrolowego, który przeleciał pół godziny po tym, jak Anderson ukrył land rovera. Znajdował się w wyschniętym zagłębieniu wodnym pośród sztywnej trawy, wyższej od niego. Skrzynia, którą rozbił, leżała na piasku, gdzie została przez nich wyrzucona z ładowni razem z innymi zniszczonymi pudłami, z których także zabrał dowody. Dowody czego? Nowogród 1989 i legitymacja KGB...

Anderson zadrżał. Blantyre znał go, prawdopodobnie wiedział, kim był kiedyś. Pomyślał, że nie uwierzą, iż jest... zamiłowanym przyrodnikiem. Obserwował zwierzęta z akacji. Brzmi dobrze i niewinnie. Podniósł szybko lornetkę, a Blantyre wydawał się patrzeć ponad piaskiem i małymi wydmowymi pagórkami w kierunku jego drzewa. Narastający niepokój podczas godzin, jakie spędził czekając samotnie w buszu, zamienił się teraz w paraliżujący strach. Blantyre zabił więcej ludzi niż on; na wiele różnych sposobów. Nagle, pod drzewem akacji położył się na drzemkę leopard, odcinając wszelką drogę ucieczki.

Dwa amerykańskie wozy patrolowe XR 311 zaparkowane były niedaleko wraku, w cieniu, a lufy karabinów na nich zamocowanych skierowane były w niebo, jak przy salucie. Blantyre zwracał się do czterech swoich ludzi, machał rękami, przerywał na chwilę i wskazywał na otaczający krajobraz. Mieli właśnie przeczesać teren w poszukiwaniu śladów. Blantyre wiedział – był o tym przekonany – że ktoś odwiedził wrak i włamał się do skrzyń i pudeł. Jego jedynym problemem było odgadnięcie, czy zniszczenie było przypadkowe, czy celowe. Zareagowali szybko i fachowo, nie na sam wrak, ale na włamanie do ładunku. Mieli instynkt jak dzikie zwierzęta.

Cofnął się i oparł o pień drzewa stawiając pewnie nogi na dwóch szerokich gałęziach. Nie mogą go zobaczyć, nie mogą... Wdychał i wydychał powietrze powoli, rytmicznie. Słaby wiaterek poruszył ciemnymi liśćmi. Pięciu mężczyzn, którzy przyjechali piętnaście minut temu, było komandosami należącymi bez wątpienia do Sił Obrony Afryki Południowej. Łyknął wodę z plastikowej butelki. Ciepła. Teleobiektyw jego aparatu spoczywał na zgięciu ręki, a aparat oparty miał na biodrze. Pomimo narastającego gdzieś w mózgu krzyku,

kiedy to robił, sfotografował wewnątrz dakoty, zanim usunął ślady swoich butów i samochodu.

Zostawił ciemniejszą mieszaninę czerwonego piasku. Nic dokładnie na to nie wskazywało, ale tak czy inaczej istniały ślady pewnego rodzaju włamania. Skrzynia i pudła były ukryte w bagażniku land rovera, a teraz miał Blantyre'a i pozostałych uwiecznionych na filmie. Miał także zdjęcie Rosjanina i jego legitymację. Nie było nic więcej. Mógł odjechać.

Spojrzał w dół na pień drzewa. Trawa i piasek miały kolor nakrapianego futra leoparda lub geparda, ale on nie czuł się zdenerwowany. Mógł teraz zeskończyć, wrócić do swego pojazdu, uruchomić silnik, ruszyć na północ w kierunku Etoshy. Do domu. Skontaktować się z kimś... z kimkolwiek.

Oddział rozpięchł się z szybkością kamieni spadających w lawinie. Czterech mężczyzn wsiadło, po dwóch, do samochodów. Zapalili silniki, opuścili karabiny maszynowe i rozjechali się w rosnącej chmurze kurzu w różnych kierunkach od dakoty. Teraz musi zostać. Czuł na przemian zimno i gorąco. Dwa samochody patrolowe ruszyły od wraku, przecinając teren jak przemieszczające się owady, wzbijając chmury kurzu. Gdyby teraz próbował użyć land rovera, znaleźliby go. Z trudem podniósł lornetkę. Zebra uciekała przed jednym z samochodów patrolowych, gdy zawracał w kierunku wyschniętego zbiornika wodnego, gdzie był ukryty jego pojazd. Drugi samochód pobudził do ucieczki gazelę.

Zmusił się do ponownego obserwowania DC-3 i uchwycił Blantyre'a siedzącego w cieniu lewego skrzydła. Dym papierosa wisiał w powietrzu. Blantyre kazał im odnaleźć jakiegokolwiek ślady intruza. Suchy zbiornik wody był wygodnym centralnym punktem. Anderson usłyszał daleki, podobny do bzyczenia komara, dźwięk silnika samolotu nadlatującego z zachodu. Wypadki zaskoczyły go i zdał sobie sprawę, przeklinając głupotę swego młodszego „ja”, z własnej bezmyślności, która zmusiła go do pozostania w tym miejscu. Kurz podniósł się spod kół podobnego do zwierzęcia samochodu, zbliżającego się do niego. Za trawą widać było zarys szarej wielkiej sylwetki słonia.

Patrząc przez lornetkę upewnił się, że samochód patrolowy się zatrzymał i wysiadło z niego dwóch pasażerów. Wciąż niewidoczny samolot grzmiał coraz wyraźniej. Anderson poruszał się szybciej niż ktokolwiek z nich, gdy zjeżdżał

na dół po gałęziach drzewa, jak mała małpka. Potem zeskoczył ostatnie kilka metrów na ziemię z najniższej gałęzi. Wstrzymał na moment oddech i stał niczym przygotowany do biegu sprinter, oparty na palcach z uniesionymi stopami. Lornetka i kamera dyndały na paskach zwisających z jego szyi.

Potem spokojnie wstał. Dakota była niewidoczna, zasłonięta małym wzniesieniem. Zaczął iść w ich kierunku.

Przyrodnik, przyrodnik, przyrodnik – to aby wyjaśnić posiadanie kamery i lornetki. Blantyre znał go, uważał za ekscentryka, prawie że gardził nim jako *royneekiem**. Żył przecież – ożenił się – z Namibijką, kolorową.

* W języku afrikaans wulgarnie określenie Anglika [przyp. tłum.].

Dotarł do brzegów wydmy okalającej wyschnięty zbiornik i odnalazł ich, jak sprawdzali land rovera, zaglądali do pojemnika na ubrania i do kieszeni na drzewiach. Jeden z nich rozkładał mapę, jak gdyby chciał wytrząsnąć z niej piasek i potem sprawdzał, czy nie ma na niej jakichś znaków, zakreśleń i kierunków.

Stał na brzegu przez chwilę ich obserwując, uspokajając się, czując pot pod pachami i nad brwiami. Potem zaczął iść ostrożnie w dół, drogę przebiegła mu jaszczurka wywołując małą lawinę piasku. Jeden z nich, kapral, sądząc po ubraniu wojskowym, jakie wciąż miał na sobie, odwrócił się słysząc go.

Spojrzeni na niego uważnie, żaden z nich nie wyciągnął pistoletu, potem kapral zdjął poplamiony kapelusz, ukazując pas białej skóry, niczym bandaż, pomiędzy świeżą opalenizną i ciemnymi włosami. Z jego twarzy zniknęło napięcie i podejrzliwość. Biały facet w średnim wieku, jakich wielu w buszu. Tak chyba pomyślał. Potem powiedział:

– Widziałeś, jak przyjechaliśmy? Słyszałeś nas, człowieku? – miał afrykański akcent. Bez wątplenia kapral był członkiem Sił Obrony Afryki Południowej – może wciąż jest. Kto wie, co robią południowi Afrykańczycy w Namibii? Z pewnością Malan-Labuschagne Consolidated, wciąż działająca w tej wydzielonej strefie wzdłuż nadbrzeża od Walvis Bay do Oranjemund, wykorzystywała jedynie byłych lub obecnych członków Sił Obrony.

– Hej, człowieku. Co tu robisz? Widziałeś wypadek?

Potrząsnął głową:

– To musiało się stać przed świtem. Widziałem wrak, ale jedynie przez lornetkę – poklepał lornetkę na swoich piersiach. – Miałem zamiar...

Wyglądało, jakby nie dotarło do nich jego dobrze przemyślane alibi, ton jego głosu, jego niewinność.

– Byłeś tu w czasie wypadku, człowieku? Byłeś tam może, żeby się rozejrzeć? – nalegał kapral, drapiąc się po brodzie, a jego oczy patrzyły uważnie pośród zmarszczek. Była w nich bystrość i przebiegłość, związana z doświadczeniem.

– Dlaczego jesteś tu, człowieku, a nie na drodze?

– Jesteście patrolem antyklusowniczym? – zapytał Anderson najniewinniej, jak tylko mógł, uspokajając lekkie drżenie w lewej nodze.

– Może. A co z tobą?

– Jak widzicie, obserwuję dzikie zwierzęta – wskazał na swój aparat wciąż zwisający na piersiach. – Robię zdjęcia. Zdaje się, że zepsuliście mi całą zabawę – był świadom angielskości swego języka i składni; jeszcze jedno, co mogło ich zmylić.

– Naprawdę? Szkoda, człowieku – skomentował drugi żołnierz. Kapral skinął głową przysłaniając oczy kapeluszem.

Drugi żołnierz wskoczył na powrót do samochodu patrolowego i wybijał palcami na kierownicy jakiś rytm. Może była to po prostu oznaka niecierpliwości. Małe stado zebr pasło się pod drzewami, kilkaset metrów od tego miejsca. Anderson spróbował skoncentrować się na nich, powoli podnosząc lornetkę. Samolot zataczając szerokie koło był teraz widoczny. Podniósł głowę i spytał:

– Was szukają?

– Ciekawy? Co tu robisz, człowieku? Poza zdjęciami. Skąd jesteś, z Anglii?

– Okaukuejo w Etoshy. Prowadzę tam hotel dla myśliwych.

– Jak się nazywałeś?

– Anderson, Richard Anderson.

Kapral milczał przez chwilę i skinął głową.

– Słyszałem to nazwisko. Jesteś z Johannesburga, mieszkałeś tam kilka lat temu?

Wiatr schłodził schnącą koszulę Andersona.

– Zgadza się. A ty też jesteś z Transvaal, sądząc po brzmieniu twojego głosu.

– Może. Nasz pułkownik – jest teraz przy wraku – chciałby z tobą porozmawiać. Z każdym, kogo spotkamy, powiedział.

– Macie jeszcze dowódcę? A skąd pochodzi? – silenie się na normalność, wysiłki, aby udawać białego tak samo jak niewinnego, były wyczerpujące; musiał znów przenieść się myślami do Południowo-Zachodniej Afryki, zapominając o niedawno zdobytej niepodległości Namibii. Ci ludzie nie byli w stanie przyjąć tej zmiany do wiadomości. I byli przekonani, że musiał odwiedzić miejsce wypadku. – Nie szkodzi. Mam czas. Porozmawiam z waszym pułkownikiem, chociaż nic nie widziałem, nawet nie byłem koło wraku. Zobaczyłem go jedynie przez lornetkę kilka minut temu...

– No człowieku, pułkownik cię nie pogryzie! – powiedział żartobliwie kapral. Jego podejrzliwość ustąpiła przed niewinnością Andersona, jego bezpiecznym średnim wiekiem.

– Chodźmy więc.

Kapral rzucił okiem na krążący i opadający malutki dwusilnikowy samolot pasażerski. Anderson także obserwował, jak się obniżał i wydawał się podchodzić do lądowania. Podniósł się dym, prawdopodobnie flara wskazująca kierunek wiatru z miejsca, gdzie leżała dakota. Kapral wskoczył obok kierowcy do samochodu patrolowego i dał znak Andersonowi, aby zapalił silnik land rovera. Samolot opadł za wydmy, znikając z pola widzenia. Przyleciał zabrać ładunek i dwa ciała. Włączył silnik czując, że się poci. Ciemne plamy pokrywały jego koszulę. Dłonie ślizgały się, gdy trzymał kierownicę. Jechał wolno za samochodem patrolowym, wydostając się powoli z zagłębienia po zbiorniku wodnym. Za szczytem skręcił na lewo, aby uniknąć kurzu, jaki wyrzucał w powietrze samochód patrolowy swymi szerokimi oponami. Karabin maszynowy na samochodzie hipnotyzował, mimo że skierowany był w stronę pustego nieba.

Akacja wyrastała ponad buszem jak oskarżenie. Nie powinien był zostawać. Zdawało się, że nie przeszukali land rovera, ale to, co zabrał, było ukryte w pudełku na narzędzia, no i film w aparacie zdradzał wszystko... Przecież nie mogą go wywołać tutaj, ty cholerny idioto! – powiedział do siebie. Kapral nie wydawał się zbyt rozgarnięty. Wiedział jedynie, kim jest i kim ostatnio był, nie wnikając w dalszą przeszłość.

Land rover przeskoczył przez wzniesienie w kierunku dakoty. Dwa ciała leżały niedaleko stóp Blantyre'a w cieniu, jak ostrzeżenie. Mały samolot zatrzymał

się, a kurz spowodowany lądowaniem powoli opadał. Miał na sobie cywilne oznaczenia. Na bokach zaniepokojony Anderson odczytał skrót MLC. Samolot przyleciał z Walvis Bay. Próbował wywołać na swej twarzy wyraz zażenowania i zakłopotania. Blantyre wstał i trzymając ręce na biodrach uważnie obserwował zbliżającego się land rovera. Stał obok otwartych drzwi ładowni DC-3, jak gdyby przedstawiał przestępcy dowody zbrodni. Anderson zatrzymał się obok Rodezyjczyka.

– Co to jest, kapralu Uys? Gdzie znaleźliście tego człowieka? – jego głos był ostry, ale mimo to spokojny.

Uys skinął głową, gdy wyskoczył z samochodu patrolowego.

– W suchym zbiorniku wodnym, pułkowniku – Uys przysunął się do Blantyre'a i zaczął mówić szybko w afrikaans. Pod badawczym wzrokiem Blantyre'a Anderson zrobił minę, jakby nic nie rozumiał i przejawiał uprzejme zainteresowanie. Poczul, że robi mu się jeszcze bardziej gorąco, busz wydawał mu się mniejszy od kabiny czy celi, powietrze duszne i przytłaczające.

Gdy Uys przestał mówić, Blantyre skinął głową i podszedł do land rovera wyciągając wielką rękę i uśmiechając się rozbijając, zdjawszy przedtem ciemne okulary. Oczy mrużył od słońca.

– Dzień dobry, pułkowniku – przywitał go Anderson przyjmując ciężką rękę mężczyzny. Tam, gdzie jego ręka spoczywała na szortach, była plama z potu.

– Pan Anderson. Jest pan daleko od Etoshy, to daleko na południu – Blantyre znów położył swe ręce na biodrach kontynuując obserwację, jak drapieżny ptak przeszukujący cienie i słabe kryjówki.

– Wracam z podróży do Windhoek. Wyjechałem rano, a jak sądzę, to musiało się stać przed świtem. Nie widziałem żadnych śladów, nic nie słyszałem. Przykro mi, że nie mogę w niczym pomóc.

– Uys powiedział, że obserwuje pan zwierzęta.

– Tak.

– Słyszałem, że to ostatnio pana zajmuje, panie Anderson. Nie lubi pan ludzi, czy co?

Wzruszył ramionami. W głosie Blantyre'a była nuta pogardy; cuchnący oddech arogancji i braku wrażliwości. Pomogło to zwolnić bicie jego serca i wyschnąć potowi.

– Nie, nie wszystkich. Prawdopodobnie nie miałem szczęścia do tych, z którymi musiałem mieć do czynienia.

Mały samolot był jedną z przeróbek Riley'a na modelu cessny, faworyzowany przez lata, gdy Siły Obrony Południowej Afryki zaangażowały się w ochronę granic czy strzeżenie ich przed przekraczającymi je bojownikami Frelimo lub SWAPO. Bliźniacze silniki Avro Lycoming i udoskonalone urządzenia sterownicze. Coś go zmuszało do pytań, pomimo napięcia, nie, strachu, odczuwanego przy spotkaniu z Blantyre'm.

– Co spowodowało wypadek? Kim oni są?

– Jeden z naszych regularnych samolotów dostawczych dostrzegł wrak z powietrza. Musieli, jak pan powiedział, rozbić się przed świtem. Żadnego wezwania awaryjnego, nic – wskazał ciała. – Zostali zabici podczas upadku. Lecieli pewnie do Windhoek. Musimy to teraz ustalić – spojrzął na swój zegarek. – Spotkanie z prasą, panie Anderson. Dobrze, że MLC zabierze samolotem ciała.

– Pracuje pan, pułkowniku, teraz dla MLC? To chyba dla pana zbyt nudne...

– Czasami – Blantyre był podejrzliwy, ale nie odpychający w swym pogardliwym ostrym tonie. Facet lubił być uważany za bohatera; sam też tak prawdopodobnie o sobie myślał. – Pan pewnie wie, jak to jest, panie Anderson, to znaczy mam na myśli, nawet po przeżyciach takich jak pańskie?

Uśmiechnął się, potrząsając głową.

– To było tak dawno temu. Zapomniałem...

– Dlaczego pan nie wyjdzie, panie Anderson? Zaczyna mnie boleć szyja od patrzenia na pana w górę – słyszał śmiech Uysa, gdy powoli wychodził z land rovera. – O, teraz lepiej.

Byli prawie tego samego wzrostu. Jakby patrzył na swoją starą fotografię.

Dotyk ręki Blantyre'a był chłodny, delikatny. Odprowadził go od miejsca, gdzie pilot cessny i dwóch innych mężczyzn pracowali cicho i metodycznie bez żadnych poleceń, wylądowując ładunek z dakoty. Blantyre uśmiechał się zrelaksowany. Uys zaczął mówić w afrikaans i Anderson musiał uważać, by nie zareagować na brzmienie swojego nazwiska i obraźliwy opis dokonany przez kaprała. *Stary royeek, bździna, żonaty z kobietą Bantu, mieszka na północy jak pieprzony pustelnik.* Obligatoryjne opluwanie przez odpowiednie modulowanie głosu i pogardliwe nazwy.

– Pan mnie zna, panie Anderson, i ja znam pana. Pracował pan jako prawnik w Johannesburgu kilka lat temu. Nie było pana tutaj przed... wyborami. Słyszałem, że jest pan żonaty?

– Tak jest. Ona jest w połowie Niemką i w połowie Herero, a na imię ma Margarethe. Jestem bardzo szczęśliwy. Oczywiście mógłbym mieszkać z nią wciąż w Republice Południowej Afryki, ale nie mam zamiaru tam wracać.

– Dlaczego nie? Pali pan?

Anderson potrząsnął głową.

Blantyre wyjął amerykańską zapalniczkę, jej przykrywka otworzyła się głośno, a płomień zapachniał benzyną, a nie gazem. Na podrapanym boku widniała reklama piwa. – Znalazłem ją wiele lat temu. Jej poprzedni użytkownik już jej nie potrzebował. Więc dlaczego nie chce pan wracać?

– Ludzie. Wolę być tutaj, jak sam pan odgadł.

– Czy pana liberalni przyjaciele nie tęsknią za panem? Nie wspominając tych wszystkich Bantu, którzy byli na pańskiej liście klientów... no więc, człowieku?

– Oni wszyscy płacili, pułkowniku – odwrócił głowę od badawczego wzroku Blantyre'a w stronę XR 311, który załadowany paczkami i pudłami wzniecał za sobą kurtynę kurzu, zdążając w kierunku cessny. Dym z papierosa Blantyre'a drażnił go.

– Wielu pańskich liberalnych przyjaciół lubiło, jak słyszałem, brać się za te czarne laleczki? Bronił pan kilku z nich.

– Tak. Zanim uchwalili te głupie prawa i Akt Niemoralności.

– Bronił pan też białych kobiet, które napaliły się na to, co kafrowie trzymają w swych zasranych portkach?

– Tak. Jednej czy dwóch.

Blantyre śmiał się głośno klepiąc go po ramionach.

– Nic dziwnego, że pan wyjechał, człowieku! Kto by chciał mieć takich przyjaciół? – śmiał się nadal, a potem szybko powiedział. – I skończył pan żeniąc się z Bantu?

Anderson skinął powoli głową:

– Tak. I jestem szczęśliwy, że mogę o tym powiedzieć.

– Bez obrazy, człowieku. Ale kiedy są ludzie tacy jak pan, postępujący wbrew ustalonemu prawu i moralności... eh, koniec cywilizacji! Wielu nie lubiło tam pana.

– Byłem świadomy tego faktu – zdał sobie sprawę, że taki obraz lekko rygorystycznego, raczej wymoczkowatego angielskiego prawnika był dobrą przykrywką.

– Bez obrazy, człowieku.

Stali razem na szczycie wzgórza. Ciała zostały włożone do zapinanych na suwak plastikowych toreb. Wstrząsnął nim dreszcz. Widział ich tak wiele: bojownicy SWAPO, klusownicy kości słoniowej, czarni górnicy zabici pod ziemią w Reef z powodu nieuwagi lub niezastosowania środków ostrożności. Potrząsnął głową i powiedział:

– Lepiej już pojedę. Dotrę do Okaukuejo przed północą lub później, jeśli teraz nie ruszę. Nie potrzebuje mnie pan do niczego, pułkowniku? Przykro mi, że nie mogłem pomóc.

– Nie, człowieku. Możesz jechać. Nie ma potrzeby... aby pan o tym meldował, to znaczy nie musi pan. Wszystkie papierkowe sprawy zostaną załatwione w Walvis Bay, okay?

– Dziękuję. Byłby to kłopot, jeślibym musiał zeznawać w śledztwie, zwłaszcza że nic nie widziałem.

– Oczywiście. Wynajmuje pan obecnie pokoje jakimś turystom?

– Jednemu czy dwóm.

– Wpadnę któregoś dnia na piwo.

– Schłodzę trochę piwa oczekując na pańskie przybycie.

– Więc do zobaczenia, człowieku, wpadnę z wizytą.

– W porządku.

Podeszli do land rover a. Anderson wsiadł. Blantyre zdeptał papierosa i uściśnął jego dłoń. Ze zbliżającego się kurzu można było wywnioskować, że nadjeżdżał drugi samochód patrolowy. Uys obserwował go z lekka pogardliwie. Podejrzenia Blantyre'a osłabły, jeśli w ogóle się ich pozbył.

Anderson uruchomił silnik i odjechał od wraku dakoty wielkim łukiem, starając się wzbić jak najmniej kurzu. Wspiął się na wzniesienie i przejechał przez nie, tracąc natychmiast wrak z pola widzenia. Objechał kępę roślinności i nagle zaczął się trząść; jego usta wypełniła słodka ślina. Jakby miał atak malarii. MLC było powiązane przez Blantyre'a z oficerem KGB i ze skradzioną technologią ze Zjednoczonego Królestwa. Paulus Malan – wiedział o tym – miał z Rosjanami powiązania: złoto i diamenty. Każdy w Republice o tym wiedział. Ale to? Co to znaczyło?

Przeklęte grzebanie we wraku i jeszcze bardziej przeklęta głupota, która spowodowała, że uległ swojemu instynktowi i kręcił się dokoła, tylko po to, aby zobaczyć Blantyre'a, który zagroził wizytą w jego hoteliku. Musi coś zrobić..

...a tym czymś było poinformowanie Aubreya. Nie było innego wyjścia jak zawierzyć swojemu instynktowi i skontaktować się z człowiekiem, który pomógł mu uciec do Afryki Południowej. Dlaczego tak łatwo przyszedł mu na myśl? Aubrey był już stary, ale wciąż wiele mógł. Aubrey, który zaakceptował, a nawet był przy tym obecny, zabicie przez Andersona starego agenta wywiadu – swego własnego szefa. To było po jego powrocie z Wschodnich Niemiec, KGB powyrywało mu paznokcie, jego ciało było wyniszczone, a umysł wypalony. Po ucieczce z więzienia, jego dowódcy zarzucili mu zdradę. Rok 1966. Był młodym człowiekiem. Ludzie Aubreya wykryli kogoś innego, podwójnego agenta. Nigdy nie mógł się zdecydować, czy to był pomysł Aubreya, aby wykryć podwójnego agenta wykorzystując do tego jego osobę. Wyrzucił faceta z okna jego własnego mieszkania na trzecim piętrze pewnej ciemnej nocy w listopadzie – i Aubrey pomógł mu uciec.

Aubrey. Tak, musi to zrobić. Musi wysłać mu spis rzeczy, które wyjął z wraka dakoty.

Busz rozciągał się wokół niego cichy i szeroki, jakby pozbawiony życia. Samotny, dla orła był tylko małą plamką. Musiał przekazać informacje Aubreyowi, a potem będzie mógł zapomnieć o przeszłości i powrócić do teraźniejszości.

– Posłuchaj, nie będzie żadnych fanfar – powiedział ostro Godwin. – Podaj sos hoisin*, dzięki – mówił dalej z ustami pełnymi jedzenia. – Posłuchaj Terry, zrobiłem, co mogłem! Nikt nie chce już tego słuchać, a Patrick jest objęty dyscyplinarnym postępowaniem z powodu wypadków w pubie. Jeżeli posuniemy się dalej, to zrobimy to na własną odpowiedzialność. To jest całkowicie nieoficjalne. Prawdziwy pieprzony bałagan!

* Ciemny, ostry sos używany w kuchni chińskiej, zrobiony ze sfermentowanego ryżu, nasion soi, octu winnego, cukru, soli i chili [przyj. tłum.].

Hyde otworzył kolejną puszkę piwa. Kot Godwina, Dubczek, siedział mu na kolanach, a on do czasu do czasu podawał mu kawałki seczuańskiej wołowiny. Kot wydawał się zadowolony ze sposobu jej przyprawienia.

– Nie wątpię, że byłeś niegrzeczny wobec Orrella przy wszystkich innych sprawach – zauważył Terry Chambers.

– Kto by się mógł temu oprzeć? – odpowiedział Hyde nakładając łyżką ryż z plastikowego pojemnika na swój talerz. – Czy ty zjadłeś te wszystkie pieczone kaczkę, Chambers?

Stół kuchenny Godwina był zaśmiecony pojemnikami z chińskiej jadłodajni podającej jedzenie na wynos, znajdującej się przy następnej ulicy, a mała zabrudzona staroświecka kuchnia była wypełniona zapachem jedzenia. Hyde spojrzął na Godwina.

– No więc? – zapytał. – Co zrobimy? Masz kilka wolnych dni, ja jakoś się wyrwę, a Chambers mógłby pojechać na pogrzeb swojej babci... – uśmiechnął się, jakby szydził z Godwina.

Godwin spojrzął na stół. Pół tuzina pustych puszek piwa i jeszcze tuzin pełnych. Dłuższy czas słyhać był jedynie odgłosy towarzyszące spożywaniu przez nich posiłku i mruczenie kota na kolanach Hyde'a. Ich wspólne oburzenie było prawie pocieszające, uspokajające, charakteryzujące ich jako niewinne ofiary. Godwin otworzył kolejną puszkę piwa dla siebie, potem zaproponował ją Chambersowi, ale ten pokręcił głową i łyknął z puszeki stojącej przed nim, a potem czknął.

– Świnia – wymamrotał Hyde bez złościwości czy irytacji.

– Poradzisz sobie z tym śledztwem? – zapytał Godwin.

Hyde wzruszył ramionami:

– Bóg raczy wiedzieć. Zależy, kto je przygotowuje i kto je będzie prowadził. Może też Orrell uważa, że wesoło będzie załatwić kogoś ze starych współpracowników Aubreya. Kto wie? Nie mam zamiaru się tym zamartwiać.

– To wszystko było cholerną stratą czasu – wymamrotał Chambers.

– Mówiłeś to już wiele, wiele razy, chłopie – powiedział Hyde. Potem spojrzął na Godwina i zapytał:

– Dlaczego nie odwołałeś Darrena ze śledztwa, które prowadzi?

Godwin cofnął się i podniósł głos:

– Skąd wiesz, co on robi?

– W przeciwnym razie powinien tu być, czyż nie? Kogo obserwuje? Malana? – Godwin niechętnie przytaknął. – Tak myślałem.

– Stracisz jaja, Tony, jeżeli ktoś się dowie.

– Wiem o tym, Terry. Posłuchaj, może nie zrelacjonowałem Orrellowi zbyt dobrze sprawy...

– A czy komuś to się udało? – zapytał Hyde. Zamyślił się na chwilę. – Co robił dzisiaj Malan, gdy my byliśmy umoczeni w gównie?

– To co zwykle. Tak jak wczoraj i przedwczoraj – odpowiedział Godwin. Wytrzeł dłonie o koszulę i podniósł się ze swego siedzenia. Podał Hyde'owi wielką wypchaną kopertę z suszarki nad zlewem. Była wybrudzona kocim jedzeniem. Puste puszkki i brudne naczynia zaśmiewały całą suszarkę.

– Popatrz sobie.

Były to powiększenia zdjęć zrobionych przez teleobiektyw.

Czarno-białe, rozświetlone przez światło słoneczne. Malan był w Londynie przez ostatnie dwa dni, odwiedzając koncerty firmy Malan-Labuschagne Consolidated i ich europejskich dostawców. Nie pojawił się nigdy w pobliżu firmy Reid Group... ależ on jest nieprzyzwoity! – Godwin uśmiechał się, gdy Hyde oglądał zdjęcia i podawał powiększenia Chambersowi.

– Gdzie jest teraz Darren?

– Pod jakimś teatrem na West Endzie. Malan jest na przedstawieniu. Pamiętasz, gdy pierwszy raz widzieliśmy jego zdjęcie zrobione w Bolszoj z dyrektorem Banku Narodowego wiele lat temu? – mówił takim głosem, jakby dał się ponieść miłym wspomnieniom.

– Dlaczego widział się Priabinem? Gdzie? – zapytał Chambers.

– Darren napisał o tym na odwrocie zdjęcia. Co tam jest napisane?

– Kensington Palace Gardens – powiedział Hyde. Spojrzał na Godwina, który trzymał na widelcu kawałek wołowiny, a usta miał pełne ryżu. – O czym myślisz, Godwin?

– Zadzwoń mi dziś wieczorem do stacji obsługującej limuzynę, której używa Malan. Chciałem tylko sprawdzić w imieniu pana Malana, na którą godzinę jest zamówiony samochód na jutro i czy mają dobry adres. Jutro o jedenaście jedzie na spotkanie z MacPhersonem, CEO z Reid Group.

– Noi?...

– Nie rozumiesz? Gdybyśmy mieli podsłuch w Reid lub gdybyśmy wciąż mieli...

– Kelletta? Nie zostałby zaproszony na to spotkanie, prawda?

– Czy ty poważnie myślisz o nieoficjalnym prowadzeniu śledztwa? – zapytał Chambers podejrzliwie, a jego oczy patrzyły na zaśmieconą kuchnię, jakby poszukiwał kryjówki.

– Zmartwiłeś już naszego Terence'a – zadrwił Hyde, a potem dodał: – Mnie też. Już i tak jesteśmy wystarczająco pogrążeni w tym gównie, Godwin. Stajesz się paranoiczny na punkcie Malana i Priabina.

– Wiem, że coś się dzieje i musimy się dowiedzieć, co!

– Co to znaczy my? – prychnął Hyde. – Twój cholerny pokój gościnny jest pełen towaru. Jakakolwiek zasadzka i jesteś załatwiony. Ta sprawa cię zżera, koleżko!

– Czy fakt, że była tam razem z Priabinem dziewczyna interesuje cię chociaż trochę?

– Nie mogę zrobić nic w sprawie tej dziwki, Godwin. Posłuchaj, olaliśmy sprawę, żeby być w SIS, Departamencie Stanu, Wydziale Specjalnym, u inspektorów DTI, pracowników Urzędu Cł – nie wiemy już nawet, kim jesteśmy i co tak naprawdę powinniśmy robić! – Hyde przeżuwał kawałek suchej kaczki, chrupiąc orzeszki, które były położone na niej dla ozdoby. Machnął widelcem, aby podkreślić to, co powiedział, a Chambers skinął głową potakując. – Nikt nie jest, cholera, zainteresowany, nie sądzę, że ja jeszcze jestem. To jest, do cholery, strata czasu. Dlaczego nie powiemy „przepraszam” Orrellowi i nie zaczniemy się grzecznie zachowywać?

– Posłuchaj, jeszcze tylko jedno badanie, w biurach Reid na NatWest Tower. Jest tam puste biuro po drugiej stronie ulicy. Możemy skorzystać z ciężarówki i urządzenia podsłuchowego – był czerwony z desperacji. – Posłuchaj, jeżeli to nic nie da i wrócimy z niczym, to zapomnimy o wszystkim. Nie odezwę się więcej na ten temat. Okay?

Kot zeskoczył z kolan Hyde'a na stół i zaczął obwąchiwać palce Godwina, a potem jego talerz. Godwin bezmyślnie głąskał go po grzbiecie, gdy ten zjadał resztki z talerza.

Hyde wybuchnął śmiechem.

– Jesteś tak tym zaabsorbowany, że nie widzisz, co się dzieje przed twoim nosem!

– Co? Och – wzruszył ramionami i pozwolił kotu kontynuować jego cichą, systematyczną pracę. Potem ponownie spojrzął z irytacją.

– No więc? – wyciągnął swój widelec jak rozgniewany policjant pałkę. – Twój cholerny cynizm denerwuje mnie, Patrick, naprawdę! Nie rozmawiamy tu przecież o torbach pełnych cholernego marmuru czy cukierków toffee! Te transputery i układy mogą być użyte wszędzie – w superkomputerach wielkości saszetki, systemach naprowadzania pocisków, detonatorach bomb, satelitach. To jest ważne! – skończył prawie z pokorą i znów poczerwieniał na twarzy.

– Słuchaj, jeżeli nas złapią, to będziemy naprawdę... – powiedział Chambers, a Hyde mu przerwał patrząc na swój talerz.

– W porządku. Tylko jutro – spojrzał na niego i szeroko się uśmiechnął.

– Skoro to dla ciebie takie ważne. Darren jest na tyle rozważny, że będzie trzymał język za zębami. Tak, Chambers?

– Słuchajcie, moja kariera w służbie może być skończona, w przeciwieństwie do was dwóch, szalonych frajerów. Powiedzcie mi, dlaczego miałbym ryzykować, jeżeli i tak nikogo to nie obchodzi?

Hyde zacisnął powoli pięść, ale Godwin wykrzyknął:

– To powinna być twoja robota, Terry! Czy jesteśmy agentami służb specjalnych, czy szefami wydziałów, czy też pannami z Avon, powinniśmy interesować się działaniami obcego wywiadu na terenie Wielkiej Brytanii. To jest, jeżeli tego nie zauważyłeś, operacja obcego wywiadu.

Hyde miał zamiar zaklaskać:

– Widzisz? – powiedział do Chambersa. – To tak, jakbyś wyszedł gdzieś rano z domu zamiast leżeć w łóżku i pozwolić rosnać twoim paznokciom.

Godwin uśmiechnął się jak współnik. Hyde był niezdecydowany. *Szalony frajer*, jak zauważył Chambers.

– W końcu, Terry – wymamrotał Godwin – uczestniczymy w śledztwie w sprawie dwóch morderstw. Nie mogę z siebie wydobyć czegoś bardziej moralnego czy patriotycznego, a ty?

Chambers zachichotał sarkastycznie.

– Utopisz się, robiąc to – zauważył Hyde i zwrócił się do Godwina:

– Czy możesz załatwić wszystko na wczesny ranek?

Godwin skinął głową. – Dobrze, więc zrobmy to. – Czy zostało jeszcze trochę tych zapiekanych warzyw w piekarniku?

Sto metrów od głównego budynku coś przemieszczało się przez busz i niepokoiło go, chociaż uważał, że to raczej musi być lew niż człowiek. Gwiazdy rozbłysły szybko i cicho, wisząc jak lampy na tle aksamitnego nieba. Głosy z baru wydawały mu się odległe, a jego uwaga skoncentrowała się na ciemności i na tym, co może się z niej wyłonić w każdej chwili.

Pokój tylko w Afryce. Przeczytał ten wiersz w zbiorze poezji trzeciorzędnego poety w antykwariacie w Johannesburgu wiele lat temu. Napisał go luterański misjonarz przed stu laty, zanim busz doprowadził go w końcu do szaleństwa. Odnalazł ten pokój tutaj, w Etoshy ze swoją żoną, szukając spełnienia tej obietnicy przez lata.

Myśli o Blantyrze i wraku DC-3 wstrząsały nim, jak ręka budząca brutalnie z miłego snu. Ręce mu drżały i poczuł podniecenie, które powodowało kurcz w żołądku; całe jego ciało drżało przed nowymi wyzwaniem. Wydawało mu się, że zabrał ze sobą ze zniszczonego wraku jakąś przypadłość, coś zaraźliwego. Porzucił swoją legalną praktykę dla tego miejsca, tego spokoju, widział siebie jako starzejącego się mężczyznę z coraz mniejszym żalem. Uprzywilejowany pustelnik, jak nazywała go Margarethe. Lub też zaślepiiony swoim zadowoleniem ze spokoju.

Margarethe...

Anderson odwrócił się słysząc żonę podchodzącą do niego z boku i objął ją. Odwzajemniła jego uścisk i oparła głowę na jego ramieniu.

– Co się dzieje, Richard? – zapytała natychmiast, zauważając jego napięcie. Spojrzała na niego, ale nie mógł dostrzec żywych niebieskich oczu w ciemności, jedynie zarys kości policzkowych pod gładką skórą, świadcząca o jej mieszanych rodzicach.

– Muszę znaleźć... kryjówkę na rzeczy, które... przywiozłem ze sobą wczoraj – powiedział.

– Ale to jest ukryte...

– Muszę ukryć to lepiej. Blantyre nie jest głupcem i jest niebezpieczny.

– Nie mogłeś tego zostawić tam, gdzie znalazłeś? – mówiła z wyrzutem, ale nie uwolniła się z jego uścisku. Ręce miała zimne, co czuł przez koszulę.

Potrząsnął głową.

– Nie. To jest ważne. Dla ludzi, których znałem w Londynie. Wiem, że tak jest. Zwłaszcza Rosjanin.

– Ważne także i dla ciebie.

Potrząsnął głową z gwałtownością, w której był i zapał, i zaprzeczenie. Odsunęła się od niego, potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego brody i ust.

– Nie pomyślałem – powiedział. – Żałuję, że to zabrałem, przykro mi.

– Richard, nie jesteś człowiekiem, którym byłeś. To było dawno temu. Musisz być ostrożny, jeżeli on przyjdzie.

– Przyjdzie. Na szczęście wysłałem list do Londynu.

Wyciągnął rękę i pogłaskał jej włosy, długie, mocno skręcone, wilgotne i splecione jak lina. Przycisnęła się do niego.

– To się po prostu stało – wymamrotał wprost w jej włosy.

– Nie szukałem tego, nie chciałem...

– To nie ma znaczenia. – Margarethe zadrżała, odsuwając się od niego. – Będę zadowolona, jeżeli przyjedzie i odjedzie.

– W jej głosie wyczuwalny był niemiecki akcent ojca, pomimo wysokiego, śpiewnego brzmienia języka Herero, które odziedziczyła po matce. Gdy rozmawiali ze sobą, nie było w ich mowie prawie nic ze zanglizowanego, profesjonalnego głosu, którego używała jako dochodząca pielęgniarka. Pomachała ręką, jakby odganiała komary.

– Jesteś pewien, że on przyjedzie?

– Nie sądzę, aby mi uwierzył. Nie oszukiwałem go ze zbytnią wprawą – westchnął. Jej drobne, delikatne ciało zdawało się powiększone przez jego odpowiedzialność za nią. – Posłuchaj, wszystko będzie w porządku, jeżeli będziemy się zachowywać normalnie – jego ręce przytrzymały ją za odkryte ramiona, które były chłodne i pokryte gęsią skórą w tę ciepłą noc. – Pomóż mi teraz schować te rzeczy.

– Gdzie?

– Gdzieś koło grobli, może pod wodą? – zasugerował. Jego błagalny ton był zaledwie imitacją poprzedniej pewności siebie.

Margarethe spojrzała na niego, jakby się stał kimś obcym. Potrząsnęła głową.

– Bądź ostrożny, Richard.

– Uhm.

– Dobrze, przy grobli. Powiem Josephowi, aby przypilnował baru i sprawdził kucharza – uśmiechnęła się szeroko. – Czy ten pułkownik Blantyre oczekuje,

że będę w kozich skórach zawiniętych wokół głowy i wysmarowana od stóp do głowy masłem i ochrą? Czy to go oszuka?

Anderson roześmiał się cicho.

– Nie boisz się go, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Boję się jedynie o ciebie – sploty włosów spadły jej na twarz i ramiona.

– Idź po rzeczy, które musisz ukryć. Ja porozmawiam z Josephem, pośpiesz się!

Od strony baru dotarła do nich kolejna fala śmiechu. Richard skinął jej głową i uściśnął ją. Margarethe odeszła. Anderson opuścił werandę przy głównym budynku okrążając oświetloną restaurację i bar. Światło księżyca pojawiło się właśnie na pokrytych strzechą dachach domów gościnnych stojących wzdłuż brzegu zbiornika wodnego, podniosło się wyżej i padło na wielkie namioty. Nocne światła błyszczały jak odległe planety, przeświecając przez płótno trzech najbliższych namiotów. Słyszał z oddali ryk lwa i jeszcze odleglejsze przytłumione odgłosy wydawane przez słonia; oba dźwięki zaskoczyły go jak nagle wtargnięcie intruzów. Wydawało mu się, że busz zaciska się wokół niego.

Otworzył drzwi magazynu i nie zapalając światła schylił się po ciężką torbę. Głośno oddychał. Blantyre był prawie piętnaście lat młodszy od niego, a poza tym był mordercą.

Załoczył niekształtną, szeleszczącą torbę na ramię i zamknął magazyn. Zatrzymał się w ciemności, ale nie usłyszał nic poza śmiechem dobiegającym od baru i urywkami rozmów wymieszanych z zapachem gotowanej potrawy, dochodzącym z kuchni. Gotowano gazelę, którą wcześniej upolował. Poszedł powoli w kierunku światła padającego z restauracji, gdy Margarethe pojawiła się w ciemności. Zawołał cicho na nią. Gdy podeszła, chwyciła go za rękę.

– Okay? – zapytał.

– Tak.

Pośpieszyli oświetloną księżycowym blaskiem drogą w kierunku matowego blasku gładkiej powierzchni wody i rozmytych plam światła przeświecającego przez płótna namiotów.

– Czy wiesz, co to za sprzęt? Czy woda tego nie zniszczy?

– Jest zapakowane w folię. Nie wiem tak naprawdę, co to jest. Jakieś wyposażenie elektryczne z angielskiej firmy. Ale przewozili to Rosjanie, którzy

musieli przylecieć z Walvis Bay. To w tym wszystkim jest podejrzane. Poza tym to nie powinno się tu znajdować, czy w ogóle w Republice.

Dotarli do wody. Zapadł zmrok, gwiazdy rozbłyskały nad ich głowami niczym jaskrawe plamy. Po drugiej stronie grobli coś się tajemniczo poruszyło. Anderson wdychał głęboko powietrze jak ktoś, kto z żalem wraca do domu z przedłużonych wakacji.

– Gdzie? – zapytała Margarethe.

Przyjrzeni się brzegowi wody, porośniętemu niskimi trzcinami i akacjami.

– Tutaj. – Zatrzymał się i zdjął torbę z ramienia.

– A jeśli woda zniszczy zawartość?

– To nie musi działać, wystarczy, że zobaczą, co to jest – czuł się naprawdę zadowolony, że z taką łatwością mógł uczynić siebie i Margarethe niewinnymi, poza wszelkim podejrzeniem.

Podniósł kilka ciężkich kamieni i ukłęknał nad brzegiem. Delikatnie zanurzył torbę w wodzie. Zatonęła, wypuszczając na powierzchnię wody banki powietrza. Ostrożnie spuścił na nią kamienie, tworząc w ten sposób kryjówkę i rodzaj kotwicy. Woda sięgała mu powyżej łokci. Trzcina drapała mu ręce. To powinno wystarczyć, pomyślał. Zapalił latarkę. Rzęsa maskowała torbę. Kamienie wyglądały, jakby zawsze tu leżały. Trzcina zwieszała się nad wodą. To będzie wystarczająco dobre miejsce.

Spojrzał w górę, zaskoczony jak zwierzę u wodopoju, na dźwięk zbliżającego się do budynków pojazdu podskakującego na wyboistej drodze. Jego światła jaśniały w ciemności jakby na tle czarnego ekranu. Potem zgasły i samochód zatrzymał się gdzieś w świetle padającym z budynku.

– To on? – zapytała Margarethe łapiąc go za rękę mokrymi palcami. Delikatnie przesunęła dwa kamienie i zmaciła piasek na dnie, aby osiadł na nich i na torbie.

– Na to wygląda. Nie oczekujemy innych gości. Zdaje się, że jest sam.

– Więc powinniśmy wrócić...

Powstrzymał ją za ramię.

– Nie – ostrzegł ją. – Nie chcemy przecież wpaść na niego jak dzieci złapano na wyjadaniu cukierków. Przejdziemy dookoła budynku i podejmiemy z drugiej strony.

Poczuł drzenie jej ramienia i przytulił ją do siebie, głaszcząc jej długie włosy i całując w czoło. Cała drżała. – Wszystko w porządku, kochanie – szeptał. – W porządku. – Przycisnął ją mocniej i pocałował. – Chodźmy. Wszystko, czego nam trzeba, to trochę silnych nerwów.

Przełknęła ślinę i szybko przytaknęła.

– Masz rację.

Opuścił jedną rękę i obejmując jej ramiona drugą ruszył powoli, tuląc ją do siebie. Nie bał się Blantyre'a, nie tu i nie teraz. Obawiał się jedynie o nią i już był zły na pogardę, jaką może jej okazać Blantyre. Poczuł znajomy, przyjemny chłód na policzkach i ustach i znaną suchość gardła.

– Kocham cię – powiedział. Przycisnęła się do niego.

– Wiem, że dla ciebie to tylko gra.

– Kocham cię.

Wspięli się na wzgórze, oddalając się od budynku. Nasłuchiwał, ale nie mógł wyłapać głosu Blantyre'a z hałasu dobiegającego z baru. Potem, gdy doszli do szczytu wzniesienia, dostrzegł Blantyre'a przy barze. W rękę trzymał szklanekę piwa, a jego głowa poruszała się powoli, systematycznie, jak gdyby oceniał każdego z gości. Wydawał się poszukiwać jego i Margarethe.

Margarethe zadrżała, ale tylko przez moment.

– To on – powiedział niepotrzebnie, gdy chodzili w ciemności wokół domu. – Ja będę z nim rozmawiał, a ty pamiętaj, że dla niego jesteś w połowie Bantu.

Przytulił ją do siebie, gdy skręcili w stronę wejścia do budynku. – On będzie tobą zainteresowany, będzie mi zazdrościł ciebie w łóżku, ale nie będzie ciebie dostrzegał.

Rozdzielili się, gdy weszli na schody werandy. Blantyre dostrzegł ich natychmiast.

Anderson pochylił głowę pod niskim okapem z liści palmowych. Ponad nim zaszeleścił ptak, jakby go ostrzegając. Blantyre już szedł w jego kierunku, z wyciągniętą ręką i uśmiechem na szerokiej twarzy. Przyjrzał się z podziwem Margarethe, jak gdyby przyglądał się zwycięskiemu psu na wystawie lub zwierzęciu hodowlanemu. Anderson przewyciężył swoją niechęć.

Jednak wydawała się bezbronna, gdy wchodziła za bar. To była jego wina.

– Panie Anderson. Powiedziałem, że wpadnę do pana... no i piwo jest zimne. Dziękuję.

Był spokojny, roześmiany. – Masz tu przyjemną kwatere, człowieku – jego ręka wskazała na budynek, zanim spoczęła na ramieniu Andersona, który zmusił się do tego, aby instynktownie jej nie strząsnąć. Blantyre podniósł szklankę, jakby spełniając jakiś toast.

Pozostali goście, świadomi jego tożsamości i reputacji, przyglądali się z unізieniem i podnieceniem.

– Cieszę się, że mógł pan przyjechać. Margarethe, to jest pułkownik Robin Blantyre. Jesteśmy zaszczytzeni.

Oczy Blantyre'a zwężyły się, jak gdyby uchwycił sarkazm, ale Anderson wiedział, że jego reakcja była wystudiowana. – Musiałaś słyszeć o pułkowniku, kochanie – starał się być uprzejmy. Obecność Blantyre'a zaskoczyła wszystkich gości, z wyjątkiem dwóch emerytowanych Amerykanek. Ludzie z Windhoek i ludzie fotografujący dziką przyrodę z Port Elizabeth uczynili z Blantyre'a ośrodek zainteresowania.

Blantyre wyciągnął rękę i wziął palce Margarethe w swą wielką łapę.

– Czy mąż powiedział pani, jak się spotkaliśmy?

Skinęła głową, jej niebieskie oczy były uważne, wystające kości policzkowe rozciągały skórę jak maska. Blantyre odwrócił się.

– Był pan na wieczornym spacerze bez broni, panie Anderson?

– Na krótkim. Nie ma na zewnątrz zbyt wielu napastników mogących zaatakować człowieka, pułkownika. Wie pan o tym.

Blantyre uśmiechnął się patrząc przez chwilę w ciemność.

– Może.

Rozgorzały głośne rozmowy, gdy pozostali goście zasiedli do wieczornego posiłku i wyglądało, że będą mówić głównie o słynnym, niebezpiecznym Robinie Blantyre. Dwie emerytowane Amerykanki słuchały wyjaśnień fotografa dzikiej natury na temat nowo przybyłego. Fascynacja narastała na twarzach jak grzybnia, kiedy mówił.

– Hm, to danie nieźle pachnie, pan naprawdę ma tu coś wyjątkowego. Nie jestem zaskoczony, że porzucił pan dla tego prawo. A tak w ogóle, jak człowiek taki jak pan mógł zostać cholernym prawnikiem, niech mnie szlag, co? – klepnął Andersona po ramieniu. – Ma pani wolny namiot na dzisiejszą noc, pani Anderson?

– Dla jednej osoby? – zapytała chłodno, podsycając tym jego podziw, i sięgnęła po książkę rejestracyjną.

– Dla jednej.

– Jeden z namiotów nad brzegiem wody, pułkownika? – zapytał Anderson nonszalancko. Było to jak odgrywanie zapamiętanej roli we wznowionej sztuce, niezbyt trudnej do odtworzenia. Wymagające pewnej uwagi...

– Świetnie.

Margarethe podała mu książkę i pióro, a on wyskrobał swe nazwisko ze spodziewanym rozmachem, chociaż litery były zaskakująco równe.

– Jest pan przydzielony do Walvis Bay, o ile wiem od mego męża, pułkownika? – powiedziała.

– To prawda, pani Anderson, to prawda. Są tam patrole zajmujące się kłusownikami słoni. My jesteśmy wzywani okazjonalnie. Znają busz tak jak my.

Kucharz William wyszedł z kuchni i zawołał ją.

– Proszę mi wybaczyć, pułkowniku.

– Oczywiście – jego kurtuazja była sztuczna.

Gdy odchodziła, Anderson powiedział Blantyre'owi tak, aby słyszała:

– Moja żona została sklasyfikowana jako kolorowa, zanim te określenia straciły swoje znaczenie. Mogłem, przez kontakty w Pretorii, to zmienić. Ona tego nie chciała. Spotkaliśmy się, gdy przyjechałem tu na wakacje.

– I został pan.

– Nie od razu. Pojechała ze mną do Johannesburga, ale... – uśmiechnął się sarkastycznie – ona nie polubiła życia w mieście, nawet na naszych liberalnych przedmieściach. Tak więc przyjechalśmy tu, robić to na moje stare lata.

– Nie jest pan aż taki stary, człowieku – Blantyre wydawał się zakłopotany tą poufałością.

Anderson poczuł zapach pieczonego mięsa gazeli i spojrział w stronę różna obracającego się nad ogniem. Czuł także zapach parafiny, widział twarze Williama i Josepha czujne jak u ściganych zwierząt.

Powróciła przeszłość: Blantyre wciąż miał to samo pogardliwe spojrzenie na Margarethe. Kafryjka, czarna lala i temu podobne. Jak sąsiadki w Johannesburgu, na gorących, suchych trawnikach poruszające się w kolorowych sukienkach pośród ogrodników i służby, walczące ze świadomością, że ich włosy są

skręcone, a twarz i ramiona ciemne. Aby tego uniknąć, powinny wrócić do buszu.

Wskazał Blantyre'owi stół i usiadł naprzeciwko niego. William i Joseph, drugi kucharz, skakali jak nocne ptaki wokół mięsa z rusztu. Margarethe zapytała o zamówienia na piwo i wino przy barze, jej twarz była pełna skupienia i spięta, jak gdyby obawiała się niebezpieczeństwa pukającego w jakieś niewidzialne drzwi. Uśmiechnął się do Blantyre'a, który wypił swoje ostatnie piwo. Ten człowiek jest zły. Do głębi zły, ostrzegł sam siebie. Bądź ostrożny...

– Patrzcie, kogo tu mamy! – zaanonsował Chambers jednym tchem. – W samą porę i to przed NatWest Tower. Pan Malan w swym wynajętym gównianym rolsie. Jest też Michael Aspen ze swym „To jest twoje życie!” – Chambers zaśmiał się ze swego kawału, podczas gdy Godwin potrząsnął głową.

– On tu jest, Patrick. Jesteś już gotowy?

– Słuchaj, musisz być cierpliwy, jest cholernie duży ruch – głos Hyde'a popłynął z odbiornika stojącego na składanym stoliku. – BMW i golf GTI przed waszymi gałami!

Godwin zauważył, że podniecenie było zaraźliwe jak podczas cholernej szkolnej wycieczki. Poranne słońce przeświecało przez okna, przy których bzyczała mucha, jak gdyby dekorując lub owijając coś wokół cylindra laserowego podsłuchu skierowanego w stronę okien biura Reid Group. Nikt nie podejrzewał podsłuchu ukrytego w tego rodzaju wygiętym pałaku. Jego działanie wypróbowali wcześniej na wybranym przez siebie oknie. – ...*Zabrał mnie do baru winnego, a potem chciał pójść ze mną do łóżka... cholerny bar winny!* I gdzie Fiona i Sally zamierzały wyjechać na wakacje i z kim, i gdzie miały się spotkać dziś wieczorem i z kim, i o tym okpionym facecie z działu sprzedaży... usypiające i nudne, bo nie były świadome, że są podsłuchiwane. Sekretarka MacPhersona i jakaś panienska Sloaneya. Mucha bzyczała denerwująco przy zakurzonym oknie. Biuro stało puste przez kilka miesięcy i miał szczęście, że je znalazł. Kto zapłaci rachunek za kilka miesięcy wynajmowania, nie wiedział, a obchodziło go to jeszcze mniej.

Żaluzje zwieszały się niebezpiecznie na obserwowanym oknie, jakby miały opaść w każdej chwili. Gdyby tak się stało, odbiornik nie mógłby wyłapać

żadnej najdrobniejszej wibracji głosu odbitej od szkła okiennego. *Kolacja w barze winnym i pokazał mi nawet paczkę kondomów, aby mi udowodnić, że bierze to poważnie!* Godwin pokręcił głową. Chambers, zaglądając do ich biura, podziwiał nogi mówiącej.

Był jednak problem, o którym ani Hyde, ani on sam nie wspomnieli – jak blisko okien w biurze MacPhersona będą siedzieć Malan i ktoś, kto z nim będzie? Najlepiej by było, aby cała grupa siedziała jak najbliżej okien, żeby wideo i kamery mogły pracować z powodzeniem. Większa część gładkiego, paliсандrowego biurka MacPhersona była widoczna. Sprawdził jeszcze raz.

W odbiorniku słychać było ich oddechy oraz odgłos zmiany biegu. Godwin nie zawracał sobie głowy wychylaniem się przez okno i obserwowaniem Hyde'a w ciężarówce z napisem POLICJA, sunącej między pomarańczowymi i białymi stożkami zaznaczającymi miejsce parkowania na Copthall Street. Ciężarówka musiała być dokładnie ustawiona, jeśli urządzenie podsłuchowe miało znaleźć się w dobrym miejscu wobec odbiornika w ciężarówce, przekazującego sygnały laserowe i ich słyszalne wibracje.

– ...uważasz, że pan Kellett z Exports miał AIDS? – usłyszał z głośnika.

Rzut oka na wzorzysty bawełniany materiał, gdy kobieta przeszła wokół biurka MacPhersona.

– To jest to, Patrick! – krzyknął, przełączając odbiornik, przerywając Chambersowi. Boże, w tym cholernym biurze było gorąco, słońce wpadało do środka przez okna, które wyglądały jak zadymione.

– ...Nie padniesz od tego... – przyszła odpowiedź z głośnika, skierowana do kogoś w biurze.

– Przytrzymaj to tak!

– Jesteś pewien? – zapytał Hyde.

– Przytrzymaj...

– A co ze sprzedażą twojego mieszkania. Masz jakieś oferty?

– Tak, tylko jedną. Ale chyba poważną – ludzie z Midland chcą mieć londyńską bazę. Z tupetem, nic nadzwyczajnego, powiedzieli, że im to wystarczy! Boże, kim są ci ludzie, żadnego zastawu czy czegokolwiek?

– Głupia krowa.

– Patrick, tak jest dobrze. Możesz teraz przyjść na górę. Darren może przypilnować sprzętu.

– Czy ktoś chce jakieś śniadanie z narożnego baru kanapkowego yuppies?

– Ploughamana* z francuską bułką – powiedział Chambers. – Przynies też trochę piwa.

* Ploughman's lunch – zimny lunch składający się z sera, pieczywa i zwykle marynowanych cebulek [przyp. tłum.].

– Ja wezmę sałatkę – wymamrotał Godwin.

– Tylko to zapiszę, sir – usłyszał odpowiedź Hyde'a, a potem jego mamrotanie do Darrena z tyłu ciężarówki.

– Dziękuję, Sally – usłyszała z głośnika połączonego z wyposażeniem w ciężarówce. Czuła na ruch kamera kliknęła i zaczęła nawijać film. Nacisnął start w wideokamerze. W oku nieruchomej kamery pojawił się MacPherson, jakieś nogi w spodniach i nie było końca powitaniom, zapewnieniom oraz śmiechowi.

Malan, jeszcze ktoś i nogi kobiece, które nie należały z pewnością do sekretarki. Nawet on zauważył je, pomimo mnichowatości narzuconej sobie lub wywołanej swoim kalectwem. Obserwował inne nogi wchodzące i szurające, a potem...

Malan, a za nim inny mężczyzna i... Ach tak, a potem weszła obrzydliwa mała kobieta Patrica poznana w pubie. Zdołali ją zidentyfikować jako Walentynę Malenkową, asystentkę attaché do spraw handlu w ambasadzie sowieckiej. Co, do ciężkiej cholery, robiła ona w biurach Reid? Co za pieprzony dreszczyk.

Godwin sprawdził światelka balansujące na kasecie kontrolnej laserowego podsłuchu, zrobił kilka małych poprawek, potem włączył nagrywanie na taśmie magnetofonowej. Usłyszał MacPhersona mówiącego akcentem z Glasgow, potem rozpoznał akcent Malana. Drugim mężczyzną był van Vuuren, przedstawiciel CEO, firmy współdziałającej z MLC EuroConstruct, która zbudowała bukaresztański TraveLodge i tuziny innych hoteli, fabryk oraz obiektów sportowych i bloków mieszkalnych w Europie Wschodniej. Nawet wypierając Japońców z ich cenami.

To dowód, jeżeli dowód był potrzebny komukolwiek poza idiotami, pomyślał, gdy MacPherson wskazał gościom kilka foteli ustawionych blisko okna.

Walentyna – co do diabła agent KGB robi z CEO z Reid Electronics? Bez wątpienia sir dive powiedziałby, że: Och, prawdopodobnie robią herbatę, Godwin!

Z głośnika płynęły żarty, wzajemne gratulacje, plany rozwoju, rozmowy o zwykłych kłopotach w biznesie, częstotliwości zamówień i datach dostaw. Potem MacPherson zbliżył się spokojnie do sedna sprawy.

– Paulus, wiem, jak gorąco namawiałeś członków rady, z którymi miałeś kontakt. I wiem, że oni uznali twoją rację. Ja też uważam, że ją masz, na miłość boską. Ale muszę ci powiedzieć, że powinniśmy pozostać bielsi od bieli...

Wybuch śmiechu Malana.

– Przepraszam... ale wiesz jak bardzo David musi uważać przy rozdysponowywaniu swych udziałów. Nie możemy pokazać, że wchodzimy do jakiegokolwiek joint ventures z MLC i koniec. Obserwują nas... – Godwin zaśmiał się złowieszczo – ...aby nas przyłapać na kontaktach z wami. Po prostu nie mogę tego zrobić.

Drzwi za Godwinem otworzyły się. Wszedł Hyde.

– Co tutaj robi dziwka Priabina? – ciekawość Hyde'a była zabarwiona złością i miała w sobie coś dzikiego. – Czy MacPherson jest załatwiony?

– Wątpię. Odmówił nawet przyłączenia się do Masons dwadzieścia lat temu, mimo że jego ojciec tam należał. Ona jest tam osobistą sekretarką Malana, zgodnie z zaleceniem. Nie uczą ich dziś choćby w połowie dobrej dykcji w tych szkołach KGB. Ma nawet notes na kolanach.

– Mówią o drobiazgach – Godwin usłyszał dźwięk otwieranej puszki, następnie została mu ona wepchnięta do ręki. Potem dwa identyczne odgłosy. Hyde rzucił oderwanym wieczkiem puszki w okno.

– Nie utrudniaj pracy tej cholерnej maszynie! – wrzasnął Godwin.

– Przepraszam, kochanie.

– Nie żeby MacPherson nie robił interesów z Malanem, jeżeli tylko może, robi ich teraz wiele, ale chce pozostać czysty. Zbyt wiele kontraktów obronnych straci, jeżeli ktoś zauważy, że wślizguje się do gardła krokodylowi.

Tamci zaśmiali się i dziewczyna zapisała coś w notesie. Maniery jak po szwajcarskiej szkole; to dzieło tej akademii KGB za Moskwą.

– Ja po prostu chcę pomóc obydwu firmom Reid i MLC. Odsetki są wysokie, nie będziecie wiele pożyczać. Daliście się ponieść tej gorączce złota – powiedział Malan.

MacPherson trzymał podniesioną rękę. Godwin, Hyde i Chambers stali słęczeni przy zaciemnionym oknie.

– Wiem, że to jest w interesie firmy, Paulus, nie musisz mnie co do tego przekonywać. Ale oni przeszli przez tę grupę firm jak truciele za szczurami. Nie chcę tego więcej. To bardziej zaszkodzi naszym zyskom niż rezygnacja z jakiegokolwiek interesu z wami.

– Żałuję, że musisz się trzymać swoich planów, Mac.

– Czy ja tego nie wiem? Ale ty nie miałeś takich kłopotów jak my z powodu trzymania się jedynie kilku dostawców, których mamy wspólnie. Z drugiej strony, Paulus, nie widzę żadnego niebezpieczeństwa we współpracy na każdym możliwym gruncie.

– Dobrze. Dlatego właśnie Pietia jest tutaj, aby o tym porozmawiać.

– Boże, to jest rzeczywiście fascynujące – zauważył Hyde fałszywie. Odszedł powoli w kąt pokoju i ukucnął na podłodze. Chambers spojrzął na Godwina i uśmiechnął się potrząsając głową.

Teraz mówił van Vuuren trzymając laptop na kolanach i wystukując coś palcami. Coś zwróciło uwagę Godwina, ale prawie natychmiast o tym zapomniał, gdy dał sobie sprawę, że taśma w wideokamerze zwolniła i zatrzymała się.

– Powiedziałem ci, żebyś sprawdził taśmę w tym cholerstwie! – wrzasnęła na Chambersa. – Och, gówno! Włóż drugą pieprzoną taśmę do środka, teraz! Och nie! – wrzasnął, gdy ucichł odgłos kamery. Wepchnął drugą kasetę wideo do środka. Zaczęła ponownie wydawać znajome dźwięki. Van Vuuren wciąż wystukiwał palcami na komputerze.

– ...przedyskutowano to przedtem w ogólnym zarysie – mówił van Vuuren pisząc na swym laptopie. – Upomnę się jeszcze o zaległe zamówienia.

Chryste, on był w głównym komputerze MLC w Johannesburgu połączony z nim przez linię telefoniczną MacPhersona. Boże, czy straciliśmy cokolwiek? Będą mogli to odczytać z powiększenia ekranu jego laptopa. Co do cholery im umknęło?

Spojrzął na Chambersa, który przeprasząc ramionami, gdy wideokamera zaczęła pracować ponownie. W jego umyśle pojawiła się znowu tamta myśl – jeszcze niejasna, i niekoniecznie taka, która by go zadowalała, ale coś w tym było.

– Siła robocza w Namibii jest jedenaście procent tańsza niż w Południowej Afryce oraz dwadzieścia procent niż w bloku wschodnim nawet przy naszej hojności.

Widział van Vuurena uśmiechającego się.

– Och, więc znalazłeś sobie nowych czarnuchów, synu, czyż nie? – zauważył MacPherson sucho. Malan zaśmiał się.

– Dokładnie tak, jak powiedziałeś – rzekł. – Oto dlaczego byłbyś szalony, gdybyś w to nie wszedł.

MacPherson kręcił głową.

– To nie są zastrzeżenia natury moralnej – zapewnił ich.

– W takiej sytuacji chcemy, abyś pracował pełną parą – zauważył Malan. – Mamy duże zamówienie na urządzenia elektroniczne...

– Czy nie mogą go wykonać Koreańczycy, Paulus?

– Obawiam się, że nie. Potrzebujemy ciebie, jestem otwarty w tej kwestii.

– Potrzebujesz tych rzeczy szybko, czy tak, synu? To będzie cię kosztowało, zdajesz sobie sprawę?

– Będziemy musieli zapłacić, ile zażadasz, w granicach rozsądku.

– Och, nie obawiaj się, jestem rozsądny. Jak długo to potrwa?

– Trzy, cztery tygodnie, na całe zamówienie.

– Chryste, czy nie zechciałbyś po prostu nas kupić, co? Hotele, centra rozrywki, fabryki, domy – prawie każdy projekt, który w tym momencie jest robiony. Czy mam rację?

Malan skinął głową. Jego twarz była surowa i zatroskana. Czy tylko mu się wydaje, że on jest zadowolony, nawet zachwycony? Było coś podejrzanego w tej rozmowie. Jak gdyby Malan miał jakąś pretensję... nie, niezupełnie to. Jakby udawał. Udawał, że nie ma już wpływu na Reid Group, że przyszedł do nich jak zwykły klient. Prawie tak, jak gdyby słyszał mieszkańca Południowej Afryki mrużącego jak kot. Czy nadal miał jakąś kontrolę nad Reid, pomimo swego oficjalnego publicznego wycofania się? Było coś w jego twarzy, musiał zobaczyć to na zbliżeniu.

– Chryste – wymamrotał Chambers. – Oni mówią o wielkiej wygranej. To zamówienie jest ogromne. Jakim sposobem Malan został spuszczony przez małych żółtych wszarzy z Korei?

- A skąd ja mam wiedzieć?
- Myśleliśmy, że będziemy mieli fabryki komponentów tam pracujące – mówił van Vuuren. – Ale nie mamy. Oni nie potrafią nawet pracować jak czarni – zarechotał. Dziewczyna także zdawała się uśmiechać.
- Więc będziecie potrzebować personelu nadzorującego, programów komputerowych, w ogóle wszystkiego, tak?
- Obawiam się, że tak. Posłuchaj, Gordon, czy masz możliwość omówić to dokładnie z Pietią jutro? – MacPherson skinął głową. – Dobrze, więc zostawię was samych, żebyście to ruszyli, a potem spotkacie się znów jutro, okay?
- Nie mam nic przeciwko temu, synu.
- Jezu Chryste – wymamrotał Godwin. – Słyszałeś to? – westchnął spazmatycznie. – Zamówienie tak wielkie, że będą potrzebowali całej floty powietrznej, aby to wywieźć, wszystko przeznaczone dla Europy Wschodniej.
- Cholera jasna, myślisz że mamy...? – zaczął Chambers.
- Och tak. Poważnie myślę, że na coś trafiliśmy – czuł gorąco przemieszane z pewnym nie zidentyfikowanym uczuciem sukcesu.

Malan chciał przyspieszyć dostawy z firm Reid Group do swoich ludzi z Europy Wschodniej. Po spędzeniu wczorajszego popołudnia z Priabinem, a teraz mając u boku tę kobietę. To musi być – po prostu musi – operacja KGB, która ponadto odpowiada Malanowi! Ścisnął rękę Chambersa, który uśmiechnął się szeroko i zamrugał.

– No już – usłyszeli Hyde'a – powiedzcie wujkowi Toniemu, jaki jest sprytny. On to lubi.

– No, a nie jestem? – zapytał Godwin, obracając się.

Hyde podniósł z ironią puszkę piwa do góry.

– Och jesteś, koleś, jesteś. Czy ja kiedykolwiek mówiłem coś innego?

Drzwi biura otworzyły się. Młody mężczyzna w uniformie firmy zajmującej się sprzątaniami zajrzał do środka, otworzył usta żeby coś powiedzieć, a potem dostrzegł wyposażenie, za którym siedzieli Godwin i Chambers. Następnie zobaczył Hyde'a kucającego w kącie z niechętną miną.

– Ja... to biuro ma być wynajęte. Ja...

Odkurzacz stał obok jego szczupłego ciała. Sprawiał wrażenie, jakby był do niego przyczepiony. Jego oczy poruszały się jak u robota, ale patrzyły z coraz większym zrozumieniem to na nich, to na sprzęt, znów na nich, potem na kamery, na głośnik, z którego wciąż dobiegały głosy, na Hyde'a...

...który szybko wstał wyprostowany w przyciasnym policyjnym mundurze mamrocząc:

– Posłuchaj mnie, synu – wypchnął sprzątacza za drzwi. – Mówię, zanim jeszcze zapytasz, jesteśmy gliniarzami, ale nie możemy pokazać ci legitymacji, ponieważ nikt nie wie, że tu jesteśmy... rozumiesz? – wyprowadził młodego mężczyznę na korytarz, mocno ściskając go za łokieć. Odkurzacze brzęczał za nimi jak ciągnięta dziecięca zabawka.

– Za pół godziny nas tu nie będzie, okay? Po prostu idź posprzątać inne śmieci i zapomnij o tym, co widziałeś.

– Proszę posłuchać, ja nie chcę żadnych...

– To jest oficjalne, ale nie powiem ci jak bardzo i dlaczego.

Dotarli do windy i Hyde nacisnął przycisk.

– Masz zawroty głowy, chłopie, i musisz iść do domu na drzemkę. Okay?

Sprzątacze skinął głową. Drzwi windy otworzyły się. Hyde wepchnął chłopaka przed sobą i kopnął odkurzacza. Nacisnął przycisk z napisem Parter /Recepcja. Winda ruszyła cichutko, z amerykańską gładkością. Chłopak był wciąż zdenerwowany, ogłupiały tym wszystkim, co zobaczył na swoich przepełnionych pupilach – koszach. Hyde milczał, ściskając jego drżące łokieć. Drzwi otworzyły się.

– A co z...?

– Idź po prostu do domu i zapomnij o tym. To masz właśnie zrobić.

Foyer było zagracone i puste.

– Tam – powiedział Hyde, gdy doszli do obrotowych szklanych drzwi, za którymi wydawało się upalnie.

– Ruszaj, chłopie – wypchnął sprzątacza przez drzwi, wyszedł za nim i stanął na chwilę na schodach.

– Przepraszam – zaczął młody mężczyzna, a na jego twarzy pojawiło się teraz podniecenie. – Dobrze... pójdę na jednego. Czy mogę wrócić później? Ja... jestem nowy w tej pracy. Nie chcę ryzykować...

– Tak. Za pół godziny – Hyde mrużył oczy z powodu blasku słońca, patrząc w stronę zaparkowanej ciężarówki. Kiedy ją zobaczył i spojrzął na nie zapięty mundur policyjny Hyde'a, ostatecznie go to przekonało.

– Dzięki – zszedł po schodach na chodnik.

Hyde przysłonił oczy i spojrzął w górę w stronę okien biura MacPhersona. Godwin może nawet mieć rację; coś rzeczywiście się będzie działo. I to niedługo. Potarł rękami swoje kędzierzawe włosy i przeciągnął się z przyjemnością.

Lepiej sprawdzę Darrena-Wspaniałego Psa, skoro już jestem...

Naprzeciw niego, na schodach budynku NatWest stał Malan i kobieta z KGB. Oboje patrzyli na niego, kobieta przysunęła się do Malana, spojrzała na policyjny wóz i potrząsnęła energicznie głową. Mówiła szybko, jej ręka wykonywała małe, zdecydowane ruchy, jakby cięła coś nożem. Zobaczyła go i rozpoznała. Cała obserwacja nie miała już sensu.

Och, cholera...

Zbyt późno się odwrócił.

Rozdział trzeci

AFRYKA I ZŁOTE PRZYJEMNOŚCI

Blantyre odsunął na bok ciężkie, okrągłe kamienie i podniósł ukrytą w wodzie torbę, wyjmując ją z trzciny, która uderzała go w ramiona, gdy nią poruszał. Przejmujące zimno ogarnęło jego nadgarstki. Odwrócił się do Uysa i szeroko uśmiechnął.

– Łatwizna – powiedział, potrząsając mokrą torbą, tak że znajdujące się w niej przedmioty, w plastikowych opakowaniach prześlizgiwały się obok siebie jak obudzone węże. – Teraz jeszcze się upewnimy – wyciągnął ze środka paczkę, zerwał taśmy i zapięcia, położył ją na kolanach. Inni członkowie jego oddziału stali beczynnymi jak gapie czy automaty. Poza Uysem, który wyszeptał ochryple:

– Zdaje się, że mówił pan, sir, że ten koleś był kiedyś agentem.

– Wiele lat temu – niedługo po tym, jak urodziłeś się w tej szopie na Bóg wie jakiej farmie. Z pewnością zapomniał, czego go nauczono.

Trzymał rozmiękłe pudełko kartonowe, jak wyciągniętą z wody wielką rybę, potem wyjął miniaturową klawiaturę, a na końcu wypełnioną wodą plastikową torbę, zawierającą małe, nieruchome kształty.

– Transputery – wyjaśnił. – Nie męcz swego umysłu zastanawianiem się, do czego one są.

Z torby wypadały na mokry piasek różne małe przedmioty. Położył je na ziemi. – Zapomniał wszystkiego, czego się nauczył, sądząc z tego, człowieka – sprawdził przedmioty, pocierając brodę. Uys trzymał nieruchomo latarkę. Po przeciwnej stronie grobli zaryczał lew. – Musi tu być wszystko – zdecydował Blantyre. – Po prostu czekało, aby to ktoś odnalazł.

– Powiedział komukolwiek? – zapytał Uys.

– A komu on tu może coś powiedzieć? – westchnął i potrząsnął głową. – Cholerny amator! Nie rozumiem nawet, dlaczego on w ogóle zabrał te rzeczy, he? – wstał trzymając pustą torbę.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Uys. Jako jedyny w oddziale stał twarzą w twarz z Blantyre'em. Pozostali trzej członkowie oddziału, uzbrojeni, patrzyli w innych kierunkach, aby położyć w razie potrzeby ogień osłonowy; obserwowali budynek, groblę, wznoszącą się linię pokrytych trzcina platform i pozamykane namioty, dróżki wiodące do i od sztucznego zbiornika wodnego.

– Sir?

Blantyre uśmiechnął się i w ciemności odpowiedziały mu białe zęby Uysa. Gwiazdy zwieszały się ciężko, jak gdyby zbyt słabo przytwierdzone w głębokiej ciemności, a po wodzie przeleciało coś niedaleko nich delikatnie i niewinnie.

– Ilu ich jest, sir? – zapytał Uys.

– Ośmiu gości. Anderson i czarna lalka, może jakichś sześciu kafarów. Wszyscy śpią poza budynkiem. Łatwo podłożyć tu ogień albo rzucić rakietę.

– Wystarczająco dużo, aby doszło do jakiegoś okrucieństwa, pułkowniku – zauważył Uys.

– Och, no cóż, tak wielu tych kafarów wciąż krąży po Namibii z karabinami i granatami. Kto wie, co mogą zrobić w ciemności?

– Więc będziemy musieli...?

– Musimy, kapralu. Nie możemy pozostawić Andersona przy życiu, aby opowiadał o tym, co znalazł, prawda? Poza tym nie możemy zostawić żadnych świadków.

– Nie możemy, sir. Kiedy?

– Tuż przed świtem.

– Potem nadjedziemy przypadkiem, zaraz po świcie i zobaczymy dym?

– Dokładnie tak, Uys. Chryste, co my tu znajdziemy – okaleczenia i wszystko. Okropne!

– Nigdy nie powinno się pozwolić na niezależność południowego wschodu. To właśnie to potwierdza.

– Ten biedny bękart ma szansę znaleźć się na pierwszych stronach gazet przez tydzień. Masakra we wsi Okaukuejo... – powiedział Blantyre. Rozejrzał

się. – Dobra, zmienić amunicję na rosyjską, twarze przemalować na czarno, używajcie noży gdzie tylko i kiedy tylko się da. Upewnijcie się, że to cholerne miejsce płonie!

Pozostali z oddziału okrążyli go z bliska, jak gdyby trzymał w raku miską z jedzeniem dla głodnych kotów.

– Okay, Pelzer – powiedział Uys – ty zbierzesz dowody.

Blantyre spojrział na zegarek.

– Już po pierwszej. Chcę, aby atak zakończył się o szóstej trzydzieści, więc pośpieszcie się.

Długi raport od Priabina był zadowalający. Babbington rozłożył na nim swe palce stojąc obok biurka. Zimne, poranne światło padało na rozszyfrowane strony zamiast światła lampy, którą wyłączył, gdy doszedł do ostatniej, oddzielnej części sprawozdania. Wyłączył ją tak szybko, jakby drzwi zatrzasnęły się z powodu przeciągu. Tak samo szybko wstał i zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju.

Zbliżył się do okna wychodzącego na Arsenał. Poranek był ładny, prawie bezchmurny. Obserwował sokolników. Dwóch z nich niosło jastrzębie gołębiarze na przegubach rąk obleczonych w rękawice. Patrzyli w górę na dach budynku Rady Ministrów, w którym było jego biuro. Przechylił głowę nieco na bok, usłyszał krakanie stadka wron, na dachu nad swoim oknem, jakby drwiły z dwóch strażników KGB i ich ptaków. Obserwował, jak jednemu z młodych jastrzębi zdjęto kaptur i poluźniono wiązania. Ramię sokolnika wystrzeliło w górę i ptak wzniósł się w porannym świetle, stając się czarny, potem biały, prawie jak duch, na koniec złoty. Ruszył prosto do celu, jak gdyby skierowany do jego okna, a potem zniknął nad nim w ochryłym, już teraz cichnącym krakaniu wron. Jastrzębie rzadko kiedy złapały czy zabiły którąś z nich, przemieszczających się z dachu na dach wokół Kremla. Był to sport bez stawianych celów i wyników. Młody sokolnik stojący blisko odebranej Napoleonowi armaty właśnie zaczynał kręcić przynętą, aby przywołać młodego jastrzębia na rękę.

Bez celu lub zadowalającego wyniku. To nie był omen, to bezsensowne polowanie, ale w jakiś sposób nasunęło Babbingtonowi na myśl ostatni paragraf raportu Priabina. Jego żona spadła z konia kilka kilometrów od domu i cierpiała z powodu uszkodzenia mózgu. Wiadomość ta została odnaleziona w artykule

w „Timesie”. Bez wątpienia ta szmata Murdocha, która była kiedyś gazetą, z upodobaniem przypominała to, co oni oceniali jako jego zdradę. Ona, Elizabeth, była w śpiączce i nie oczekiwano, że z tego wyjdzie; i bez wątpienia jegosyn, antypatyczny Richard, szybko wyłączy system podtrzymywania życia i odziedziczy jej pieniądze.

Nie rozumiał, dlaczego Priabin dołączył tę informację i dlaczego tkwiła ona w zakamarkach jego świadomości jak paproch w oku. Serdecznie jej nienawidził, jak ona jego, mimo że teraz nie była świadoma swej nienawiści. Chciał wrócić, znaleźć się przy jej łóżku, nawet samemu wyłączyć tę maszynę – chociaż nie mógłby tego zrobić. Nie życzył też sobie, aby tak się stało. Richard i tak nie potrafiłby utrzymać swoich pieniędzy; jedynie dom i to, co zachowała z nikłych zasobów swojej rodziny; pieniądze, które złożył na jej kontach i udziały na jej nazwisko – to było dla niego osiągalne. Prawdopodobnie przepuści i przepije je przez rok.

Babbington potarł brodę i odsunął się od okna z lekkim uśmiechem, gdy jastrząb wrócił na przegub ręki sokolnika. Wyglądało to nie najlepiej. Może jego syn nie odczeka nawet jakiegoś przyzwoitego okresu, zanim zakończy nieświadomą egzystencję matki. Jego córka, która nienawidziła brata z całą jadowitością swojej matki, nie powstrzymałaby go, chociaż pewniej raczej z bólu niż z chciwości czy obojętności. Nie, Priabin nie powinien przysyłać tej informacji. To należało, jak zresztą pozostałe rzeczy, do przeszłości, do jego poprzedniego „ja”.

Ale reszta wiadomości był zadowolająca. Aubrey według nich wciąż przebywał na urlopie. Orrell był prostakiem. Godwin, technik, nie miał żadnych podejrzeń, co się rzeczywiście dzieje, wiedział jedynie, że ktoś trzyma łapę na całej ich gotówce! Malan przyspieszył sprawy bardzo fachowo. Jeżeli mają zrezygnować z Reid Group, to tak będzie. Musi być uwolniona ze wszystkiego, co ją wiązało, zanim zrezygnowano z operacji w Zjednoczonym Królestwie. Zazgrzytał zębami. Kapustin miał rację. Nie ma dymu bez ognia, gliniarza bez pałki et cetera! Powodzenie i tajność operacji w Reid była zagrożona. Najrozsądniej by było opuścić Anglię na jakiś czas, kiedy już uda im się dobrze skopiować transputery i technologię nowej generacji obwodów scalonych. Jednakże musiał zawiadomić Priabina i poinstruować go, aby odebrali wszelkie informacje, które jak sądził, Godwin i ten przeklęty Hyde mogli usłyszeć przez

laserowy podsłuch. Musi to być jednak zrobione w najgłębszej tajemnicy; nie może paść na nich cień podejrzenia, jeśli zostanie ujawnione. Orrell był klauzem, ale Godwin mógłby pobiec do Aubreya ze swoją płacziwą opowieścią i ten stary, perfidny facet może się na tyle dobrze czuć, aby to wziąć pod uwagę. Łatwo było oczywiście nad tym zapanować. Zaskakująca inicjatywa Godwina. Ale potem, nie powinno to wyjść dalej niż do najbliższego rogu ulicy, jeżeli kwestia przejścia materiału zostałaby załatwiona subtelnie.

Priabin był na to wystarczająco sprytny. Był dobry. Oczywiście szkoda, że Reid, a zwłaszcza Inmost i jego nowoczesne mikroukłady scalone oraz badania nad transputerami przepadną, przynajmniej na razie. Będą musieli wrócić do Ameryki, gdy już opadnie kurz po sprawie Shapiro.

Nagle nieoczekiwanie wzdrygnął się. Z jakiegoś niejasnego powodu przypomniał sobie, jak obudził się jako przyszyły pan młody o czwartej nad ranem przerażony, że zapomniał napisać przekłętą mowę z podziękowaniami dla gości weselnych. Pisał ją gorączkowo w świetle wschodzącego słońca i okazało się, że poszło mu całkiem dobrze. Elizabeth była tego dnia czarująca, chociaż już zadowolona z siebie i urażona, wiedząc, że została kupiona i sprzedana; pieniądze jego rodziny za jej rodzinne koneksje. Wymiana, czy raczej obrzydliwy interes? Teraz uświadomił to sobie. Była czarująca dla innych, raczej zimna dla niego, nawet w dniu ślubu.

Nabrał głęboko powietrza. Może jej obrazy staną się cenniejsze po jej śmierci. To może pomóc Richardowi utrzymać styl życia, do jakiego od dawna przywykł.

Podszedł ponownie do okna. Sokolnicy już odeszli, a wrony wróciły grzebiąc, kracząc i ostrząc swe dzioby na dachówkach. Niebo na zewnątrz było czyste i niebieskie, zapowiadając ładny dzień. Przewrócił ostatnią stronę raportu Priabina i podniósł słuchawkę telefonu.

– Tak, chciałbym podyktować wiadomość do zakodowania, która musi być natychmiast wysłana do Londynu. Możesz przyjść do mnie teraz?

Gdy wysunął się z łóżka, nagle poczuł, jak całe jego ciało ogarnął strach o tę drugą osobę w sypialni, Margarethe. Wystawił ją na niebezpieczeństwo. Spojrzał na jej szczupłe ciało. Spała spokojnie owinięta w prześcieradło i

pojedynczy koc, z jednym ramieniem na wierzchu, którego ciemna skóra rozświetlona była przez żółty księżyc.

Nie mógł spać. Blantyre zamierzał ich skrzywdzić; to było nieuniknione. Przełknął ślinę, gdy patrzył na Margaretę, potem poszukał rozrzuconych na drewnianej podłodze części ubrania, zatrzymując się jedynie po to, aby wciągnąć szorty, cienką koszulę i buty. Podłoga trzeszczała, Margarethe kręciła się i jęczała, potem zapadła w głębszy sen, z ręką wyciągniętą na pustym, białym miejscu, gdzie przedtem leżał. Delikatnie zamknął za sobą drzwi sypialni zabierając ze sobą prawie odruchowo stary pistolet, browninga GP-35, z dna szuflady. Kolba ogrzewała się w jego dłoni; ścisnął go zbyt mocno, jakby nigdy przedtem nie trzymał broni.

Powietrze przed świtem było chłodne, ale nie aż takie, żeby spowodować drżenie, jakie opanowało go na kilka sekund, dopóki nie otrząsnął się z tego jak pies z wody. Potem, przechylając głowę na bok nasłuchiwał. Ktoś głośno chrapał, słychać było brzęczenie niewidzialnego komara. Palce jego lewej ręki były rozgrzane, a ciało zdawało się coraz bardziej wyczulone, jakby pokryte cieńszą skórą z siecią nerwów bliżej powierzchni skóry. Zszedł cicho po schodach i ruszył wydeptaną ścieżką w kierunku namiotów rozłożonych nad brzegiem wody. Musiał sprawdzić bezpieczeństwo torby i jej zawartości, dowodu, że Blantyre i MLC byli związani przynajmniej z jednym oficerem KGB, który spędzał wakacje albo pochodził, lub miał krewnych, w Nowogrodzie. To było mało lub niewiele więcej. Ładunek nic mu nie mówił; mógł być nawet legalny. Tylko że Blantyre tam był. Poruszał się szybkim, cichym truchtem.

Przedświt zaczynał już przechodzić w jasność dnia, zabarwiając ciemność na wschodzie królewskim błękitem i gasząc gwiazdy. Księżyc był prawie przy horyzoncie. Ptak zaszeleścił w liściach palmowych pokrywających dach najbliższego namiotu turystycznego, z którego dochodziło skrzypienie, jakby ktoś obracał się na łóżku.

Była w tym jakaś zmowa i nielegalność – uśmiechnął się na przesadny, prawniczy ton swego myślenia – w tym połączeniu legitymacji KGB z brytyjską techniką, we wraku starej daktoty w środku namibijskiego buszu. W przeciwnym razie...

W przeciwnym razie, miałyby do czynienia z jakimś potężnym tępawym sierżantem policji, może nawet czarnoskórym. To, że przy wraku pojawili się

tylko biali, aby odzyskać znajdujące się w nim przedmioty, oczywiście potwierdzało jego podejrzenia. Uderzył kamieniem w wodę, marszcząc jej powierzchnię i dziękował sam sobie za wysłanie listu do Aubreya w Londynie.

Odetchnął z ulgą, kiedy przyjrzał się niewielkiej piaszczystej powierzchni przy grobli i nie odnalazł żadnych śladów stóp.

Więc Blantyre'a tu nie było...

...nie było torby, a kamienie zostały odsunięte. Torba wraz z zawartością zabrana. Andersonowi zapało dech ze strachu i niepewności. Rozejrzał się dookoła w popłochu machając rękami jakby w proteście. Namiot Blantyre'a był nieoświetlony, a teren wokół niego pusty. A więc nie mogło to się stać przed chwilą. Z oddali usłyszał Josepha lub Williama pobrzękującego garkami. Królewski błękit pokrywał już prawie połowę nieba. Wschodni horyzont był jaśniejszy. Z niskich drzew po drugiej stronie grobli wyszła niczego nieświadoma kudu i zatrzymała się wyczuwając jego obecność. Jej rogi przypominały gałęzie. Anderson patrzył na nią przez szarą wodę, rozpoznając w niej taką samą nerwowość jak u siebie, wiedząc, że i on, i gazela są potencjalnymi ofiarami.

Wstał wycierając wodę z ramion i dłoni zdecydowanymi, gwałtownymi ruchami. Gazela wycofała się, ukrywając się wśród małych drzew. Anderson biegł szybko w kierunku namiotu Blantyre'a wyciągając pistolet zza paska szortów. Stawiał wielkie kroki nie zwracając uwagi na hałas, rozsunął wejście do namiotu i siatkę na komary, zanurzając się w ciemność...

...odnalazł puste łóżko. Spał tutaj, ale teraz łóżko było puste i zimne. Strach ścisnął mu gardło, zmniejszając nieco jego determinację i pozwalając wkraść się wahaniu. Nawet nie pomyślał o tym, co by się stało, gdyby Blantyre był w swym namiocie i on by go obudził. Zawiódł go instynkt. Nie był już cennym kółkiem zębatym w tej maszynie jak kiedyś. Był teraz czymś pokrytym rdzą, porzuconym w wysokiej trawie i chwastach i nie mógł się równać z Blantyre'em.

Gdzie on był? Miał dowody, oczywiście wiedział. Anderson obrócił się w ciasnym namiocie. Wleciało już trochę komarów. Zapalił lampę naftową, ponieważ musiał coś się zająć, aby uciszyć drzenie, jakie ogarnęło całe jego ciało. Od razu w poświacie od kopącego płomienia lampy dostrzegł ogromne owady wielkości cukierków toffee, rzucające się na szkło lampy. Namiot był

brudny jak porzucona kwatery wojskowa. Jak gdyby Blantyre dopiero co wyjechał nie płacąc swego rachunku...

Pierwszy wybuch wstrząsnął nim jak grom; zrozumiał prawie natychmiast. Opanował go strach, ale jego dawniejsze „ja” wzięło górę i przejęło nad nim kontrolę. Odepchnął na bok płachtę namiotu. Z części pokrycia dachu domu buchały płomienie.

Platforma z namiotami zadudniła pod szybkim tupotem jego nóg, gdy usłyszał odgłos drugiej eksplozji – rakieta, rozpoznał, przypominając sobie przenikliwy gwizd tuż przed wybuchem i gwałtowność płomienia.

Przeszedł kilka kroków i ruszył szaleńczym biegiem przez wzgórze w kierunku domu. Jego ręce i klatka piersiowa były skąpane w pomarańczowym świetle ognia. Miał świadomość umykających sekund, każdego milimetra postępującego ognia, świadomość, że tam, gdzie uderzyła rakietą, w domu, w sypialni była ona... ogień będzie postępował polykając każdy mebel, każdą zasłonę, drzwi, wsunie się do sypialni i dotrze do łóżka. Ich głównym celem był on – jego pokój, jego żona. Trzeci wybuch spowodował, że zatrzymał się z przerażeniem, uświadamiając sobie, że przybył za późno.

Zawył z trwogi, a świadomość poniesionej straty powodowała, że przeklinał swoje ciało za zbytnią opieszałość. Strzecha nad werandą przez moment zaszeleściła, jak rosnąca trawa i uleciała ze świstem w górę.

Ludzie w namiotach budzili się, nawołując się jak rozdzielone delfiny, na które urządzono polowanie. Byli też inni w głównym budynku. Czyżby zabili ich wszystkich? Czy tylko tych, którzy mogą być dla nich niebezpieczni? Margarethe! Był czterdzieści, trzydzieści, potem dwadzieścia metrów od płonącego dachu. Coś wytoczyło się na werandę, gdy do niej dotarł, i sturlało ze schodów, płonąc tuż pod jego nogami. To mogła być jedna z emerytowanych Amerykank. Na werandzie leżał martwy William z poderżniętym gardłem. Płonące kawałki strzechy spadały deszczem na niego, gdy przechodził przez restaurację, kuląc się na odgłos pożaru i uchylając przed spadającymi kawałkami strzechy. Odepchnął pierwsze drzwi. Usłyszał jeszcze jeden wybuch, niedaleko grobli. Nie ma teraz na to czasu.

Nawoływał, wykrzykując jej imię, oczy miał załzawione, a gardło i płuca wypełnione gryzącym dymem. W barze eksplodowały butelki. Wąski korytarz

był wypełniony dymem jak tunel kolejowy. Krzyczał, wołał i błagał o odpowiedź.

Ciemna postać, poczerniona raczej niż czarna twarz, dziwnie znany zarys karabinu, coś podejrzanego i obcego. Bezpośrednie zagrożenie wywołało podświadomą koncentrację. Zabił nie zidentyfikowaną postać natychmiast dwoma strzałami, jak gdyby znalazł w domu mambę. Jego uwaga była tak skoncentrowana, że widział, jak kula podziurawiła koszulę, dostrzegł białą skórę, zanim załapała ją czerwień. Ciało upadło do tyłu za płomieniem, który wybuchł spoza otwartych drzwi w kierunku korytarza. Przeszedł ponad płomieniami i ciałem.

Drzwi sypialni Josepha. Joseph leżał na swoim łóżku zarznięty ostrzem długiego noża. Dziki i wściekły człowiek z buszu, ex-SWAPO albo jakiś inny wyrzutek. To się wciąż zdarzało. To, co widział, miało wyglądać jak przekonujące kłamstwo, że to okrucieństwo miejscowych czarnych skierowane przeciwko białym. Ruszył szybko korytarzem, poczuł zapach przypalanego ciała zbyt blisko, aby mógł pochodzić od kogoś innego niż on sam. Nie śmiał nawet spojrzeć na swe ubranie i odsłoniętą skórę.

Drzwi sypialni były zamknięte, tak jak je zostawił. Płomienie lizały czarne drzewo i ślizgały się po deskach drzwi. Kopnął je, dziękując sam sobie, że włożył ciężkie buty. Wpadł do środka. Ściany ich sypialni były pokryte pomarańczowymi płomieniami. Trudno było dostrzec łóżko; dym wypełniał pokój, a języki ognia przebłyskiwały przez kłęby dymu. Cała sypialnia była jakby w zmasowanym ogniu.

Kaszłąc, zgięty wpół skierował się w stronę, gdzie powinno znajdować się łóżko... pistolet drżał przy każdym ruchu jego prawej dłoni, wysiłek nie przyzwyczajonych rąk i kolan sprawiał ból, odpryski czepiały się skóry, żar parzył. Poruszał się centymetr po centymetrze, coraz trudniej mu było oddychać, był coraz bardziej świadomy, że może utknąć w dymie, jeśli zostanie w sypialni jeszcze kilka chwil dłużej.

Dotknął czegoś, co natychmiast rozpoznał jako jej rękę, która jednak nie poruszyła się, lecz leżała nieruchomo na podłodze. Brak wyczuwalnego pulsu w przegubie ręki nasiliło przerażającą pewność. Poczul skurcz w żołądku i walczył z chęcią zwymiotowania, przełykając raz za razem ślinę.

Zauważył, że płomienie w pokoju tańczą na wietrze wpadającym przez wielką dziurę wyrwaną w ścianie sypialni. Jej ciało nie poruszyło się. Przesuwał

rękę po jej ramieniu jak ślepiec, dotykał jej małej, drobnej twarzy, kości policzkowych, ust, nosa. Tył głowy był lepki od krwi. Nigdy więcej się już nie poruszy. Pozostał na kolanach zgięty we dwoje, poparzony i przy duszony dymem; zmartwiały ze smutku. Zabiła ją jedna z rakiet, która uderzyła w ścianę blisko łóżka, wyrzucając ją na drugi koniec pokoju siłą wybuchu. Zdał sobie sprawę, że nie poszedł w kierunku łóżka, a jedynie doszedł do tego miejsca, gdzie wyrzucone zostało jej ciało.

Dym kłębił się. Bolało go gardło, a z oczu spływały łzy. Jego umysł nie pracował, ręce miał ociężałe i bez czucia. Powoli położył się na boku blisko Margarethe, trzymając ją za rękę. Nie mógł dostrzec jej ciała, ale nie próbował nawet wyobrazić sobie, jak zostało zdeformowane.

To jest nieznośne jak rana, jak ból przypalonej skóry... przetrwanie. Palce miał drętwe, gdy trzymał jej rękę... Umysł był odrętwiały... przetrwanie. Blantyre. Dziwne, list który wysłał do Aubreya. Dakota. Przetrwanie... Blantyre, który to zrobił Margarethe. Blantyre, który to zaplanował...

...zemsta, choroba o której sądził, że wyleczył się z niej na zawsze. Blantyre. Gdzieś tam, architekt i projektant tego wszystkiego – jej morderca.

Połowa jego duszy płakała, kiedy zaczął się czołgać, nie chcąc jej zostawić, protestując przeciwko swojemu osamotnieniu. Ale ta druga część jego „ja” znalazła wyłamane drzwi i korytarz do restauracji. Dym wydawał się to zmniejszać, to znów narastać. Dach z liści palmowych nad restauracją opadał tuzinem małych płomieni. Butelki nadal eksplodowały jak granaty. Linia ognia nad wodą. Nikt nie ocalał. Ogień dokładnie obejmował widoczne zarysy namiotów gościnnych.

Podskoczył, zachwiał się, przebiegł małą przestrzeń od werandy do ziemi i upadł. Potoczył się w dół wzgórza czując się, jakby to nie on przetrwał, jakby jego prawdziwe „ja” umarło, paląc się obok jej ciała. Ale znał swoje drugie „ja”, żyjące intensywniej i prawdziwiej, niż mógł sobie wyobrazić. Nie zwracał już uwagi na ostatnie krzyki, odgłosy eksplozji i zabijania. Wypełniała go jedynie chęć ukrycia się, ucieczki. Dopóki jeszcze mógł wykorzystać szansę, wiedział, że mu się uda.

Woda. Zatrzymać ból za pomocą wody. Ale ból narastał, a jego smutek wracał, przerażenie spowodowane świadomością i dotknięciem palcami jej gładkiej, wilgotnej skóry i poranionej głowy. Nienawiść do Blantyre'a, którego

widział wyraźnie, jak gdyby stał nad nim z pistoletem, zmusiła go do przeczołgania się w kierunku wody. Wschód słońca robił wrażenie, chociaż był zamglony i rozmyty. Nie był świadomy niczego poza prawie namacalnym obrazem mężczyzny, który zamordował Margarethe.

Odgłos strzelaniny popchnął go do wody. Ubranie ocierało się o jego obolałą skórę, potem zaczął tonąć. Przerażający atak kaszlu i wymioty, w uszach odgłos wody uderzanej zdesperowanymi ruchami rąk. Woda zdawała się jeszcze bardziej palić jego skórę. Chciał krzyczeć z powodu nieskończonego bólu i wściekłości.

Powoli, niezdarnie machając rękami, odpłynął od brzegu, prawie nieprzytomny, nawet jej twarz stawała się coraz bardziej odległa, potem zniknęła. Twarz Blantyre'a także mała i niewyraźna, wreszcie nieobecna. Potem wróciła jej twarz, gdy próbował płynąć...

...nieprzytomny otworzył usta, nie czując wody wdzierającej mu się do płuc.

Hyde patrzył na ulicę Charing Cross Road i poranny tłok na skrzyżowaniu z Oxford Street. Zgarbione, drzemiące postacie młodych i starych mężczyzn usunęły się spod drzwi sex shopu i pubu. W mieście panował normalny rozgardiasz, nie było w nim tej beznadziejności i opuszczenia, jak to czasami bywa tuż przed świtem.

Godwin sprzeczał się z Chambersem, a jego głos brzmiał, jakby dochodził z puszczonej w kółko, nie kończącej się taśmy.

– Możemy to zrobić, Terry. To wszystko jest tam! – siedzieli przed wielkim ekranem telewizyjnym, podekscytowani i jednocześnie nieruchomi jak dwoje ludzi w domu starców. Mniej aktywni od żebraczki, siedzącej niedaleko światła na skrzyżowaniu, pochłoniętej kruszeniem kawałka czegoś, co trzymała w rękę i przyciskała do ust. Prawdopodobnie stare porzucone ciastko lub pasztecik.

– I możemy się tam dostać, jeżeli zbierzemy cały kod wejścia ze zdjęć wideokaset.

– Musielibyśmy zebrać wszystko, jak się należy – każdą pojedynczą literę i cyfrę – ostrzegł Chambers. – No i musielibyśmy w pewnej chwili zmienić taśmę. Słuchaj, nie mówię, że to jest niemożliwe, ale po prostu mielibyśmy cholernie dużo szczęścia. Poza tym, ten laptop na pewno jest zabezpieczony.

Potrzebny jest sygnał identyfikacyjny wysłany z jego maszyny do głównego komputera, aby go potwierdzić, nawet jeśli znamy zabezpieczenie kodowe. Nie możemy użyć innego urządzenia...

– Nie, ale cholera możemy użyć tego!

– Jak do diabła mielibyśmy to zrobić?

– To na razie nie jest istotne. Pośpieszmy się z tymi powiększeniami i zaczniemy zbierać konkrety z tej taśmy.

– Czy wy dwaj chcecie coś tak przyjemnego jak śniadanie? – zapytał Hyde.

– Co? Och tak, powiem Jimowi...

– Ja przyniosę. Jim jest na służbie na niższym piętrze. Priabin wie o nas. Dziesięć do jednego, że wie, jakiego sprzętu używaliśmy i czego możemy dowiedzieć się od Malana. Zresztą my nic nie mamy, ale on tego i tak nie zrozumie. Ja przyniosę śniadanie.

– Jak chcesz.

– Zamknijcie drzwi i miejcie oczy otwarte na kamerę.

– Tu jesteśmy bezpieczni – zauważył uszczęśliwiony Godwin.

I prawdopodobnie byli. Sprawdził kamery, gdy zszedł na dół. Specjalna winda mogła być uruchomiona jedynie przy pomocy klucza, dwa piętra zostały oddzielone od reszty Centre Point. Były tam alarmy i kamery. Poza tym to centrum Londynu i biały dzień. Chyba Godwin miał rację.

Odwrócił się, aby spojrzeć na ekran telewizora. Obraz był zatrzymany. Rozpoznał biurko MacPhersona, telefon podłączony do laptopa van Vuurena, smukłe palce mężczyzny nad klawiaturą, tuż przed połączeniem się z głównym komputerem MLC w Johannesburgu. Bóg raczył wiedzieć, jak Godwin mógł myśleć, że jest w stanie zrobić to samo.

Zamknął za sobą drzwi. Korytarz był oświetlony przyćmionym światłem dochodzącym spoza okienka w drzwiach przeciwpożarowych. Dwadzieścia pięter, wydzielony oddział w budynku i oczekiwanie.

Ale ta cisza od Priabina była ogłuszająca.

– Tutaj – powiedział Godwin w ciemności. – Wspaniale – trzymał ostatnie z powiększeń tuż przy twarzy i dodał:

– Okay, włącz światło.

Światła rozbłysły w ciemni na beżowych ścianach i opuszczonych czarnych roletach, oświetlając powiększalnik, płyty w kuwetach i rzędy zdjęć, które rozwieszane były jak wyprane prześcieradła w reklamie proszku do prania. Pokój wydał się nagle cieplejszy, prawie duszny z powodu ich wysiłku, Godwin odwrócił się z uśmiechem do Chambersa, który poruszał się pomiędzy girlandami zdjęć rozwieszonych jak wierzchnia garderoba czy damska bielizna.

W pokoju widać było wszędzie rozwieszone ujęcia rąk, zwisające z zaczepów i pinezek na sznurkach; ręce trzymane w powietrzu, ręce pracujące, ręce odpoczywające. Palce rozłożone jak u pianisty, palce jak szpony lub też złożone, jak gdyby miały się znów za chwilę rozłączyć. Ręce i palce van Vuurena, jego klawiatura i ekran otwartego komputera spoczywający na kolanach. Wydawało się, że było tu wszystko, co możliwe. Godwin spojrział na zegarek. Szesnasta trzydzieści. Van Vuuren wrócił do Intercontinental Hotel. Zarezerwował sobie stół w restauracji hotelowej i umówił się z wysokiej klasy call girl, Mulatką, piękną i pociągającą, jak z reklamy kawy czy rumu. Pokój van Vuurena będzie wolny prawdopodobnie najdłużej przez dwie godziny, od ósmej do dziesiątej. Na pewno zostawi w nim swój komputer.

Godwin wyciągnął ręce jak sknera lub ktoś podchodzący bliżej do ognia. Teraz, kiedy już zrobili powiększenia, miał władzę nad van Vuurenem i Malanem oraz satysfakcję ze zbliżającego się rozwiązania.

– Okay – ogłosił – zacznijmy je zdejmować.

Obaj byli niecierpliwi jak dzieci zrywające owoce w sadzie. Sięgali po zdjęcia, zdejmowali je z przytrzymujących żabek i układali w uporządkowane sekwencje.

– Nie zbierzemy z tego wystarczającej ilości szczegółów – narzekał Chambers.

Przyjrzał się powiększeniu zdjętemu z zaczepu, jakby był krótkowidzem.

– Jego ręce poruszały się za szybko...

– Wiem o tym – odpowiedział sarkastycznie Godwin. – Ale zobacz, jakiego używa monitora – wyraźny jak dźwięk dzwonka. Spróbuj otrzymać taką samą jakość na stop-klatce wideo. Poza tym musielibyśmy zmienić kasetę w połowie. Będzie czegoś brakować, więc nie wyrzucaj niczego z sekwencji.

– Okay – wymamrotał Chambers, zdejmując ostatnie powiększenie i trzymając je przed sobą. – Wszystkie?

Godwin uśmiechnął się szeroko:

– Wszystkie – spojrzał na zegarek. – Czwarta trzydzieści. Bierzymy się do roboty.

Gdy wyszli z ciemni, do ich uszu dobiegł szum windy ponad brzęczeniem komputerów i wzmacniaczy. Późne popołudnie, czas do domu, pomyślał Godwin, ale kiedy wyobraził sobie swoje nie posprzątane mieszkanie i towarzystwo jedynie chudego czarnego kota, hałas wind zszedł na drugi plan. Chambers opuścił żaluzje w oknie. Popołudniowe światło sączyło się przy ramach okiennych. Pogwizdywał przesuwając wielki telewizor na środek pokoju, sprawdzając kasetę wideo i wkładając ją do odtwarzacza. Godwin zajęty był układaniem powiększeń na długim stole, jak gdyby ustawiał talerze na proszony, ważny obiad. Van Vuuren miał jeść kolację o ósmej. Może wskoczy na panienkę przed kolacją, a może i nie. Spojrzał w górę. Chambers przewijał taśmę, przelatując przyjsście Malana, van Vuurena i kobiety Priabina do biura MacPhersona. Hyde z pewnością wszystko spieprzył pojawiając się na schodach tuż przed odjazdem Malana!

– Okay? – zapytał Chambers.

– Okay... jeszcze troszkę, och, właśnie tak. Właśnie bierze laptopa na kolana – dobrze. – Na stół zostało skierowane silne światło, pobłyskujące na zdjęciach. Obraz na ekranie był czysty. Widać było każdy szczegół. Chambers machając pilotem jak chorągwią usiadł naprzeciw ekranu i włączył mały, kieszonkowy magnetofon. Ułożył notes na skrzyżowanych nogach i wziął do ręki pióro.

– Mogę dyktować, panno Chambers? – zapytał Godwin.

– Ale nie usiądę na pańskich kolanach, panie Godwin.

– Okay, obejrzyjmy to obrzydliwe wideo.

Usadowił się wygodnie. Na zewnątrz usłyszał zegar odległego kościoła wybijający cienko godzinę – piąta. Windy jechały w dół. Oni mieli swoją prywatną windę, uruchamianą kluczem, jak drzwi przeciwpożarowe na końcu korytarza. Byli odizolowani w wielkim biurowcu.

– Dobra... Sezamie, otwórz się.

Na ekranie ręce van Vuurena uruchomiły laptop. Chambers przycisnął włącznik i przyciemniony pokój wypełniła rozmowa zarejestrowana przy

pomocy podsłuchu. Van Vuuren i Malan próbowali udowodnić MacPhersonowi, że Reid Electronics ich potrzebował. Przesłuchali to już tak wiele razy, że tkwiło to już w ich podświadomości. Palce van Vuurena były zawieszane w powietrzu, jak na trikowym zdjęciu zgiętych ramion i nóg szeregu sprinterów czekających na sygnał pistoletu startowego. Chambers poruszył się na swym krześle, a Godwin był spięty, gotowy do startu. Chambers trzymał mały magnetofon przy ustach, gotowy do nagrywania.

Prawa ręka van Vuurena podłączyła telefon MacPhersona do komputera, a potem jego palce zaczęły bębnić w klawisze.

– ...Południowa Afryka... To Johannesburg, główny budynek MLC – mamrotał Chambers, podczas gdy Godwin przesuwał zdjęcia na stole, układając je. – Teraz jesteśmy w głównym komputerze.

W pokoju panowała przygniatająca cisza. Nie było słyhać nic poza łagodnym pomrukiem elektronicznych urządzeń, szeptem Chambersa i skrobaniem jego długopisu, a nawet lekkimi obrotami jego kieszonkowego magnetofonu. Zdjęcia uchwyciły większość numerów, szczególnie na ekranie. Godwin obserwował palce van Vuurena na monitorze, powtarzając wszystko jak sufler w teatrze.

Na ekranie pojawił się napis: Konieczne Potwierdzenie Dostępu.

– Kruger – wymamrotał Chambers, pociągając nosem.

– Chryste, jakie cholernie oryginalne. Mogli, jak sądzę, równie dobrze wymyśleć hasło Krugerrand – dodał sarkastycznie.

– Jest Kruger – potwierdził Godwin. Zdjęcia i wideo były o wiele lepsze, niż przypuszczał. Łatwizna, jak zwykli mawiać, przypominając sobie chwilę paniki, gdy on i Chambers musieli zmienić kasetę wideo i taśmę filmu w kamerze... przerwa była długa, całe sekundy. Próbował o tym nie myśleć, uważając na Chambersa i sekwencje, które śledził jedną za drugą.

– A te słowa w africaans, Terry?

– Pierwsze jest... B-o-e-t...

– e... nowe słowo – Godwin przeskoczył przez kilka powiększeń.

– Tak, tutaj są. Boete Erasmus. Kim on był? Przyjaciel Paula Krugera?

– Nieważne, prawda? Następne – mamrotał dalej Chambers.

Godwin podniecony i jednocześnie zatroskany był teraz w połowie stołu posuwając się do miejsca, w którym wiedział, że znajduje się ominięty fragment. Skoczył ciężko na swych kulach i ogłosił:

– E-1-l-i-s... Park. Ellis Park.

– Zgadza się. Dlaczego ze mnie znów taki prosty człowiek?

– Ponieważ, Ernie, nie wyglądasz tak komicznie jak ja – wymamrotał Godwin. – Co masz dalej?

Chambers nacisnął przycisk odtwarzania na pilocie i powiedział:

– Gdzie jest Ellis Park?

– Kto wie? – Godwin hałasował po drugiej stronie stołu, jego palce wymierzały wyświetlony obraz na sfotografowanym monitorze komputera, kiedy zmieniał się litera po literze, litera po...

– Cholera – wymamrotał Chambers. – Koniec taśmy.

Godwin dotarł do przerwy, której przesądnie nie zostawił pustej, a nawet zgromadził tu więcej odbitek, jakby chciał ten brak zrekompensować.

– N-e-w-1-a... – wyrecytował Chambers, naciskając za każdym razem przycisk, żeby zwolnić tempo, sprawdzając każdą z nich, wychylając się ze swojego krzesła i wpatrując się w ekran. – Ta nowa cholerna taśma pokazuje... Co pokazuje?

Godwin patrzył zahipnotyzowany na drgania obrazu na ekranie telewizora.

– ...s-v-e-1-d... Cholera! – Chambers obrócił się do Godwina, a jego krzesło zajęczało jak małe, niegrzeczne dziecko odmawiające zjedzenia posiłku. – Co do cholery tam masz?

– Newła, tak jak ty, potem nie mam nawet końca następnego wyrazu czy też wyrazów. Czy to zostało zjedzone, kiedy wróciłeś?

Chambers spojrział na dwa zdjęcia.

– Tak. Następne jest e-l-d... to zostało połknięte. Potem on wchodzi do środka. Następną rzeczą, jaka się pojawia, jest MENU. A u ciebie?

– Menu – powiedział powoli Godwin, jego palce przesuwały się po zdjęciu, jak gdyby chciał wyciągnąć z niego coś jeszcze.

– Cholera...

Potrząsnął z irytacją kulami, podczas gdy Chambers usiadł z ponurą miną opierając brodę na rękach, które złożył na oparciu fotela.

W budynku panowała teraz cisza, ale pokój nie był już tak sprytnie zakonspirowany.

– Czy mamy resztę tego? – zapytał ostro Godwin. Żadne nazwy nie przychodziły mu do głowy. Angielski i africaans, oni mówią w obydwu tych językach – przypomniał sobie. Kod dostępu van Vuurena – prawdopodobnie wspólny dla wszystkich dyrektorów MLC, a przynajmniej dla tych najważniejszych, którzy mogli go przekazywać przy pomocy sygnału z laptopa i dostawać się do głównego komputera i wszelkich danych – miał tu dziurę. Jeśli nie będą mogli rozszyfrować, naprawdę zgadnąć, co to było, nie dostaną się do komputera w Johannesburgu przez linię telefoniczną w pokoju hotelowym van Vuurena. Tego wieczora albo nigdy. Van Vuuren miał wyjechać do Afryki Południowej następnego ranka. – Och, pieprzyć to.

– Ponumerujmy sekwencje – skomentował Chambers, który miał je nagrane na swym małym magnetofonie. – Potem weźmiemy się do roboty. Według numerów – on używa jedynie tych, które dopuszczają go do dokumentów na temat projektów i dostaw, czyż nie? Możemy mieć wszystko, czego chcemy. Główny komputer pyta, ty odpowiadasz w prostych słowach...

– W africaans?

– Nie, po angielsku.

– Więc mamy wszystko poza... no, poza czym? Jednym, dwoma czy trzema słowami?

– Bóg jeden wie. Ja nie wiem. Och, tam jest jeden żart, zauważyłeś go?

Godwin przejrzał zdjęcia.

– Tak – aby potwierdzić menu, utrzymać je na ekranie – trzeba podać jedno podtrzymujące słowo. Chytra odpowiedź

– Mandela.

– Bezczelne bękarty.

– Wszystko niepewne. Boże, mamy główny komputer MLC leżący z rozłożonymi nogami i nie możemy w niego wleźć.

Godwin spojrział w kąt cichego pokoju, gdy zabrzmiał alarm. W okrągłym okienku ekranu pojawiła się twarz pracownika ochrony, zasłaniającego obraz foyer Centre Point. Godwin słyszał w oddali wycie syren za opuszczonymi żaluzjami. Chambers podniósł się ze swojego fotela i podszedł do ekranu. Pokój wydawał się odizolowany aż do przesady.

– Panie Godwin, ogłoszono alarm bombowy. Czy mogę zaproponować panu ewakuację, tak jak pozostałym w budynku?

– Myślałem, że wszyscy już wyszli do domu? – powiedział Godwin. Była teraz piąta czterdzieści.

– Panie Godwin, budynek był prawie pusty – zostało jedynie kilka osób. Już ich nie ma, sprawdziłem. Wezwany został oddział saperów, ostrzeżenie przyszło przez telefon. Wygląda, że ma to jakiś związek ze Środkowym Wschodem. Czy możecie zjechać teraz windą na dół? Ja także będę ewakuowany jak wszyscy.

Za plecami ich pracownika ochrony było widać na ekranie fragment policyjnego munduru.

– Cholera jasna! – krzyknął Chambers.

– Dobrze, Jim, natychmiast schodzimy na dół.

– Bardzo dobrze, panie Godwin.

Ekran stał się pusty, a potem pokazał się na nowo obraz foyer i schodów. Kilkoro ludzi szybko przechodziło przez foyer; schody były puste.

– No więc? – zapytał Chambers.

– No więc? Pozbierajmy wszystkie nasze potrzebne rzeczy, tak na wszelki wypadek.

– Oni widzieli Hyde'a wczoraj na schodach. Sądzisz, że...?

– Nie pytaj, po prostu zbieraj wyposażenie, kasetę wideo, odtwarzacz.

– Dobra.

Godwin zaczął zbierać zatrzymane w kadrze ujęcia zgarniając je fachowo w jeden stosik, szamocząc się przy stole, podczas gdy Chambers wyjął kasetę, zebrał wydruki komputerowe, notatki oraz inne papiery. Chryste, pomyślał Godwin, ruszajmy się, tyle jest tych cholernych rzeczy. Spojrzał jeszcze raz dookoła i rzucił okiem na Chambersa. Jego ręce były wciąż pełne lepkich zdjęć, Chambers obejmował ramionami wypadające materiały – dwie pielęgniarki ratujące dzieci z niebezpiecznego miejsca.

– Czy mamy wszystko? No cóż, dosyć – wrzasnął.

Chambers upychał kartki materiału do luźnej torby, potem na klęczkach wypełniał inną, patrząc dziko na zawalone stoły i półki z kasetami wideo.

– Jeszcze kilka minut! – odrzyknął.

Popołudniowe słońce przeświecało ostro przy krawędziach opuszczonych

żaluzji. Nagle pokój stał się niebezpieczny. Zagrożenie bombą. Nie mogła to być kontrakcja, nie było możliwości, aby to był zwykły podstęp. To był realny plan – godzina szczytu, zatłoczone ulice, róg Oxford Street. Ktokolwiek to robił, oni byli w ciężkim położeniu. Godwin wepchnął kasety wideo w otwartą paszczę sportowych toreb wymiatając je z metalowych półek, jak gdyby uczestniczył w jakimś zwariowanym wyścigu w supermarkecie.

- Gotowy? – krzyknął nieswoim głosem.
- Gotowy! – odkrzyknął Chambers głosem podobnie zmienionym.
- No to ruszajmy, do cholery. Ruszajmy, zanim odetną prąd od wind.

Na ekranie widać było puste foyer, puste korytarze, puste schody. W następnej minucie mogliby zostać odcięci tu na górze, z bombą, która mogła wybuchnąć. Nie spalili książek kodowych i nie zabrali ich; w pokoju zostało wyposażenie warte tysiące, razem ze wszystkimi tajemnicami, leżące teraz dookoła jak łupież.

Godwin wyszedł pochylony za Chambersem przez drzwi na korytarz prowadzący do windy.

Hyde zatrzymał się na rogu Oxford Street i Charing Cross Road trzymając w rękę plastikową torbę z płytami jazzowymi, która obijała się o jego kolano. Wiedział, że Ros policzy małe samoprzylepne naklejki, których zbieranie było jego słabością, a potem zbeszta go na całego, zanim jeszcze zdoła je zerwać z okładek płyt. Jezu, samochody poruszały się niemrawo. Gdy zszedł z chodnika, kilka klaksonów bezradnie trąbiło. Biało-czerwona taśma powiewała na wczesno wieczornym wietrze. Gdy sklepy zaczęły się wyludniać, na chodnikach przybywało ludzi, obserwujących nieruchomo, co się dzieje. Oxford Street i Charing Cross Road były zamknięte. Czarne taksówki w tłumie innych samochodów stały na podjeździe Centre Point, na którym zazwyczaj były limuzyny dygnitarzy. Nagle wszędzie pojawiła się policja, kamery telewizyjne, pierwsze samochody strażaków zaparkowane prawie dyskretnie, karetki pogotowia...

Tłum naprzeciw niego zaczął się cofać, gdy policja odsunęła ludzi, wymiatając ich ze schodów biurowca. Zaczął przepychać się do przodu, nikt na niego nie zwracał uwagi. Wszyscy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w Centre Point z głowami zadartymi do góry, czekali na rozpryski szkła jak na filmie i

rozpadanie się ścian. Rozepchnął łokciami dwie kobiety, potem mężczyznę w płowym garniturze z plamami potu pod pachami, a następnie starszego mężczyznę – przeprosił go i przepchnął się do przodu, znowu rozepchnął kolejnych amatorów zakupów, coraz więcej toreb wchodzących w kolizję z jego własną, którą upuścił na chodnik i udało mu się to zlekceważyć, chociaż w pierwszej chwili poczuł przerażenie.

Wpadł na policyjny mundur i powstrzymującą go rękę.

– Przepraszam sir, ale...

Dostrzegł na schodach Godwina, a potem Chambersa. Szli schyleni pod ciężarem toreb, z wystającymi papierami, laptop widniał w prawej ręce Chambersa; jak gdyby ograbili jakiś sklep. To nie mogło być zagrożenie wybuchem bomby – nie z tymi dwoma wynoszącymi swój bagaż. Zbyt przypadkowe, aby było prawdziwe; to było zaaranżowane. Spojrzał w górę ponad dwudziestym piętrem. Żaluzje były opuszczone na całym zamkniętym piętrze. Pokazał swoją legitymację.

– Po prostu wpuść mnie do środka. Widziałeś już przedtem coś takiego?

Policjant skrzywił się, a potem wpuścił go do środka z ustami zaciśniętymi ze złości. Hyde wyczuł nagle zainteresowanie swoją osobą, gdy zaczął wchodzić w górę po schodach, machając teraz swą legitymacją jak chorągiewką każdemu, kto się do niego zbliżył. Na szczycie schodów Godwin prawie na niego wpadł.

– Gdzie jest Jim? – zapytał Hyde.

– Spóźniłeś się, do cholery! – wrzasnął Chambers pocąc się pod ciężarem swych toreb i komputera.

– Gdzie jest Jim, Godwin? Dlaczego nie jest z tobą?

– Co? – głowa Godwina odwróciła się w kierunku przyciemnionych szyb w drzwiach i mrocznego foyer poza nimi. – On – jak sądzę...

– On powinien być tutaj, czekać na ciebie, wy dwa kutasy! Co się z nim stało?

– Zapomniałem o Jimie...

– O cholera! – spojrział na Godwina i dodał:

– To nie jest zagrożenie bombą, chłopie, czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? – pośpieszył w stronę szklanych drzwi i stojącego tam zdenerwowanego policjanta. Machnął swoją legitymacją i pchnął drzwi. Inspektor policji

ruszył, aby go zatrzymać. Konstabl potrząsnął głową w stronę inspektora, który zwolnił i odwrócił się do Godwina. Hyde przeszedł do pustego, cichego foyer Centre Point.

Obejrzał się na tłum, odpychany i powracający jak fala przez falochron niebieskich mundurów. Było teraz więcej karettek pogotowia, a do pierwszego wozu strażackiego dołączyła już cała ich grupa i słyszał odgłos zbliżających się syren. Nikt nie mógł wejść teraz do budynku, jego legitymacja załatwiała wszystko: on i ktoś, kogo poszukiwał, oficjalnie nie istnieli i nie trzeba im było tłumaczyć, aby stąd odeszli. Cisza i pustka w wielkim foyer; opuszczone stanowiska ochroniarzy, tablica z przegródkami wypełnionymi plakietkami z nazwiskami, co oznaczało, że biura były puste.

Zaczął biec, myśląc o Jimie, pracowniku ochrony, który powinien być na zewnątrz z Godwinem i Chambersem. Jim były sierżant Wydziału Specjalnego. Jim i jego ekrany z podglądem na resztę budynku, windy, schody pożarowe...

...z powodu wczorajszego dnia, ponieważ Malan i sprytna dziwka Priabina widziała go naprzeciw NatWest Tower. Pokręcił kluczem w zamkniętych drzwiach i otworzył je. Jego twarz otarła się o marynarkę zawieszoną za drzwiami. Na konsolce leżał „The Sun”, otwarty jak gdyby specjalnie, na stronach z rubryką wyścigów konnych, z zakreślonymi ołówkiem typami. Fotel był pusty...

...nie było monochromatycznych obrazów schodów, drzwi wind zamknięte, foyer i odcięte od reszty budynku piętro. Ręka Jima leżała rozłożona jak kwiat, jego twarz była łagodna w śmiertelnym śnie, oczy patrzyły na sufit. Mała strużka krwi płynęła z tyłu jego szyi, blisko linii włosów. Kołnierzyk był nią nasączony, całkiem mokry. Papieros wciąż dymię w małej popielniczce.

Ekrany były wyłączone, ale musieli się spieszyć. Nie wyczuł pulsu, serce nie biło. Skroń Hyde'a znalazła się przy brodzie Jima, gdy osłuchiwał jego klatkę piersiową. Usiadł na brzegu fotela i nacisnął włączniki na konsoli. Ekrany ożyły, nagle wypełniły się pustymi korytarzami, bezbarwnymi ścianami, drzwiami wind, ciszą zamkniętego piętra. Dostrzegł kilka kartek papieru zaśmiecających korytarz, upuszczonych przez Chambera i Godwina podczas marszu do windy. Schody ewakuacyjne – piąte piętro, szóste, siódme, drzwi wewnętrznej windy zamknięte... Gdzie to było, na górze, czy na dole? Powinno być na dole...

...w biurach SIS. Zobaczył na ekranie trzech uciekających w czarnych strojach i maskach narciarskich, przerzucających papiery, maszyny, zbierających z furją dokumenty. Mogli być już w środku, gdy zaczął się alarm bombowy, czekali, aż będą mogli zabić Jima – Hyde spojrział na dół na zastygłą twarz i niewidzące otwarte oczy – potem pojechali na górę wewnętrzną windą. Za pięć minut mogą tą samą drogą wyjść na ulicę.

Ludzie Priabina, uzbrojeni w uzi, ubrani jak SAS w ambasadzie irańskiej, dotykali wszystkiego, czego Godwin i Chambers nie mieli czasu zabrać. A było tego bez wątpienia dużo. Dokładne wskazówki, co właśnie robili, jak daleko posunęli się w sprawie.

– Głupie bękarty – wymamrotał, zsuwając się z krzesła i zamykając drzwi biura za sobą. Zamknął je na klucz. Potem pobiegł do wind w foyer. Mogli usłyszeć windę tajnej służby wywiadowczej zjeżdżającą na dół oraz wjeżdżającą na górę i poczekać na niego, gdyby jej użył.

Dwa piętra pod nimi, nie, nad nimi będzie bezpieczniej. Winda zaczęła wjeżdżać do góry, w zdenerwowaniu wydawało mu się, że bardziej hałasuje. To musieli być ludzie Priabina, nie Malana.

Dwa piętra nad biurami SIS, winda zatrzymała się i drzwi się otworzyły.

Chryste, dlaczego Godwin i Chambers musieli uwierzyć gazecie „The Independent” i Jankesom, gdy im powiedziano, że zimna wojna się skończyła? Wyszedł na korytarz ostrożnie jak kot. Syreny na dole, odległe i nierealne. Na miłość boską, Godwin i Chambers nie wierzyli, że chciano ich naprawdę skrzywdzić! Trzech mężczyzn z uzi – wyjął ze swojej kabury pistolet Heckler & Koch i przeładował broń. Zaczęli pakować materiał, maszyny, wydruki komputerowe i taśmy do lekkich płóciennych toreb, gdy on wyszedł z biura Jima zostawiając tam jego ciało. To nie potrwa długo. Nie będą czekali.

Wyszedł przez drzwi pożarowe i schodami na dół. Spojrział na wyludnioną i cienistą ulicę, na wojskowe pojazdy i krzątanie ludzi w mundurach. Tłum był zalany przez gorące popołudniowe słońce, otoczony przez cienką, ciemną linię policjantów. Dotarł do piętra, gdzie były biura SIS. Popchnął drzwi przeciwpożarowe starając się sobie przypomnieć, czy skrzypią. Cisza przy ich otwieraniu, a potem trzask i terkot jak na starej, zniszczonej płycie, kiedy ich usłyszał. Trzymał pistolet w obu rękach, na wysokości twarzy, łokcie miał zgięte, gdy skradał się po cichu korytarzem, oparty plecami o ścianę.

Drzwi magazynu nie były zamknięte na klucz. Na szczęście Jim lub ktoś inny o tym zapomniał. Wsunął się w ciemność zamykając za sobą drzwi, słysząc jednocześnie własny oddech, głośniejszy od hałasu powodowanego przez nich dwa pokoje dalej. Włączył światło. Kurz, pokryte nim metalowe półki, kosz do śmieci pełen starych akt, papiery, taśmy ułożone jak opony, kosze zużytych taśm i postrzępionych wydruków komputerowych. Rozwinięta taśma i kawałki papieru podobne do konfetti pokrywały podłogę. Przeszukali już magazyn i porzucili jak wyeksploatowaną kopalnię. Poszedł dalej, nasłuchując, obok stolika na kółkach, na którym stał stary monitor telewizyjny. Pomacał kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki...

...jej płomień trzasnął głośno przy zapalaniu, jak w starych amerykańskich zapalniczkach. Włożył całe garście papieru i taśm do kosza i umieścił go na stoliku na kółkach. Usunął telewizor, każdy szmer wydawał mu się głośniejszy niż hałas, który robili za drzwiami. A jeśli są zamknięte na klucz? Niemożliwe, oni je otworzyli. Potarł zapalniczkę i pojawił się płomień. Upuścił ją, gdy płomień ogarnął zawartość kosza. Ogień...

Przypadł do stolika na kółkach, który ruszył ze słabym, jęczącym protestem w kierunku drzwi.

– Co to było? – usłyszał po rosyjsku.

Drzwi...

...otworzyły się. Stolik... Chryste! Wtoczył się przez otwarte drzwi do pokoju, mrocznego z powodu opuszczonych żaluzji, jeden człowiek niedaleko okien, inny zaraz obok, trzeci krążący dookoła, wymierzone uzi...

...alarm. Wysoki, kłujący ton alarmu. Płomienie i dym wylatywały z kosza. Zatrzasnął drzwi magazynu za sobą. Kawałki drewna przeleciały blisko jego twarzy, potem rozprysły się od uderzenia kul. Otworzył drzwi na korytarz. Pusty. Dwadzieścia sekund. Płomień wylatujący przez otwarte drzwi odbijał się od ścian bardziej pomarańczowo niż słońce. Mogli zgadnąć, kiedy spostrzegli brak gaśnic, że był to pokój komputerów, gdzie nie mogło być wody, i że w ciągu kilku sekund po zamknięciu drzwi zostanie wypełniony gazem.

Jeden z nich wiedział. Hyde kłęczał z ręką założoną do tyłu jakby w proteście, mocno trzymając pistolet. Oddał dwa strzały. Ubrana na czarno postać cofnęła się, wyrzucając ręce i wpadła z powrotem do pokoju; pojawiła się znów w polu widzenia, jak komiczna kukła, wypchnięta przez innego mężczyznę.

Właśnie powinien wyłączyć się system klimatyzacyjny i pozostały jedynie sekundy, zanim zablokowane zostaną awaryjne drzwi i wejście do windy, a pokój zostanie wypełniony obojętnym gazem.

Hyde wyskoczył przez drzwi pożarowe na schody, potknął się i potoczył, ścierając sobie ręce i kolana, uderzając się pistoletem w rękę i wpadając na ścianę. Potem potrząsnął głową i odwrócił się czekając na ich przyjście.

Drzwi zostały zablokowane. Słyszał słabnące odgłosy walenia w drzwi, jak wycie wiatru gdzieś w rurach centralnego ogrzewania. Nie ma tam już teraz powietrza. Nikt stamtąd nie wyjdzie.

Nie było już słyhać dobijania się. Cisza. Zszedł powoli w dół schodami chowając pistolet za pasem, poprawił krawat i marynarkę. Teraz byli już martwi; uduszeni. Zaduszeni na śmierć, jeśli wolisz – powiedział do siebie. Zamordowani.

Popchnął drzwi pożarowe na piętrze poniżej zamkniętych biur SIS i poszedł w kierunku windy. Tam gdzieś był kapitan albo major i nadinspektor, którym powinien powiedzieć, że to był kawał, fałszywy alarm. Potem, gdyby wyznaczeni ludzie z SIS weszli do środka, znaleźliby przy ciałach dokumenty IRA, libańskie lub irackie – Priabin zabezpieczył się na wszelkie sposoby. Czuł się zmęczony, trochę oszołomiony, jakby złapało go letnie przeziębienie.

– Tak, dokładnie to mam na myśli, Walentyno! Wyłączył alarm ogniowy w pokoju komputerowym ochrony i uruchomił system bezpieczeństwa. Powietrze zostało wypompowane i oni się udusili, a ty się zastanawiasz, czy ja nie przeceniam tych ludzi! – Priabin bębnił pięścią po biurku i podniósł się z fotela. Potem przetarł twarz, jakby się mył i usiadł znów w fotelu.

Wieczorna gazeta była pełna zdjęć Centre Point, histerycznie zachłystująca się plotkami – POSŁANO NA MIEJSCE SAS, a poniżej TO BYŁ FAŁSZY-WY ALARM. Ekran telewizora stojącego w rogu pokoju z wyłączonym dźwiękiem, pokazywał zdjęcia tłumu wokół Centre Point – słyszał już komentarz na kanałach komercyjnych i w wiadomościach o szóstej. Oficjalna wersja brzmiała, że to był fałszywy alarm. Ich ostateczna wersja prawdopodobnie będzie taka – żeby odpowiedzieć na telefoniczne żądania wymierzenia sprawiedliwości przez wymyślony przez niego iracki szwadron mścicieli – że

intruzi, którzy mogą być, albo też nie, ze Środkowego Wschodu, musieli wyłączyć system bezpieczeństwa. Popelnili prawdopodobnie samobójstwo; wypadek. Gdyby nie rozmowy telefoniczne ze środkami przekazu, co było konieczne, żeby opróżnić budynek, mogliby zaprzeczyć wszystkiemu, co się wydarzyło!

Dobry Boże w Niebiesiech, co za cholerny bałagan! Trzech dobrych ludzi, tak cennych jak ich umiejętności, mężczyzn, którzy mogli podawać się za Arabów, było martwych, a on nie wiedział teraz więcej, niż zanim ich tam wysłał. Chryste, dostrzegł nawet podczas którychś wiadomości Godwina i Chambersa stojących na schodach, z rękami pełnymi toreb, dokumentów i kaset, jak dwóch klientów robiących zakupy pierwszego dnia na wyprzedazy u Harroda! Patrzył podejrzliwie na Walentyne, która uważnie obserwowała ekran telewizora. Wydawała się zszokowana tak samo jak on. Była oczywiście bardzo ambitna – podejrzewała nawet, jak był znudzony i zdany na jej łaskę. Mogła też rozważyć, jak wykorzystać to do swoich celów. Nie miała nadziei, że zajmie jego stanowisko, ale mogła mieć nadzieję na awans.

Priabin przekładał raporty na swoim biurku; kobieta nastawiła uszy jak pies. Sir Clive Orrell pośpieszył do Biura Rządu na spotkanie z Longmeadem, wraz z ministrami i ich doradcami, którzy tworzyli antyterrorystyczny komitet rządowy. Wciąż obradowali, sądząc po przybywających i nie widząc wyjeżdżających. Alarm w Centre Point został odwołany. Dużo policji. Ciała zostały wywiezione przez garaże w podziemiach w nie oznakowanej ciężarówce. Bez wątplenia, wszelkie filmy z obecnym na nich Hyde'em zostały odebrane władzom telewizyjnym. W końcu kupią bajeczkę, że to była zemsta iracka za wojnę w Zatoce, i będą musieli się wytłumaczyć, dlaczego służby specjalne mają swe biura w Centre Point. Potem zarówno jego ludzie, jak i ich znów się ukryją. Hyde byłby wypytywany – będą mu chyba wdzięczni, że zrobił to w tak cichy i delikatny sposób!

– Gdzie jest teraz Hyde? – wrzasnął. Dziewczyna podskoczyła, jakby się obudziła, potem odwróciła się do niego.

– Zniknął, na razie. Pewnie zdaje relację, jak sądzę, sir.

– Wątpię. A Godwin i Chambers?

– Znajdują się w mieszkaniu Godwina na Kentish Town.

– Czy są obserwowani? – zapytał Priabin.

Skinęła głową.

– Podwoić liczbę osób w grupach. Godwin i Chambers nie odejdą daleko bez swojego opiekuna, Hyde'a. Zaprowadzą nas do niego.

Znowu walnął pięścią w stół.

– Posłuchaj mnie, Walentyno! Nie interesuje mnie zemsta. Mogę się rzeczywiście czuć winny z powodu utraty dzisiaj trzech ludzi i mogę wyglądać na reagującego zbyt nerwowo z tego powodu, ale uwierz mi, że tak nie jest. Musimy wiedzieć, co oni wiedzą. Aby do tego dojść, musimy odciąć Godwina i Chambersa, ale ostrożnie, jakby przypadkowo.

Kiwała głową na znak zgody, skubiąc swą dolną wargę palcem wskazującym i kciukiem. Paznokcie miała pomalowane na czerwono.

– Ale Hyde'a musimy usunąć z naszej drogi jako pierwszego – on jest niebezpieczny.

Odwrócił się do okna. Był już wieczór. Miasto rozbłysło światłami, drzewa były ciemne pod ciepłym niebem, wytwarzając strefę cienia same dla siebie. Priabin zapalił papierosa, kobieta odmówiła, kiedy chciał ją poczęstować. Wydmuchał dym pod sufit.

Prawdopodobnie potrzebował tej złości, aby być bardziej zdecydowanym i pozbawionym skrupułów. Centrum domagało się usunięcia tych ludzi, a przynajmniej unieszkodliwienia ich. Łagodny miejski wieczór, do którego się już przyzwyczaił od dawna, osiadał tak delikatnie jak ptaki na trawnikach ambasady. Dymitrij – poinstruował sam siebie – posuń się do ostrzejszych, prostszych decyzji, które przynosiły ci sukcesy przez tak długi czas. Nie stać cię na zachłyśnięcie się Londynem i głośnością. Odwrócił się do Walentyny z uśmiechem.

– Zostajesz szefem operacji, nie dlatego, że to takie trudne, ale dlatego, że pilne. Ja będę myślał, ty decydujesz.

– Ja... tak – potarła swe czoło. Priabin przypomniał sobie, że w służbie była tylko jedna rezydentka, miała pięćdziesiąt pięć lat i mieszkała w Gwatemali, gdyż niewielu urzędników z aspiracjami mówiło po hiszpańsku, a wszelkie przyszłe stanowiska znajdowały się w zewnętrznych kręgach piekła, w Ameryce Łacińskiej. Walentyna zamierzała poprawić ten wskaźnik, i to prawdopodobnie zanim skończy czterdzieści lat. To było pewne po tygodniu jej obecności w Londynie.

Poza tym była szybka, czujna i bez skrupułów. Ta akcja była w jej guście. To on zorganizował śmierć Kelletta, oczywiście, aby go uciszyć, ale Walentyna odgrywała rolę dziwki Shapiro, i to było wiele warte, potem spowodowała jego śmierć po przespaniu się z nim. Wzruszyła ramionami, gdy zadawał jej ostrożne i pełne wahania pytania, co uznała za śmieszne. Mogła dowodzić akcją, mającą doprowadzić do usunięcia Hyde'a oraz wydobyć od Godwina wszystkiego, co miał i wiedział.

– Zdaje się, generale, że walczymy o różne kości, ale jesteśmy takimi samymi psami. Albo oczekuje się od nas, że będziemy. Ten człowiek Hyde jest na pewno.

Skinął głową i odwrócił się ponownie do okna. Pomarańczowe niebo wyglądało jak iluminacja z jakiejś wielkiej, dobroczynnej imprezy.

– Bardzo dobrze. Zlokalizujmy go i pozbądźmy się, Walentyno. Ale konieczne są tu lisie metody polowania. Ponieważ musimy korzystać z usług ochroniarzy, ta śmierć musi wyglądać jak wypadek. Poza tymi ograniczeniami, masz wolną rękę.

Rozdział czwarty

GENTLEMAN Z CIENIA

– Dobrze, Van Vuuren jest w restauracji z dziewczyną. Nie ma przy sobie laptopa. Zostawił go w pokoju hotelowym.

Hyde usadowił się na siedzeniu obok Godwina. Kawiarnia była pusta. Chambers był wyraźnie podniecony, jak dziecko. Bukiet kwiatów leżał za nim na krześle. Torba Godwina, wypchana i wyświechtana, stała obok nogi Hyde'a. Stół był zaśmiecony wydrukami z komputera, papierami Godwina i jego notatkami, naskrobanymi wielkimi, nierównymi literami.

– Nie mam jeszcze odpowiedzi, jeszcze nie! – zauważył.

– Och, na miłość boską, Godwin! Van Vuuren jest na kolacji przed numerkiem, a nie na cholernych dwutygodniowych wakacjach! – pochylił się do przodu i wściekłym szeptem zwrócił się do Chambersa.

– Czy zamówiłeś szampana do stolika?

– Tak. I owoce – Chambers był całkowicie z siebie zadowolony.

– Na wypadek, gdyby van Vuuren przedawkował i musiał pójść do szpitala? – Hyde położył pięść na serwecie na stole. – Posłuchaj, gdy rozwaliłem tych trzech braci Marx dzisiejszego popołudnia, nie oczekiwałem, że Priabin tego nie zauważy. Spodnie Orrella są pełne, bo nie może mnie znaleźć – sprawdziłem u Ros. Muszę zgłosić się jutro rano do raportu, więc wydostaliśmy to dziś wieczorem, dobra? Nie mamy zbyt wiele czasu. Sądząc po dziwce, z którą jest teraz, będzie szybko łykał swoją kolację, aby pójść z nią na górę! Rozumiesz mnie?

– Tak! – warknął Chambers.

– Dobra. Teraz powiedz, jaki jest kod wejścia?

– Jest pięć słów lub grup słów, a każda grupa nie dłuższa niż dwa wyrazy. Niektóre angielskie, niektóre w afrikaans. Cyfry mamy, popatrz – wyskrobał w notesie prosty słupek liczb, coś w rodzaju prostego dodawania ze szkoły podstawowej.

- A te słowa?
- Darren i ja łamiemy sobie głowy, co mogło nam umknąć. Słowniki, przewodniki, mapy, gazety – mam do tego, cholera, dryg, a wysiłek, jaki wadziliśmy w to od momentu...
- Od trzech godzin. O, cholera.
- Darren wciąż pracuje na komputerze, próbując znaleźć odpowiedź. Zadzwoń, jeśli...
- Posłuchaj, dlaczego po prostu nie wynieść tego cholernego laptopa i odnieść go później albo zamarkować włamanie? Nie możesz go jeszcze wykorzystać. Zatrzymajmy go więc, aż będziesz mógł.
- Jak tylko van Vuuren zauważy jego zniknięcie, stracimy wszystko. Johannesburg natychmiast zmieni wszystkie kody.
- Dobra, Chambers, przestań biadolić – Hyde spojrział na zegarek. – Zabieraj się do tego pokoju, a potem wpuścisz Godwina. Ja będę pilnował van Vuurena. Macie czas najpóźniej do dziewiątej. Teraz jest dziesięć po ósmej. Jeżeli nie złamiecie kodu do dziewiątej, to przynieście tę przeklętą maszynę ze sobą. To jest moja decyzja jako prowadzącego sprawę.
- Bardzo dobrze – zgodził się Godwin.
- Chambers popatrzył gniewnie, ale Hyde tylko potrząsnął głową, wskazując drzwi kawiarni.
- Dobra, daj mi dziesięć minut i potem przyjdź za mną – próbował ignorować Hyde'a, który wywoływał narastającą irytację Chambersa, prezentując mu sarkastyczny uśmiech Australijczyka.
- Wstał, zabierając bukiet. Za plecami usłyszał uwagę Hyde'a:
- Nie zapomnij przykłęknąć na jedno kolano, gdy będziesz dawał jej kwiaty.
- Odwał się! pomyślał wściekły. Foyer hotelu Intercontinental było wypełnione gośćmi; minął kobiety ubrane w futra, mimo środka lata, od czasu do czasu przemykali goście w arabskich szatach. Dużo bagaży i ożywiony ruch. Hyde mówił, że nikt inny nie śledził van Vuurena poza nim. Chambersowi zrobiło się gorąco, kiedy wkrótce zatrzymał się przed drzwiami windy. Kwiaty rzeczywiście wyglądały głupawo, napływ adrenaliny wywoływał nieprzyjemne i obce uczucie, jak jakiś mocny, tani zagraniczny alkohol. Odpieprz się, Hyde, mam zamiar załatwić to dobrze, pomyślał.

Otworzyły się drzwi windy. Wysiadła z niej mocno umalowana chińska dziewczyna z towarzyszącym jej nadętym Europejczykiem lub Amerykaninem, z szyją wylewającą się nad kołnierzykiem koszuli i brzuchem przykrytym marynarką, która wyglądała jak zasłony na jakimś obrzydliwym, wypukłym oknie. Chambers wzdrygnął się wchodząc do windy. Potem portier zatrzymał drzwi i wepchnął obok niego wózek z bagażem.

– Które piętro, sir? – zapytał z jakimś dziwnym akcentem.

Chambers wymamrotał odpowiedź.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze, gdzie wysiadł portier, a potem na piątym. Wsiadła kobieta w bardziej niż średnim wieku z pomarszczoną skórą wokół ust, pachnąca mocnymi, drogimi perfumami. Wysiadła na szóstym. Z odległego korytarza usłyszał odgłosy telewizora i amerykańską mowę. Westchnął wycierając spocone czoło. Drzwi otworzyły się na piętrze van Vuurena. Chambers wyszedł na korytarz.

Był pusty. Przy niektórych drzwiach stały tace z naczyniami po popołudniowych posiłkach, na niektórych klamkach wisiały ostrzeżenia dla personelu, by nie przeszkadzać. Byłoby łatwiej z kluczami, ale Intercontinental używał tych cholernych plastikowych rzeczy programowanych na zamykanie tylko jednych drzwi, *dla pańskiego bezpieczeństwa, sir*. Poszedł szybko na koniec korytarza, omijając specjalnie drzwi van Vuurena, jak gdyby to była zasadzka. Godwin i on mieli to, z pewnością, ale słowa nie przyjdą same; jak pijany poruszający bezwładnie ustami, nie mogli sformułować kodów dostępu! Z bukietem w celofanie i z plakietką Moysesa Stevensa, która była nie do podrobienia, przebił się z wdziękiem za drzwi pożarowe, patrząc przez okienko na pusty korytarz. Na miłość boską, jak dużo czasu mogło im zająć podanie butelki szampana, w czasie gdy większość gości śpieszyła do czterogwiazdkowych restauracji, aby wyjść naprzeciw milionowym transakcjom dolarowym?

Usłyszał jakiś pisk, przypomniał sobie luki w kodach dostępu: Kruger na początku, potem Boete Erasmus, następnie Ellis Park – co to znaczyło, gdzie to było? Potem, no właśnie później N-e-w-l-a- i nic poza s-v-e-l-d, poza tym dowcipnym słowem – Mandela. Zgodzili się z Godwinem, że był tam czas jedynie na dwie grupy słów, koniec jednego słowa, początek lub pierwsze słowo drugiej grupy. Znowu pisk...

Od windy gospodarczej zbliżał się do drzwi van Vuurena znudzony, roz

memłany kelner pchając przed sobą wózek. Z wiaderka z lodem wystawała szyjka butelki szampana, obok leżały owoce zawinięte w celofan, jak bukiet, który szeleścił przy jego policzku, gdy zaczął oddychać szybciej. Potem drzwi otworzyły się i pojawił się ktoś w rozpiętej koszuli opinającej opasłe ciało, od razu besztając kelnera, który wymownie wzruszył ramionami i zaczął się zmagać z językiem angielskim.

– Co za burdel jest w tym hotelu? – usłyszał Chambers stłumiony krzyk zza szyby.

Drzwi zatrzasnęły się kryjąc za sobą rozchełstaną koszulę. Kelner zmagał się ze swym wózkiem. Serwetki, trochę opakowanego sera, sztywny goździk w wąskim wazonie. Kelner zapukał do drzwi pokoju van Vuurena, poczekał i zapukał ponownie. Przeklął cicho, potem pochylił głowę poruszając wymownie ustami. Zapukał, zadzwonił... pośpiesz się, pośpiesz się! Chambers poganiał w myślach chłopaka. Bukiet ocierał się o jego kilkudniowy zarost. Kelner otworzył drzwi dzięki karcie magnetycznej swego szefa pozwalającej dostać się do wszystkich pokoi i wjechał wózkiem do środka. Chambers przelknął, czując suchość w ustach, potem przeszedł przed drzwiami pożarowe, puszczając je z przesadną ostrożnością. Pośpieszył w stronę pokoju van Vuurena – drzwi były wciąż otwarte, dzięki Bogu! Kelner krążył wokół wózka popychając go w stronę stolika przy oknie.

Chambers wszedł do pokoju trzymając przed sobą bukiet orchidei i goździków. Kelner spojrzał na niego zaskoczony.

– Och, dziękuję, tak – wymamrotał Chambers. *Nie zapomnij o napiwku*, powiedział mu Hyde. To cię uwiarygodni. Chciał zapytać, jak duży ma być napiwek, ale nie śmiał, wiedząc, że narazi się na pogardę Hyde'a. Wepchnął dwie monety jednofuntowe do ręki kelnerowi, naskrobał niewyraźnie van coś tam na dole rachunku. Patrzył w okno i pierwsze światła miasta, dopóki kelner kręcił się wokół.

Wreszcie zamknęły się za nim drzwi. Był w środku. Wrzucił bukiet do łazienki, gdzie zderzył się z wanną, a liście i płatki rozsypały się wewnątrz opakowania. Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Jezu...

Pokój miał w sobie tę pustkę tymczasowego miejsca zamieszkania; zapach dywanu i środków czyszczących raczej niż życia. Standardowe lampy, przyćmione światła na suficie i ścianach. Zauważył dwa trzyczęściowe ubrania w

głównym pokoju, dwa wielkie łóżka w sypialni. Chryste, druga sypialnia, dwie łazienki, to było cholerne mieszkanie, a nie pokój w hotelu. Owoce w misach i celofanie były rozrzucone po różnych stolikach i komodach. Chambers otworzył rozsuwane drzwi szafy i dostrzegł ubrania, walizki i torby van Vuurena. Zaczął otwierać szuflady, odkrywając krawaty, chusteczki do nosa, szuflada po szufladzie – paczka prezerwatyw, nie chce ryzykować, nawet z wysokiej klasy dziwką – zachowywał się jak obsesjonista, ciągle sprawdzający, czy rzeczy są czyste i szuflady zamknięte.

Zadzzwonił telefon. Zesztywniał. Dwa dzwonki, trzy, cztery... siedem, osiem. Chryste? Pocił się okropnie, złapany jak w świetle reflektorów na środku pokoju; krawędź niskiego stolika przyciśnięta była do jego łydki. Trzynastcie, czternaście...

Cisza. Opadł na miękki fotel. *Nie siadaj nigdzie, bo pognieciesz te cholerne poduszki!* wrzeszczał Hyde w jego głowie. Skoczył na równe nogi, niepewnie, oszołomiony. Jego ręce

– Boże, jego ręce się trzęsły.

Dzwonek do drzwi...

Och nie, to musi być Godwin. Wyjrzał przez mały, wypukły wizjer w drzwiach. Twarz Godwina patrzyła na niego, wykrzywiona, jakby odbijała się na spodzie błyszczącej łyżeczki. Otworzył drzwi.

– No i co?

Godwin potrząsnął zrezygnowany głową.

– Och nie...

– Nie zaczynaj, Gładys! – wrzasnął Godwin. – Darren nie wpadł na trop, ja też zresztą nie. Która jest godzina, do cholery?

– Ósma dwadzieścia trzy, pieprzyć to.

– Tak więc, posiedzimy sobie jedynie wygodnie i poczekamy do dziewiątej, dobra? Potem możemy wziąć to – wskazał głową w kierunku otwartej garderoby, gdzie obok walizki stał laptop – i spieprzamy. Ponieważ, Terry, ja nie mam cholernej odpowiedzi, i to jest fakt.

Wielki, afrykański księżyc wynurzał się jak łagodna, zakłopotana twarz tuż nad otwartymi listewkami żaluzji. Zapach eteru, lekarstw, natychmiastowy ból, jak gdyby obudzony przez tę woń, w rękach i policzkach. Leżał na twardym

łóżku, niedaleko okna, przez które zaglądał księżyc. Delikatnie zgiął palce. Pamiętał żar i ból, zanim nastąpiła ulga w zimnej wodzie. Potem pojawiły się wizje – razem z nimi ucisk w gardle, uczucie duszenia się, dym w płucach i zapach przypalanej skóry. Przypomnił sobie swój własny krzyk, gdy chwycili go za poparzoną skórę wyjmując z wody, upadek na brzegu i to, że nagle po padł w stan nieświadomości. Boleśnie odczuwał obecność bandażu i zapach lekarstw.

...bardzo wiele szczęścia, panie Anderson – usłyszał słowa indiańskiego lekarza, chociaż pokój oświetlony światłem księżycy był pusty i cichy. Słysząc było tylko jego własny ciężki oddech. *Powierzchnowe oparzenia... płuca nie uszkodzone. Jestem zadowolony, że mogę to powiedzieć... mógł pan równie dobrze zacząć lub się utopić, panie Anderson... miał pan wiele szczęścia, sir.* I potem doktor odszedł z pola widzenia. Przypomnił sobie, że Margarethe nie żyła. Nie mógł od tego uciec; nie prosił o środki uspokajające czy tabletki nasenne, po prostu spoglądał tej prawdzie w oczy, dopóki nie osłabł. Czuł się, jakby znalazł się w oku cyklonu, w jakiejś lagunie spokoju, która była zbyt płytka.

Szczęściarz z pana, panie Anderson... Głos lekarza załamał się w tym momencie, rozumiejąc że on jest przytomny i wszystko pamięta. A może lekarz zareagował tak na jego wybałuszone oczy, patrzące na coś, co musiało być uczernioną twarzą. Lekarz odwrócił się, chcąc okazać delikatność, wziął jego szklanki i przetaił je. Robiąc to znalazł punkt oparcia dla świadomości Andersona. *Szczęściarz...*

Chryste, ona nie żyła. Blantyre spalił ją żywcem, zabili innych lub on zabił ich własnoręcznie. *Szczęściarz...* to słowo uleciało jak kawałek spalonego papieru długim tunelem, przez który spoglądał na wydarzenia. Ludzie przetrwali atak i płomienie. Wyciągnęli go z wody, gdzie musiał pływać na wpół martwy. Ale nikt, kto był dla niego ważny, nie przetrwał, jedynie kilku klientów z firmy zarządzającej tą częścią rezerwatu, za którą był odpowiedzialny. Ona nie żyła. Bolesna śmierć z powodu raka pierwszej żony, której był bardzo oddany, tak nim nie wstrząsnęła. Natura i choroby to takie rzeczy, na które nie można nic poradzić, a tamta kobieta przez długi czas była dla niego tylko upokorzeniem. Ale teraz była martwa Margarethe, jego druga żona, jego czarna laleczka, jak nazwał ją Blantyre.

Gdy wróciła mu świadomość, a szybki afrykański zmierzch opanował pokój z powodu zamkniętych żaluzji, ktoś powiedział, że *Blantyre nie mógł dotrzeć tam na czas, widzieli dym, jego patrol... rozpedził byłych członków SWAPO, komunistów czy coś w tym rodzaju...* Musiał wtedy głośno wrzasnąć, gdyż przyszli szybko do jego łóżka, uważając, że to raczej z powodu bólu niż protestu.

Większość dnia przeleżał z tyłu ciężarówki. Samolot medyczny był uzimiony, więc musieli go przewieźć sto trzydzieści mil do kliniki w Otjiwarongo. Pamiętał jedynie podskakiwanie i kołysanie się swojej głowy, jak gdyby stał się jakimś idiotą i wytrząsał z niej wszystkie myśli o Margarethe, unoszące się jak chmura kurzu za ciężarówką. Nawet jego krzyki były mściwe, pełne myśli o niej i o Blantyrze.

Ciało miał odrętwiałe z powodu bólu i środków znieczulających, skrępowane plastrami i bandażami. Światło księżyca wypełniało pokój, a żaluzje rzuciły cień na przeciwną ścianę. Kroplówka połyskiwała obok łóżka, słychać było niewyraźny dźwięk wentylatora i od czasu do czasu wycie nocnego zwierzęcia na zewnątrz, co powodowało, że jęczał i drżał, jak gdyby te odgłosy wzmagaly jego ból. Przypominał sobie, jak jeden z gości przyłożył usta do jego ust, próbując robić mu sztuczne oddychanie i pobudzić go do życia, ale zbyt przypominało mu to usta jego nieżywej żony, więc przestał o tym myśleć. Nie wiedział, czy Blantyre wie, że on przeżył atak. Na pewno pojawił się ponownie, udając niewinność, dwie godziny po wschodzie słońca. W tym czasie on był już w drodze. Prawdopodobnie ktoś z ocalałych powiedział mu, że został zabrany do kliniki. Razem z nim pojechał jeden z gości i kobieta, która zmarła obok niego podczas podróży. Potrząsnął lekko głową i ból wrócił. Blantyre mógł się dowiedzieć w jakiś sposób...

Czuł napór nocy i świata zewnętrznego na okno, na cienkie ściany pokoju, w którym leżał. Pamiętał pielęgniarki, napięcie, ulgę przy ustępującym bólu, ale teraz był głównie świadom słabości swego ciała i śmierci żony. Czuł się jakiś skurczony, jak gdyby ogień wysuszył go jak owoc, jakby był mały niczym nasienie, czekał...

...na nią, mającą wyjść z tunelu, do którego została zdmuchnięta niczym kawałek papieru. Miał mokre policzki. Prześladował go jej obraz jako strzępka nadpalonego, brązowego kawałka papieru, niczego więcej... nieruchome,

drobne ciało w kącie zniszczonego, płonącego pokoju. Bandaże wydawały mu się teraz za ciasne. Smutek zalał jego ciało wielką falą.

W końcu łyzy na policzkach wyschły. Czuł się pusty jak opróżnione naczynie, mając jedynie świadomość, że Blantyre bez wątpienia wiedział o jego przetrwaniu i o tym, gdzie został zabrany. Na jakiś czas połknęła go cisza i ciemność. Niedługo Blantyre przyjedzie do Otjiwarongo. Musi zebrać całą energię, jaką jeszcze ma, aby być gotowym. Zgiął palce aż do bólu, czując rany i oparzenia. Jak mógłby zabić Blantyre'a, tak poraniony człowiek jak on? Jak by mógł? Gdyby Blantyre wszedł teraz do oświetlonego światłem księżycowym pokoju, byłoby zaraz po wszystkim. Nie trzeba by było nic bardziej śmiercionośnego niż zwykła poduszka. Zajęczał z powodu narastającej złości. Nawet jego smutek osłabiał go jak jeszcze jedna fizyczna rana. Otaczał go i obejmował atrament z jakiejś przerażonej kałamarnicy. Odrażające, paraliżujące. Blantyre mógł się pojawić w każdej chwili – nawet teraz – a on był bezsilny i bezbronny.

– Posłuchaj, ja nie mogę ruszyć tego cholerstwa, wiesz o tym! – protestował Godwin krocząc po pokoju. Chambers ograniczał się do podążania jego śladami pozostawianymi przez ciężkie kule, i do poprawiania poduszek. Godwin odwrócił się do okna wychodzącego na Wellington Arch i mówił dalej:

– Patrick ma rację. Będziemy musieli zabrać to ze sobą i mieć jedynie nadzieję!

Ósma czterdzieści. Chambers zebrał rozrzucone notatki Godwina, sformułowania, domysły, potem podniósł się, gdy zadzwonił telefon. Dwa, trzy dzwonki... więcej nie. Potem zadzwonił ponownie. Chambers podniósł słuchawkę, wiedząc, że to Hyde ze swoimi uwagami na temat zbliżającego się końca akcji.

– Tak? – powiedział ostro.

– Czy wy dwaj doszliście do czegoś, na miłość boską? – wyszeptał Hyde. – Dziewczyna łyka swoją kolację, ponieważ chce zakończyć sprawę jak najszybciej z tym małym gównem, a on właśnie zamawia swój pudding, gdyż nie może się już doczekać, żeby ją zabrać do pokoju. On, cholera, jest napalony! Co macie?

– Nic, pieprzyć to, nic! Zadowolony?

– Posłuchaj, Chambers, nie będę więcej z tobą pracował. Weźcie się do kupy. Jeżeli nie możecie dostać się do głównego komputera, to zabierzcie ze sobą laptop, ale chociaż spróbujcie, tak czy inaczej!

Chambers usłyszał, że rozmowa została przerwana, odłożył słuchawkę pokrytą warstewką potu.

– To muszą być jakieś dwie nazwy, ludzi lub miejsca! – zawodził.

– Przeszliśmy przez wojny Burów, obydwie, przejrzelśmy mapę Afryki Południowej wiele razy, przewodniki – to jak jakiś cholerny mastermind. Ale w tym nie ma logiki!

Stanął za Chambersem, zwracając się w stronę otwartej garderoby, z której już dłużej nie wzbraniali się wyjąć komputera. Godwin spojrzał na niego, jakby chciał go zmusić do wyznania prawdy i zagrozić mu torturami, jeśli będzie milczał. Szturchnął go jedną ze swych kul, usiadł na walizce firmy Louis Vuitton należącej do van Vuurena, z nalepkami African Airways: pędząca południowoafrykańska gazela, złota na niebieskim tle. Wciąż latali długą trasą, przez wyspy Cape Verde, ale to było renegocjowane. Niedługo będą mogli lądować w Nairobi, Harare, gdziekolwiek zechcą. Dlaczego tracę czas na myślenie o tym? udzielił sam sobie reprimendy, znając dokładnie skutki rozproszenia uwagi. Nie mogli rozwiązać zagadki; będą musieli zaryzykować, że zostaną zdemaskowani i zabrać laptop w nadziei, że dostaną się do głównego komputera w Johannesburg[^] zanim van Vuuren czy Malan zmienią wszystkie kody. Obrazki na nalepkach, walizka... gazela... naklejki... gazela? Nawet rozmawiali o wyjeździe angielskiej drużyny rugby do Afryki...

Chryste, ci cholerni Springbooksi!* Nikt nie był w Afryce Południowej przez całe lata, nic więc dziwnego, że on...!

* Springbooks – drużyna rugby z Afryki Południowej [przyp. tłum.].

– Daj mi telefon, szybko! – przemknął przez pokój i opadł na fotel naciśkając szaleńczo przyciski z numerami. – Tak, dział sportowy! – krzyknął. Uśmiechał się słabo, gorączkowo do Chambersa, który wyglądał, jakby się go bał, biorąc go za szaleńca. „Evening Standard” – wymamrotał z zapartym tchem. – Kolego, byłem z nim na uniwerku, pisze w tym. Tak, Gareth Jones, proszę z nim! Tak, to bardzo pilne. Powiedz mu, że dzwoni Tony Godwin – Tony Godwin.

Skierował swój palec na Chambersa, szepcząc:

– Daj mi te nazwy, szybko! Dalej, tam!

Chambers podał mu listę nazw. Ellis Park, to mi coś przypomina. Odznaka z gazelą na zielonym tle. Ta cholerna południowoafrykańska drużyna rugby.

– Tak. Gdzie jest? Co? Jaki jest więc numer telefonu do tego cholernego pubu? Nie, nie jestem jego żoną, ty złośliwy idioto. To kwestia życia lub śmierci, więc to nie ma nic wspólnego z jego żoną. Co? Tak, zapisałem. Dzięki.

Odłożył słuchawkę, ponownie wykręcił numer, spojrzął na Chambersa i zamrugał. Serce waliło mu w piersiach. Chambers wyciągnął rękę wskazując na zegarek. Ósma czterdzieści pięć. Akurat tyle czasu, że dziewczyna na dole może zamówić brandy, zanim stanie twarzą w twarz z van Vuurenem!

– Tak, czy to Wine Bar Boswella? Dobrze. Jeden z waszych klientów, jest tam teraz... Chrzanić to, kochanie. Policja, okay? No więc, czy możesz dać mi do telefonu pana Garetha Jonesa? Dziękuję.

Zaczął bębnić swymi grubymi palcami w oparciu fotela, jak gdyby wpisywał już kody dostępu na klawiaturze laptopa. Chambers wykonał pytający gest, ale Godwin machnął mu ręką, żeby czekał. Słyszał swój własny głośny oddech w słuchawce.

– Garrett? Mówi Tony Godwin... Tak, a co u ciebie? Jak się ma... czy to wciąż Tracey? Och, przykro mi to słyszeć. Posłuchaj, możesz oddać mi przysługę? Tylko kilka szybkich pytań... Tak, teraz. Posłuchaj, byłeś na ostatnim wyjeździe British Lions w Afryce Południowej z ramienia jakiejś gazety, czy tak? Nie, to nie jest oficjalne, założyłem się głupio. To nie ma znaczenia, jeśli się pomylisz, po prostu odpowiedz na pytanie, Garrett. Jeżeli przeczytam ci nazwy, czy możesz mi powiedzieć dwa słowa, których tu brak i przeliterować je? Tak, krzyżówka, o to chodzi. Tak, połowa wygranej. Mam Ellis Park, Boete Erasmus i część słowa, New... co to jest? Newlands...

Godwin bazgrał, gestykulując do Chambersa ołówkiem, jakby chciał go ostrzec.

– I jeszcze jedno słowo... tak, to muszą być cztery miejsca treningu Springboksów! – czuł, jak się poci, czując ulgę. – I czwarte... L-o-f-tus... co? V-e-r-s-veld – tak! Dzięki, Garrett, jestem ci winien piwo. Do zobaczenia!

Oparł się plecami o fotel, zmęczony. Chambers stał nadal nieruchomo, jak w szoku, na środku pokoju.

– Jak? – wydusił wreszcie z siebie.

– Nalepki na jego bagażu – gazela. Symbol południa. Och, to nie jest teraz ważne, bierz tę przeklętą maszynę i podłącz do telefonu. Jesteśmy w pracy, cholera! Kruger – Mandela – cztery miejsca treningów, cztery cholerne miejsca spotkań drużyn rugby i jesteśmy w głównym komputerze MLC!

Ósma czterdzieści siedem...

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy, odmawiając poobiedniego drinka. Van Vuuren wyraźnie nie miał nic przeciwko temu; w pokoju oczekiwały go upojne chwile nawet bez szampana Chambersa. Właśnie odwrócił głowę w poszukiwaniu kelnera, podnosząc rękę, żeby go wezwać. Ósma pięćdziesiąt, nie, prawie pięćdziesiąt jeden. Chryste, dlaczego ludzie muszą się tak spieszyć ze swoją cholerną kolacją w drogiej restauracji? Z drugiej strony, patrząc na kobietę Hyde pomyślał, drapiąc się w podbródek, że nikt nie miałby tego van Vuurenowi za złe, nawet jeśli za to płacił.

Przyszedł kelner z rachunkiem. Hyde siedział oparty na swym krześle, przechylając się, aby spojrzeć do restauracji La Soufflé z hotelowego baru koktajlowego. Van Vuuren podpisał zamasyście rachunek. Czy ona bierze amex? zastanawiał się.

Byłoby miło.

Hyde skończył swoje piwo i wstał, idąc szybko w kierunku telefonu przy drzwiach baru. Wykręcił numer pokoju van Vuurena. Poczekał... zajęty. Zajęty? Odwiesił słuchawkę. Czy byli w środku? Czy też Godwin dzwonił do Darrena! Wykręcił numer jeszcze raz. Wciąż zajęty. Kelner zadowolił się dwudziestofuntowym banknotem. Niecierpliwość van Vuurena była oczywista.

Hyde pobiegł do wind.

– Cholera jasna! Zakopany skarb i mapa kapitana Flinta wraz z resztą! – Godwin oddychał głęboko. Za nim Chambers fotografował ekran laptopa, podczas gdy drukarka, którą podłączyli do maszyny, pomrukiwała i wykasywała informacje. Ósma pięćdziesiąt pięć.

– Popatrz na to. Boże, w ciągu kilku godzin i z odrobiną szczęścia mogliśmy odtworzyć wszystko na podstawie komputerowo przewidywalnych sekwencji numerycznych. Namibia – to jest interesujące. Francja – czas rozbić bank. Terry Chambers, pośpiesz się!

Pięćdziesiąt siedem... Patrick będzie musiał poczekać, to nie może być teraz zatrzymane. Nacisnął na klawiaturę, wpisując numer sekwencji z notatek przewracających mu się na kolanach.

– Co już minąłeś?

– Firmy ze Zjednoczonego Królestwa, których bilans handlowy podwoił się, a nawet potroił w ciągu kilku ostatnich miesięcy, firmy eksportowe, transportowe.

– Dlaczego właśnie te? – wymamrotał Chambers, zaabsorbowany teraz sprawdzaniem wydruku, upychając papiery Godwina z powrotem do teczki.

– W jakiś sposób to musi opuszczać kraj. Kto to wysyła na zewnątrz i gdzie.

– Też się może przydać – do drzwi pokoju zaczął się ktoś dobijać głośno, natarczywie. – Och, nie!

– Hej, wy tam, oferty, ruszajcie się! On tu idzie razem z dziwką, na miłość boską!

– Hyde...

Chambers dopadł do drzwi i Hyde wpadł do środka machając rękami.

– Chodźcie, głupie dupki, ruszajcie się! – wyjął wtyczkę z drukarki, aż Godwin zajęczał w proteście. Potem odłączył słuchawkę od laptopa i odłożył ją. – Ruszajcie się, on już tu idzie! – zamknął pokrywę laptopa z trzaskiem. – Gdzie to było?

– Patrick, jeszcze minuta, na miłość boską!

– Nie! Ruszajcie się.

Chambers umieścił laptop na swoim miejscu w szafie zamykając żaluzjowe drzwi. Hyde poprawiał poduszki, podczas gdy Godwin patrzył na swą wypchaną teczkę i drukarkę, jak gdyby wszedł do własnego domu i stwierdził, że został okradziony. Potem zabrał swoje kule, a Chambers spakował rzeczy. Hyde wyrównywał dywan rękami i stopami, przestawiając poruszone meble na miejsca odcisnięte w grubym dywanie.

– To musi wystarczyć – minął Chambersa i uspokojony otworzył drzwi. Korytarz był pusty.

– Okay, przez wyjście pożarowe. Poczekamy, aż wejdzie i zamknie za sobą drzwi. Przynieś te cholerne kwiaty, Chambers! Nie, nie cholernego szampa, to mogło być zostawione przez hotel. Tylko kwiaty!

Hyde zamknął drzwi, potem drzwi pożarowe. Patrzył przez okienko na korytarz. Już nie był pusty. Van Vuuren, niższy od długonogiej kobiety, szedł korytarzem obok niej. Ona trzymała go pod ramię. Zatrzymali się przed drzwiami pokoju, potem van Vuuren otworzył je i weszli do środka. Drzwi szczęknęły i zamknęły się. Chambers i Godwin, czerwoni na twarzy, pocili się; Hyde wytarł rękawem czoło.

– Nie róbcie mi tego więcej, do cholery!

– Chryste, udało się – Chambers klepnął torbę i drukarkę, które trzymał pod pachą, uśmiechając się z przymusem. Potem wyrzucił bukiet na schody. Posypały się płatki, połamały lodygi.

– Do cholery, udało się – ogłosił.

Hyde wszedł po śmierdzących schodach, ponieważ windy były nieczynne. Jakieś małe bękarty znów rozwaliły windę, odcinając od świata tuziny emerytów, Azjatów i dzieci w podobnym do fortecy bloku mieszkalnym. Minął czarnego mężczyznę, który drżał i jęczał w zbliżającym się orgazmie na zakręcie schodów. Dziewczyna schowana za ramionami faceta była niewidoczna. Jej rozszerzone i obejmującego go nogi świadczyły o tym, że znalazła się tu z własnej woli. Gdy mijał zakręt, usłyszał przyśpieszone oddechy i kilka szybkich westchnień.

Ale dziewięćdziesięcioletnia ciocia Vi nie przeniosłaby się do spokojniejszego mieszkania czy nawet ładnego, małego bungalowu w innym miejscu, prawda? Cholera, raczej nie. *Mieszkałam tu całe moje życie, na tej ulicy.* Ulica? Zniknęła w latach sześćdziesiątych pod tonami betonu i uzbrojenia potrzebnego do postawienia tych monstrualnych budynków, na żądanie planistów i architektów, którzy, jak uważał, albo nigdy więcej nie pojawili się w kraju, albo mieszkali w georgiańskich rezydencjach tuż za Bath.

Potrząsnął głową. *Tutaj zostanie,* powiedziała ciocia Vi, ubrana w szal pachnący naftaliną, jedna z dwóch ciotek, która przyjechała do Woollongong zobaczyć

się z nim i jego matką oraz do Southampton, aby zabrać go ze statku, dziesięcioletniego sierotę w obcym kraju.

Poczucie winy zmuszało go do odwiedzania Vi raz w tygodniu. Podejrzał, że Ros przychodziła całkiem często, chociaż nigdy o tym nie wspominała. Jednak czekoladowe paluszki i ciasta od Jaffa zawsze były u ciotki, w napoczętych paczkach, a Vi nigdy nie wydawała swojej emerytury na luksusy. Gladys nie żyła i Vi była samotna, porzucona na tym śmietniku na szesnastym piętrze. *Got strafe England* – ale ten był wzniesiony w miejscu, gdzie ci cholerni Niemcy w czasie wojny bombami wyczyścili slumsy!

Dotarł do długiego, ciemnego betonowego korytarza z małym balkonem po jednej stronie i szeregiem obdrapanych drzwi z drugiej, gdzie ona mieszkała. Krzyki chłopaków, czarnych i białych, jak nawoływania dzikich zwierząt odbijały się echem od czterech ścian bloku i po zaśmieconym podwórku z dwoma spalonymi samochodami i innymi rupieciami. Na ścianie korytarza na zakręcie wymalowane było farbą sprayową FORT APACHE – STEPNEY, chociaż teraz trudno było odczytać litery. Ten film był zresztą bardzo stary. Nikt nie dotykał i nie zamalował napisu. Idiotyczne napisy z pierdoleniem i kutasami, i mnóstwo swastyk współgrały z czasami i wandalizmem oraz poziomem edukacji. Gdyby wysokość graffiti na ścianie była miarą inteligencji, to powinno być na poziomie kostek u nóg. Młodzież wrzeszczała jak banda straceńców, gdy dotarł do drzwi, jak gdyby nawołując się przed wyruszeniem na polowanie. Pieprzony FORT APACHE! Zapukał głośno do drzwi, jednocześnie krzycząc:

– Vi, to ja, Patrick. Otwórz drzwi.

Słyszał telewizor wyjący bezsensownie z powodu jej głuchoty.

– Vi, otwórz drzwi, tu Patrick – krzyczał przez otwór w skrzynce na listy.

Znowu słyszał telewizor, nawoływania, głośny śmiech i bardziej przytłumione odgłosy z podwórka – kradzież lub dobijanie interesu. W końcu zobaczył jej cień oświetlony za wzmocnionym, wyglądającym jak skute mrozem okienkiem, usłyszał, jak otwierała zasuwę oraz zamek zabezpieczający, który sam założył. W bloku była najlepiej zabezpieczona ze wszystkich. Mieszkali tu chłopcy czarni, brązowi i wystarczająco dużo białych, aby robić jej jakieś niewybredne, głupkowate dowcipy, raczej dla zabawy niż, żeby ją prześladować. Mówiąc po prostu: wrzucali różne paskudztwa do skrzynek na listy u Azjatów.

Oczywiście, złamał rękę jednemu małolatu dwa lata temu, *pour encourager les autres**. Pocałował Vi w policzek, który mu nadstawiła, potem zamknął drzwi i poszedł za nią do małego pokoju. Dobry rozkład, powiedzieli-by agenci nieruchomości z Mayfair, gdyby ośmielili się wstawić to mieszkanie do swoich jesiennych katalogów. W zeszłym roku położył na ścianach tapety. Meble odkrywały geologiczne pokłady życia Vi i jej siostry, która wyszła za mąż lepiej od niej: wygodne solidne wiktoriańskie meble, przydatne przed wojną, po wojnie przerażające i kilka sztuk z lat sześćdziesiątych. Telewizor zepchnięty w róg zatłoczonego pokoju rozbrzmiewał jakimś głupim teleturniejem.

* Franc. – ku przestrodze innym [przyp. Sum.].

Opadła powoli na krzesło, jak worek wypełniony kośćmi i czymś niewiele więcej. Miała jasne, nieco kaprawe oczy, a jej usta wyglądały, jakby się przyzwyczajały do sztucznych zębów, które miała, odkąd ją znał. Była jego jedyną rodziną od śmierci Glad. W oczach miała zaćmę, która dodawała jej spojrzeniu mądrości.

– Wszystko u ciebie w porządku? – krzyczała pochylając się w jego kierunku, skrzeczącym starczym głosem, w którym pobrzmiwała troska mamki i nauczycielki. Pozostało w niej coś z obcej osoby, która przyszła po niego, aby odebrać go ze statku z Sydney prawie trzydzieści lat temu. Obserwowała butelkę w jego kieszeni, jak gdyby to był pistolet. Potrząsając głową wyciągnął ją z marynarki i położył na porysowanej wiktoriańskiej szafie dominującej na całej ścianie pokoju.

– Twoja – oświadczył. – Twoja szklaneczka do poduszki.

Potrząsnęła głową, ale zauważył, że butelka, przyniesiona przez niego ostatnio, była już prawie pusta.

Była jego pierwszym wspomnieniem Anglii, pamiętał zapach naftaliny z jej wełnianej kamizelki, gdy przycisnęła go do swych wielkich piersi, przyjemny, ale dziwny. Za nią pochylone szkielety dźwigów portowych podniosły swe głowy. Pamiętał chłód portu, lazur nieba. Pamiętał także, że śmiała się nieprzerwanie podczas podróży pociągiem przez zasypany śniegiem kraj pomiędzy Southampton i Londynem; jej usta już w tamtych czasach były wypełnione sztucznymi zębami, które zdawały się poruszać niezależnie od jej ust i woli. Pogładził jej rękę, przyciszył telewizor i usiadł naprzeciwko niej. Vi patrzyła

w ekran zaabsorbowana, nie mogąc już słyszeć zawodników lub prowadzącego quiz. Nie czyniło to dla niej tej gry mniej zrozumiałą.

Patrzył na nią. Jasność jej oka była zafalszowanym spokojem. Zwykle narzekała na swych sąsiadów – *te czarnuchy i ciemniaki* – lub na jego nie ogoloną twarz; kwitła, gdy miał okresy nie kontrolowanego upijania się, przejmując go jak drapieźnik ofiarę, ponownie wchodząc w jego życie, podźwigając go.

– Zastanawiam się, czego on chce? – pyta Vi, jakby zwracała się do kogoś w pokoju. Na pewno nie do kota. Gówniarze wyrzucili go kiedyś z balkonu, zamieniając go w pozbawioną konturu plamę, która wsiąkła w ziemię. To było wtedy, kiedy złamał rękę jednemu z nich, postraszywszy go przedtem, że podzieli los kota. W końcu kot został wykopany gdzieś poza pole widzenia i Vi nie miała już od tego czasu żadnych zwierząt domowych.

– Zawsze mi coś przynosi. Nie chcę żadnych rzeczy w moim wieku! – mówiła dalej, jakby do telewizora.

Gnojki zawsze ją przedrzeźniały, przebiegały koło drzwi, wałąc w nie, jak gdyby odbijały piłkę. Czarni i biali próźniacy, atakujący swych sąsiadów obawiających się korzystać ze swoich garaży po zapadnięciu zmroku. Nie cierpiał Stepney z całego serca, prawdopodobnie dlatego, że mieszkał w tym mieszkaniu z Vi, zanim poszedł do wojska. Potem do *tego specjalnego oddziału, jak oni to nazywali – SAS? Teraz, ma porządną pracę biurową w Whitehall*. Tak właśnie Vi wyjaśniała to głośno jednemu azjatyckiemu piekarzowi. *Całkiem nie najgorszy, jak na kolorowego*. Czasami była podejrzliwa, gdy Patrick nie pojawiał się w garniturze. Wydział Specjalny prawdopodobnie, tak jak czosnek nad drzwiami, trzymał z dala przynajmniej część z tych wampirów, które błąkały się po korytarzach i schodach bloku, więc nie miał pretensji o te przechwałki.

Ktoś poruszył klapką od skrzynki na listy. Vi oczywiście nie słyszała. Hyde odwrócił głowę i patrzył na prawie wyciszony telewizor razem z nią. Niedługo podniesie się i przygłośni telewizor, gdy następna grupa zawodników będzie się uśmiechać i robić miny. Skrzynka znów zaterkotała. Podniósł się, żeby wyjrzeć na korytarz. Za szybą było widać rozmyty cień. Znów ten sam dźwięk. Prawdopodobnie ją niepokoił, ale skoro tego nie słyszała, jak mogłaby go o tym poinformować? Teraz dźwięk stał się bardziej natarcywy. Na zewnątrz błysnęła ogień powodując zaostrenie zarysów sylwetki.

Jeżu! Skrzynka na listy. Vi odwróciła powoli głowę, kiedy pchnął swe krzesło na stolik na kółkach do herbaty wciśnięty pomiędzy szafę a wiktoriański stół z postawioną na nim rośliną doniczkową.

Kawałek zapalonego papieru lub materiału został wepchnięty przez skrzynkę na listy i upadł na wycieraczkę. Podbiegł korytarzem, gdy cień zniknął, nadeptał na mały ogień, dusząc go. Zapach benzyny, dymu i przypalonej wycieraczki. Nic naprawdę się nie zniszczyło. Och, tak, to tylko dzieci. Nudzą się, wiesz, nie mają się czym zająć. Pieprzyć je!

– Vi – krzyknął. – Chodź zamknąć za mną drzwi.

Nagle z bólem zdał sobie sprawę, jak bardzo była stara, gdy robiła wysiłek idąc w kierunku korytarzyka mamrocząc:

– Małe karaluchy... nic przez miesiące...

Klucze drżały lekko w jej ręku.

Otworzył drzwi i rozejrzał się, potem pocałował ją w policzek, zamknął za sobą drzwi i słyszał, jak przekręca klucz i przesuwa rygle. Korytarz wydawał się pusty. Muzyka rap płynęła gdzieś z podwórka. Dalekie głosy i dziki śmiech odbijały się echem wśród betonowych kanionów jak rzenie koni. Poza tym usłyszał, jak coś się roztrzaskuje, pobrzękując rozbijanym szkłem. Będzie musiał obstałować ognioodporną skrzynkę na listy, jeżeli to była nowa zabawa. Przez kilka sekund nic nie słyszał poza zwykłymi odgłosami bloku mieszkalnego, czuł zapach zbyt długo gotowanych warzyw oraz, gdzieś w pobliżu, psi lub ludzki mocz.

Nagle, po dwóch stronach długiego korytarza na szesnastym piętrze pojawiły się cienie. Dwóch białych na jednym końcu, prawdopodobnie trzech czarnych na drugim, dwie grupy zdecydowane na jednoczesną akcję. Usłyszał, jak Vi odeszła i nastawiła głośniejszy telewizor, potem wsunął ręce do kieszeni i zaczął iść długim betonowym korytarzem, mijając drzwi za drzwiami, w kierunku dwóch białych. Jeden z czarnych za nim niósł duże tranzystorowe radio, pobrzękujące wśród betonowych ścian. *Zastrzeliłem szeryfa*. Śmiech, zabarwiony oczekiwaniem? Nie był pewien, ale poczuł w plecach jakieś mrowienie, które sprawiło, że zadrżał. Coś było w tym kawałku płonącego materiału w skrzynce na listy, w cichej pustce korytarza, gdy otwierał drzwi, i teraz w tym osaczającym ruchu. Coś w twarzach w metrze. Podniesiony, zachrypnięty głos Boba Marleya dobiegł Hyde'a w korytarzu i dwóch białych zwolniło. Twarze w

metrze, cienie w zamglonej ulicy, kroki za nim na schodach. Chuligani? Dwaj biali byli dziesięć metrów od niego i zatrzymali się pozornie przed drzwiami. Potem jeden z nich zaczął sikać przez skrzynkę na listy, podczas gdy drugi śmiał się i otworzył sobie puszkę piwa. Głos Boba Marleya zatrzymał się także, odzywając się jakieś dwadzieścia metrów za nim. Chuligani? Zorganizowani w określonym celu? Dotknął pistoletu przy pasie, potem pochylił się do przodu w kierunku dwóch białych, udając podpitego – masz w tym praktykę, mój synu – i od razu sikający młodzieniec odwrócił się twarzą do niego, zasuwając swoje dżinsy. Białe twarze, białe trampki, białe ręce. Bezmyślny śmiech jednego z nich. Określony cel – on sam. Ogień – wyczuwał w nim słaby zapach benzyny – był specjalnie po to, aby go wyciągnąć na zewnątrz.

Poczuł suchość w ustach i wysysał ślinę znajdującą się przy policzkach. Dlaczego? Kto? Priabin? Bob Marley zaczął się zbliżać, ostrożne kroki zachodzące go z boku. Pięciu. Wyciągnął rękę w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, opierając się o szorstki beton, który był typowy dla tego miejsca. Na miłość boską, cholernie przyjemny widok, pomyślał potrząsając głową i śmiejąc się do siebie...

... dekoncentrując ich. Czarni zatrzymali się. Potem kopnął z całej siły najbliższego białego tuż poniżej kolana, potem poprawił, aż tamten zgiął się z bólu. Hyde złożył dłonie w jedną pięść i walnął tamtego w tył głowy. Potem drugi biały – błysk ostrza noża? Młodziak patrzył mu na nogi, starając się obserwować jednocześnie jego ręce i właśnie miał zamiar otworzyć usta, aby przywołać czarnych. Hyde złapał go za ramię tuż ponad błyskiem i coś zabręczało metalicznie na betonie, potem walnął młodzieńca łokciem w brzuch, a pięścią szybkim, silnym ruchem w twarz. Usłyszał, jak pęka kość.

– Auć, pierdolony, Chryste! – wrzeszczał młodziak, trzymając się za nos. Gdy zgiął się z bólu, Hyde palnął go w głowę, kopnął nóż w głąb korytarza i odwrócił się, aby przyjrzeć się czarnym. Jeden z nich trzymał tranzystorowe radio, a pozostali coś, co wyglądało na oskardy. Broń? zastanawiał się, czując zimny dreszcz wstrząsający znów jego ciałem. Dotknął swego pistoletu, aby dodać sobie pewności i krzyknął:

– Cokolwiek chcecie, wy trzej, odpierdolicie się! Chyba, że chcecie tego, co dostali tamci dwaj, odwalcie się!

Zamilkł, potem odwrócił się nie potrzebując się śpieszyć, dopóki ich słyszał. Dwóch białych młodzików charczało, przeklinało i dyszało. Nie, nie ruszą się jeszcze przez jakiś czas, zanim dotrze do schodów. Szesnaście pięter.

Potem usłyszał gwizd jednego z czarnych, który był dla nich wezwaniem i wiedział już, że to nie była rozróżba, polowanie na natarczywe, bezmyślne muchy. To był pościg. Gwizd rozległ się po raz drugi, bardziej niecierpliwym. Zaczął biec w stronę schodów.

Kolorowa kobieta klęczała na łóżku jak suka, żeby mógł w nią wejść jak pies. Białe podwiązki, białe pończochy, gładkie brązowe pośladki. Van Vuuren pozwolił, aby jej ręka pomogła mu w nią wejść. Pocił się, gdy jego ruchy stawały się szybsze, a litania chamstwa przelatywała przez jego umysł, kiedy zbliżał się do orgazmu. Kafarska suka, kafarska suka, kafarska – zadzwonił telefon.

– Chryste! – przeszedł go dreszcz, kiedy się wycofał, opryskując spermą pośladki dziewczyny. Złapał słuchawkę, zły z powodu oczywistości swojego upokorzenia, które nie stało się jej.

Kobieta obróciła się leniwie, potem wytarła do sucha pośladki o pościel. Przetoczyła się przez łóżko i narzuciła na siebie prześcieradło, czekając z cierpliwością i beznamiętnością mechanicznego urządzenia.

– Tak? Co? Nie, nie, nie przeszkodziłeś mi, Paulus – obserwował ładnie ukształtowaną twarz dziewczyny, patrząc, czy nie zauważy jakiejś reakcji na jego akcent i uniżoność. Nie było żadnej reakcji.

– Tak... dobrze. Och, rozmawiałeś z nim. Nie, dostawa wyjeżdża jutro wieczorem, tak. Pieniądze zostały zdeponowane jak zwykle – poprawił okulary. Obserwował piersi dziewczyny pod cienkim prześcieradłem. Wziął ze stolika przy łóżku kieliszek szampana i napił się.

– Nie, nie ma żadnych problemów... nie? Co? Och, o to chodzi... tak, rozumiem. Ich sugestia? Nie, oczywiście twoja, Paulus. Dobrze, przemyślę to i zacznę robić jakieś ustalenia, tak... dobranoc.

Odłożył słuchawkę i, jak na sygnał, kobieta odrzuciła prześcieradło. Odszedł od łóżka i zapalił papierosa stając koło okna, obserwując korek wokół Wellington Arch i światła błyskające w proteście i bezsilności. Dostawa była zorganizowana, prawie w drodze. Były dwa oddziały, gdzie przyjmowano sprzęt

– we Francji, a potem w Namibii. Tak, wszystko się teraz zmieni, z pewnością, od kiedy ci cholerni Rosjanie chcieli, żeby ich rzeczy wysyłać bezpośrednio na stoisko podczas szczytu VIATE.

Słyszał, jak kobieta rozcierała swe ramiona, jakby jej było zimno. Wiedział, że musi ją ignorować, dopóki nie będzie gotowy. Zostanie, dopóki jej nie zapłaci. Zdjął odrobinę tytoniu z języka.

Ten facet Babbington zagrywał z Paulusem, a Paulus pozwalał mu na to – to był prawdziwy zaszczynek w tym całym układzie! Reid Electronics było zbyt wartościowe, aby je utracić i to stanowiło istotę sprawy. Paulus mógł dostawać rozkazy z Moskwy, od tego angielskiego bękarta, który wyjechał do nich!

Francuska firma. Teraz była zbyt dobra, aby ją stracić. Ale była blisko Reid. Malan rozgrywał niebezpieczną grę, narażając Reid, a starając się chronić francuską firmę. Jeżeli otworzy puszkę, to każdy zobaczy w niej pełno sardynek. Zaciągnął się ze złością papierosem. Panika, to było właśnie to, ponieważ musieli zostać w Europie z tego powodu, że Afryka Południowa mogłaby – Boże jej dopomóż – skończyć w łapach kafrów, a ten bękart ze skrzyconymi włosami, Mandela, może pewnego dnia zostać prezydentem Pretorii. Chryste, zabiłby kilku czarnych wszarzy w dniu, w którym pojawiłoby się to w cholernych wiadomościach telewizyjnych.

Stosunek przerywany... tak to się nazywa? Och, tak... przypomniał sobie onanizowanie się przy suchej, analitycznej, pozbawionej erotyzmu prozie Havelock Ellis, gdy był jeszcze chłopcem na farmie. Jego seksualna edukacja.

Kafrowie. Odwrócił się nagle do dziewczyny, wściekły, pragnąc jedynie jej upokorzenia. Ona mechanicznie, z obojętnością, uklękła na łóżku. Van Vuuren ruszył w jej kierunku.

Słyszał głos Blantyre'a i pielęgniarki przy drzwiach pokoju, głośniejsze szepty, wzmocnione przez ciszę nocy podczas zachodu księżyca.

– ...po środkach nasennych, pułkowniku, dwie tabletki usypiające. Może pan z nim porozmawiać rano, nie wcześniej.

– Tak. Szkoda. On mógłby mi pomóc... śpi, powiedziała pani?

Anderson leżał w lodowatym pocie, który wystąpił na niego z przerażenia. Był kimś, kogo Blantyre mógł wysłać na tamten świat z największą łatwością i bez najmniejszego wahania. Pot zdawał się moczyć poduszki i prześcieradło

pod nim. Spojrzał na sufit, gdzie padał cień ramion wentylatora, wielkich i niebezpiecznych jak wirniki helikoptera. Światło nadal płynęło strumieniem, gdy Blantyre otworzył drzwi, ale zamieniło się w poziomą linię, gdy przymknął swe oczy. Pot ściekał mu po skroniach, jak gdyby poczucie jego własnego zapachu zdradzało go polującym zwierzęciu, które zasłaniało światło przy drzwiach. Blantyre zdawał się obserwować go minutę, wiele minut, zanim...

– Wystarczy, pułkowniku. On na pewno śpi.

– Tak. Oczywiście – drzwi zamknęły się i światło księżycy powoli stało się silniejsze i chłodniejsze.

Teraz trząsał się cały, ciało drżało z wysiłku, pełnego przerażenia oczekiwania i przeżytego strachu. Blantyre będzie musiał poczekać, cierpliwym jak głodny lew, do rana. Potem przyjdzie, sprawdzi, oceni i zadecyduje, że trzeba go wykończyć. Dreszcze nie zmniejszały się. Czuł ból i był rozzłoszczony swą bezsilnością. Kiedyś mógł rozgnieść Blantyre'a jak komara na kole.

Teraz Blantyre był jego nemezis. Burzliwa przeszłość Andersona była po prostu przeszłością, od kiedy nie potrafił obronić się przed wrogami.

Rankiem, pewny siebie, z odpowiednimi papierami, Blantyre zabierze go z kliniki, wyprowadzi go ostrożnie jak przyjaciela, a potem zabije go gdzieś w buszu.

Nie było sposobu, żeby temu zapobiec.

Rozdział piąty

W NIEZGODZIE Z DZISIEJSZĄ MODĄ

Surrealistyczne. Atak mający szansę powodzenia na obrzydliwej klatce schodowej wielkiego bloku, znany i jednocześnie nieznanym szum walkie-talkie oraz odgłos ciężkich kroków. To był cholerny Stepney, na miłość boską, i to całkowicie obcy. Przeleciał jak kula przez zakręt schodów – na czwartym piętrze? – i spadł szybko jak kamień na półpiętro. Jego oddech był głośny, wstrzymał go na chwilę, opierając się plecami o ścianę, trzęsąc się jak czarny człowiek, który miał orgazm, gdy on szedł do Vi. Słyszał ich głosy w oddaleniu, jak nawoływania dzikich zwierząt w stadzie. Walkie-talkie? Usłyszał ponownie przywoływanie gwizdem – tym razem ktoś odpowiedział. Czuł się słaby z powodu wysiłku i szoku wywołanego własną brutalnością. Cztery piętra...

Zszedł piętro niżej, starając się zachowywać swobodnie. Poczul zapach cury, moczu i wymiocin. Jego noga poślizgnęła się i łapiąc równowagę zadrapał się w policzek o szorstki beton. Łobuzy, które zaprojektowały i wybudowały ten budynek, kąpią się teraz w słońcu na wyspach Bahama, powiedział do siebie. Drugie piętro. Był blisko ziemi, wyjął pistolet zza pasa i odbezpieczył go, drapiąc wierzch dłoni o ścianę, gdy zbiegał w dół...

...walnął bykiem jakieś ciało na swej drodze, na kolejnym zakręcie schodów, usłyszał szybki, głośny, urwany oddech, gdy minął róg. Nikogo, żadnego niebezpieczeństwa, ale przecież uderzył w miękkie, ciemne ciało. Gdzie oni byli?

Wyskoczył na podwórko i od razu zapaliły się w ciemności światła samochodu, zamiatając po betonie, gruzie i śmieciach oraz spalonym wraku, rozjaśniając oczy i ciała. Stał w nich, znieruchomiły jak królik. Trzeszczało walkie-talkie, ale silnik samochodu jedynie leniwie terkotał w oczekiwaniu. Nagle

pojawił się drugi samochód. Z jednego z półpięter, bloku ginącego w ciemnościach otaczających go ze wszystkich stron dał się słyszeć krzyk. Trawa wyrastająca między kamiennymi płytami przy jego nogach wyglądała w tym świetle, jakby była biała i martwa. Czyjeś pranie kołysało się na wietrze, wyglądając jak rząd ludzkich postaci.

Miejsce było tak ponure, jak gdzieś w Europie Wschodniej, a znajdowało się jedynie kilka kilometrów od budynku Bank of England. Był zupełnie sam i nie wiedział, ilu jest przeciwników. Usłyszał poganianie w walkie-talkie, w cieniu całkiem blisko siebie. Potem dwa samochody skierowane do siebie światłami ruszyły po betonie w jego kierunku.

Sznur z praniem przyczepił się, jak gdyby w proteście, spadając na maskę i przednią szybę najbliższego samochodu. Hyde skoczył i wytoczył się ze światła, turlając się po kawałkach szkła, psich odchodach i plastikowych śmieciach, które trzeszczały pod jego ciężarem.

Samochody zatrzymały się nagle, jak zwierzęta, które zaryły w ziemię kopytami, tylko kilka metrów od siebie, wyłączając światła. Za późno jednak, gdyż byli już na chwilę oślepieni. Drzwi samochodu trzasnęły, ale Hyde nie zatrzymał się, by się obejrzeć. Uciekał pochylony, prawie na czworakach. W mieszkaniach i na balkonach zapalano światła, które słabo oświetlały podwórko. Niebo nad budynkiem zdawało się tracić ostatnie blaski światła dziennego. Jeśli całkiem zgasną, miasto stanie się obce jak to podwórko, bardziej niebezpieczne dla niego niż inne miasta. Zderzył się z motocyklem, który upadł z łoskotem.

Głosy, nawoływania i odpowiedzi. Lokalizacja. Jeden z samochodów błysnął światłami w kierunku, z którego doleciał hałas. Och tak, to był Priabin i prawdopodobnie ta kobieta, dążąca do osiągnięcia swego celu, nawet po fiasku w Centre Point.

Stał wyprostowany za filarem. Przyciskał swój pistolet do nosa i ust jak świętą relikwię. Chcieli, aby to był wypadek, co? Ktoś musiał być w bezpośrednim kontakcie z Priabinem – był na końcu linii któregoś z telefonów komórkowych, poganiający, odradzający i zgadzający się.

Usłyszał, jak ktoś krzyczał zdesperowany gdzieś z góry. Stary, zachrypnięty głos.

– Dlaczego nie pójdziecie sobie precz?

Właśnie, dlaczego?

Silniki samochodów zatrzymały się i ucichły. Zgasły światła. Czarny cień przemknął uliczką obok, więc skoczył na niego. Zobaczył przerażoną twarz Azjaty, rozszerzone oczy, ręce podniesione do góry, prawie białe dłonie. Potem twarz i reszta postaci zniknęła, gdy Hyde zdołał się pozbierać, wracając do swego rodzaju kontrolowanego szaleństwa. Poza trzaskiem krótkofalówek i szeptów, podwórko zalegała cisza i ciemność. Nagle światła w bloku pogasły. Nikt nie chciał teraz nic wiedzieć, przekonany, że to jest niebezpieczne. Usłyszał swój własny chrapliwy oddech i zdał sobie sprawę, że oni także mogą go słyszeć.

Cienie zaczęły się przemieszczać jak nietoperze w ciemności, małe, szybkie i ruchliwe – trzy, cztery. Słyszał kłapanie podeszew po betonie, szmery gwałtownych ruchów. Uspokoił swój oddech, słyszał chrobot i prześlizgiwanie się, jakby to były szczury. Coraz bliżej.

Nagle gdzieś z bardzo bliska, doszły go trzaski, jakby z telefonu lub radia, podniecony głos zadający pytanie. Podniósł pistolet w stronę głębokiego cienia i prawie nacisnął cyngiel, jak gdyby ukrywał się tam sam Priabin.

– Walentyna?

Usłyszała podniecony szept Priabina. Ich wzajemne odnoszenie się do siebie było tak intymne jak spotkanie w ciemności, kiedy była oparta o ścianę.

– Tak? – odpowiedziała gardłowo, wiedząc, jak blisko był Hyde. – Wszystko w porządku.

Śmieszna ta ich rozmowa, jak gdyby oboje byli brokerami lub handlarzami nieruchomości ustalającymi jakieś proste posunięcia finansowe i taktyczne, nie całkiem realna. Jedynie Hyde był realny, tam, za jednym z tych filarów, widoczny w ostatniej, niewyraźnej łunie światła z latarni ulicznych. Gdyby to była zima, dostrzegłaby jego oddech parujący z ust i wiedziała, gdzie jest. Zadrżała z podniecenia.

– Zostaw to mnie – dodała i rozłączyła się, i od razu tego pożałowała. Gdyby Hyde słyszał jej komórkowy telefon w kieszeni, strzeliłby natychmiast.

Cotygodniowe wizyty Hyde'a w mieszkaniu ciotki. Dziś jest ta noc, powiedziała, prawie uśmiechając się do Priabina ponad biurkiem. Pozwólmy mu wejść do tego „Afganistanu”, ale nie pozwólmy mu wyjść. Ich ludzie zrobiliby z tego najzwyklejsze wypadnięcie z wysokiego piętra. Jednak Hyde był zbyt

szybki, sprytny i brutalny. Pozwoliła mu znaleźć się na dole, ponieważ czekali tutaj prawdziwi fachowcy.

Który filar? Podniosła znów do oczu noktowizor wyczuwając swoich ochroniarzy za sobą. Podwórko stało się szare i białe, a cienie przesuwwały się po nim jak duchy. Jej ludzie podążali w kierunku, który wybrał Hyde. Prześlizgnęła się wzrokiem przez przewrócony motocykl w kierunku filarów. Nic. Powinien zajaśnieć na termicznym obrazie, ale w noktowizorze nie było nic widać. Jej ludzie kontrolowali teraz teren trzymając chłopaczków z dala od zapachu ściganej zwierzyny, gdyż byli zbyt hałaśliwi, zbyt amatorscy. Poruszył się kolejny cień i następny. Było w tym coś ze starych westernów, z Indianami wczółgającymi się na pociągi lub do fortów.

Cień zajaśniał przy filarze, który obserwowała; ręka wyciągnięta do przodu oddała jeden strzał. Jeden z cieni widoczny w noktowizorze został oświetlony ostrzej w podmuchu towarzyszącym wystrzałowi, a potem upadł. Natychmiast cień Hyde'a ruszył od linii kolumn w kierunku alei prowadzącej na ulicę.

Wyrwała krótkofalówkę z ręki ochroniarza.

– Cel się przemieszcza. Musi kierować się do stacji metra. Wszystkie jednostki, wszystkie jednostki – za nim.

Mówiła po angielsku. Niektórzy z tych wynajętych palantów chcieli krótkofalówki, więc im dała. To była całkiem użyteczna siła.

Podniosła się z przysiadu, odtrącając rękę ochroniarza i jego późniejsze przeprosiny z równą niechęcią. Potem też pobiegła, mając jeszcze w zasięgu wzroku ludzi goniących za Hyde'em. Żadnych ograniczeń od tej chwili, jedynie polowanie z jego emocjami. Hyde...

Odwrócił się raz na rogu ulicy, nędznej jak gdzieś w Pradze czy Berlinie, a teraz nawet bardziej niebezpiecznej. Mur tam został zburzony, ale odbudowany tutaj. Całe akry betonu, cała masa bloków mieszkalnych, kilka czynnych lamp ulicznych, kilka zaparkowanych samochodów – jeden z nich stał na ceglach, bo brakowało mu kół. Dwie postacie przemykały z cienia w cień przez słabe światło. Stacja metra Mile End. Żadnego wozu policyjnego. Nawet jeśli tam były, to nigdy nie zatrzymają się przy osobie machającej na nich, a jedynie złożą raport w komisariacie. Wcisnął pistolet za pas, potem złapał za rączkę drzwi starego forda i szarpnął nią, aż trochę rdzy spadło do rynsztoka. Zamknięty. Pojedynczy strzał, potem odgłos rozkazów wydawanych przez krótkofalówki.

Więc ludzie czekali. Był tego pewien, gdy biegł przez zacienioną stronę ulicy. Dwie następne ulice i jest stacja metra.

Słyszał odgłos przyśpieszającego samochodu, jeszcze głośniejszy, gdy wjechał zza rogu oświetlając domy i kierując się w jego stronę. Dźwięki dochodzące z telewizora spoza wzmocnionego szklanego okna blisko jego twarzy zginęły w odgłosie pracującego silnika samochodowego. To było BMW. Przykucnął przy drzwiach, ale potem pomyślał, żeby przerwać tę zabawę w kotka i myszkę. Nie mógł pozwolić im dotrzeć tam przed sobą. Samochód zwolnił, jak gdyby badał grunt. Na drugim rogu ulicy dostrzegł słabe światła nędznych sklepów. Z okna na piętrze dochodził zapach ostrych przypraw i dźwięk gitary. W oknie sklepu wisały garnki, miski, wieszaki, jabłka i dziwne, bulwiaste owoce poukładane wzdłuż wzmocnionej szyby. Inne sklepy już były zamknięte na sztaby przed nocą. Jakiś pies chwycił go zębami za kostki, powstrzymywany przez na wpół rozbawionego właściciela. Czarna młodzież po drugiej stronie chodnika krzyczała głośniejsze niż ich radio tranzystorowe.

Stacja metra. Wieczorny ruch na Mile End Road. Normalka. BMW i drugi samochód stojący za nim były teraz na skrzyżowaniu. Przyblokowany. Wytarł czoło, a mokrą od potu rękę o swoje udo. Jezu... Otwarte sklepy, MacDonald, sklep z kasetami wideo, pijak. Samochody zaparkowane, samochody jeżdżące, światła. Przebiegł na drugą stronę ulicy, gdy tylko dostrzegł zielone światło przy przejściu dla pieszych.

W wejściu, tuż za portykiem stacji metra, dostrzegł chłoptasia trzymającego przy policzku krótkofalówkę, jakby zmagał się z jakimś obcym ciałem, które przylgnęło mu do skóry. Był amatorem czy też profesjonalistą, który dyskretnie się odwrócił? Czy to miało znaczenie? BMW wjechało na ulicę Mile End Road i właśnie wjeżdżało na wysepkę, aby się zatrzymać dwadzieścia metrów od stacji. Na deptaku leżał pijak zabrudzony własnymi wymiocinami. Jakiś czaruch z kumplami przeszukiwał jego kieszenie. Żebrak bez nóg, z psem i z czapką przy kulach, patrzył na zgniecioną puszkę po piwie, którą ktoś mu tam wrzucił. Obok przechodzili postawni faceci, młode pary, jacyś pryszczaci i wymoczkowaci osobnicy, dziewczyny w pozbawionych wyrazu czarnych ubraniach. Ktoś przy peronie bębnił na gitarze, a z ruchomych schodów

dochodził cichy odgłos. Jego wyostrzone zmysły wyczuły zagrożenie, chociaż patrzył na plan połączeń metra przyczepiony do ściany pokrytej glazurą. Potem spojrzął na odwróconego mężczyznę. Profesjonalista – zdecydował. Na szczęście. Czarni zakończyli przeszukiwanie kieszeni pijaka i ruszyli w kierunku ruchomych schodów za barierką kontroli biletów, śmiejąc się i bałaganiąc.

Człowiek z krótkofalówką odwrócił się, jak gdyby został zaskoczony w czasie jakiejś tajemnej, podejrzanej czynności i znalazł się twarzą w twarz z Hyde'em, który rozchylił swą bawełnianą marynarkę pokazując pistolet i uśmiechnął się. Minęła go młoda para, potem starszy, niepewnie zachowujący się mężczyzna, a następnie pięcioro lub sześcioro młodzieży. Hyde ruszył, wiedząc, że mężczyzna nie zacznie działać, póki komisarz z posterunku metra i sierżant stali za grupką hałaśliwej młodzieży, jakby pilnowali stada. Obejrzał się, gdy jego bilet wyleciał już z maszyny. Twarz mężczyzny wyrażała złość. Hyde przekroczył barierkę i wszedł na ruchome schody. Zobaczył mężczyznę z BMW przechodzącego pod portykiem wejścia na stację, kiedy stracił z oczu policjantów. Ktoś z wrzeszczącej młodzieży stojącej przed nim na schodach zwymiotował teatralnie w przestrzeń pomiędzy schodami i jadący nimi ludzie cofnęli się z obrzydzeniem, przestraszeni gromkim śmiechem i rytmicznym wymachiwaniem rąk. Obserwował schody za sobą. Jak wielu amatorów mogą dostarczyć na stację, zanim przyjedzie następny pociąg w kierunku wschodnim? Mógł wsiąść do pociągu jadącego na zachód z linii Central Line, bezpośrednio na Earl's Court... ale nie zrobił tego.

Dostrzegł mężczyznę z krótkofalówką i dwóch innych z BMW; wszyscy trzej odpowiednio ubrani, nie wyróżniający się spośród innych ludzi na stacji. Zadrżał na myśl o tym, że mógłby zostać zepchnięty z peronu i wpaść pod podjeżdżający pociąg. Tłumy – przypomniał sobie. Jego prześladowcom nie ułatwiała już zadania dyskretna ciemność bloku, gdzie nikt by ich nie zauważył i nie podejrzewał. Gdzie była kobieta? Zatrzymał się na dole ruchomych schodów i obejrzał się. Była tam. Pomachał jej i odwrócił się, zmierzając niby do przejścia na peron dla pociągów w kierunku zachodnim. Nie znali tej stacji, nawet gdyby ją obstawili. Zawodowcy z ambasady i misji handlowej nie odwieźdali ani Mile End, ani Stepney. Przyspieszył kroku w wyłożonym kafelkami

przejściu, cofnął się i wjechał krótką linią ruchomych schodów na District Line, na peron prowadzący w kierunku wschodnim... właściwie północno-wschodnim, stary. Na końcu linii był Upminster, przed nim Hornchurch. Całkiem ładne miejsca...

Potem znów powróciło przerażenie, ponieważ peron był prawie wyludniony. Było tak cicho, że mógł usłyszeć gdzieś w oddali grę na gitarze i żalony, niemelodyjny głos grajka. Na miłość boską, ile on mógł mieć lat? Śpiewał „Blowin' in the Wind”? Boże, co za prostoduszność. Dwoje ludzi, całujących się, jakby ich życie zależało od tego; cicha, pozerająca desperacja. Piętnaście metrów dalej były reklamy bielizny i nudnej intelektualnej komedii, na którą zabrał Ros, bo go do tego zmusiła. Dalej reklamy wody mineralnej i piwa. Schemat kolejki podziemnej. Ktoś zapadł w sen na ławeczce pod zamaskowaną, uśmiechniętą twarzą jakiegoś nieznanego piosenkarza pop na plakacie. I jeszcze młodzieniec z walkmanem stojący wystarczająco blisko brzegu peronu, aby wepchnąć go na tory bez specjalnego wysiłku. Poza tym pustka. Na wyświetlaczu nad głowami pojawił się napis: NASTĘPNY POCIĄG – Upminster. Jak długo jeszcze? Tunel był cichy...

...dziewczyna zachwycona była sceną, na którą wpadła, znajdując ją całkiem wyludnioną. Towarzyszyli jej dwaj mężczyźni. Jednym z nich był ten, którego mijał na korytarzu stacji przechodząc z najwyższą ostrożnością koło pijaka i żebraka. Dziewczyna pomachała do niego żartobliwie i jeden z mężczyzn uśmiechnął się, potem pochylił głowę do krótkofalówki i szybko coś powiedział. Hyde przycisnął się plecami do ściany z plakatem reklamującym geniusz Andrew Lloyda Webbera. Potrząsnął głową. Weźcie mnie przynajmniej spod plakatu.

Obracał głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, obserwując peron. Jeżeli dotarli tu już ich kolesie, to na co czekali? Nikt nie patrzył.

Młoda para chłoneła siebie nawzajem z cichą, niezmienną namiętnością, a pijak na ławeczce chrapał i śmierdział brudnymi łachmanami. Kobieta patrzyła pogardliwie, ale drugi mężczyzna chichotał podekscytowany.

Kobieta łączyła się telefonem komórkowym. Czy będzie tu działał? Bóg raczej wiedzieć. Tunel był cichy. Przycisnął spocone ręce do suchego plakatu za

plecami. Na pewno są uzbrojeni. Ale nie chcieliby chyba robić takiego hałasu? Byli z sowieckiej ambasady; z pewnością miał jeszcze nad nimi przewagę na peronie londyńskiego metra.

Na gest kobiety dwaj mężczyźni ruszyli ostrożnie jak wodna fala w jego kierunku. Oparł dłoń na pistolecie przy pasie. Popatrzył wzdłuż peronu. Jeszcze dwóch. Jeżeli strzeli, zabiją go natychmiast.

Na peronie i w tunelu było nadal cicho.

Znasz to miejsce, nie bój się, znasz to miejsce. Nazywa się Otjiwarongo – dobrze o tym wiesz. Powtarzał to sobie bez przerwy, gdy wielki księżyc świecił za oknem, a jego blask przepuszczany między listewkami żaluzji odbijał się na ścianie naprzeciw jego łóżka. Uczepił się prostej myśli, która mu wpadła do głowy. Najpierw patrzył na księżyc, potem obserwował jego przesuwanie się, jak człowiek oczekujący na wyrok. Poczul w nozdrzach zapach śniadania, które mu przyniosą... więzień zjadł solidne śniadanie, czy nie czytał gdzieś tego? Myśli o przemijaniu osłabiły go i pochłonęły wiele zmniejszonych już i tak zapasów energii. Potem wyobrażał sobie miasto, słysząc szczekającego psa lub jakiegoś innego zwierzaka, urywek piosenki pijaka, warkot silnika pojazdu.

Uczepił się myśli o Otjiwarongo, wiedzy o tym mieście, umieszczając je na jakiejś wymyślonej mapie, odbudowując miasto-widmo w swej wyobraźni; zapełnił je także ludźmi. Ludźmi, których znał, którzy mogliby pomóc. Pies musiał zerwać się gdzieś z łańcucha, gdyż węszył zaraz za ścianą. Słyszał nawet, jak odlewał się pod drzewem. Szczekał od czasu do czasu, przypominając mu, podpowiadając, ponagłając.

Przyjął ponagłania i przestrogi psa, gdy późna noc zaczęła przechodzić w chłodny świt. Usiadł na brzegu łóżka, w podkoszulku i szortach. Słaby i spocorny, z wysiłkiem szukał swojego ubrania, starając się zachowywać cicho i powtarzając sobie bez przerwy: *znasz to miejsce*. Znałeś je, gdy jeszcze tereny białych i domki jak pudełka czarnych były zupełnie oddzielone, zanim zaczęły się ze sobą mieszać. Wiesz, gdzie znajdują się pojazdy, jedzenie, rezerwy, broń. Ale wciąż pamiętał, nie mógł tego uniknąć czy też oprzeć się temu, jak to miejsce wyglądało przed uzyskaniem niepodległości, jakkolwiek stanowiło to

jedynie zabieg kosmetyczny. Wydawało mu się, że jest czarnoskórym ściganym przez Blantyre'a.

Anderson przyglądał się swoim rękom, które drżały, kiedy oparł dłonie o brzeg łóżka i przycisnął stopy do linoleum na podłodze, aby opanować strach, który, jak się wydawało, opanował całe jego ciało. Oddech stał się głośniejszy. Otjiwarongo. Brudne, niepozorne, miejsce... Joe Tsumis, który miał 4WD i był przewodnikiem turystycznym aż do Ovamboland... *znasz go*, na miłość boską, więc ruszaj i przestań myśleć o Blantyrze!

Stanął niepewnie na nogach obok szafki przy łóżku, szamocząc się z bawełnianymi szortami, podnosząc niepewnie i prawie z desperacją najpierw jedną, a potem drugą nogę, pocąc się, mimo zimnej nocy. Następnie włożył koszulę na lepkie ramiona i pierś, potem buty, przez cały czas słysząc swój charczący oddech, jak gdyby miał jakiś atak, na miłość boską! Próbował się uspokoić, gdy zawiązywał sznurowadła.

Potem wszystko stało się prostsze, jak gdyby odzyskał siły ze złości. Zabrał bandaż, środki przeciwbólowe i swoje dokumenty, ponieważ nie zostałby wpuszczony tam, gdzie się wybierał, bez papierów, które udowadniały, że pod białą skórą był rzeczywiście białym mężczyzną, no i portfel. Joe Tsumis nie weźmie kart kredytowych, ale inni wezmą.

Potem wstał i spojrział przez okno na jaśniejące niebo. Widać było odległe punkciki świateł z miasta. Potem nagle przeraziła go myśl, że Joe Tsumis mógł wyjechać lub zostać zabity w ciągu tych trzech lat, które upłynęły od czasu, gdy widział go ostatni raz.

Powoli, z namysłem przetarł czoło, a potem wytarł dłoń o szorty. Podszedł szybko do okna chwytając cienką siatkę palcami. Poruszył ją delikatnie. Nie wydała dźwięku. Pchać, ciągnąć? Sprawdził, jak została zamocowana, zardzewiałe śruby w wyszczerbionym, łuszczącym się drewnie. Pchać...

Siatka wydała jęk podobny do odgłosu małego zwierzęcia złapanego w pułapkę. Usłyszał trzeszczenie puszcających śrub. Hałas był nieznośny. Potem, gdy zaczął drzeć z niezdecydowania, zaszczekał ponownie pies, więc pchnął podniszczoną siatkę, która poleciała na zewnątrz. Przytrzymał ją palcami wychylając się przez parapet i postawił delikatnie pod ścianą. Oddychał głośno, ale regularnie. Ostrożnie przeszedł przez otwarte okno i wysunął się na zewnątrz.

Było pusto. Zaczął iść sztywno w kierunku rozrzuconych światła Otjiwarongo po zakurzonej ulicy z drewnianymi piętrowymi budynkami po obu stronach, paroma sklepami i małym hotelem. Czarny kształt kościoła misyjnego wyrósł nagle na tle pierwszej szarości świtu. Było to przygraniczne miasto jak wiele innych miast, wsi i osad w Namibii. Małe aloesy, łąki wyschniętych trawników, starannie utrzymana ziemia pełna domów białych ludzi. Kilka światła przebijało przez zaciągnięte zasłony lub siatki – światła u służących. Anderson minął ukradkiem hotel po drugiej stronie szerokiej, pustej ulicy. Blantyre musiał się tam zatrzymać, nie było innego miejsca.

Potem dotarł do miasta, gdzie znajdowały się zagrody tubylców oraz chaty i szopy z pogniecionych puszek po benzynie. Szopy na tyłach ogrodów ostatnich kolonialnych domów, namioty postawione na ulicy. Granice pomiędzy białym i czarnym stopniowo się zacierały. Drzewa, rośliny i wysuszone trawniki mieszały się z rosnącymi warzywami. Niezależność i prawo do głosowania. Ale inwazja przedmieść, tak daleko za miastem na płaskowyżu pełnym domów wieśniaków urodzonych w tym kraju, już się zaczęła; rozrastały się jak trawa wśród kamieni ulicznych; to było nieuniknione.

Ale te widoki nie rozproszyły jego myśli o tym, że Joe Tsumis nie mieszkał już w Otjiwarongo, ani też uczucia, że Blantyre właśnie się budzi, porusza się w łóżku, wstaje z zamiarem przebycia tych kilkuset metrów do kliniki, odnajduje jego pusty pokój i wszczyna alarm. Joe przywiózł go tu, gdy pierwszy raz przyjechał do Namibii, chcąc gdzieś osiąść i ukryć się; woził go na północ z entuzjazmem chyba z tuzin razy, ponieważ biały człowiek był wspaniałą przykrywką dla jego dostaw broni dla oddziałów SWAPO w buszu. Potem Anderson znalazł Etoszę, miejsce z czystą wodą, został zarządcą i nie widział go od tego czasu więcej jak dwa czy trzy razy.

Mijał teraz czarnych mężczyzn i kobiety, w większości Damara i Nama, z szalami na głowach. Słyszał klekoczącą mowę w nagle jaśniejszym powietrzu, gdyż słońce miało właśnie zamiar podnieść się nad horyzontem. Mężczyźni, opanowani, w czarnych miękkich kapeluszach i białych koszulach. Mogli pracować tylko jako służący, ale byli trochę lepiej opłacani. Nastął świt i niebo nad głową stało się głęboko niebieskie. Musi się precyzyjnie przemieszczać pomiędzy ludźmi płynącymi falą w kierunku białych przedmieść. Joe Tsumis, *bądź tam*.

Spętane kozy, kurczęta grzebiące w kurzu, dzieci z wielkimi oczami w ciemnych wejściach do domów. Przyspieszył, minął kolejną bezimienną ulicę, potem skręcił koło garażu zapełnionego starymi oponami i pompą w starym stylu. Czy to Joego? Nie był pewien. Rozglądał się, ale nie dojrzał żadnego 4WD na sprzątniętym podwórzu za pompą. Pokręcił się dookoła oszołomiony, obserwując miejsce. Na próżno.

Nagle dostrzegł to. Różowe w porannym słońcu, błyszczące chromowania starego amerykańskiego cadillaca, z jasną tapicerką. Był zaparkowany tuż przy garażu, na zewnątrz bogatszego jednopiętrowego domu, całego z drewna, z zasłonami w oknach. Było mu gorąco i lepił się od potu. Wdzięczny losowi odwrócił się, aby spojrzeć na ulicę za plecami. Jedna stara ciężarówka, rowery, żadnego pojazdu białego człowieka. Minął cadillaca, potem poletko warzyw i trzy kozy – to był dom Joego.

Uśmiechając się zastukał do drzwi, wołając jednocześnie:

– Joe! Joe Tsumis! Tu Richard! Richard Anderson! – zapukał jeszcze raz. – Otwórz, Joe! – młody chłopak na rowerze zatrzymał się na ulicy obserwując go. Zdał sobie sprawę, że jego walenie do drzwi było jak wizyta w przeszłości: białe, żądające, oficjalne.

– Joe, przepraszam, że przeszkadzam...

Na tę manifestację równości drzwi otworzyły się. Stała w nich młoda kobieta, Himba z wyglądu – bawełniana suknia udrapowana na jej smukłym ciele, dziecko przy odkrytej piersi. Nowa żona? Nie wyglądała na zaskoczoną czy niechętną. Za jej plecami pojawił się Joe, jedną rękę trzymał za plecami, brodę miał bardziej siwą, oczy podejrzliwe, bystre, potem złagodniały, gdy rozpoznał Andersona. Wepchnął młodą kobietę z powrotem do wnętrza, a zza jego pleców wysunęła się strzelba. Garnki brzęczały gdzieś w głębi domu, który miał brudną podłogę, ale leżały na niej jaskrawe chodniki Himba i maty, prawdopodobnie ze szczepu Herero. Tsumis patrzył na niego, uspokojony teraz, ale i ciekawy.

– Joe... – zaczął Anderson.

– Co się stało, Richardzie Anderson? Czego chcesz ode mnie?

Anderson podrapał się po brodzie i uśmiechnął, rozbrajając Tsumisa, wyglądając po prostu na nieszkodliwego białego człowieka, który nie zauważył broni zwieszającej się niedbale z ręki Tsumisa.

– O co chodzi, i to tak rano? – Tsumis przyjrzał mu się: ubranie, błądź, bandaż.

– Chciałbym... mogę zapłacić, za twoją pomoc, Joe.

Tsumis zerknął odruchowo na brudną ulicę i powiedział:

– Wejź do środka, człowieku, wejź.

Pochylił głowę przy wchodzeniu. Lampy stołowe, dywany, stół obiadowy i krzesła; początki dobrobytu. Z głębi słyhać było jakieś głosy wychodzących ludzi. Puste butelki, karty i niski stół.

– Siadaj Richard, człowieku – Tsumis wskazał mu fotel, który trzeszczał i ugiął się, gdy Anderson się w nim sadowił. Złapał za drewniane poręcze, gdy zrozumiał, jakie tu zaszyły zmiany, zauważył pewną tajemniczość i siłę wypełniającą wszystkie kąty pokoju. Tsumis dostrzegł jego niepewność i powiedział:

– Czasy się zmieniły.

Położył karabin na małym stoliku pośród kart. Szybko, jakby ktoś chlusnął wodą, wlało się przez otwarte okno słońce powodując, że brudna podłoga zająśniała, a dywany ożywiły się.

– Chcesz się uśmieć, Richard? – zapytał. Anderson potrząsnął głową w zamyśleniu. – Chcesz uściskać rękę miejscowemu członkowi parlamentu? – Tsumis wyciągnął rękę, potem wybuchnął śmiechem, w którym wyczuwalny był pewien cynizm. Poklepał się po udach.

– Tak, człowieku, zostałem wybrany po odzyskaniu niepodległości – pochylił się do przodu. – Mam robotę, jestem piekielnie skorumpowany, mam władzę, Richard.

– Gratuluję.

– Ach, głos ucznia z prywatnej szkoły, poznaję to. Tak jak doradcy, których nam przysyłają. Jednak, człowieku, lepsze to niż wypowiedziany z odpowiednim naciskiem *kafr*, no nie?

Przyjrzał się Andersonowi, a potem zapytał poprzednim tonem.

– Co ci się stało?

Anderson potrząsnął głową, ale zdradziło go zmęczenie i wymamrotał:

– Ona nie żyje, Joe, została zamordowana.

Przerażenie na twarzy Tsumisa było prawdziwe, wystarczająco, aby uruchomić chęć wygadania się. Anderson usiadł z podbródkiem opuszczonym na

zapadniętą klatkę piersiową i opowiedział Tsumisowi jak, dlaczego i kiedy – wszystko, pomijając przyczyny nienawiści Blantyre'a.

– Dlaczego? – zapytał w końcu Tsumis.

– To... coś z przeszłości, coś dawnego, co wydarzyło się w Johannesburgu, wiele lat temu.

Tsumis wzruszył ramionami, nie interesując się tym dalej.

– No, a teraz, co z tobą? Bardzo mi przykro...

– Dziękuję.

– Znam Blantyre'a. Żałuję, że ty też – Tsumis splunął. – Łotr, prawdziwy bydlak. Widziałem go raz... – Anderson prawie nie słuchał o okropnościach, jakich świadkiem był Tsumis w buszu wiele lat temu. Powstrzymując ból swoich doznań czekał, aż tamten skończy mówić. Światło słoneczne stawało się coraz silniejsze, a mały, niski pokój wypełniony został wolno latającymi pyłkami. Jak się domyślał, Tsumis mógłby go zdradzić, jeśli mu to pasowało, zawsze był do tego zdolny, albo też pomóc, sprzedać mu wszystko, czego będzie chciał.

– Tak więc, chce cię dostać?

– Tak. Muszę wyjechać. Samochód, jedzenie. Mogę zapłacić.

– Nie biorę American Express, pieniądze będą najlepsze.

To, że był pokonany i słaby, skłoniło jego zdaniem Tsumisa, by mu pomóc. Słaby, przegrany facet jest niewiele wart dla Blantyre'a. Poza tym Blantyre był nieobliczalny, nienawidził czarnych, lubił ich zabijać.

– Mogę ci zapłacić, Joe, żadnych ulg, po prostu interesy. Jeden 4WD, trochę dodatków – jedzenie, woda.

– Na jak długo?

– Tyle, aby wystarczyło na ucieczkę z tego miejsca.

Tsumis skinął głową. Anderson usłyszał ciche pukanie w coś, co musiało być tylnymi drzwiami. Pojawiła się dziewczyna Himba potrząsając głową w stronę, skąd dochodziły hałasy. Tsumis podniósł się.

– Przepraszam, interesy.

Obserwował pyłki poruszone wyjściem Tsumisa, tańczące w promieniach słońca wpadających do pokoju, ledwie słysząc sprzeczkę przy tylnych drzwiach na temat comiesięcznej zapłaty czy łapówki. Tsumis wszedł znów do pokoju, energicznie machając małym zwitkiem jasnych namibijskich pieniędzy.

– Widzisz? – powiedział prowokacyjnie Tsumis. – Korupcja jest teraz tutaj przekleństwem, od kiedy biali wyjechali! – potem zaczął się śmiać i oświadczył:

– To jest brudne miejsce, zawsze będzie. Nie ma co oczekiwać poprawy. Nie ma tu nic poza odrobiną pieniędzy. Zbieram ich tyle, ile się da, potem pojedziemy do Windohoeck czy Swakopmund i kupimy więcej władzy, jestem marksistą skorumpowanym jak diabli! Może pewnego dnia będę prezydentem, kto wie? W przyszłości będę robił dobre uczynki. Zanim jednak do tego dojdzie, Richard, muszę nawiązywać kontakty – pomachał pieniędzmi.

Pewny, że nie obrazi Tsumisa i nie straci szansy, że mu pomoże, Anderson powiedział:

– Nie jesteś marksistą, czy czymś w ty rodzaju, jeśli o to chodzi, Joe. Nigdy nie byłeś – Tsumis wyglądał przez moment na rozgniewanego, potem jednak jego dawne „ja” uśmiechnęło się spoza niedawno przybranej aktorskiej maski. – Przynajmniej ty jesteś konsekwentny, ale wciąż przynosi ci to pieniądze.

Tsumis rzucił banknoty w powietrze z udawanym lekceważeniem. Poleciały na brudną podłogę jak pióra ptaka.

– Okay, wyślę jednego z chłopaków po jedzenie, na trzy dni, nie więcej, nie mogę wzbudzać podejrzeń. Powiedzą ci, ile to kosztuje. Chcesz teraz zobaczyć land rovera?

– Ile ma lat?

– Nie więcej niż dwadzieścia. Myślisz, żebym cię oszukał?

Złapał Andersona za ramię powodując, że zgiął się z bólu. Szli przez kuchnię, w której panował nieporządek. Anderson nie zauważył dziewczyny Himba. Dzieci raczkowały jak szczeniaki, różnica wieku między nimi mogła wynikać z kalkulacji lub z zastąpienia poprzedniej kobiety inną. Ręka Tsumisa pozostała na jego ramieniu, nawet gdy przechodzili przez podwórko. Poranne słońce uderzyło go w twarz, gdy szli pomiędzy kurczakami i kozami w kierunku garażu. Słońce odbierało mu odwagę bardziej niż słowa Tsumisa.

– Ten Blantyre to bydlak, najgorszy. Uważaj na niego. Nie życzę ci śmierci, Richard.

Anderson obserwował cień idącego przed nim pewnie mężczyzny; jego krok udawał obojętność o wiele lepiej niż wyraz twarzy. – Wywieziemy cię

stąd. To wygodniejsze dla nas obu, no nie?

Anderson myślał o zdobyciu samochodu i jedzenia jak o skomplikowanym, trudnym zadaniu. Joe uczynił je łatwym i popchnął go w przyszłość swoją wielką ręką, którą opierał mu na ramieniu.

Land rover wyłaniający się z ciemności wydawał się brudny i w złym stanie. Stara szkapa Don Kichota. Zaciśnął pięści, przypominając sobie poparzenia, zadając sobie ból. Co mógł zrobić? Jak mógł w ogóle sobie wyobrazić, że przetrwa, nie mówiąc o zwycięstwie nad Blantyre'em?

Cisza w tunelu. Hyde rozchylił poły marynarki, aby jego pistolet był widoczny. Zawahali się. Wiedział, że nie podejda bliżej, będą jedynie czekać, idąc za nim jak psy do jakiegoś cichego, ostatecznego miejsca. Kobieta była całkowicie pewna siebie. Jakiś nerw drgał mu w przegubie ręki.

Uspokoił oddech. Gdzie do cholery jest ten NASTĘPNY POCIĄG? Ukradkiem spojrzął na swój zegarek. O której godzinie złożyły się pijaczki – o jedenaście trzydzieści? Teraz była za dwie jedenasta. W polu widzenia ukazała się jakaś żebraczka z dwiema torbami na zakupy w chudych rękach. Rozlokowała się na ławce...

...z jamy tunelu, z jęczącym odgłosem wyskoczył pociąg. Żebraczka ceremonialnie zebrała swe plastikowe torby i gazety: tuziny egzemplarzy „Christian Science Monitor”, które musiała wynieść z jakiejś czytelnicy. Nie była wcale podobna do Vi, mimo to mu ją przypominała. Pociąg, jak się okazało, gdy zwolnił, był niestety pusty. Jedenasta w nocy. Mogli przytrzymać go na ulicy do świtu, być w każdym pubie, kawiarni, autobusie i alei razem z nim, zawsze tuż za plecami. Pociąg zatrzymał się i Hyde trochę się ociągał, ponieważ jakkolwiek nagły ruch mógł wywołać u nich panikę i spowodować, że użyją noża.

Wszedł do pociągu. Jest jeszcze dwóch. Kobieta ze swoimi ochroniarzami weszła do tego samego wagonu, pozostali do następnego. Jeżeli pojedzie pociągiem do końca trasy, to wykończą go w podmiejskiej ciemności. Żebraczka, spokojna jak wykuta z kamienia figurka na grobie jakiejś baronowej, zniknęła z pola widzenia, ściany tunelu jak gdyby naciskały na szyby pociągu, potem zniknęły w odbiciu jego własnej twarzy, gdy stał przy tylnych drzwiach wagonika. Spojrzął na mężczyzn, jeden spokojny, drugi bardziej spięty. Kobieta

rozkoszowała się narastającym napięciem. Przeżywała to już wcześniej i lubiła sensacje.

Stacja Bow Road. Czarni, jakiś włóczęga, gliniarz z posterunku na stacji rozglądający się po peronie. Nikt nie wysiadł, wsiadło dwoje ludzi. Sygnał od jednego z nich? Nie, nie sądził. Ale musiała im powiedzieć, gdzie zmierzał i co robił, zanim weszła do metra. Pociąg odjechał ze stacji. Plakaty i graffiti przemknęły, potem znów wjazd do tunelu. Prawie natychmiast pojawiła się stacja Bromley-by-Bow i wciąż niewiele więcej tych cholernych ludzi. Psiakrew! Kilku maruderów wysiadło, kilkoro wsiadło do pociągu. Pięć po jedenastej. Na miłość boską, o której godzinie kładą się spać cholerne pijaki w tej części Londynu? Kobieta obserwowała go jak swoją własność, podczas gdy mężczyzna patrzył to na nią, to na siebie samego, głowy podskakiwały mechanicznie do przodu i do tyłu. Zaczęły mu drżeć nogi.

Stacja West Ham. Policjanci z posterunku metra przechadzający się parami – dobry sygnał. Wpatrywał się w nazwy stacji, jakby miał nadzieję, że fala wsiadających pasażerów zapełni wagonik zasiadając na wszystkich siedzeniach. Dwóch głośnych, zachrypniętych, nieszkodliwych czarnych, dwie starsze kobiety, para młodych wymoczków. Kobieta skrzywiła się na ich pozbawione gustu sztuczne skóry, ćwieki, kolczyki i stojące włosy. Uśmiechnął się do niej, potrząsając głową, próbując odzyskać pewność siebie. Kobieta odwróciła się.

Plaistow. Pociąg zatrzymał się. Gdzieś z oddali dobiegał dźwięk saksofonu, czarni w przedziale poruszali swymi giętkimi biodrami w rytm muzyki, a potem wybuchnęli śmiechem. Nikt podejrzany nie wsiadł. Gdyby tylko mógł wysiąść z tego cholernego pociągu! Chwiał się, trzymając rzemienną rączkę, gdy pociąg wjeżdżał do tunelu. Jeszcze jedna stacja, tylko jedna i potem następny ruch będzie jego i prawdopodobnie fatalny w skutkach. Jedenasta dziesięć. Pijaki, och pijaki, ruszajcie się, wyłażcie *proszę!* Minuta, potem druga... pociąg ruszył, pokonując dalszy odcinek drogi, potem pokazały się światła i wyłonił się Upton Park. *Proszę...*

...tak. Gdy pociąg zwolnił, na peronie widać było tłumy. Wszędzie bordowo-niebieskie szaliki, prawie na każdej szyi. Pijani, szczęśliwi – *tłum*. Hyde poczuł ulgę, potem zebrał siły, pełen napięcia, gdy pociąg się zatrzymał i

tłum zbliżył się do brzegu peronu – roześmiane, ożywione twarze i poruszające się ręce. West Ham grał towarzyski mecz z jakimś hiszpańskim klubem na Upton Park. Ten tłum wracał do Dagenham lub Barking, czy też gdziekolwiek.

Dwaj mężczyźni byli zaniepokojeni zatłoczonym peronem, gdy pociąg się zatrzymał, rozbrojeni przez naciskający na nie otwarte drzwi tłum. Hyde był uwięziony. Kobieta miała niepewną minę obserwując go spod zmarszczonych brwi.

Drzwi zaczęły się rozsuwać i skoczył, czując wzrastające napięcie, w tłum blokujący mu drogę ucieczki, kiedy tamci zdali sobie sprawę, że zamierzał wykorzystać tę ciżbę do ucieczki. Był wypychany do tyłu, jedną nogę wciąż trzymał w przedziale, potem pochylił głowę i rzucił się na nich jak bokser przy starciu z przeciwnikiem, lżejszy, ale bardziej zdeterminowany. Narzekania, jakieś nogi przepychające się w jego kierunku, wykrzykiwane słowa *I'm forever blowing bubbles*, no i znalazł się pięć, sześć metrów od otwartych drzwi, odwrócił się, przyciśnięty do ściany stacji i zobaczył jednego z mężczyzn wepchniętego z powrotem do pociągu i twarz kobiety przyciśniętą do szyby jak u szaleńczo zawiedzionego dziecka. Mimo nacisku kibiców piłki nożnej, pomachał jej, a potem przepchnął się łokciami i popłynął przez resztki tłumu w kierunku wyjścia. Wyjście – och, tak...

Peron był już pusty, pomijając policjantów z miejscowego komisariatu, wyglądających na uspokojonych – sześciu, ośmiu, i jeden z dwóch mężczyzn, który wysiadł z sąsiedniego wagonu. No i kto był panem sytuacji, gdy przechodził blisko dwóch policjantów? Twarz kobiety, karykaturalnie wykrzywiona ze złości i zawodu prześlizgnęła się obok i zniknęła w tunelu, gdy pociąg nabrał szybkości.

Wbiegł po schodach. Samotny facet z KGB nie ruszy się bez posiłków czy nowych rozkazów. Prawdopodobnie powie, że Hyde zgłosił się na policję, pozostawiając go bez szans na zakończenie misji.

Hyde wbiegł zadowolony po ruchomych schodach, z szerokim uśmiechem na twarzy. Centre Point, pomyślał. Będą chcieli go pozbawić głowy po drodze na wszelkie sposoby. Tak więc nie mógł wracać do Centre Point. Mogą też zostawić grupę w Philbeach Gardens, aby na niego czekała. Nie było się z czego śmiać, naprawdę. Jednak nie mógł opanować tej spontanicznej reakcji. Starzy, dobrzy Hammersi...

Van Vuuren obserwował kierowcę limuzyny niosącego jego bagaż przez foyer InterContinentalu, zmierzającego w stronę słonecznego upału poza szklanymi drzwiami. Postawił swój laptop przy stopach i spojrzał na rachunek. Uśmiechnął się do siebie – kwiaty, szampan, tak... śniadanie. Okay. Panienska nie była wyszczególniona na rachunku, Paulus to skreślił. Telefony, obsługa pokoju. Miał zamiar przekazać rachunek swemu asystentowi, który właśnie wyłowił kartę firmy Amex z jego filofaxu.

Potem zabrał go z powrotem i powiedział do Chinki za szybą okienka:

– Nie rozmawiałem z Johannesburgiem. Czy mogłaby to pani sprawdzić? Te się zgadzają, ale ten nie. Kiedy to było? – jego głos, zdał sobie z tego sprawę, lekko zadrżał, kiedy w jego głowie zaświtały pewne podejrzenia. Dziewczyna stwierdziła, że rozmowa była z hotelu.

– Proszę o dokładniejsze dane. Proszę znaleźć, o której godzinie było połączenie.

– Czy coś jest nie w porządku, sir? – zapytał jego asystent. Jeden z tych z Natalu, których głos był bardziej angielski niż samych Anglików. Pozbył się swego ciężkiego, afrykanerskiego akcentu z każdej sylaby, nawet wzrostem i przydługimi włosami nie przypominał Afrykanera. Chociaż włosy miał jasne.

– Nie. Ja... ta dziewczyna coś sprawdza. Chcę... mogę chcieć połączyć się z Paulusem. Załatw mi telefon w jednym z biur. Zrób wszystko, żeby go zdobyć.

Jego asystent poszedł wzdłuż holu recepcji, wyprzedził dwóch Arabów i pochylił się do ubranego w żabią zieleń menażera, który od razu zaczął kręcić głową. Ale znieruchomiał, gdy młody mężczyzna dotknął kieszeni na piersiach i wskazał głową na van Vuurena.

Chinka podała mu numer, który był mu dobrze znany.

– ...połączenie nastąpiło o ósmej pięćdziesiąt, sir. Przepraszam za...

– To nie ja dzwoniłem. Kto korzystał z telefonu w moim pokoju? – warknął. Fala podejrzeń, które go opanowały, miała swoje epicentrum gdzieś w żołądku.

– Sir, musiał pan korzystać z telefonu. Personel jest...

– Kto go używał? – zapytał opryskliwie.

Ale, w jednej chwili, nie miało to już znaczenia. Spojrzał na laptop przy stopach jak na zwierzę, które ugryzło go mimo okazywanej mu dobroci. Ktoś

dostał się do jego pokoju, użył go, połączył się przez telefon z komputerem głównym w siedzibie MLC w Johannesburgu, poprosił o informacje...

...bydlaki, te bydlaki, które obserwowały biuro MacPhersona. Angielskie bydlaki.

Jego asystent dał mu do zrozumienia, że odniósł sukces.

– Zapłać mój rachunek – warknął. – I pilnuj tego! – oddał mu komputer, jak gdyby to on go zdradził. – Gdzie? – mruknął do menażera i skierowano go do małej salki ze stolikiem, telefonem i starą szafą na akta. – Wynocha! – wrzasnął i zamknął drzwi. W pozbawionym dopływu powietrza pokoju było gorąco – to *jemu* było gorąco, na miłość boską! Paliło mu się pod nogami i był przerażony pewnością, że oni mają kody i dostali się do głównego komputera MLC.

Jego palec zatrzymał się przy wybieraniu numeru Malana. Boże, Paulus mógłby... Przeciągnął po czole palcami, które stały się lepkie od potu. Obejrzał je z obrzydzeniem, przyjrzał się słuchawce z identycznym uczuciem. Potem, niechętnie, wybierał dalej numer w Johannesburgu, patrząc na swój zegarek. Malan mógł być teraz w pracy, w swoim biurze w rezydencji. Jezu, to było do cholery zbyt okropne! Priabin i jego faceci powinni wszystko zablokować. Zamiast tego ten szalony Australijczyk zabił trzech z nich! Mieli te cholerne kody, musieli wydobyć wszystko z głównego komputera!? Powinien zadzwonić do głównego komputera, sprawdzić, o co pytali i co zostało im podane...

Odsunął słuchawkę od ucha, ale zaraz usłyszał głos Malana.

– Paulus, to ja.

– Piet, co się stało? – Paulus już poznał, że stało się coś złego. Jak lew wyczuwający świeżą krew na kilometr, tak on był cholernie wyczulony na ton głosu lub też po prostu na nagłe rozmowy międzynarodowe o tak wczesnej porze.

– Czy stało się coś złego?

Niełatwo było mu powiedzieć...

– Paulus, ktoś... ktoś dostał się do komputera głównego używając mego...

– Czeka! – krzyknął Malan. Potem van Vuuren usłyszał, jak korzystając z innej linii zażądał, aby sprawdzić wszelkie polecenia pochodzące z komputera van Vuurena.

– Kiedy to się stało?

– Ostatniej nocy, tuż przed dziewiątą...

Malan milczał przez chwilę, potem zapytał:

– Co się stało?

– Musieli włamać się do mojego pokoju... nie ma śladów włamania, nie rozumiem, jak oni...

– Sprzęt fotograficzny, Piet. Podglądanie kamerą. Powinieneś o tym sły-
szyć? Wykonali pewnie zdjęcia ekranu, jak pisałeś na komputerze w biurze
MacPhersona. Powiedziano nam, że ci ludzie zostaną zatrzymani, ale tak się
nie stało! Czekał... – usłyszał dzwonek telefonu i Malana powtarzającego na
drugiej linii: – Tak... tak... tak... tak... – a potem: – Zatrzymaj wszystkie nowe
dostawy Piet, zatrzymaj je natychmiast.

– Paulus, co oni dostali?

– Mieli dostęp do wszystkiego, co otworzyłeś dla nich w biurze MacPhersona. Piet! Czy potrzebujesz jeszcze wyjaśnień? Z tym, co mają, mogą przy-
szpilić całą firmę i lotnisko. Tak jak ze wszystkim, to tylko wtedy wydawało
się sprytnie, gdy było bezpieczne. Zatrzymaj to wszystko lub zmień, potem do
mnie zadzwoń.

Usłyszał trzask odłożonej słuchawki. Poczul ulgę. Tylko dlatego, że Malan
nie panikował, tak jak on w tym gównianym małym pokoju, przygotowując się
na błagalne ukłony! Jego ręce były wilgotne i zimne. Huczało mu w głowie.
Skupić się!

Pierwszą rzeczą było zatrzymanie dostaw zaplanowanych na dzisiejszy wie-
czór. Nie mieli czasu, żeby zareagować, kiedy on spał. Mogli założyć podsłuch
w Birmingham... nie, nie mogli, gdyż Priabin powiedział, że pracowali nieofi-
cjalnie, nie mieli wsparcia, niewiele środków. Jedynie udało im się dostać do
komputera MLC, to wszystko! Zatrzymać dostawę, potem zmienić ją na coś
niewinnego, coś, co zwykle jest wymieniane na formularzach w deklaracjach
celnych. Jeżeli uda się to załatwić, to ci ludzie mogą robić, co chcą, postępo-
wać tak głupio, jak tylko sobie życzą, a to wybuchnie im prosto w twarz. Im
więcej zrobią zamieszania, tym więcej będą mieli problemów.

Uśmiechnął się, przemyślał swój pomysł tak dokładnie, jakby podpisywał
kontrakt wart miliardy randów i skinął głową. Ktoś zapukał do drzwi. Gert,
jego asystent. Wyprosił go ruchem ręki i drzwi zamknęły się ponownie.

Zadzwoń do ich człowieka – niech się spoci tak samo jak i on. Schwycić
za jaja tego sukinsyna i ścisnąć z całej siły. Potem zadzwoń do Priabina.

Skonsultować się z nim, niech jego ludzie zajmą się tymi sukinsynami, z powodu których tak się spocił. Priabin powinien przejąć tego faceta – jak on się nazywa? Hyde. Powinien go załatwić!

Znów się pocił. Ci ludzie muszą być usunięci – pieprzeni komuniści, nie umieli zorganizować tej cholernej sprawy!

Wykręcił numer do Birmingham – 021? Tak, 021... sygnał, jeden, drugi, trzeci, a potem głos automatycznej sekretarki.

– ...nie mogę podejść teraz do telefonu. Proszę zostawić...

Gdzie on był? Spojrzał ukradkiem na swój zegarek, jakby był obserwowany.

Nagle przypomniał sobie, że facet był w podróży skądś tam i jeszcze nadal leciał. Chryste, do kogo teraz zadzwonić?

Godwin odsunął zasłony. Musiał drzemać pół godziny, może dłużej, gdy zaskoczyło go pierwsze światło, a potem rozejrzał się po swym zaśmieconym pokoju; ciasny, wymagający odnowienia, ze starymi meblami. Chambers spał na sofie, głośno oddychając. Biura Centre Point były dokładnie poza ich zasięgiem, a musieli przynieść wszystko z powrotem – do domu? Niezwykłe słowo, jak mu się wydawało, o tej porze dnia i z kimś śpiącym w pokoju, zajmowanym zwykle przez tygodnie czy nawet miesiące tylko przez niego. Chambers wyglądał jak yuppie, który popadł w pijacką drzemkę raczej niż w głęboki sen. Dubczek leżał na boku, oparty o brzuch Chambersa z rozłożonymi łapami. Kot już powyciągał nitki z tłustego krawata w abstrakcyjne wzory luźno zwisające wokół szyi Chambersa. Godwin potrząsnął głową; przeszkadzało mu jakoś to towarzystwo i było dla niego przykre z jakichś nieokreślonych powodów.

Wyjrzał przez okno na ulicę: mleczarz, niewielu pieszych o tak wczesnej porze, pierwsze samochody wyjeżdżające z zapchanych parkingów, domy z wciąż zasuniętymi zasłonami z cienkiego materiału, przepuszczającego delikatne światło.

Odwrócił się twarzą do pokoju, drapiąc się po brzuchu, w którym burczało z głodu. Poprzedniego wieczora zjedli jedynie kanapki ze starego chleba i mielonej wołowiny, ponieważ, kiedy uświadomili sobie wieczorem, że są głodni, wszystko było już zamknięte. Potem, popijając piwo i łykając od czasu do czasu szkocką pracowali do trzeciej. Wydruki wciąż leżały na oparciu fotela, a masa niezliczonych kopii wydruków i odbitek poniewierała się po całym pokoju.

Były tam także słowniki i kartki papieru zapisane lub pogniecione i nie wyrzucone do kosza. Pomasaował sobie skronie. To było dziwnie pozbawione sensu, jakiś intelektualny ekwiwalent niezbyt wesołego przyjęcia czy dyskoteki, gdzie rytm pracy był jak zagłuszająca wszystko muzyka, tak że nic nie miało znaczenia. Nie przerwali swej roboty nawet na chwilę, pomijając moment, kiedy chcieli coś zjeść.

Ale na wyświetlonej kartce komputerowego wydruku przyklepionej do fotela mieli to, litery w przytłumionym świetle, które przedzierało się między zbyt blisko położonymi blokami w sąsiedztwie. Miejsce, firmę. Lotnisko w Birmingham. SwiftEx, wszelkie dostawy do Europy, włącznie z Europą Wschodnią. Proste jak drut. Obydwaj przeszli przez masę szczegółów wyciągniętych z głównego komputera MLC, złożyli to w sensowną całość, porównując z materiałami z innych miesięcy, przeczuwając przyspieszenie i rodzaj dostaw, przysyłanych na ostatnie, nieoczekiwane zwiększone zamówienia. Mieli zamówienia przychodzące jedno za drugim od współpracowników MLC lub firm z nim związanych. Tysiące telewizorów, kuchni mikrofalowych, kuchenek, telefonów komórkowych, urządzeń klimatyzacyjnych – wszystko wytwarzane przez dostawcę Reid Group, Reid Davies w Birmingham. Wszystko ruszało z lotniska Brum via spedytora Brum. Wiwatowali, śmiali się, prawie płakali, wypili po wielkiej whisky i osłabli. Padli.

Warto było.

Godwin uśmiechając się zapalił papierosa. Chambers pokręcił nosem, odchrząknął i otworzył oczy, patrząc przez chwilę bezradnie jak dziecko, zanim spojrzął na cień Godwina rysujący się na tle okna.

– Boże, która godzina?

– Siódma.

Dubczek poruszył się, przywarł do niego przez chwilę, tak że Chambers skrzywił się z bólu, czując na skórze jego pazury, a potem powoli wstał i niechętnie porzucił swą ludzką poduszkę.

– Boże, moje usta! Posmak jak spod pachy pogromcy lwów.

– Kawy?

– Mmm? Och, dobrze – odwrócił głowę w stronę wydruku, jak gdyby pomyślał, że może śnił mu się ich wysiłek i sukces.

Uśmiechnął się do Godwina przecierając oczy.

– Więc zrobiliśmy to, co?

– Tak. Naprawdę myślę, że to zrobiliśmy! – Godwin uśmiechnął się do Chambersa, przeczesując włosy palcami i strząsając popiół z papierosa ze swej brudnej koszuli. Wskazał swój komputer stojący na zaśmieconej, porysowanej powierzchni stołu.

– A wszystko jest tam. Cała piękna układanka!

– To nie może być wszystko, jak sądzisz?

Godwin potrząsnął głową.

– Jedyne nasz kawałek – siatka w Zjednoczonym Królestwie.

– No i jedynie miejsce, z którego towar wychodzi, a nie gdzie trafia. No cóż, może poza tą francuską firmą.

– Dumas Electroniques. Mysz, która połączyła słońca.

– Oni nie są właścicielami Reid Group, są największym posiadaczem akcji, od kiedy kupili prywatne akcje Davida Reida.

– A kto jest właścicielem Dumas?

– Bóg raczy wiedzieć – facet, który napisał *Trzech muszkieterów*?

– Ale jeśli się dowiemy – Godwin zrobił małą przerwę – możemy trafić do następnego przedłużenia siatki, potem do następnego, aż dotrzemy do miejsca – gdziekolwiek. Malan jest wykorzystywany przez KGB, to pewne.

– Dlaczego pewne? – zapytał Chambers z kuchni. Godwin usłyszał narastający bulgot wody gotowanej w czajniku.

– Nie może mieć głównego udziału, więc jest wykorzystywany.

– Dlaczego?

– Dlaczego miałby się zgodzić? – Godwin powtórzył pytanie Chambersa. Woda zagotowała się i czajnik został wyłączony. Dubecek chodził za Chambersem. Godwin słyszał skrobanie widelca po ściankach puszek z pożywieniem dla kotów.

– Z powodu koncesji w Europie Wschodniej i Rosji. Pracował z nimi przez lata przy diamentach i złocie. Ufają mu. Z kim innym mogliby pracować?

Chambers wniósł kubki i podał mu jeden. Potem patrzył przez okno. Z drugiej strony Chambers miał w Docklands nie nadające się do sprzedaży mieszkanie, o wiele bardziej schludne i o wiele droższe w utrzymaniu. Kentisch Town stało się modne, zanim Docklands zaczęło wychodzić z kryzysu.

Godwin potrząsnął głową. Nie był po prostu przyzwyczajony do towarzysztwa.

– Okay – powiedział Chambers. – Ale co my teraz zrobimy? Nikt, kto się boi Orrella, nie będzie z nami rozmawiał. Zresztą większość z nich jest zbyt ograniczona, aby to zrozumieć – stwierdził, a potem dodał: – Nie widzę żadnych podejrzanych pojazdów na zewnątrz, zauważyłeś cokolwiek?

– Czy chciałbyś, żeby Patrick tu był?

Chambers zrobił minę lekceważącą, ale i niepewną.

– Nie. Nic nie widziałem – odpowiedział Godwin na pytanie Chambersa. – Zresztą z tego, co powiedział przez telefon, oni chcą sprzątnąć najpierw jego, potem przyjdą po nas.

Chambers zadrżał.

– To kutas.

– Jest niebezpiecznym zwierzęciem.

– Dlaczego nie porozmawiamy z Aubreyem? – Chambers trzymał swój kubek w dwóch dłoniach, jakby chciał się ogrzać, wyglądając na trochę przestraszonego.

– Stary jest chory. Nawet jeszcze nie wrócił do pracy. Jeżeli kiedykolwiek wróci. On może nas wysłuchać, ale co zrobi, skoro Orrell wtyka nos nawet do kierownictwa rady? – Godwin potrząsnął głową. – Chcę porozmawiać z Aubreyem, ale nie sądzę, aby on mógł zrobić cokolwiek na tym etapie.

– Więc co zrobimy? To całe przyspieszenie – pokazał ręką na wydruk. – To cholera przekroczy niedługo barierę dźwięku, jak tak dalej pójdzie!

To była prawda. Ilość dóbr przechodzących przez Reid Davies, zamówienia, jakie wykonywali, dostawy wysyłane przez SwiftEx – wszystko to przyprawiało o zawrót głowy. To musiało nastąpić wkrótce. Malan właśnie złożył stertę nowych, jeszcze większych zamówień w Reid Group. Zupełnie jak w filmach Hitchcocka, karuzela wymykająca się spod kontroli, pędząca i wirująca.

No i Patrick... chcieli go zabić, i to szybko.

– Mówisz, że to nie Davies?

Godwin potrząsnął głową.

– Wątpię. On pracował dla nas jako kurier, pomocnik, przewodnik. Aubrey nie uwierzyłby, że to on – ja nie wierzę.

– W tym interesie jest wielu ludzi, których on zatrudnia. Trzeba przecież wysłać to wszystko jako telewizory i kuchenki mikrofalowe! – Chambers odstawił swój kubek i wsunął ręce do kieszeni. – Co w związku z tym zrobimy?

– Zamierzam zadzwonić do urzędu celnego, udając, że mamy upoważnienie sir Clive'a na obserwację SwiftEx na lotnisku w Brum.

Chambers skinął głową i uśmiechnął się z aprobatą.

– Tymczasem ty i ja pojedziemy do Brum, usiądziemy przed bramami Reid Davies i zaczekamy na ostateczne zamówienie dla MLC, gotowe do wysłania. Dziś lub jutro – nie może być później, prawda? Potem wyślemy celników, aby otworzyli pudła. Podoba ci się?

– Mniej więcej. Orrell dostanie zawału serca... Chryste, ten skurwysyn Bannister, nasz sławny zastępca dyrektora generalnego, był całkiem nieprzyjemny poprzedniej nocy!

– Bannister jest tak ograniczony jak tylko koleżka Clive'a Orrella może być. Nie przejmuj się nim. Tak długo jak będziemy powtarzać, że o niczym nie wiedzieliśmy, i przepraszać za wszelkie spowodowane utrudnienia.

– Teraz będzie inaczej. Powinniśmy prowadzić przerwane śledztwo.

– Chcesz to zrobić, czy nie? – krzyknął Godwin.

– Tak, tak! – zapewnił Chambers zbyt gwałtownie.

– Posłuchaj, nie wystrasz się teraz, kiedy mamy za sobą całą tę cholerną robotę – zdenerwował się Godwin idąc do telefonu i postukując kulami. Podniósł słuchawkę i wymachiwał nią w kierunku Chambersa.

– Jeżeli Orrell i ten Bannister nie dadzą nam nic, to ja to zrobię! Posłuchaj, to zabierze tygodnie, może miesiące – z tym co mamy – wygląda na to, że trzeba wejść do Reid Group i wyjaśnić to. Tylko mi nie mów o swoich głupich obawach dotyczących emerytury, Terry. Po prostu tego nie rób!

Zaczął wystukiwać numer, rozgorączkowany, ale zadowolony ze swego wybuchu. Musieli złapać dostawę; to było wszystko, czego potrzebowali, aby otworzyć tę puszkę z robakami.

Człowiek ze specjalnej grupy śledczej obserwował nie ogoloną, zmęczoną twarz Hyde'a i jego wrogość przeszła w pogardę. Ranek był gorący, chociaż dopiero minęła siódma. Przewędrował cały Londyn, przeważnie na piechotę. Jedna wczesna taksówka, autobus zapelniony ludźmi jadącymi do pracy i niezadowolonymi, że będą musieli przebywać w zamkniętych pomieszczeniach

mimo pogodnego dnia. W nieruchomym powietrzu wszędzie czuć było benzynę. Nikt go nie śledził, nawet gdy jadł śniadanie koło przyczepy, zaparkowanej przy moście kolejowym. Czknął. Niestrawne kanapki z bekonem i smażonym jajkiem i popłuczyny po słodkiej herbacie. Spojrzał w górę na okna Ros. Nie było jej tam, ale kim był ten, kogo wpuściła do środka?

Nie było tu ludzi Priabina. Ludzie z Wydziału Specjalnego odstraszyli ich parkując przed jego drzwiami.

– Mogę pomóc? – zapytał zaczepnie jakiegoś policjanta, trzymając ręce w kieszeniach.

– Hyde, to musisz być ty, prawda? – spytał człowiek z Wydziału Specjalnego. – Ludzie czekają na spotkanie z tobą – skinął głową w stronę mieszkania, zanim wysiadł z granady. Policjant był wyższy od Hyde'a, postawny i konfidencjonalnie uśmiechnięty. Przedstawiciel władzy – w przeciwieństwie do, jak świadczyła o tym jego mina, stojącego naprzeciw niego. Jeszcze jedna z tych zjaw, jak nazywali ich Jankesi, które zasłużyły na reprimendę.

– Czy zechciałby mi pan towarzyszyć, sir? – ostrożnie wyciągnął ręką w stronę łokcia Hyde'a.

– Nie.

– Zaraz się potkniesz – powiedział oficer służby śledczej wciągając powietrze nosem jak wielki pies.

– Czy był ktoś tutaj, gdy przyjechaliście? – zapytał niecierpliwie Hyde.

– Proszę posłuchać, nikt nie ukrywa się w krzakach, nawet pański bukmacher.

– Och, te ważne dokumenty, jakie trzymacie na Curzon Street. Żadnych ludzi w samochodach – wie pan, takich, którzy nie jechali prosto do pracy?

Kierowca samochodu wyglądał na rozzłoszczonego i przechylił się gwałtownie przez siedzenie pasażera.

– Weź tego mądralę na górę, Dean – powiedział.

Hyde parsknął śmiechem.

– To prawda, że policjanci są coraz młodszy.

– Zobaczę, jak się będziesz śmiał na górze.

– Dlaczego, a kim są moi goście, komisarzu?

– Sir Clive Orrell i Aubrey, ten...

– ...stary pierdziel, chciałeś dodać? Okay, więc idziemy do środka. Tylko zostaw swego koleśia tutaj, aby obserwował ogrrody, dobrze? Jako ostatnią przysługę dla umierającego.

Chryste, Aubrey? Przyjechał podczas urlopu zdrowotnego do jego mieszkania z Orrellem? Sytuacja była co najmniej poważna.

W ich zachowaniu było wystarczająco dużo ukrytego profesjonalizmu, gdy człowiek ze służb specjalnych nachylił się do kierowcy i wymamrotał:

– Zrób, czego sobie życzy, dobrze Jack? Uważaj na Matę Hari w zaparkowanym samochodzie, dobra?

Hyde strzelił palcami.

– Jestem zadowolony widząc, jak się tam ukrywasz, *Dean* – uchylił się przed próbą złapania go za rękę i przeszedł przez chodnik w stronę trzech schodków przy frontowych drzwiach.

Zauważył w oknie Ros, a nawet jej otwarte usta, jakby go chciała ostrzec, zanim wszedł do budynku.

Świergot ptaków współzawodniczył z odgłosami samochodów na głównej drodze i warkotem zapalanych silników w Philbeach Gardens. Potem spotkał Ros przy drzwiach, z widocznym na twarzy sakramentalnym „gdzieżeś ty był”, przechodzącym szybko w zmieszane „o co chodzi”? Pocałował ją w policzek, wzruszeniem ramion wyrażając swoją niewiedzę. Chociaż nie mógł już dłużej udawać, nawet przed samym sobą. Aubrey był gotów przyjechać w tandemie z Orrellem... Wbiegł po schodach na pierwsze piętro, potem na drugie, z Ros cały czas za plecami, spokojnie ponaglającej go w drodze do grożącego mu zawieszenia. Wydawała się zaintrygowana, zła i jednocześnie niechętna z powodu dwóch starszych dystyngowanych cywilnych pracowników czekających na niego. Oto kim byli i chodzi o *twoją* emeryturę.

Gdy otworzył drzwi swego mieszkania, Aubrey odwrócił się sprzed francuskiego zegara stojącego nad kominkiem. Hyde zlustrował go jak chirurg pacjenta. Starzec opierał się ciężko na swej laseczce, ale wydawał się sprawniejszy niż wtedy, gdy spotkali się ostatnim razem. Jego skóra była mniej przezroczysta, wyglądał prawie zdrowo. Ale nie wyczuwał poparcia Aubreya dla siebie, raczej irytację, podejrzliwość, dystans. Zły humor starca wyzwolił w nim energię. Hyde poczuł ściskanie w żołądku. Nie ma co liczyć na pomoc, jedynie na opieprzenie i zawieszenie albo zwolnienie przez Orrella.

Wydawało się, że Aubrey odnosił się niemal pogardliwie do nie ogolonego, spoconego Hyde'a i od razu zaczął przechadzać się po pokoju, jakby czekał na jakiś sygnał do rozpoczęcia, a jego laska stukwała przy każdym kroku. Orrell obserwował go z namysłem. Żaden z dwóch nowych kotów nie podszedł do niego. Obydwa udawały, że śpią. Birmańska przybłąda wyprostowała się, jej nogi były zbyt długie w stosunku do ciała. Zawsze chodziła, jakby bolały ją plecy – jak Orrell. Inny kot, szylkretowy z czarnym pyskiem spał na zewnętrznym parapecie przy otwartym oknie, z jednym uchem nastawionym na wyłanianie głosu ptaków z pobliskich drzewach w ogrodzie na tyłach domu. Hyde starał się nimi nie interesować. Ros przyniosła je do domu z jakiegoś schroniska. Zamiast tego starał się jeszcze bardziej pamiętać Laylę, która zmarła sześć miesięcy temu i została pochowana w ogrodzie.

Jak gdyby za pociągnięciem jakiegoś niewidocznego sznurka trzymanego przez Orrella, Aubrey powiedział:

– Patrick, gdzie do diabła byłeś? Zostałem wyciągnięty... poproszony o przyście tutaj, ponieważ nie można cię było znaleźć, kiedy nadeszły pilne rozkazy od twojego dyrektora generalnego! – ta jego oficjalność była obca i groźna, a także patetyczna. Ostatni azyl starego człowieka. Spojrzał na Orrella i nie zobaczył nic poza satysfakcją na jego dużej, pozbawionej wyrazu twarzy. Potem Aubrey przez moment, pośród suchej oficjalności, powiedział coś od siebie:

– Dlaczego sir Olive zażądał mojej obecności, nie wiem. Nie jesteś dłużej niczym ze mną związany, nawet wymaginowaną pępowiną! – powiedział. Odwrócił się natychmiast plecami do Hyde'a.

Wydawało się, że Orrell uznał uwagi Aubreya za dostateczną reprimendę, więc powiedział:

– Wydano panu rozkaz zgłoszenia się w dniu wczorajszym do Century House, żeby zdać całkowitą relację. Zastępca dyrektora generalnego, Bannister – Hyde przyjął kamienną twarz – wydał ten rozkaz o... nieważne. Ale po wydarzeniu takiej wagi, jakie miało miejsce w Centre Point, powinien pan z pewnością zdawać sobie sprawę, że pański raport będzie oczekiwany na najwyższych szczeblach?

Aubrey w swoim lekkim ubraniu wydawał się przygarbiony i niepewny. Birmanka – jak zauważył Hyde – wyciągnęła łapę w kierunku słomianego

kapelusza Aubreya leżącego na sofie. Jeszcze kilka centymetrów, a zacznie się nim bawić i zniszczy go. Do pewnego stopnia Orrell był powstrzymywany przez obecność Aubreya, czy też może raczej autorytet. Co powinien zrobić? Autorytet niepokoił labirynt umysłu Orrella. Zresztą pusty labirynt. Nie było tam Minotaura. Trzeba więc pozbyć się Orrella. Trzeba dać sygnał Aubreyowi...

– Sir, przepraszam.

Głowa Aubreya przekrzywiła się jak u ptaka. Orrell także wydawał się podejrzliwy, jeśli nie zdziwiony. Mimo wszystko należą mu się przeprosiny. Hyde potarł się po nie ogolonej twarzy.

– Po tym wszystkim, sir, wie pan, jak to jest z agentami w terenie – opadł na jeden z foteli. Ros stojąca w drzwiach, zdał sobie z tego sprawę, emanowała zadziwieniem, które on przyjął z wdzięcznością. Jeśli ona była zdziwiona, to Orrell nie miał szans.

– Hyde, o czym pan mówi? – wrzasnął Aubrey.

– Sir, mówię, że poszedłem tam, samowolnie jeśli pan chce, ponieważ uważałem... no cóż, nie uważałem, miałem pewność mówiąc szczerze, że ostrzeżenie o podłożeniu bomby było fałszywe. Wiedziałem, że coś w tym jest. Kiedy znalazłem martwego strażnika, po prostu ruszyłem na górę, sir.

Żadna z wcześniejszych wypowiedzi nie była tak uważnie wysłuchana. Bez złości, stając twarzą w twarz z Aubreyem, irytacją starego człowieka i bez lekceważenia Orrella oczywiście.

Orrell odchrząknął. Jego oczy błędziły po ciemnym dywanie.

– Rozumiem, Hyde, ale musimy to wiedzieć! Nie ma czasu na znikanie, na wypadnie z układu, wiesz o tym. Nie w tych warunkach.

– Nie, sir.

– To bardzo dobrze – sofa zatrzeszczała i birmanka zamruczała we śnie, gdy Orrell wstał. – Dobrze, Hyde. Umyj się i przyjdź do mojego biura dziś po południu o drugiej. Od tej chwili pozostawmy emocje na boku. Obyś się tylko nie spóźnił – powiedział z wyraźnym sarkazmem.

– Tak jest, sir.

– Dziękuję, panno Woode, trafię do wyjścia. Kenneth?

– Nie, Clive. Uważam, że byłeś zbyt wspaniałomyślny. Sądzę, że ktoś powinien wyjaśnić mu pewne sprawy; chyba po to tu zostałem wezwany?

– Tak, oczywiście, że tak.

Hyde spojrział na niego przysłuchując się ciężkim krokom Orrella na schodach. Jego uśmiech zbladł, gdy zobaczył złość na twarzy Aubreya, szybkie, niekontrolowane gesty i uderzenia laską. Było to jak nie kończąca się wymówka w każdym najdrobniejszym geście.

Co dziwniejsze jednak, wydawało się, że złość Hyde'a na Aubreya prawie natychmiast się ulotniła. Było w postawie Aubreya coś samooskarżającego.

– Jeśli to pana interesuje, to był to Priabin. Nie żaden gang morderczych czarnuchów, ale KGB. Rozumie pan? – powiedział Hyde.

Ton jego głosu był ponury, a Aubrey jedynie groźnie na niego patrzył. Było w tym spojrzeniu coś jeszcze innego, jakby patrzył na stare, wyblakłe zdjęcia z dzieciństwa lub z czasów pierwszej miłości.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Hyde.

Aubrey rozejrzał się po pokoju i usiadł ciężko na sofie obok swego słomkowego kapelusza.

– Skontaktował się ze mną komendant Wydziału Specjalnego – wymamrotał trzymając rękę w powietrzu, jak gdyby chciał powstrzymać komentarze, ale nie patrzył na Hyde'a. – Moi zwierzchnicy wydają się teraz tak słabi, że wydział bez skrupułów budzi mnie o piątej trzydzieści rano i pyta o miejsce twojego pobytu. O szóstej Clive Orrell połączył się ze mną, prosząc głosem nie znoszącym sprzeciwu, abym z nim tu przyjechał – westchnął. Pytanie komendanta, przypadkiem, dotyczyło miejsca pobytu tego *blądzącego małego sukinsyna* – podniósł wzrok i prawie mu się udało posłać zmęczony i chłodny uśmiech. Potem powiedział:

– Przykro mi, Patrick.

W końcu Hyde wymamrotał:

– Dlaczego?

– Przykro mi...

– Że przetrwałem, to masz na myśli?

– Nie bądź paranoikiem! – wrzasnął Aubrey. Hyde próbował się znów uśmiechnąć, przejeżdżając rękami po włosach.

Szylkretowy uciekł z parapetu podczas krzykliwego komentarza Aubreya. Ros wślizgnęła się do pokoju i usiadła na krześle tuż przy drzwiach. Birmanka wskoczyła jej na kolana i natychmiast zaczęła chwytać łapami rękawy i ssać

materiał jej luźnej sukienki. Ros zmarszczyła swoje szerokie czoło z zakłopotaniem, a oczy wyrażały współczucie dla niskiego, starego mężczyzny na sofie. Aubrey usiadł wyprostowany, bawiąc się swoją laską.

– Kawy, sir Kenneth? – zapytała Ros. Cisza zdawała się połykać słowa.

– Co? Och nie, dziękuję Ros. Bardzo pani miła, ale nie – powiedział i zaczął obserwować Hyde'a, który czuł się niezasłużenie skarcony i jednocześnie podziwiany. – Co się dzieje, Patrick? Co się stało?

Hyde opowiedział natychmiast wszystko, co zaszło poprzedniego wieczora i nocy, wspominając o teoriach Godwina i inwigilacji Reid Group. Nazwisko Malana podziałało na stare, wyprostowane ciało jak ukłucie.

Jasnoniebieskie oczy Aubreya wydawały się obserwować twarz Hyde'a w poszukiwaniu oznak oszustwa lub fantazji. Potem wymamrotał:

– Więc za tym wszystkim kryje się Malan? Jesteś całkowicie przekonany? Hyde skinął głową.

– Idzie ręka w rękę z Priabinem. Siedzi w tym wszystkim po uszy.

– A intencją Priabina jest usunięcie ciebie, aby otworzyć sobie drogę do Tony'ego i Chambersa? Jesteś tego pewien?

Szylkretowy pojawił się znów na parapecie, obserwując starego człowieka z łagodną, wytrwałą ciekawością, przechylając głowę.

– Oczekuje się, że dołożę swoje do oficjalnej reprimendy, jaką już dostałeś. Po tym nastąpi twoje oficjalne zawieszenie dziś po południu – powiedział Aubrey.

Hyde prychnął, ale Aubrey podniósł rękę.

– To było bez wątplenia uznane za naganę dla nas obu, jeżeli to ja dowodziłem sześcioma najlepszymi, uważanymi przez nich za moich pupilków – znów smutny, mądry uśmiech. Aubrey był trudny do zrozumienia, jak gdyby wiedział zbyt wiele i zarazem zbyt mało o naturze człowieka. Spojrzał w górę.

– Wy dwaj zrozumiecie mnie – moje zmieszanie i być może moje poczucie winy. Myślę, że ledwie do siebie przyszedłem. To mnie zniszczyło, jak każda obsesja, każda pasja – potrząsnął głową. – Ale to narasta, czyż nie? Nie można tego zostawić i my nie możemy być przez to odstawieni na bok, to oczywiste.

– My? – podchwycił Hyde.

– Och, tak, liczba mnoga. My, nas.

– Co może pan zrobić?

– Nie wiem. Może będę mógł wybronić cię przed zawieszeniem, kto wie? W każdym razie, muszę przyłożyć rękę do całej sprawy. Zgadzam się z twoimi podejrzeniami. Oni przymierzają się do czegoś w najbliższym czasie, czegoś ważnego, na wielką skalę.

– Więc niech mnie pan stąd wyciągnie – nalegał Hyde. – Tych dwóch idiotów będzie tam siedzieć w samochodzie, aby się upewnić, że nie pójde nigdzie, jak tylko do Century House dziś po południu. Niech pan ich odwoła, porozmawia z Godwinem, pozwoli mi z nim porozmawiać.

– Przez chwilę nic nie rób. Zostań tutaj. Mówię poważnie. Nie rób nic, pamiętając o niechęci sir Clive'a. Ponieważ on cię zniszczy, jeśli będziesz dalej działał w tej sprawie na własną rękę – spojrzał na Hyde'a. – Rozumiesz mnie, Patrick?

– Niech pan posłucha, może nie być czasu na siedzenie na dupie!

– Zdaję sobie z tego sprawę! Ale nie wolno ci robić nic, co może zdenerwować Orrella. Pojawisz się u niego tego popołudnia, będziesz kulturalny, gotowy na przyjęcie swego przeznaczenia, jakiegokolwiek by ono było! Nie, Patrick, zrobisz tak, jak ci mówię.

Hyde w końcu opadł na fotel machając ręką zrezygnowany.

– Och, pieprzyć to, napiję się kilka szkockich.

– Hyde – ostrzegła go Ros, ale Aubrey uśmiechał się.

– Musisz pozbyć się agresywności, nie tylko jako cechy charakteru, ale i w sposobie życia, Patrick. Na jakiś czas się pohamuj. To będzie potrzebne. Teraz muszę iść. Jest wiele do zrobienia i, jak mi przypomniałeś, niewiele na to czasu. Tymczasem nie rób nic na własną rękę, *nic*.

Rozdział szósty

TEJ NOCY BĘDZIE WIELKI INTERES

Dom był stary, jednak stanowił coś więcej niż bungalow, pomalowany na biało z szeroką cienistą werandą, zbudowany przez jego dziadka. Otoczony przez imitację angielskiego parku, którego wyobrażenie dziadek przywiózł ze sobą ze szkoły i z cotygodniowych odwiedzin w domku wiejskim przyjaciela. Malan zatrzymał land rovera i gdy klimatyzacja przestała działać, tak jak i silnik, upał południa zdawał się opadać na pojazd, obejmując go i izolując. Przez chwilę siedział z rękami na kierownicy patrząc na werandę, na siatkę w drzwiach i na zagracony hol widoczny przez otwarte drzwi wewnętrzne. Malan czuł instynktowną niechęć do wyjścia z pojazdu, przejścia krótkiego odcinka w upalnym słońcu i wejścia do domu. Dom jego ojca – schronienie, miejsce do gojenia ran; dom, który niebawem będzie do niego należał.

Otworzył drzwi do połowy i znów się zawahał. Muzyka, prawdopodobnie Beethoven... tak, dochodziła z wnętrza. Potrząsnął głową, ale nie był pewien powodu swego niezadowolenia – muzyka, czekające go spotkanie, czy południowe wiadomości, które ze złością wyłączył. Długi raport na temat postępu i sukcesu konstytucyjnych rozmów pomiędzy rządem de Villiersa i kaframi – Mandela i innymi liderami ANC. Dokument porozumienia zakrawał na żart, powtarzany z kwaśną miną w klubie automobilowym i pół tuzinie pokoiów hotelowych, które zajmował podczas ostatnich dwóch dni. W ciągu roku Mandela zasiądzie na fotelu prezydenckim. Przynajmniej to głosili pesymiści razem z konserwatystami i ekstremistami z AWB.

Gazety były pełne tych samych relacji – tytuły i zdjęcia przedstawiające uśmiechniętych czarnych i białych, ściskających sobie nawzajem ręce, zdawały się zmuszać go do wyjścia na słońce. Uciekając przed gorącym wszedł na werandę. Zobaczył wiszące kosze z kwiatami, dwa stare bujane fotele, białe metalowe krzesła i hamak na drugim końcu werandy. Było to miejsce, gdzie zawsze

spotykał się z mężczyznami starszymi od siebie – pradziadkiem, chociaż prawie go nie pamiętał, dziadkiem, a teraz ojcem. Miejsce, które go przyciągało, chociaż czasami raniło. Nienawidził tego miejsca. Przeszedł przez siatkowe drzwi, które zatrzasnęły się za nim. Usłyszał kroki na drugim końcu korytarza, jak gdyby jego zmarła siostra wychodziła z głębokiego cienia werandy. Żona prawie nigdy mu się nie przypominała po wypadku na żaglówce, w którym utonęła razem z jego siostrą Dianą. Nie wspominał też siostry jako dorosłej, mężatki, dwukrotnie rozwiedzionej. Zawsze wyobrażał ją sobie w wieku siedmiu, ośmiu lat jako małą siostrzyczkę.

Były to kroki czarnej pielęgniarki, która szła przez parkiet w jego stronę, patrząc na niego z pełną szacunku podejrzliwością i chłodem. Niosła tacę z lekarstwami, które były teraz raczej bez znaczenia przy tak zaawansowanej chorobie.

– Jak się czuje mój ojciec? – zapytał niepewnie, jakby zdał sobie sprawę, że nie zna jej języka.

– Odpoczywa, sir – to było coś, co zawsze mówiła, a potem jak zwykle dodawała:

– Proszę nie zostawać tam długo, sir, zmęczy go pan.

Ojciec, wiedział o tym, rozmawiał z nią godzinami, szczególnie, gdy przychodził po nią mąż, a służbę rozpoczynała nocna pielęgniarka. Rozmawiał nawet z jej dziećmi. Malan był zły z tego powodu.

– Dobrze – wymamrotał. Zostawił za sobą brudne odciski butów na błyszczącej podłodze. Głowy upolowanych przez pradziadka zwierząt patrzyły zamglonym wzrokiem ze ścian, poza tym były tu wyblakłe akwarele i tuziny zdjęć; na niektórych był on sam jako dorastający chłopiec. Mapy, książki, stare meble, dywany. Zaniedbany, lecz wygodny wielki dom, dopóki nie nabrał swej nowej antyseptycznej oficjalności.

– Dobrze – powtórzył, ale pielęgniarka zniknęła, prawdopodobnie w kuchni.

Wzruszając ramionami zapukał w otwarte drzwi sypialni i usłyszał, jak ojciec wymamrotał coś niewyraźnie. Natychmiast ucichła muzyka. Wszedł do dusznego pokoju, który pachniał pościelą, starością i przytłaczającą wonią róż przyniesionych przez jednego z ogrodników, które były zmieniane każdego dnia. Na łóżku porozrzucone były książki, okulary ojca leżały obok jego

wyschniętej, wąskiej dłoni o długich paznokciach, pokrytej plamami wątrobia-
nymi. Półka ze stertą książek była odsunięta od wielkiego łóżka. Jeppe Malan
leżał oparty na wysokich poduszkach, włosy miał związane, twarz, którą zdo-
biła sztuczna uprzejmość, zdradzała, że jest całkowicie pochłonięty sobą. Spoj-
rzył na syna, rozpoznając go. Malan pochylił się i pocałował ojca w czoło, któ-
re było zimne. Uścisk jego ręki był słaby jak dotyk dziewczyny. Malan przysu-
nął sobie krzesło do łóżka i usiadł pełen napięcia.

Ojciec uśmiechnął się świętymi, ascetycznymi wargami, cienkimi i bladymi
z powodu postępującej choroby. Jego twarz, kiedyś taka jak samego Malana,
szeroka i z pewną siebie miną, była głęboko poorana bruzdami, blada; uświę-
cona. Pasowało mu to do obrazu umierającego mężczyzny i tłumaczyło zwięk-
szający się między nimi dystans.

– Co czytasz? – zapytał chrząkając. Podłoga była zasypana gazetami. –
Poza gazetami?

– Trochę poezji, Paulus. Trochę filozofii, trochę historii... – jego głos był
bardzo słaby, apatyczny; znów ta cholerna świętoszkowatość spowodowana
rakiem! Ojciec był całkowicie zrezygnowany, ale nie tego Malan nie lubił i nie
to odrzucał. Był taki przez lata. Od czasu wojny? Wrócił, jak mówiła legenda,
niezdolny do prowadzenia MLC. Nie ocalało żadne dziecko Labuschagne, więc
przejął bogactwo i władzę jak ciężar.

– Rozumiem. Słyszałem... – znów odchrząknął – słyszałem, że był tu
Mandela, kiedy wyjechałem do Europy? – nie powiedział tego oskarżycielskim
tonem. – Czy dyskutowaliście o filozofii?

Jeppe Malan skinął głową.

– Nie zgodziliśmy się – zauważył. – Współczuł mi. Z powodu mojej cho-
roby...

Malan obserwował swoje dłonie, które bezwiednie zaciskały się w pięści.
Ten pieprzony kafr! Współczuł? Będzie mu przykro, kiedy przeprowadzi na-
cjonalizację, rozparceluje lub zrujnuje MLC w przyszłym roku lub trochę póź-
niej! – Czy przeprosił za swoją marksistowską postawę wobec nas? – zapytał
mimo woli.

Ręka ojca zdawała się płynąć w kierunku jego ręki, dotknęła jej ostrożnie,
jak gdyby badała ją przez chwilę, zanim osłabła i odsunęła się ponownie.

– Nie prosiłem go, by przeproszał – powiedział. – Mógłby to zrobić – starzec westchnął. Łóżko zdawało się dla niego za wielkie, jak ubranie dorosłego dla dziecka. Potrząsnął głową, jakby obsiadły go muchy. Staromodny wiatrak kręcił się cicho nad nimi, z trudnością poruszając stojącym w pokoju powietrzem.

– On nas zrujnuje, to jest jedyna możliwość – powiedział Paulus.

– Chyba żeby MLC nie został w Afryce Południowej.

– Co?

– Tego właśnie obawia się Mandela. Nie sądzisz chyba, że on tu przyjechał, bo jestem umierający? No cóż, nie tylko – jego oddech był charczący, szeroko otwarte oczy wpatrzone w sufit, jak gdyby był zaabsorbowany ruchem wiatraka. – Boi się, że ty wyjedziesz ze wszystkim.

– Zabierzemy swoje, tato. Co Mandela chciałby z tym zrobić? Znacjonalizować te cholerne kopalnie, złoto i diamenty, operację Oranjemund, fabrykę samochodów, przemysł chemiczny i farmaceutyczny – wszystko. Wiesz, że nie zmienił się od czasu, gdy sukinsyn po raz pierwszy wszedł na Robben Island – potrząsnął głową. – Ten facet wywołuje u mnie mdłości. Przychodzi tu zobaczyć umierającego człowieka po to tylko, aby przekonać go... – wzruszył ramionami.

– Przekonać o czym? Przekonać cię, abyś nie kontynuował swych europejskich operacji? – ojciec zamilkł na chwilę, a potem lekko skinął głową. – Może to robił – uśmiechnął się. – Millie była zszokowana, gdy ujrzała go przy drzwiach. Ojciec Afryki Południowej i te wszystkie rzeczy. Od wizyty Mandeli czytała gazety z większym entuzjazmem niż kiedykolwiek, gdy ja byłem zbyt zmęczony – poruszył powoli głową i spojrzał na Malana. – Co ty robisz, synu? – wyciągnął rękę, ale dłoń Malana była poza jego zasięgiem. – MLC jest firmą afrykańską, niezależnie od interesów, jakie prowadzimy za granicą, w pozostałych częściach świata. To nie jest firma europejska – twarz ojca była lekko zaróżowiona w okolicach kości policzkowych. Wydawało się to jeszcze jedną oznaką jego choroby. Malan potrząsnął głową.

– Nic przed tobą nie ukrywałem – powiedział ponuro. – Ja jestem odpowiedzialny za firmę.

– Zgadza się. Tak jak i za ten kraj.

– Nie za taki, jaki będzie! – wybuchnął, a potem uspokoił się, oddychając głęboko. – Nie za taki, jakim go urządzią...

Ale ojciec kiwał głową, starając się wykrzesać z siebie energię.

– Cokolwiek się stanie, czy myślisz, że ten kraj będzie lepszy, jeżeli nasza firma go opuści? Tak myślisz?

– Twój paternalizm jest przestarzały, tato. Oni tego nie chcą, ci kafrowie...

– Oni będą nas potrzebować. Nie sądzisz, że Mandela i inni zdają sobie z tego sprawę? – mówił zmęczonym głosem, jak gdyby ten dom i jego przeszłość była dla niego większym ciężarem niż dla Malana.

– Mnie obchodzi przyszłość MLC.

– MLC, moja firma, teraz twoja, jest tym krajem. Co zrobisz dla swojego kraju? Zastanawiałeś się nad tym? – jego słaba, blada ręka poklepywała pościel, podskubując ją od czasu do czasu, jak gdyby obok niego leżało jakieś tresowane zwierzę. Jego pojęcie o kafrach – pomyślał Malan. Poklepać po głowie, pogłaskać i pozbyć się wszelkich zastrzeżeń. On po prostu tego nie rozumie. Jest za stary. Umiera.

– To jest twój kraj, co dla niego robisz, synu? Co?

Pomachał ręką, jakby chciał odgonić swoje zmęczenie lub czekającą go przyszłość. Malan wstał widząc, że jego ojciec jest wyczerpany. Gdy pochylił się, aby go ucałować w policzek, oczy starego człowieka były błyszczące i bezlitosne. Patrzył jak jego pradziadek, dziadek Jeppego, na portrecie wiszącym w holu. Patriarchalni, pewni siebie, starzy. Niemodni i nie zmieniający się, kiedy kraj wokół nich zmieniał się nie do poznania. Gdy się wyprostował stając nad ojcem, czuł się boleśnie dotknięty. Trudno mu było tu przyjść, czuł ból, kiedy odchodził. Jak zawsze.

Ojciec leżał tam, w swojej rodzinnej sypialni, gdzie wszystko było mu znane. Malan nagle zdał sobie sprawę raczej z obcości tego pokoju niż jego przytłaczającej familijności. Ojciec pasował do tego pokoju białego Afrykańczyka, ale on sam już nie. Już nie. Jego domem były biura, pokoje hotelowe. Europejski, międzynarodowy, ponadpaństwowy. Potrząsnął głową i powiedział łagodnie: – Przyjdę wieczorem.

Ale ojciec chyba już spał. Powoli odwrócił się i wyszedł, mijając Millie w holu, nie zwracając na nią uwagi, gdy szła szybko do sypialni, aby dopilnować...

Czego? Swojej posady? Swojego obłaskawionego, białego człowieka? Nie, prawdopodobnie nie.

Wsiadł do range rovera, uruchomił silnik i włączył klimatyzację. Dmuchięła zimnym powietrzem na rozpalone policzki. Kierownica parzyła go w palce. Spojrzał na bungalow. Przed nim trzy generacje Malanów budowały MLC. Nie wolno jej stracić. Nie mogła pozostać jedynie afrykańska, jeżeli nie chciał jej stracić. Nie mógł być jedynie Afrykańczykiem, jeśli nie chciał ryzykować jej upadku, rozpadu...

To dlatego Jeppe mógł patrzeć bez obawy na to, co się działo. Śmierć już skurczyła jego świat do wielkości tej sypialni, MLC nie była już dla niego ważna.

Malan włączył silnik i odjechał od bungalowu, widząc kurz w lusterku.

- Nie, to jest telefon Ros. Nie jest na podsłuchu. Sprawdziłem. Mój jest.
- Dobrze. Co stary zamierza?

Hyde potrząsnął głową. Ros była na zakupach. Gałęzie drzewa naginające się w stronę otwartego okna jej pokoju gościnnego w końcu mieszkania poruszały się, jak gdyby zachęcały ostatnie powiewy chłodnego powietrza do wpłynięcia do pokoju.

– Coś, co zabierze zbyt wiele czasu. Rozmawiał z tobą? No cóż, zrobi to. Ja nie mogę się cholera ruszyć, tak czy inaczej. Oni siedzą w samochodzie na zewnątrz.

Birmanka wyciągnięta na brokatowej sofie wydawała się doskonale obojętna. Ros nie pozwalała wchodzić na meble, ale obicie było już pozadzierane przez kocie pazury. Denerwowała się tym, ale potem zapominała.

- Posłuchaj, Patrick, jedynym wyjściem dla nas jest przejęcie wysyłki, jeżeli nie możemy czekać na starego. Skontaktowałem się z celnikami...
- Chryste! Jak sądzę posłużyłeś się autorytetem Orrella?
- Nie, nazwisko Bannistera było wystarczające.
- Ten cholerny sukinsyn – łyknął piwa z puszki, które już się ogrzało i było bez smaku.
- Rusz się, Patrick, potrzebujemy cię.
- Powiedziałem ci, nie mogę się, cholera, ruszyć! Tych dwóch na zewnątrz, Mutt i Jeff, zawiozą mnie od razu na Curzon Street lub do Century

House, jeżeli tylko wystawię puste butelki po mleku na schody – spojrzał na swój zegarek. – Muszę być w biurze Orrella o drugiej, teraz jest prawie pierwsza.

– Patrick! Terry i ja nie jesteśmy w stanie zrobić wszystkiego sami, a ja nie mogę przyprować celników, dopóki nie będziemy pewni, że dostawa wyjechała z Reid Davies do SwiftEx. Na miłość boską, już to wszystko ci wyjaśniłem – połączenie było niewyraźne, coś trzeszczało i czasami głos zanikał, prawdopodobnie gdy przejeżdżali pod jakimś wiaduktem. – Specjalnie zostawiłem Darrena z tyłu. No więc, nie możesz po prostu wyjść jakimś cholernym tylnym oknem lub czymś takim?

Hyde odruchowo rzucił okiem na otwarte okno pokryte częściowo zasłoną z liści. Szykretowy kot, sam zamaskowany jakby przed tajemniczą akcją, pojawił się z przechyloną na bok głową.

– A co, jeśli wyjdę? – zapytał.

– Darren może odebrać cię w jakimś miejscu. Może przed stacją Earl's Court? To wystarczy?

– Posłuchaj, powinienem spotkać się z Orrellem. Jeśli się nie pokażę, będą nas ścigać wszystkich czterech. Aubrey mnie ostrzegł.

– Pieprzyć Orrella! Jeżeli załatwimy Reid Davies, będziemy opływać w pochwały... – połączenie znikło na moment, a potem usłyszał: – Nie rozumiesz?

– Chryste, nie...

– Posłuchaj! Jeżeli zostaniemy zawieszeni za to, że nic nie znaleźliśmy, to będzie to rzeczywiście cholerna strata czasu, prawda? Przynajmniej w ten sposób robota może zostać wykonana!

– Och, przestań do cholery wrzeszczeć, Godwin! Zaczynasz mówić jak moja matka! – obniżył głos. – Dobra, zadzwoń do Darrena-Wspaniałego Psa i powiedz mu, aby odebrał mnie za piętnaście minut przed stacją Earl's Court, przy budynku wystawowym, nie przed wejściem do metra!

– Dobra. Zawiezie cię do Bickenhill. Terry podrzuci mnie tam, zanim pojedzie do Willenhall – do Reid Davies. Do zobaczenia.

Hyde odłożył słuchawkę i spojrzał na nią potrząsając głową.

Bezpośredni rozkaz Aubreya był drobnostką. Godwin był opanowany przez cholerną obsesję na punkcie Reid Group, Malana i pozostałych palantów w tej

grze. To było jak ślepa miłość. Nie odpuści sobie, dopóki nie zobaczy kobiety w łóżku z najlepszym przyjacielem lub ona nie odejdzie z wszystkimi jego pieniędzmi. Podeszedł do okna i wyrżał. Przez mur ogrodu, skrót koło kościoła do linii kolejowej. Proste, synu. Chyba że okaże się to polowaniem na dzikie gęsi i Orrell pojawi się sapiący jak byk, waląc kopytem w cholerną ziemię! No i spieprzysz jakąkolwiek szansę, że Aubrey wyciągnie cię z kłopotów.

Wzruszył ramionami. Co masz do stracenia? Większość z tego już straciłeś, koleżko. Gdzie jest pistolet, twój portfel?

Cholera, był jak Butch Cassidy skaczący z urwiska. Nie, cholera, to nie to. To jak Redford i Newman wypadający przez te drzwi w ostatniej, zatrzymanej sekwencji filmu z dwoma tysiącami czekających strzelców – to było właśnie to!

Pogłaskał kota, który wydawał się z tego niezadowolony.

Richard Anderson zatrzymał warczącego land rovera w nieregularnym cieńniu skarłowaciałej akacji, wyłączył silnik i natychmiast włożył dłonie pod pachy, starając się opanować ból. Każde oparzenie i każdy siniak przysparzały mu cierpień. Oparł się zmęczony na kierownicy. Upał wczesnego ranka wisiał wokół drzewa jak chmara owadów. Silnik land rovera stukał i protestował w ciężkiej ciszy. Opadał ostatni kurz na wysmołowanej drodze. Słyszał wołanie jakiegoś polującego ptaka nie wyrażające zbytniego entuzjazmu w tym upale. Rozluźnił się, pozwalając miastom, przez które przejeżdżał – Ormaruru, Kari-bib, Usakos – aby osiadły jak kurz na drodze i zniknęły. Pozwolił także zniknąć powoli opadającej przed nim drodze oraz wąskiemu, połyskliwemu kawałkowi nieba ponad horyzontem, które wyglądało jak ocean.

Pociągnął wody z flaszki i prysnął pełną jej garść sobie na twarz. Jego dłoń stała się brązowa od kurzu, który opadł na brodę i skórę. Gdy spojrzął przed siebie, góry Erongo w gorącym powietrzu wydawały się nierzeczywiste. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył przed sobą poszarpany północny brzeg Namibii tonący w drzewach i roślinach, obiecujący niskie wydmy i piasek na całej drodze do wybrzeża. Swakopmund, potem Walvis Bay, obydwie znajdowały się w enklawie wciąż kontrolowanej przez Republikę Południowej Afryki.

Cel był iluzoryczny, zdawał sobie z tego sprawę. Mały, jasny ptak usiadł na spróchniałych gałęziach akacji poszukując nie istniejących kwiatów. Spojrzął

na niego, czując ból w plecach. Walvis Bay było miejscem, gdzie DC-3 musiał zacząć swój lot, a MLC działał w Walvis Bay. Jaszczurka prześlizgnęła się przez marne kępki szorstkiej trawy, która wyrosła w cieniu po skąpych zimowych deszczach. Iluzoryczny. Na co miał nadzieję? Że jego list dotarł do Aubreya, że Aubrey przybędzie i pocieszy go w dzieciennym smutku i nieudolności? Pochylił głowę. Prawdopodobnie to było to, czego rzeczywiście chciał: droga ucieczki, przynajmniej poczucie czyjejs obecności, świadomość, że nie jest osamotniony.

Coś mokrego spadło mu na rękę. Woda już powinna wyschnąć na jego twarzy... znowu. Zimne, miarowe kapanie, mokre plamy na jego nadgarstku. Margarethe wyszła z ciemności za zamkniętymi powiekami i zaskoczyła go. Jej twarz była tak blisko, że mógł wyczuć jej zapach pośród upału i kurzu. Zatrzymał 4WD i zderzył się ze swym smutkiem.

Nagle spojrzął w górę, gdy jej obraz zniknął ponownie. Żaden kurz nie unosił się nad asfaltową drogą, nawet z daleka w stronę wzniesień. Samolot wyznaczał biały pas wysoko na niebieskim niebie. Blantyre mógł za nim podążyć, ale powoli i ostrożnie, domyślając się, dokąd może zmierzać. Gdy dojedzie do Walvis Bay, Blantyre może już tam być. Wszelkie plany prowadzenia pewnego rodzaju obserwacji na prywatnym terenie MLC w Walvis Bay lub węszenia dookoła ich fabryk i biur były... śmieszne. Popchnięty został przez nieudolność swej nienasyconej zemsty.

Odetchnął głęboko parę razy. Stopniowo... tak bardzo stopniowo... uspokoił się, stając się nikiem więcej jak tylko człowiekiem parkującym na poboczu drogi prowadzącej na lotnisko dla samolotów wylatujących z Namibii. Góry utrzymywały swój dystans, fosforyzujący, płonący pas nieba, który był Atlantykiem lub przybrzeżnymi wydmami, wąski i odległy. Ptaki na akacji cicho ćwierkały. Wciągnął głośno powietrze. Przetrwanie było najważniejsze, a to oznaczało kupienie biletu i wejście na pokład samolotu SAA lecącego do Johannesburga, Cape Town lub nawet do Windhoek.

Aby zademonstrować, że się poddał, że nie był już dla nich żadnym zagrożeniem. Po prostu wydostać się. Blantyre chciał jego śmierci. Musiał popsuć mu szyki. Niezależnie od tego, jak daleko zostanie zmuszony jechać i jaki niczym nie złagodzony smutek może znaleźć, gdy znów się zatrzyma, powinien udaremnić plany Blantyre'a chcącego go zabić.

– Okay, jestem na ulicy przy Reid Davies – jesteś pewien, że to miejsce się zgadza? To jakaś nędzna fabryczka na bocznej ulicy!

– Terry, to jest West Midlands. Witamy w domu metalowych puszek.

– Na miłość boską, oni nie mogą szmuglować transputerów i systemów obwodów scalonych z takiego miejsca!

Chambers obserwował wąską opadającą ulicę. Wzdłuż niej ciągnęły się otwarte lub zamknięte drewniane drzwi, niektóre z nich z napisami wskazującymi na tajemnice, które znajdowały się poza nimi. Czego oczekiwał, nie wiedział – prawdopodobnie czegoś w rodzaju przemysłowego parku, który sprawiał, że dzielnica była uważana za nowoczesną... być może. Ale nie ta cicha ulica ze sklepem z płytami jazzowymi, z kilkoma wciśniętymi oddziałami, z mostem w połowie długości kanału i tymi wszystkimi bramami, na których były napisy informujące, że to jest kierownictwo i fabryka Reid Davies, dostawcy Reid Group Pic. I była spokojna, nawet kiedy się miało otwarte okno w słoneczne późne popołudnie, jak gdyby drzemała w ciepłym blasku niczym kot. Chryste, czyżby oni wszyscy strajkowali, nie pracowali, czy coś w tym rodzaju?

– Och tak, to możliwe. Ten teren jest pełen małych firm, które wysyłają jedynie albo ziarno, albo plewy – transputery albo systemy obwodów scalonych. Reid Davies jest właścicielem większości firm na tej ulicy, chyba, że nie słuchałeś mnie, gdy o tym mówiłem?

– Przepraszam. Jak ci idzie?

Wieżowce szpeciły popołudniowy pejzaż. Przy ulicy stało zaparkowane porsche... nie, dwa, żaden z nich nie był tańszym modelem. Godwin może mieć rację.

– Kręcę się przy wiadukcie. Chodziłem w jedną i drugą stronę, usiadłem i udawałem, że czekam na autobus. Kiedy, do cholery, przyjedzie Darren i Patrick?

– Dzieje się coś?

– Wszędzie cisza. SwiftEx miała dostawy i wysyłki od większości klientów, ale nie z Reid Davies. Sprawdziłem na lotnisku, bez wzbudzania podejrzeń, ale nic nie znalazłem, jeżeli chcemy sprawdzić później, to będziemy musieli oprzeć się na nich.

– A co z celnikami?

– Niechętni i sceptyczni. Czego oczekiwałeś? Będą współpracować, ale nie chcę ich alarmować, dopóki wysyłka z Reid Davies nie opuści fabryki. Jakież sygnały w związku z tym?

– W Bogu nadzieja, że nie sprawdzą tej sprawy z Bannisterem – zauważył kwaśno Chambers. – Idę się rozejrzeć. Zadzwoń do ciebie.

Otworzył drzwi samochodu i wepchnął telefon komórkowy do kieszeni spodni. Wydęła się niewygodnie. Zamknął samochód i stał z rękami na biodrach. Ruch na bocznej ulicy był mały, pieszych niewielu. Brudne okna, niektóre z wybitymi szybami; stare okopcone i obsypujące się cegły, faliste dachy. Czuł się niepewny, niezdecydowany. Przeczesał włosy ręką, sprawdził licznik na parkingu i spojrzął na zegarek. Zaczął iść chodnikiem wzdłuż bram. Te, które były otwarte, odsłaniały wąskie alejki lub wybrukowane kocimi łbami podwórka. Potrząsnął głową. Trudno było sobie wyobrazić, że mogła tu być fabryka transputerów. Wyglądało to raczej na miejsce szybkiego przemaalowywania kradzionych samochodów, ale na pewno nie na miejsce produkcji nowej generacji układów scalonych i mikrokomputerów – nigdy w życiu.

Reid Davies było po drugiej stronie ulicy. Przejechał kremowo-niebieski autobus, ukazując jak za odsłonięciem kurtyny dwie wielkie ciężarówki z emblematami SwiftEx – jedna z zamkniętymi tylnymi drzwiami, druga była ładowana przy pomocy wózka widłowego, wsuwającego jakieś skrzynie do ciemnej paszczy ciężarówki. Spociał się z wrażenia i podniecenia, i wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni, wybierając numer Godwina.

– Są – powiedział. – Dwie ciężarówki, obydwie ze SwiftEx – kolejny wózek widłowy podjechał do ciężarówki. – Chyba jedna z nich została już załadowana – dodał. Samochody zajmowały całe podwórko. – Drugi jest załadowany prawie po sufit, wygląda to na telewizory, kuchnie mikrofalowe, magnetowidy – zwykły towar na sprzedaż. Co ty...?

– Postój tam jeszcze przez chwilę. Zawiadom mnie, kiedy ruszą. Ja dostanę się w tym czasie do celników i wszystko zaaranżuję. Telewizory i cholerne kuchnie mikrofalowe! To właśnie tam robią, a inne firmy na tej ulicy produkują systemy nowej generacji układów scalonych dla Reid Electronics, a trzecia pakuje transputery – Godwin triumfował, ale Chambers nie czuł żadnego oburzenia. – Wysyłają je po prostu. Tak musi być.

– Reid Group pakuje swoje rzeczy tutaj?
– Zastanawiam się jak wiele? Z pewnością trochę, sądząc z obserwacji Darrena u tych dostawców Reid Davies. Chryste, gdybyśmy otworzyli te pudła, mielibyśmy ułatwioną robotę! Okay, poczekaj, aż odjadą, a potem śledź ich. Do zobaczenia.

Chambers wyłączył telefon i włożył go pod pachę. Oparł się o obsypujący się brudny mur. Transputery, systemy nowej generacji układów scalonych, pakowanie – w powietrzu zapach małej odlewni jak przypalonego chleba. Chryste, to jechało wszystko razem, naprawdę jechało. Rozejrzał się dyskretnie dookoła, jakby za brudnymi oknami mógł dostrzec jakichś ludzi i odczytać jakieś informacje. Boże, to byłaby prawdziwa premia...

Samochody zasłaniały widok na podwórko Reid Davies, potem zobaczył, jak zatrzaśnięto drzwi drugiej ciężarówki, słyszał głośnie zamykanie blokad i zamków. Obok przejechał powoli niebieski sedan. Bramy były szeroko otwarte i poczuł, jak serce mu mocniej bije, gdy silnik jednej z ciężarówek został uruchomiony. Mężczyzna w ciężarówce wychylił się na ulicę, zapaliły się tylne światła i rozległ się ostrzegawczy sygnał klaksonu.

Chambers odwrócił się w stronę samochodu. Niebieski sedan zatrzymał się obok niego.

– Na miłość boską, co oni z tym robią? Co ty robisz w związku z tym?

Babbington właśnie wychodził z biura, kiedy został przywołany przez swego asystenta, wrzeszczącego na cały korytarz jak przekupka, że Priabin był na specjalnej linii i ogłaszał alarm. Wyrwał przenośny telefon z ręki młodego człowieka i zatrzasnął drzwi biura za sobą. Zatrzymywanie się i mamrotanie dekodera szyfrowego w sekretariacie denerwowało go jeszcze bardziej.

– Myślę, generale, że może być zbyt późno na podjęcie jakichś działań. Musimy wkroczyć do akcji – Priabin był przestraszony, jego pewność siebie zmaląła.

– Gdzie jest Mortimer? Dlaczego nie można do niego dotrzeć?

– Jest za granicą w interesach. Nie jestem pewien, kiedy wraca. Van Vuuren twierdzi, że dzisiaj, ale nie jest pewien...

– Zapomnij więc o Mortimerze. Obawiam się, że jest za późno na zmianę wysyłki, tak czy inaczej.

- Została załadowana.
- Macie tam obstawę?
- Tak.
- Dobrze. Więc uruchomcie ich. Mówisz, że Chambers i Godwin są na lotnisku? Jak daleko od Birmingham jest Hyde? Musi przecież tam jechać.
- Jakieś półtorej godziny, może więcej. Na M1 jest duży korek spowodowany robotami drogowymi.
- Trzymajcie Hyde'a z daleka. Zatrzymajcie innych – najdyskretniej jak tylko się da w tych warunkach. Ale zatrzymajcie ich. Tymczasem ja porozmawiam z Malanem. Musi znaleźć sposób, aby zdenerwować MacPhersona wiadomościami, że dostawa może być opóźniona. Ktoś w końcu musi wstrząsnąć Century House, aby obudzili się i zauważyli, co robią ich pupile! Jeśli chodzi o ciebie, w żadnym razie nie możesz się spóźnić. Trzymaj tych przeklętych ludzi z dala od wysyłki!

– Posłuchaj, jesteśmy zablokowani w sześciokilometrowym korku i nic nie możemy zrobić! – wrzeszczał Hyde. – Słuchaj tych cholernych wiadomości o warunkach jazdy, dlaczego tego nie robisz? Jakaś ciężarówka się rozkraczyła. Cholerne francuskie jabłka czy coś w tym rodzaju na całej autostradzie prowadzącej na północ. Gloria Hunniford właśnie o tym nam powiedziała!

Darren Westfield uśmiechnął się, potem próbował wyglądać na grobowo smutnego jak kiepski aktor zbyt wolno wczuwający się w zmianę nastroju. Hyde wykrzywił się do niego i walnął w przegródkę w eskorcie. Podejrzenia, że byli śledzeni przez renault całą drogę od Earl's Court, nie miały teraz znaczenia. Tamten samochód był zablokowany pół kilometra za nimi równie skutecznie. Samochód policyjny z wyjącą syreną i niebieskim światłem błyskającym w świetle jasnego popołudnia przejechał obok nich szybko po twardym poboczu. Hyde przetarł czoło.

– Uważaj na swoje plecy, Godwin. Byliście śledzeni – spojrzął na Darrena, który wyglądał, jakby był pokryty raczej pryszczami niż potem. – Darren nie zdawał sobie z tego sprawy...

– I ty też, zanim nie dojechaliśmy do Watford – zauważył cicho Darren.

– Jeżeli nas obserwują, to musieli pilnować ciebie i Chambersa. Jeśli zrobisz jakiś ruch, oni też mogą.

– Okay, rozumiem. Będę uważał. Wysyłka jest gotowa i zaraz ma wyjechać – przed chwilą dzwonił Terry z wiadomością.

– Dobra. Nadzieja w Bogu, że korek się rozładuje i wszystkie dowody działalności kryminalnej będą w tej ciężarówce. W przeciwnym razie... – spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Druga trzydzieści. – W przeciwnym razie Orrell, który prawdopodobnie śłeczy teraz w swym biurze, wyrwie mi jutro jaja na śniadanie.

Usłyszał śmiech Godwina.

– Uratujemy twoją męskość, Patrick. Będę w kontakcie.

Hyde opuścił telefon komórkowy na kolana i klepnął się po udach.

– Masz jakąś dobrą książkę?

– Nie. Chcesz gazetę? – Darren próbował zmienić nastrój Hyde'a i spytał naiwnie:

– Czy wszystko będzie w porządku?

– Mam taką nadzieję. Oni nas tylko obserwują. Wyszpiegowałem swoim małym okiem, że coś zaczyna się...

Chambers dotarł do samochodu i włożył kluczyk do zamka. Niebieski sedan musi czekać na zwolnienie licznika na parkingu. Siedziało w nim dwóch mężczyzn. Otworzył drzwi – jeden z nich rozmawiał przez telefon w samochodzie, a swój własny położył na siedzeniu dla pasażera. Spojrzął przed siebie. Pierwsza ciężarówka SwiftEx-u wycofywała się wąską drogą z Reid Davies, klakson rozbrzmiewał cały czas jak alarm przeciwwłamaniowy.

Zatrzasnął drzwi za sobą, kiedy wszedł do swego samochodu. Odwrócił się gwałtownie, kiedy poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu. Mężczyzna z niebieskiego samochodu...?

– Co się... – zaczął.

– To on – potwierdził jeden z nich, wyższy i potężniejszy.

Ujrzał błysk noża i poczuł klucie w boku, gdy próbował się wyrwać. Nerwy stawały się nieczułe z powodu oczekiwanego bólu, próbował chwycić nóż, ale skaleczył się jedynie w rękę, potem nóż znów wszedł w niego, gdzieś w okolicy żołądka. Trudno powiedzieć, czy ból pierwszej rany spowodował jego

wrzask, sprawiając, że ich działania stały się niepewne. Gdy upadł na chodnik, oparty plecami o samochód z nogami rozłożonymi jak u porzuconej lalki, słyszał niewiele więcej niż dźwięk klaksonu ciężarówki wycofującej się do wąskiej ulicy. Poczul jedynie, jak szybko i gwałtownie przeszukiwali kieszenie jego marynarki, którą potem rzucili obok niego. Widział rękę ze swoim portfelem...

Podstęp. Oni nie chcieli jego portfela, a jedynie pragnęli uwiarygodnić to, że był to napad uliczny. Przycisnął rękę do brzucha, a gdy spojrzął w dół, dysząc, dostrzegł krew. Potem po odjeździe ich samochodu, usłyszał czyjś krzyk. Stopy na chodniku obok niego, cień pochylający się nad nim... minuty, mierzalne wypływającą z niego krwią. Stojący pochylali się nad nim, nie słyszał już ciężarówek. Wszystko się rozmywało poza bólem, który zdawał się być wszędzie, nawet pod powiekami, czerwonymi, gdy je zamknął, a potem ciemnymi, pustymi...

Van Vuuren słuchał już chyba po raz setny sygnału zajętego telefonu w samochodzie Mortimera. Najpierw poczuł ulgę, że jego telefon jest używany, że facet wrócił i musiał być w swoim samochodzie jadąc z Londynu czy z innego miejsca. Gdyby teraz mógł z nim porozmawiać, to możliwa by była zamiana wysyłki lub zatrzymanie jej. Ale linia była wciąż zajęta! Z wściekłością odłożył słuchawkę telefonu. Trzecia. Tkwił w biurach MLC, patrząc na ściany, na rzekę i stację Charing Cross z najwyższych okien ShellMex House od ósmej rano i nie udało mu się nic załatwić – nic! Paulus łączył się z nim cztery razy, naciskał, ganił, wydawał instrukcje, groził – wszystko bez cholernego skutku. Nie mógł dotrzeć do jedynej osoby, który był w stanie zmienić ten przeklęty ładunek! Ponieważ weszli do jego pokoju, użyli jego laptopa, dostali się do głównego komputera w Johannesburgu, wiedzieli, czego mają szukać. Muszą wiedzieć, byli przecież w Birmingham, na miłość boską!

Odsunął resztki ze swojego lunchu na biurku. Zabrzączał telefon, więc podniósł słuchawkę.

– Paulus, tak! Nie mogę dotrzeć, co? Och, nie. Czy nie można ich zawrócić?

– Posłuchaj mnie, Piet. Priabin dostał dokładne instrukcje co do twoich nowych przyjaciół.

- Ale jeżeli celnicy...
- Celnicy nic nie zrobią. Rozmawiałem z Babbingtonem. Wykonałem jeden telefon. Z celnikami już załatwione.

Van Vuuren przetarł czoło pogniecioną chusteczką. Ulga była natychmiastowa, zaznaczając się szarym śladem na chusteczce, czymś wilgotnym, obrzydliwym i zawstydzającym.

- A co jeśli... to znaczy, *jak*?
- Znaczenie mają tylko telefony z urzędu celnego przy lotnisku w Birmingham, Piet. Do Specjalnego Wydziału, żądające potwierdzenia instrukcji od pana Godwina, który wydaje się mieć odpowiednie listy uwierzytelniające, sir, po prostu dla sprawdzenia. Rozumiesz teraz, Piet?

Jezu, dlaczego on nie pomyślał o tym wcześniej? Albo może i pomyślał, tylko chciał, żebym się spocił z tego powodu?

- Więc nie chcesz, żebym...
- Chcę, żebyś wrócił wieczornym samolotem do domu. Tutaj, jutro. Okay, Piet?
- Tak, Paulus.

Słuchawka została odłożona w gabinecie Malana albo w biurze, czy gdziekolwiek był. Van Vuuren położył słuchawkę i usiadł ponownie w skórzanym fotelu, którego gorąco czuł pod pośladkami. Słońce połyskiwało na rzece widocznej za zaciemnionymi oknami. Trzęsły mu się ręce. Podniósł drżący kciuk i palec wskazujący, tak że prawie się ze sobą zetknęły. Pomiędzy drżącymi palcami widział most Waterloo. Och, Jezu. Uderzył dłońmi o biurko. Trzech facetów, a może czterech? Nie ma znaczenia, oni mogliby pokrzyżować wszystkie plany, człowieku! Prawie wyrócili wszystko do góry nogami. Jedną przesyłkę, której zawartość nie była zgodna z tym, co podano w zgłoszeniu, w deklaracji celnej oraz w formularzu ubezpieczeniowym, a mieliby takie poparcie i pomoc, jakiej by tylko chcieli, oraz nowe urządzenia, aby wykryć całą siatkę...

...a teraz już nie mogli. Zostaną przywołani do porządku, zdyscyplinowani. Zamknęci, z tego co wiedział i co byłoby satysfakcjonujące, za całe to pieprzone pocenie się i nerwy, jakie zżerały go przez ostatnie osiem godzin!

Zimny spryt Paulusa. Zazdrościł mu tego. Zwykle nie zwracał na to uwagi, był niezależny w MLC, ufali mu, był dobry. A teraz?

Paulus nie będzie się ukrywał; pozwoli, aby to pojechało. To naprawdę nie

była jego wina. Przypomnił sobie tę kolorową dziewczynę, jedzenie w restauracji i poczuł mdłości. Paulus powinien wiedzieć, dlaczego zostawił swój laptop w pokoju.

Niebo za przyciemnionymi szybami wydawało się burzowe, ciemnożółte, jakby z mosiądzu. Nerwowym ruchem nalał wody z dzbanka, aż prysnęła na skórzany blat biurka.

Ale z tym już koniec, przypomniał sam sobie. Po tym nie będą mieli nawet pozwolenia na wydawanie mandatów za złe parkowanie! Te angielskie sukinsyny były skończone.

Stopniowo jego nerwy się uspokoiły. Plastikowa filiżanka była pusta. Po drugiej stronie mostu korek stawał się coraz większy. Koniec. Szkoda, że Rosjanie nie zamordowali tych sukinsynów i narazili nas na to!

Dwóch z nich, ostatecznie trzech – mógł zidentyfikować lub podejrzewać. Spróbował przypomnieć sobie stare triki, starał się myśleć jak Hyde, pomiędzy regularnymi atakami panicznego strachu, które zaczęły się po tym, jak zadzwonił do Chambersa. Ktoś odpowiedział w słuchawce z wnętrza pojazdu, ambulansu, w którym właśnie umarł Terry Chambers w drodze do szpitala. Dwie rany cięte. Nie żyje. Wciąż trząśł się z powodu przeżytego szoku i ze strachu. Niewiarygodne, ale prawdziwe. Zabili Chambersa, tak po prostu.

Była piąta trzydzieści. Jak długo będzie patrolował wysoką galerię lub parter terminalu, obok lub poniżej dwupłatowca zawieszzonego pod sufitem, tak długo może pozostać bezpieczny. Nie zamierzał korzystać z toalety czy jednego z barów, albo księgarni czy butiku. Nie mieszał się też zbyt z tłumem turystów, którzy przemierzali się po budynku w poszukiwaniu swoich charakterowych samolotów. Załatwili Chambersa z bezduszością maszyny. Ani policja, ani celnicy nie byli pomocni. *Proszę, sir, oni chcą mnie zabić, ci trzech faceci tam.* Po prostu uśmialiby się. Poza tym był tutaj wbrew rozkazom, a nikt nie pochwałał takiego zachowania.

Boże, trząśł się jak liść! Zabili Terry'ego, zdmuchnęli jak świeczkę. A teraz byli tutaj, szukając okazji, żeby zrobić z nim to samo. Hyde miał rację, aż za bardzo! Przelknął ślinę, próbował się skoncentrować, pozbyć się ich...

Jeden młody mężczyzna wałęsał się Bóg wie ile czasu przy stoiskach z książkami przed W.H. Smithem. Drugi mężczyzna, w średnim wieku, w jasnej

koszuli ciągnął swoją walizkę na metalowym wózku. Towarzyszył mu wszędzie, na ruchomych schodach, i w innych miejscach, jak wielki, niezgrabny pies. Upłynęło trochę czasu, zanim dostrzegł trzeciego mężczyznę. Ten był niecierpliwy, patrzył często na zegarek, przerażająco cichy, gdy studiował tablicę przylotów raz za razem. Przyciągał uwagę, ale jedynie jako osoba czekająca na przyjaciela mającego przybyć jednym z wielu opóźnionych samolotów. Grecy kontrolerzy lotów lub hiszpańscy celnicy strajkowali. Dla schludnego terminalu, nagle stającego się noclegownią zapełnioną agresywnie nastawionymi ofiarami, nie miało to znaczenia. Nie miał pojęcia, czy było ich trzech, czy więcej, czy mężczyzna, który użył noża przeciwko Chambersowi – *Chryste, nóż na ulicy – to miało wyglądać na rabunek* – był w budynku terminalu. Mógł tu wejść w ciągu ostatniej godziny, gdy tłoczyli się pasażerowie, mający odbyć wieczorne loty, wpadający na siebie z bagażami.

Piąta czterdzieści pięć. Mógł przynajmniej uniknąć toalety z pewnym poczuciem komfortu, jak wytresowany, zdyscyplinowany inwalida.

Wszedł zdecydowanie na ruchome schody i opuścił galerię, obserwując parter budynku, balansując swym ciałem, wiedząc, że mężczyzna z niespokojnym spojrzeniem sprzed tablicy przylotów był teraz za nim, i widząc człowieka z walizką na dole. Rozejrzał się niespokojnie dookoła. Trzeci mężczyzna był na schodach, zaczynał właśnie zjeżdżać. Walizka, pokryta materiałem w szkocką kratę, wyglądała jak przyczajony na dole pies czekający na okazję do skoku. Chryste, oni się ruszyli, dostali rozkaz przystąpienia do akcji.

Ruchome schody były wysokie, gładkie jak pokryte lodem zbocze, kiedy niosły go w kierunku mężczyzny z walizką na dole. Nawet on, nie mający wyuczucia w takich sprawach, zrozumiał zapal na twarzy ponad jasną koszulą. Mężczyzna w garniturze stojący za nim już nie interesował się tablicą przylotów. Jego oczy były teraz uważnie wpatrzone w Godwina i w mężczyznę z wózkiem.

Czy byłby wolny, gdyby wykonał jeden skok? Z dwoma pieprzonymi kulami zamiast pewnego kroku? Dlaczego, dlaczego teraz? Czy te cholerne ciężarówki w końcu przyjechały? Gdy wcześniej pytał, celnicy powiedzieli, że na M6 są opóźnienia z powodu wakacyjnych korków. Trzy godziny od cholernego Willenhall!

– Pasażerowie lotu Suntours do Malagi... podawane są kanapki i napoje na... – rozbrzmiewało ponad jego głową, gdy dotarł do końca schodów. Wózek został wepchnięty pod jego kule i przewrócił go. Rosjanin był natychmiast przy nim jak sam pies, przepraszając:

– ...nie widziałem pana, przepraszam, jest mi tak bardzo przykro. Pan pozwoli, że pomogę...

– Potrzebuje pan pomocy? – spytał mężczyzna w garniturze. – Postawmy go na nogi... wszystko widziałem, to był wypadek...

Godwin leżał rozciągnięty na plecach, gdyż przekręcił się, żeby przynajmniej widzieć, co zamierzają z nim zrobić. Jego kule leżały rozrzucone po bokach niczym dodatkowe nogi, bezużyteczne jak jego własne. Dwóch Rosjan pochyliło się nad nim; jeden z nich uspokoił przechodniów, a potem zrobił to samo drugi, tłumacząc się ze swojej niezdarności. Trzymali go za ręce przez cały czas, od kiedy przy nim przykucnęli, a jeden z nich klęknął na kuli, wciąż przyczepionej do jego prawej ręki i łokcia. Druga kula została zabrana, więc wzięli go pod pachy.

– ...kawy, herbaty, może coś mocniejszego, co by postawiło pana na nogi, tak mi przykro – obydwaj uśmiechali się z troską, jak weterynarz i pielęgniarka, jedno trzymające zwierzę, a drugie strzykawkę, pewni w siebie. Strzykawka? Tutaj, teraz, coś, aby go uciszyć?

Postawili go na nogi, a ich uścisk stawał się coraz mocniejszy na ramionach i piersiach. Trzymał kule, które mu wepchnęli pod pachę, ograniczając jego ruchy. Pocił się okropnie, miał niemal zawroty głowy, jak gdyby już mu podali środek uspokajający. Och, cholera, był cholernie bezużyteczny w tej chwili, cholernie bezsilny! Złapali Chambersa w cichej ulicy i otworzyli mu brzuch, a teraz była jego kolej...

Trzymali go, nie pozwalając mu złapać równowagi. Ciągnęli go wystarczająco szybko, aby go kontrolować i aby się obawiał całkowicie stracić równowagę. Trzymali go tak, że patrzył na podłogę, gdy posuwali się w kierunku automatycznych drzwi terminalu, którymi wchodziły nowe tłumy.

Kolizja z kolejnym wózkiem, przeprosiny. Zachwiał się, ponieważ mężczyzna w jasnej koszuli puścił jego ramię. Czyżby krzyczał? Znów przeprosiny. Chryste, cholerne przeprosiny... przeprosiny! Australijski akcent.

– Och, przepraszam kolego, nie chciałem...

Wózek wpasował się jak miecz w brzuch mężczyzny w garniturze i jego gołeni, potem Hyde złapał go pod prawe ramię oraz wokół pasa i wyszli na zewnątrz. Godwin obrócił się niezgrabnie i gwałtownie. Rosjanie byli po drugiej stronie rozsuwanych drzwi z przyciemnionego szkła, odsłaniany i zasłaniany, gdy dowożone były kolejne grupy jaskrawo ubranych ludzi przed terminalem. Potem Hyde potrząsnął nim.

– W porządku? Chryste, nie można ciebie ani na chwilę spuścić z oka, chłopie!

Skinął głową, radząc sobie z ułożeniem swego ciężaru na pewnie stojących kulach i uspokajając swój oddech.

– W porządku – wykrztusił. – W porządku. Co oni teraz zrobią? – spytał wskazując głową na drzwi.

– Chrzanić, jeżeli widzą jeszcze w tym sens. Jest nas teraz trzech... – młoda twarz Darrena była podekscytowana. – Ilu ich jest?

– Widziałem trzech. Terry nie żyje! Zabili go na ulicy – powiedział Godwin.

– Nie mogłem... powiedzieć ci przez telefon. Zabili go...

– Sukinsyny... – wymamrotał Hyde, wyraźnie zaszokowany, przeciągając ręką po włosach. – Obydwoj uważajcie na siebie.

Gdzie jest teraz ta cholerna wysyłka? Sukinsyny – zakończył cicho.

– Nie ma jej jeszcze tutaj. Stoi na M6 na Spaghetti Junction.

– Albo czekała, aż ciebie zdrapią z podłogi. Co z celnikami?

Godwin czuł teraz zmęczenie po przeżytych szoku, stojąc z Hydem i Darrenem przy boku i z ciałem ciężko opartym na kulach.

– Och, oni nie sprawdzili mojego upoważnienia. Przynajmniej wtedy. Skontrolują ładunek jak zwykle. Samolot SwiftEx jest na płycie lotniska. Będą chcieli wprowadzić go od razu na pokład, z powodu opóźnienia ciężarówek – dwóch Rosjan zniknęło z pola widzenia wtapiając się w tłum przemieszczający się za szybą. – Gdzie oni są?

– Pewnie dzwonią do Priabina i pytają, co dalej robić. Jeżeli chcieliśmy dowodu, to ty i Chambers jesteście dowodami, jakich potrzebowaliśmy. Nawet Rosjanie nie zabijają dla kuchenek mikrofalowych. Chodźmy do celników, Godwin. A ty – spojrzal na Darrena – miej oczy otwarte. Jak wyglądał ten trzeci?

– Młody, metr osiemdziesiąt, ciemne włosy, żółta koszulka polo, żółte szerokie spodnie.

– Uczeń, co?

Celnik wyszedł przez drzwi na chwilę przed tym, jak oni do nich doszli, natychmiast rozpoznając Godwina i patrząc podejrzliwie i niechętnie na Hyde'a.

– Ciężarówka przyjechała ze SwiftEx, panie Godwin. Jednakże jest pewna... komplikacja. Czy zechciałby pan wejść i wyjaśnić parę spraw?

– Jaka komplikacja? – zachnął się Hyde.

Celnik spojrział na Godwina, oczekując na wyjaśnienie. W powietrzu czuć było irytację.

Hyde powtórzył:

– Jakie komplikacje? Wygląda pan, jakby właśnie odstąpił pan swoje miejsce na wakacjach.

– Jeżeli panowie są razem – wymamrotał celnik, kiedy Godwin ich przedstawił – to proszę pójść ze mną.

– Co jeszcze poszło źle? – syknął Hyde, gdy weszli do budynku terminalu.

Godwin potrząsnął głową, drżenie jego ramion uspokoiło się, kiedy ruszył opierając się na swoich kulach. Jego nogi były jeszcze bardziej osłabione niż zwykle. Był roztrzęsiony. Co poszło źle?

– Nic nie widzę. Żółta koszulka i spodnie? To ten?

– Ten ma prawie pięćdziesiąt lat, a ta szara mysz opierająca się na wózku to jego córka.

Korytarz, w który weszli, był cichy, pojawiały się w nim tylko od czasu do czasu mundury lotnicze, policji, celników.

– ...do Majorki, zwiększył opóźnienie... – usłyszeli przez megafon za plecami.

– Tutaj – wskazał oficer celny trzymając drzwi otwarte. – Mój zwierzchnik chciałby zamienić z panem słowo. Z panem też.

Godwin wpadł do biura, uświadamiając sobie warkot urządzeń klimatyzacyjnych, następnie obecność szefa celników i potem zastępcy dyrektora generalnego Edwarda Bannistera, który podniósł się z małej sofy.

– Cholera – usłyszał mamrotanie Hyde'a za plecami, gdy zamknęły się drzwi.

– Godwin – zauważył Bannister. – I Hyde... czy zechcielibyście zadzwonić

teraz do sir Clive'a i przeprosić go, czy poczekacie na bardziej oficjalną okazję?

– Sądzę, że dyrektor generalny wyszedł już do domu, sir – odpowiedział Hyde.

– Westfield, myślę, że może pan wyjść. Będę oczywiście chciał otrzymać od pana raport w niedalekiej przyszłości – skinął mu ręką na znak, że może odejść. Drzwi zamknęły się za Darrenem.

Celnik Warren wydawał się od razu zadowolony z lodowatego tonu Bannistera i przejęcia panowania nad sytuacją. Uśmiechnął się, gdy Bannister powiedział:

– Nie siadajcie panowie. Ach, panie Warren, czy mogę prosić pana o użyczenie nam na chwilę pańskiego biura?

Warren wstał.

– Oczywiście, panie Bannister. Dobra robota... – spojrzał na Godwina, na nowo czując złość, kiedy uświadomił sobie, jakich uniknął konsekwencji.

– Tak, w rzeczy samej. Dziękuję, panie Warren.

– ...wieczorny posiłek podawany jest... – usłyszeli, zanim drzwi zamknęły się ponownie.

Po wyjściu Warrena Godwinowi wydawało się, że pokój wokół niego się skurczył.

– Sir, musi pan teraz działać! Terry Chambers został zamordowany dziś po południu. Ciężarówka są tutaj! Musi pan wprowadzić celników do... – wykrzyknął.

Bannister wydawał się zakłopotany nie tyle jego słowami, co Hyde'em stojącym sztywno na baczność przy boku Godwina. To była czysta farsa i Bannister o tym wiedział. Nie teraz Patrick, proszę nie teraz.

– Nie przyleciałem tu najbardziej hałaśliwym z helikopterów, aby otwierać pudła z telewizorami, Godwin – powiedział Bannister sarkastycznie. Był szkolidowy i ograniczony. Były pracownik cywilny w ...wywiadzie wojskowym. *Cały czas prezentuje poziom inteligencji charakterystyczny dla wojska*, jak zauważył Hyde miesiąc temu. – Wy także nie po to tu jesteście – dodał.

– Sir?

– Tak, Godwin? – Bannister usiadł wygodnie na sofie, patrząc na nich wzrokiem adwokata, którego wyrok sędziego upewnił, że miał słuszość.

Okno za biurkiem Warrena wychodziło na płytę lotniska. Godwin zauważył, że do samolotu SwiftEx, małego boeinga, zbliżyły się dwie ciężarówka,

widziane przez Chambersa, kiedy wyjeżdżały z Reid Davies w Willenhall. Znajdował się tam też samochód celników, ale nie widać było żadnego poruszenia. Było coś przytłaczającego w tym spokoju, coś co doprowadziło Godwina do szału.

– Sir, musi pan wydać rozkaz... poprosić celników, aby sprawdzili ładunek z Reid Davies... – Godwin wyczuwał u Hyde'a silne napięcie. Twarz Bannistera wyrażała całkowity spokój.

– ...oni zabili Chambersa, sir! – wygadał się Godwin starając się wymusić u niego jakieś działanie. Myśl o tym, że sam znalazł się w niebezpieczeństwie wywołała u niego drżenie.

– Rabusie, jak poinformowała mnie policja z West Midlands – Bannister był nieporuszony. – Oczywiście zostało wszczęte śledztwo w sprawie o morderstwo.

– Sir, oni go zabili, ponieważ śledził...

Bannister podniósł rękę.

– Śledzenie bez upoważnienia, a nawet zakazane. Nie mamy tu do czynienia z jakimś nietaktem, panowie – ton jego głosu był ironiczny. – To jakaś paranoja, mania prześladowcza niektórych członków wywiadu, mających jakieś podejrzenia wobec całkowicie legalnych transakcji.

Pochylił się do przodu, gdy Hyde wymamrotał:

– To jest pieprzona strata czasu.

Na policzki Bannistera wystąpiły na chwilę purpurowe rumieńce, a potem zauważył sucho:

– Jestem pewien, że podejdzie pan do tej sprawy inaczej, Hyde, kiedy już skończę to, co miałem powiedzieć – ponownie oparł się na sofie. Tył jednej z ciężarówek był otwarty i któryś z pracowników celnych wszedł do środka. – Skutek, jaki by to wywołało w lewicowych środkach przekazu, szczególnie w telewizji, jest czymś, czego jak sądzę, chcielibyście za wszelką cenę uniknąć.

Celnik z papierami w ręku pojawił się znów w przyćmionym świetle za oknem, podpisując się na formularzach. Potem przekazał papiery komuś, kto prawdopodobnie był członkiem załogi samolotu.

Wszystko skończone.

– Och, gówno! – krzyknął Godwin.

– Ach, dokładnie to, co by pan znalazł i w czym pan stał, Godwin – celnik wrócił do swego małego, białego samochodu. Pojazd zawrócił i odjechał szybko

od boeinga. *Och, gównu.* – To prawie przyjemność dla mnie i oczywiście obowiązkiem poinformować was, panowie, że wasze kariery w wywiadzie waszego kraju... – samolot załadowywano wózkami widłowymi, który przynosił towar z pierwszej ciężarówki. Godwin patrzył na to, jakby wraz z tym widokiem tracił zdolność odczuwania zadowolenia – ...są skończone. Od tej chwili. Oświadczam wam bez specjalnej przykrości, że nie jesteście już pracownikami służby – odchrząknął.

Hyde stał obok niego pełen napięcia. Nagle wrzasnął:

– Chryste, Harrow wygrał Wall Game, czy też Eton w tym roku? Zresztą nie ma, cholera, znaczenia, kto rzucił, prawda, sir? Pańska drużyna i tak wygrała!

Wydawało się, że to było wszystko, co Hyde chciał powiedzieć, albo prawdopodobnie mógł.

– Pańskie podejście nie jest tak odkrywczym, jak pan myśli, Hyde. Na szczęście ta służba już nie będzie więcej prowadzona tak samowolnie i na tak wątpliwych zasadach – wymamrotał Bannister z wyraźną złością. – Czy nie rozumiecie, jak bardzo świat się zmienił? – zapytał.

Hyde wciąż machał rękami, jakby na próżno oczekiwał, że oddali od siebie tę sytuację. Potem, powoli je opuścił.

– Teraz oddacie mi – zaintonował Bannister grobowym głosem – wasze oficjalne przepustki i dokumenty, a w pańskim przypadku, Hyde, jak sądzę, broń. Poza tym wszelkie inne materiały związane z waszymi ostatnimi działaniami, które możecie posiadać. Nie będziemy prowadzić – nie będę tego tolerował – żadnych samowolnych akcji, które są wymierzone w struktury społeczne lub mogą zagrozić państwu! – złość tego faceta był prawdziwa, jak zauważył Godwin. Chryste, jeszcze jeden cholerny idealista! – Poza tym – dodał Bannister odzyskując zimną krew – oczywiście rezygnujemy, zupełnie i na zawsze, z waszych usług. Was obydwu.

Wózek widłowy przynosił swój trzeci lub czwarty ładunek do ładowni małego boeinga bez najmniejszego wysiłku i bez żadnych przeszkód. Godwin wyjmując swe przepustki i identyfikatory z portfela, gdy opierał się zmęczony na swych kulach, mrugał oczami, aby ukryć na twarzy łzy zawodu i złości.

Część druga

TOWAR Z WENECJI

*Za bardzo z nami jest świat: biorąc, trwoniąc,
Sił wyzbywamy się w końcu: nieduże
Jest to, co nasze, w widzianej Naturze;
Oddaliśmy swe serca...*

Wordsworth, *Sonet*

Rozdział siódmy

KSZTAŁTY I OBLICZA OBOWIĄZKU

Pozwolił pani Grey podać kawę – używała srebrnego czajnika ze swojej ulubionej chińskiej zastawy. Kręcił z niedowierzaniem głową na wieść o śmierci Chambersa i zwolnieniu Hyde'a i Godwina, którzy siedzieli teraz naprzeciw niego, onieśmieleni cichą krzątaniną pani Grey. Jeszcze jedna rzecz chodziła mu po głowie.

Spojrzał w kierunku gregoriańskiego stolika do herbaty, gdzie zwykle zostawiał swoje otwarte listy, dopóki nie zainteresowała się nimi pani Grey. Leżała tu pognieciona otwarta koperta. NADAWCA: R. ANDERSON – głosił napis na odwrocie. Na wierzchu był znaczek z Namibii – miejsca, które nierozsądnie obiecał odwiedzić w chwili wylewności. Otworzył cienką paczuszkę z uśmiechem i oczekiwaniem i znalazł...

...legitymację KGB i fotografię kobiety trzymającej na ręku dziecko, na której odwrocie było napisane: Nowogród 1989, oraz notatkę zrobioną bez wątpienia w pośpiechu i ledwie powołującą się na znajomość w przeszłości. Samolot Dacota... elektroniczne urządzenia na pokładzie oznaczone nalepkami Reid Group, PLC... spadły na namibijski piasek. Udział MLC oraz Blantyre, który próbował zabić Ros, aby ukryć sprawy związane z zamordowaniem jego bratanicy.

Przeszłość była jak zwierzę, lekceważone lub bite, czekające cały czas na odpowiednią chwilę, żeby skoczyć do gardła. Sprzymierzyła się z równie brutalną terażniejszością, w chwili gdy zabili Chambersa w cichej, bocznej uliczce w Midlands, udając, że rabunek był ich motywem. To go doprowadziło do szału, powodując narastającą złość na Priabina, Bannistera, Orrella, ale szczególnie na Malana, który maczał w tym palce. On kazał zamordować Chambersa. To było tak pewne jak to, że ponosił odpowiedzialność za śmierć Kathryn. Niech ich szlag trafi, wciąż zabijali jego ludzi!

Hyde hałasował przy swojej kawie, przyciągając uwagę Aubreya, ale nie mógł się powstrzymać od wyrażenia swego zdania, więc potarł skronie, odchrząknął i powiedział:

– Przepraszam... jestem poruszony... sposobem, w jaki to wszystko się stało.

Spojrzenie Hyde'a stało się apatyczne. Godwin wyglądał na takiego, co ma już dosyć. Aubrey zastanawiał się, czy może zaferować coś więcej niż strzępy tego, co jedna z gazet nazwała *Psami przeszłości*? Obserwował ich obydwu. Godwin był nadal owładnięty obsesją i strachem. Hyde oczywiście był niezdolny do zmiany postawy, chociaż równie łatwo mógł zostawić ten interes, jak i pozostać w nim. Była jeszcze jedna sprawa – jego własne zmęczenie. I angina pectoris, z powodu której zyskał współczucie specjalisty w średnim wieku, cieszącego się dobrym zdrowiem, którego podejście można by scharakteryzować nie wypowiedzianym: *Czego oczekujesz w swoim wieku?* Świadomym wysiłkiem powstrzymał się, aby nie dotknąć swej piersi powyżej serca. Śmierć Kathryn zdruzgotała go; niemoc i złość z powodu nie zaspokojonej żądzы zemsty na Malanie wyczerpała go. No i tych dwóch, jeden zachowujący się kulturalnie, drugi bez złudzeń – wiedziało tak wiele. Spojrzał jeszcze raz na stolik do herbaty i na wymownie otwartą kopertę. Pokusa i zachęta; Tak bardzo przyzwyczał się do oszczędzającego trybu życia i pomocy pani Grey przez ostatnie tygodnie. Jednakże...

Musiał przyznać, że zawartość koperty obudziła w nim stare podejrzenia. Namibia, MLC, Malan i KGB. Godwin długo śledził siatkę i powiązania między jej ogniwami. Nie mógł, pod żadnym pozorem, zlekceważyć zawartości i znaczenia tego listu. Odchrząknął i powiedział:

– Otrzymałem informacje, które przekonują mnie nie tylko, że powinniśmy działać, ale że nasze spekulacje były, w większości, trafne.

Godwin oderwał wzrok od palców, którymi niezdecydowanie przebiegał wśród ciastek postawionych na stole przez panią Grey. Był tak zaskoczony, że spadł mu na dywan krem śmietankowy.

– Informacje skąd? Od kogo, sir?

– Zupełnie nie związane z naszym śledztwem. Czysty przypadek. Ale to mnie upewnia – od razu, jak magik pewien uwagi widowni, wyjął z kieszeni na piersiach legitymację i zdjęcie włożone w krótki list. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, włożył marynarkę, jakby to była kolczuga. – To jest potwierdzenie.

Hyde złapał list. – Skąd to jest? – spojrzał na podpis. – Chryste, czy to nie jest...?

Godwin, patrząc na legitymację, zdjęcie, a potem list, zawołał:

– Namibia? Stary samolot dostawczy... MLC... Jezu Chryste, sir!

– Czy to jest dowód? Czy to pana przekonuje? – zapytał szybko Hyde. – Czy to ten Anderson, który wydostał się z Niemiec Wschodnich w sześćdziesiątym czwartym, przyjechał z powrotem i zabił zastępcę dyrektora generalnego, który zarzucił mu zdradę? – zawahał się. Była jeszcze inna strona tej historii, o czym jednak nigdy nie wspominał publicznie. Z pewnością nie w obecności Aubreya.

– Ten sam – potwierdził Aubrey.

– Czy pan... – zaczął Hyde i przerwał nagle zniechęcony, jakby stracił zainteresowanie dla tej sprawy.

– Pomijając protokół, ta plotka może nie być pozbawiona podstaw, to mogło być zaaranżowane – powiedział Aubrey. Pomógł Richardowi Andersonowi uciec do Republiki Południowej Afryki i zaopatrzył go w odpowiednie fundusze, aby kupił sobie praktykę prawniczą. Ponieważ człowiek, którego zabił, zdradził go, był podwójnym agentem. To było najprostsze rozwiązanie.

No i częściowe przyznanie się, uświadomił sobie, ostatecznie zamknęło to koło. Nie mógł zrobić więcej dla Hyde'a, Godwina, pamięci Chambersa i zmarłej bratanicy. Richard spłacił swój dług przypominając o nowszych, pilniejszych zobowiązaniach. Niech tak będzie.

Był jednak problem, gdzie przebywał Richard i jaki jest stan jego zdrowia. Zadzwoił do Etoshy. Linia została przywrócona, ale połączenie było niezbyt dobre, jednak zrozumiał tyle, że Anderson został zabrany do szpitala, po ...*masakrze* – użyto właśnie tego słowa. Jak sądził, kontrakcja byłaby słowem bardziej odpowiednim. Tak jak zabili Chambersa, próbowali zabić Hyde'a, zagrozili życiu Godwina, tak samo próbowali usunąć Andersona. Czy im się udało?

– Skąd to się wzięło? – zapytał Hyde wymachując legitymacją.

– Znalezione przy jednym z ciał w samolocie.

– Mielśmy zatem rację? Co mówi Anderson?

– Nie mogę się z nim skontaktować. Hotel, którym zarządzał, został zaatakowany. Przeżył to. Próbowałem znaleźć go w szpitalu. Wyszedł stamtąd sam,

przez okno o świcie, i nie widziano go od tego czasu. Obawiam się, że nie wiem, gdzie go szukać.

- A więc zbyt dobre, aby było prawdziwe – sztychł Hyde.
- Lub zbyt złe.
- Ten sukinyś Blantyre. Czy on ma z tym coś wspólnego.
- Tak.

– Więc Anderson spotkał Blantyre'a, który jest wystarczająco sprytny, aby go podejrzewać, i podpala hotel w buszu. Ile osób zginęło?

- Żona Andersona na pewno.

Spojrzał w kierunku drzwi. Pani Grey nie wyszłaby z kuchni bez wezwania. Był zadowolony, że jest nieobecna razem ze swoją przesadną prostolinijnością i troskliwością. Nie żeby był niewdzięczny, po prostu musiał teraz obyc się bez tego.

– Więc lepiej, cholera, niech pan teraz znajdzie Andersona albo zrezygnuje z niego – zauważył Hyde. – Jeżeli Blantyre go ściga na rozkaz Malana, to ma on niewiele szans na przeżycie. Chryste, Blantyre po prostu strzepnie go jak pył z butów! – Hyde był ożywiony nienawiścią. – Ja znam Blantyre'a! On nie nauczył się przemocy, on się z tym urodził.

– Nie mogę teraz nic zrobić. Muszę czekać, aż Richard nawiąże kontakt. A zrobi to, jeśli żyje.

- Więc siatka wiedzie przez Namibię – zauważył Godwin.
- Co? Och, tak. Czy to cię zaskakuje, Tony?

– Nie, to sprytne. Ich stara droga objazdowa wokół przylądka. Teraz używają swojego Kanału Sueskiego. Towar musi przechodzić bezpośrednio przez EuroConstruct i jego dostawców via Paryż i Dumas Electronics.

– Dlaczego wciąż wykorzystują Namibię? Od roku 1989 jest przecież o wiele łatwiej.

- To chyba z powodu udziału Malana w zyskach, jak sądzę.

Hyde odwrócił się od wysokiego okna.

– Posłuchajcie, wiemy, że korzystają z Namibii jak w zeszłym tygodniu. Nie ma znaczenia dlaczego. Ważne jest, co zamierzamy w związku z tym zrobić. Reid Group służy za parawan, a rzeczy wyjeżdżają z Reid Davies w Wilenhall przygotowane jako telewizory i kuchenki mikrofalowe. Anderson to potwierdza. Więc, czy zamierzamy coś z tym zrobić, czy też pójdziemy jedynie

do pubu na piwo i kanapkę? – spojrzał na Aubreya. – Zamierzamy przyjąć to jako fakt, czy też w związku z tym coś zrobić?

– Zamierzamy coś w związku z tym zrobić – ogłosił Aubrey cicho.

Godwin głośno westchnął. Hyde wreszcie się odprężył. Patrzył na Aubreya, szukając w jego twarzy otuchy i przynajmniej nie znajdując w niej czegoś, co by ją odbierało.

– Od czego zaczynamy, sir? – zapytał Godwin z entuzjazmem.

– Od materiału, jaki masz w swoim komputerze, Tony – zatarł ręce jakby siedział przy kominku. – Chcę wszystko, co macie na temat Reid Davies. Tymczasem myślę, że napijemy się jeszcze kawy – dodał szybko.

Hyde potrząsnął głową, ale raczej wyrażając swoje uznanie niż drwinę. Aubrey uśmiechnął się do siebie.

– Ty stary wszarzu – usłyszał mamrotanie Hyde'a odwróconego plecami.

W chwili gdy opuścił klimatyzowane foyer hotelu Mermaid, zaatakowało go słońce i wydawało się, że skóra natychmiast przeniknęła mdlącym zapachem ryb. Po drugiej stronie Siódmej ulicy były sine plamy głębokiego cienia. Nowe ubranie powodowało, że bolała go skóra, a kark wystawiony na słońce po obcięciu włosów mu ścierpł. Dotknął ostrożnie ogolonych policzków, sprawdzając swą nową twarz i tożsamość. Nagle zobaczył Blantyre'a wyskakującego z mercedesa, trzydzieści metrów dalej na ulicy, która była podzielona na słoneczną stronę oraz głęboki cień.

Anderson chciał uciec z powrotem do pełnego roślin foyer, do dziwek i ich alfonsów, biznesmenów i czarnych z klasy średniej, po prostu wydostać się z opustoszałej ulicy, ze słońca.

Blantyre przeciął szeroką ulicę i wszedł do biurowca. MLC miało biura na którymś z wyższych pięter. Odkrył to dwa dni wcześniej, kilka godzin po przyjeździe. Nie było nikogo więcej w mercedesie. Jego ciało przeszedł dreszcz i spociał się w swojej nowej kurtce i czystych, wyprasowanych szortach. Twarz miał rozpaloną i odkrytą, i nagle poczuł się bardziej rozpoznawalny. Potem ruszył z tego miejsca i pobiegł z powrotem do foyer.

Usiadł w fotelu, który stał przodem do bocznych okien, tyłem do drzwi i patrzył nie widzącymi oczyma na maty i wypełnione popielniczki na stołach.

Jego ręce były pobrudzone i wyraźnie drżały, gdy patrzył na nie kątem oka. Stało się to, co musiało się stać.

Gdy Blantyre był nieobecny, zajmował się nudnawym śledztwem i pewnego rodzaju rekonwalescencją, gojeniem ran; dopóki jego wysoka, potężna sylwetka nie wyloniła się z długiego, jasnego samochodu i nie udowodniła, że choroba jeszcze nie została wyleczona. To było silniejsze niż przedtem. Zdał sobie sprawę, że nic nie może zrobić. Nie dowiedział się niczego od swego przyjazdu; wielkie magazyny MLC na północy miasta z małym lądowiskiem nie ujawniły nic. Nikt, do momentu przyjazdu Blantyre'a, nie pokazał się w biurach MLC oprócz zatrudnionego personelu. Siedział przy stoliku w kawiarni naprzeciwko budynku biurowego całymi godzinami, udając, tak, udając. Był przerażony z powodu Blantyre'a, obawiał się o swoje życie. Dlatego właśnie nie zadzwonił do Aubreya z Walvis Bay; nie sprawdził, czy jego przesyłka dotarła do Londynu i czy w ogóle go zainteresowała. Nie chciał, aby Aubrey zaczął się tym interesować teraz! Wszystko, tylko nie to.

W tym mieście, nazywanym ostatnim przyczółkiem Republiki Południowej Afryki – został zmuszony do przyjęcia oszukańczych metod, którymi się posługiwał przez ostatnie dwa dni. Wśród kolorowych czy białych dziwek i ich alfonsów, handlarzy narkotyków, biznesmenów był obcy. Ludzie naciskali na niego jak pasażerowie w zapchanym autobusie. To takie miejsce, z jakiego kiedyś uciekł do pustki i zwierząt w Etoshy. Był przelotnym ptakiem. Nie było niczego, czego chciałby dokonać.

Rozejrzał się wokół recepcji. Pakowanie zajmie mu tylko chwilę. Mógł zostawić swego 4WD na parkingu i wziąć taksówkę na lotnisko. Sprawdzanie zajmie jedynie moment, nie byli zajęci. Jego nazwisko zostanie potwierdzone, zapłaci gotówką wyjętą przy pomocy karty kredytowej ze swojego konta w Windhoek. Blantyre nie dowie się, że on tu był.

W południe odlatywał samolot do Windhoek i jeszcze jeden do Johannesburga po południu. Mógł złapać któryś z nich, jeśli się pośpieszy. Blantyre był wciąż w budynku MLC. Wstał sztywno i przez chwilę poczuł zawrót głowy.

Gdy się zatrzymał, był to czas dla Margarethe, aby stanęła przed nim oskarżająco. Pośpieszył w stronę wind. Ucieczka od Blantyre'a była teraz najważniejsza.

Aubrey odłożył słuchawkę. Pani Grey wyglądała na niezadowoloną, kiedy spojrzała na niego przez otwarte drzwi kuchni, gdzie przygotowywała lunch. Wyższy urzędnik w Biurze Spraw Zagranicznych wydawał się zawiedziony, że jego umówiony lunch z Aubreyem został odwołany – tak samo jak pani Grey, która nie wyglądała na zbyt zadowoloną, że musi przygotować zimnego łososa i sałatkę dla niego, Hyde'a i Godwina. Aubrey odczuwał szczerą satysfakcję z powodu nagłej zmiany planu dnia. Wszedł ponownie do obszernego pokoju gościnnego. Za oknami widać było drzewa i Regent's Park. Słaby wiaterek unosił delikatnie zastony.

– Ten młody człowiek nie musi się zbyt martwić, że stracił moje poparcie – ogłosił. – Jest protegowanym Geoffreya Longmeada i na pewno zajdzie daleko.

Zielony dywan był zaśmiecony, ku wielkiemu utrapieniu i cichej pogardzie pani Grey, wydrukami zawierającymi wiadomości, jakie Godwin wyciągnął ze swego komputera przez laptop podłączony do elektronicznej maszyny do pisania Aubreya. Zaśmiecony pokój, jeszcze bardziej zabałaganiony obecnością Hyde'a i Godwina, bardzo mu się podobał.

– No więc, Tony?

Godwin wskazał na dywan. Hyde siedząc w niezwyklej pozie na fotelu przy stole pod oknem miał przed sobą rozrzucone papiery i robił notatki.

– Towary wędrują do Dumas Electroniques. Dumas posiada wielkie udziały w Reid Group, dzięki Davidowi Reid, który im je sprzedał. Ale nie ma tam żadnych szczegółów na temat Dumas. To jest wciąż mała firma. Rozrasta się, tak, ale nie tak, jak można by oczekiwać. Wszystko jest nie tak. Dumas nie powinien już funkcjonować jako pomniejsza firma.

– Ani otrzymywać szachrajskich dostaw z Reid Davies – zauważył Hyde.

To było tak, jakby zlecono mu opiekę nad dwójką niesfornych znudzonych dzieci, podczas gdy ich matka czy jakaś daleka krewna poszła na wyprzedaż do Harroda.

– A co z Reid Davies – zapytał Aubrey.

Godwin wskazał na górę wydruków i nabazgranych notatek wyrwanych z notesu, leżących na podłodze.

– Rejestr pracowników, ostatnie kontrakty i dostawy, jak na razie to wszystko, co mamy, sir.

Aubrey podniósł plik papierów.

– Posłuchaj – powiedział Hyde. – To oczywiste, że musieli wykorzystywać Namibię, gdy wszystko przebiegało normalnie – uśmiechnął się mimo woli. – Malan zabrał swe udziały z góry, potem bez wątpienia wysłał resztę via Mozambik, a nawet Etiopię do Moskwy. Teraz, tak czy inaczej, MLC ma pomocników wyrastających jak cholerne grzyby po deszczu w całej Europie Wschodniej i Związku Radzieckim.

Podrapał się ołówkiem po skroniach, wyglądając jak zamyślane dziecko. Instynkt przetrwania Hyde'a był powiązany z inteligencją. Inni odkryli to zbyt późno, przy okazji.

– Więc teraz jest łatwiej, to wszystko. Ten ładunek jechał do Dumas, a Dumas musi wysłać to dalej. Albo przez Namibię, albo bezpośrednio. Tak więc, czymkolwiek jest Dumas, to wykonywana jest tam robota dla KGB. Właścicielami tej firmy są albo oni albo Malan, a przynajmniej muszą kontrolować jej część. Nie mogliby inaczej tego zrobić.

– A czy ta dostawa pojechała do Dumas?

– Tak jest, sir – odpowiedział Godwin. – Sprawdziłem.

– Więc czym, na Boga, jest Dumas?

– Są niegrzeczni – zauważył Hyde – bardzo niegrzeczni.

Aubrey wrócił na swój fotel, przerzucając materiały na temat Reid Davies. Nie było nic w liście Richarda, co naprowadzałoby na ślad jakiejś francuskiej firmy. Willenhall w West Midlands wydawało się nieodpowiednim terenem do urzeczywistniania jakichkolwiek wielkich i tajemnych planów...

...tylko że Chambers został zamordowany w cichej bocznej uliczce, a towar stąd wywieziono do Dumas w zeszły piątek z błogosławieństwem Orrella!

Wiedział, co musi zrobić – porozmawiać z Michaeliem Daviesem, który był współwłaścicielem i całkowicie zarządzał Reid Davies. Dotrzeć tam i zorientować się w metodach działania.

Pomyślał o Andersonie. Uciekł raczej z kliniki, aniżeli został z niej zwolniony, i zniknął. Pułkownik Blanytre bardzo się tym zmartwił, jak dowiedział się od administratora szpitala, który był mu bardzo pomocny. Więc gdzie zniknął Richard? Czuł drżenie na myśl, że znowu wróciła burzliwa

przeszłość Andersona. Ale teraz był dwadzieścia pięć lat starszy, co może zrobić? Blantyre budził strach nawet u Hyde'a.

W drzwiach pojawiła się pani Grey i aż się cofnęła przerażona i niezdolna do zapowiedzenia lunchu. Skarciła go spojrzeniem za to, że dobrowolnie wprawia się w stan zbytniego podniecenia.

– Czy podać wino, sir Kenneth?

– Jak sądzę, pan Hyde będzie wolał piwo, pani Grey. Czy kupiła pani trochę?

Skinęła sztywno głową, jakby została zmuszona do przyznania się do jakiegoś podłego czynu, na przykład kradzieży w sklepie.

– Trochę chablis dla mnie i pana Godwina. Dziękuję, pani Grey.

Wycofała się jak uciekinier z pobitej armii, z wielkim oporem, wpatrując się w Hyde'a i Godwina siedzących przy stole pod oknem, przekładających papiery i mamroczących coś jak dzieci zajęte jakąś skomplikowaną grą.

Nagle Hyde krzyknął:

– Cholera, powiedziałem ci, że rozpoznaję niektóre z tych nazwisk! To są starzy ludzie z STB pracujący w firmach, które są powiązane z MLC lub współpracują w Czechosłowacji! Patrz, na przykład ten sukinsyn Novak. Jakim cudem Havel go jeszcze żywcem nie pogrzebał, nie wiem. Widzisz? Tutaj! – popukał ołówkiem w kartkę papieru, trzymając ją przed twarzą Godwina, który skinął głową.

– Oni mają ponadto umowy z Dumas. Chryste, to jest cała siatka, przechodząca przez Czechosłowację do Moskwy. Dumas, ci czescy współpracownicy KGB – Godwin zwrócił się do Aubreya z promiennym uśmiechem. – Mamy ich, sir. Uważam, że naprawdę ich mamy!

– Założę się, że ten cholerny Husak jest sam w zarządach niektórych z tych firm. Och Jezu, to co musimy teraz zrobić, to powiązać wszystko w jedną uporządkowaną całość.

– A możemy to zrobić? – zapytał Aubrey niecierpliwie.

– Spróbujemy, do ciężkiej cholery!

Pustynia Namibijska rozciągała się na południe i na wschód, monotonia płaskowyżu wgrzyzała się w wielkie, charakterystyczne hałdy wydym, poza którymi

ocean połyskiwał jasno jak słoneczne niebo. Przyciemnione szyby w poczekalni dla odlatujących pasażerów wydawały się ledwie tłumić blask i ograniczać przestrzeń za oknem, co go niepokoiło. Anderson czuł się zgrzany i wyczerpany, jakby dopiero tu wszedł.

Bilet trzymał zwinięty w palcach, a jego mała torba leżała koło nóg, gdy siedział pochylony do przodu, sprawiając wrażenie zainteresowanego książką trzymaną w drugiej dłoni. Lot do Johannesburga miał nastąpić za godzinę. Wylądował właśnie samolot, mały boeing i kołował w kierunku budynku terminalu, bielszy niż wydmy na tle bezbarwnej jasności oceanu i nieba.

Wysiadło z niego kilkoro pasażerów, którzy wychodzili z samolotu jak tresowane szympansy i szli przez gorący asfalt w kierunku klimatyzowanej poczekalni, oddzieleni pojedynczą barierką od niego i czekających na samolot emigrantów z Walvis Bay. Inna gromadka oczekująca na nich stała przy wyjściu: kilkoro dzieci, jeden szofer w uniformie trzymający jakąś planszę, kilka kobiet...

...i Blantyre. Anderson zadrzał. Filar, za którym siedział, zasłaniał go, ale teraz ta zasłona wydawała mu się niewystarczająca. Ten człowiek musiał go śledzić...

...nie, nie musiało tak być, właśnie kiwnął ręką do jednego z wysiadających pasażerów. Który to? Blantyre stojący obok szofera w uniformie z pewnością na kogoś czekał. Potwierdziło to się, kiedy zwrócił uwagę na ... niskiego mężczyznę, któremu światło odbijało się w okularach, lekko łysiejącego, krępego, trzymającego w ręce neseser, który od razu oddał szoferowi i przywitał się z Blantyrem. Kim był? Wyniosły chód, sposób trzymania głowy? Anderson z wysiłkiem starał się dopasować zapamiętany z przeszłości wizerunek do tego człowieka, jego sposobu poruszania się i twarzy. Potrząsnął głową. Znał kiedyś tego człowieka. Wiele lat temu, gdzieś, chyba z Johannesburga.

Jeszcze kilka dni i oderwie się od Afryki i od Blantyre'a. Mógł wyciągnąć pieniądze wciąż znajdujące się na kontach w banku, sprzedać kilka udziałów, potem wyjechać do Anglii albo do jakiegoś wciąż słabo rozwiniętego rejonu Hiszpanii, może gdzieś w Pirenejach. Znał tego człowieka... Wychylił się nieznacznie, ostrożnie śledząc Blantyre'a i jego towarzysza jak przez soczewki teleskopu. Wstał trzymając się blisko filaru, książkę niepostrzeżenie upuścił na sąsiednie siedzenie, torbę przesunął nogą. Blantyre był zatrudniony w...

Czy MLC miało cokolwiek wspólnego z Malanem? Nie mógł sobie przypomnieć, więc dlaczego próbował? Uświadomił sobie, że wysunął się z cienia filaru i minął kilka pierwszych rzędów foteli idąc za Blantyre'em i niskim mężczyzną w lśniącym garniturze i połyskujących okularach. Poruszał się ostrożnie, jak gdyby szedł przez ciemny pokój zastawiony meblami. Od filaru do filaru, pole widzenia zasłaniane przez pasażerów, przez stojak z gazetami, przez...

Przestraszył go krzyk dziecka stojącego obok niego, jakby dziewczynka pokazywała na niego palcem. Blantyre i drugi mężczyzna zatrzymali się przed drzwiami, prawdopodobnie czekając, aż szofer podjedzie po nich limuzyną. Zdawkowa rozmowa. Gdy krył się przy automacie z kawą, paszport uciskał go niemiłosiernie z lewej strony w pierś. Bilet wciąż trzymał w ręce, więc wepchnął go do kieszeni swej marynarki. Znow był zgrzany, spięty, ale mniej przestraszony. Szczególnie gdy poruszał się wśród białych twarzy i białych strażników, a czarni wykonywali jak dawniej swoje zwykłe czynności – pochyleni nad szczotkami i ścierkami. Wielka czarna kobieta pracowała za stojakiem z gazetami.

Anderson obserwował Blantyre'a i drugiego mężczyznę z za najnowszego numeru „Teh Afrikaaner”, wiedząc, że może bezpiecznie czytać bez kupowania, gdy czarna kobieta obserwowała go kątem oka. Rozpostarł gazetę i udawał, że czyta. Blantyre i ten drugi rozmawiali spokojnie, ale z takim samym dystansem, jaki mógłby być zachowany pomiędzy nim a czarną kobietą. Przez twarz Blantyre'a przelatywały raczej chmury niż błyski słońca. Anderson zaczął myśleć, że nie zostałby rozpoznany, nawet gdyby Blantyre spojrział wprost na niego. W gazecie historyczne wydarzenia. Mandela i prezydent Republiki Południowej Afryki, de Villiers, ściskający sobie ręce na kolejnym spotkaniu. Propozycje pewnego rodzaju proporcjonalnej reprezentacji, więcej obietnic na temat kontrolowania miast, aby zapobiegać w nich aktom przemocy, ANC przychyłająca się do tego, by nie przeprowadzać nacjonalizacji... i nagle w gazecie Malan, otoczony przez poruczników.

Był też przy nim inny mężczyzna – podniósł głowę, znowu spojrzął na zdjęcie, potem znow do góry... Tak. To ten człowiek... van Vuuren? To rozpoznanie było jak błysk fajerwerku na nocnym niebie. Van Vuuren. Wiceprezes

MLC, jak głosił podpis pod zdjęciem. Powtórzył nazwisko, wielokrotnie... i nic. Właściwie miał pewność, ale przeszłość nie chciała wyjść ze swojego zamkniętego, zakurzonego pudełka.

Przynajmniej znał jego nazwisko. Złożył gazetę. Van Vuuren. Zastępca w MLC. Odłożył gazetę i dostrzegł kolejną oznakę złości, chmurę burzową na twarzy Blantyre'a. Blantyre otrzymywał jakieś przykre rozkazy. Anderson spojrział w dół na palce niepewnie spoczywające na propagandowym czasopiśmie z Republiki Południowej Afryki, zainicjowanym przez rząd w dawnych czasach. „Panorama”, czy coś takiego. Przerzucił strony, ponieważ głowa Blantyre'a zaczęła się poruszać, jakby był zaniepokojony koniecznością podporządkowania się van Vuurenowi. Rośliny, krajobrazy, krzewy, szakale i leopardy – wszystko oderwane od rzeczywistości... szpitale, czarne pielęgniarki i białe dzieci, kędzierzawe włosy, niska postać w sztywnym mundurze...

Gniew. Zdjęcie szpitala przywiodło mu na myśl jedyny jasny punkt w tej ciemności, Margarethe.

Van Vuuren podszedł do drzwi i szofera. Blantyre, podwładny lokaj, siedział za nim w swych zwykłych spodniach i kurtce, ubrany jak w buszu. Wiedział, że van Vuuren należał do jego przeszłości, kiedy to przedzierał się przez gąszcz praw apartheidu, zakazów małżeństw i Group Areas Act, oskarżeń o gwałt, obrazę i napaść wnoszonych przez białych przeciwko czarnym. Zaciśnął pięści. Prawie miał tego faceta, prawie wiedział... potem znów wszystko zniknęło, tak bardzo chciał zostawić to życie za sobą, wyrzucić z pamięci. Biura, pracownicy i wiadomości. Wielu ludzi, których poznał po przyjeździe do Johannesburga w biurze prawniczym.

Zamknął czasopismo gwałtownym ruchem ręki. Van Vuuren i Blantyre wsiadali do długiego, ciemnego mercedesa z przyciemnionymi szybami.

AVIS – napis na wozie jak znak rozpoznawczy AVIS. Wypożyczalnia samochodów. Minuta, dwie. Pośpieszył do drzwi i zobaczył mercedesa zmierzającego w stronę głównej drogi do Walvis Bay. Stado pelikanów złościło się w świetle wczesnego popołudnia. Jeśli się pośpieszy, może ich dogonić i dowiedzieć się, dokąd zmierzali.

Poczuł się zaskoczony i ożywiony, gdy podchodził do stoiska firmy AVIS, ale nawet nie miał czasu, aby zdać sobie z tego sprawę.

– No więc, co o tym myślisz? Znów w grze i to w starej grze, chłopie! – wezwanie Hyde'a było dziwnie radosne i prawie przyjęte z wdzięcznością. – Tam jest Novak i jeszcze, obok niego, pułkownik z STB, dwóch kapitanów i paru przedstawicieli związku. Jezus! Ty znasz te nazwiska tak dobrze jak ja.

Aubrey zacisnęła usta i wysunął dolną wargę, zdając sobie sprawę, że to obluźowało mu protezę. Lista była dla nich prowokująca, ponieważ tak dobrze znali te nazwiska. Hyde pochylił się podekscytowany nad arkuszem, stukając ołówkiem w każde nazwisko po kolei. Wszyscy byli pracownikami trzech czechosłowackich firm, wcześniej państwowych, a teraz działających jako firmy powiązane wspólnym kapitałem z dwoma zachodnimi zrzeszeniami – Malan-Labuschagne Consolidated z Republiki Południowej Afryki oraz Dumas Electroniques z Paryża. Obydwie te firmy inwestowały ogromne sumy, usprawniały zarządzanie, poprawiały wydajność, modernizowały, tak jak setki zachodnich firm robiło z tysiącami przestarzałych zakładów na Wschodzie. Z wyjątkiem...

MLC i Dumas przypuszczalnie albo zachęcały, albo przynajmniej pozwalały byłemu personelowi wywiadu czeskiego pracować u siebie, a nawet kontrolować firmy, o których mowa. Novak, brutalny, ale sprytny, był ekspertem w dziedzinie wywiadu przemysłowego i niegdyś, o ironio, zastępcą przedstawiciela dyplomatycznego w londyńskiej ambasadzie. Novak zniknął, prawdopodobnie w Rosji w jakiejś bezpiecznej kryjówce KGB zaraz po tym, jak Havel i Dubczek stali razem na balkonie w pałacu na Hradczanach w 1989 roku. Teraz wrócił. Oczyszczony, obdarzony zaufaniem, znowu potężny – Antoni Novak.

Aubrey podniósł głowę. Regent's Park złocił się w świetle późnego popołudniowego słońca za firankami. Obecność Novaka jako dyrektora zarządzającego jedną z firm i zastępcy dyrektora w innej, którą zlokalizował Hyde, nie była przypadkowa. To była zaplanowana akcja wrogich sił.

– Liczyliśmy się z czymś takim w Rumunii, czy też w Bułgarii, ale nie w Pradze czy Pilźnie.

– Chryste, sir, jak pan sądzi, gdzie ci wszyscy ludzie poszli, kiedy Havel przyprowadził swój skuter i Franka Zappę na Hradczany? Wywiad i służba bezpieczeństwa były tam ich jedynym rozwijającym się przemysłem – największy czeski pracodawca! Jeżeli zostaliby wyrzuceni z pracy, to byłoby jak

zamknięcie w Anglii British Petrolina lub Imperial Chemical Industries. Wiedzieli, gdzie pochowane są wszystkie ciała; jak można było się ich pozbyć, chyba że zgodziliby się na dalsze ciche życie? Ale Novak tego nie zrobił, to oczywiste – Hyde przechadzał się po pokoju machając rękami nad głową. – Jeśli popatrzyście na Polskę, Węgry, gdziekolwiek, załóżę się, że zobaczycie to samo. Policyjna ekonomia po policyjnym państwie!

– Zgadza się – praca dla chłopców nie wyjaśnia jednak tego w pełni, prawda? – uśmiechnął się. Palce mu drżały i miał zaburzenia żołądkowe. Coś go ścisnęło w piersiach, ale już nie patrzył na te oznaki jak na sygnały zbliżającej się śmierci.

– Cholera, interesy jak zawsze – stwierdził zadowolony Godwin z uśmiechem człowieka całkowicie i ostatecznie umotywowanego. – Chociaż teraz prowadzą prawdziwe interesy.

– Nie mamy aiū czasu, ani środków na rozszerzenie naszego śledztwa, zrozumcie to, obydwaj – jego ręka wskazała na wypełniony papierem kosz, notatki, maszynę do pisania, którą podłączyli do laptopa Godwina jako drukarkę. – Znaleźliśmy wystarczające wskazówki, że określone osoby i organizacje są zaangażowane, w kooperacji ze znanymi pracownikami obcego wywiadu, w działalność wymierzoną przeciwko krajowi. Jesteśmy zobowiązani do obrony królestwa i to jest podstawą, od której powinniśmy wyjść – uśmiechnął się.

– Nie mamy już uprawnień do obrony pieprzonego królestwa – powiedział kwaśno Hyde.

– Ach tak. Będę musiał się spotkać z Geoffreyem Longmeadem i rozwiązać tę małą kwestię po naszej myśli.

– Jak?

– Ostrzegając go. Firma Dumas kupiła udziały w David Reid, a David Reid jest wielką nadzieją rządu. Geoffrey zaaprobował to, namaszczając Davida Reida jako ostatecznego sukcesora. Jeśli będzie on zamieszany w jakikolwiek skandal, zostanie to szczegółowo zbadane.

– Ma pan na myśli – wyciszono.

– Dokładnie, Patrick. Tak więc Geoffrey będzie chciał, abym przyglądał się temu, bardzo cicho, na wszelki wypadek. A ja będę potrzebował was dwóch. W rzeczywistości, to jest właśnie to, co wy próbowaliście robić przez cały czas wbrew wszelkim niechęciom i przeszkodom.

Hyde uśmiechał się kręcąc głową.

– Ty szczwany lisie – wymamrotał.

– Właśnie. Teraz, Tony, czym jest Dumas?

– Z jednej strony, czymś więcej niż firma holdingowa z Lichtensteinu i kilka małych fabryk produkujących sprzęt elektroniczny, nawet elektryczne otwieracze do konserw i szczoteczki do zębów. Z drugiej strony kontroluje, współpracuje, wchodzi w joint ventures, ma udziały, kupiła kilkanaście firm, tam, tutaj i jeszcze w paru miejscach – potrząsnął swoją wielką głową. – Wątpię, czy uda nam się rozgryźć ten orzech w odpowiednim czasie, sir.

– Tak więc lepiej skoncentrujmy się na drugiej stronie medalu i na kanale, dobrze? Ludzie, którzy wysłali ten ładunek do Dumas to Reid Davies i zwłaszcza Mike Davies – strzelił palcami. – Jeszcze jedna sprawa: kiedy Novak wrócił z Moskwy, przywiózł prawdopodobnie aprobatę KGB, a nawet instrukcje. Zgadza się? – Godwin skinął głową. – Więc kontakty Malana z KGB są nawet bardziej oczywiste, niż myśleliśmy. Ci wszyscy ludzie są ze sobą powiązani – Malan i van Vuuren, Priabin, Novak, Dumas, MLC, Reid Group, świadomie lub nieświadomie – uśmiechnął się chytrze. – MLC i Dumas są bardzo narażone na kompromitację, mając ludzi takich jak Novak w zarządach firm, z którymi robią interesy, i którzy są nawet współwłaścicielami. Och, Geoffrey Longmead będzie zachwycony, gdy przyśpieszymy to naszym małym, cichym śledztwem! – westchnął z głęboką satysfakcją, a potem poczuł szczypanie w oczach. Oni zabili Chambersa – to była droga powrotu do nich.

Dało się słyszeć delikatne, a może nawet niechętne, pukanie do drzwi pokoju gościnnego.

– Słucham, pani Grey?

Poruszała się jak dziecko z zasłoniętymi oczami, próbując nie zwracać uwagi na bałagan w pokoju.

– Sir Kenneth – kiedy mnie nie było, hm, kupowałam rzeczy, o które pan poprosił – chodziło o piwo dla Hyde'a – czy ten pan od mycia okien był po pieniądze? Chciałabym to sobie zapisać. Był obok, gdy wychodziłam, i odjechał, kiedy wróciłam.

Hyde stanął obok niej. Wydawał się lekko poruszony.

– Ile czasu mu to zwykle zajmuje? Z tyłu i od frontu? – zapytał Hyde.

Aubrey zauważył napięcie i niepokój kryjące się pod na pozór spokojnymi słowami.

Pani Grey skinęła głową.

– Zawsze nalegam na umycie okien z przodu i z tyłu. Prawdopodobnie czterdzieści minut, co z przenoszeniem drabiny...

– Ile czasu zajęło pani znalezienie i kupienie mojego piwa, pani Grey? – jego oczy zabłyśły. Pani Grey wydawała się zakłopotana, jednak rozbrojona jego zachowaniem. Aubrey zaczął coś podejrzewać.

– Nie więcej niż dwadzieścia minut. Dlatego pytałam właśnie, czy...

Aubrey podniósł się, chcąc coś powiedzieć, ale Hyde zmusił go do milczenia.

– I w tym czasie wyszedł. Nie był w żadnym innym mieszkaniu. Jak dużo czasu mu to zajmuje?

– Jesteśmy zawsze ostatni w kolejce. Przyjeżdża raz na dwa tygodnie.

– Samochodem, czy rowerem?

Wydawała się przez chwilę zakłopotana, a potem skinęła głową.

– Małą ciężarówką.

– Proszę dobrze się zastanowić, pani Grey, nie, proszę na mnie spojrzeć. – Hyde przytrzymał ją delikatnie za ręce. – Czy widziała pani albo mijła ciężarówkę, kiedy pani stąd wyszła?

Kobieta zamyśliła się, zastanawiając się przez dłuższy czas. Potem rzekła z przekonaniem:

– Nie, nie widziałam. Jedynie drabiny i jego na samej górze. Pamiętam, jak życzyłam mu dobrego dnia, ale on często nie odpowiada.

Napięcie i podejrzliwość Aubreya znacznie wzrosły, ale Hyde wydawał się nieskończenie cierpliwy.

– Ale pani go rozpoznała?

– No cóż, tak, to on... nie przyglądałam się z bliska, oczywiście. Miał na sobie swoje zwykłe robocze ubranie. Prawdopodobnie ciężarówka była zaparkowana za rogiem.

– Dziękuję, pani Grey – wymamrotał Hyde. – To wszystko, moja droga – podszedł do okien i odsunął zasłony. Światło słoneczne z parku odbijało się na zakurzonych szybach. Pani Grey spojrzała na Aubreya, który uśmiechnął się uspokajająco i wskazał głową na drzwi. Wyszła z pokorną miną.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Aubrey zapytał:

– No więc? Coś się stało?

Hyde wskazał górny róg okna po lewej stronie. Potem podciągnął je do góry i wspiął się na parapet, balansując tam przez chwilę jak akrobata na linie. Przechylił się nad ulicą, a potem wszedł z powrotem do pokoju. Trzymał wyciągniętą dłoń, na której leżał mały, metalowy guzik. Skinął głową zdenerwowany, głośno oddychając. Godwin przysunął się do Aubreya i do niego. Hyde odwrócił się do otwartego okna i rzucił guzik w stronę parku.

– Podłuchuj jakiegoś żonatego faceta cudzołożącego tam po zmierzchu – wymamrotał.

– Czy to znaczy...

– Och, wszystko. To znaczy *wszystko*, co powiedzieliśmy. Ten pokój był na podsłuchu, od chwili kiedy tu weszliśmy. Oni wiedzą wszystko!

Miejsce to wyglądało jak skupisko dziecięcych domków rozrzuconych z zachowaniem resztki jakiegoś porządku na czerwonym piasku. Anderson obserwował fabrykę należącą do Malan-Labischagne Consolidated w Walvis Bay przez małą lornetkę, gustowną jak te używane na wyścigach. Van Vuuren został zabrany mercedesem do hotelu Mermaid w mieście, a potem, po pół godziny, do kompleksu fabrycznego, który usytuowany był nieciekawie za wysokim ogrodzeniem. Van Vuuren i Blantyre zniknęli w sześciopiętrowym budynku z brązowymi szybami, w którym znajdowały się pomieszczenia biurowe. Były tam także garaże, pompy paliwowe, baraki, pojedyncze budynki magazynowe i wielki parking, prawie całkiem zapełniony, prawdopodobnie samochodami pracowników. Zwykły teren jakiejś firmy gdziekolwiek na świecie i już nie całkiem nie na miejscu tutaj, na skraju Namibii. Stworzony ręką człowieka księżycowy krajobraz, martwy, nieprzyjazny, szary. Było tam też małe lądowisko z wieżą kontrolną i dwoma wielkimi hangarami.

Przyjrzał się ponownie temu miejscu. Pojawiło się kilka pierwszych postaci, kierując się na parking. Prawie piąta po południu. Niedługo liczba ludzi się zwiększyła i pierwsze samochody wyjechały z parkingu podnosząc kurz na zwirowej drodze w kierunku Walvis Bay. Morze stawało się powoli złote, a pelikany i inne ptaki były prawie czerwone lub czarne jak nakreślone węglem

znaki na tle wieczornego nieba. Lecące morskie ptaki, pelikany, i poruszający się z mniejszą gracją mały samolot, zbliżający się nad wąskim półwyspem przez lagunę od strony miasta, opuszczający się coraz niżej i połyskujący srebrzyście w blasku słońca. Z paszczy jednego z hangarów wyłonił się wóz strażacki. Anderson czekał, zadowolony ze swej samotnej obserwacji. Obok niego leżał aparat z zakrytym obiektywem. Nic się nie stało, a on był zadowolony, że jest znowu w akcji, wykonując nie narzucone mu przez nikogo zadanie.

Samolot, mały odrzutowiec transportowy, zbliżał się zagłuszając hałas samochodów. Wóz strażacki zajął pozycję blisko pasa startowego. Samolot zakręcił w pewnej odległości i zdawał się wahać, jakby balansując na' pochyłej linii zsuwał się w dół w kierunku wąskiego pasa. Potem opadł, najpierw lekko, następnie jakby przyspieszył, opuszczając całkowicie klapy, a proste linie skrzydeł zdawały się zginać przy hamowaniu. Dotknął ziemi i rozległ się ryk silników. Zmniejszył szybkość, skręcając delikatnie swój dziób w kierunku większego z dwóch hangarów. Wóz strażacki odjechał zawiedziony. Parking był prawie pusty, prawdopodobnie pozostali jedynie ludzie z ochrony oraz ci, którzy mieli rozładować samolot. Skrzydło samolotu zwrócone było w stronę słońca. ST. MICHEL, PARYŻ. Błysk emblematu, coś w rodzaju uskrzydłonego konia. Paryż. Zwolnił posłusznie przy paszczy hangaru, gdzie zebrali się wszyscy mężczyźni i pojawił się pierwszy wózek widłowy, pomalowany na jasnożółty i niebieski kolor ze znakami MLC.

Van Vuuren z Blantyre'em wysiadający z odkrytego 4WD. Drzwi ładowni samolotu zostały otwarte od wewnątrz i opuszczono schodki. Blantyre wszedł za van Vuurem do ładowni. Wieczorne niebo stawało się intensywniej zabarwione purpurą połyskującą na wschodnim horyzoncie.

Zdjęcia? Ale czego miały dowieść? Niczego w tej chwili. Pogoń za zyskiem, handel. Zdjął rękę z obrotu obiektywu i oddalił od siebie myśl, że to była strata czasu, uchylanie się od zemsty i rozdrapywanie ran. W czarnym wejściu pojawił się Blantyre, a potem van Vuuren. Anderson nadal nie mógł sobie przypomnieć niczego na temat tego drugiego mężczyzny... jakieś zawodowe kontakty. Ale zaraz, jacyś jego partnerzy przygotowywali bilans strat i kontrakt dla firm MLC. On był uznany za liberała, bronił czarnych kobiet i mężczyzn. Wygrał jedynie raz, niszcząc psychiczną równowagę bronionego,

choć doprowadził do zdegradowania porucznika policji do kaprała na okres dwóch miesięcy. Gwałt.

Blantyre dał znak, aby ruszyły wózki widłowe. W drzwiach pojawiła się skrzynia. Anderson przyłożył małą lornetkę do oczu, starając się przeczytać wypisane na paczce nazwy. Nagle wyobraźnia podsunęła mu przed oczy obraz rozbitego DC-3 i jego ładunku, co go zaalarmowało jak piasek z wydmy uderzający o jego koszulę i odsłoniętą szyję, unoszony przez mały, zimny wiatr od morza. Cień wydmy wysunął się do przodu za linię brzegową. Wózek widłowy obrócił się do światła. Spróbował odczytać litery. Słabo widoczne z tej odległości.

R...L, dalej jakby LIMITED. R...E...I... drugim słowem nie było GROUP, kończy się na S, pomyślał, mrugając oczami z wysiłku. Czy to mogło być REID? Litery D i S, pierwsza i ostatnia... REID DA VIES? BIRM... INGHAM? Wózek widłowy wjechał do hangaru, a potem drugi pełen pudeł oderwał się od samolotu. Nie do odczytania. Prawdopodobnie pudła tej wielkości zawierają telewizory lub coś w tym rodzaju...

Odłożył lornetkę na piasek, wziął aparat fotograficzny odsłaniając obiektyw i zaczął ustawiać ostrość. Wózek widłowy – głupi, że nie pomyślał o tym wcześniej – widać było lepiej niż przez lornetkę. Odbiorniki telewizyjne. REID DAVIES LTD., BIRMINGHAM. I coś tam mniejszymi literami na każdym pudełku. Wydawało się, że nie dzieliła go przestrzeń od samolotu czy ludzi. Nie chciał kierować teleobiektywu na Blantyre'a. Van Vuuren był nadal kimś obcym, oddalonym jak na zdjęciu w gazecie. Pozostałe twarze były anonimowe. Na pace zasłaniającej całe drzwi dostrzegł napis CZĘŚĆ REID ELECTRONICS GROUP. Usłyszał szczęknięcie aparatu i automatyczne przewijanie filmu, jak gdyby ktoś zwolnił przycisk. Znowu pstryknął. Ta skrzynia wystarczy, zdecydował, gdy wiatr na jego szyi i koszuli podrażnił nerwy, jakby ujawniając jego odosobnienie. REID DAVIES było widoczne na odbiornikach telewizyjnych, ale nie sfotografował tego. Mógł teraz rozróżnić na skrzyni obie nazwy z Reid Group. Mały, błyszczący samolot to był DC-3, kolejna szansa...

– Co tu robisz, człowieku? – głos za nim zaskoczył go. Nie słyszał, żeby ktoś podjeżdżał czy podchodził od strony wydmy.

– Hej człowieku, zadałem ci pytanie. Co tutaj robisz?

– Rozpoznałem tę cholerną kobietę! – krzyknął Hyde. – Dwóch mężczyzn w ciężarówce, w innej, nie w tej faceta myjącego okna, i ona w golfie GTI. Prysnęła jak szczur do kanału, gdy mnie zobaczyła – opadł na fotel, pocierając twarz i przeczesał swoje włosy palcami. – Och, kutasy! Wyglądamy jak cholerni frajerzy!

– Zgadzam się, że... powinniśmy być ostrożniejsi – wymamrotał Aubrey. – Ale nie mogliśmy przewidzieć, że oni...

– Obserwowali nas przez cały czas.

– Powiedziałem panu, że nie dadzą nam spokoju, sir – powiedział Godwin ze skrucą.

– Więc co proponujesz? – zapytał Aubrey. – Jeśli w ogóle możemy coś z tym zrobić. Ja proponuję, żebyśmy działali dalej, teraz mamy do pewnego stopnia gwarancję prywatności. Masz jakąś propozycję, Patrick?

Hyde jedynie spojrział na niego i potrząsnął głową. W pokoju panował mrok, gdyż zapadł wczesny zmierzch.

– Dobrze. Będziemy więc musieli działać szybko – zauważył Aubrey. – Musimy wejść w ten interes, włamać się na tym małym odcinku, którym dysponujemy: od Reid Davies do Dumas i do... – pomyślał o Andersonie. Nie poradzą sobie z tym, dopóki nie porozmawia z Richardem. Czy on jednak nadal żył? – Tony, ten materiał z podsłuchu biur Reid Group?

– Tak, sir?

– Co mówiłeś na temat tej wystawy VIATE w Wenecji? – strzelił niecierpliwie palcami.

– Wspaniały kamuflaż, jak sądzę, sir. Czy też może najlepsza okazja?

– Właśnie. Jedno i drugie. Weźcie listę wystawców i prześledźcie ich wzajemne powiązania. Jeżeli ma się wydarzyć coś dużego, a morderstwo Chambera oraz próba zabicia Patricka mogłyby to potwierdzić – to wielkość dostaw proporcjonalnie wzrośnie. A na VIATE liczy się tylko najbardziej rozwinięta technologia, a nie kuchnie mikrofalowe. Gdybym był Malanem albo kimś z KGB, bardzo bym chciał wsadzić swe łapy we wszystko, co będzie wystawiane na Venice International Advanced Technology Exposition. A wy nie?

Rozdział ósmy

DRABINA DO WSZYSTKICH PROJEKTÓW ZAAWANSOWANEJ TECHNOLOGII

Był męcząco zły. Nie, zdecydował z wielkim wysiłkiem, był zmęczony i zły. Długi wieczór przechodzący w noc zmęczył go zalewem informacji, nieustannymi dociekaniem i niepewnością. Gdy wreszcie uwolnił się od Hyde'a i Godwina, była prawie pierwsza w nocy. Pani Grey przyszła ze swego pokoju w szlafroku, aby sprawdzić jak się czuje, ale pozbył się jej i poszedł do łóżka wyczerpany i wypalony jak papieros. Większość nocy przeleżał w półśnie, który, jak się wydawało, dostarczał mu na starość chwil największej jasności umysłu. Nieświadomy upływu czasu, wszedł na chwiejnych nogach do salonu, kiedy w parku widać już było jasny poranek. Zatrzymał się, aby otworzyć okno, chcąc wywietrzyć zapach tanich cygar Godwina, palonych przez niego w zdenerwowaniu, i papierosów Hyde'a, a potem podniósł słuchawkę natarcywie dzwoniącego telefonu. Wtargnięcie niewychowanych barbarzyńców poprzedniego dnia wyraźnie wyzwoliło u pani Grey pragnienie snu.

– Tak? – krzyknął. – Tak, mówi Kenneth Aubrey... Richard, to naprawdę ty? – wydawało się, że był blisko, na jednej z tych międzykontynentalnych linii.

– Kenneth, dostałeś moją przesyłkę?

– Richard, próbowałem się z tobą skontaktować...

– Nieważne, muszę się ciągle przemieszczać – powiedział, a potem wymienili pośpieszne uwagi, starając się wyrazić budzące się myśli. – Dostałeś paczkę, Kenneth? Widzisz w tym jakiś sens?

– Richard, twoja żona... – nie mógł się powstrzymać Aubrey.

– To facet o nazwisku Blantyre. W tej chwili nieistotne. Czy rozumiesz, co jest w tej paczce? Nie jestem pewien, czy ja rozumiem, oprócz tego, że nic z tych rzeczy nie powinno...

– To było jedno z naszych zmartwień, Richard, jedno z naszych zmartwień. Opuściłeś szpital, zniknąłeś. Gdzie jesteś?

– W Swakopmund, w pensjonacie. Tani, poza sezonem. Jestem w enklawie. Oni wciąż przywożą tutaj brytyjskie towary, Kenneth, mam zdjęcia. Ta sama firma. Reid. Wiem, kim on jest, ale nie wiem, dlaczego są w to zaangażowani Rosjanie. Oni zabili moją żonę. Czy ty wiesz, o co chodzi? – powiedział ze złością i uszczypliwością.

Przy drzwiach pojawiła się pani Grey, ale gestem dał jej do zrozumienia, żeby wyszła z pokoju.

– Richard, nie jestem całkiem pewien. Wyłania się z tego jakiś wzór, któremu twoje informacje przydały wiele jasności. Ale dlaczego jesteś w Swakopmund? W miejscowości lotniskowej?

– Widziałem kolejny przylot, kolejną dostawę, Kenneth. Ci sami ludzie, przynajmniej dostawca. Fabryka MLC w Walvis Bay przyjęła dostawę poprzedniej nocy – przywiózł ją samolot z Paryża. Mam mały kontakt, nieduży.

Aubrey zdał sobie sprawę, że on i Anderson używali starego żargonu tak precyzyjnie, że słowa były jak sygnały rozpoznawcze pomiędzy członkami jakiejś kliki.

– Który dostawca?

– Jakaś firma o nazwie Reid Davies.

Musiała to być część wysyłki, która opuściła Birmingham i leciała do Dumas. To ją Hyde i Godwin próbowali bez powodzenia zatrzymać i była ona powodem śmierci Chambersa. Jego oddech był nierówny, ale potem, prawie automatycznie, Aubrey wrócił w rozmowie do zrozumiałej tylko dla nich szarady, która była łatwiejsza i wygodniejsza dla nich obydwu.

– Jaki kontakt?

– Patrol. Byłem śledzony. Przekonałem ich, że to ornitologiczne obserwacje. *Nienawidzę* łatwości, z jaką to działa, Kenneth, i mojej nowej bezsilności!

– Rozumiem, Richard. Reid Davies... tak, znamy ich. Mamy także tutaj kontakty.

– A więc to prawda, to znaczy, mam na myśli, że nie jest to tylko lokalne. To jest na wielką skalę i bardzo ważne.

– Na to wygląda, Richard – usiadł, czując jakąś dziwną wdzięczność, zwrócony twarzą w stronę okna. Ożywiony, ale nie zmęczony. Zakręciło mu

się w głowie z tego ożywienia i sprzecznych myśli. Richard żyje, ma jakieś dowody i prawdopodobnie jest w niebezpieczeństwie.

– A ten człowiek, Blantyre? – zapytał.

– Tak? – odpowiedział ostrożnie pytaniem Anderson.

– Jak... bardzo ci on zagraża? Jako agentowi, który jest na miejscu w terenie – dodał i mimo woli na jego starych, suchych wargach pojawił się uśmiech. – Dobrze się czujesz, Richard? – zapytał, kiedy tamten nie odpowiadał.

– Och tak, okay, Kenneth, po prostu okay. Tak długo jak nie wpadłem na nic ważnego. Nie miałem czasu ani energii.

– Nie, ja tak nie uważam, Richard. Naprawdę, jestem daleki od tego. Co się stało? – zapytał i po krótkiej relacji Andersona powiedział z troską:

– Ten człowiek, van Vuuren. Dla nas tutaj wydaje się bardzo ważny. Ale nie możesz sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach..

– Nie. Wiem, kim jest teraz, ale nie kim był. Przepraszam. Nie sądzę, aby to było dla mnie ważne. Ja chcę Blantyre'a, ale to wszystko wydaje się bardziej skomplikowane. Będę z tobą pracował, Kenneth, teraz kiedy tak głupio obudziłem czujność strażnika. Powiedz mi, o co chodzi. Dlaczego taka tajemnica z tymi wysyłkami? Kto kogo okrada?

– Z tego, co wiemy dotychczas, Richard, razem z MLC są w to zaangażowani Rosjanie. Sam Malan, ten drugi mężczyzna van Vuuren, Blantyre oczywiście... – zawahał się wyczuwając bezsilny gniew na drugim końcu linii. – To jest wysoko rozwinięta technika, jak słusznie podejrzewałeś. Jesteśmy jeszcze na obrzeżach tej sprawy, Richard, ale ja chcę dostać Malana! – jego złość wydawała się jakby echem bezgłośnego krzyku Andersona. Pomyślał o Kathryn, swojej nieżyjącej bratanicy.

– Dlaczego? – zapytał Anderson bez ogródek.

– Ja, tak samo jak ty, straciłem kogoś. Blantyre nie był z tym związany, ale Malan był.

– Dobrze. Co chcesz, żebym zrobił?

– Czy wrócisz do mnie, Richard? Bądź moim agentem w terenie! Śledź ich nadal, odkryj, co się da, i składaj mi regularnie raporty. Nie rzucaj im się w oczy przez jakiś czas. Jedynie obserwacja, przyloty i odloty, towary i osoby. Zrobisz to?

Nastąpiła długa cisza. Potem usłyszał:

– Przez jakiś czas, może przez parę dni, tak – zawahał się, a potem dodał:
– Będę intensywnie myślał o van Vuuren, może coś sobie jeszcze przypominę.

– On jest ważny, Richard, bardzo. To by ogromnie pomogło.

– No więc spróbuję – odpowiedział ponuro Anderson.

– Czy czego potrzebujesz, może pieniędzy, Richard?

– Mogę kupić, czego potrzebuję. Zorganizuję sobie wszystko sam, Kenneth. Zadzwoń dziś wieczorem. O siódmej waszego czasu – potem znów się zawahał i dodał z furją: – Chcę ich dostać, Kenneth. Nie dam się odstawić na boczny tor, żeby to wszystko się rozmyło i rozłożyło w czasie. Chcę... – mówił zdławionym głosem – ...ich ciał, Kenneth. Przynajmniej jednego. Rozumiesz to. A jeżeli nie będę mógł tego zrobić, to przyslij kogoś, kto zrobi to dla mnie. Zgadzasz się, Kenneth?

Aubrey wymamrotał z trudem:

– Tak, Richard. To twoje honorarium. Rozumiem.

– A więc biorę się do roboty. Dziś wieczorem.

Połączenie zostało natychmiast przerwane. Aubrey zadrżał, sięgnął po papierosa i zapalił go trzęsącą się ręką. Po zawarciu tego przymierza i postanowieniu, że ma być zabity człowiek, przeszłość wtargnęła zbyt natarczywie. Wszedł na dywan, wydał dolną wargę nie czując przyjemności z palenia. Prawdopodobnie nie był przygotowany na tak brutalnie szybki powrót do tych okropnych czasów.

Zgasił papierosa i wrócił do okna, wkładając ręce do kieszeni. Myślał o Priabinie i o podsłuchu w mieszkaniu – jego mieszkaniu – i był pewien, że oni wiedzieli wszystko, tak samo jak Babbington. Potem zdał sobie sprawę, że ich wiedza może przyspieszyć akcję. Pstryknął niecierpliwie palcami, zbierając myśli. Na stare lata pomysły nie przychodziły tak szybko, ponurzy słudzy w najlepszych momentach, ale teraz, kiedy ich najbardziej potrzebował...

Anderson miał MLC i van Vuurena pod obserwacją. Hyde i Godwin muszą dostać się do Reid Davies dzisiaj, a najpóźniej jutro. A co on i Godwin powiedzieli na temat Wenecji – wszystkie kanały wiodą do Wenecji? VIATE – Venice International Advanced Technology Exposition. *Oni wszyscy tam będą. Byłoby to jak kradzież zbiorów z M & S, z Marble Arch w letnią sobotę, jeżeli Priabin i Babbington mogliby dobrać się do tego, co tam będzie.*

Co to za kanał, co za *zgromadzenie* myślał Aubrey. Wszystkie te firmy, kooperanci i dostawcy z Reid, MLC i Dumas, płynące towary na to spotkanie wielu wód. Och, naprawdę, cóż za kradzione drobiazgi w tej kasie rejestrującej!

Strzelił palcami z zadowoleniem. Powinien spotkać się z Mike'em Davie-sem. Pomysł zaczął błyszczeć jak złoto. Weneckie złoto.

– Pomyśl o konsekwencjach, zanim zaalarmujesz Babbingtona. Pomyśl o nim – westchnął. – Aubrey jest najbardziej sprytnym i czujnym starym człowiekiem. Wsadź go do jednego z tych prywatnych domów wypoczynkowych, a będzie nim zarządzał i osiągnie większe dochody w ciągu miesiąca. Ponieważ człowiek na ulicy, który jest agentem w jakiś sposób się wyróżnia i zabija bez skrupułów, nie myśl, że Aubrey, czy nawet Hyde, działają w tej sprawie po prostu instynktownie lub ze starych nawyków. Obudziliśmy ludzi, którzy wcale nie chcieli spać, a teraz wiedzą, że my też nie spaliśmy!

– Generale! – zauważyła ponuro. – Oni mają gotowy plan dojścia do Reid Davies, no i jest jeszcze ta sprawa z VIATE!

Priabin podrapał się w podbródek.

– Nie mogę zaalarmować ponownie SIS w żaden sposób. Nawet oni mogliby pomyśleć, że coś jest nie w porządku. Musimy polegać na Mortimerze. Nie ma innego sposobu.

– Ja mu nie ufam!

– Dlaczego? Ze względu na to, że go nie znasz, czy dlatego, że nie jest odany idei, a jedynie wyrachowany? – odpowiedział, rozkładając ręce z pogardą. – Większość z nich, nawet my, nie wierzy w jakąkolwiek ideologię. Mortimer jest niezawodny. Gdyby tak nie było, jego życie byłoby zrujnowane. On o tym wie. A poza tym Aubrey go nie podejrzewa. Dlatego też leci dziś do Londynu. Ja go poinstruję – jej niedowierzające spojrzenie ubodło go, więc wrzasnął: – Posłuchaj mnie, Walentyño! Zrozum mnie dobrze, młoda kobieto. Babbington stawia wszystko na VIATE, narażając na ryzyko całe przedsięwzięcie, kiedy nie jest to rzeczywiście konieczne. Jeżeli Aubrey zwinie jutro całe Reid Group, to wrócimy do Zjednoczonego Królestwa i interesu w ciągu dwunastu miesięcy za pośrednictwem Dumas. Generał Babbington naraża na niebezpieczeństwo

wszystkie europejskie operacje dla mistrzowskiego posunięcia, jednego aktu odwagi. Pamiętaj o tym, jeżeli kusi cię, żeby wysłać bez upoważnienia jakiś sygnał do moskiewskiej centrali z napisem „Tylko do rąk własnych Babbingtona”. A więc teraz, rozumiesz mnie, Walentyno? – walnął pięścią w biurko, nie tylko dlatego, żeby wywołać pusty efekt. Dziewczyna drgnęła w fotelu.

W końcu skinęła głową.

– Dobrze – odpowiedział. – VIATE jest zbyt łakomym kąskiem. To jak ograbianie sklepu jubilerskiego. Zaślepiło Babbingtona. Nie będzie już słuchał żadnych argumentów, przynajmniej na ten temat – rozłożył dłonie na biurku. – Proszę, zrozum to, Walentyno. Babbington jest dogmatykiem, nawet fanatykiem, jak sam Aubrey. Niezależnie od wielkości i ważności sprawy, będą walczyć na śmierć i życie. To jest ich wspólna przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Czasami myślę, że tak naprawdę nie istnieje dla nich nic poza perspektywą pokonania siebie nawzajem – uśmiechnął się. – Tymczasem nasza firma, Dumas Electroniques, zbiera się na spotkaniu, które zarządził Babbington. Musimy utrzymać nos Aubreya i pięści oraz buty Hyde'a z dala od kawioru przez tydzień. Skoncentrujemy się na tym, dobrze?

Mgła leżała wokół wydmy, przejmująco zimna, kłębiąca się jak wielkie, powoli się przemieszczające smugi dymu, prawie zasłaniając kompleks budynków fabryki MLC. Dla Andersona, siedzącego na szczycie wydmy, było to jak przebywanie w małej łodzi. Za godzinę mgła podniesie się, odkrywając budynki i wydmy. Słyszał odgłosy silników pojazdów, wysuwanie się wózków widłowych, charczenie ciężarówek. Od czasu do czasu słyszał w wyobraźni jakieś nawoływania. Nie było innej zasłony poza wydumą, żadnego lepszego miejsca, pomimo ryzyka, że mogli go zauważyć. Znowu.

Z dochodzących do niego odgłosów mógł wywnioskować, że dostawa miała być wysłana samochodami, prawdopodobnie na południe do Republiki. Spojrzał w dół na złożoną mapę w plastikowej kopercie, a potem roztarł wolną ręką swoje gołe ramię; było za zimno, nie ubrał się odpowiednio. Nie spodziewał się mgły.

Pojadą zakurzoną ubitą drogą na wschód, potem wjadą na asfaltową szosę na południe do granicy i w końcu do Cape Town. Przypuszczał, że to musi być

wysyłka towaru z Reid Davies, który francuski samolot transportowy przywiózł poprzedniego dnia. Jednak równie dobrze mogło to być coś zupełnie innego. Cokolwiek to było, czekała ich długa droga. Może to właśnie pociągało Bura, van Vuurena, do tego podróżowania przez cały kraj. Potrząsnął głową. Nie było samolotu transportowego w żadnym z hangarów. Jeden z nich zagiął, pomyślał. Głosy dobiegające od czasu do czasu z mgły, nawet męskie, przypominały mu w upiorny sposób jej głos. Zadrzał.

Mgła, drgająca raczej niż poruszająca się z wielką, majestatyczną obojętnością znad oceanu, przesuwiała się szybciej, gdy stawała się rzadsza i ocieplała się. Wydmy na południu przenikały przez nią, teraz w promieniach słońca przybierając kolor ochry. Głosy zamilkły tak samo jak mechaniczne odgłosy i warkot silników. Za siatką, która wyłoniła się z mgły, cztery przygotowane ciężarówki nabrały wyrazistości, razem z żółtymi, obsługującymi je wózkami widłowymi. Podniósł silniejszą lornetkę, kupioną przez siebie, i spojrzał na nie. O ile mógł dostrzec przez szarość opadającej mgły, skrzynie miały oznaczenia REID DAVIES. Poczul ucisk w klatce piersiowej i zszedł niżej ze szczytu wydmy. Położył się na brzuchu. Jakaś jaszczurka ześlizgnęła się z niego, wywołując małą lawinę wilgotnego piasku. Podniósł głowę i spojrzał przez lornetkę. Drzwi ciężarówek zostały zatrzasknięte przez kierowców. Każdy z wozów miał znak firmowy MLC. Obejrzał dokładnie całą scenę, ale pomiędzy rozchodzącymi się mężczyznami nie było śladu Blantyre'a. Samochody wyjeżdżały z parkingu, a ich chromowane części połyskiwały w promieniach słońca. Ciężkie pojazdy wykręciły i bramy kompleksu otworzyły się z hałasem. Pierwsza z wielkich ciężarówek marki Volvo przetoczyła się przez nie.

Spojrzał do tyłu na wynajęty 4WD. Powinien za nimi pojechać, aby upewnić się co do trasy na południe lub być może na wschód do Republiki Południowej Afryki. Do Cape Town było przynajmniej tysiąc sześćset kilometrów, a do Johannesburga ponad dwa tysiące. MLC miało wiele urzędzeń do produkcji i dystrybucji, oraz R & D, w obydwu miastach. Jak długo im to zajmie? Było dwóch kierowców w każdej ciężarówce. Zobaczył to, kiedy druga ciężarówka wytaczała się przez bramę, wjeżdżała na zakurzoną drogę i skręcała na wschód. Kurz unosił się, żółty i gęstszy niż resztki mgły. Jeżeli będą jechać bez postoju, nie zdoła ich śledzić do końca. Nie mógłby się zatrzymać, żeby wziąć

jedzenie, wodę i inne rzeczy potrzebne na dwa dni. Nie miał żadnego wyposażenia. Trzecia, a potem ostatnia ciężarówka przejechała przez bramę, która została za nimi zamknięta. Kolumna kurzu unosiła się nad drogą, przesuwając się na wschód, w kierunku punktu kontroli na granicy enklawy Walvis Bay. Anderson poczuł się zawiedziony. Niechętnie podniósł lornetkę i obejrzał kompleks. Z budynku biurowego wyszedł van Vuuren z szoferem niosącym jego teczkę. Towarzyszyło mu dwóch innych mężczyzn, którzy wyglądali na jego podwładnych – skulone ramiona, entuzjastyczne uśmiechy, machające ręce. Van Vuuren, niski i krępy, w dobrze skrojonym jasnym płaszczu, nie zwracał uwagi na ich unizoność. Wsiadł do czekającej limuzyny marki Mercedes.

Anderson spojrzął w kierunku oddalającej się kolumny kurzu, do której powinien dołączyć. Odwrócił się gwałtownie od konwoju, chcąc się pozbyć denerwującego uczucia zawodu, znowu patrząc na mercedesa. Van Vuuren – kim był w jego przeszłości?

Mercedes zmierzał w kierunku bramy, dwóch mężczyzn obserwowało go, a jeden z nich podniósł rękę do góry. Brama została otwarta.

Zsunął się z wydmy w kierunku swego 4WD, zanim się zastanowił, w jakim celu to robił. Mapę włożył za koszulę, a lornetkę trzymał w ręku. Słyszał mercedesa, który skręcił w kierunku Walvis Bay, pomrukując na zakurzonej drodze. Wyłonił się zza wydmy, schodząc w dół i wznecając tuman kurzu. Słońce paliło, sprawiając, że widoczne z daleka betonowe budynki lśniły jak śródziemnomorska wioska i połyskiwały szklane hotele oraz biurowce. Włączył silnik 4WD, wyjechał z cienia wydmy na drogę, trzymając się w pewnej odległości od limuzyny. To *coś* dopiekało mu jak rana na ciele, jak cierń pod skórą. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć! Zamknął już tak dokładnie swoją przeszłość, że było to jak próba ponownego osiedlenia się w domu w zatopionej wiosce, która stała się nowym zbiornikiem wodnym, kilka lat po tym wydarzeniu. Ale to jest tam, powiedział sobie, coś na temat van Vuurena, coś o tym, kim jest, kim był, coś co zrobił, jakieś powiązanie z tą cholerną praktyką prawniczą, która zmarnowała tak wiele lat jego życia!

Pojawiły się przedmieścia, jego myśli doprowadzały go do szału jak komary krążące wokół głowy. Odrapane bungalowy, kilka nędznych krzaków i klombów. Garaż, potem drewniane budynki przechodzące w betonowe i z cegły, a

także ze szkła, żwirowa droga stała się ulicą. Kino dla zmotoryzowanych, a potem stadion sportowy. Van Vuuren nie zmierzał na lotnisko. Może na stację kolejową? Może do biur MLC? Hotel?

Jechał za mercedesem przez Trzynastą ulicę, potem skręcił za nim w Siódmą. Dokuczała mu nieustanna, nieprzyjemna woń ryb z nadbrzeża, wpadająca przez otwarte okno 4WD. Limuzyna podjechała pod front hotelu i szofer otworzył van Vuurenowi tylne drzwi. Uzgodnienie czasu, a potem skinienie głowy kierowcy. Anderson zatrzymał się trzydzieści metrów za mercedesem przy parkometrze i obserwował van Vuurena wchodzącego do hotelu Mermaid. Wysiadł z samochodu i poszedł w kierunku przyciemnionych szyb w drzwiach foyer.

Drzwi rozsunęły się i znalazł się w pomieszczeniu z palmami, zielenią oraz klimatyzacją. Przeszedł go dreszcz z powodu spadku temperatury i zlokalizował van Vuurena prawie natychmiast, odbierającego klucze od pokoju w recepcji. Anderson usiadł na długiej, rzeźbionej ławce za miniaturowym ogródkiem skalnym z kwiatami i małymi krzewami. Van Vuuren znowu sprawdził godzinę. Anderson spojrzał na swój zegarek – dziewięta trzydzieści. Foyer odbijało echem kroki na wypolerowanej drewnianej posadzce. Kilku biznesmenów, a poza tym przeważnie personel. Potem narastający hałas odkurzacza gdzieś poza polem widzenia. Przez drzwi weszła wysoka kobieta i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Ciemnoskóra, ale nie czarna. Mieszana, jak kiedyś je wszystkie nazywano – zresztą nadal mówiono tak o nich prywatnie – lub kolorowa, jak Margarethe. Przełknął ślinę, jego gardło było ściśnięte i zakurzone. Kobieta rozejrzała się dookoła zdawkowym, profesjonalnym spojrzeniem. Za wcześniej na dziwki, ale przecież mógł się mylić. Czy przejmował już stereotypy i myślał, że nie mogłaby być dobrze ubrana i wypielęgnowana bez białych mężczyzn z wielkimi brzuchami i stojącymi penisami, w skarpetkach, a nawet spodniach wciąż zabawnie owiniętych wokół kostek? Czy ona nie może być po prostu bizneswoman?

Rozejrzała się dokoła i od razu podeszła do van Vuurena, który zamówił kawę i zaprosił ją gestem, aby usiadła. Kobieta uśmiechnęła się. Tak, profesjonalistka, uznał, patrząc okiem prawnika z przeszłości. Miał z nimi do czynienia, z ich nieszczęsnymi narzekaniami na białych mężczyzn, którzy je napałowali, odmawiali zapłaty, bili. Atrakcyjne czarne i kolorowe dziwki.

Kobieta przyjęła kawę, ale nie widział jej wyraźnie w mieszaninie innych obrazów. Twarz van Vuurena, kobieta, druga kobieta i jeszcze jedna kobieta – jej twarz w świetle wpadającym przez okno jego biura. Za jej trwale rozprostowanymi włosami była masa wysokich budynków Johannesburga, opadających cieniem na jej twarz. Wybrała specjalnie siedzenie, na którym mogła ukryć najlepiej, jak tylko się dało, zadrapania, spuchniętą wargę i podbite oko. Gwałt. Dziewczyna nie była dziwką. To miało znaczenie. Dlaczego? Twarz van Vuurena, światło odbijające się od jego okularów, gdy siedział... *siedział blisko okna w biurze Andersona*, patrząc od czasu do czasu na zewnątrz, jak gdyby był znudzony i czymś pochłonięty, za jego profilem te same budowle Johannesburga.

Kolorowa dziewczyna, jasna, bez wątpienia piękna pod siniakami, jak sobie wyobrażał... pracowała dla...

Pomieszane obrazy, jak wielokrotnie naświetlona ta sama klatka filmu. Van Vuuren, dziewczyna, znów ta dziewczyna, kelner, dziewczyna w Johannesburgu oskarżająca van Vuurena o zgwałcenie jej w... w... *jego biurze*, późnym popołudniem w piątek, gdy właśnie miała wyjść, aby złapać pociąg do jakiegoś tam miasta... prawnik van Vuurena uśmiechający się ironicznie, człowiek znany Andersonowi... twarze jego starszych kolegów, wszystkie groteskowo pochylające się w jego kierunku jak do obiektywu kamery... i...

...sprawa znika. Dziewczyna znika, widok jej wyleczonej twarzy po kilku tygodniach od napaści. Ginie gdzieś jako bezrobotna. Sprawa nigdy nie dotarła do sądu. Van Vuuren był w Broederbond, van Vuuren był ważny, był biały i bogaty. Poza tym lubił *domieszkę krwi murzyńskiej i co z tego? To nie zbrodnia, Richard* – i śmiech, kończący całą sprawę. Ale to *była* zbrodnia, czyż nie? W tamtych czasach byłyby nie przeciwko osobie, ale przeciwko prawu.

Van Vuuren skończył kawę i wytarł usta chusteczką wyjętą z kieszeni na klatce piersiowej. Od razu wstał. Ten mężczyzna wykpił się z oskarżenia o gwałt dziewczyny na sofie w swym biurze, a firma prawnicza Andersona pomagała w utrzymaniu sprawy w tajemnicy, ponieważ policja mogłaby chcieć, jedynie mogłaby, porozmawiać z van Vuurenem na temat naruszenia przez niego prawa moralności. Mimo że wywinął się z oskarżenia, mogło go to zrujnować w Broederbond. Od tego czasu firmę prawniczą zanglicyzowano. Van

Vuuren zdecydował się na zdyskredytowanie dziewczyny, przekupienie jej lub cokolwiek innego, co zdarzyło się, gdy jego starszy kolega przejął sprawę z rąk Andersona. Gdyby to wyszło na jaw, społeczność afrykanerska nigdy by go nie osądzała; ukaraliby go jedynie ostracyzmem.

Mdliło go teraz z powodu przypominanej sobie i teraz silniej odczuwanej winy. Był zły, gdy dziewczyna wstała, wsunęła torebkę pod ramię i poszła za van Vuurenem do windy. Anderson potrząsnął głową, wizje opuściły go i rozwiały się. Potarł swe gorące, zakurzone czoło i przycisnął palce do skroni. Van Vuuren zgwałcił, miał stosunek z czarną kobietą. Mogło to oznaczać społeczną i być może nawet zawodową banicję. Malan – a przynajmniej ten młodszy, syn – nie zaaprobowałby tego i nie popierałby go dalej. Jego żona zostałaby zmuszona do rozwodu, a sprawa wyszłaby na światło dzienne jak chwast. Dziewczyna musiała być uciszona, a sprawa znikła jak wąski strumień w okresie suszy. Dziewczyna miała odwagę przychodząc do prawnika – i jednocześnie była głupia. On był winny przekazując ją starszemu koledze i pozwalając mu na zamknięcie sprawy.

Van Vuuren i dziwka weszli do windy.

Anderson usiadł wygodnie z uczuciem ulgi, że sobie przypomniał, i uznając, że tuman kurzu spod mercedesa był czymś realnym, a ten spod ciężarówek Volvo niczym więcej niż iluzją. Odetchnął głęboko.

Niezbyt wyraźnie, w kolejnym nagłym przypiływie wizji i strzępków myśli, widział twarz Mandeli, prezydenta de Villiersa oraz innych liderów ANC. Zbrodnia van Vuurena zniknęła.

Nie! Jedynie jego *niemoralność* zniknęła. Teraz jego *zbrodnia* stała się rzeczywista. Gwałt na kolorowej dziewczynie, mimo że dawno temu, dokonany przez prominentnego białego biznesmena z Republiki Południowej Afryki, był bardziej niż kiedykolwiek nie do zaakceptowania, skandaliczny. Anderson zacisnął swą dłoń w pięść. To mogło załatwić van Vuurena.

– Nie, Tony. To moja decyzja i jest ona nieodwołalna. Ja nie proszę o oficjalne pełnomocnictwo czy też wsparcie finansowe, żeby zbadać Reid Davies od góry do dołu. Nie w tej chwili. To mogłoby przestraszyć zbyt wiele osób i

spowodować ich ucieczkę. Jakikolwiek frontalny atak, jakiegokolwiek bezpośrednie zbliżenie – prawdopodobnie nie przyniesie sukcesu. Geoffrey Longmedad zgodził się – ze zwykłego strachu – na wasze czasowe przywrócenie, na waszą pracę ze mną i dla mnie. To oznacza większą opiekę nad naszą grupą. Prowadzimy sprawę, ale dysponujemy niewielkim kapitałem i niech go żaden z was nie zmarnuje. A przy okazji, czy któryś z was był po drodze śledzony?

Aubrey przeszedł ostrożnie przez odrysowaną sylwetkę człowieka, wciąż widoczną na wzorach dywanu. Południowe słońce wpadało do biura w Centre Point, do którego Aubrey wprowadził wszystkich trzech wykorzystując swoje osobiste karty magnetyczne. Ściany były okopcone po pożarze wzniesionym przez Hyde'a, który uruchomił wewnętrzny system gaszenia gazem i zabił trzech Rosjan. Biura były częściowo uporządkowane, pobieżnie sprzątnięte. Widocznie Century House na razie ich nie wykorzystywał. Elektryczność, telefony i faxy oraz wyposażenie komputerowe wciąż działały.

– Wypatroszymy to miejsce jak rybę – zauważył Hyde.

– Do Michaela Daviesa trzeba podejść okrężną drogą, nie wzbudzając podejrzeń. Rozumiesz, Patrick?

– Chyba tak – odpowiedział niechętnie. – Jeżeli jeszcze bardziej przycichniemy, skradając się tak jak teraz, to oni pomyślą, że umarliśmy – wzruszył ramionami. – Jaki jest plan?

– VIATE, wystawa. Tony, co masz na ten temat?

– Przynajmniej piętnaście wystawiających firm jest dostawcami lub współpracownikami Dumas albo też są połączone z nim lub Reid wielkimi wspólnymi przedsięwzięciami, szczególnie zajmującymi się badaniami i rozwojem. Jest też kilka innych... – był zasłonięty wydrukiem na statywie, przewrócił jedną z ciężkich, szeleszczących kart papieru; przekrzywiony kawałek genealogii kompleksu zajmował odsłoniętą stronę – ...które pożyczły jakieś śmieszne sumy od kilku interesujących nas banków. Albo wchodzi w związki z podejrzanymi bankami w Kalifornii, jak to jest z firmami Jankesów, które tam przyjadą. Czy to wystarczy, sir? To wszystko, co mogłem zebrać.

– Świetnie, Tony, świetnie – Aubrey podszedł do wykresu, pocierając swój gładki podbródek. Jego ręka, poruszająca się jak u działającego od

niechcenia czarodzieja, sprawdzała każdą linię i okienko z nazwami firm, jakby chciała spowodować, by zniknęły lub powiększyły się.

– Rozumiem. Centrum naszej operacji.

– Jakiej operacji? – zapytał Hyde z fotela pod oknem.

– Ach. Ty i Godwin pojedziecie na VIATE – jako akredytowani członkowie delegacji z wydziału handlu lub delegacja naukowa z Reid Davies Ltd. Będziecie w środku, w pełni do tego uprawnieni, nie budzący podejrzeń.

– No i?

– Będziecie się poruszać po całym krwioobiegu tej wystawy do czasu, aż natkniecie się na to, czego potrzebujemy, oznaki choroby.

– Pięknie! W jaki sposób zatrudnimy się w Reid Davies w ciągu kilku najbliższych dni? To znaczy, ja wiem, że Godwin i ja jesteśmy wyjątkowymi okazami, ale oni mogą, tak po prostu, nie chcieć nas wprowadzić na listę plac.

– To właśnie musimy uzgodnić z Mike'em Daviesem. Dziś wieczorem jedziemy na kolację do jego domu koło Birmingham, wszyscy trzej. Spodoba ci się to, Patrick. Ma całkiem dobre piwnice i zapasy australijskiego piwa!

Hyde klepnął się po udach.

– Proszę posłuchać – nie chce pan wzbudzać podejrzeń, tak? Więc jaką cholerną bajeczkę mu pan opowiedział? I skąd pan wie, że on jest jednym z tych porządnych facetów?

– Był jednym z naszych, jednym z moich.

– Ludzie się zmieniają.

– Nie w tym wypadku.

– Więc dlaczego nie poprosimy go, aby pozwolił nam przyjrzeć się jego firmie na własne oczy?

– Ponieważ ktoś stamtąd mógłby pobiec do Priabina albo Malana, którzy zadzwoniliby do innych i w rezultacie hurkot w gabinecie Rady Ministrów stałby się wybuchem! Proszę, zrozum to, Patrick.

Hyde znowu wzruszył ramionami.

– Chciałem tylko pana wybać – wymamrotał.

– Dobrze. Nareszcie mamy kworum. Świetnie!

– Jaką historyjkę opowiemy Daviesowi?

Aubrey spojrzał na Godwina, który chrząknął i powiedział:

– Otrzymaliśmy informację z jednego z naszych źródeł, że niepożądani ludzie, tacy jak Novak, wydają się infiltrować jakieś firmy, które inwestują w Europie Wschodniej lub tam pozostały... Och, zrób to po swojemu, jeżeli chcesz! – wybuchnął, widząc cyniczny grymas na twarzy Hyde'a.

– Jak długo – powiedział Aubrey – nasza opowieść będzie tylko w naszych głowach, tak długo byli pracownicy wywiadu i służby bezpieczeństwa z Europy Wschodniej będą korzystać z funduszu firm w Zjednoczonym Królestwie. Obrzydliwy, mały skandal finansowy. Za tę historyjkę każdy będzie nas klepał po plecach i wykrzykiwał słowa zachęty.

– To brzmi zbyt przekonująco – skomentował Godwin.

– Powinno tak brzmieć, czyż nie? Aby przekonało tych, którzy wiedzą cokolwiek o naszej działalności. Mam to załatwione z Century House i z Longmeadem. Davies na pewno sprawdzi to w Century House. W ten sposób wszystko się zgadza – Aubrey odwrócił się od okna, przy którym stał, przypatrując się ruchowi ulicznemu na skrzyżowaniu Charing Cross Road i Oxford Street. Tłum ludzi w koszulkach z krótkimi rękawami i w sukienkach, ruchliwych jak lemingi, przechodził przez przejście dla pieszych, gdy zmieniły się światła.

Longmead i Orrell, jak większość zawodowych polityków i administratorów, ubóstwiali machinacje, komplikacje, gabinetową politykę. Takie ćwiczenia często wydawały się Aubreyowi grząskie jak błoto i przynoszące niewielki pożytek dla ducha. Spryt, ruchliwość umysłu, umiejętność posługiwania się podstępem – w uczciwych zamiarach, oczywiście, były prawdziwie przyjemne. Nie były to podstępny księcia; raczej błazna o żywej inteligencji.

– Clive Orrell będzie dość zdenerwowany, jak sądzę – zauważył z zadowoleniem – gdy zda sobie sprawę, że wszystkie te raporty i podsumowania, które tak stale ignorował, mogą mieć jakieś podstawy.

– Przestraszony sukinsyn – zarechotał Hyde.

– Zdenerwowany perspektywą, że przez całe miesiące nie poznał się na tych ludziach i ich nowym statusie. Ale on nie będzie wstrzymywał naszego śledztwa. Longmead jest trochę chimeryczny. Brudne pieniądze zawsze podniecają jego niezadowolenie, prawdopodobnie dlatego, że nie jest szczęśliwy z nimi w małżeństwie. Zgadzasz się, Patrick?

Hyde uśmiechnął się szeroko.

– Więc rozważmy wszystko, dodając nasze przeświadczenia do ogólnego zarysu, dobrze? *Przed* lunchem.

Anderson podjechał do pensjonatu, który ukrył się za ładniejszymi, większymi domami. Niektóre z nich były domami wypoczynkowymi dla bogatych, inne pretendowały do statusu hotelu; wszystkie położone naprzeciw piaszczystej Swakopmund's North Beach. Na następnej ulicy znalazł wolne miejsce do zaparkowania. Długie cienie dwupiętrowych drewnianych domów leżały na ulicy jak ciężkie, aksamitne zasłony. Pakowanie nie zabierze mu wiele czasu. Łatwo zdąży na wieczorny lot do Windhoek, a potem będzie miał połączenie, prawdopodobnie następnego dnia, do Johannesburga. Van Vuuren wyleciał z Walvis Bay południowym lotem, bezpośrednio do Johannesburga, więc on natychmiast wrócił do pensjonatu.

Przeskoczył trzy schodki do wejścia i otworzył siatkowe drzwi, przechodząc przez otwarte wewnętrzne drzwi do chłodu małego, ciemnego korytarza. Właścicielki, Niemki z pochodzenia jak większość w Swakopmund, nie było widać, ale z tyłu budynku dolatywał zapach cebuli i gotowanych warzyw. Gdy zniesie torbę na dół, zawoła ją, żeby jej zapłacić. Spojrzał na zegarek. Czwarta. Powinien zadzwonić do Aubreya – z lotniska, jeśli nie wcześniej – i powiadomić go o zmianie swojej taktyki, o nowym, silnym wietrze dmuchającym mu w plecy. Van Vuuren, który zgwałcił kolorową dziewczynę. W obecnie panującym klimacie w Republice, nawet członkostwo w Broederbond nie ochroni van Vuurena przed skandalem, wstydem i więzieniem. Może nawet wygnaniem z Republiki Południowej Afryki. Byłoby to publiczne zademonstrowanie najlepszych intencji przez rząd i wszystkich prominentnych białych – oficjalnie odciąć się od van Vuurena. Nie uratuje go to od szantażu ze strony Andersona. Kiedy tylko zbierze dowody, a może nawet odnajdzie tę kobietę.

Dotarł na pierwsze piętro i zatrzymał się przed drzwiami swego pokoju. Dotknął ich i odkrył, że są otwarte. Klucz – spojrzał na niego z oskarżycielskim niedowierzaniem – był w jego prawej dłoni. Właścicielka? Włosy zjeżyły mu się na karku, a stare znajome drżenie wstrząsnęło ramionami. Nasłuchiwał, wiedząc, że wahanie zdradza jego podejrzliwość. Nic. Spojrzał za siebie na

schody, które ogłaszały jego obecność trzeszczeniem przy każdym kroku. Po południe wpływało przez witraż na końcu korytarza, oświetlając obraz jakiegoś niemieckiego misjonarza czy odkrywcy. Zawahał się, a potem pchnął drzwi otwierając je na oścież, rzucił się na nie i usłyszał okrzyk bólu i upadek czegoś ciężkiego na podłogę. Cofnął drzwi i uderzył nimi mocno człowieka stojącego za nimi drugi i trzeci raz. Biała ręka, z palcami zgiętymi jak szpony pokazała się na krawędzi drzwi, jakby chciała odeprzeć atak, następnie opuściła się w kierunku zamka, a potem jeszcze niżej...

Anderson wskoczył za drzwi. Nad zakrwawioną twarzą z pustymi, nieprzytomnymi oczami zobaczył białą obwódkę na czole na tle głębokiej opalenizny. Rozpoznał ją, bardziej niż cokolwiek innego. Uys, kapral z buszu, jeden z tych ludzi, którzy...

Nachylił się nad nim, łapiąc palcami za gardło, kolana trzymał na jego klatce piersiowej tak, że oddech, który chciał zatrzymać, stał się urywany. Ścisnął gardło mocniej, a krew huczała mu w uszach, jakby słyszał raczej krew Uysa niż swoją. Jego wzrok uczeplił się spiętej twarzy Uysa z zakneblowanymi ustami. Głowa stała się bezwładna, gdy zwolnił uścisk. Anderson podniósł się, łapiąc oddech, jak mu się wydawało po raz pierwszy od momentu, gdy wskoczył za drzwi. Odczołgał się od ciała na czworakach i trzęsąc się zwymiotował.

Potem rozejrzał się po pokoju. Został przeszukany bez hałasu, ale i bez przykładania się. Uys wszedł przez otwarte okno, z boku domu. Kilka jego nowych rzeczy było rozrzuconych na łóżku i dywaniku. Podszewka jego garnituru była rozdarta, kieszenie spodni wywrócone na wierzch. Uys nic nie znalazł, bo nie było nic, co mógłby znaleźć. Paszport i karty kredytowe miał ze sobą.

Drżąc, podniósł się opierając się na brzegu łóżka. Usiadł i nasłuchiwał szczęku garnków w kuchni, brzmienia niemieckiego języka z radia lub magnetofonu, odgłosów domu w świetle popołudniowego słońca. Zmęczony. Pusty. A także uspokojony. Margarethe nie pojawiała się, chyba że jako wspomnienie, które pchnęło go do zrobienia tego, co spotkało Uysa. Teraz wydawała się całkowicie nieobecna, jak gdyby wycofała swoje przyzwolenie czy zgodę. Nie wiedział, która godzina...

...marnujesz czas. Wstań i pozbieraj swoje rzeczy.

Nagle zebrał szybko swoje ubrania i aparat do pustej torby sportowej. Film został prześwietlony przez Uysa – spojrzął na brzydką, zakrwawioną twarz, która zwisała nad poplamioną koszulą traperską. Podeszedł do okna. Uys mógł nie być sam...

Blantyre?

Nie teraz... proszę.

Mógł dotrzeć do swego 4WD alejką pomiędzy dwoma drewnianymi domami bez potrzeby wychodzenia na ulicę, przy której stał pensjonat. Obserwowali pewnie z tej ulicy, musieli zaalarmować Uysa, ale nie było krótkofalówki ani żadnego urządzenia nasłuchowego. Przeszukał ciało. Nic, poza pistoletem wepchniętym do połowy pod dywanik przy łóżku, gdy Uys machał nogami, umierając. Podniósł go. Dodatkowy magazynek? Nie ma czasu. Zarzucił torbę na ramię, nasłuchując, czy nie słyszy skrzypienia schodów. Nic. Potem trzasnęły drzwi z siatki jak gdyby go ostrzegając.

Wysunął jedną nogę ponad parapetem, przecisnął ramię przez rączki torby sportowej tak, że zawisła mu na plecach, gdy wysunął się przez okno i zaczął opuszczać się na dół po metalowej drabince. Pocił się okropnie. Zabił człowieka, a Blantyre mógł właśnie wchodzić po schodach.

Rozdział dziewiąty

JAK BARDZO BYŁ KIEDYŚ SŁAWNY

Stary człowiek odtwarzał fakty z przeszłości. Hyde usiadł w wykuszu przy salonie na wąskiej, o obiciu z mory, edwardiańskiej sofie obok francuskich okien. Aubrey rozsiadł się jak wygodnicka sowa na małej kanapce, podczas gdy Davies odpoczywał na większej, brokatowej, przy marmurowym kominku. Hyde słyszał tykanie francuskiego zegara nad kominkiem. Godwin siedział zgarbiony w fotelu, przyciskając mocno do piersi małą whisky. Aubrey uciekł wyobraźnią z pokoju i przeniósł się do przeszłości dzielonej razem z Daviesem, z nimi wszystkimi.

Na zewnątrz biegały po szerokim trawniku i krzyczały dzieci Daviesa, a nad nimi fruwały ptaki. Jaskółki regularnie przecinały wieczorne powietrze, a dookoła wiktoriańskiego domu słychać było krzyki jerzyków, które nawoływały się za otwartymi oknami, zanim uleciały w ciemniejący błękit. Hyde czuł się spokojny i coraz bardziej nie dowierzał Daviesowi. Ale Aubrey wydawał się pewny, mimo że facet ociągał się i wahał, i wcale nie wyglądał na zszokowanego, jak na to zasługiwały rewelacje starego. Jerzyki przelatywały szybko w powietrzu z dala od domu. Mała dziewczynka uczepliła się kociego ogona i została zaciągnięta za klomb z różami. Zaraz potem słychać było jej płacz.

Hyde czuł się kimś więcej niż człowiekiem, którego milcząca obecność była tu potrzebna, czy zatrzymaną maszyną czekającą na podłączenie. Wstał i wyszedł do ogrodu. Stał obok zegara słonecznego na tarasie. Dzieci natychmiast zwróciły na niego uwagę. Niebo zaróżowiło się, nadając wieczorowi kształt i perspektywę. Łobuzowanie się jerzyków stało się od razu bardziej natarczywe.

Davies był zaniepokojony, tak. Wydawało się, że chce w tym uczestniczyć. Pracował wielokrotnie dla wywiadu jako wartościowy kurier. Zmienił się, chociaż Aubrey tego nie zauważył. Może po prostu zestarzał się, zaciągnął zbyt

duże pożyczki, chciał jedynie sukcesu i nie potrzebował Aubreya kręcącego się dookoła jak symbol śmierci. *Memento mori*. Wskazywanie palcem i odtworzenie starej, faustowskiej transakcji. Hyde westchnął. Niezależnie od wszystkiego, nic nie miało znaczenia, dopóki nie pojedą do Wenecji, on i Godwin w garniturach i z przylizanymi włosami – handlowcy.

Jerzyki znajdowały się teraz trzysta metrów w górze, nawołując się nawzajem, a potem zebrały się i odleciały. Żona Daviesa zawołała dwoje dzieci do domu. Na ich miejsce na trawnik wkroczyły dwa gołębie. Hyde spojrzał na Aubreya...

...który patrzył przez okno wychodzące na taras. Hyde wydawał się spięty i zły, prawie zawiedziony. Aubrey westchnął w duchu, a potem odwrócił się do Michaela Daviesa, który nagle wydał mu się zażenowany, jak gdyby odkrył, że pił whisky zbyt szybko. Było to jak przywoływanie pływaka z głębin lub koś, kto stał się awanturnikiem i nie potrzebował już bezpiecznego brzegu. Davies był jednym z jego najlepszych kurierów i obserwatorów, ale to było w młodości – męski w grze lub z kobietami; teraz był żonaty, porzucił kobiety i krykieta w imię swoich interesów. Zmieniły się czasy i warunki.

Pochylił się do przodu.

– Widzisz, Michael, wiem, że to jest narzucanie się, ale martwię się tym, że ci ludzie ze starej gwardii pojawiają się wszędzie nagle i niespodziewanie – uśmiechnął się rozbajająco. Ale Davies nic nie podejrzewał; był niechętny, ale nic nie podejrzewał.

– Jeżeli kilku moich ludzi mogłoby w jakiś sposób wziąć udział w twojej operacji podczas VIATE, wejść w to wszystko, byłoby to bardzo pomocne.

Davies skinął głową i sączył swoją whisky, słysząc wrzaski syna i córki, którzy zdawali się znowu przeprowadzać inwazję na ogród. Aubrey widział Hyde'a siedzącego w kucki, głaszczącego jednego z dwóch kotów i mówiącego coś do dzieci. Być może to go uspokajało? Jeśli chodzi o Michaela Daviesa, było to dziwne i nieoczekiwane zadanie wyciągania szpiegów i kurierów z ciepła z powrotem na zimno. Davies mógł równie dobrze uważać propozycję Aubreya za nielegalną ingerencję.

– Niestety, Michael – zauważył – moi towarzysze i ja sam pozostajemy dziećmi w ciemności, chociaż czasy się zmieniły. To jest nasze tradycyjne

powołanie, które nie straciło jeszcze swego sensu.

– Kenneth, ja nic nie rozumiem.

– Ci wstętni ludzie z ich wstętną przeszłością, Michael. Obawiam się, że oni wchodzą na moje terytorium, kiedy widzę ich przechodzących na nową wiarę i prawdopodobnie zyskujących nową władzę, co przy raczej naiwnych rządach wybranych w niektórych z tych krajów uprawnia ich do udziału w wywiadzie. Musimy zatem przyjrzeć się możliwym zagrożeniom. Wielu z tych ludzi bez wątpienia pojawi się na wystawie VIATE – odwrócił się do Godwina, który grzebał w papierach w swojej aktówce leżącej obok fotela i potakiwał energicznie głową.

– Mamy gdzieś tu listę... – zaczął Aubrey, ale Davies przerwał mu mówiąc:

– Wierzę ci. Nie mogę powiedzieć, że przyjrzałem się każdemu, kto wysuwa się do przodu jak stary owrzodzony kciuk – uśmiechnął się przymilnie. – Ale już się zestarzałem, a wielu z nich wygląda, jakby kiedyś byli w tajnej policji! Poza Havlem, Dubczekiem i Wałęsą, i jeszcze jednym lub dwoma innymi – wypił swoją whisky. – Jeszcze jednego, Kenneth?

Aubrey potrząsnął głową i nieco przygaśł. Godwin podniósł w górę swój kieliszek, a Davies, z uśmiechem, napełnił go z karafki na wiktoriańskim stoliku.

– Dzięki – wymamrotał Godwin, przyoblekając twarz w swój uprzejmy uśmiech.

– No więc, Michael? Czy sądzisz, że możesz nam pomóc? Bez wielkiego przeszkadzania twoim interesom w Wenecji, oczywiście. Nie chciałbym, aby...

– Kenneth, tobie zawsze trudno było odmówić! – zaśmiał się Davies. – Było wiele kurierskich prac, których naprawdę nie chciałem robić, ale robiłem tak czy inaczej. Powiedz mi, czy Hyde ma garnitur? Jeśli nie, to kup mu dwurzędowy. Ty chyba masz, Tony?

– Mam jeden, na przesłuchania i śluby – odpowiedział Godwin.

– Dobrze – Davies poskrobał się po karku. – Będę musiał dobrze pomyśleć, w jakiej roli wystąpi Hyde. Nie wygląda na zbyt inteligentnego, prawda? To znaczy, nie pasuje do tego, co robimy – łaskawy uśmiech Godwina upewnił Daviesa, że nie ocenił Hyde'a źle. – Z tobą, Tony, nie powinno być żadnych

problemów. Wstawię cię z kimś na nasze komputerowe stoisko, okay?

– Dla mnie w porządku.

– Dziękuję, Michael. Oczekuję, że ta mała wyprawa przyniesie wielkie korzyści – tak dla wywiadu, jak i dla innych – Aubrey uśmiechnął się, a potem zapytał niewinnie:

– A jak idą interesy, Michael? Zdaje się, że całkiem dobrze, skoro bierzesz udział w VIATE?

– Dziękuję, nieźle, Kenneth. To nie to samo, co prowadzenie własnego interesu, ale Reid Group jest dość wygodnym partnerem, więc... – wzruszył ramionami. – Da się wyżyć.

– Dobrze, dobrze. Więc wskoczyłeś w ich układy?

– Dużo dodatkowej roboty i o wiele więcej funduszy na badania i rozwój. Jest okay.

– Martwiłem się swego czasu, kiedy sprawy wyglądały całkiem źle. A co z tym jednym odwołanym kontraktem, kiedy to wyglądało, że dużo twojej ciężkiej pracy pójdzie na marne? Mogłeś zostać przyparty do muru.

– Teraz wszystko jest okay, dziękuję Kenneth, więc przestań się o mnie martwić – pewność siebie Daviesa była aż nadto widoczna. – Ty nie ponosiłeś za to odpowiedzialności, bo przecież pracowałem dla ciebie w niepełnym wymiarze godzin. Nie byłeś mi nic winien – powiedział. Cień urazy? – zastanawiał się Aubrey, ale uśmiech Daviesa rozwiał jego niepewność. – W każdym razie Reid Group pojawiło się w odpowiednim momencie i nie chcieli rujnować firmy, ale pomóc jej się rozwinąć. Świetnie się złożyło.

Drzwi pokoju otworzyły się i pojawiła się Carole Davies, czerwona na twarzy z powodu gorąca panującego w kuchni.

– Właśnie zamierzam podać obiad, Mike, sir Kenneth. Mam jedynie nadzieję, że mięso jest jeszcze różowe! – Aubrey nie sprzeciwił się używaniu swojego tytułu. Carole Davies wydawała się czerpać prawdziwą przyjemność z tego, że może go głośno wypowiedzieć. – Byłbyś uprzejmy zaprosić naszych gości, Mike?

Davies wstał.

– Zawołam jeszcze tylko dzieci...

– *Au pair* może to zrobić, Mike. Zaprowadź sir Kennetha do jadalni. Muszę lecieć...

Davies wzruszył ramionami, kiedy wchodzili do sali, co odnosiło się do sposobu, w jaki się wycofała.

– Byłeś kiedyś w Wenecji, Tony?

Godwin miał jedynie czas mrugnąć okiem na Aubreya. Za nimi, przez otwarte francuskie okna werandowe, wszedł Hyde z rękami w kieszeniach.

– Nie, nigdy. Czekam na to z niecierpliwością, Mike.

Postawa Aubreya była po kolei niepewna, pełna obaw i protekcyjnalna, myślał Anderson, gdy taksówka wiozła go wzdłuż Soweto Highway w kierunku miasta. Droga przebiegała pomiędzy polami golfowymi, kompleksami sportowymi, porządnymi, otoczonymi drzewami przedmieściami i wszechobecnymi czerwonymi wydmami historii Johannesburga i jego bogactwa. Białe drewniane, pokryte stiukiem, a także murowane domy, nawet z kolumnami, próbowały zachować pełną wdzięku prostotę i obronić wartości, które wielkie kopce wyrzucone przez głębokie kopalnie złota w Reef w Witwatersrand chciały zniszczyć, a nawet wykipić.

Aubrey... Anderson potrząsnął głową i spojrział w lusterko z przodu, a potem w lusterko boczne, wierząc się na gorącym plastikowym siedzeniu taksówki jak uczeń ze słabym pęcherzem. Żaden samochód ich nie śledził od centrum miasta. Otrząsnął się więc z myśli o Blantyrze. Był tam, na lotnisku Jan Smuts, gdy Anderson wylatywał. Widział go tak samo jak Anderson jego. Nie było nic w gazetach w ciągu dwóch dni od czasu, gdy wyjechał ze Swakopmund – żadnych martwych ciał w sypialniach pensjonatów, żaden biały uciekinier nie był poszukiwany przez policję. Jedynie Blantyre wiedzący, że on przybędzie lub przynajmniej oczekujący go. Czekał cierpliwie jak portier na lotnisku.

Wzdrygnął się na to wspomnienie. Przemyskanie się, chowanie, czekanie godzinami, dopóki nie upewnił się, że jest bezpiecznie. Zameldował się w pokoju pod przybranym nazwiskiem, patrząc, czy go nie śledzą, nawet gdy przyglądał się budynkowi biurowemu, w którym niegdyś miał swoje biuro prawnicze. Był pewien, że Blantyre wiedział o jego obecności w Johannesburgu. Obawiał się także, że wiedział, dlaczego tu był.

Autostrada stała się bardziej zakurzona, kurz czerwieniał w popołudniowym świetle przed taksówką i połykiwał przez przyciemnioną szybę samochodu.

Wielka kula słońca zniekształcona była przez słupy i kable sieci elektrycznej oraz zatłoczone przedmieścia. Minęli młodzież w welnianych kapeluszach, mężczyzn zawiniętych w koce i w miękkich kapeluszach na głowach, kobiety w kardiganach i szerokich spódnicach. Taksówka minęła stację, czekającą, żeby zakończyć dzień powrotem setek tysięcy czarnych twarzy. Skulił się wewnętrznie. To było Soweto. Nawet bardziej niż zamerykanizowane centrum Johannesburga bez ogródek potwierdzało, że Etosha i jego hotel, oraz jego martwa żona, były złudzeniem. Czy dlatego właśnie zostawił te wszystkie rzeczy, których nigdy nie chciał zabrać ze sobą, chciał je porzucić razem ze swoją starą gospodynią domową Mary M'tebisi? Jakoś nie mógł ich wrzucić do jednego z tych koszy na śmieci, które wypełnili resztkami białego przedmieścia i białego życia, do którego ani on, ani Margarethe nie mogli się przystosować. Swoje czarne garnitury oddał mężowi Mary, większość mebli także. Namówił Mary do zatrzymania, jak jakiegoś niebezpiecznego talizmanu, kluczy od biura i części jego starych papierów oraz garści innych rzeczy, które tak bardzo chciał zostawić...

...a jednak nie zostawił i nie był w stanie ich wyrzucić.

Kierowca taksówki odwrócił się do niego, pytając ponownie o adres. Tak, był mniej niechętny, ale w jego twarzy nie było mniej pogardy, niż to się kiedyś zdarzało.

Jego wielka ucieczka. Potrząsnął głową, ze złością myśląc o swoich poprzednich działaniach i obecnym szczęściu, wyrażającym się w tym, że zostawił klucze, karty i dokumenty u Mary. Czy był to pretekst, gdy twierdził, że amulety mogą ją chronić i powiedział jej, że może posłać po niego, jeżeli będzie miała problemy z policją lub biurem bezpieczeństwa państwa? Czy wiedział, że pewnego nieokreślonego dnia zostanie zmuszony do powrotu? Prowadził kierowcę i oparł się o siedzenie w taksówce; pobudzony, pełen oczekiwania, z poczuciem, że jeszcze raz stanie się raczej graczem niż obserwatorem. Aubrey czuł oczywiście, że ma teraz większe możliwości w Europie, lepsze karty – w tej chwili. Aubrey mógł nawet używać pewnej techniki, pobudzającej go do działania przez pokazywanie lekkiej obojętności. Było to możliwe, chociaż nie miało znaczenia. Prowadziły go własne motywy, a nie Aubreya. Potrząsnął głową, oddalając od siebie bezsensowne spekulacje.

– Czytałeś na temat eksplozji, człowieku? W gazecie? – zapytał kierowca taksówki. W jego głosie zabrzmiała dawna pogarda i wrogość. – Założę się, że te kafarskie sukinsyny gdzieś się tam ukrywają.

Anderson wymamrotał coś niezrozumiałego. Jedna z bardziej skandalizujących gazet leżała na gorącym plastikowym siedzeniu obok niego. Nagłówek głosił: TRAGEDIA. Zniszczony bank w pobliżu budynku MLC. Ekstremistyczne elementy, komuniści z ANC, a nawet jakieś lewicowe kontakty białych... zwykle polowanie na czarownice prowadzone w tych dniach nawet w Johannesburgu i Pretorii piskliwym, płaczącym i słabym głosem. To był koniec, prawie – i to bez rzezi czarnych będącej dziełem białych. Były morderstwa w miastach, Zulusi przeciwko Xhosa, ataki terrorystyczne i ostrzeżenia ze strony skrajnej prawicy. Ale to miało być zrobione, i to bez chaosu, jaki był przewidywany przez dwadzieścia lat.

Patrol policyjny, nie napastowany i nie zaatakowany kamieniami minął ich jadąc w stronę przedmieść. Biały kierowca, czarny partner. Żadnych mundurów Sił Obrony Afryki Południowej ani pojazdów. Młodzież grająca w piłkę nożną na popękanym skrawku ziemi w pobliżu porzuconej stacji benzynowej, z jedną bramką. Boso, ale zadowoleni, nawet zachwyceni.

W końcu pokazały się węższe ulice, za zatłoczonym afrykańskim bazarem. Miejsce było pełne samochodów, starych i nowych, generalnie jakieś bogatsze niż w dawnych czasach, gdy żyli tu nieliczni bogaci czarni. Były też wyższe budynki na tle zachodzącego słońca, a nie tylko słupy elektryczne. Prowadzono tu interesy, legalne interesy, znajdowały się tu fabryki i budynki biurowe. Linie telefoniczne przecinały ulicę i pomarańczowe niebo.

Potem dostrzegł mały bungalow Mary, z warzywami zamiast wysuszonego trawnika przed frontem. Usłyszał kozę meczącą gdzieś za domem, gdy otwierał drzwi taksówki... Stara kobieta łuskała groch do cedzaka przed domem. Zapłacił taksówkarzowi; samochód wykręcił powoli i odjechał w zabarwiony na pomarańczowo kurz. Stał z rękami na biodrach, wdychając powietrze i zapach gotowania, a kobieta spojrzała na niego, zanim uciekła do środka zostawiając cedzak czarnego grochu obok stołka, na którym siedziała. Po chwili obfite ciało Mary pojawiło się w drzwiach. Przysłoniła oczy ręką, próbując dostrzec jego twarz. Potem zdawała się wahać między podnieceniem i zaskoczeniem.

– Mary? – powiedział posuwając się w stronę ogrodzenia z kamieni, wyznaczających granicę posesji. Na tyłach domu bawiły się dzieci, krzycząc jak ranne zwierzęta.

– Pan Richard! – powitała go zawodzącym głosem. Podbiegła do niego i chwyciła jego wyciągniętą rękę, trzymając ją jak wróżbitka, obracając w swoich dłoniach. Potem spojrzała mu głęboko w oczy i zdawało się, że już wszystko wie. Przynajmniej tyle, że miał jakieś kłopoty. Spojrzała na jego rękę, a potem na twarz.

– Witam pana, witam! Proszę wejść do środka!

Skierowała go w stronę drzwi. Pochylił głowę przy wchodzeniu niezgrabnym ruchem, gdyż wciąż trzymała jego najwidoczniej wyjawiającą wszystko i mile widzianą rękę. Stara kobieta mogła być jej matką lub matką jej męża. Wróciła do cedzaka, gdy tylko wszedł do środka, pełna szacunku, jak gdyby nic się nie zmieniło. Podłoga w domu pokryta była linoleum. Otwarte były drzwi do ... spojrzał i Mary zachichotała jak dziecko. Łazienka w niesamowitym różowym kolorze. Wanna, umywalka i miska klozetowa. Przez okno mógł dostrzec, że mała, waląca się szopa, która była ustępem stojącym na zewnątrz, zniknęła. Rytualnie spalona, bez wątplenia, pomyślał z uśmiechem. Wszedł ostrożnie, aby rozejrzeć się po łazience. Miękkie białe ręczniki, miękki papier toaletowy, nowe linoleum na podłodze. Mary wciąż chichotała. Odwrócił się do niej.

– Cieszę się, Mary, tak się cieszę.

Skinęła głową. Jej potężne ciało powodowało, że pokój gościnny wydawał się mniejszy, niż był. Dwie małe twarze pojawiły się przy tylnych drzwiach, zaciekawione. Pamiętał dziewczynkę jako niemowlę ssące pierś, a chłopca jako bojaźliwego dwulatka. Mary wskazała mu fotel, a on skinął głową w podziękowaniu. Dzieci gdzieś pobiegły.

– Gdzie jest Thomas? – zapytał spokojnie, jak gdyby próbował odwrócić jej przewiercające spojrzenie. Przypomniawszy sobie, jak Margarethe kiedyś powiedziała: *nasza bierność jedynie wygląda jak ludowa mądrość, Richard – zapamiętaj to. Tak naprawdę to jedynie cierpliwość niemych, oczekujących zwierząt.* Wstrząsnęło to jego liberalnymi zapatrywaniami. Obserwując Mary patrzącą na niego, nie był pewien, czy Margarethe nie miała racji.

Teraz sam się zdradził, wiedząc, że jego oczy zeszkliły się, zauważając kiepsko skrywany smutek w twarzy Mary jak w lustrze. Ale ona taktownie o nic nie pytała, więc zainteresował się szybko jej mężem, dziećmi, a potem resztą jej rodziny i rodziną jej męża, wszystkimi, których imiona sobie przypominał. Litanía sukcesów, przynajmniej ona tak starała się to przedstawić, gdy krzątała się przy piecu w kuchni, pobrzękując rondlami i sztućcami.

Ścisnął mocno rękę Thomasa, który zdjął swą czapkę, gdy zobaczył Andersona wstającego z krzesła przy stole. Thomas także był ugrzeczniony, pamiętając o tym, co dobrego im wyświadczył, byli więc oboje jak domowe koty lub psy, których wdzięczność stała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do poświęcanej im uwagi. Thomas pracował w mieście jako dozorca w nowym budynku biurowym. Będą tam czarni dyrektorzy, bez wątplenia, ale nie będzie między nimi Thomasa: brakuje mu wykształcenia.

Zjadł z nimi pijąc piwo zaoferowane przez Thomasa. Dzieci nie wydawały się specjalnie nim zainteresowane, jak gdyby biały człowiek nie był niczym więcej niż częścią krajobrazu ich życia, chodząc wśród nich przeważnie bez zwracania na siebie uwagi, jak czarni kiedyś wśród białych. Mary umyła naczyńia i wróciła do stołu. Głos Thomasa można było teraz usłyszeć, jak klekotał i kłaskał w Xhosa wśród głosów sąsiadów, które Anderson chwycił niezbyt dobrze. Rozłożył dłonie na stole.

– Potrzebuję tego, co zostawiłem u ciebie, Mary – powiedział, na co ona chwyciła jego ręce w swe wilgotne palce, a jej twarz wykrzywił strach.

– Co się stało? – zapytała.

Potrząsnął głową.

– Białe kłopot – uśmiechnął się smutno. – Biała awantura.

Wydawała się jednocześnie zdziwiona i zatroskana.

– Dlaczego pan tu wrócił? – zapytała jakimś błagalnym tonem. – Dlaczego? – powtórzyła potrząsając jego rękami w swoich.

– Musiałem. Sprawy... sprawy nie powiodły się, Mary.

– ...taki zmęczony – powiedziała. – Nic tu dla ... może to oznaczać jakieś nieszczęście – mówiła, jakby oskarżała go o jakąś zbrodnię; niechętnie, ale z obowiązku.

Potrząsnął głową, a potem powiedział:

– To jest coś, co musi być zrobione. Muszę to zrobić. Dlatego potrzebuję

moich rzeczy. Kluczy i papierów.

Zapał szybki zmierzch i wielka dzielnica rozbłysła za oknem neonami i ulicznymi światłami. Warkot pojazdów był głośniejszy, bardziej natarczywy niż wtedy, kiedy pierwszy raz przyjechał do Soweto. Usiedli w nie oświetlonej ciemności, jej oczy wpatrywały się w niego żywo, a na okrągłej twarzy z podwójnym podbródkiem odbijał się jego nastrój.

– Gdzie jest pani? – wyrzuciła z siebie, jakby chciała rozwiać napięcie, zbierające się w pokoju jak chmury burzowe.

Wydawało się, że wrosła w fotel, zdecydowana nie przynosić mu rzeczy, o które prosił. – Gdzie?

– Nie żyje – oświadczył. – Dlatego tu przyjechałem, Mary. To wszystko, co powinnaś wiedzieć – dostrzegł długie strumyki łez spływające po jej czarnej twarzy i blask jej mokrych oczu. Po jego odejściu mogła opłakiwać Margarethe. Jednak w tej chwili była zmuszona do posłuszeństwa wobec powściągliwości białego człowieka.

– Dziękuję ci – wymamrotał ze ściśniętym gardłem, potrząsając teraz delikatnie jej ręką. – Proszę, Mary, papiery i klucze. Przynieś mi pudełko, nie będę musiał cię znowu niepokoić.

Pociągnęła głośno nosem i wytarła oczy i łzy w wielką chusteczkę. Zniknęła w sypialni, skąd doszło do niego jakieś szperanie i szuranie. Potem wróciła z metalowym pudełkiem, jakie mógłby nosić kamerzysta. Głosy Thomasa i innych szemrały jak strumień za drzwiami. Jakiś owad latał po pokoju, jakby szukając lampy, przy której mógłby się spalić. Postawiła zamknięte pudło na stole.

– Dziękuję, Mary – powiedział, poklepując nerwowo pudełko, jak gdyby pokazano mu obcego, warczącego psa. – Ja... gdzie jest najbliższy postój taksówek, Mary?

Skinęła głową rozumiejąc, że jego wizyta jest zakończona. Wrócił do swej przeszłości, a ona miała straszne podejrzenie, że postawił przed sobą jakiś niebezpieczny cel, którego nie pochwalą. Ale, jak podejrzewał, chciała także, żeby odszedł, a ona mogła usiąść sama i opłakiwać Margarethe.

Samochody hałasowały na zewnątrz, zagłuszając rozmowę mężczyzn przy wejściowych schodkach. Ich rozmowa trwała nadal, gdy jasność i światła samochodu wpadły do pokoju przez drzwi i okna. Spojrzył na drzwi, a głosy

mężczyzn stały się głośniejsze i przestraszone. W drzwiach pokazała się głowa Thomasa, co wyglądało jak oskarżenie. Mary była zaniepokojona, a jej dłonie spoczywały na pudełku.

– Co się dzieje? – zapytał i jako odpowiedź rozległo się wycie syren, pisk hamulców, a potem ktoś ryknął przez megafon w łamanej angielszczyźnie.

– Terrorysty... policja... pozostaniecie w swoich domach – zdołał wyłowić z tego wrzasku. Obraz wybuchu bombowego jak z gazety, krzyki towarzyszące masakrze. ANC wyparło się, kontroskarżenia ze strony konserwatystów, rozłamowe grupy ekstremistyczne, biali i czarni. Dostatecznie zadowolające koźły ofiarne albo wymysły...

– Pozostaniecie w domach. To jest operacja sił bezpieczeństwa – megafon był teraz bliżej, inne pojazdy podjeżdżały i pośpiesznie się zatrzymywały; słychać było bieganinę i ogłupiałe krzyki zaskoczonej niewinności. Słyszał odgłosy tłuczenia szkła, roztrzaskiwanie się drewna. Krzyki, rozkazy, ogromny pośpiech.

Thomas wszedł ponownie do pokoju, patrząc na niego. Inni mężczyźni odeszli. Thomas splunął na podłogę, wywołując gniew Mary. Słychać było kroki zmierzające w stronę domu. Mary złapała rękę Andersona, gdy zacisnął ją na rączce pudełka i wypchnęła go przez tylne drzwi. Jej syn pojawił się natychmiast, przylgnął do niej, a ona coś do niego powiedziała.

– Biały człowiek, widziałeś? – usłyszał krzyk. – Terrorysta! Biały człowiek, jego szukamy! – usłyszała Mary, zanim to do niego dotarło i wciągnęła go z powrotem, nie dziwiąc się niczemu i kojarząc to po prostu ze śmiercią jego żony i prośbą o pudełko. Thomas stał za nimi próbując protestować. Anderson miał nadzieję w Bogu, że sąsiedzi Mary nie zarzucą mu kłamstwa. W jakiś sposób o nim wiedzieli! Śledzili prostą ścieżkę jego dawnego życia, nazwiska i ludzi.

Odwrócił się do Mary i pocałował ją niezdarnie w policzek. Potem chłopiec wziął go niechętnie za rękę i pociągnął w stronę ogrodzenia za domem, dokładnie widocznego w świetle od frontu. Jeżeli Mary i Thomas powiedzieliby prawdę, prawdopodobnie nic by im się nie stało. Nie mogli już przecież ich zaarrestować. Za zwinnym, małym chłopcem prześlizgnął się szczeliną w chwiejącym się ogrodzeniu, ciągnąc za sobą pudełko, które teraz w chwili strachu wydawało mu się zaskakująco ciężkie. Za nimi słychać było podniesione głosy i protest Mary, energiczny i głośny.

– Nie ma tu białego człowieka, nie ma tu, szefie – usłyszał z daleka. Rewizja z konieczności musiała być przeprowadzona szybko. Mogliby wywołać zamieszki, gdyby nie byli ostrożni.

Pocił się obficie, drżąc z napięcia towarzyszącego uczuciu, że uniknął zagrożenia. Chłopiec prowadził go, oglądając się na niego od czasu do czasu i patrząc błyszczącymi oczami, aż doszli do zatłoczonej ulicy ze sklepami, pijakami, otwartymi drzwiami domów publicznych i miejscami hazardu. Zapach uryny, alkoholu i śmieci zaatakował go, przeszłość pozostała żywa. Chłopiec machał dłońmi, przynaglając go, pomimo jego zmęczenia i strachu oraz zwiększającego się ciężaru pudła.

W innych warunkach to mogłoby być całkiem zabawne, to oglądanie Hyde'a i Godwina i ich zmienionego wyglądu, jak rozwiązywanie jakiejś szarady. *Umyte uszy, czyste paznokcie?* Już miał te słowa na końcu języka, ale tylko przez chwilę. Zamiast tego skinął głową i powiedział:

– Bardzo dobrze, siadajcie obydwaj. Wasz, prawie pobożny, wygląd mnie onieśmiela!

Godwin uśmiechnął się szeroko, a Hyde od razu rozluźnił krawat i rozpiął swój kołnierzyk.

– Chryste – wyjęczał.

Był, lub też zapowiadał się, gorący, jasny poranek. Już coś tam dziobiące ptaki i pierwsi spacerowicze byli lekko przykryci przez mgłę w Regent's Park. Spojrzał na „The Times” złożony równiutko obok talerza na stoliku przy oknie. David Reid ogłosił poprzedniego wieczora w parlamencie, przypadkowo w czasie nadawania wiadomości o dziesiątej, że Związkowi Radzieckiemu zostanie udzielona pomoc przez Wspólnotę Europejską, która osiągnie wysokość dziesięciu miliardów dolarów, „aby nie dopuścić do zamrożenia transportu i dystrybucji” oraz uniknąć niedoborów, takich jak w czasie poprzednich zim. Jeszcze jeden kosztowny wysiłek, aby utrzymać Nikitina u władzy, łagodząc jego niepopularność w rodzinnym kraju. Chyba że ci ludzie, którzy uwiarygodnili się – wchodząc do firm, banków, a nawet współpracując z instytucjami reprezentującymi opinię publiczną, pośpieszyliby się, żeby nie stracić zysku, zanim wsiąknie jak woda w piaski pustyni!

Godwin także spojrzał na nagłówek.

– Bardzo głupi ruch – wymamrotał. – To po prostu zniknie.
– Dokładnie tak samo uważam – zauważył Aubrey. – Więc macie wszystko, czego wam potrzeba, jeśli chodzi o bezpieczne porozumiewanie się – wręczył Godwinowi mały, złożony kawałek papieru. – Włosi byli bardzo pomocni. Jedna linia w twoim hotelu, druga na samej wystawie, obydwie zupełnie bezpieczne. Sprawdzane dwa razy dziennie. Moje własne telefony też będą sprawdzane. Czy zapisałeś, co jeszcze potrzebujesz, Tony?

– Proszę się nie martwić, sir – zauważył Hyde z pewnego rodzaju pogodną cierpkością.

Godwin spojrział na swój zegarek.

– Już lepiej pójdziemy, sir. Samochód musi nas dowieźć na lotnisko Brum przed dziesiątą trzydzieści. Są jakieś wiadomości od Andersona, sir?

– Przeniósł swoją operację do Johannesburga. Jego zdaniem, jest coś wartego zachodu, gdyż dotyczy to naszego przyjaciela van Vuurena. Powinien zgłosić się wczoraj wieczorem, ale nie zrobił tego. Jestem pewien, że nie ma się co martwić. Tak, tak, wy dwaj ruszajcie. I znajdźcie coś. Dowiedzcie się, co oni tam knują. I pamiętajcie, że nasi włoscy przyjaciele udzielą wam każdej pomocy, jeśli o to poprosicie – uściśnął im dłonie. Wyczuwało się w nich jakieś podniecenie. Pomimo ponurych myśli nękających go w nocy na temat jego zmarłej bratanicy i winie Malana, miało to w sobie coś z przygody.

– Postaramy się, sir.

– Jeżeli złapiemy ich z dowodami w spoconej garści, będziemy mogli przejść przez całą Reid Group, sprawdzić Reid Davies, a nawet popchnąć francuski wywiad, aby sprawdził Dumas – Godwin uśmiechał się szeroko. – A to jest to, czego wszyscy chcemy. Ale... – podniósł złowieszczo palec wiedząc, że musi im czymś zaimponować – ...niezależnie od tego, jakie możemy sobie wyobrazić wizje udaremnienia planów Babbingtona, i niezależnie od uczucia osobistej zemsty czy działania w imię sprawiedliwości... – zawiesił na chwilę głos, a potem kontynuował: – niezależnie od tego, co możemy na tym zyskać, naprawdę liczy się tylko jedna prawdziwa nagroda. Przyjrzałem się dokładnie programowi badań i rozwoju Reid Group. Nowa generacja układów scalonych i technologia transputerów – już są w produkcji. Nie domyślałem się nawet, ile z nich do tej pory zaginęło, ale chcę zatrzymać wszystko, co ma zamiar zmienić

właściciela w Wenecji. Chcę to wysledzić, zatrzymać i policzyć. Jeżeli wykorzystują VIATE do szmuglowania, to właśnie te rzeczy będą przemycać. Zlokalizowanie kolejnych ogniw ich siatki, nawet związanych z Novakiem i ludźmi mu podobnymi, jest w drugiej kolejności. Jest to, ni mniej ni więcej, operacja wywiadu przeciwko służbom bezpieczeństwa obcego mocarstwa. Czy wyrażam się całkowicie jasno? W żadnym czasie i w żaden sposób odzyskanie przemycanej technologii nie może być zagrożone.

Trudno było mu zepchnąć jej obraz do podświadomości. Trudna była też próba ignorowania Babbingtona i trwającej między nimi wrogości. Ale musiał to zrobić.

– Nawet gdyby chodziło o złapanie Babbingtona i Malana z czerwonymi rękami! Lub też sprzątnięcie Novaka. Nie w tym momencie. Zrozumiano?

W końcu z wyraźną niechęcią opanowali się i skinęli głowami. Aubrey poczuł ulgę. Działanie było możliwe w określonych granicach.

– Dobrze, więc ja będę miał sporo wolnego czasu. Westfield jest przydzielony mi do pomocy na ten czas. Tak, tak, musicie się śpieszyć!

– Walentyno, co się do diabła dzieje? Znalazłem to zapotrzebowanie na większą ilość tego – ręka Priabina przejechała przez czarno-białe powiększenia rozrzucone na jego biurku. Drugą rękę zaciśniętą w pięść oparł na biodrze – położone *przez pomyłkę* na moim biurku dzisiejszego ranka. Prośba z centrali. Twoja sekretarka próbowała zabrać to wszystko, kiedy tu wszedłem! Co to jest, do diabła?

Południowe słońce przeświecało pomiędzy drzewami rosnącymi w Kensington Palace Garden, kiedy odwrócił się w stronę okna. Jego złość była pomieszana ze strachem, nawet zdenerwowaniem, ale nie chciał, aby ona rozpoznana w nim cokolwiek poza gniewem i tonem przełożonego. Ale, dobry Boże, co za grę prowadziła?

Odwrócił się do niej znowu, zanim mu odpowiedziała. Skuliła się siedząc w swym fotelu i wyglądała na przestraszoną.

– Składałaś za moimi plecami raporty do centrali, do Babbingtona! Na dodatek ukrywałaś tę wiadomość przede mną. Godwin i ten cholerny zwierzak Hyde wyjeżdżają z lotniska w Birmingham, z grupą z Reid Davies, i lecą do Wenecji – jego złość była tak prawdziwa, że trudno ją było uznać za udawaną.

Walnął pięścią w stół. Zdjęcie Hyde'a zsunęło się na dywan, Hyde w garniturze – kobieta spojrzała bez złości.

– No więc?

– Wiedziałaś, że nie zgadzam się z twoją decyzją o niepowiadamianiu centrali! – wykrzyknęła.

– Ty się nie zgadzałaś? Dałem ci rozkaz! Chcesz grać stare gierki, czy tak, ty głupia, arogancka suko? – jej oczy zabłyśły, ale Priabin nie miał zamiaru powstrzymać swoich obelg. – Z jednej strony chcesz rozgrywać stare gierki i oszukiwać, a z drugiej, żeby to wszystko było uczciwe i godne szacunku! Nie możesz oddać mnie lub siebie w ręce Babbingtona, jak to już zrobiłaś, i jednocześnie oczekiwać awansu za swoje zasługi! – przeczesał włosy dłońmi. – Poza tym – dodał, odwracając się w stronę okna – nie grasz wystarczająco dobrze. Nauczyłaś się jedynie pobieżnie, z drugiej ręki. Nie możesz *grać* z tymi ludźmi, ograniczasz swoją swobodę działania w przyszłości! Kapustin jest niezmiennym stalinista, a Babbington paranoikiem, jeśli chodzi o Aubreya i Anglię – odwrócił się do niej. – Mój Boże, tak cholernie się na tobie *zawiodłem*. Kiedy Babbington zobaczy te zdjęcia i jakikolwiek kawałek sensownej opowieści, jaki do tego dołączysz, to będzie się przede wszystkim zastanawiał, dlaczego ty i ja nie byliśmy w tej grze pierwsi, dlaczego oni wyjeżdżają, a my tego nie zauważyliśmy. Dziesięć punktów na minusie, Walentyno!

Oczy kobiety połyskiwały złością i łzami upokorzenia, ale odpowiedziała ostro i wyzywająco:

– Nie wiedzieliśmy.

– Och, doróżnij, Walentyno. Dla nas świat się w ogóle nie zmienił. Ponieważ *oni* wcale się nie zmienili. Nadal będą utrzymywać KGB, które jest naprawdę MWD poza NKWD, a pradziadkiem tych wspaniałych koni jest Czeka, na miłość boską! Leopardy zmieniają swoje cętki o wiele łatwiej! – usiadł w fotelu i pochylił się nad biurkiem. – Wszystko to, co się teraz stanie wydarzy się dlatego, że okazaliśmy się niekompetentni, przede wszystkim ja, a twoja kariera będzie skończona, będziesz raczej wykorzystywana niż zatrudniana. Czy tego właśnie chciałaś?

– Oczywiście, że nie.

– To może ja to zrobiłem, co? Ty idiotko... Chryste, myślałem, że jesteś sprytniejsza.

– Och, na miłość boską, przestań bez przerwy grać tę samą cholerną melodię! – krzyknęła, a jej policzki się zaróżowiły. Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na niego, jej ręce trzęsły się, jak gdyby rejestrowały lekkie trzęsienie ziemi. – Posłuchaj, zrobiłam, co uważałam za najlepsze. Myślałam, że się myliłam.

– Oczywiście – uśmiechnął się niepewnie. – Ale dlaczego nie dowiedzieliśmy się tego od Mortimera? On jest przecież na cholernym miejscu, na miłość boską! Dlaczego nie powiedział nam, że Hyde i Godwin są częścią zespołu Reid Davies jadącego na Expo? – pomachał rękami. – Dobry Boże w niebie, czy cała ta cholerna sprawa spali na panewce?

– Chcesz, żebym z nim porozmawiała? – zaczęła, a potem dodała skruszona: – Ja nie mogę, prawda? On jest w podobnej sytuacji.

– Może jest przestraszony albo myśli, że jest dla nich za mądry. Aubrey musiał go w to wciągnąć. Mam na myśli Daviesa. Stara lojalność, stare przyśługi. Ale czego Aubrey szuka w Wenecji? Jest w samym środku całego scenariusza. Dlaczego przejmuje się Wenecją? Dowód? Droga do środka?

Skinął głową.

– Prawdopodobnie. Jeśli odkryłby operację Expo, dostałby carte blanche, a potem... to musi być to – spojrzał i uśmiechnął się. – Ale ty wpakowałaś nas w gówno. Będziemy mieli szczęście, jak się wywiniami. Inaczej możemy wepchnąć to do torby i wrzucić do rzeki. Myślisz, że zdołamy usunąć Hyde'a i Godwina, zanim narobią zbyt wiele szkód?

Jej oczy rozszerzyły się, a potem skinęła głową.

– A co z Babbingtonem? To dzięki niemu,...

– On nie będzie mógł stać teraz z boku, prawda? Teraz, kiedy powiedziałaś mu, kto bierze udział w zabawie. Przykro mi, ale będziemy mieli widownię – popatrzył groźnie. – Jeżeli nie zabezpieczymy przejścia ładunku, to jesteśmy skończeni, oboje. Ja za niewiedzę, ty za to, że nie przeciwdziałałaś temu, o czym wiedziałaś – potarł swój policzek. Było to jak nieprzyjemne tłumaczenie czegoś dziecku i to raczej naiwnemu.

– Gdybym się nie dowiedział, to zostałbym zwolniony. Ale ty – ty byłabyś uważana za tylko trochę bardziej rozgarniętą od idioty – rozłożył ręce. – Wiesz, wszystkie plotki, jakie kiedykolwiek słyszałaś, są prawdziwe. W nocy są wilkołaki i wampiry! – wyszczerzył zęby. – Tak więc, teraz oboje wiemy już,

co się dzieje, i musimy zrobić to, co powinniśmy zrobić przede wszystkim. Sprawić, aby usunął się grunt pod nogami Aubreya. – A więc, do roboty, i zorganizujemy wszystko. Chcę być w Wenecji dziś wieczorem, ostatecznie jutro rano, i mieć wszystko przygotowane.

Spał na głównej stacji z głową zwieszoną na piersi. Jego obecność była tak samo niezauważalna, jak reszty pijanych czy czarnych oraz kilku farmerów czekających na poranne pociągi. Syn Mary zabrał go na stację Soweto i został w wirze i ścisku wysiadających pasażerów z zapchanych pociągów z miasta. Kilku policjantów nie zwróciło na niego uwagi. Było w tym coś prawie... co? Uprzejmego? Coś powściągliwego w każdym razie, w tym najeździe policji, uwadze, jaką poświęcili odizolowaniu obiektu przy poszukiwaniu białego mężczyzny, w ich nawoływaniu o spokój, uprzejmości wobec Mary i Thomasa – o czym dowiedział się, kiedy zadzwonił do Thomasa do pracy. Mąż Mary był zaskoczony ich łagodnością, ich natychmiastowym zaprzestaniem poszukiwań. Żaden z sąsiadów nie poinformował ich o jego wizycie. Przyciszony głos Thomasa wyrażał nadzieję, że już do nich nie wróci.

Jednak jego hotel był pod obserwacją. Od powrotu na Dworzec Główny miał swoją torbę przy nogach, a obok metalowe pudełko. Służbową windą dostał się do swojego pokoju hotelowego, spakował rzeczy i wyszedł tą samą drogą. Nie rozpoznawał żadnych twarzy, jedynie gesty i pozy. Być może nie jego szukali, ale rozsądniej było uważać, że to właśnie chodziło o niego. Zmobilizowanie policji, nawet do niezbyt ważnego wtargnięcia do Soweto, było zastanawiające, ale wyczuwał, że oceniali go jako zagrożenie.

Skierował mikrofon kierunkowy przez kłujące krzaki, za którymi kucnął, i nastawił głośnik. Śmiechy i hałasy oraz kobiecy śmiech z *braaivleis* na tyłach domu van Vuurena wydawały się zadziwiająco głośne, więc trochę go przyciszył. W słuchawce, którą podłączył do magnetofonu słychać było fragmenty rozmowy. Podniósł lornetkę do oczu. Afrykański zmierzch lśnił w porządnym, otoczonym drzewami ogrodzie z dwoma różnami do barbecue. Twarz van Vuurena była zaczerwieniona od węgla płonącego na jednym z nich. Kiwał głową i uśmiechał się do mężczyzny z brodą. Jaskrawe, wzorzyste ubrania poruszały się jak kępy kwiatów wędrujące przez narastającą ciemność ogrodu lub były zgrupowane jak małe skalne ogródki. Głośny szczebiot, akcent Burów

prawie obowiązujący, jak prezentacja listów uwierzytelniających.

Sprzęt do podsłuchu był łatwy do dostania, prawie za bezcen, nawet na wyprzedazy, o której powiadały napisy nadziei białymi, wielkimi literami na wystawach sklepów, jak gdyby ogłaszającymi koniec państwa represyjnego. Uśmiechnął się ponuro. To miejsce zmieniało się.

Chociaż nie tam w dole. Byli tu ludzie, których rozpoznawał jako członków Partii Konserwatywnej, nawet jeden lub dwóch rodaków należących otwarcie do AWB. Co dziwniejsze, te obrazy, które widział w lornetce, i głosy, które słyszał w słuchawce, ożywiły go, jak gdyby obserwował jakieś stworzenia w szklanych butelkach, jakieś muzealne okazy. Kupienie strzelby i pistoletu także było proste. Sprzedaż broni wzrosła. Był tam jeden lub dwóch chępliwych rewolwerowców, z bronią na grubych brzuchach, w traperskich kurtkach oraz szortach koloru khaki lub szerokich spodniach. Błyszczące, brodate śmiałe twarze. Jeden lub dwóch biznesmenów z Broederbond, jeden czy dwóch sportowców. Van Vuuren miał na sobie koszulkę, która mogła, w ciemności, uchodzić za koszulkę Springbok – drużyny rugby. Anderson przypomniał sobie, że van Vuuren był kiedyś obiecującym graczem rugby do czasu kontuzji kolana. Nie zdobył międzynarodowej sławy, ale wyszedł z tego z wystarczającą ilością kudos, aby rozpocząć karierę w interesach pośród rozgłosu i życzeń powodzenia.

Wielki, pomalowany na biało drewniany dom stał w odległym końcu ogrodu. Był niedaleko *Buiteklub*, miejscowego klubu, którego pole golfowe przeszedł, aby dotrzeć do wzniesienia nad posiadłością van Vuurena. Starannie zasadzone drzewa i krzaki, które wyznaczały granice klubu, zapewniały wspólną osłonę, a łagodnie wznoszący się grunt umiejscawiał go nad tym człowiekiem, jego gośćmi i domem.

Ustawił ponownie mikrofon po ostrożnym, starannym przeczesaniu ogrodu. Steki i *boerewors* skwierczały pośród wystrzałów otwieranych puszek z piwem, gruby lub wysoki śmiech, pewność siebie wyrażana w ruchach i głosach gości. Zapadał wieczór, gdy głos van Vuurena mamrotał jakby w centrum innych głosów w odpowiedzi na uwagę jego brodatego towarzysza.

– Jak słyszałem jutro wyjeżdżasz do Europy, Piet.

Van Vuuren potwierdził informację. Anderson przełknął ślinę, a potem przyłożył swe palce do ust. Triumfalne głosy golfiarzy zabijających węża po

drugiej stronie pola zaskoczyły go, jakby jakaś ręka potrząsnęła go za ramię. Potem przez lornetkę dostrzegł postać Blantyre'a wchodzącą w dym i jasność jednego z roznów na tle kolorowych ubrań i okolicznościowych białych koszul czarnych służących. Blantyre szedł prosto w kierunku van Vuurena i brodaty mężczyzna od razu się oddalił. Anderson przycisnął słuchawkę palcami, ale rozmowa była jak nadawana z bardzo daleka i przerywana odgłosami dochodzącymi z przyjęcia.

- ...znaku po nim, dlaczego się obawiasz?
- Wyjeżdżasz jut... nie będzie śledził...
- ...zainteresowany mną, człowieku?
- ...wiem. Bądź po prostu ostrożny.

Dobiegły go wybuchy śmiechu, okrzyki, świadczące o upojeniu alkoholowym, szczekanie psa, który podskakiwał pomiędzy kwiecistymi sukienkami i jasnymi koszulami, ogniem i dymem. Rottweiler lub coś w tym rodzaju – zapamiętaj to, poinstruował sam siebie z pewnym uczuciem zawodu. Van Vuuren wyjeżdżał następnego dnia do Europy. Blantyre rozumiał, że on, Anderson, był zainteresowany tym człowiekiem, zagrażał mu. Musieli w jakiś sposób odkryć, że śledził van Vuurena na lotnisku w Walvis Bay. Spojrzał na swoją dłoń, która drżała mu tuż przed twarzą. Za nim ostatni gracze w golfa wsiedli do swego pojazdu – musieli raczej polować na ginące piłeczki, raz nawet na węża, niż grać w szybko zapadającym zmierzchu. Pojazd wykręcił i ruszyli pod górkę w stronę odległego budynku klubowego.

Poczuł się osamotniony po ich odjeździe, czuł się niezbyt pewnie, przyczajony nad niczego nie podejrzewającymi *braaivleis*. Nie mógł już dłużej zastrzymać czy powstrzymać pogardy do tych ludzi. Blantyre przypomniał mu o zachowanej przez nich mocy, pozwalającej im kontrolować i ranić. Margarethe pojawiła się jak wieczorny wiatr, powodując jego drzenie.

Blantyre wychodził.

- ...dobrego lotu, człowieku.
- Nie ma się czego...
- Nie obawiaj się człowieka, nie przejmuj się. Już o to zadbano – usłyszał w chwili ciszy. Ktoś głąkał psa, a następne porcje steków i kielbasek zostały podane z okupowanych grilli.

Blantyre przeszedł przez ogród w kierunku domu, skinąwszy głową okrągłej postaci w bieli, która tkwiła jak duch obok patio: duża żona van Vuurena. Cienki, natarczywy głos syna van Vuurena dźwięczał mu ostro w ucho od chwili, kiedy się pojawił, domagając się uwagi, jedzenia i jeszcze więcej uwagi. Córka van Vuurena wydawała się tak samo gruba i niepewna jak jej matka. Blantyre zniknął za rogami domu i prawie natychmiast dał się słyszeć warkot silnika górujący nad hałasem przyjęcia. Anderson zadrżał, ale nie mógł nie uznać, że odczuwał coś w rodzaju ulgi. Blantyre zachowywał się pewnie, nawet na mrocznym trawniku, oświetlanym jedynie okazjonalnymi błyskami ognia z rożna.

Zwinał magnetofon wyjmując słuchawkę z ucha. Miał wiele do zrobienia. To musi być tego wieczora lub w nocy, potem nie będzie już następnej okazji. Zdał sobie teraz sprawę, jak bardzo pusty był jego żołądek i jak nędznie oszukiwał swoje ciało. Van Vuuren wyjeżdżał do Europy rano. Musiał włamać się do swoich dawnych biur tego wieczora i powstrzymać, fizycznie powstrzymać, van Vuurena tej nocy. Musiał poznać to miejsce, wielkość pola golfowego, drogi wiodące do frontowych drzwi van Vuurena. Niezależnie od tego, co wiedział lub zrobił Blantyre, on musi się skoncentrować na Van Vuurenie.

Wziął do ręki niewygodny pakunek złożony z mikrofonu, magnetofonu i aparatu fotograficznego i pogalopował bez tchu w dół wzniesienia, przez pole golfowe.

Zaczęły się pojawiać wielkie gwiazdy; musiał się pośpieszyć.

Laguna była zalana blaskiem zachodzącego słońca, a kilka budynków, na które rzucił okiem i od razu rozpoznał, było zabarwionych urzekającym, surrealistycznym kolorem. Mógł to zobaczyć, zanim samolot obniżył się w kierunku lotniska Marco Polo. Pierwsze, co dostrzegł, gdy koła dotknęły gruntu, to kilka iglic i wież do połowy zatopionych w pomarańczowym oceanie. Silniki zawyły i w smudze światła pojawiły się budynki lotniska, długie kształty rozświetlone pojedynczymi słabymi lampami. Niebo było jasne, a kilka chmur mocno różowych jak pąki kwiatów. Priabin spojrzał na Walentynę siedzącą obok niego w business class. Rzymski rezydent powinien już być na miejscu i wesprzeć zespół z Mediolanu. Około tuzina osób, jeszcze dalsze sześć w klasie ekonomicznej za kotarą, która oddzielała tę część od tłumu pasażerów. Wenecja. W

samolocie zajętych było dwie trzecie siedzeń; większość z pasażerów to biznesmeni; kilkoro turystów w koszulkach z krótkimi rękawami i szerokich spodniach oraz sukienkach wydawało się nie na miejscu. Samolot zwolnił i zaczął kołować w kierunku budynku terminalu. Poinstruowano ich po włosku i angielsku, żeby pozostali na swoich miejscach, a potem w megafonach pojawiła się ponownie denerwująca, tandetna muzyka. Zawsze miał nadzieję, że jeżeli kiedykolwiek będzie uwięziony w samolocie spadającym na góry lub do zimowego oceanu, to w jego ostatnich chwilach świadomości muzyka będzie bardziej odpowiednia.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się do niej, odpinając pasy bezpieczeństwa wbrew instrukcji. Już chciwie i skrupulatnie grzebali w szafkach nad głowami lub wtlączali się w pogniecione marynarki.

To było całkiem proste, nawet zwyczajne. Sam Babbington był zmuszony to przyznać, patrząc na sprawę oczami Priabina. Dostawy musiały być chronione, sprawdzone, zatwierdzone, a potem wysłane dalej. Poza tym były jeszcze dwie sprawy blisko ze sobą powiązane. Bliźniacze w swojej jedności. Likwidacja Hyde'a i Godwina. Zapobiegnięcie znalezieniu przez nich, odkryciu czegokolwiek i poinformowaniu kogokolwiek – oraz całkowite i ostateczne pozbycie się ich. Koniec. Kropka.

Spojrzał na zegarek. Ósma. Przylot nastąpił o czasie. Hyde i Godwin byli właśnie obserwowani przez pierwszą grupę, jaką udało mu się wysłać z Mediolanu – trzeba było działać bezzwłocznie, najwyższy priorytet. Sam Babbington miał być w Wenecji następnego dnia. Jeżeli przyjrzy się operacji i znajdzie wszystko w porządku, może puścić sprawy w niepamięć. Jego kariera i Walentyny byłaby uratowana. Było trochę patosu, częściowo pomniejszonego płaskością głosu spowodowaną połączeniem telefonicznym.

Ale Babbington także był z lekka podniecony i oczekiwał z ochotą czegoś, co było mu znane – małej, typowej mokrej roboty.

Walentyna wstała, kiedy samolot się zatrzymał i drzwi z przodu kadłuba zostały otwarte przez stewardesę. Wsunął się w przejście między rzędami – nie pozwoliła sobie na zajęcie miejsca przy oknie. Uśmiechnął się.

Kropka, koniec – dla Hyde'a i Godwina.

Rozdział dziesiąty

SZYBKO I W MOICH RAMIONACH

Hyde poruszał się z niedbałym pośpiechem ostatniego turysty wychodzącego na zewnątrz pod portykami katedry Świętego Marka. Spojrzał w górę na pozłacane obrazy przedstawiające wielkie dramaty i sprawy. Czuł się spokojny i wyzwany. To była stara gra, jakkolwiek finezyjna i ze zmienionymi priorytetami. Wciąż ta sama stara gra...

...od chwili, gdy go przejęli, najpierw dwóch, a potem trzech. Obserwował bar Harry'ego, gdzie Michael Davies zabawiał kilku obiecujących klientów ze zjednoczonych Niemiec, Czechosłowacji, Francji, a nawet przedstawiciele narodów afrykańskich. Drinkowa sesja właśnie zaczęła nudzić Hyde'a sączącego małe piwo obok Canale Grande, gdzie jeden z wycieczkowiczów gramolił się do pierwszej wieczornej gondoli. Kiedy opierał się zmęczony o stół pod markizą, odwiedzaną przez liczne muchy znad kanału, mógł obserwować drzwi baru. Gdy grono pracowników Daviesa i klientów pojawiło się w wąskiej uliczce biegnącej pomiędzy barem a hotelem do placu św. Marka, podryfował za nimi po to tylko, aby dowiedzieć się, że weszli, śmiejąc się, w zwartej grupie do katedry Świętego Marka. Gołębie wlatywały niczym kłęby szarego dymu, jakby w proteście przeciwko hordom turystów. Hyde wszedł za nimi do świątyni...

...wiedząc, że jeden z nich był właśnie za nim, ponieważ mężczyzna z gazetą, który przechadzał się po brzegu niedaleko baru, był człowiekiem z pubu w Londynie, przed zamordowaniem Kelletta. Czytał gazetę zbyt niecierpliwie, zbyt ostentacyjnie i obserwował Hyde'a oraz bar.

Ktoś w grupie Daviesa był ważny dla Priabina. Człowiek z gazetą nie został zdegradowany do takiej łatwej roboty w Wenecji czy Rzymie, był tu wysłany jako hydraulik, zatykający przecieki, naprawiający pęknięcia w sieci.

Wiedział to z całą pewnością, kiedy posuwał się za na wpół znudzoną grupą Daviesa, która wydawała się mała pod ozdobnymi kopułami, sklepieniami i blokami marmuru. Było jeszcze dwoje innych, a jedną z osób była kobieta, Walentyna, chociaż na początku nie poznał jej w dużych okularach przeciwsłonecznych i jasnożółtej peruce. W końcu zdradził ją sposób chodzenia, jej postawa oraz władczość wyzierająca spod udawanej anonimowości. Więc jedna z osób w grupie Daviesa miała być chroniona – przed nim.

Gdy wyszli z dusznego, ociekającego złotem, ponurego wnętrza katedry ponownie na plac, Hyde był pewien ich intencji. Byli całkowicie skoncentrowani na nim. Wzruszył ramionami i przygarbił się, co mogli uznać za nieświadomość, nawet znudzenie i stał się bardziej czujny wobec swego otoczenia. Gdy przechodził obok gromady turystów i gołębi, uświadomił sobie także, że ma za pasem broń. Niebo nad głowami pociemniało, plac wypełnił się cieniami, a światła kawiarni rozbłyśły, jak gdyby był to wczesny, zimowy wieczór. Prześlizgnął się pomiędzy spacerującymi turystami, minął wystawione bohomy studentów wydziału sztuki, a okoliczne budynki i ich bramy działały na niego przygnębiająco.

Nie powinien tu oczywiście być. Powinien być na terenie wystawy z Godwinem, sprawdzając dostawców Reid Group, stoiska, magazyny. Ale Mestre i wystawa były po drugiej stronie kanału, a Davies znajdował się tu, bawiąc w jadalni pałacu Gritti, zarezerwowanej na pół godziny. Chciał obserwować Daviesa, kiedy ten o tym nie wiedział i nie był chroniony. Nie miał pewności, ale było coś...

Przeszedł przez bramę Ala Napoleonica i do Calle dell' Ascencion, wiedząc, że ciągnęli się za nim, jak ogon za kometą. Grupa Daviesa zatrzymująca się od czasu do czasu przy wystawach sklepowych, rozmawiająca, poklepująca się po ramionach, była przed nim, a on dopasowywał swój krok do ich beztroskiej przechadzki. Wąski pasaż z jasno oświetlonymi sklepami był zatłoczony, jakby powoli posuwał się nim wąż w gorącym słońcu. Nie patrzył za siebie, nawet gdy zatrzymywał się, aby rzucić niewdzięcznym wzrokiem na wystawy, czy też udając, że się waha, jaki wybrać kierunek. Oni także byli zablokowani przez wąskie uliczki między wysokimi budynkami i nie chcieli nic robić, nie widząc drogi stwarzającej im możliwość ucieczki.

Davies, prowadzący swoją grupę jak przewodnik, szedł z nimi na tyły pałacu Gritti. Hyde skręcił za nimi. Nagle wyludniło się, gdy skierowali się w stronę wąskiego mostu. Brudna ściana wysokiego kościoła była szorstka i zimna pod jego dłonią, kiedy zatrzymał się obserwując grupę. Śmiejąc się ruszyli w kierunku światła w hotelowym foyer. Jeszcze jeden mostek, jeszcze jeden kościół, pozłożony przez ostatnie promienie słońca, i znikli mu z oczu. Oparł się o ścianę kościoła Santa Maria z rękami w kieszeni, niezdecydowany i z pozoru znudzony. Bez zainteresowania obserwował turystów, małego psa, dwa koty i grupę Japończyków wlokących się za przewodnikiem z jakąś pałeczką w rękę, którym nieustannie towarzyszyły błyski lamp aparatów fotograficznych. Jeden z błysków objął kobietę, która cofnęła się, jakby została rozpoznana. Był z nią wciąż mężczyzna, ale ten z pubu, który mógł nawet zamordować Kelletta; Hyde nie znał jeszcze jego możliwości. Stali po drugiej stronie wąskiego mostu przed nim.

Japończycy zniknęli w ciemności wieczora idąc w kierunku placu św. Marka. Na ulicy wyraźnie się rozluźniło, kiedy odeszli. Potrząsnął głową, spojrział na zegarek i ruszył w kierunku foyer pałacu Gritti, wydając się zadowolony. Potem odwrócił się i przeszedł przez most. Znany mu mężczyzna oglądał w mroku kartki pocztowe z nagłym zainteresowaniem, gdy go mijał. Zaczął się denerwować, zjeżyły mu się włosy na karku i głowie, świerzbiły go palce – ale było to kontrolowane, nawet przyjemne. Wąskie uliczki i małe jak zabawki mosty były opustoszałe i ciche, dopóki nie dotarł do Campo San Stefano, wiedząc, że odgadną jego zamiar dotarcia do mostu Accademia i że będą się czuli coraz mniej pewni na coraz spokojniejszych ulicach i placach. Na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy. Nędzny, długi *campo*, z kilkoma drzewami i praniem rozwieszonym między oknami. Mężczyzna w podkoszulku pałacy papieirosa w jednym z okien, kobieta z opartymi na parapecie piersiami jak wielkie melony i potarganymi włosami wokół zmęczonej twarzy. Zbliżył się do Canale Grande i wspiał się po drewnianym moście, zatrzymując się na jego środku, pochłonięty widokiem pałaców, kościołów i ciemniejącą wodą. Rozejrzał się uważnie na boki.

Kobiety nie było jeszcze na moście, ale jej towarzysz już się pojawił, w żółtej koszulce rzucającej się w oczy. Mężczyzna z pubu ubrany w jasne spodnie i luźną, niebieską koszulkę przeszedł obok niego na drugą stronę mostu. Dał

znak innemu mężczyźnie na odległym końcu mostu, w cieniu Accademia Belle Arti, gdzie pomiędzy studentami i zwiedzającymi kręciły się gołębie. Jest ich teraz czworo...

...rozdzielić ich, przyspieszyć działanie. Ostrożnie odwrócił głowę i spojrzał wprost na kobietę, czując drganie nerwów w dłoniach, kiedy chwycił balustradę drewnianego mostu. Zatrzymała się, a potem odwróciła, aby spojrzeć na kanał. Uśmiechnął się i przełknął nieoczekiwane podniecenie, które podeszło mu do gardła. Czuł jasność umysłu i lekki zawrót głowy. Miał nadzieję, że Godwin nie był tak samo zagrożony – powinien pomyśleć o tym wcześniej. Godwin tak długo znajdował się w oświetlonych miejscach wśród ludzi wznoszących stoiska, uruchamiających maszyny i urządzenia, że teraz było za późno na obawy.

Opuścił swoje, na pozór tak absorbujące stanowisko na środku mostu i zszedł do *campiello* przed Accademia. Zaczął iść szybciej w kierunku prawie opustoszałych ulic obok galerii. Z dała od Canale Grande, z dała od innych ludzi, zawsze pewien, że byli za nim, czekając na nich, aby zamknęli wolną przestrzeń.

Anderson skręcił z Commissioner Street i wjechał na rampę wielopiętrowego parkingu, rozklekotanym starym fordem. Wyjął bilet z maszyny i barierka się podniosła. Samochód wspiął się na podjazd sapiąc i charcząc jak stary człowiek. Przez opuszczone okno mógł usłyszeć echo astmatycznego, charkotliwego sapania własnego samochodu i od czasu do czasu pisk opon. Wjeżdżał z piętra na piętro, dopóki samochody nie stały się tylko rozrzuconymi punktami onieśmielonymi pustą, parną przestrzenią pośród betonu. Wjechał na miejsce parkingowe i wyłączył silnik. Nastąpiła cisza. Ciepło wieczoru wpadło przez otwarte okno. Odchylił głowę na oparcie, czując zapach benzyny obok siebie oraz przypalony, mdlący zapach frankfurterek i cebuli z dołu.

Anderson wysiadł z forda i zamknął drzwi na kluczyk. Potem podszedł do bagażnika i wyjął metalowe pudełko. Mikrofon i magnetofon leżały jak bezużyteczny sprzęt wędkarski. Zatrzasnął bagażnik. Przyjemna pustka. Do wnętrza wpadały światła z hotelu Marshall i niedalekich sklepów oraz szachownica światła i cieni z wieży budynku MLC.

Ukląkł przy metalowym pudełku i jeszcze raz sprawdził jego zawartość, jak to już zrobił w na wpół opustoszałym pociągu i w tłumie na dworcu, za każdym razem, kiedy budził go z drzemki sprzętacz lub podniesione głosy. Klucze – znał każdy z nich i dotykał każdego jak liter pisma runicznego. Nie zachował dokumentów dotyczących młodej czarnej kobiety, która została zgwałcona; poddał się już prawie na początku tej sprawy, gdy jego starszy kolega Seaward oznajmił, że to i to ma być zrobione z tych a tych powodów... *w porządku Richard? Nie widzę tu problemu. To może się nam przydać, naprawdę...* Prawdę mówiąc, sprawa sądowa, przeniesienie i zażalenie pochodziły z MLC, a on, rzeczywiście, nie widział w tym żadnego problemu.

Gdyby mógł odnaleźć dokumenty oraz dziewczynę, czy cokolwiek, co mogłoby obciążać van Vuurena, to żadna wymówka nie byłaby wzięta pod uwagę. Zapałka do słomy, wszystko by spłonęło. Trzymał klucze przed sobą. Nie było nic więcej w pudełku, co mogłoby mu natychmiast pomóc, jedynie stare kombinacje, numery telefonów, kody do magazynów z przechowywanymi dokumentami. Wepchnął papiery do wewnętrznej kieszeni marynarki, czując zapach suchej, ostrej trawy na rękawie, kiedy to zrobił. Wstał, otworzył bagażnik i włożył z powrotem pudełko. Gotów?

Gotów.

Sprawdził, czy drzwi i okna samochodu są zamknięte, a potem poszedł w kierunku windy w jednym z rogów wielkiej betonowej hali, która teraz wydawała się śmierdzieć starym smarem oraz wszechobecną cebulą od ulicznego sprzedawcy dziesięć pięter niżej. Spojrzał nad betonowym parapetem. Ulica Commissioner była wypełniona światłem, neonami i tłumami ludzi. Po drugiej stronie piętra, gdzie opary nie docierały, widać było światło sklepów pod wielką masą wzmocnionego szkła. Ogromna szklarnia dla bogatych białych dzieci i czarnych z klasy średniej. Choć nawet to mogło się już zmienić, poprawił sam siebie. Jednak niedużo się zmieniło. Wszedł do windy wiozącej do zatłoczonego Marshall Centre.

Drzwi windy rozsunęły się i szybko zamknęły, jakby zniszczone metalowe wnętrze uważało siebie za nieodpowiednie do pokazywania się przed bogatą ornamentyką butików, sklepów, reklam. Wyszedł na chodnik z nieskazitelnych płytek ułożonych w skomplikowany wzór. Trzy piętra drogich sklepów,

dyskretnych supermarketów, kuszących wystaw. Wielki baobab wyginał się w łuk z parteru w stronę ciemnego, ponurego dachu szklarni, a egzotyczne kwiaty i szerokie, połyskujące liście rosły wszędzie; uporządkowana dżungla, niezdolna do odzyskania ziemi pod chodnikiem. Przeszedł przez tłum, poruszając się bardziej zdecydowanie niż krążący wokół, zrelaksowani ludzie w jaskrawych koszulach i sukienkach. Miejsce nie było ani obce, ani znane, jedynie krajobraz, w którym się poruszał. Wejście do biurowca, w którym była jego dawna firma prawnicza znajdowało się, idąc po przekątnej, po drugiej stronie drzwi wind z parkingu. Wielkie, przyciemnione szklane drzwi do budynku MLC były o dwa połyskujące butiki bliżej niego. Wpadł na dwoje młodych ludzi, którzy zachowali się uprzejmie, ale wydawali się rozbawieni jego pośpiechem. Otrząsnął się z tego wrażenia i poszedł do drzwi. Rozsunęły się i wszedł do foyer budynku, w którym były biura Bright, Seaward & Seaward i inne. Ich były młodszy partner wkupiony pieniędzmi, których dostarczył Aubrey po tym, jak uciekł z Anglii, wracał. Uśmiechnął się ponuro, klepiąc się po kieszeni z kluczami. Foyer było puste. Wielka czarna kobieta ciągnęła za sobą wielką szczotkę. Listy z nazwami firm wisiały jak lista prymusów na jakimś uniwersytecie pomiędzy drzwiami do wind. Obejrzał się. Świat pełen tłumów wydawał się zamglony i cichy za zaciemnionymi drzwiami.

W suterenie budynku był ochroniarz, alarmy, zamki bezpieczeństwa i zamki szyfrowe w drzwiach. Jeżeli jakakolwiek kombinacja zostałaby zmieniona, jak również położenie któregoś z czujników podczerwieni, to zostałby odkryty. Alarmy włączyłyby się rozbrzmiewając w najbliższym budynku policji trzy bloki dalej. Oddychając głęboko, wezwał windę pojedynczym, zdecydowanym naciśnięciem guzika palcem wskazującym.

Ciche, szybkie podjeżdżanie windy do piętnastego piętra przyprawiało go o zawrót głowy. Pocił się, gdy zahamowała i drzwi otworzyły się na...

Cichy korytarz; pusty. Chwilę poczekał w windzie, a potem wyszedł i pozwolił, aby drzwi się za nim zamknęły. Korytarz był znajomo obcy; pozostało coś z przeszłości, ale w rzeczywistości była to jedynie niechęć, z jaką wchodził tu każdego ranka. Czy swego rodzaju radykalizm był wywołany zwykłą nudą? Odrzucił ten pomysł.

Biura Bright, Seaward & Seaward leżały na końcu krótkiego korytarza, za drzwiami z czarnego drewna z ozdobnymi mosiężnymi klamkami. Spojrzał na drzwi i połyskujący metal z ironicznym uśmiechem. Wyjął z kieszeni klucze, zbliżając się do nich. Na tym piętrze nie było kamer, chociaż dokumenty, jakich potrzebował, mogły być na piętrze poniżej, gdzie kamery...

Szedł poirytowany myślą o włamywaniu się do swojego dawnego biura. Dotknął klamki Bright, Seaward & Seaward i przełożył klucze do drugiej ręki. Spojrzał w kierunku długiego okna w kącie korytarza i zobaczył daleko przed sobą latarnie uliczne i niewyraźne, ciągnące się jak gąsienice światła samochodów na jednej z autostrad. Zadrżał.

Ostrożnie, dotknięciem, które wydawało się bardzo słabe, włożył klucz do zamka. Przekręcił kluczyk palcami, pocąc się obficie. Zamek łatwo się poddał, usłyszał jego ciche kliknięcie. Otworzył drzwi, które oparły się we wnętrzu na grubym dywanie. Stanął przed szklanymi drzwiami i kasetką z klawiaturą. Nie były otwierane kartą, jedynie należało wybrać numer. Zamknął delikatnie zewnętrzne drzwi za sobą. Jeden zły numer i alarm zabrzmi w piwnicy, a głupi Afrykaner, trzymany przez jego anglofilskich partnerów jako rodzaj białego służącego, obudzi się i popędzi windą na to piętro z pistoletem. Jego palce zawisły nad klawiaturą. Dwa, dziewięć, zero, trzy – dlaczego użył daty swego pierwszego ślubu, kiedy już był żonaty po raz drugi, zapominając i wymazując przeszłość.

Odwołanie! Jego druga ręka spoczywała na klamce szklanych drzwi, naciśkając ją, gdy zakończył wybieranie numeru. Nic – żadnego odgłosu. Odwołanie. Wybrał ponownie numer i słuchał. Cisza na zewnątrz. Światło alarmu pozostało nieruchome. Spocił się znowu.

Numer Brighta – jaki był? Nie data, część numeru, zbyt skomplikowany do zapamiętania. Seaward – stary, nie syn, który był martwy od szyi wzwyż, ale całkowicie żywy w okolicach Łędzwi. Stary Dick Seaward... Uśmiechnął się.

Czyjaś śmierć, najdziwniejszy wybór, jak gdyby nigdy nie chciał zapomnieć. Śmierć jego córki w wypadku samochodowym. Anderson przywołał w pamięci obraz starego człowieka pokazującego mu zdjęcia, grób, nagrobek i mówiącego o wieku dziewczyny i o jej nieskazitelnym życiu. Dziewczyna, która przyszła do niego, ponieważ wiedziała, że nikt jej nie pomoże i że miał

możliwość załatwienia jej aborcji. Nie była zbyt zmieszana, po prostu nieważna i niesympatyczna. Nieoczekiwanie stała się świętą po swojej śmierci na autostradzie w Europie, w dniu, który dla starego Dicka Seawarda był nie do pomyślenia. Ulewny deszcz podczas jazdy, mgła i woda rozprysnięta przez czterdziestopięcioletnią ciężarówkę – no i głowa kierowcy odurzona haszyszem. Za Frankfurt. Znał tak dobrze szczegóły wypadku, ponieważ policja z Frankfurtu była pomocna i dyskretna, i otrzymał oficjalną i nieoficjalną wiadomość, podczas gdy Dick Seaward w następnym biurze – tamtym, na końcu korytarza – wznosił swoją kapliczkę.

Odepchnął od siebie wspomnienia. Poza datą na policyjnym raporcie, tak często obecną na ustach Seawarda – szesnasty stycznia. Kod dostępu Seawarda. Nacisnął cyfry ostrożnie na klawiaturze, wstrzymując oddech.

Nacisnął na drzwi – trzask – otworzyły się. Wsunął się do środka, czując krople potu na czole, zamykając za sobą drzwi omdlałą ręką, pamiętając, że alarm może się włączyć, jeżeli zamek nie zamknie się ponownie. Oparł się o szkło, przyglądając się otoczeniu. Prostokąt niebieskiego dywanu i recepcja, korytarze wiodące w trzech kierunkach, *jak punkty naszego specjalnego kompasu, brakuje jednego kwadrantu*, ogłosił jego starszy kolega, Bright, wywołując uniżony uśmiech recepcjonistki, w dniu gdy po raz pierwszy zobaczył te biura. Spędził w tym miejscu wiele lat, przyzwyczajając się do tego specjalnego kompasu. Aż poczuł się nim zmęczony pewnego ranka, i to bez widocznej przyczyny.

Przeszedł przez gruby dywan. Okno w wewnętrznym foyer wychodziło na rozświetlone miasto. Jego światła rozrzucone były niedbale jak pierwsze południowoafrykańskie diamenty. Potrząsnął głową przechodząc obok biur z nazwiskami na drzwiach. Był tutaj, aby odtworzyć swoje konto, a jego honoraria byłego adwokata były ogromne.

Pomyślał o starym Seawardzie i jego córce, przechodząc obok jego biura i wyobraził sobie panujący w nim nieporządek. Seaward zachowywał się, jakby umarł, ale Bright nie znalazł sposobu, aby się go pozbyć. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, aby pozostać w firmie, jak długo chciał, jako równorzędny partner. Skręcił z głównego korytarza do odgałęzienia z pojedynczymi

drzwiami, bez nazwisk i oznaczeń, prowadzącymi na niższe piętro i do pokoju z dokumentami oraz sejfami. Wyłowił mały pęk kluczy, patrząc na nie prawie z miłością, jak gdyby wszystkie jego wspomnienia z tego miejsca były przyjemne. Potrząsnął nimi, a potem wybrał jeden zapamiętany, odpowiedni klucz i wsunął go do zamka. Żaden alarm nie był połączony z tymi drzwiami. Kamery i kiepsko rozmieszczone czujniki podczerwieni były u podnóża schodów, czekając na chwilę nieuwagi. Pułapka na koty, która miała swoje słabe strony, szczeliny. Spojrzał do tyłu na pusty korytarz, ale trudno mu było przekonać samego siebie, że cokolwiek znajdzie w biurze Seawarda, czy nawet Brighta. Wszystko, czego potrzebował, jeżeli jeszcze nie zostało to pocięte lub wyrzucone, będzie w zabezpieczonym pokoju. Decyzja, aby nic nie robić, oświadczenie dziewczyny, zeznanie van Vuurena na temat próby gwałtu w biurze w tym budynku.

Obejrzał się, jakby oczekiwał, że na pustych ścianach korytarza otworzy się okno. Potem, z jękiem, jakby podnosił ciężar, przekręcił klucz.

Otwarte. Łatwe. Na dole cisza i prawie ciemno. Uśmiechając się na wspomnienie starych przyzwyczajzeń, wszedł za drzwi i włączył światło. Wchodząc na pierwszy stopień, ostrożnie sprawdzał schody, intensywnie przypominając sobie kąty i kierunek niewielkiej liczby czujników podczerwieni oraz ślepych oczu kamer. Gdy już przeszedł przez pierwsze drzwi, do ponurego małego foyer z ułożonymi w szachownicę płytkami, na których afrykański dywanik wyglądał zawsze jak rozlana farba, nie musiał się martwić kamerami czy czujnikami. Dobra robota, Bright, ty stary sukinsynu oszczędzający pieniądze wszędzie, gdzie się da...

Chryste... och słodki Jezu Chryste! Odwrócił głowę i spojrzał w górę schodów na włącznik światła. Ty cholerny idioto! Włączone światło mogło zostać zarejestrowane przez kamery. Strażnik mógł się dowiedzieć, że ktoś tu jest, a jego ekrany mogą być rozświetlone jak cholerna świąteczna choinka.

Było ich teraz sześciu, i on znał ich twarze – byłby w stanie zidentyfikować każdego z nich. Prowadził ich dookoła, nawet w dół do Quantiere Santa Maria, gdzie turyści nigdy nie chodzą, oraz do magazynów opartych o nędzne bloki.

W pierwszej chwili miało się wrażenie, że wpadną do laguny, i La Serenissima będzie miała swój wspaniały koniec. Wodził ich za nos, aby upewnić się, że nie było ich więcej.

Drżał nawet teraz na wspomnienie jednego z członków grupy Daviesa. Novak, Antoni Novak, były starszy pułkownik w wywiadzie czecosłowackim. Novak był tu, z Daviesem. Musiał zadzwonić do Aubreya, ale nie zamierzał teraz ryzykować. Novak to było nazwisko znane mu od zawsze, ale twarz przypominał sobie z trudnością.

Sześciu mężczyzn i kobieta otaczało go teraz na *Fondamenta delle Zattere* naprzeciwko wyspy, gdzie Wenecjanie umieścili Żydów, La Giudecca, z jej przyciemnionymi światłami i nielicznymi wieżami, ponad którymi światła z Lido wisiały jak połyskujące gwiazdy.

Prowadził ich przez doki, potem z powrotem wzdłuż *zattere*, gdy zaczęli chować się w głębszy cień i usłyszał szum krótkofalówek ponad hałasem odbiorników radiowych, telewizorów i podniesionych głosów.

Zadrzał. Czas się z tego wydostać. Gdy kucnął w małym, zamkniętym podwórku czystego starego *palazzo*, który został przekształcony w budynek mieszkalny i spoglądał skromnie w kierunku La Giudecca, usłyszał szuranie butów na gumowych podeszwach za ścianą. Używali radia, koordynowali swoje działania. Problem był w tym, że miał głowę wypełnioną myślami o Novaku. Zadrzał znowu, gdy but zapiszczał jak łasica na promenadzie przy kanale. Światła z wypełnionych hoteli, pensjonatów i kawiarni na Lido połyskiwały za kościołem Zbawiciela, podkreślając jego kopułę i krzyż oraz postać, która przemknęła przez szparę na tle rozświetlonej księżycem tafli wody, z bronią w ręce.

Drgnął, gdy usłyszał, jak w jednym z mieszkań włączony został telewizor wyrzucający z siebie potok włoskich słów. Ponownie przykucnął, krzyżując ręce na klatce piersiowej, opierając podbródek na ramieniu. Światło księżyca połyskiwało na wodzie jasnożłotymi smugami. Karłowate drzewko wyrastało z ziemi jak buntownicza roślina ogrodowa między płytami chodnika. Kot przeszedł obojętnie obok niego. Twarz Novaka wciąż pojawiała się w ciemności, niepokojąc go. Co on tu robił, w Wenecji, z takimi ludźmi jak Davies, Afrykanie czy Niemcy? Kucnął w ciemności, nasłuchując...

Trzask walkie-talkie lub telefonu komórkowego. Usłyszał to, potem jeszcze raz i mamroczący głos. Kobieta, bez wątpienia. Podniósł się przy chropowatym murze i stanął opierając się o niego plecami, z podniesioną głową. Nie mógł rozróżnić słów, jedynie pośpiech wyszeptanej odpowiedzi. Stopniowo, jakby szukając małego supelka w jedwabiu ścierpłymi, niezgrabnymi palcami, zlokalizował ją... właśnie... tam. Oddychał płytko i szybko. Po drugiej stronie muru, na następnym podwórku...

...pot na czole. Przeszukają to podwórko jako następne. Zdawał sobie sprawę, że słyszy głos kobiety z walkie-talkie, natarczywy szept mężczyzny, potem męski głos z drugiego końca kanału zamiast głosu kobiety. Słyszał w tonie władczość, głos w jakiś sposób znany, mimo że nie mógł rozpoznać słów. Potem odgłos *vaporetto* lub silnika wodnej taksówki zmierzającej w kierunku Lido zagłuszył wszelkie inne głosy, a jego palce bębniły po ścianie za plecami jak palce pianisty. Diabli nadali. Ciemność była gorąca, bezwietrzna, księżyc wisiał nad ścianą podwórka wlewając w nie srebrne światło – na pochylające się drzewo, na błysk oczu kota na rogu budynku. Powoli odgłos *vaporetto* ucichł.

Z narastającej ciszy dotarło do niego mamrotanie głosów z jednego z mieszkań, a potem ostry, dziecięcy krzyk. Po chwili nieobecność trzasków i szeptów po drugiej stronie muru. Hyde zmusił się do bezszelstnego prześlizgnięcia się w kąt przy murze, a potem ruszył w kierunku wejścia na małe, gorące podwórko. Nagle, zaskakując go w cieniu drzewa oświetlonego światłem księżyca, ponownie dał się słyszeć telefon lub trzask radionadajnika.

To musiał być głos Priabina. To był ten znany mu głos. Przełknął ślinę. Trzymał spocone dłonie przyciśnięte do muru. Obserwował pochylony cień, czekając, aż odpowie. Mężczyzna był wciąż na szerokim chodniku *zattere*. Hyde wyteżał słuch, aby usłyszeć wymianę zdań po rosyjsku.

– ...tutaj, wiem to, generale. Potrzebuję wsparcia.

– Odwołuję to – usłyszał Hyde w odpowiedzi. Dlaczego? – Wszystkie jednostki... – gdzie był Priabin? Z kobietą?

Nie. Jej głos eksplodował w ciszy, prawie jakby była obok mężczyzny, którego cień padał na podwórko.

– ...musi być usunięty! – usłyszał, a potem odpowiedź Priabina:

– Chcesz mu się tłumaczyć?

– Pięć minut! – błagała kobieta doprowadzona do wściekłości. – Tylko pięć minut! Maksym, jesteś pewny?

– ...widziałem go wchodzącego na jedno z tych podwórek... potrzebne posiłki. Sir, możemy... – cholera, Priabin miał zamiar się poddać.

– Gdzie dokładnie? – Priabin wahał się.

– Około kilkuset metrów od pana, sir. Naprzeciwko kościoła, dokładnie naprzeciwko.

Nastąpiła cisza.

– Dobrze więc, pięć minut. On przyjeżdża za godzinę.

Znowu chwila ciszy.

– Wszystkie jednostki.... – I coś jak „skupcie się”. Potem cień, który przyciskał swój nadajnik do twarzy, jakby go bolał ząb, zaczął szeptać, a Hyde szedł brzegiem do końca muru, oceniając długość cienia, odległość do szepczącego głosu, słuchając też tego, co poza nim, spodziewając się pierwszych szybkich kroków nadchodzących posiłków.

Decyzja. Ruch. Cień odwrócił się, prostując się w szoku, gdy Hyde przeszedł kilka kroków, zbliżył się do mężczyzny uderzając go w twarz i w brzuch zaciśniętą pięścią. Potem rąbnął go z boku w szyję, a nadajnik zabrzączał na bruku.

Kroki. Odwrócił szybko głowę. Dwóch mężczyzn biegnących w jego kierunku od starego Domu Celników...

...oraz *łódź*. Nagle, *vaporetto*, o którym sądził, że skierowało się do Lido, okazało się małą łodzią motorową połyskującą w promieniach księżyca, trzydzieści lub więcej metrów od brzegu *zattere*. Warkot jego silnika dał się słyszeć razem z odgłosem strzału. Widział kobietę i Priabina, prawdopodobnie, na dziobie. Był tam trzeci mężczyzna, stojący z boku, odwrócony profilem, z lekko uniesioną głową. Hyde nie mógł dostrzec strzelby. Skulił się i ruszył w stronę wejścia na następne podwórko. Pierwsze kule wyrwały kawałek muru nad jego głowę. Potem znów pogrążył się w ciemności. Oddech zagłuszał odgłos biegnących stóp; oni byli prawie zamaskowani spotęgowanym warkotem silnika łodzi. Uczepił się krawędzi muru, potem podciągnął się i przeskoczył na drugą stronę. Wąski kanał, który łączył Giudecca i Canale Grande, stał się widoczny, kiedy światło księżyca prześwietlało ciemność przytłumionym blaskiem jak przez mgłę.

Zatrzymał się, przycisnął się plecami do muru dwa lub trzy kroki od oświetlonego kwadratu okna. Coś, jakby szczur, przebiegł blisko jego stóp, a potem wskoczył do wąskiego kanału z cichym pluskiem. Zadrżał. Nasłuchując, odkrył niecierpliwe głosy ludzi poruszających się przy murze. Zawahał się, a potem zaczął szybko iść wzdłuż kanału, mijając przypadkowego chudego psa i wąskie alejki, przechodząc przez mały most, oddalając się ostrożnie od...

Snop światła reflektora na dziobie łodzi. W jego blasku zobaczył zarys starszej gondoli. Przesunął się po ścianach odrapanych budynków, a potem zdawał się szukać jego, zalewając go blaskiem i wywołując w nim trwogę. Głos kobiety, był tego pewien, słyszany przez trzeszczący megafon, odrzucający wszelką ostrożność.

Biegł blisko muru, drapiąc ręce i ciało, jak gdyby chciał się w niego wtopić. Przed nim były światła hoteli i pałaców wzdłuż Canale Grande, ale oni zdawali się wycofywać do małego kanału. Usłyszał znowu huk wystrzału.

Obsunęła mu się ręka i zachwiał się. Zobaczył przed sobą wylot w murze jak przecięcie nocy, najwęższą z alejek. Wpadł do niego, tracąc równowagę, a potem biegł dalej, kiedy odłamki kamieni oderwały się od muru blisko niego. Świst kul, żadnego wybuchu. Priabin wydał rozkaz strzelcowi, aby założył tłumik. Słyszał kroki i krzyki.

Kościół wyłonił się przed nim jak nieprawdziwy w małym *campo*. Inne wieże i kopuły wyrastały za nim jak góry. Światła Wenecji były jaśniejsze. Odgłos motoru łodzi ustał, ale kroki były teraz bardziej natrętne. Wyciągnął pistolet zza pasa i spojrzał na wyjście z wąskiej alejki. Jego drżące ramię uspokoiło się, opierając się o szorstką, brudną ścianę kościoła. Wypalił natychmiast, gdy ciemna postać stała się widoczna. Nie wiedział, który to z nich, dopóki nie stoczył się na ziemię, krzycząc i trzymając się za udo. Druga postać cofnęła się do głębszego cienia.

Światła w oknach zapalały się z ociągającą się regularnością ludzi wstających do pracy. Ale to był wyraźnie alarm, sądząc po sposobie zaciągania zasłon. Nie mógł przekazać im jaśniejszego sygnału, że jest w rozpaczliwym położeniu, niż raniąc mężczyznę, który pojawił się w świetle księżyca. Hyde uśmiechnął się i wypalił jeszcze dwukrotnie w otwartą paszczę alei, ale nikt nie strzelił w jego stronę. W jednym z otwartych okien krzyczała kobieta. Potem

pierwsze dwa strzały bez ostrzeżenia z broni snajpera oderwały tynk ze ściany, pozostawiając rysy. Hyde pochylił się i cofnął. Czekał. Kobieta nadal krzyczała, nawet za okiennicami, które zamknął jej mąż. Mężczyzna na ziemi wciąż wił się z bólu i przeklinał.

Hyde słuchał własnego oddechu. Jakąkolwiek wybierze drogę, która nie byłaby przez nich zablokowana, oddali się od mostu przez Canale Grande, w stronę zwężającego się skrawka ziemi, który był starym punktem celnym. Mogliby go tam łatwo zabić.

Mężczyzna na ziemi został zachęcony do przyczółgania się w cień alei. Białe dłonie zatrzepotały w świetle jak skrzydła nietoperza, ponaglając go. Potem ręce pochwyciły go. Zajęczał, kiedy podniesiono go do góry i jego przekleństwa nagle ucichły, aby po chwili wybuchnąć w jeszcze ostrzejszym, gwałtownym proteście przed bólem...

... i pośpiechem. Odchodzili. Odetchnął z ulgą, opierając głowę o ścianę. Słyszał teraz, tak samo jak i oni, syreny policyjnych pojazdów otaczających miejsce od strony Domu Celników lub też już przy kanale Giudecca. *Muszę złożyć raport o strzelaninie. W Wenecji? Na szczęście w ogóle przyjechali, to mogła być cosa nostra, a co by wtedy zrobili gliniarze? Ktoś ukradkiem wychylał się z pobliskiego okna, chudy mężczyzna w brudnej koszulce, który zobaczył go i krzyczał coś wskazując na niego, ale został wciągnięty z powrotem przez dużą kobietę w ciasnej sukience w kropki...*

...potem Hyde przemknął przez plac do miejsca oświetlonego blaskiem księżyca, znów z niego wyskoczył do cienia najbliższego *calle*, które nagle przeszło w następny *campo* z nieodłącznym kościołem.

Gdy biegł w stronę nabrzeża Salute, aby znaleźć *vaporetto*, zastanawiał się, kto przylatywał za godzinę i był dla nich tak ważny, że zrezygnowali z szansy zabicia go. Chryste, ktokolwiek to był, miał prawdziwą władzę i musiał być z centrali w Moskwie. Przylatywał, czy też może przyjeżdżał pociągiem? Przylatywał...

Więc dla ciebie Marco Polo, mój synu – i te sukinsyny będą tam, chociaż niekoniecznie oczekując ciebie.

Kiedy dotarł do nadbrzeża Salute, a *vaporetto* warczało i sapało kierując się do brzegu kanału, zaczął drżeć, czując nudności.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca przeświecały przez firanki w oknach tak delikatne i przejrzyste jak sieci. Młody Darren Westfield czuł się na tyle dobrze, na ile pozwalały mu na to macierzyńskie uwagi pani Grey. Siedział na brzegu miękkiego fotela w salonie przewodniczącego Komitetu do spraw Wywiadu. Aubrey śmiałyby się w duchu ze zmieszania chłopca, gdyby nie przeszkadzały mu w tym zmartwienia. Do pokoju wpadła osa, więc złapał ją w filiżankę, przykrywając talerzykiem i wypuścił na dwór przez otwarte okno. Szkoda, że nie mógł zrobić tego samego ze swoimi obawami.

Aubrey spojrział na stos notatek i dokumentów u swoich stóp. Nie wydawało się to zmniejszać jego dostojności, dopóki młody Westfield był zakłopotany, ale według niego świadczyło to o tym, że jest starym człowiekiem, dobrze czującym się w bałaganie. Coś w tym było...

Jaką możliwą ekspertyzę Novak mógł zaproponować MLC i Dumas, która byłaby legalna? Novak był jednym z najbardziej przebiegłych i brutalnych, ze starej szkoły. Wydawał rozkazy zabicia z łatwością, był mistrzowskim śledczym w swym brutalnym stylu, kierował ludźmi bez skrupułów i z perfekcyjną zręcznością...

Potrząsnął głową. Być może zakwalifikował się jako narodziły na nowo kapitalista, z takim życiorysem!

Bzdury. Albo zapewnił sobie potajemnie władzę, którą Malan mógł wciąż wykorzystywać w stosunkach z Babbingtonem, albo... co?

Zadzwoił telefon, zaskakując go. Podniósł słuchawkę.

– Patrick, tak.

– Nie mam zbyt dużo czasu. Ktoś przyjeżdża mniej więcej za godzinę, ktoś ważny. Śledzę Priabina, cały gang jest tutaj.

– Co z Tonym?

– Nie wiem. Sprawdzę później. Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć. On tu jest. Były starszy pułkownik Antoni Novak z wywiadu. Ubrany w garnitur biznesmena i zaproszony na obiad przez Michaela Daviesa. Okay? Będę w kontakcie.

Aubrey odłożył słuchawkę i spojrział zdziwiony i zadowolony na sufit. Novak. Uśmiechnął się. Specjalista od biznesu! Kontrolował kontakty pomiędzy IRA, Kadafim i resztkami grup terrorystycznych w Europie. Kiedyś został

nawet sfotografowany z Saddamem Husseinem. Potrząsnął głową, jakby chciał, żeby mu się w niej rozjaśniło. Ale Novak z Daviesem? W Wenecji, w interesach?

Prztyknął palcami, patrząc na młodego Westfielda.

– Darren, sprawdź zdjęcia z obserwacji, które zrobiłeś ty albo biedny Chambers. Z różnych kontaktów, nie tych z inwigilacji w NatWest Tower.

Westfield podał mu je, a on zaczął je przeglądać. Priabin i człowiek wciąż rozpoznawalny pomimo nowych ubrań, nowego uczesania, wąsów – Antonin Novak. Priabin, kobieta, Novak i Van Vuuren. W restauracji, na ulicy, kobieta mrużąc oczy w słońcu po zdjęciu wielkich, modnych okularów przeciwsłonecznych. Aubrey tylko mruzczał.

– Coraz bardziej zadziwiające – wymamrotał. Było jeszcze coś, co go mężczyło. Coś, co zauważył albo skojarzył szybko w pamięci. Co to było? – pytał sam siebie.

– Darren, gdzie są nazwy tych firm pułkownika Novaka, które teraz pracują z takim kapitalistycznym ferworem? Znajdź je dla mnie.

– Firmy związane z Dumas, firmy z którymi Novak ma kontakty? – wymamrotał Darren szperając w górach papieru. Zajrzał do swoich notatek, sprawdził kolejną stertę.

Aubrey patrzył z niecierpliwością, czując ucisk w piersiach, jakby miał mieć nawrót dusznicy. Pomasażował klatkę piersiową, drugą ręką stukając nerwowo w oparcie fotela. To miało coś wspólnego z terenem dawnych ekspertyz Novaka, może z Libią lub IRA – miało to jakiś związek, ale to nie było jeszcze jasne, do diabła!

Potem Darren podał mu zapiski nagryzmołone przez Hyde'a.

– Proszę, sir, przepraszam, że to tak długo trwało.

Spojrzał na obie nazwy, jakby były kryształami powoli zanurzającymi się w zawieszistej cieczy. Och mój Boże, mój drogi Boże...

Jedna z firm produkowała semtex – materiał wybuchowy i w przeszłości dostarczała go do Libii, która znów zaopatrywała w niego IRA i innych czarnych aniołów europejskiego terroryzmu. Druga firma była producentem bardzo nowoczesnej, bardzo skutecznej małej broni, moździerzy, broni przeciwzołgowej, wyrzutni rakiet. Koło zamknęło się z wielkim trzaskiem. Malan, Reid Group, Dumas, a teraz Novak. Przesyłanie broni do... białej Republiki Południowej Afryki?

Broń i materiały wybuchowe – i ludzie w Republice Południowej Afryki, którzy użyliby ich przeciwko innym.

– Darren, szybko! Chcę, aby te dwie firmy zostały sprawdzone od dołu do góry – wszystko, co produkują i produkowali, czy też nawet mogą produkować!

Mój Boże, przypomniał sobie, a potem zobaczył na kartce, którą wciąż trzymał w ręku – paraliżujące gazy bojowe działające na psychikę. Jedną z tych przeklętych firm była kiedyś producentem *gazu bojowego* dla Układu Warszawskiego.

– Tak, obydwie firmy – jedna na peryferiach Pragi i druga w Pilźnie. I połącz się z Tonym Godwinem, muszę natychmiast porozmawiać z nim i Patrykiem! Pośpiesz się, młody człowieku, pośpiesz się!

Rozdział jedenasty

W TAKĄ NOC JAK TA

Dwadzieścia trzy minuty. Stracił tak wiele czasu....

Strażnik nie został zaalarmowany światłem, które tak głupio włączył, a potem w panice wyłączył, zmuszony do wejścia z powrotem po schodach w stronę wyłącznika. Czekał w ciemności na szczycie schodów na otwarcie się drzwi, na dźwięk alarmu i syreny samochodu policyjnego. Usłyszał jeden sygnał, który spowodował głośne bicie serca, ale syrena ucichła, gdy wstrzymał oddech, jak ciche bzyczenie owada w przytłumionym szmerze ruchu ulicznego na dole.

Jego złość spowodowała, że stał się nieuważny, niedbały. Registratory leżały rozsypane na zimnych płytach podłogi w zabezpieczonym pokoju, a ich zawartość wyłaziła jak białe i różowe języki. Szuflady były rozdziawione jak szczęki. Nie mógł znaleźć tego, co chciał, chociaż wydawało się, że nie wprowadzono żadnego nowego systemu archiwizacji. Inne rzeczy były na swoich miejscach, dochody współdziałowców, szczegóły dotyczące udziałów, podatki, pensje personelu i premie, wszystko tak jak kiedyś. No i stare dokumenty – precyzyjne, fałszywe, polityczne i pozbawione skrupułów – były tam gdzie zawsze. Otwierał kluczami szafy, przerzucał palcami dokumenty, rozpoznając nazwiska powódek, klientów, mistyfikacje i oszukaństwa – ale nic na temat dziewczyny czy van Vuurena! Nie w tych szafach i w dokumentach Malan-Labuschagne. Znalazł papiery, które mogłyby wysłać Brighta i starego Seawarda do więzienia na lata, ale nic na temat van Vuurena, poza przekroczeniem przepisów drogowych!

Anderson zatrzymał się, przecierając brwi wierzchem dłoni. Potem złapał za brzeg otwartej szuflady, która była na wysokości jego piersi, jak gdyby potrzebował nagłego oparcia. W sterylnym, zimnym pokoju światło było przytłumione.

Wyminął jedną kamerę, która była skierowana w dół schodów prowadzących na zewnątrz i dwa czujniki podczerwieni, które ją wspierały, prześlizgując się wzdłuż ściany, a potem przykucając, jak wielki gryzoń, aby dostać się do wewnętrznych drzwi. W samym pokoju nie było żadnych zabezpieczeń, więc dlaczego nie mógł otworzyć, skoro miał dobre klucze? Do cholery, dlaczego? Walił pięściami w brzeg szuflady, dając wyraz swojemu rozczarowaniu. Dwa-dzieścia pięć minut od chwili wejścia na niższe piętro. Był w tym cholernym miejscu, chociaż przysiągł sobie, że nigdy więcej nie stanie tu jego noga, popchnięty sprytnym planem, który tak go zawiódł. Czuł zimny pot na czole i pod pachami. Pochylił głowę, aż oparła się o szufladę, która zazgrzytała metalicznie pod jej ciężarem.

Gdzie, na miłość boską? Czy oni je zniszczyli? Chyba nie Bright, chociaż mógł to zrobić Seaward w przyływie jednego z tych nagłych napadów uczciwości, na które cierpiał od czasu śmierci córki. Kapryśna, skruszona moralność, która mogła pchnąć go do usunięcia tych tajnych akt. Potrząsnął głową. Nie wiedział. Mogły zniknąć także inne dokumenty. Pomyślał, że pamiętał inne, w większości związane z załatwianiem aborcji, romansami czarnych z białymi, które źle się kończyły. Były tam inne sprawy, takie jak van Vuurena – nawet śmierć dziewcząt lub czarnych służących zabitych w gniewie przez zatrudniających ich białych. Trafił na kilka z nich. Nie wiedział o połowie spraw załatwianych przez lata w biurze Brighta albo w jego domu w Parktown, o tej mroczniejszej stronie praktyki, lub o rzeczach, w których Seaward uczestniczył, zanim śmierć córki spowodowała pęknięcie jego świata jak skorupki jajka.

Oddychając głęboko, otworzył pozostałe szafki i wysunął szuflady, chaotycznie przeglądając dokumenty; bezsensowne sprawdzanie, jedynie zajęcie się czymś przed przyznaniem się do porażki. Gdzie, do diabła, gdzie? Trzydzieści minut, trzydzieści pięć... płytki podłogowe były zaśmiecone wyrzuconymi teczkami i papierami. To nie miało znaczenia. Kto by się domyślał zresztą, że to on?

Czterdzieści minut. Nic. Otworzył sto tajnych teczek i dwa razy znalazł nazwisko van Vuurena jako świadka. Wiarygodny świadek!

Zatrzasnął szufladę i odwrócił się do niej, kopiąc na boki papiery i tecki, gdy szedł w kierunku drzwi. Urażona duma dopadła go jak pies atakujący kostki.

Złość wywołana zawodem i poczuciem bezsilności była gorsza. Ostrożnie otworzył drzwi zabezpieczonego pokoju, obserwując czujniki podczerwieni, umieszczone na przeciwległych ścianach, i pojedynczą kamerę; widział na podłodze wyimaginowane ślady swoich kolan, rąk i pleców, kiedy przechytrzył system zabezpieczenia. Kosztowny, zawodny system Brighta. Ale to oszustwo nie przyniosło mu ulgi. Opadł na kolana i oparł się na rękach gotowy do ucieczki po podłodze, patrząc przez cały czas w górę na czujniki podczerwieni skierowane w jego stronę, których nie wolno mu było uruchomić poruszając się, i patrzył w małe ślepe oko, które zapaliłoby się, gdyby...

Zapaliło się.

Temperatura. Nie tylko cholerny ruch, temperatura. To nigdy dobrze nie funkcjonowało. Aby zarejestrować wzrost temperatury, musiałby tu wejść cały cholerny gang, a nie jeden intruz, ale był rozgrzany ze złości i zawodu. Płonął, na miłość boską!

Skuilił się pod ograniczonym polem widzenia kamery i otworzył drzwi. Czy alarm był podłączony do policji, czy tylko do piwnicy? Nie pamiętał, więc zatrzasnął za sobą drzwi i uciekł po schodach, po grubym dywanie obok swojego dawnego biura i obok biura starego Seawarda. Powinien zejść po schodach, ten głupi sukinsyn z piwnicy pewnie wjedzie windą. Gorąco jego ciała okpiło go.

Wpadł na szklane drzwi zostawiając gorące ślady dłoni, które zniknęły, gdy szkło znów się ochłodziło. Biuro Seawarda, strażnik, winda wjeżdżająca na górę, biuro Seawarda – napady poczucia winy u starego człowieka, moralne oczyszczenie z powodu śmierci córki. Myśli przychodziły szybko poza falami strachu i paniki. Seaward przeważnie upijał się głupio popołudniami w swym brudnym biurze za opuszczonymi żaluzjami. Poczucie winy narastało w nim. *Seaward skończy, winiąc się za wszystko* – ile razy to mówił? Rozejrzał się dookoła w panice, a odległość do biura Seawarda wydawała się ogromna. Mógł prawie usłyszeć wjeżdżającą szybko windę. Seaward mógł zabrać i ukryć materiały, dotyczące odszkodowań za zranienie lub zabicie czarnych, szczególnie młodych, kobiet. Trzy tezki, o których wiedział, poza dziewczyną, która do niego przyszła, zniknęły. Młoda czarna kobieta albo zabita, albo wykorzystana, albo jedno i drugie. Z tego, co wiedział, powinno być jeszcze jakieś pięćdziesiąt innych.

Wrócił po omacku korytarzem i chwycił za klamkę przy drzwiach do biura Seawarda. Spojrzał w stronę szklanych drzwi i drzwi z ciemnego drewna za nimi. Były wciąż zamknięte. Nie słyszał syren na ulicy. Zamknięte. Odsunął się i kopnął w fornirowane drzwi, potem jeszcze i jeszcze raz. Zamek puścił. Teraz powinien zabrzmieć kolejny alarm, jeżeli Seaward zadbał o to i nie zapomniał go włączyć. Anderson wpadł do biura, kaszląc z wysiłku. Zapalił światła, które odsłoniły ruinę tego miejsca. Nieporządek, zapach cygar i whiskey w sterylnym powietrzu. Żaluzje opuszczone, biurko zaśmiecone papierami, szafy pootwierane, szuflady nie zamknięte na klucz. Po zamknięciu i zaklinowaniu drzwi stanął za biurkiem Seawarda i otworzył kilka szuflad. Stało na nim zdjęcie jego nieżyjącej córki, wyglądającej posępnie w blasku słońca w ozdobnej srebrnej ramce. Przerzucił sterty teczek i papierów, a potem kucnął za biurkiem, aby nie zostać dostrzeżonym natychmiast przez kogoś, kto otworzy drzwi wyłamując blokadę. Wszędzie ślady świadczące o upadku Seawarda. Butelka w szufladzie, szklanka w drugiej, jak gdyby ta separacja była wszystkim, co mógł osiągnąć. Nic, nic...

Usłyszał bzyczenie zamka bezpieczeństwa, gdy ktoś wprowadził odpowiedni kod. Zatrzymał się, czekając; spojrzął w dół na swoją rękę spoczywającą na stercie teczek na dnie szuflady po prawej stronie. Cicho przerzucił je jedna po drugiej, czytając afrykańskie nazwiska na nalepkach. Trzy, cztery, pięć – tę pamiętał, znalazł je – a potem ta dziewczyna, Veronica Mokesi. *Ta Mokesi kłamie* – przypomniał sobie głos van Vuurena, widział jego pogardliwie wyдутe usta, gdy gładko wyrzucał z siebie kłamstwo.

Drzwi biura Seawarda zostały odepchnięte na centymetr i napotkały na opór blokady. Seaward nie potrzebował blokady przez lata, jego drzwi były zawsze niegościnnie zamknięte przed światem. Potem drzwi zostały popchnięte i otworzyły się; usłyszał afrykański akcent – znany głos Roetsa, tego człekokształtnego ochroniarza.

– Czy to pan, panie Seaward? Proszę wyłączyć jeszcze raz alarm.

Potem odkrył swój błąd, kiedy klamka bezwładnie szcęknęła mu w garści, co go zdziwiło i wzbudziło w nim podejrzenie.

– Dobra, sukinsynu, wyłaż, żebym cię mógł zobaczyć! – rozległ się za chwilę jego głos. Krępa, brzuchata postać Roetsa była usytuowana w głębokim cieniu w drzwiach, a potem stała się widoczna, kiedy wszedł do środka. Veronica

Mokesi. Teczka była pod jego spoconymi palcami.

Anderson wstał z podniesionymi rękami, nagle uspokojony i zdecydowany. Uśmiechnął się, widząc zdziwienie Roetsa, który z wolna uświadamiał sobie, że intruz był mu znany.

– Co... człowieku, co tutaj do diabła robisz? – wyjącał.

Anderson spojrział w dół. Czarne dziewczyny w teczkach, napastowane i przekupywane... i Veronica Mokesi. Na zdjęciu w teczce powinna mieć posiniaczoną twarz.

– Dobry wieczór, Roets. Co za pech – jego akcent zawsze irytował Roetsa. Twarz mężczyzny wyrażała pogardę, w rękę pojawiła się broń. – Przyjechałem po coś. Tylko o kilka lat spóźniony, to wszystko.

– Chciałeś powiedzieć, włamałeś się! No cóż, zaczekamy teraz na policję, człowieku. Alarm przechodzi przez stację. Będą tutaj za minutę. Możesz z nimi o tym porozmawiać, kiedy będziesz wychodził – zaśmiał się. – Siadaj na krzesło – rozkazał Andersonowi i sam opuszczał się właśnie na szeroki, skórzany fotel obrotowy, który zatrzeszczał w gorącej, zatechłej ciszy pokoju. Roets wepchnął z powrotem czapkę na głowę i podniósł swój pasek wyżej na brzuchu.

– Dziękuję, Roets. Trochę whisky pana Seawarda? Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli ja się napiję?

– Ręce na biurko!

Anderson wzruszył ramionami. Własny spokój i brak zdenerwowania sprawiały mu przyjemność. Pogarda zawsze przychodziła łatwo, jako swojego rodzaju emocjonalne wsparcie. Poruszał palcami na brzegu biurka, jakby grał na fortepianie, widząc obok biurową suszkę, ciężką srebrną ramę przy zdjęciu i zestaw piór z wyrytym napisem na pamiątkę jakiejś charytatywnej akcji. Teczka Veroniki Mokesi leżała na wierzchu, jak gdyby sama dziewczyna na niego spoglądała.

– Chryste, człowieku, co ty tutaj robisz? – zapytał Roets, jak gdyby czuł się zmuszony do przerwania ciężkiego milczenia.

– Stare interesy, Roets. Nie dokończone sprawy.

– Seaward nie trzyma żadnych pieniędzy w swoim biurze, człowieku.

– Wiem o tym, Roets – pewność w jego głosie zdenerwowała mężczyznę. Podniósł głowę przechylając ją na bok, nasłuchując. Anderson zastygł, kiedy

usłyszał z daleka pierwsze zawodzenie syreny policyjnej. Jednak nadal był spokojny, niewzruszony. Roets pocił się.

– Nie chodzi o pieniądze, Roets. To byłoby zbyt proste.

– Nie mów mi, człowieku, zachowaj to dla glin. Mnie to nie obchodzi. Ja tylko złapałem cię, jak się włamałeś. Ciesz się, że cię nie zastrzeliłem!

– Nie takie to proste, Roets. Mogą być pytania – jego ręce nadal wystukiwały coś cicho na biurku. Zdjęcie w ramce, suszka, otwieracz do listów, zestaw piór, przycisk do papieru.

Roets wzruszył ramionami w odpowiedzi i spojrzał na pistolet w garści. Wyraźnie pomagało to jego chronicznemu poczuciu niższości. Przycisk do papieru. Jakiś chropowaty kamień, który błyszczał jak złoto głupców, przytwierdzony do małej, czarnej podstawy. Znajdował się obok ponurej dziewczyny na fotografii. Musiałby wstać szybko i złapać go w tej samej chwili i...

Syrena. Uśmiech Roetsa potwierdził to.

– To musi być taksówka, którą zamawiałeś, panie Anderson – zaśmiał się.

Skoncentruj się... pozwól najpierw opaść temu jego lekkiemu napięciu... skoncentruj się. Będzie musiał to schwycić, podnieść i rzucić. Roets siedział trzy metry od niego. Nie mógł chybić. Teczka Veroniki Mokesi patrzyła na niego z szuflady i czuł się podniecony sukcesem odnalezienia jej i perspektywą, że van Vuuren...

Syrena była teraz głośniejsza, powracająca jak na zwolnionym nagraniu. Roets wciąż się pocił. Podnieść i rzucić, podnieść i...

Rzucił ciężkim przyciskiem do papieru w Roetsa, który instynktownie pochylił się, szybko jak na tak dużego mężczyznę, ale jego ciężar przewrócił fotel, na którym siedział. Osunął się na kolana i pozostał tam wystarczająco długo, aby Anderson wyskoczył zza biurka i kopnął w głowę, trafiając w skroń czubkiem ciężkiego buta. Potem kopnął go jeszcze raz, z większą premedytacją, jego lewa noga uderzyła w nadgarstek Roetsa, rozluźniając uścisk palców trzymających pistolet. Oczy Roetsa zmętniały, a jego głowa opadła. Anderson podniósł pistolet i wahał się jedynie przez moment. Teczka. Porwał ją z szuflady, przyciskając mocno do piersi. Prezent dla van Vuurena.

Na zewnątrz syreny ucichły. Oni także skorzystają z windy, ale mogą zablokować schody na dole. Uchwycił swoje odbicie w szkłe ze zdjęcia dziewczyny. Wystarczająco biały i wystarczająco czysty. Idź z pewnością siebie, idź

z Bogiem. Uśmiechnął się do nieprzytomnego Roetsa.

Potem wybiegł z biura, ściskając teczkę, zostawiając pistolet niewinnie na biurku obok zdjęcia dziewczyny.

– Tak, to na pewno on. Nie mógłbym go chyba z kimś pomylić, prawda?

Głos Hyde'a był zmieniony i słaby, jakby szeptał. Zaskoczenie spowodowane rozpoznaniem przez niego Andrew Babbingtona przylatującego do Wenecji nie przyczyniło się do rozjaśnienia sytuacji. Aubrey wciąż patrzył na rozgardiasz koło nóg, trzymając kryształowy kubek ze swoją drugą małą whisky w prawej dłoni, a słuchawkę lekko przyciskał do policzka. Babbington, po tych wszystkich latach, był umiejscowiony w przeszłości, mało realny. Aubrey, zamyślony, potarł skronie trzymanym w ręce kubkiem. Jedynie ponurość Darrena Westfielda wydawała się wystarczająco rzeczywista, ale mogła to być po prostu grzeczność i nic poza tym. Przede wszystkim nie było żadnego dowodu, że kontakty Novaka są aż tak groźne, jak sądził Aubrey.

Jedynie szczegółowa dokumentacja porozrzucana wokół jego fotela. Pani Grey położyła się do łóżka, patrząc na niego z wyrzutem, że pozbawia młodego Westfielda snu, tego *dorastającego chłopca*, za jakiego, jak przypuszczał, go miała. Kolacja, którą przygotowała, była obfita i pożywna ze względu na Westfielda.

– Nie wydaje się pan zbyt zainteresowany – zauważył Hyde. – Jestem na tym zaszranym małym lotnisku, ubrany w kombinezon, starając się wyglądać jak Włoch i widzę Babbingtona wysiadającego z rosyjskiego samolotu odrzutowego, a na panu nie robi to wrażenia, sir... – przerwał i dodał: – Oni są tu wszyscy do podziału zysku.

– Co? Och, niewątpliwie tak – wymamrotał Aubrey. Szczegółowa dokumentacja. Wczorajsza pomoc i ciekawość Gilesa Pyotta w rozmowie telefonicznej jedynie potwierdziła intuicję Aubreya, ale nie dostarczyła dowodów. – Eee... dobra robota, Patrick. Mówisz, że jest tam też Priabin?

– Trzy samochody na podjeździe. Wciąż tam siedzą. Szyby przyciemnione, pełna obstawa. Cała banda jest tutaj.

To udowadnia, że niemożliwe jest upilnowanie tego rodzaju towarów, Kenneth – powiedział mu Pyott. *W końcu musimy wierzyć czeskim ministrom,*

rosyjskim zapewnieniom, polskim obietnicom... znasz te formy. Nigdy nie mieliśmy żadnych prawdziwych danych, żadnego prawdziwego rozeznania w skali problemu. Jeżeli oni powiedzą, że zniszczyli takie a takie nuklearne głowice bojowe czy wyrzutnie, przyjmujemy to na słowo. Nie, Kenneth. Były kontrole w fabrykach, dokumentacji oczywiście. Kto to wie, czy one były dokładnie przeprowadzone?

Pyott nauczył się wreszcie nie zadawać własnych pytań, niezależnie od tego, jak bardzo był zaintrygowany. Aubrey od razu odrzucił możliwość takiego wypytywania. *Moja mania prześladowcza, nieważne. Dobranoc, Giles.*

Ale ta jego obsesja stała się dokuczliwa i pełna złych przeczuć. Spoglądał na Westfielda siedzącego na sofie i zjadającego ostatnią z kanapek, które przygotowała pani Grey, a na stoliku obok niego stała szklanka piwa. Ściągnął brwi, jakby chciał się bronić.

– Ja... pojawiło się coś jeszcze, Patrick. Coś, co może być... trudniejsze i prawdopodobnie niebezpieczne. Coś, co jest dla nas interesujące.

– Co? – odpowiedział Hyde po chwili ciszy. – Chce pan, żebym śledził Babbingtona?

– Prawdopodobnie. Dlaczego? Czy odjeżdżają?

– Jeszcze nie. Muszą pewnie sprawdzać jego papiery. Samochód celników... gruby kontroler włożył w tym celu swój kapelusz. Czy stało się coś złego?

– Coś musi zostać ustalone – motywy pobytu Novaka na wystawie w Wenecji.

– Odbiera swoje profity... nadzoruje w imieniu Babbingtona? Kto wie? Czy to ma znaczenie poza tym, że wiąże tych ludzi ściśle ze sobą?

– To może być wystarczające. To sprawa tych firm – czy oni już ruszają?

– Nie. Proszę mówić dalej.

– Firmy Novaka, te, z którymi ma ostatnio kontakty – wśród nich są fabryki broni, a jedna z tych małych obrzydliwych fabryk produkowała gaz dla Układu Warszawskiego, powrót do ponurych czasów. Ja...

– I pan myśli... dlaczego? Dla kogo?

– Malan. Republika Południowej Afryki. Nawet van Vuuren? Środkowy Wschód, kraje Trzeciego Świata – nie wiem, Patrick. kW tej sytuacji prawdopodobna jest skrajna prawica w Republice Południowej Afryki. Biała prawica.

Van Vuuren jest członkiem Bond, ma powiązania z AWB...

– Van Vuurena tutaj nie ma.

– Ale ma przylecieć jutro.

– To dla mnie za dużo.

– Więc pomóż mi rozwiać moje obawy. Możliwy jest najgorszy scenariusz. Paraliżujący gaz bojowy i broń dostarczana przywódcom, którzy są niechętni rządowi de Villiersa, nowej konstytucji, Mandeli – wszystkiemu. Dowiedz się, czy Novak przywiózł ze sobą jeszcze coś poza zmianą bielizny, Patrick. Bądź cierpliwy i postaraj się to wyjaśnić.

Czy to było absurdalne? Spojrzał na dywan. W przyciemnionym świetle ta niewielka ilość dowodów wydawała się nieistotna. A może to wynik lekkiego zamroczenia, spowodowanego wypiciem dwóch szklaneczek whisky! Czy było w tym wszystkim jądro ciemności, coś plugawego, czy też to jedynie kwestia przenikania KGB do Reid Group?

– Czy tego pan chce? – nalegał Hyde. – Chce pan, abym skoncentrował się na Novaku, nie na Babbingtonie czy Daviesie, czy kimkolwiek innym, jedynie na Novaku?

– Na razie tak – odparł Aubrey z trudem. – Nie mogę tego ignorować, Patrick! Jeżeli jest w tym coś, cokolwiek z moich obaw, musimy to zatrzymać. Za wszelką cenę.

– Okay, pan jest szefem. Ja... proszę zaczekać, ruszają się!

Hyde odwiesił słuchawkę i pobiegł pomiędzy kilkoma pasażerami stojącymi przy karuzeli z bagażami. Nie było wśród nich żadnej znanej twarzy. Babbington przyleciał sam. Hyde pchnął drzwi, ciepło nocy spowodowało, że od razu zaczął się pocić, czując na twarzy coś jak wilgotny, ciężki ręcznik. Wahał się przez moment w cieniu budynku terminalu, gdy procesja trzech czarnych limuzyn przejechała powoli obok niego, z pasażerami niewidocznymi z powodu przyciemnionych szyb. Gdy zmierzali w kierunku wyjazdu z lotniska, Hyde pobiegł do wynajętego samochodu. Jeżeli jechali samochodami, to znaczy, że nie zdążali bezpośrednio do Wenecji.

Chociaż jest to możliwe, poprawił sam siebie, otwierając drzwi małego mercedesa i wkładając kluczyk do stacyjki. Zaufać Aubreyowi i popsuć to wszystko! Babbington przylatuje, wiążąc wszystko w całość jak wspinały

prezent, a stary dureń myśli o cholernym gazie bojowym!

Wyjechał spośród zaparkowanych samochodów i skierował się do wyjazdu z lotniska i głównej drogi wiodącej do Mestre i Marghera. Ruch był niewielki, od czasu do czasu światła podskakujące i skręcające w jego kierunku na innym pasie. Zbliżył się do tylnych świateł konwoju trzech limuzyn, a potem trzymał się w stałej odległości za nimi. Oddalił się, zbliżył i oddalił ponownie. Światła innego samochodu oświetlały drogę za nim. Za laguną Wenecja płonąła jak mała, górzysta wyspa, której roślinność stanęła w ogniu podczas suszy. Stary dureń...

Byli tam wszyscy, to było ważne, ale czy na pewno? Nawet Babbington w swojej pobudzonej zachłanności nie mógł czekać z otwarciem paczki, musiał przyjechać i dopilnować wszystkiego! Davies, Malan i van Vuuren już powinni jechać. Było dokładnie tak, jak stary przewidział i jak Godwin się domyślał. To się zaczęło, jak dające się przewidzieć działanie precyzyjnego mechanizmu. Jedyne, co musiał zrobić, to połączyć wszystkie ogniwa razem i znaleźć w magazynach dowody, no i towar, cholernie dużo towaru. A teraz Aubrey mówił o gazie bojowym i białych szaleńcach w stylu nazistów w Afryce Południowej, na miłość boską!

Zwolnił, ponownie odskakując od konwoju, który poruszał się nie więcej jak osiemdziesiątką. Statki płynęły powoli przez lagunę. Gaz bojowy, broń? Novak był zadowolony, musiał być.

Samochody skrzyły na północ w kierunku Mestre. Musiał się tam znajdować pawilon wystawowy. Nie uwierzyłby, że Babbington zatrzymałby się w jakimś starym, drugorzędnym hotelu w Mestre – to nie w jego cholernym stylu. Gdyby jechali w kierunku Piazzale Roma, przez groblę, to powinni skrócić w lewo. Wślizgnął się za starym fiatem, gdy skręcał na północ. Babbington nie musiał się teraz obawiać, że go ktoś zauważy. Wyjazd i podróżowanie po całej Europie nie były już dla niego ryzykowne.

Szare przedmieścia Mestre, wysypisko śmieci za błyszczącą reklamą La Serenissima. Zaparkowany buldożer, kilka mew unoszących się w powietrzu i otwierających plastikowe torby na śmieci w ciemności. Przed nim błyszczało centrum miasta. Potem mały konwój skrzył w lewo, w kierunku pawilonu wystawowego. Hyde zwolnił i jechał dalej za nimi.

Od czasu do czasu błysk światła zza bramy willi, rzędy nędznych domów, zakręty nowych dróg, ich białe betonowe brzegi w światłach samochodu. Ciepłe powietrze wpadało przez otwarte okno, Mestre połyskiwało po prawej stronie jak napromieniowane. Aubrey nie wiedział, o czym mówił. Konwój skręcił ponownie. Miejsce wystawy, z pewnością. Ciemne drzewa odbijały światła mercedesa. Aubrey mógł wyczuwać sprawy, gdy siedział w swym gabinecie i czytał filozofię albo Dickensa. Ale to? Jednak ci z AWB dokonywali okropności.

Dostrzegł światła połyskujące nad basenu, hałaśliwie się zachowujących ludzi i usłyszał fragment głośnej muzyki. Potem samochód minął otwartą bramę krzykliwej willi, a następnie droga biegła wśród kilku karłowatych drzewek, zanim zniknęła w ciemności. Niskie, podobne do hangarów budynki centrum wystawowego – pawilony VIATE – były widoczne, gdy odcinały się na tle wielkich, ciepłych gwiazd.

Konwój limuzyn przejechał pomiędzy dwiema halami wystawowymi, minął otwartą biało-czerwona barierkę i skierował się do kompleksu magazynowego. Hyde był świadom ciszy panującej na zewnątrz poza warkotem silnika, więc zjechał na prawe pobocze i wyłączył światła samochodu.

Stopniowo noc jaśniała. Gwiazdy płonęły, niebo nie było już czarne, ale połyskliwe, i miejscami jaśniejsze. Kilka luźnych, wysoko przemieszczających się chmur rozwiewało się po niebie cienką warstwą. Słuchał, jak trzy limuzyny oddalały się, a potem nagle ich silniki ucichły. W chwilę później usłyszał trzask drzwi. Mógł do nich podejść, mercedes zatrzymał się z boku jednej z mniejszych hal. Kompleks magazynowy był kilkaset metrów od niego. Dotarły do niego głosy grupy ludzi – kobiet i mężczyzn, przecinających asfalt w kierunku parkingu wystawy, odgłosy innych samochodów, błysk światel z hal ekspozycyjnych. Godwin prawdopodobnie wciąż jeszcze gdzieś tam był, doszukując się faktów, jak szympanś wybierający z gniazd termity. Hyde potrząsnął głową, a potem zastanawiał się, co Godwin robi z fantazjami Aubreya na temat gazów bojowych, broni dla Terreblanche i reszty tych nawiedzonych szaleńców. Posuwał się wzdłuż boku hali, dopóki nie dotarł do rogu budynku. Świecił księżyc, w którego blasku beton był jasny i zdradliwy. Widział tylne światła trzech samochodów, ustawionych porządnie jak statki w doku, obok jednego z magazynów. Magazyn numer 14. Kilka zaparkowanych ciężarówek,

różne napisy na ich bokach, dwa wózki widłowe. Mała grupa ludzi dookoła limuzyn, blisko miejsca, gdzie z otwartych drzwi budynku padało jaskrawe światło. Hyde podniósł noktowizor do oczu i czekał na gwiazdy, żeby podniosły zasłony szarości, a biel zestaliła się w wyraźne widma.

W końcu zobaczył Babbingtona, Priabina i mniejszą postać kobiety. Sami ważniejsi – włącznie z tymi, którzy go śledzili, postępowali zgodnie z instynktem, wyszkoleniem lub rozkazami Priabina...

...który rozmawiał z... – co za bzdury opowiadał Aubrey! On tam był, ścisnął ręce Babbingtonowi, mocno zdenerwowany, drogie nasze serduszko. Davies. Cholerny Michael Davies. Jeden z nas. Czy na pewno, ty stary durniu? Jeden z nich. Zapomnij o gazie bojowym, on ma Daviesa ściskającego ręce Andrew Babbingtona, a to było jak poparcie udanej operacji. No i magazyn numer 14, który nie miał nic wspólnego z Reid Group czy Reid Davies. Magazyn numer 14 i pieprzony Davies ściskający ręce Babbingtonowi. Och, ty cu-deńko.

Kręta, osłonięta drzewami ulica była cicha i opustoszała. Widać było tylko jedną starą kobietę spacerującą z małym pieskiem, który wydawał się bardziej artretyczny i niechętny niż ona sama. Anderson przeskoczył jeszcze jeden garb zapobiegający szybkiej jeździe – prawdopodobnie niedługo będą je nazywać śpiącymi policjantami. Uśmiechnął się, żeby uspokoić nerwy, potem zwołał samochód po przeciwnej stronie ulicy naprzeciwko domu, dobrze ukrytego za wysokim żywopłotem, z reflektorami przeświecającymi przez powoli kołyszące się gałęzie. Rezydencja van Vuurena. Była pierwsza w nocy. Podjechał cicho tyłem, żeby zobaczyć przez zieloną wysoką bramę, czy we wnętrzu paliły się jeszcze światła. Było ciemno. Nasłuchiwał. Żadnego odgłosu czy węszenia psa. Czy był w środku? Pewnie tak. Wyłączył silnik i światła, i cisza osiadła delikatnie dookoła niego.

Noc była zimna, wielkie gwiazdy zdawały się bliskie na tle upstrzonej muchami przedniej szyby. Samochody ustawione były na długich podjazdach lub pod zadaszeniem. Od czasu do czasu słyszał szczekanie psa czy miauknięcie kota w cichej ulicy. Patrole firm ochroniarskich były spokojne, a poza tym oni wciąż poszukiwali czarnych twarzy w starych, zużytych samochodach. Brak

wyobraźni pomagał jemu, białemu człowiekowi. Tak jak pomogło mu, gdy wszedł do foyer po schodach z drugiego piętra i minął dwóch policjantów z przyjacielskim skinieniem głowy oraz delikatnie zdziwionym spojrzeniem, wychodząc z budynku biurowca. Teraz mogli połączyć jego wyjście z opisem Roetsa, ale nie miało to większego znaczenia. Opowieści o zemście i potrzebie gotówki całkowicie zadowolą Brighta, którego już pewnie obudzili. Seawarda nie uda się obudzić przed dziewiątą lub dziesiątą rano. Zaginięcia teczki Veroniki Mokesi, spoczywającej w bagażniku samochodu nikt nie zauważy przez tydzień, jeżeli w ogóle ktoś na to wpadnie.

– Teraz van Vuuren.

Wyszedł z samochodu i przeszedł przez ulicę z wystudiowaną obojętnością, dotknął kutej żelaznej bramy blisko pajęczyny, a potem otworzył ją. Zawahał się przez chwilę, gdy skrzyknęła, czekał, czy nie usłyszy psa. Minęło dziesięć sekund. Nic się nie stało. Gdy szedł kamienną ścieżką obok zwirowej drogi, mógł zobaczyć w świetle reflektora małe kształty ciem i owadów. Trawnik pod gwiazdami był ciemny.

Czuł mrowienie w palcach, a jego serce biło jak szalone. Był podniecony wśród bogatej normalności ulicy i przedmieścia. Gdy zbliżał się do domu, wzniesienie, z którego obserwował rozeń, zniknęło. Potem znalazł się w świetle i otoczyły go owady. Kamera patrzyła jak cyklop. Zatrzymał się jeszcze raz, sprawdzając, czy nie usłyszy psa, ale było cicho. Stanął na pojedynczym schodku przy wejściu i nacisnął przycisk dzwonka.

Pies szczekał tak głośno, jakby był na zewnątrz. Cofnął się gwałtownie od drzwi, zanim zdał sobie sprawę, że szczekanie dobiegało z wnętrza domu. Zapach podlanego trawnika wydawał się świeższy, kiedy odetchnął z ulgą. Zapaliło się światło na werandzie, gdy nacisnął dzwonek i spojrzał w kamerę, wiedząc, że jego wyraz twarzy będzie dobrotliwie zniekształcony, a nawet pełen respektu.

Rozległ się ostry głos van Vuurena.

– O co chodzi, człowieku? Jest pierwsza nad ranem, do cholery! – pies nadal szczekał. – Zamknij się, cholerny psie! – krzyknął van Vuuren. Mamrotanie, które dobiegało z większej odległości, pochodziło prawdopodobnie od jego żony.

Anderson pochylił się do mikrofonu.

– Pan van Vuuren? Czy dobrze trafiłem? – afrykanerski akcent nie był zbyt wyraźny, ale bezbłędny. – Mam dla pana paczkę od pana Malana. Czy pan nazywa się Piet van Vuuren. Tu jest pana adres na paczce.

– Tak, nazywam się van Vuuren. Od Paulusa Malana? – słychać było delikatne dyszenie kogoś zmagającego się z założeniem slipek lub wbijającego się w szlafrok. O wiele lepiej być przygotowanym na to, co ma przyjść, będąc w pizamie czy szlafroku.

– Kim pan jest? Nie poznaję pana.

– Agencja Niezawodnych Posłańców, panie van Vuuren.

– Dlaczego nie wykorzystał do tego naszych ludzi?

– Przepraszam, panie van Vuuren, nie rozumiem. Biuro dało mi tę paczkę, żebym ją tutaj dostarczył. Czy to jakaś pomyłka, czy coś w tym rodzaju? Robię jedynie to, co...

– Tak, tak! – krzyknął van Vuuren. – Proszę chwilę poczekać.

Postać za matowym szkłem była oświetlona od tyłu, widział podskakującego obok niego psa. Anderson instynktownie stał się spięty, kiedy szeroki cień van Vuurena powiększył się i zmniejszył ponownie, gdy dotarł do drzwi. Słyszał hałas otwieranych zasuw i przekręcania klucza w zamku, i podniecone węszenie psa koło nóg van Vuurena. Drzwi otworzyły się na bezpieczną odległość i van Vuuren wychylił się, patrząc na niego niedowidzącymi oczami bez okularów. Pysk rotweillera wysunął się przez szczelinę na wysokości kolan.

– Jaka paczka, człowieku? Jest pierwsza w nocy, pracujesz tylko nocami, czy co?

– Powiedziano mi tylko, że to pilne, panie van Vuuren. Biuro kazało mi to odebrać...

– Tak, tak! Muszę coś podpisać?

Trzymał torbę poza zasięgiem van Vuurena. Pies trącił go w nadgarstek i poirytowany van Vuuren zwolnił łańcuch, i uderzył psa, który wycofał się do tyłu z cichym skowytem. Drzwi otworzyły się szerzej...

...gdy niedowidzące oczy van Vuurena rozjaśniły się i zobaczyły pistolet, który Anderson wepchnął w jego cofający się, okrągły brzuch.

– Proszę wyjść przez drzwi, panie van Vuuren, *spokojnie* – wyszeptał Anderson. – Natychmiast.

– Czego chcesz, człowieku? Kim jesteś? – wychrypiął van Vuuren z bładą, ogłupiałą twarzą.

– To nie ma znaczenia. Dowiesz się wszystkiego w odpowiednim czasie. Tędy, panie van Vuuren, proszę.

Przez chwilę – jedynie przez chwilę – van Vuuren wahał się, prawie chroniony przez drzwi, wciąż trzymając rękę na ich krawędzi. Ale pistolet był nadal wciśnięty w jego żołądek, więc zgiął się, zgarbił i wyszedł. Jego brzuch delikatnie wznosił się i opadał, kiedy oddychał, a ręce zatrzepotały nad ramionami.

Jedynie w oczach widać było opór.

– Kim ty, kurwa, jesteś, człowieku? – zawarczał.

– Przeznaczeniem – był zachwycony złowrogością swego głosu. – Richard Anderson, znasz mnie? – wślizgnął się za van Vuurena, delikatnie zamknął drzwi i pchnął mężczyznę do przodu pistoletem. Van Vuuren zachwiał się, a potem stanął pewnie z rękami wciąż podniesionymi. – Sądzę, że powinieneś wyglądać trochę bardziej naturalnie. Opuść ręce – powiedział. Dotarli do bramy. – Mój samochód stoi tam. Proszę wejść do środka i pojechać, gdzie powiem. – Z rozbawieniem zobaczył, jak van Vuuren spojrzał na dół, na swoje lekkie skórzane kapcie, a potem w górę. – Wszystko będzie w porządku. To niedaleko.

– Czego ty chcesz, człowieku? Pieniądzy? Czego?

Anderson potrząsnął głową.

– Czegoś bardziej cennego: informacji. Nie kręć głową. Nie chcesz być pierwszy, prawda? Nawet przed Blantyre'em?

Pchnął van Vuurena na miejsce dla kierowcy, potem obszedł samochód i wszedł do środka. Pies zaczął ponownie szczekać w domu, a na górze zapaliły się światła.

– Kim jesteś, człowieku? – żądał odpowiedzi van Vuuren pocąc się mocno.

– Twoim więziennym dozorcą. Twoim śledczym – uśmiechnął się i podał van Vuurenowi kluczyk do stacyjki. – Zapalaj i ruszamy. Kiedy będziemy jechać, opowiem ci o zamordowaniu mojej żony, dobrze? Pamiętam to doskonale – szturchnął van Vuurena w zębra i samochód szarpnął, odjeżdżając od krawężnika. – Bardzo dobrze – westchnął.

Hyde rozłożył ręce, wylewając trochę kawy z plastikowego kubka.

– Babbington został zawieszony do tej willi, za cyprysami i wysokimi

bramami, na drodze do Padwy, na północ od Mestre. Davies pojechał z nimi, wypili jakieś pół butelki i Davies został odwieziony do Piazzale Roma, gdzie złapał spóźnioną wodną taksówkę z powrotem do pałacu Gritti. To wszystko. Oto, co robili, kiedy już oczywiście skończyli się napawać tym, co było w magazynie numer 14 – wzruszył ramionami. – Teraz już wiesz, dlaczego nie wolno ci rozmawiać z ważnymi klientami. To należy do Daviesa.

– Więc może lepiej powiem staremu, jak uważasz? – zapytał Godwin.

Siedzieli za jasnoszarym przepierzeniem stoiska Reid Davies na głównej hali wystawowej. Hyde przyglądał się podejrzliwie swojemu garniturowi, Godwin zaś wyglądał, jakby miał eksplodować ze swojego, a kamizelka wzniosła mu się na brzuchu, kiedy siedział przygarbiony na krześle. Nieustający szum urządzeń klimatyzacyjnych, rozmowy i śmiech w hali przeszkadzały im.

Hyde podrapał się po nosie.

– A co z tą obawą przed paraliżującymi gazami bojowymi? – zapytał. – Stary dureń z dnia na dzień zaczyna coraz bardziej przypominać „The Sun” – uśmiechnął się. – *Nasi chłopcy wchodzą do środka – i odnoszą rany.* Już wyobrażam sobie teraz te nagłówki w Brighter, Bonkaway JIC Digest – wzruszył ramionami. – Nie widzę tak tego, a ty?

Obok nich prześlizgnęła się wysoka blondynka, ubrana w elegancki i odpowiedni obszerny strój jak w płaszcz matadora, idąc przed dwoma francuskimi biznesmenami zmierzającymi na wyższe piętro i na szampa. Była dziesiąta trzydzieści rano. Hyde spojrzął za nimi, a potem potrząsnął głową.

– Nie przypuszczam, by tymczasowy, narzucony mu personel miał jakieś przywileje? To naprawdę nie fair, kiedy zamierzamy go załatwić, nie sądzisz?

– Mam powiedzieć staremu, czy nie?

– Dlaczego martwisz się tym teraz? Zamierzam rozejrzeć się w magazynie nr 14, jedynie aby się upewnić. Potem powiemy Aubreyowi, że jego obawy o gaz bojowy nie mają podstaw. Okay?

– A jeśli Davies będzie chciał wiedzieć, gdzie jesteś?

– Powiesz mu, że widziałeś mnie, jak kręciłem się z jedną z dziwek po stoisku Yamahy. Spodoba mu się to. To wystarczająco dobrze mnie wytłumaczy, a jego przekona. Nie, żebym miał coś przeciwko... – skończył swoją kawę. – Czy chcesz, żebym przyjrzał się jeszcze czemuś?

Godwin potrząsnął głową.

– Jest dużo powierzchni magazynowej – o wiele za dużo, jeśli to, co mieliby wysłać, byłoby tu wystawione – Godwin zajrzał do notesu. – Możesz przyjrzeć się tym rzeczom, jeżeli nic nie znajdziesz – uśmiechnął się patrząc znów w górę, a potem dodał: – Nie podobają mi się czarne wizje na temat gazu bojowego i tego wszarza Novaka. Chociaż nie mogę odrzucić tego tak łatwo jak ty.

– Dobra, więc ty obserwuj Novaka. Podliż się Aubreyowi, a ja tymczasem rozwiążę zagadkę. Nie obchodzi mnie to.

– Ty oczywiście nie spałeś zbyt długo poprzedniej nocy.

– Znasz mnie tak dobrze, kochanie.

– Nie za bardzo!

– Uważaj! – ostrzegł go Hyde, wciąż uśmiechając się, gdy zerknął w szparę w parawanie. – Idzie Sonny Jim z gangiem Japońców, machając rękoma. Spieprzam, zanim mnie zobaczy.

– Okay. Do zobaczenia. Życzę miłego dnia.

– Popraw krawat. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie byłeś dobrym sprzedawcą!

Hyde uśmiechnął się, a potem wyślizgnął się za przepierzenie na główną halę w labirynt stoisk i wystaw. Wielkie komputerowe makiety z plastiku czy poliestyrenu, subtelne emblematy powszechnie znanych i nie znanych firm elektronicznych na świecie. Hostessy i sprzedawcy błyszczący i migoczący jak srebrna ryba w wielkim basenie. Wszechobecne garnitury biznesmenów stłoczone w przejściach. Zapach używanej elektryczności ostry jak saletry potasowej. Atakujący hałas.

Wszystko zbladło w ostrym weneckim słońcu na zewnątrz. Laguna połyskiwała na horyzoncie jak lustro, a kościoły Wenecji wylańały się z porannej mgły. Wnętrze mercedesa było gorące, wypełnione zapachem plastiku. Rzucił marynarkę do tyłu i rozwiązał krawat. Grupa biznesmenów wysiadła z długiej czarnej limuzyny, poklepując się i śmiejąc.

A więc magazyn numer 14. Hyde przetarł swoją twarz. Davies, co? Pozwolił, aby ta myśl wróciła do niego już chyba po raz piętnasty i przyniosła ten sam uśmiech na twarzy. Mam cię. Davies musiał być złapany na tę samą rozciągliwą pełną rubli sieć, w której były już Reid Group i Dumas. Jeszcze jedna rybka

w sieci. Nic dziwnego, że Rosjanie mieli problem z twardą walutą i jednocześnie dostawy niektórych najlepszych technologii na Zachodzie. Przeczesał lewą ręką włosy. Schrupanie Daviesa jak batonika może być zabawne.

Uruchomił silnik, zatrzymując się na chwilę, kiedy pomyślał o Richardzie Andersonie. Niewiele dla niego zostało, prawda? Włączył bieg i wyjechał z iluzorycznego cienia głównej hali na słońce. Autobus z Piazzale Roma wypuścił trzydziestu czy czterdziestu ubranych w garnitury mężczyzn i kobiety. Hyde obserwował rytualny śmiech i poklepywanie po plecach w lusterku. I prawie natychmiast, gdy zniknęli, pojawił się przed nim magazyn. Podjechał do boku hali, gdzie poprzedniej nocy ukrył samochód, wysiadł i otworzył bagażnik. Szybko włożył kombinezon na spodnie, zapinając zatrzaski na pierśsiach, wrzucił krawat do bagażnika i zmienił buty na robocze obuwie. Zabrał ze sobą otwartą, wytłuszczoną torbę z narzędziami, w której miał aparat fotograficzny, dodatkowy film i pistolet, i poszedł przygarbiony przez piekące słońce. Przed magazynem były zaparkowane dwie ciężarówki transportowe. Przy jednej z nich wałęsało się dwóch mężczyzn. Spojrzeli na niego, ale jego niska postać w kombinezonie nie wzbudziła w nich żadnych podejrzeń. *Jezu, ja nie muszę się nawet wytatuować, żeby uzupełnić przebranie.*

Usłyszał radio grające stare hity, wystarczająco wyraźnie, aby przypomnieć mu je na chwilę. Słońce grzało go w ramiona. Potem znalazł się za rogiem budynku ukryty przed oczami mężczyzn przy ciężarówkach. Łupki, kamyczki, chwasty, popękany beton, od czasu do czasu zgnieciona puszka po coli lub piwie, niedopałki papierosów. Poszedł do następnego rogu i znalazł drabinę przystawioną do dachu, dostatecznie skomplikowanego w kształcie, by mógł należeć do jakiejś gotyckiej katedry. Rozejrzał się, czy jest sam i zaczął się wspinać. Metalowe części były nagrzane nawet po ocienionej stronie, a dach gorący, kiedy chwycił za jego brzeg. Spojrzał w dół. Nikogo. Wenecja zdawała się unosić w stronę morza, barwna, fantasmagoryczna platforma do wydobywania ropy.

Świetliki w dachu, och, świetliki. Poruszał się na czworaka, jego ręce i nogi pracowały jak u kraba, postukując na falistym dachu. Pobiegł zgięty w pół, podrywając gołębie do lotu. Jaskółki poruszały się jak igły wykonujące skomplikowany haft najpierw blisko dachu, a potem wlatując w powietrze, jakby podnosząc do góry nic. Porzucone puszki wskazywały na amatorów kąpeli

słonecznych. Spojrzał na zegarek. Wciąż jeszcze przed jedenastą. Wyobraził sobie Godwina z zakłopotaniem tłumaczącego powód jego nieobecności i uśmiechnął się. Wenecja wydawała się poruszać we mgle, jak wielki statek dryfujący z przyplływem, maszty kościołów bez żagli, strzeliste pałace, katedry i muzea przytulające się do siebie. Za miastem Lido znikało w słońcu odbijanym przez wodę.

Świetlik. Usiadł i zajął przez upstrzoną ptasimi odchodami, brudną szybę. Magazyn jak każdy inny na jakimkolwiek terenie fabrycznym, gdziekolwiek na świecie. Zakurzona, oświetlona słońcem betonowa podłoga, ruchy wózka widłowego, dwaj mężczyźni w koszulkach z krótkimi rękawami. Przetarł szybę delikatnie ręką mokrą od potu z czoła. Na plecach i szyi czuł denerwująco ostre słońce, jak zwierzę, które wskoczyło tu tylko dla zabawy.

Spojrzał znowu w górę, nie w kierunku iluzorycznego miasta, ale na połacie cementu i inne magazyny oraz hale wystawowe. Był niewidoczny dla niczyich oczu, jeśli nie liczyć gołębi i przelatujących jaskółek. Dobrze. Usadowił się ponownie i patrząc przez lornetkę przez częściowo oczyszczone szkło w świetliku, dostrzegł napis Reid Group na dwóch skrzyniach na dole.

Wstał mocno zaciekawiony i zobaczył Novaka. Tak, czuł, że to był on, a kiedy podniósł do oczu lornetkę, był tego pewien. Wysiadł z wielkiego BMW z dwoma ludźmi z obstawy, którzy byli z jednej z tych bardzo starych szkół. Novak szedł w kierunku magazynu numer 14.

Przez chwilę czuł się rozczarowany jak dziecko, kiedy Novak zniknął w otwartych drzwiach pobliskiego, mniejszego magazynu, pilnowany przez dwóch ochroniarzy. Zamknęły się za nimi drzwi, a ich szczęknięcie dotarło do niego chwilę później, delikatne jak dotyk. Hyde z rękami na biodrach zaciśniętymi w pięści patrzył na błyszczące BMW, zamknięte drzwi, mały magazyn i jego niski dach.

Wszystko w jednym dniu pracy, ale ja naprawdę nie wierzę, że tam jest gaz bojowy.

Samolot lekko się chygotał, jakby chciał się ustawić w taki sposób, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie, gdy lądował na Marco Polo. Malan wyjrzał przez okno, trzymając w ręku telefon i odsuwając resztki śniadania. Wenecja,

miasto, które wydawało mu się atrakcyjne jedynie jako miejsce, gdzie można się było zatrzymać w czasie przerwy w podróży, wyglądało, jakby się powoli gotowało w srebrzystej lagunie niczym w rondlu i jakby mu groziło, że lada chwila zniknie w jasnej ggle.

– Malan – przedstawił się, wydłubując kawałek bekonu spomiędzy zębów.
– Tak?

To był Blantyre.

– Przepraszam, Paulus. Chodzi o van Vuurena.

– Tak?

Miasto uciekało pod kadłubem samolotu. Brzydota Mestre wydawała się bardziej widoczna w panującym upale. Potem zobaczył lotnisko.

– On... on zniknął. Ktoś przyszedł do jego domu poprzedniej nocy; jego głupia żona mówi, że jakiś posłaniec, i van Vuuren z nim wyszedł.

– Kim był ten ktoś?

– Żona widziała białą twarz, jak twierdzi, na ekranie wideofonu w sypialni.

– Białą człowieka?

– Myślę, że to mógł być Anderson.

– Czego on chce, Robin?

– Wyrównać rachunki?

– Z kim, człowieku? Z MLC, na miłość boską? Robin, nie wykonałeś swojej roboty dobrze. On nawet zabił Uysa. Nie pytaj, skąd wiem, po prostu wiem.

Można było już zobaczyć pas startowy, wąska, betonowa droga otoczona z każdej strony wodą. Samolot wyrównał lot, a potem zaczął opadać na lotnisko.

– On chce krwi, Paulus, albo może informacji. Działał razem z Aubreyem.

– Dwadzieścia pięć lat temu!

– Niemniej jednak, Piet wie wszystko. Powiedziałbym, że Anderson poszukuje mnie, a nie Pieta.

– Znajdź go lepiej, Robin. Szybko. Użyj wszelkich wpływów, jakie masz, ale znajdź go.

Odłożył słuchawkę i wstał. Jego czarny służący pomógł mu włożyć marynarkę, a potem zapiął mu z szacunkiem pas bezpieczeństwa. Próbował się odprężyć, ale moment, gdy koła zetknęły się z ziemią był denerwujący, jakby

dreszcz obawy przeszył i jego ciało, i samolot. Zacisnął prawą dłoń, kiedy wyłonił się budynek terminalu. Anderson miał van Vuurena. Dlaczego? Dla Aubreya?

Zaczął odganiać tę myśl, a potem przypomniał sobie bratanicę Aubreya, Kathryn. On był winien...

Ten cholerny staruch! Czepiał się rzeczy, jak jego ojciec przyczepił się do resztek swojego życia. Uczepił się wspomnień i chciał się zemścić. Jego ręka wciąż zaciskała się i otwierała.

Anderson wyjrzał przez brudne, pokryte pajęczyną okno na opuszczone podwórkę przed budynkiem, porośnięte chwastami i ze zwałonymi na bok zużytymi pompami paliwowymi. Dach nad podwórką zapadł się ze starości. Właściciel stacji benzynowej opuścił to miejsce dwa lata temu i pojechał do Australii ze strachu przed rządami czarnej większości. To porzucone, zabłąkane miejsce było na brzegu Diepkloof, gdzie przedmieście przebijało się w kierunku wielkich hałd z kopalni. Daleko w południowym słońcu błyszczały białe ściany betonu. Napił się wody mineralnej Evian z wielkiej, plastikowej butelki. Za nim van Vuuren wiercił się w swoich więzach, nogi krzesła skrzypiały na linoleum, które leżało popękane na podłodze. Regał wciąż do połowy wypełniony postrzępionymi, brudnymi książkami, kilka pustych półek, zapach pustki. Za jednym pokojem była mała kuchnia, ale woda, elektryczność i gaz dawno temu zostały odcięte. To było smutne, nikomu niepotrzebne miejsce, w którym zatrzymał się czas.

Doskonale się nadawało.

– Chcesz trochę wody, Piet? – zapytał, odwracając się twarzą do mężczyzny przywiązanego do fotela. Van Vuuren spojrzał na niego groźnie, nic nie mówiąc, siłując się ze sznurem, którym miał skrupowane ręce i stopy przywiązane do nóg krzesła. Cienkie kosmyki włosów były potargane, a góra od pizamy rozpięta i przepocona. Panował nieznośny upał.

Nie wyglądał na załamane. Zmartwiony tak, szczególnie dlatego, że przeszkodziło to mu w interesach i w wyjeździe do Europy. Ale nie zdenerwowany.

- Przyzwyczaj się. Jest gorąco, jak na tę porę roku. Chłodniej w buszu.
- Więc dlaczego, kurwa, nie wrócisz tam, co? – wybuchnął van Vuuren

walcząc ze sznurami i przesuując krzesło, które zapiszczało z protestem. – Dlaczego tu przyjechałeś, człowieku? Czego chcesz ode mnie? Dlaczego nie powiesz mi, czego chcesz? – jego twarz poczerwieniała i patrzył na niego z nienawiścią.

– Chcesz pogadać? – zapytał Anderson.

Zostawił van Vuurena samego, zakneblowanego i unieruchomionego, a sam pojechał do supermarketu w Diepkloof po jedzenie, co zabrało mu trochę czasu. Przebywając z van Vuurenem był przeważnie milczący. Van Vuuren wy-dawał się wściekły, że został porwany z wygodnego, dużego domu, odcięty od pieniędzy, rodziny i towarzystwa. Jakby Anderson był kimś obcym i nie całkiem rzeczywistym; obecność kafra była czymś niewiele więcej niż sen. Nawet teraz zachowywał się wyzywająco, patrząc za każdym razem w okno, kiedy przejeżdżał samochód, raczej pewnie niż ze strachem czy desperacką nadzieją. Były to jednak jedynie przypadkowe samochody. Nowa autostrada przejęła główny ruch wiele lat temu. Być może właściciel nie wyjechał mimo wszystko jedynie ze strachu i fanatyzmu.

– Chcesz pogadać, Piet? – powtórzył.

– Nie nazywaj mnie, kurwa, Piet, człowieku! – wrzasnął. – Jestem dla ciebie panem van Vuuren! – jego akcent stawał się szorstki, kiedy krzyczał, walcząc ze sznurem.

– Okay, Piet. Nie chcesz pogadać. Jeszcze nie.

– Panie van Vuuren, ty sukinsynu!

Anderson uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Panie van Vuuren. Pan zdaje się, nie rozumie, że ja mówię poważnie. To – wskazał na niszczący pokój – nie wydaje się panu czymś rzeczywistym. Zapewniam pana, że jednak jest – mówił powoli i z rozwagą, starając się zachować rezerwę. – Nikt nas tu nie znajdzie przez dłuższy czas. Mamy wystarczająco dużo jedzenia. Jeśli chce pan jeść i pić, to musi się pan nauczyć sztuki kompromisu.

– Ty angielski sukinsynu, czego ty chcesz? – to był wybuch Afrykanera, członka Broederbond i bogatego człowieka mającego prawdziwą władzę. Nie mogło mu to się zdarzyć w Johannesburgu. Nie chciał w to uwierzyć.

– Informacji – westchnął Anderson. Van Vuuren nie był gotów, ale Anderson stał się niecierpliwy. Przyciągnął krzesło naprzeciwko van Vuurena i stanął

na rozkraczonych nogach, opierając się na nim ramionami i trzymając w jednej ręce butelkę. Patrzył na swojego więźnia.

– Informacji, które pomogą mi zniszczyć Blantyre'a, a nawet wsadzić do więzienia Paulusa Malana. Chcę wiedzieć o dostawach i oficerze KGB, który zmarł w DC-3 oraz, co było szmuglowane i kto jest tego właścicielem. A także, dlaczego zamordowana została moja żona – patrzył na van Vuurena i popijał wodę z butelki, cmokając z zadowolenia. Znowu utkwiał w nim wzrok. – Jestem śmiertelnie poważny, ale zaczynasz to wyczuwać, prawda?

– Myślisz, że możesz nas wziąć na cel, namierzyć MLC i zwyciężyć?

– Jestem – powiedział i przełknął – człowiekiem bez przyszłości, van Vuuren – mówił łagodnym, obłudnie przymilnym głosem, w którym czaiła się groźba. – Jestem... osierocony, zgubiony. Nie sądzę, abyś to rozumiał, prawda, nie przy takiej zwykłej żonie i twoich przyzwyczajeniach do spotkań z atrakcyjnymi czarnymi i kolorowymi? – wstał nagle, jak gdyby jego emocje zbyt go zdradzały. Patrząc w okno powiedział:

– Moja żona została zakwalifikowana jako kolorowa, van Vuuren. Wiedziałeś o tym? Ironia losu, prawda? Tracąc ją, straciłem, jak powiedział poeta, lepszą połowę siebie – odwrócił się twarzą do van Vuurena. – Nie mam nic więcej do stracenia i tylko jeden cel. Sprawiedliwość, zemsta – możesz użyć określenia, jakiego chcesz. Ja pozostanę przy sprawiedliwości – pochylał się teraz nad van Vuurenem. – Wątpię, czy zabiłeś kiedykolwiek coś większego od gazeli, van Vuuren. Ja zabiłem wielu ludzi. Ostatnio zabiłem człowieka Blantyre'a w Swakopmund. Odkryłem, że wciąż mogę to robić, i to całkiem łatwo. Więc, albo mi pomożesz, albo zniszczę cię, pochowam za tą szopą lub wrzucę do jednego z tych podziemnych pojemników na paliwo na zewnątrz – wskazał ręką okno. – Albo nie zrobię tego. Chyba że pozwolimy pierwszemu zdominowanemu przez czarnych rządowi na doprowadzenie cię przed sąd za gwałt i napad.

Odwrócił się szybko i ponownie podszedł do okna.

– To cię całkowicie zrujnuje. Los gorszy od śmierci, prawda? – lekko zachichotał, a potem czekał na odpowiedź wciąż stojąc plecami do van Vuurena.

W końcu van Vuuren powiedział:

– Nie wiem, co masz na myśli, człowieku. Nie zabijesz mnie.

– Mogę to zrobić, jeśli nie obawiasz się hańby – spojrział na czerwona

ziemię rozpościerającą się przed nim jak łańcuch małych wzgórz we mgle. Odwrócił się.

– Ty naprawdę zapomniałeś, prawda? Zapomniałeś o mnie i także o Veronice Mokesi.

Nazwiska dziewczyny z pewnością nie pamiętał. Van Vuuren szarpnęła się w stronę Andersona w mroku chaty, która zatrzeszczała lekko w słońcu, a potem potrząsnęła głową.

– Masz do mnie jakiś żal, człowieku? Dlaczego nie powiedziałeś? Nawet cię nie pamiętam! Wywaliłem cię z pracy, straciłeś swoje prawa do emerytury czy coś takiego?

– Nic w tym rodzaju. Bright, Seaward, Seaward & Anderson, prawnicy dla mających władzę, białych i bogatych. Ty naprawdę nie pamiętasz?

Van Vuuren powoli potrząsnął głową, raczej z niedowierzaniem niż z powodu zawodnej pamięci. Anderson westchnął.

– Anglik? Anglik z tej firmy? To ty? – Van Vuuren nie mógł w to uwierzyć. – A więc ty jesteś tym facetem? No i co z tego? Masz jakiś rachunek, którego nie zapłaciłem? – śmiał się, ale jego głos stawał się coraz bardziej zachrypnięty. Anderson zaproponował mu butelkę z wodą, ale van Vuuren potrząsnął gwałtownie głową.

– Twoja sprawa. Teraz przypomniałeś sobie mnie, pamiętasz Veronicę?

– Kogo? Czy to imię twojej żony? Mogłem się domyśleć, że ożenisz się z kafarską dziewczyną. Tak, pamiętam, jak Bright powiedział, że trzymają cię jako sumienie firmy. Szanowany, liberalny człowiek na pokaz.

– Myślisz, że o tym nie wiedziałem?

– To nie ma znaczenia. Twoje wysiłki nie były warte łajna słonia, człowieku, i ty o tym wiesz. Ty jedynie uspokajałeś swoje angielskie sumienie.

– Zgadza się. To był stracony czas. Nie, Veronica Mokesi to nie jest nazwisko mojej żony. Veronica była jedną z twoich sekretarek. Nie pracowała dla ciebie długo. Nie podobała się jej uwaga, jaką jej poświęcałeś.

Van Vuuren wydawał się zakłopotany i skrzywił się na to wspomnienie jak dziecko. Gdy sobie przypomniał, jego pewność siebie wydawała się niezmienną.

– Przypominam sobie coś – uśmiechnął się lubieżnie. – No i co z tego, człowieku? – wzruszył ramionami w krępujących go więzach.

– Co z tego? Mam dokumenty... z firmy Bright, Seaward & Seaward, ni mniej ni więcej. Jej oświadczenie złożone u mnie, zdjęcia zrobione w tym czasie... była bardzo posiniaczona, oraz twoje oświadczenie przepisane z taśmy magnetofonowej.

– Co możesz z tym zrobić?

– Zrujnować cię. Paulus Malan byłby mocno zakłopotany, MLC czułoby się znieważone. Chłopcy z Bond – uśmiechnął się – och, czy nie byłiby smutni. Mandela i ANC naciskaliby na aresztowanie ciebie... awantury drogiej Winnie i jej wyrok na ciebie, co? – oczy van Vuurena zaczęły dostrzegać całkiem jasno możliwą przyszłość. – I na koniec, twoja żona zostałaby zmuszona wystąpić o rozwód. Czasy się zmieniły, Piet. Byłbyś a *cause célèbre*, jak to mówią. Los gorszy od śmierci.

Van Vuuren potrząsnął głową.

– Nie mówisz poważnie.

– Och, ależ tak, zapewniam cię, że tak.

– Dlaczego?

– Och, masz na myśli, dlaczego mnie to obchodzi? Nie obchodzi, prawdę mówiąc. Przyznaję to. To służy mojemu celowi. ANC będzie to obchodzić, czyż nie?

Usta van Vuurena otworzyły się lekko jak rozszerzająca się szczelina w świeżym tynku. Zaczynał się powoli załamywać. Potem potrząsnął wyzywająco głową.

– To będzie zatuszowane, człowieku. To nadal będzie zatuszowane.

– Może – Anderson wzruszył ramionami. Głos van Vuurena był teraz bardzo zachrypnięty, więc zachęcająco potrząsnął butelką w jego stronę. Kilka kropel wody Evian upadło na linoleum, przeszkadzając poszukującym jedzenia mrówkom, które wróciły, aby im się przyjrzeć. Na żądanie Blantyre'a, a może nawet i Malana, policja pewnie uganiała się teraz jak te mrówki, poszukując go. – Może.

Van Vuuren nie przestawał wierzyć w oddział kawalerii przybywający mu na ratunek, którego trąbka mogła zabrzmieć w każdej chwili.

– Nie liczyłbym na inny pogrzeb niż na swój własny. Chyba że będziesz współpracował. Dokumenty są w mojej teczce, tam w rogu – van Vuuren odwrócił szybko głowę, patrząc pożądliwie w tę stronę. – Możesz je zabrać, kiedy

stąd wyjdiesz. Jeżeli dasz mi to, czego chcę. Jeżeli nie, nigdy nie wyjdiesz. Nie mogę ryzykować własnego bezpieczeństwa pozwalając ci przeżyć, prawda?

Godwin usiadł na tylnym siedzeniu taksówki, za niewzruszonym taksówkarzem, który zapalił kolejnego papierosa, gdy tylko pociągnął za ręczny hamulec i wziął swoją gazetę. Kurz osiadł wokół samochodu. *Angielski prywatny detektyw, co? Rozwodzik?* Skinienie głową Godwina było wystarczające, aby powstrzymać resztki jego ciekawości. Cyprysy i cedry były ciemne na tle nieba, prowadziły od wysokiej, zamkniętej bramy do białej pokrytej stiukiem willi. Ciemnozielone zasłony były odsłonięte, a w oddali błyszczała woda tryskająca z wysokiej fontanny.

Limuzyna wjechała do środka po otwarciu bramy za pomocą urządzenia elektronicznego, zabierając Malana i Michaela Daviesa do środka. Kurz opadał po przejechaniu pojazdu wzdłuż brunatnej drogi.

Godwin wyszedł z taksówki i oparł się wygodnie na kulach. Obejrzał bramę, ciemną plamę drzew i wielką, elegancką rezydencję za nimi. Willa znajdowała się na drodze do Padwy, piętnaście kilometrów od Mestre. Hyde podejrzewał, że kiedyś mógł tu być dom KGB R&R. Z pewnością mogło tak być. Pewnie Babbington był teraz w środku, czekając na swych gości zaproszonych na lunch. Godwin przetarł spocone czoło i zaczesał włosy do tyłu wielką ręką. Na autostradzie do Padwy i Werony nie było zbyt dużego ruchu. Śledził Daviesa poza halą wystawową i rozpoznał Paulusa Malana. Złapał taksówkę, której kazał jechać *za tym samochodem*, i to przywiodło go tutaj, do miejsca, gdzie poprzedniej nocy przywieziony został Babbington.

Nie zamierzał wkładać się do domu w poszukiwaniu dowodów. Możliwość wykonania zdjęć pojawi się ponownie, gdy z niego wyjdą.

Wrócił na tylne siedzenie taksówki z uśmiechem zadowolenia i podniósł telefon komórkowy. Mówiłem ci, żebyś nie dzwonił do mnie, kiedy pracuję – prawdopodobnie będzie narzekał Patrick. Jednak nie powinien być teraz w sytuacji, żeby ktoś mógł go podsłuchać. Jeżeli nie będzie mógł odebrać, nie zrobi tego. Małeńka automatyczna sekretarka w obudowie słuchawki nagra mu wiadomość. *Oddzwonią do ciebie*. Wspaniała rzecz, technika. Oparł się o pień

łykowatego figowca na poboczu. Widać stąd było inne wille z małymi fontanami. Winnice i sady rozpościerały się w stronę fioletowych szczytów na zachód. Poczł zapach cytryn w delikatnym, niosącym kurz wietrze. Rozparł się wygodnie. Niegrzeczny Mike Davies – prawdziwy wstyd. Nawet lubił faceta. Musiał przejść kilka załamań, potrzebował funduszy do uratowania firmy, sfotografowany z inną kobietą, mężczyzną... Cokolwiek to było, Malan i Babington zarzucili na niego swe haczyki. A Aubrey będzie musiał zdecydować, co z tym zrobić, nie ja, dzięki Bogu. Pośpiesz się Patrick, sprawdź światelko na swoim telefonie, ty idioto. Aubrey mógł wypatroszyć Daviesa, wydostać każdy kawałek dowodu, jaki potrzebowali. Ale teraz była to kwestia zatrzymania czegokolwiek znajdującego się w magazynie numer 14 przed dalszą podróżą na wschód czy południe. Oparł policzek na ramieniu, przytrzymując słuchawkę i zatarł ręce. Spójrz na światelko, ty głupi palancie, lub przełącz na automatyczną sekretarkę. Technika może być wspaniała, ale Hyde nie zwracał na te szczególności uwagi. Biedny, stary Davies; to mógł być jego ostatni lunch na dłuższy czas. Może stary przyleci...

- Tak? Gdzie do cholery byłeś, ugrzązłeś gdzieś?
- Jestem na dachu pieprzonego magazynu, obserwując twojego starego czeskiego kolesia sikającego pode mną. Przyjechał z parą ochroniarzy pół godziny temu.
- Gdzie? Do czternastki?
- Nie, do magazynu obok. Zastanawiam się dlaczego.
- Ja jestem przed tą willą. Jest tam Davies z Malanem.
- Powiedz Aubreyowi. Dostanie apopleksji.
- Posłuchaj, nasi włoscy przyjaciele sprawdzili pokój Novaka, jego rezerwację, bilety i tak dalej.
- Tak?
- Próbował połączyć się z van Vuurenem: z jego numerem telefonu w domu, biurze, telefonem w samochodzie, wszystkim, co mu przyszło do głowy – chyba ponad dwadzieścia razy dzisiejszego ranka. Musiał wpaść w panikę, gdy go nie zastał.
- Czy van Vuuren jedzie tutaj?
- Pokój jest zarezerwowany w hotelu Cipriani, tym samym co Malana. Oczekiwany dzisiaj.

- Więc w porządku.
- Novak chce van Vuurena, a nie Malana – nie zna go zbyt dobrze.
- Więc?
- Po prostu się zastanawiam. Novak miał telefon z Johannesburga, tuż przed wyjściem do magazynu. Dzwonił Blantyre, Jaka była wiadomość, nikt nie wie. Blantyre i van Vuuren; to sprawia, że zastanawiasz się, do czego jest używany drugi magazyn. Ciekaw jestem, czy Babbington wie?
- To nieważne, prawda?
- Nie wiem, ale lepiej dowiedz się, co tam jest. Prawdopodobnie van Vuurenowi stało się coś złego.
- Może. Anderson go śledził. Może ten wszarż dobrał się do niego?
- Po prostu zobacz, co jest w tym magazynie, dobrze? Co może być tak ważne dla van Vuurena, Blantyre'a i Novaka?
- Nie sprzedawaj mi tej opowieści o gazach bojowych, błagam.
- To jest uboczny interes, niezależnie od tego, co to jest. I są tu ludzie, którzy chcieliby dostać to w swoje ręce, nawet chcieliby tego użyć, w Afryce Południowej.
- Dobra, dobra. Zrób kilka zdjęć i zadzwoń do starego. Dowiedz się, kiedy mamy zdjąć Daviesa oraz co robimy z Babbingtonem i magazynem numer 14.
- Okay. Do zobaczenia.

Wyłączył telefon i spojrzał na niego. Więc czas zadzwonić do staruszka. Nie spodoba mu się to. Apopleksja była odpowiednim słowem. Biedny, stary Davies; niezadowolenie Aubreya spowoduje u niego większe katusze niż myśl o dwudziestu latach za kratkami!

Był moment, kiedy siedząc w gabinecie van Vuurena, z dywanikiem ze skóry gazeli rzuconym na gruby dywan i osobliwymi kafarskimi ozdobami wiszącymi na ścianach, zdał sobie sprawę, że go nie znosi. Podobnie jak większości współpracowników z Bond, nawet Paulusa Malana. To było jedynie krótkie uświadomienie sobie tego, ale tak realne jak dotkliwy ból. Robin Blantyre nadal wykręcał numer telefonu w samochodzie Novaka, po tym jak nie udało mu się skontaktować z Czechem w hotelu. To było trochę niejasne. Nie, nie tak, to było niejasne już od dłuższego czasu. Wyjechał z Rodezji na południe, do

Republiki Południowej Afryki, i spędził całe lata na południowym zachodzie walcząc ze SWAPO razem z Siłami Obrony i Selous Scouts. Nawet wtedy czuł, że jego uczciwość została skalana przez innych. Nie było to nic innego jak ochrona zysków, złota i diamentów.

Telefon zadzwonił w samochodzie Novaka.

Żona van Vuurena wyslizgnęła się przez drzwi jak czarna służąca, zostawiając go samego. Policja została poinstruowana, mieli rozprowadzić zdjęcie Andersona, jego ludzie przekopywali przeszłość faceta i przeczesywali porzucone budynki. Wiedzieli, jakiego szukać samochodu, kogo szukać. Reszta była kwestią czasu. Będzie ścigany, wykopany spod ziemi i pozbędą się go. Van Vuuren? Będzie zależało, pomyślał, gdy patrzył taksująco na gabinet. Anderson miał rację: busz był o wiele lepszy niż to wszystko.

– Nowak? Blantyre – powiedział, gdy tamten podniósł słuchawkę. Z pogardliwą miną słucał przez chwilę, czując, jak Czech się uspokaja. Potem powiedział: – Tam są pieniądze, człowieku. Nie, van Vuuren ma kłopoty żołądkowe, mówiłem ci. Ma opóźnienie. Plan jest dalej realizowany... tak. Rób, co jest konieczne, człowieku, rób to. Tak, dziś wieczorem. Wszystko jest przygotowane. Potem ja uruchomię fundusze, tak...

Spojrzał na sufit. Był to stały proces korupcji, renegektwa, nieprzyzwoitości. Novak miał willę na Majorce, przeprowadzał renowację pałacu na wsi w Czechach, miał konto w Szwajcarii. I tak jak van Vuuren, chciał jeszcze więcej. Układ van Vuurena z Novakiem przynosił im pieniądze – to był ich wspólny motyw. Pieprzyć Republikę, pieprzyć Republikę Południowej Afryki i białych ludzi, tak długo jak długo możemy mieć z tego pieniądze!

To odnosiło się także do Paulusa, uświadomił sobie, gdy mamrotał do Novaka:

– Tak, zgadza się. Gdy dostawa wyląduje i ja ją sprawdzę, zostanie wysłane upoważnienie do Zurichu – powiedział i dodał w duchu: Nie martw się, ty sukinsynu, dostaniesz pieniądze.

Paulus też. Układanie się z pieprzonymi komunistami i zdrajcą Babbingtonem – myślał o przeniesieniu MLC z Afryki Południowej, ponieważ nie chciał zostać i walczyć o to, w co zawsze wierzył.

– Nie! – wrzasnął na Novaka. – Uważaj na Hyde'a i tego kalekę Godwina.

Wysłaliśmy ci zdjęcia. Nie zbliżaj się do nich i nie dopuszczaj ich do siebie i do dostawy. W przeciwnym razie, Novak, ja nie ręczę za twoją robotę ani za to, co się z tobą stanie. Tak, to prawda. Tylko interesy. Jeżeli ta pierwsza dostawa będzie w porządku, to będą nowe zamówienia. To pewne.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się po pokoju. Ci biali ludzie wypełniający swoje mieszkania afrykańskimi śmieciami. Czy oni myślą, że staną się przez to tutejsi? Paulus i van Vuuren – uciekający, w ten czy inny sposób. On jednak nie, och nie, nie on.

Prawie podziwiał Andersona i motywy, jakimi się kierował. Zabiłeś moją żonę, a ja odegram się na tobie w każdy dostępny sposób. To było jasne, zrozumiałe. To nie miało nic wspólnego z pieniędzmi, zdrajcami czy służbą Koronie jak pieprzony Hyde, którego chciałby znów spotkać, jeszcze tylko raz.

Pani van Vuuren pokazała się przy drzwiach gabinetu, jak gdyby chciała zapytać, czy chce herbaty lub też kiedy ma zamiar wyjść. Blantyre wstał. Spójrz na nią, pomyślał, gruba, biała i czterdziestopięcioletnia. Potrzebny jej fryzjer, trochę makijażu, ale wciąż będzie obrzydliwa jak grzech. Nic dziwnego, że van Vuuren wołał kafarskie dziewczyny.

– Pójdę już – ogłosił, mijając ją. – Ma pani mój numer, w razie gdyby on zadzwonił. I – odwrócił się do niej – jeżeli zadzwoni, to proszę mi o tym na pewno powiedzieć. Rozumie pani, pani van Vuuren?

Kobieta skinęła milcząco głową, przerażona jego cielskiem odbijającym się na wypolerowanej mahoniowej podłodze.

Blantyre wyszedł, mrużąc oczy w południowym słońcu. Pomyślał, że byłoby nawet sprawiedliwiej, gdyby van Vuuren umarł, Winiliby Andersona. Nagle ovladnęło nim na w pół oczekiwane uczucie pogardy dla swoich znajomych. Zachwiali jego bezpiecznym światem gwałtowniej, niż kiedykolwiek byli w stanie to zrobić ANC, Mandela i rząd de Villiersa. Sukinsyny.

Musi znaleźć Andersona i van Vuurena i zabić ich obojdwu.

Rozdział dwunasty

KRZESANIE ISKIER Z HUBKI

– Tak, Westfield i ja będziemy u pana późnym popołudniem... tak, tak. Nie, wykorzystam naszych włoskich przyjaciół, kiedy stanie się to konieczne. Mówi pan, że nie ma sensu natychmiast usuwać towarów z żadnego z magazynów?

Godwin zmrużył oczy w popołudniowym słońcu, patrząc w kierunku sadów, winnic i gajów oliwnych rozciągających się w stronę dalekich wzgórz.

– Nie, sir, nie sądzę.

– Więc Patrick ma czas, aby przyjrzeć się bliżej, jeżeli będzie mógł wejść na interesujący nas teren. Czy to jest możliwe?

– On uważa, że może się dostać z dachu.

– Więc powiedz mu, żeby tak zrobił. Jeśli chodzi o ciebie, to nie widzę potrzeby robienia zdjęć komukolwiek poza Daviesem, więc lepiej poczekaj tam w nadziei zdobycia czegoś ciekawego i obciążającego. Potem możesz go przytrzymać. Przynajmniej ogranicz jego ruchy do momentu, aż będę miał szansę go sprawdzić. A tak przy okazji, ten drugi magazyn...

– Patrick wciąż węszy wokół scenariusza z gazem bojowym.

– Naturalnie. Zastanawiam się, czy Michael Davies może nam tu pomóc?

– nastąpiła chwila ciszy. – Nie mogę uwierzyć w opowieść na jego temat.

Godwin uśmiechnął się. Nie ma to jak sprawiedliwy gniew. Davies był w gównie po uszy. Oburzenie starszego pana opadnie na niego jak tona cegieł.

– Nie, sir. On mógł się pogryźć w tym błocie tak samo jak Reid.

– Może, może.

– Czy otaczamy ich wszystkich, sir? Robimy dużo szumu?

– Ja, sekretarz gabinetu i inni poinformowani wolą, żeby nie. Aresztować kogo musimy, ale po cichu.

– Tam jest cały cholerny magazyn naładowany nowoczesną technologią,

sir. Jest tego więcej niż na forda transita...

– Mam pomysł, jeśli chodzi o tę sprawę. Będzie o wiele lepiej, jeżeli to... zniknie. Oczywiście nie na wschód czy południe. Rozważę to. Gdzie jest Priabin?

Godwin spojrzał na wysoką bramę. Priabin wysiadł z małej, wynajętej alfy pół godziny wcześniej, nachylił się do wideofonu, uśmiechnął się i brama została dla niego otwarta. Samochód prowadziła kobieta.

– Jest tu także. Niezły lunch, jak sądzę.

– Ale nie ma sygnału, że sprawy mogą nabrać natychmiastowego przyspieszenia, żadnego znaku?

– Nie, sir. Będę mógł powiedzieć jutro.

– Priabin musiał doprowadzać do ruiny Daviesa! – wykrzyknął nagle Aubrey. – Sprytny młody człowiek!

– Czy oni wszyscy nie są tacy, sir? Ale mamy ich teraz razem.

– Powiedz Patrickowi, że magazyny są najważniejsze. I powiedz mu, żeby się upewnił, co zawierają. Każdy z nich!

– Obawia się pan, że to wszystko zbyt łatwo idzie, sir?

– Może. Ach, przyjechał samochód. Utrzymaj kontakt. Ale zatrzymaj Daviesa, jak tylko odłączy się od swoich przyjaciół.

W słuchawce zatrzeszczało i Godwin odłożył ją, pozwalając zwiesić się jej z nadgarstka. Hyde'owi na pewno spodoba się popołudnie na gorącym, blaszanym dachu.

W oddali Wenecja kołysała się w mglistej i połyskującej lagunie. Widać było Mestre, którego brzydota była nieco mniej widoczna w upale. Lido wyglądało jak piaszczysta łacha po przeciwnej stronie wody o stalowym kolorze. Godwin wyjął z kieszeni plastikowe opakowanie z kanapkami z serem, rozerwał plastik i zaczął jeść. Kierowca taksówki pił wino, jadł salami i gruby chrupiący chleb... nie proponując mu, żeby się poczęstował.

Byłoby lepiej, gdyby spalili te cholerne magazyny – ale nie, jeżeli jest w nich gaz bojowy. Patrick powinien lepiej sprawdzić system spryskiwaczy, jeżeli jest tam jakkolwiek. Przeżuwał mydlany chleb, zastanawiał się, czy Włosi importowali brytyjski biały chleb na te cholerne kanapki? Wykręcił numer Hyde'a na telefonie komórkowym.

– Siedź! – wyszeptał Anderson wściekle, gdy van Vuuren walczył z więzami jak przerażony kot. Jego oczy były wybałuszone, a zakneblowane usta próbowały coś krzyczeć. Wyciągnął pistolet i przycisnął go do skroni van Vuurena, który uspokoił się, robiąc obrażoną minę, zmęczony swoimi rozpaczliwymi wysiłkami.

– Tak lepiej.

Podniósł głowę i spojrzał na porośniętą trawą pagórek, opadający w stronę porzuconej stacji benzynowej. Przejechał koło nich samochód policyjny, który zwolnił i skręcił na zakurzonej drodze, kierując się w ich stronę. Powstrzymał pierwszą próbę van Vuurena, który chciał krzyknąć, zakneblował go, odwiązał mu nogi i wyprowadził tylnymi drzwiami przez wzniesienie za chatą. Odciski ich stóp na miękkim piasku wyglądały jakby zrobione przez jakieś wielkie, rozwścieczone zwierzę. Jeżeli jeden z dwóch policjantów – drugi był wciąż w samochodzie – poszuka śladów, to znajdzie je natychmiast.

Van Vuuren wił się obok niego, z brzuchem na piasku. Anderson przycisnął lufę pistoletu mocniej do jego spoconej skroni. Prawie natychmiast się uspokoił, tylko drżał ze strachu. Policjant zajrzał przez popękane, zakurzone okna, a potem otworzył drzwi. Zatrzymał się na schodku. Anderson mógł go widzieć tylko przy brzegu długiej chaty. Jedzenie, które ze sobą przywiózł, było w kuchni, znajdującej się za głównym pokojem, pusta butelka po wodzie Evian leżała na podłodze. Było tam to krzesło...

Policjant zniknął, potem prawie natychmiast pojawił się ponownie przy rogu budynku. Czapkę miał zsuniętą na tył głowy, szedł, jakby niczego nie podejrzewał, niespiesznie. Spojrzał w górę na wzniesienie, zasłaniając na chwilę oczy przed słońcem, potem obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku wozu patrolowego, ustawionego w przerzedzonym cieniu pod rozlatującym się dachem na podwórku. Potrząsnął głową, kiedy wszedł do samochodu.

Ulga Andersona, gdy samochód policyjny wykręcił i wyjechał na drogę, podziałała na van Vuurena jak dźgnięcie. Podniósł się na kolana i zepchnął Andersona na bok. Przewrócił się na brzeg wzgórza i potoczył, zanim stanął na nogi. Zaczął biec, głowa kołysała mu się z boku na bok, wymachiwał nogami, jak gdyby chciał zwrócić czyjąś uwagę, gdyż ręce miał wciąż związane za plecami. Anderson podniósł pistolet, a potem zorientował się w daremności jego

wysiłeków i ryzyku, jakie by poniósł zabijając van Vuurena. Zamiast tego ruszył za nim, wskoczył mu na plecy i zwałił na ziemię. Miał piasek w oczach i ustach, gdy spojrział w górę. Mrugając oczami widział samochód policyjny przyśpieszający na drodze w kierunku Diepkloof. Oddychał ciężko, gdy odwrócił mężczyznę na plecy, przystawiając mu pistolet do twarzy. Jego oczy wydawały się martwe, jak gdyby zgasło w nich jakieś światło.

Teraz, powiedział sobie Anderson, teraz, gdy jest załamany i czuje, że stracił ostatnią szansę. Wstał, podciągnął van Vuurena na kolana chwytając za kołnierz piżamy; potem pociągnął go jedną ręką w stronę budynku, wrzucając go do środka jak torbę ze śmieciami. Zatrzasnął drzwi wejściowe, popychając van Vuurena przed sobą do pokoju, a potem na krzesło. Jego ciężki oddech był dodatkowym źródłem przerażenia dla człowieka przywiązywanego do krzesła. Anderson wstał, upewniając się, że pistolet był dobrze widoczny, gdy spokojnie otwierał kolejną butelkę wody, i napił się łakomie, a potem zmył piasek z twarzy i oczu. Van Vuuren obserwował bezsilną nienawiść Andersona, który rozlał trochę wody na podłogę i krzyknął:

– Posłuchaj mnie, ty afrykanerskie gównie! – był pochylony w kierunku van Vuurena, a pistolet kołysał mu się przy udzie, jakby miał lada moment wypalić, uruchomiony siłą jego wściekłości. – Posłuchaj mnie! Chcę się dowiedzieć pewnych rzeczy i chcę o nich wiedzieć teraz. Zrozumiałeś? Albo zaczniesz gadać, albo ja doprowadzę cię do ruiny legalną drogą. Będziesz czytał o swoim rozwodzie na wózku inwalidzkim! Zrozumiałeś mnie, van Vuuren? – przysunął się bliżej jednym susem. – Zrozumiałeś?

Van Vuuren był przerażony, jakby uwierzył w szaleństwo Andersona. Jego oczy przenosiły się z pistoletu na jego twarz i znów na pistolet. Próbował przełknąć, a nawet coś powiedzieć, ale z jego zakneblowanych ust wydobywały się jedynie chrapliwe dźwięki.

Anderson gwałtownie wyciągnął mu knebel z ust. Nawet wtedy nie wydobył z siebie słów, jedynie głośno przełykał. Chwytając butelkę wody Evian przytknął ją do ust van Vuurena, który chciwie pił; potem Anderson zabrał mu ją.

Nienawiść zabłysła w oczach van Vuurena.

– Czego chcesz? – zawodził chrapliwie. – Dlaczego mi to robisz, ty sukinsynu? – na jego szyi i skroniach widać było nabrzmiałe żyły.

Anderson uświadomił sobie, że musi wyglądać jak jakiś szalony duch i nawet to wykorzystał do swoich celów.

– Chcę ciebie! – wrzasnął, jego szyja stwardniała, a w skroniach czuł pulsowanie. – Jeżeli nie mogę dostać Malana, to zadowolę się tobą i pewnej ciemnej nocy zabiję Blantyre'a! – rozciąpnął palce przed nosem van Vuurena. – Widzisz te paznokcie? Moi partnerzy zawsze prosili mnie, żebym trzymał je poza zasięgiem wzroku za każdym razem, gdy mieliśmy ważnych gości! KGB wyrwało mi paznokcie w celi na Łubiance. Nigdy nie wyrosły nowe, proste i czyste! – teatralnie zatopił rękę w neseserze i wyciągnął szczypcę, wciąż w plastikowym opakowaniu. – Ty będziesz miał więcej szczęścia, van Vuuren! Twoje ręce są za plecami – nie będziesz musiał patrzeć, kiedy to będę robił!

Przerwał i napił się znowu wody z butelki. Co dokładnie chciał wiedzieć Aubrey? Oczywiście trudno było przypomnieć sobie wszystko, o czym dyskutował z nim przez telefon z budki pół mili w kierunku Diepkloof. Było tak wiele szczegółów: jak długo, jak wiele, jakim sposobem? Wydawało się, że ma to niewiele wspólnego ze sprawiedliwością i że jego to nie zadowoli.

– Straciłem moją pierwszą żonę dla kochanków i na koniec z powodu raka. Straciłem drugą w pieprzonej masakrze, w której ja miałem zginąć! Czy myślisz, że obchodzi mnie, co się z tobą, kurwa, stanie? – uśmiechnął się, a potem wyjął szczypcę i rozpakował je. Podniósł je, a następnie wziął do ręki teczkę Veroniki Mokesi i zaczął tym wymachiwać.

– Jedno z dwojga, van Vuuren. Oczywiście, jeśli wybierzesz złe, nie będziesz już w stanie powstrzymać drugiego, kiedy to dostarczę, prawda?

Aubrey powiedział, że to pilne. Było coś, o czym z trudem mógł mówić. Gaz bojowy. Dla przyjaciół van Vuurena? Kimkolwiek byli – chłopcy z Bond, AWB. Tak, powtórzył, chcieliby zabezpieczenia przez coś w rodzaju paraliżujących gazów bojowych. Woleliby mieć maskę VX, zawieszoną pod brzuchem zamiast pistoletu. Och, tak...

Przez cały czas, gdy milczał, patrzył w sufit, nieregularnie i ciężko oddychając. Potem spojrział w dół na więźnia.

– Widzisz? Kogo to obchodzi, van Vuuren? Mogę to zrobić. Zabijałem ludzi z pistoletu, materiałami wybuchowymi, przy pomocy pułapek, strun fortepianowych – wszystkim, co mi wpadło w ręce – zachichotał. – Dla kogo jest przeznaczony gaz bojowy?

Zrozumiał, że to była prawda. Zdradziła mu to krótka chwila, zanim van Vuuren potrząsnął głową.

– Nie wiem, co masz na myśli?

Odłożył teczkę i ostentacyjnie trzymał szczypecy.

– Obaj wiemy, że to kłamstwo, prawda? Jak mnie przekonasz, że mówisz prawdę? – powiedział. Zaszedł go z tyłu z rozwartymi szczypcami w prawej dłoni.

– Nie!

Zacisnął je mocno na paznokciu palca wskazującego prawej ręki.

– Nie, nie!

Oparł się pieszczotliwie na ramieniu van Vuurena, przy policzku, jak kochanek.

– Więc powiedz mi... powiedz – wyszeptał.

Van Vuuren opuścił głowę potrząsając nią z boku na bok, ale zaprzeczanie nic nie znaczyło.

– Jak się dowiedziałeś?

Pogłaskał włosy i szyję van Vuurena jak dziwka, potem przycisnął mu butelkę do ust. Van Vuuren zadrzał jak nędzna chałupa w czasie gwałtownej burzy. Gdy skończył pić, Anderson zabrał delikatnie butelkę i klepnął mężczyznę w ramię.

Nerwowy facet. Ostatni mężczyzna w obozie. Podczas gdy dziewięćdziesiąt procent białych w Republice Południowej Afryki było albo zrezygnowanych, albo pogodzonych z losem czy nawet nastawionych optymistycznie, to pozostałe dziesięć procent zrobiłoby wszystko, aby ich świat stał się taki, jakim był wcześniej. Gaz bojowy, broń... to się zgadzało.

– Jak... dlaczego ty się w to wplątałeś – zapytał Anderson.

Van Vuuren patrzył na podłogę.

– Oni nas zdradzają, człowieku – spojrzał w górę. – Kto by oczekiwał, że ty to zrozumiesz? To jest nasz kraj, człowieku.

– Ich też.

Van Vuuren zachnął się.

– Większość kafrów była tutaj krócej niż Anglicy. Uważasz, człowieku, naprawdę tak uważasz, że oni będą trzymali się jakichś zasad, gdy tylko przejmą władzę w swoje ręce? Właśnie teraz zabijają jeden drugiego w walkach w

mieście, ponieważ jeden jest Zulusem, a drugi nie! Myślisz, że będziemy mieć jakąś szansę? – zakasłał i Anderson przyłożył mu butelkę z wodą do ust. Najlepiej zostawić go, żeby eksplodował. Cofnął się, a van Vuuren patrzył na niego, napinając sznur, którym był związany.

– Człowieku, wy Anglicy jesteście takimi cholernymi ignorantami! Minęło kilka lat od wypuszczenia tego kafarskiego sukinsyna Mandeli z więzienia, a wciąż więcej czarnych ludzi umiera każdego dnia, aniżeli podczas stanu wyjątkowego. To jest to, co nazywacie postępem, co? – potrząsnął głową z pogardą.

– Myślicie, że my Afrykanerzy jesteśmy świńskimi ignorantami ze zgniłym pieprzonym akcentem. Znam was! Ale my wiemy, człowieku. Wiemy, jak to będzie, ludzie tacy jak ja i Robin Blantyre, i kilku naszych polityków i biznesmenów. Jeżeli kafrowie nie potrafią utrzymać swego kraju w porządku, to my nie jesteśmy przygotowani na oddanie im wszystkiego ot tak sobie! Czegokolwiek to dotyczy i na czymkolwiek możemy położyć swoje ręce, skorzystamy z tego, tak jak zrobilibyście wy, Anglicy, gdyby to był wasz cholerny kraj!

Cisza, która po tym nastąpiła, wydawała się nie mieć końca, przerywana jedynie ich zmęczonymi oddechami i bzyčeniem jakiegoś dużego owada blisko dachu chaty. W końcu, przypominając sobie rozmowę z Aubreyem, Anderson powiedział:

– I w tym miejscu pojawia się Novak, czy tak? Spotkałeś go na EuroCon i zdałeś sobie sprawę, że on może mieć coś, co się tobie przyda. A przynajmniej zapasy na deszczowe dni? Czy tak?

– Wiesz diabelnie dużo, Angliku – Van Vuuren był zupełnie zdezorientowany zasobem jego wiadomości.

– Myślisz, że jestem zupełnie sam? – potrząsnął głową. – Wysłałem część dowodów z rozbitego samolotu do Londynu. Do moich znajomych. Powiązałem to z ich wiadomościami. Powiedziałem im, że ty możesz dopełnić obrazu, w zamian za swoje życie. A więc, czy gaz bojowy jest odpowiedzią? Na wszystkie wasze problemy?

– Myślisz, że użylibyśmy go, gdybyśmy nie musieli?

– Nie wiem. To będzie zatrzymane w Wenecji, tak czy inaczej – wydawało się, że van Vuuren oniemiał. – Och tak, to tu nie dotrze – w Bogu nadzieja,

pomyślał. – Właśnie się tym zajęli. To jest dochodzenie – zasięg, osoby, cele – ci ludzie chcą tego od ciebie w zamian za twoje życie. Rozumiesz teraz?

Na twarzy van Vuurena znalazły odbicie różne sprzeczne uczucia – strach, zwątpienie, pogarda – z dominującym uczuciem, że jest oszukiwany.

– Nic nie wiesz! – krzyknął, wrywając się do przodu, aż sznur wbił mu się w klatkę piersiową. – Ty jedynie niuchasz dookoła, mając nadzieję złapać coś na końcu drogi!

Anderson nie miał pojęcia, ile blefu było w jego wyzwaniu.

Powiedział zimno:

– Myślisz, że jestem jakimś tam agentem, tak? Ci ludzie w Londynie – myślisz, że jestem w pewien sposób ubezwłasnowolniony, że przed nimi odpowiadam, czy coś w tym rodzaju. No cóż, może kiedyś byłem... – powiedział zimno. Zaczął krążyć wokół krzesła van Vuurena nie dotykając go. – Byłem kiedyś tym, co myślisz... kiedyś, wiele lat temu... ale ty to wiesz. Nie pracuję dla nich teraz, nie pracowałem przez lata – mówił dalej. Van Vuuren opadł na fotel zaniepokojony jego nauczycielskim tonem. – To był czysty przypadek – odnalezienie wraku. Może wysłałem im te rzeczy z powodu dawnych dobrych czasów. Ale jestem tu, ponieważ sam tak postanowiłem. Rozumiesz? Chcę zrujnować Malana i Blantyre'a za to, co mi zrobili. Mam wielką chęć to już zacząć – odwrócił się twarzą do niego ze szczypcami w ręce – zrobić to teraz. Twoje intrygi zabiły moją żonę, van Vuuren. Nie muszę chyba nic więcej mówić, co? – błysk w jego oczach nie był udawany. To była prawda, mógł teraz zaatakować, zranić, upokorzyć i zemścić się. – Dlaczego mam się z tobą nie zabawić przez wzgląd na moją żonę?

Van Vuuren wydawał się słuchać. Doszedł do nich ostry, przenikliwy śpiew ptaka oraz pomruk oddalającego się samochodu. Pół minuty później przejechał drugi samochód. Anderson patrzył na grubego, załamane go człowieka na krześle.

– Nie mam nic więcej do stracenia. Jestem takim zdesperowanym człowiekiem, jakich zwykle spotyka się w powieściach. Nic mi nie pozostało, van Vuuren – powiedział spokojnie.

Nawet nie patrzył na niego, raczej na upstrzony muchami sufit, nieruchomy wentylator i brudny świetlik; potem na puste półki, tłusty kontuar i zardzewiałą kasę. Przejechał jeszcze jeden samochód, jakby gdzieś bardzo daleko, a potem

nastąpiła cisza, w której słyhać było przesypujący się piasek przy drewnianych ścianach. Czuł, że ma wyschnięte gardło od mówienia, ściśnięte z powodu wspomnień. Pełne napięcia oczy były przymrużone. Znowu pojawiła się Margarethe, wyłaniająca się z ciemności jego umysłu.

Patrzac w dół, otwierając szeroko oczy wymamrotał:

– Widzisz, van Vuuren, jestem uosobieniem wyobrażenia, jakie mają wszyscy na temat wolności działania. Żadnych konsekwencji.

Potem, zaciskając zęby, stanął szybko za plecami van Vuurena, złapał jeden z jego palców szczypcami i szarpnął za paznokiec, krzywiąc się, kiedy rozległ się krzyk bólu i trysnęła krew.

Wypuścił paznokiec z uścisku szczypiec, poplamionych krwią, a potem przycisnął dłoń do otwartych, krzyczących ust, wzdrygając się na swój postępek. Cele Łubianki; przeszedł coś więcej niż Rubicon. Potem przypomniał sobie gaz bojowy, Veronice Mokesi i Margarethe. Jego żołądek zaczął się uspokajać. W końcu drzenie przechodzące przez ciało van Vuurena zmniejszyło się i już nie usiłował krzyżeć – Anderson nie czuł żadnych wibracji dźwięków na swojej dłoni. Puścił go i przesunął się, aby stanąć z nim twarzą w twarz, przechylając mu do ust butelkę z wodą. Mokrą ręką poklepał go po czole.

– No więc? – zapytał na koniec. – Nie będzie już takiej potrzeby – poczuł zimno w zgniłym powietrzu chaty, które śmierdziało szczurami, piaskiem oraz rozwolnieniem van Vuurena. Powstrzymał drzenie.

Van Vuuren płakał z bólu i szoku. Kiwał głową rytmicznie i bezmyślnie jak wahadło. W tej chwili zrobiliby wszystko. Czas było zdezynfekować i zabandażować jego palec. Muchy odleciały z ich spoconych czół i osiadły już na krwi. Czas odłożyć zemstę na później, gdy będzie potrzebna dla Blantyre'a i Malana.

Teraz, kiedy van Vuuren miał mówić, poczuł dla niego pewnego rodzaju współczucie. I ulgę.

Godwin klepnął się po nieczułych udach wielkimi rękami i spojrzął na aparat fotograficzny, który wrzucił na tylne siedzenie obok siebie. Cholerna strata czasu! Cholerna przyciemnione okno tego na wpół niewidocznego Malana. Davies wracający sam tylko z tą cholerną kobietą Walentyną. Mieli już zdjęcia tych dwojga przyjemniaczków.

Taksówka płynęła w opadającym kurzu za małą alfą, którą prowadziła kobieta. Godwin spojrział znów na zegarek. Trzecia trzydzieści. Hyde wciąż na dachu, narzekał na upał i opóźnienie, a także strażników, którzy wstrzymywali jego wejście przez świetlik i sprawdzenie któregoś z magazynów. Stary powiedział, żeby Patrick wszedł do środka, a on po prostu nie mógł tam wejść. W tym był cały kłopot; zbyt wielu ludzi dookoła.

Droga po zakrętach wyprostowała się, potem wynurzyła się z szeregów dębów i schodziła w dół w kierunku Wenecji, bezwietrzna i połyskująca. Davies – mógłby go mieć bardzo łatwo, może nawet przekonać do współpracy. Może pozwoliliby im zajrzeć do środka przynajmniej jednego z magazynów.

Oparł się na gorącym, plastikowym siedzeniu, czując jak przykleiła mu się do ciała koszula, niczym nasmarowany masłem papier do brytfanki. Uśmiechnął się. Rzeczywiście czuł się głodny. Kawa i kawałek dobrego ciasta nie byłby zły. Davies mógłby zamówić coś do jedzenia w pokoju hotelowym, kiedy będą omawiali najbliższą przyszłość.

Alfa dotarła do drogi miejskiej i Godwin pokazał kierowcy taksówki, żeby za nią jechał. Było zbyt mgliście, aby dostrzec lotnisko na północy z Porta della Liberta. Wyspy Murano i San Michele były jak wygrzewające się na słońcu wieloryby, bez konturów czy kształtu. Pociąg wyjeżdżający z miasta minął ich na wiadukcie. Potem dojechali do pierwszych *campanili* i *palazzi*, gdzie nowoczesność wydawała się zagrożona, dopóki nie dotarli do Piazzale Roma i wielkich powierzchni parkingowych. Alfa przejechała pod barierką, podczas gdy kierowca taksówki podjechał na postój. Godwin włożył jasne włoskie pieniądze do jego ręki i wyszedł z gorącego wnętrza w parne popołudnie. Davies nie będzie szedł na piechotę w taką pogodę – weźmie wodną taksówkę lub nawet gondolę. Spotka ich tam, uwolniony od poszukiwania alfy w tym tłoku.

Dostrzegł Daviesa i rosyjską kobietę, do której ten odnosił się z wielką uprzejmością, opuszczających parking. Marynarkę trzymał przewieszoną przez ramię. Kobieta wydawała się obojętna, wyglądała nawet, jakby udawała, że nie jest w jego towarzystwie. Godwin począł za nimi. Przeszkadzał mu tłum wysiadający z autokarów i idący w dół wąskiej *calle* w kierunku nadbrzeża. Przypuszczalnie wysiłki Daviesa, aby się do niej zbliżyć, świadczyły, że wracali do pałacu Gritti – Davies nie był opisany w materiałach jako monogamista.

Kobieta wyglądała, jakby nie miała zamiaru spędzić w jego pokoju całego popołudnia. Godwin wahał się. *Vaporetti* i mniejsze *motoscafi* jeździły co dwieście minut z Piazzale Roma. Mógł pozwolić sobie na poczekanie, niezależnie od kierunku, jaki oni wybiorą. Czekał w wąskim przejściu do *calle* za drepczącymi pasażerami.

Tak myślał... Davies ruszał wzdłuż Canale Grande przez *Accelerato* – zabrał kobietę na zwiedzanie, prawdopodobnie, żeby ją zmiękczyć. Gdyby wybrał *Diretto* przez Rio Nuovo – bez żadnych widoków – dotarłby do San Marco przed nimi, może nawet dostałby się do pałacu Gritti przed nimi.

Poczłapał do przodu wspierając się na swoich kulach, gdy *vaporetto* odpłynęło od nabrzeża w kierunku pierwszego długiego zakola Canale Grande. Dotarł do końca kolejki zgrzany, ale zadowolony, przewidując zszokowane spojrzenie na twarzy Daviesa – *kto w końcu był niegrzecznym chłopcem?* – kiedy będzie otwierał drzwi pokoju. Dotknął pistoletu w kieszeni. Na wszelki wypadek. Motorówka wzburzyła spokojną, szarą wodę kanału i odbiła od nadbrzeża. Godwin przesuwiał się za rozwrzeszczaną rodziną z trójką dzieci, które porozumiewały się ze sobą piskliwym krzykiem, wchodząc na pokład.

Stare, zakurzone drzewa Giardino Papadopoli, potem rząd wilgotnych, wielkich domów przed kościołem zanim wpłynęli do Canale Grande. W końcu miasto osiągnęło ponownie swą zmęczoną piękność i bardziej zapamiętaną twarz, gdy patrzył przed siebie z burty *motoscafo* ponad głowami, używając lornetki. Widział Santa Maria della Salute jak górę brudnego śniegu we mgle i *palazzi*, które przekształciły się w hotele wyznaczające drogę w kierunku kościoła.

Godwin wysiadł przy San Marco, walcząc z upałem i tłumem, mijając artystów i ich bohemy. Poszedł zatłoczoną *calle* w stronę San Moise. Na koniec dotarł do wielkiego wejścia do pałacu Gritti i szansy znalezienia się w cieniu, czując wdzięczność jak jeden z tych chudych psów czy jeszcze chudszych kotów. Mijały go tłumy, większość z nich zorganizowana w grupach, czasem mniejsze grupy, nawet pary. Do pałacu Gritti wszedł mężczyzna w garniturze i jeden czy dwóch przylizanych facetów, wyglądających na bogatych. Przewiesił torbę sportową przez wielkie ramię i czekał zadowolony.

W końcu nadeszli Davies i Walentyna. Teraz śmiała się, nawet dotykała jego ramienia, jak czegoś, czemu mogła się bliżej przyjrzeć. Kobieta, która próbowała zamordować Patricka. Dobrze, że to był on, a nie Hyde, stojący w cieniu Santa Maria, kiedy weszli do foyer hotelu. Godwin był zdziwiony. Kobieta, która demonstrowała niewzruszoność kierowcy taksówki, teraz wydawała się bestią z dwoma głowami. Z drugiej strony, może na suficie pałacu Gritti były lustra lub coś innego, równie intrygującego... albo może pokój z widokiem na kanał i zimne drinki wystarczą jej, aby być przyjemną dla Daviesa. Zresztą, czymże jest skok do łóżka pomiędzy przyjaciółmi? Przygotował się na czekanie, patrząc na zegarek. Czwarta dziesięć. Stary niedługo wyląduje, wzburzony, ubrany w czarny garnitur, nalegający jak Dalek, żeby jego wrogowie zostali zniszczeni. Godwin zaśmiał się głośno, aż przestraszył Japończyka w wielkich okularach i małą kobietę.

Czwarta piętnaście... czwarta dwadzieścia. *Może jeszcze jednego, dlaczego nie? Czy próbuje mnie pan upić, panie Davies?* Czwarta dwadzieścia pięć.

Nagle pomyślał o Shapiro, gdy kobieta, Walentyna, pojawiła się z niedbłym pośpiechem wychodząc z hotelu i skręciła w prawo przez niewielki garb mostu w kierunku via 22 Marzo. Śmierć Shapiro była umyślnie spowodowana – i tam był hotel, wyimaginowany pokój wychodzący na Canale Grande. Teraz zobaczył bardzo wyraźnie martwą twarz Shapiro patrzącą w sufit w londyńskim pokoju hotelowym. Dziewczyna zrobiła to, by zatamować przeciek.

Godwin o mało za nią nie poszedł, a potem poczłapał wściekle w kierunku drzwi do foyer, które otworzyły się przed nim. Złapać teraz Daviesa mimo wszystko, upewnić się, że nie był... Jezu, nie mógł być, prawda? Wcisnął przycisk windy. Pokój 302 – 303. Drzwi windy otworzyły się. Za nim jakiś Amerykanin narzekał na cenę kawy w Florian. Na jego żonie wydawało się to nie robić wrażenia. Godwin uśmiechnął się nerwowo, gdy spojrzała na niego, a potem wyszedł z windy, kiedy zatrzymała się na trzecim piętrze. Zapukał do drzwi Daviesa i czekał. Potem zadzwonił i zapukał ponownie.

– Mike, wszystko w porządku? Mike, otwórz. Tu Tony Godwin, Mike? Przycisnął głowę do drzwi i nasłuchiwał. Nic. Żadnego odgłosu wody płynącej z prysznica, żadnego pluskania w wannie. Usłyszał hałas *vaporetto* przez otwarte okna. Na balkonie? Rozejrzał się szaleńczo dookoła. Z pokoju obok wyszła pokojówka, niosąc brudne ręczniki.

– Szybko – proszę! – zawołał. – Myślę, że mój przyjaciel zachorował, pan Davies. Proszę otworzyć mi drzwi, dobrze? Proszę się pośpieszyć!

Zaskoczona tą prośbą, widząc kule, które świadczyły o nieszkodliwości Godwina, przekręciła klucz w drzwiach. Godwin przesunął się obok niej. Shapiro tak mu utkwiał w pamięci, że najpierw zajrzał do sypialni, spodziewając się odnaleźć tu jego ciało. Davies leżał jednak twarzą do dołu na podłodze w pokoju gościnnym, jego nogi były powykręcane, ręka wyciągnięta, jakby chciał się w ostatniej chwili przytrzymać fotela, obok którego leżała jego głowa. Druga ręka znajdowała się pod ciałem, dłoń rozcapierzona na klatce piersiowej. Pokójówka była przerażona.

Godwinowi udało się przewrócić ciało Daviesa na wznak. Dłoń opadła z klatki piersiowej. Wspaniale. Atak serca. Opróżniona do połowy butelka i zapach spirytusu z jego ust. Och, ty krowo!

– Chcę zobaczyć się z dyrektorem. Dyrektorem – powtórzył jej. – Proszę go wezwać, szybko.

Skinęła głową i wyszła z pokoju. Godwin słyszał, jak biegła prędko korytarzem w kierunku służbowej windy.

Zamknął Daviesowi oczy. Jego twarz była wykrzywiona bólem. Nie było żadnego pożytku z wzywania miejscowej policji. Autopsja nie wykaże niczego, jeżeli Walentyna popisała się swoimi zwykłymi zdolnościami! Żadnego stosunku płciowego. Spojrzał na zegarek. Dopiero czwarta trzydzieści. Wiekowy Dalek niedługo wsiądzie z samolotu z młodym Darrenem i odkryje, że został pokonany.

Dowie się, że niebezpiecznie jest być znów w akcji, pieprzyć to! Davies był najlepszą drogą do środka. Zostawił Patricka siedzącego na dachu magazynu jak jeden z tych cholernych gołębi. Czekał na przyzwolenie Aubreya, ale Patrick musiał teraz wejść do środka, niezależnie od ryzyka.

Pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na tylną szybę, obok policzka Aubreya i uderzały o dach limuzyny, którą oddał mu do dyspozycji Giovanni Calvino z włoskiego wywiadu. Podobna nocy ciemność zapadła nad laguną, a miasto wydawało się cichsze. Nagle rozbłysło światłem błyskawicy, gdy deszcz się wzmógł bębniąc w okna.

– Tak, Tony, tak – mamrotał w potoku deszczu, przyciskając do ucha słuchawkę telefonu samochodowego. – Całkiem przekłète... i, tak. Zgadzam się z twoją oceną. Sprawy nabierają przyspieszenia. Patrick musi wejść do środka natychmiast, jeżeli może to zrobić bezpiecznie. Nie, porozmawiam z nim sam – zapisał numer w notesie na kolanie. – Nie. Tony, ty po prostu współpracuj. Ja zawiadomię Giovanniego Calvino. Trzymaj się swojej opowieści... – drgnął na jeszcze jeden żółto-niebieski błysk światła i nagle pojawiła się La Serenissima jak statek w rozpaczliwym położeniu. Potem znów zapadła ciemność. – To musi być zatrzymane – dodał. – Nie, Tony. Nie mam nic pozytywnego z Afryki Południowej. Czuję, że będę musiał wyciągnąć kogoś z jakiegoś przyjęcia, aby chronił Richarda i jego łup. Nasz jedyny łup jak na razie. Do widzenia, Tony.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na Darrena Westfielda, który zdawał się zafascynowany burzą i nagłymi, bezbronnymi pojawieniami się Wenecji w ciemności. Deszcz bębnił o limuzynę jak o falistą blachę. Hyde, na dachu...

To było przed nimi, jak jakiś monstrualny czyrak, który musiał być natychmiast przecięty. Priabin i Babbington musieli planować jakąś szybką akcję; przyspieszyli całą sprawę mordując Daviesa, który bez wątpienia dla nich był już bezużyteczny i zbyt blisko obserwowany przez Hyde'a i Godwina. Potarł sobie policzek. Anderson był połączony cienką nicią z Blantyre'em, bez wątpienia poszukującym go desperacko na rozkaz Malana. Tony powtórzył jak echo jego własną decyzję, gdy stwierdził, że *zniszczenie jest najłatwiejszym wyborem, sir*. Kiedy już upewnią się, co jest wewnątrz magazynu, to będzie musiał zostać podpalony.

Podniósł ponownie słuchawkę i wykręcił numer Hyde'a.

– Chryste, w sam raz do cholery! – usłyszał natychmiast. – Tu na mnie si-ka, Godwin!

– Patrick, tu Aubrey.

– Cholera, nareszcie! – powtórzył Hyde. – Spędziłem cholerne popołudnie siedząc tu, skacząc z dachu na dach jak cholerny gołąb, a teraz zaczynam się topić! Widział pan, jaka jest pogoda?

– Możesz wejść do środka, Patrick, zbytnio się nie narażając?

– Do którego, do jasnej cholery?

– Magazyn numer 14 – uważam, że może tam coś być. Chcę, żebyś rozpoznał chociaż jeden przedmiot z wyposażenia z Reid Group. Potrzebuję jednego zdjęcia, jakiegoś małego dowodu. Potem wszystko może zostać podpalone.

– Uważa pan, że to spłonie przy tej cholernej pogodzie?

– Musisz mi doradzić.

– Pan tu decyduje – Hyde mówił jakby z wysiłkiem i jego głos wydawał się ponadto przybliżać i oddalać, niczym uciekający sygnał radiowy.

– Longmead i Orrell zostali poinformowani, że Babbington tu jest. Obawiają się, że będą przedmiotem kpin, gdyby okazał się lepszy od nas, no i od nich. Otrzymałem rozkaz zrobienia tego, co konieczne, żeby było wszystko w porządku – usłyszał ciężki oddech Hyde'a. – Dobrze się czujesz? – zapytał Aubrey.

– Tylko się, kurwa, pośliznąłem na cholernej drabinie, to wszystko! – krzyknął. Kilka chwil później zawołał: – Jestem na dole.

– Czy coś się dzieje?

– Parę ciężarówek przyjechało kilka minut temu. Pod magazyn numer 14. Nie ma żadnego pośpiechu. Nie w tej chwili. Przechodzę teraz przez otwartą przestrzeń, proszę zaczekać – Aubrey usłyszał szybki, chrapliwy oddech Hyde'a, gdy przebiegał przez coś, co musiało być placem pomiędzy dwoma magazynami. Potem krzyknął zadyszany: – Okay, w porządku!

– Davies nie żyje, Patrick, ta kobieta go zabiła.

– Świetnie, och, kurwa, świetnie! Nic dziwnego, że chce pan, abym zajrzał do środka. W tej chwili nie mamy, cholera, nic, prawda? – jego oddech był chrapliwy. Skoncentrował się ponownie na wchodzeniu na dach większego magazynu. Znowu nad laguną błysnęło się, kropki wysp wyglądały jak pale i kawałki oderwane od miasta przez gwałtowną burzę. – Cholerny gang onanistów, moja stara babcia lepiej by to zrobiła – słyszał mamrotanie Hyde'a. – Dobra, jestem na dachu. Jest tu jeden świetlik na drugim końcu. Może uda mi się zejść na dół za jakieś skrzynie lub nawet kontener, który jest nienaruszony. Jak będę miał szczęście. Proszę posłuchać, sir, czy ja dostanę jakąś pomoc? Naprawdę nie lubię prosić, ale to by się przydało – powiedział to z sarkazmem. Hyde, jak mawiali, oddziaływał psychologicznie. – Przyjechał jeszcze jeden kontener. Są teraz trzy – kierowcy pozostali w kabinach. Zgaduję, że jest czterech

ludzi wewnątrz, nie więcej. Obluzowałem zaczepy świetlika... tak, mogę zejść na dół, jeżeli oni są na drugim końcu magazynu.

– Nasze zainteresowanie musi sprowokować akcję Babbingtona. To nie potrwa długo. Idź ostrożnie, Patrick.

Aubrey odłożył słuchawkę i klepnął kierowcę w ramię.

– Zabierz nas teraz do komendanta Calvino – powiedział.

Błyskawica spadła jak deszcz, powodując, że cała laguna na chwilę się rozświeciła. Potem zaczęło grzmieć.

Gdy tylko Hyde będzie miał pewne dowody, że szmuglowane materiały są w magazynie numer 14 – te, które wyjechały z lotniska w Birmingham albo dotarły do Wenecji via Dumas lub innego dostawcę MLC – to miejsce zostanie otoczone. Jeden z ludzi Calvino mógł dostarczyć pewnego rodzaju urządzenia podpalające, które zniszczą, ile tylko się da, w okropnym „wypadku”. O wiele czyściej i o wiele mniej do tłumaczenia. Zacisnął dłoń. Operacja była w jednym miejscu, prawie w jednym wymiarze. Nagle zniecierpliwił się lejącymi się strugami deszczu, z którym z trudem radziły sobie wycieraczki, błyskawicami i grzmotami oraz korkiem, w którym ugrzęźli.

Drgnął przy kolejnym błysku światła, skulił się pod uderzeniami deszczu, a potem przycisnął dłonie do uszu, kiedy usłyszał grzmot. Deszcz przesiąkał nawet przez czarną wodoszczelną pelerynę zapiętą pod szyją, która była w wyposażeniu w bagażniku mercedesa. Czuł się pogwałcony. Wszystko było lepsze od tych postrzępionych błyskawic lub nagłych, powtarzających się iluminacji oraz ogłuszających grzmotów.

Dotarł do drugiego końca dachu, a potem wrócił. Trzy ciężarówki, w tym jedna z przyczepą, były zaparkowane przed magazynem. Na razie nikt nie był zainteresowany załadunkiem.

Deszcz zalewał mu uszy i oczy, a włosy przykleiły mu się do skóry głowy. Spojrzał w dół przez mokry świetlik, bez przerwy go wycierając. Nikogo. Wcześniej widział trzech mężczyzn, jeden był starszy od dwóch pozostałych, a drugiego rozpoznał jako tego, który go ścigał z *zattere*. A więc ludzie Priabina. Z tej strony magazynu nie było teraz nikogo.

Ostrożnie wyjął szkło i ramę świetlika, przeciągając swoją pelerynę przez pusty mały prostokąt i zajrzał do środka. Kiedy opuścił głowę, woda z włosów

i szyi spadła na dół do ciemnego wnętrza. Wpatrywał się jak nietoperz w szeregi skrzyń i pudeł, minął nienaruszony pojemnik, potem wysilił wzrok, żeby zobaczyć coś w świetle błyskawicy, uwieszony pod sufitem, ale mógł dostrzec jedynie biura przy głównym wejściu.

Nasłuchiwał...

...odkładając szkło na bok. Znowu pojawiła się błyskawica, a zaraz po niej usłyszał grzmot. Drżąc uchwycił brzegi świetlika rękami, dopóki grzmot nie oddalił się w kierunku wzgórz Eugenean. Zaczepił linę na jednej z podpórek tuż pod świetlikiem i spuścił ją w mrok. Zawahał się przez chwilę, zawiesił torbę z narzędziami na jednym ramieniu i prześlizgnął się przez otwór świetlika, rozwieszając swoją pelerynę w okienku, aby uchronić się przed deszczem, gdy opuszczał się w dół na linie.

Zawisł tam, obracając się powoli nad skrzyniami i pudłami, i betonowymi alejkami między nimi. Deszcz bębnił w pelerynę, która przeciekała, ale to nie miało znaczenia – lepiej niż stracić pół godziny na położenie tego szkła z powrotem. Magazyn wydawał się nienaturalnie cichy w porównaniu z tym, co się działo na zewnątrz. Ale wkrótce usłyszał radio grające na drugim końcu hali, poczuł zapach kartonu, drewna, plastiku i polistyrenu oraz oleju i zaczął opuszczać się w mrok...

...który stawał się coraz bardziej rozświetlony, kiedy minął najbliższy rząd ocienionych żarówek zawieszonych pod sufitem. Poczuł ucisk w gardle. Spuścił się szybko na dół po linie i ukrył się za wysoką stertą skrzyń z napisem REID DAVIES – przystawionych do innych z napisem DUMAS ELECTRONIQUES. To go ożywiło. Spojrzał w górę na linę i usłyszał kapanie wody, zanim rozległ się grzmot. Szarpnął linę, przesuwając ją w cień do ściany magazynu. DUMAS, REID GROUP, REID DAVIES wylały się z zakurzonego mroku i jego pamięci jak symbole. Spojrzał w dół na swoje stopy. Otaczała je woda. Nieważne. Otworzył torbę i wyjął aparat, potem łom i śrubokręt. Przeszedł wzdłuż korytarza uformowanego przez skrzynie i zewnętrzną ścianę. Podłoga była zaśmiecona starymi opakowaniami oraz zniszczonymi, brudnymi półkami. W poruszonym kurzu widać było ślady rąk i butów. Na półkach wszystko porozrzucane bez ładu i składu. Nikt tu nie przychodził, żeby wziąć coś stąd na wystawę. To wszystko jechało gdzieś indziej.

Oderwał jedną deskę ze skrzynki, potem drugą, nic nie odkrywając. Poruszał się szybko, otworzył kolejną skrzynię, widząc pod spodem znowu drewno, które zaczął rozłupywać. Znalazł swój skarb. Godwin spocił się na ten widok. Transputery i mikroukłady scalone równo poukładane w pudełkach i opisane. Cofając się wyjął jedno pudełko, otworzył je i sfotografował. Błyski flesza mogły być wzięte za błyskawice. Potem skrzynia Dumas, słabo rozumiał francuski na pudłach, które były w środku, ale wiedział, że Dumas nie powinien legalnie dostarczać tych części lotniczych nikomu innemu jak francuskim siłom zbrojnym. Czuł się podekscytowany. W końcu to się stało rzeczywiście. *Eureka*. Błysk flesza eksplodował w mroku. Pięknie, równiutko...

Bzyczenie głównych drzwi zabrzmiało jakby przez magazyn przeleciała pszczoła, zaskakując go. Przez inny mały kanion między skrzyniami dostrzegł, że nietknięty pojemnik spoczywał w amfiteatrze przyciemnionego światła. Przycisnął aparat do klatki piersiowej, wspiął się po skrzynkach i pudłach, i patrzył ponad nimi w kierunku drzwi. Przez małe, boczne drzwi weszła ona w błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym, potrząsając mokrym parasolem, przychodząca niedbałym krokiem od śmierci, jak prostytutka wychodząca od klienta. Potrząsnęła włosami jak pies, uosobienie niewinności. Za nią był Priabin, potem szerokie ramiona ubranych w kombinezony lub w podkoszulki mężczyzn i kierowcy. Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem. Leżąc teraz płasko na skrzyniach, pełen napięcia, rozpoznał cień mężczyzny, który zamknął drzwi, zanim jeszcze wszedł w pierwszą, zakurzoną ostrość światła. Niech cię Bóg błogosławi, sir Andrew. Babbington, jeszcze nie oswojony z sytuacją, jednak nadal wydający rozkazy, oczekujący na szacunek i otrzymujący go.

Gdzie był Malan?

Kierowcy trzech ciężarówek weszli w cień. Przez świetliki blask błyskawic opadał na magazyn i słychać było ogłuszające grzmoty. Babbington rozpoczął procesję w kierunku nietkniętego kontenera. Był oparty o ścianę magazynu, prawdopodobnie zostanie wywieziony jedną z ciężarówek. Dziewczyna i Priabin podążyli za nim jak ćmy za światłem. Przy podziale powinien być Malan, ale widocznie Babbington nie mógł czekać i chciał po prostu wydać rozkaz

załadowania towaru i wysłania na lotnisko Marco Polo lub nawet drogą lądową przez Jugosławię, przy nietkniętych pieczęciach.

Jeżeli Aubrey chciał to wszystko podpalić, to najłatwiej byłoby użyć przenośnej, amerykańskiej wyrzutni granatów zapalających. Bez podkładania ładunków, lontów, po prostu odpalenie. Babbington dotarł do kontenera i pochylił się w jego stronę. Za dwoma mężczyznami i kontenerem, obok którego wszyscy się zatrzymali, był drugi kontener. Wózek widłowy z załadowanymi skrzyniami czekał przy drzwiach ciężarówki. Chryste, nie widział go ze świetlika. Musieli ładować ten kontener przez większość popołudnia. Babbington sprawdzał teraz jego wnętrze, ręce trzymał na biodrach, twarz wykrzywił mu grymas niezadowolenia. Pomachał do Priabina. Kierowcy poszli w stronę światła, a za nimi inni ubrani w kombinezony i dwóch mężczyzn w koszulkach z krótkimi rękawami. Babbington pomachał rękami i powiedział coś ostrym, władczym głosem. Jeden z mężczyzn wsiadł do wózka widłowego i uruchomił silnik. Widły wsunęły się do wnętrza kontenera i prawie natychmiast Hyde usłyszał hydrauliczne opuszczanie skrzyni. Ten cholerny kontener był już dobrze ponad połowę zapełniony. Znowu się błysnęło, a światła w magazynie zamigotały, jakby ktoś pomachał wiałą, starą ręką, i znowu się uspokoiły. Babbington spojrział w górę na sufit z żebrami jak u wieloryba. Widły wózka wysunęły się z wnętrza kontenera i skierowały się do następnych skrzyń, zgodnie ze wskazówkami Priabina i Babbingtona. Wzrost napięcia był namacalny, pośpiech niewątpliwy. Pieprzyć ogień tutaj, pomyślał Hyde, nie będzie na to czasu. Musi podejść bliżej.

Zaczął opuszczać się ze skrzyń na betonową podłogę. Potem prześliznął się wąskim korytarzem pomiędzy nimi i ścianą, a następnie wśród poukładanych pudeł i skrzyń, poruszając się najostrożniej, jak tylko mógł, jak gdyby szedł przez grzęzawisko. Wózek widłowy przejechał blisko niego, po sąsiedniej alejce, a potem druga ciężarówka trąciła skrzynie, za którymi się zatrzymał. Schylił głowę i ruszył dalej, potem ukląkł i patrzył przez zakurzone pudła na metalowych półkach na Babbingtona i Priabina; ich nogi i buty były skierowane do siebie. Odpowiedzi Babbingtona były niepewne i uspokajające. Hyde nie mógł się bardziej zbliżyć.

- ... musi być zrobione – usłyszał zapewnienie Priabina.
- ...przyśpieszenie... nie podoba się... – to powiedział Babbington. – ...więc, co możemy! – wybuchnął. Jego mokre od deszczu buty odsunęły się jeden lub dwa kroki, a potem wróciły.
- ...większość, tak czy inaczej.
- ...niechęć!

Potem buty Babbingtona ruszyły w kierunku jednego z wózków widłowych. Hyde oddychał równomiernie i spokojnie, następnie spojrzął na torbę obok siebie. Zadzwoić do Aubreya i wziąć to miejsce pod obserwację, zapieczętować je. Jest zbyt późno, żeby dbać o pozory.

Jego ręka we wnętrzu torby zacisnęła się na kolbie automatycznego bronią. Odwrócił się i stanął przed mężczyzną chcącym otworzyć usta, jednym z ludzi KGB w podkoszulkach. Hyde wypalił dwa razy. Łuski upadły na beton, ich odgłos został zagłuszony przez hałas jakby wysypujących się z otwartych pudełek śrub i nakrętek, gdy mężczyzna upadł na półki. Upadł twarzą na podłogę, a Hyde wstał jakby w odpowiedzi na pierwszy sygnał alarmu.

Przemknął się jedną z alejek z półkami, potem drugą. Odgłos wózka widłowego ucichł... Usłyszał swój własny oddech i krew szumiącą mu w uszach, a potem kogoś wydającego rozkazy, zanim wszelki hałas utonął w grzmocie.

Musiał zadzwonić do Aubreya. Musieli teraz przyjść...

Zdawało się, jakby dmuchany materac, który Anderson przyniósł z samochodu i napompował przy pomocy pompki nożnej, był rodzajem leżanki u psychiatry; konfesjonałem. Jego obiektywność także była pastiszem jakiegoś profesjonalnego sposobu zachowania. Van Vuuren wypił whisky z wielką zachłannością, a teraz przyciskał butelkę do piersi swą zabandażowaną ręką. Przez brudne okno widać było jak na podwórzu i zakurzoną, pustą przestrzeń poza nim szybko opadał afrykański zmierzch, a przynajmniej tak się zdawało. Pomyślał, że może się ściemniło z powodu nadciągającej burzy. Spojrzął na zegarek, jakby mierzył puls van Vuurenowi.

To była chaotyczna spowiedź – może bardziej denuncjacja, krzyk zdrady, któremu towarzyszył katalog niewierności i kompromisów rządu, MLC, Paulusa Malana, wszystkich, poza kilkoma dzielnymi białymi postaciami, które nie

pozwołą odejść przeszłości. Samousprawiedliwienie, jego własne ego, bigoteria, nienawiść, złość i rozpacz.

Broń była przywożona z Europy Wschodniej, przez kilka miesięcy, w większości strzelby i broń krótka, granaty, a nawet miotacze ognia. Nie w wielkich ilościach, jak się domyślał Anderson, ale z przerażającym przyśpieszeniem i coraz większą lekkomyślnością. *Niektórzy z nas przygotowani są na opór... Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że to musi być zrobione. Jest tak wiele rzeczy leżących ot tak sobie, człowieku i na dodatek tanio.* Van Vuuren stał się rozmowny po wypiciu drinka, którego efekt został wzmocniony przez to, że jego ciało wychodziło z odrętwienia po tym, jak...

Anderson unikał patrzenia na zabandażowaną rękę i grymasy bólu na twarzy van Vuurena.

...potem znalazłem Novaka, on wiele ułatwił. Nigdy nie korzystaliśmy z pieniędzy MLC, jedynie z naszych własnych, oświadczył z absurdalną szczerością.

Był jeszcze paraliżujący gaz bojowy – to właśnie dlatego te palanty przymykają na to oczy, czekając na transport. Dlatego ja byłem potrzebny w Wenecji, narzekał, jakby dotknął go jakiś mały wewnętrzny kryzys, obracając wniwecz jego plany. Patrzył z nienawiścią, jakby składał oświadczenie. *Novak dostarczy to tutaj.* Wydawał się tego pewien. Anderson dowiedział się z chaotycznych, nieświadomych denuncjacji i oskarżeń, że Malan nie był zamieszany w szmuglowanie broni i gazów bojowych.

Udawana obojętność Andersona była tak wielka, że prawie nie zdziwiła go ta informacja. W końcu przekaże to Aubreyowi, który zatrzyma dostawę, ale nie dawało to podstawy do wyobrażania sobie skręconych czarnych kształtów na ziemi, dostaw zatrutej wody czy też szantażu – to były jedynie jego własne, zmniejszające się niepokoje.

W końcu van Vuuren przyznał: *Malan wydał rozkaz zabicia ciebie. Blantyre zrobiłby to tak czy inaczej, ale Malan wydał rozkaz.* Stałaś na drodze MLC. Teraz widział ciała, a tak naprawdę jedno ciało. Potrzebował jedynie Blantyre'a, aby dokonać swojej zemsty. Gdy mu przerwał pytaniem na temat masakry w Etoshy, van Vuuren w końcu przyznał, że Malan brał udział w zamordowaniu Margarethe.

Reszta nie miała znaczenia. Broderbong, AWB, konserwatyści i dwie małe

grupy oporu białych.... Jedynie wina Malana i Blantyre'a. Znalazł człowieka, który stał za tym wszystkim, jedyną sprawą, która miała jakiegokolwiek znaczenie.

Poinformuje Aubreya po zmierzchu, gdy będzie bezpieczniej szukać telefonu, o dostawie gazów bojowych: VX czy sarin, czy inne obrzydlistwa, jakie mogą dostać z rąk Czechów. Po tym telefonie zrezygnuje; odejdzie, aby zająć się własnymi kłopotami, swoją uczciwością, swoim żądaniem sprawiedliwości. Malan i Blantyre. Zabije ich obydwu.

Van Vuuren mamrotał dalej swoją spowiedź, wyrażał pogardę, gniew i przebiegłość z większym dystansem i z przerwami, jakby jego nadajnik słabł, a baterie wyczerpywały się. Anderson nie zwracał na niego uwagi. Dowiedział się wszystkiego, czego chciał. Gdyby van Vuuren spróbował ucieczki, to pozwoliliby mu odejść.

Gniewne podmuchy wiatru uderzały piaskiem w brudne okno. Szła burza piaskowa, odpadki z Rand fruwały nad przedmieściami Johannesburga. Proch do prochu. To może zabrać kilka miesięcy, na pewno kilka tygodni, ale musi być zrobione. *Lex talionis*. Prawo odwetu. Piasek wleciał przez nieszczelną ramę okienną i obluźowane deski. Van Vuuren wydawał się nie zauważać nadchodzącej burzy.

Od czasu do czasu przemykały przez drogę zamglone światła samochodów. Anderson obrócił swoją przyszłość w rękę jak dziecko szklaną kulę, do góry nogami; śnieg opadł na małe dekoracje wewnątrz szkła. W którąkolwiek stronę przekreśliłby perspektywę swojej przyszłości, to niezmiennie obierała ona ten sam jasny kierunek. Nie było nic, absolutnie nic, co mogłoby go zatrzymać. Oko za oko. To da mu iluzję spokoju, nada sens, przyniesie odpoczynek...

Reflektory samochodu zjeżdżającego z drogi oświetliły fruwały piasek i kurz nad podwórkiem. Ocieniony pojazd za nimi powoli się zatrzymał. Światła pozostały włączone sądując budynek.

Hyde przykucnął w pobliżu biura przy głównych drzwiach w głębokim cieniu. Drzwi były otwarte na burzę, a ulewny deszcz rozmywał światła jednej z ciężarówek, kiedy skręciła w stronę magazynu. Człowiek z KGB w kombinie stał obok otwartych drzwi; w świetle widać było pistolet, Makarowa, w

jego lewej dłoni. W biurze inny mężczyzna spojrział przez okulary na zakończony sfalszowany spis zawartości kontenera. Jego wahanie, małe, równe piśmo i liczby sprawiły, że Hyde poczuł mrowienie na ramionach i szyi. Teraz to była już akcja ratownicza. Zabrać towary, alarm jest wyłączony. Wycofał się w cień. Ciężarówka wjechała do magazynu z zapalonymi światłami.

Szedł brzegiem wzdłuż ściany, słysząc jedynie silnik i bębniący z nową siłą deszcz, po podobnym do dźwięku organów grzmocie. Gdy tkwił pomiędzy dwoma stosami skrzyń, wyłowił z torby telefon komórkowy i wybrał numer Aubreya. Lepiej zorganizuj kawalerię, chłopie...

Czerwone światło na telefonie pulsowało rytmicznie, a potem przestało.

– Niech pan tylko słucha! – wyszeptał przerażony. – Zostałem rozpoznany. Obserwowany teren zostanie niedługo opuszczony. Przyjeżdżajcie z wojskiem. Teraz.

– Tak – wymamrotał Aubrey z wielkiej odległości. Hyde wrzucił telefon z powrotem do torby, potem rozważał, czy jej nie zostawić, ale uznał, że może jeszcze potrzebować telefonu oraz dodatkowych magazynków z nabojami. Lepiej ją wziąć ze sobą.

Słyszał, że silnik ciężarówki pracował teraz na zwolnionych obrotach; doszedł do niego podniecony, ponaglący głos Babbingtona i wołającego coś do swoich ludzi Priabina, potem piskliwa odpowiedź kobiety. Nie potrwa to już długo. Znowu się błysnęło, a potem słychać było grzmot, teraz już z odległości kilku kilometrów. Kobieta dostanie polecenie zabicia go, podczas gdy Babbington i Priabin będą organizować wywóz. Dwa kontenery?

Tak, wciąż ładowali drugi kontener. Starał się oddychać jak najspokojniej po wspięciu się na regały. Obserwował ich z wysoka, w światłach ciężarówki podjeżdżającej na wstecznym biegu do załadowanego kontenera. Magazyn wydawał się ogołocony, jakby specjalnie kpił sobie z jego śledztwa. Trzymał się kurczowo, przyglądając się pozostałym rzędom pudeł i skrzyń. Znaki firmowe były znane, mimo że teraz trudne do odczytania – REID GROUP, REID DAVIES, DUMAS. Towar był uprzątnięty jak podczas pierwszego dnia wyprzedaży u Harroda. Wózki widłowe ledwo mogły wydostać się z rampy drugiego kontenera. Tak dużo prezentów upchnął tu święty Mikołaj. Jeden wózek

cofnął się, a drugi podniósł się i przestawił skrzynie. Spocony mężczyzna przysunął je bliżej siebie. Babbington machał rękami jak policjant drogowy, podczas gdy Priabin szedł szybko w kierunku biura. Przez drzwi słychać było drugą ciężarówkę, której silnik zagłuszał wszystko. Metal koło jego ręki został wgnieciony; był gorący, gdy go dotknął, lecz nie słyszał świstu kuli. Rozejrzał się szaleńczo dookoła. Jeden z mężczyzn klęczał na szczycie skrzyni trzydziści metrów od niego, z rękami wyciągniętymi przed siebie trzymając pistolet w obydwu dłoniach.

Hyde zeskoczył z półek i przykucnął, a uzbrojony mężczyzna wydał z siebie okrzyk jak myśliwy. Powtarzała się ta pieprzona sytuacja z lotniska Brum, gdy wszystkie te cholerne rzeczy miały znów uciec mu przed nosa! Hyde przeszedł na koniec półek. Zatrzymując się na chwilę otworzył torbę i wydobyl z niej dwa dodatkowe magazynki z amunicją. Zostawił teraz torbę. Telefon był już bezużyteczny. Usłyszał kolejny strzał, ale nie zauważył, z której strony padł. Potem trzeci. Nie widział nikogo z nich, nawet tego ze szczytu skrzyń. Słyszał nawoływania niewidzialnych myśliwych, naprowadzanie ciężarówki próbującej połączyć się z kontenerem oraz zwolniony bieg drugiej ciężarówki. Potem zobaczył niebieski błysk na tle otwartych drzwi i nieba i usłyszał grzmot. W tym hałasie ruszył, uciekając jak szczur do głębszego cienia, widząc kątem oka jakąś postać. Czy ten ktoś go widział? Nie miał pojęcia. Jeszcze jedna błyskawica, nie tak oślepiająca, i grzmot. Deszcz uderzał o dach mniej gwałtownie.

Ukucnął obok kartonowych pudeł REID DAVIES, CZĘŚĆ REED GROUP PLC. Telefaxy. Przetarł czoło wierzchem dłoni uzbrojonej w browninga i oparł lufę o rozgrzany policzek. Nie mógł zatrzymać wyjeżdżającej ciężarówki, nawet gdyby zastrzelił kierowcę. Aby to zrobić, musiałby się odsłonić, a wtedy zabiliby go z łatwością. Zerwał się, gdy usłyszał upadające gdzieś pudła, zaciśkając rękę na brzegu zniszczonej skrzynki – poukładane paczki z taśmami magnetycznymi do komputerów, poprzetykane kawałkami polistyrenu, owinięte w polietylen; wielkie szpule do programów.

Ktoś się zbliżał w jego stronę, sądząc po krokach – mężczyzna. Potem rozległ się krzyk i kroki zatrzymały się.

– Tu jest torba! – usłyszał. A potem, głośniejszym i wyraźniejszym głosem: – Aparat, telefon! – kroki oddaliły się.

Bliżej niż sądził, usłyszał głos Babbingtona, uświadamiając sobie znaczenie telefonu. Głupi palant, nie powinien go zostawiać. To spowoduje jeszcze większy pośpiech, prawie maniacką chęć, aby go odnaleźć i zniszczyć. Usłyszał głos Priabina zniekształcony przez megafon. Potem rozproszone dźwięki podobne do szczekania i biegu rozwścieczonych psów. Deszcz zmniejszał się, a grzmoty słyhać było już z bardzo daleka. Pracujące ciężarówki nie mogły się doczekać wyjazdu. Drzwi drugiej ciężarówki zatrzasnęły się z czymś w rodzaju panicznego triumfu.

...kroki. Odwrócił się, drżąc, ręce wyciągnął przed siebie i wystrzelił. Mężczyzna schylił się, potem coś rozdarło kawałek drewnianej skrzyni blisko niego. Zobaczył z pewnego rodzaju zwolnionym, filmowym przerażeniem, jak odłupany kawałek drewna potoczył się ze światła w kierunku cienia. Odwrócił się i strzelił ponownie, klęcząc na jednym kolanie jak podczas treningu.

Wyrzucając ręce do góry, drugi mężczyzna upadł do tyłu, uderzając pistoletem o beton. Odwrócił się ponownie i strzelił trzeci raz. Mężczyzna zniknął z pola widzenia. Hyde wgramolił się na stos kartonowych pudeł, zdradliwych jak obsypujący się piach na zboczu wydmy i stoczył się, gdy usłyszał uderzenie dwóch kul w rozlatującą się stertę. Jasne płytki mikroukładów scalonych błysnęły w słabym świetle jak stracona fortuna. Rozległo się więcej strzałów, ale on przetaczał się pomiędzy pudłami. Został nimi do połowy zasypany. Uwolnił się, wyciągnął przed siebie broń, obracając się wśród zniszczeń, i strzelił ponownie dwa razy. Do nikogo, jak to sobie uświadomił, kiedy spojrzał spokojnie wokół siebie. Wycofał się na czworaka do cienia rzucanego przez wysokie regały.

Potem zobaczył ją – Walentynę, mniej zaskoczoną niż on sam. Wydawało się, że zaczęła szybciej poruszać rękami, ale jej twarz była zasłonięta megafonem trzymanym w lewej ręce i pistoletem w prawej. Wypalił pierwszy, raz, potem drugi, a potem jeszcze raz, jak ktoś, kto strzela do jadowitego, już martwego węża. Zimna wściekłość czwartego strzału. Kobieta leżała nieruchomo, z wykręconą prawą nogą przygniecioną ciałem, przyklejoną do ud sukienką i włosami połyskującymi od deszczu.

Usłyszał ponowne nawoływania, ale teraz już mniej pewne siebie, przyciszone z powodu jego strzałów. Wyjął pusty magazynek i załadował nowy, wprowadzając pierwszy nabój do komory. Drżał, cały się spocił. Potem powoli

oddalił się od ciała kobiety do głębszego cienia, podczas gdy oni wołali ją po imieniu, nawet używając jej stopnia. Ale nie było słycać Babbingtona i Priabina, nikogo, kto by nimi dowodził. Usłyszał warkot ciężarówki ruszającej w kierunku drzwi.

Zaczął biec. Lepiej zastrzel kierowcę, chłopie, nawet gdyby to miało ich zatrzymać tylko na kilka minut. Zastrzel kierowcę, zastrzel kierowcę... powtarzał raz za razem, gdy biegł wzdłuż długiego rzędu półek, nie zwracając uwagi na głosy za nim. Gdyby ktoś wybiegł teraz z bocznego korytarza i stanął za nim, miałby ruchomy cel, łatwy do trafienia. Prawdopodobnie zatrzymali się po odnalezieniu ciała kobiety i byli niezdecydowani.

Znalazł się przy drzwiach razem z ciężarówką z pierwszym kontenerem...

...podniósł do góry pistolet celując w wysokie okno kabiny. Kierowca nawet na niego nie patrzył, spoglądając przed siebie, na drzwi magazynu zablokowane przez ciężarówkę. Przed nią i po bokach mężczyźni z pistoletami maszynowymi uzi i strzelbami czekali, aż kierowca się zatrzyma, i podniesie ręce do góry. Hyde przysiadł na betonie nie mogąc powstrzymać drżenia.

Zanim kierowca miał czas, aby zastosować się do rozkazu wydanego po włosku, powtórnego po angielsku, a potem po rosyjsku, wzywającego go, aby wyszedł z kabiny, Aubrey pochylił się nad Hyde'em, potrząsając nim, jakby nie zdał jakiegoś testu i sprawił zawód rodzicom.

– Kto opróżnił drugi magazyn. Kiedy? – dopytywał się Aubrey. – Patrick, tam nic nie ma. Novak wszystko wyczyścił!

Część trzecia

JEDYNNIE
W AFRYCE
POKÓJ

Ex Africa semper aliquid novi:
Z Afryki ciągle coś nowego

Pliniusz Starszy

Rozdział trzynasty

KOLEJNY BRUDNY AMATOR

Światło słoneczne opadło na spięte, skoncentrowane, żywe twarze ładowacza i jego załogi, gdy tylna rampa ładowni otworzyła się jak drzwi wielkiej ciężarówki. Hałas silników herculesa stał się głośniejszy, ale miało się też złudzenie dziwnej nieruchomej ciszy. Potem spadochron hamujący zatrzeszczał otwierając się za nim z eksplodującym dźwiękiem i jego głowa została wciśnięta w siedzenie pojazdu. Został odrzucony do tyłu oddalając się od załogi w ładowni i land rover wyjechał z cienia na afrykańskie słońce. Potem poczuł przyprawiające o mdłości szarpnięcie, kiedy samochód uderzył w piasek Kuiseb Canyon. Krajobraz był zasłonięty kurzem, który się podniósł po przelocie samolotu na wysokości nie więcej niż piętnaście metrów nad pustynią. Wywołało to gwałtowne, surrealistyczne wrażenie, że coś uderzyło w samochód, który zwolnił, zataczając się na boki i zahamował w czerwonym piasku. Piasek osiadł na nim i na land roverze i wyłonił się z niego hercules, który wzniósł się ciężko w ciemny błękit świtu.

Z Londynu do Brighton w cztery minuty – Jezu Chryste, to było właśnie coś takiego. Kaszląc w ostrym, pełnym kurzu powietrzu odpiął pasy. *O Jezu, czego ja nie robię dla Anglii.*

Wysilił wzrok ponad powoli opadającym kurzem dostrzegając herculesa, gdy wyrównywał lot po tym, jak wykręcił i skierował się ponownie w stronę płaskiego, suchego od wieków koryta rzeki, które wybrali na skok. Samolot po drugim zrzucie przekroczy ponownie granicę Namibii i znowu pojawi się w radarze, kontynuując swą podróż z wyspy Ascension na Falklandy. Leciał poniżej wysokości radarowej przez większość trasy z Ascension przez pociemniały ocean, gdy on spał. Nadlatywał ponownie, opadał niżej, podwozie wysunięte,

rampa otwarta. Był lekko na prawo od swego poprzedniego kursu – *Nie chcę być zrzucony z wielkiej wysokości, czy ktokolwiek to już robił* – a potem przeleciał, wznosząc za sobą kurz, w którym skryła się pochylnia. Błyszczący metalowy kanister wypadł z ładowni. Zdawało mu się, że dostrzegł białą rękę machającą do niego, a potem rampa i podwozie schowały się i hércules odleciał w kierunku wybrzeża, na południe od enklawy Walvis Bay, a hałas z jego silnika zanikał, stając się...

...ciszą, która zdawała się wdzierać do uszu. Wskoczył w opadający kurz i przeniósł kanister w kierunku land rovera. Uwolnił wiązania spadochronu i zwinął go w kłębek, potem przyczepił kanister do tyłu pojazdu – *nie otwierać przed Bożym Narodzeniem* – i zaczął zwalniać 4WD z blokad mocujących go do płyty neutralizującej wstrząs uderzenia. Następnie wyprostował się i rozejrzał dookoła. Znajdował się prawdopodobnie pięć lub siedem kilometrów od drogi C 14 prowadzącej do Aruvei i Walvis Bay, która była sto kilometrów na północny zachód. Słońce podnosiło się nad najbliższym kanionem. Niska skarpa była jak pokryta złotem, a poorane bruzdami, puste wzniesienia poczerwieniały. Hyde potrząsnął głową. *Witamy na Marsie*. Słońce nagle zaatakowało ciepłem w swym łagodnym zimowym gniewie. Jaszczurka przebiegła przez szorstki, żwirowaty piasek w kierunku cienia skał. Gdy uruchomił samochód, hałas silnika odbił się od niskich bezkształtnych ścian kanionu. Pojazd oparł się o nierówny grunt, a on spojrzał do tyłu na porzuconą płytę przeciwwstrząsową i na wpół zakopany spadochron. Ktokolwiek to zobaczy, pomyśli, że to było wyposażenie Sił Obrony Afryki Południowej porzucone po jakichś ćwiczeniach. Kto to zobaczy? Pusto jak na księżycu. Dodał gazu, i ruszył przez niskie wzniesienie, opierając się na kierownicy, gdy jechał korytem strumienia, który kiedyś zmienił bieg, wpływając do wyschniętego koryta rzeki Kuiseb. Kilka karłowatych akacji i jakieś porosty marniejące na skałach. Gdy dotarł do brzegu kanionu, spojrzał na zachód na nieruchome wydmy ciągnące się w stronę Namibii; wydawały się bardziej okazałe niż granica, którą stanowiły wzniesienia wokół niego.

Spojrzał na swoje szorty, ciężkie buty i przepoconą już koszulę traperską z wyblakłymi insygniami kaprała. Kapelusz traperski miał nasunięty na czoło. Siły Obrony Afryki Południowej. Cholerny kapral Hyde... nie mogli dać mu

munduru oficerskiego, czy co? Zahamował i wyłączył silnik. Na północnym horyzoncie był słup kurzu, który mógł oznaczać przejazd dużej ciężarówki po drodze. Znowu ogarnęła go cisza, ciężka jak jakiś koc i dezorientująca jak utrata słuchu.

Zatrzymaj to za wszelką cenę – powiedział mu Aubrey, nie dodając *sam*, ale to właśnie miał na myśli. Anderson mówił, że tam jest gaz bojowy, więc tak musiało być. *Zatrzymaj to w Namibii. Jakimkolwiek sposobem.*

Szybkie uderzenie i odebranie. Drobną niedogodność. Priabin i Babbington wyjechali z Wenecji nie niepokojeni, a tej samej nocy ktoś wysadził w powietrze magazyn numer 14 materiałem wybuchowym semtex, redukując jego wartość do spalonych i pomieszanych śmieci. Pod samym nosem Włochów. To zniszczyło wiarę ludzi we Wspólnotę Europejską, naprawdę. Tak więc, wszystko zostało zamieciono pod dywan. Nie było już kwestii dowodów, śledztwa czy kontr działania, a jedynie chodziło o zatrzymanie dostawy czeskiego gazu bojowego do szaleńców na rubieżach krainy Afrykanerów.

Hyde potrząsała głową, krzywiąc się w ostrym świetle w miejscu, gdzie droga przechodziła przez nieskończone piaszczyste równiny północnej pustyni. Spojrzał ponownie na mapę. Kompleks MLC za Walvis Bay był miejscem, do którego musieli dostarczyć towary z Wenecji, na włoskim transportowcu, który odleciał pół godziny przed tym, zanim on i Włosi dotarli do Marco Polo w zimnym powietrzu po burzy. Dwa dni temu. Znaleźć samolot, który nie pojawił się ponownie, mimo że miał wrócić do Milana ze śrubami i nakrętkami, czy czymkolwiek z MLC. Aubrey uważał, że wciąż stał na pasie startowym. Poszukiwania były kosztowne, trzeba było wynająć samolot, który go tu dowiózł. Załoga samolotu była bardzo rozbawiona pomysłem wystrzelenia go z herculesa i bardziej podniecona, niż gdyby zrzucali ziarna żyta nad Etiopią czy dostawy żywności nad Kuwejtem. Patrzyli na niego jak na rodzaj eksponatu muzealnego – rekonstrukcję dinozaura. Szpieg? Co to takiego?

Obserwował teren, kiwając głową, i uruchomił silnik. Maskę land rovera zapadła się, kiedy zaczął zjeżdżać ze wzgórza w stronę płaskiej, monotonnej równiny. Jeżeli to wszystko, co zostało – a Aubrey nie zamierzał posunąć się dalej z Longmeadem i połową gabinetu, próbujących uniknąć zamieszania, oraz ministrem handlu i przemysłu robiącym w gacie ze strachu, że coś brzydkiego

może przyłgnąć do jego nieskazitelnego wizerunku – powinien to zrobić jak najlepiej. Przynajmniej zablokować van Vuurena, Blantyre'a i ich plan!

Samochód podskakiwał i wspinał się po małych kamieniach. Aubrey był z powrotem na rubieżach; nadgorliwość, przekleństwo w jego karierze. Hyde uśmiechnął się kwaśno. Ten stary palant był naprawdę nieskończenie naiwny, zawsze uważający, że ludzie chcą słyszeć gorzką prawdę. Więcej kurzu zawisło w powietrzu na północy. Na pewno była tam droga. Reid Davies ma zamiar przenieść całą, ciężką puszkę – David Reid będzie zostawiony w spokoju, ponieważ było zbyt wielu ludzi, którzy widzieli w nim oczywistego następcę, a nikt nie chciał teraz wprowadzać zamieszania w Pretorii, gdzie Mandela i de Villiers zajęci byli swoim długim godowym tańcem.

Zadrzał w gorącym powietrzu, chwycił mocniej kierownicę, jak gdyby chciał się poczuć pewniej. To był gaz bojowy – Jezu. A ty jesteś nieczystym człowiekiem przybywającym, aby sprzątnąć ten pieprzony bałagan.

Nic z tego nie może dotknąć Davida Reid – oświadczył Longmead z obłudnym naciskiem. *Nic z tego nie jest jego dziełem i nic z tego nie może rzucić cienia na jego karierę...* Chociaż, z pewnością David dawno już wiedział, skąd pochodzą fundusze i zamówienia, które uratowały Reid Group – od Malana, a nawet KGB!

Aubrey spojrział przez okno samolotu, gdy 747 skręcał nad jednym z zakurzonych przedmieść Johannesburga i zaczął zbliżać się do lotniska Jan Smuts. Jego pusta szklanka po soku pomarańczowym – *szampana nie, dziękuję, zbyt wcześnie na mój żołądek* – została zabrana przez stewardesę, a jego mały stoliczek złożony. Pierwsza klasa była wypełniona w większości przez brytyjskich biznesmenów zaprawionych w wyprawach w interesach do nowej Republiki Południowej Afryki. Szampan? Nie było żadnej okazji do opijania.

Jakiś spartaczony scenariusz szantażu został doczepiony do Michaela Daviesa, będącego pod wpływem swej żony, Reid Davies będzie oczyszczone, używając słów Longmeada, a Malan pozostanie nietknięty. *Nie możemy w tej chwili wprowadzać zamieszania w Afryce Południowej.* Z urywków rozmowy, jakie podsłuchał przypadkowo podczas lotu, zrozumiał niechęć Rady Ministrów do działania przeciwko Malanowi. Tego wymagają interesy i imperatywy handlu.

Samolot zaczął się prześlizgiwać przez cienkie, przezroczyste poranne chmury w stronę połyskującego w dole miasta. Drużyna krykieta przyjedzie tutaj na pewno po biznesmenach w ciągu kilku miesięcy, z błogosławieństwem MLC.

Malanowi wybaczone zostaną wszystkie interesy z Reid Group. To powinno cię zadowolić, Kenneth. Kontakty pomiędzy Reid Group i francuską firmą zostaną ucięte – Francuzi mogą wysprzątać sami swoje mieszkanie. Jeżeli to będzie konieczne, Reid Group rozpadnie się.

Longmead przy swej największej służalczości był najbardziej wiktoriański. Zazgrzytał zębami i spojrzął na siedzenie obok siebie. Jego towarzysz podróży – producent obrabiarek z Midlands – poszedł do toalety i wrócił zlanym drogim płynem po goleniu. Zakłopotanie Aubreya ulotniło się. *Zakłopotanie rządu de Villiersa spowodowane działalnością MLC jest niezrozumiałe. Zawsze jest punkt, w którym należy się zatrzymać i ten punkt został osiągnięty.*

Przez dwa dni i noc kładł nacisk na swoje imperatywy, jedynie po to, aby je odrzucili. Jego twierdzenie na temat dostawy, która według niego zawierała gazy bojowe, zostało wyśmiane, a czas uczynił Davida Reida niewinnym. Nie było już nic więcej do powiedzenia poza: *Zatrzymaj to za wszelką cenę.* Do Hyde'a. Nadużył po raz ostatni swej władzy, aby umieścić Hyde'a w Namibii. Była to ostateczna, desperacka decyzja. Bardzo prawdopodobne, że jego reputacja i kariera nigdy nie zostaną odbudowane, ale to po prostu musiało być zrobione. Musiało być zatrzymane, gdyż niedowierzenie w Whitehall nie położyłoby temu kresu. To nie był koszmar nocny możliwy do uniknięcia przez włożenie głowy pod koc; to było realne. Mogło być użyte do zabijania. Nawet do destabilizacji Afryki Południowej. Nie mógł na to pozwolić, nawet gdyby musiał sam przyjechać do Johannesburga, do Malana i próbować nagiąć go do swojej woli. Zaszantażować go. Biznesmen z Midlands wsunął się z powrotem na siedzenie, otoczony aromatem płynu po goleniu. Jego policzki gładko błyszcząły, prawie oskarżycielsko wobec zarostu Aubreya. Uśmiechnął się, więc Aubrey uczynił to samo. Spojrzął w stronę zbliżającego się miasta i poczuł ściskanie w żołądku.

Zabłyśły znaki informujące, żeby zapiąć pasy i nie palić. Gdzieś tam był Richard Anderson, całkowicie wolny i ogromnie niebezpieczny, mający tylko

jeden cel – zabić Malana. Nic, poza jego własną śmiercią, nie mogło go powstrzymać. Malan musiał być zaszantażowany i wykorzystany do zatrzymania katastrofy, zanim Richard go dopadnie. Malan musiał mu pomóc zlokalizować i zatrzymać dostawę z Wenecji oraz powstrzymać Blantyre'a i każdego, kto mógłby w tym być, a szczególnie van Vuurena.

Potem – skinął ponuro głową – Richard dostanie Malana czy kogokolwiek innego, kogo chciałby zabić.

Ził minął wieżę telewizyjną i brzydsze, starsze kopuły oraz krzyże monastynu dońskiego, przejechał w dół M4, ulicą Liusinowską, w kierunku autostrady M5 i lotniska Domodedowo. Babbington wpatrywał się pośpiesznie w jasne popołudnie za oknem i słońce odbijające się od cebulastych kopuł. Zdecydowany nie spoglądać w stronę Kapustina, ze strachu, by nie zdradzić się przed nim, że jest przepelniony uczuciem ulgi, patrzył nadal przez okno. Po odebraniu Kapustina z biur przewodniczącego KGB byli już za drogą Sadowaja i mieli dobry czas.

– ...za nami – mamrotał Kapustin, patrząc na kierowcę za szklanym przedziałem limuzyny. – Kiedy do tego doszło, zostaliśmy uznani za niezastąpionych... nawet ty. Ktoś rozumiejący ich sposób myślenia, kto kiedyś był jednym z nich... – przetrwał z powodu poprzedniej tożsamości, ponieważ był wciąż Anglikiem, sir Andrew Babbingtonem. – Tak więc, niepowodzenie w Wenecji było łatwiejsze do przebrnięcia, niż myślałem – dał do zrozumienia, że została oddana przysługa, zobowiązania zaciągnięte.

– Dziękuję – wymamrotał Babbington.

Kapustin wzruszył ramionami.

– To było konieczne. Pozbądź się tego przeszkadzającego starego gówna Aubreya. Upewnij się, że wszystko jest wykonane pod twoimi auspicjami, a nie Malana. Potrzebujemy Malana i władzy nad nim, jak do tej pory. Upewnij mnie, że Brytyjczycy wypuszczą z rąk ten interes jak gorący kamień, bez Aubreya, udowodnij swoje stanowisko.

Babbington spojrział w kierunku wielkich wież kościołów, które przekształcono w muzea. Ruch w kierunku lotniska był większy, jak zawsze na

autostradach Moskwy. Narastał, skręcał, przyspieszał. Kierowca był spięty, koncentrując się i starając się uniknąć wypadku. Niewielka kolizja między dwoma starymi moskwiaczami spowodowała podniesienie masek. Z chłodnic buchnęła para, a na poboczu zaczęła się bijatyka. Ćwierć mili dalej leżał z boku drogi spalony samochód. Babbington był zdenerwowany wypadkiem.

– Byliśmy oskarżani – ty byłeś oskarżany – o tę przerażającą wpadkę w Wenecji, ale Priabin może zostać zmuszony do wzięcia na siebie jakiejś części twojej winy. Jeżeli pozbędziesz się Aubreya – potrząsnął szorstko ręką Babbingtona, tak że ten był zmuszony odwrócić głowę i spojrzeć na Kapustina. Płonące oczy wydawały się uciekać w niezliczone zmarszczki świadczące o wieku i przebiegłości. – Andrew, wykonaj swoją robotę. Malan prosił o naszą pomoc i radę. Wyświadcz mu tę przysługę – zaśmiał się gardłowo, potrząsając teraz ręką Babbingtona przepraszająco, nawet z sympatią. – Jesteśmy niezastąpieni. Mateczka Nikitin nie może dalej prowadzić przedstawienia bez nas. Malan pomaga nam w utrzymaniu naszej ważności. Niech mu się nic nie stanie. Po prostu pozbądź się Aubreya.

Opadało to powoli, prawie elegancko, z gorącego, bezwietrznego popołudniowego nieba, jak biały ptak morski poszukujący wybrzeża. Potem przyjęło kształt samolotu i usłyszał warkot silnika – prawie pierwszy odgłos od czasu odlatujących na wschód silników włoskiego samolotu dostawczego tuż po dwunastej. Samolot okazał się modelem cesny huśtającym się w powietrzu, gdy przelatywał nad pasem startowym i potem wylądował, wzniesając za sobą kurz. Zwolnił i kołował, drzwi kabiny otworzyły się, zanim się zatrzymał. Zarośnięty mężczyzna zwolnił i zatrzymał swego 4WD obok samolotu i – och, tak...

Blantyre powitany przez salutującego ze szczerym uśmiechem kierowcę japońskiego 4WD odsalutował i uśmiechnął się. Cesna kołowała dalej w kierunku hangaru, a pojazd odjechał w stronę budynków administracyjnych kompleksu MLC. Hyde obserwował przez lornetkę, mrużąc oczy z powodu światła słonecznego odbijającego się od chromu i piasku, aż Blantyre wszedł do klimatyzowanego, godnego pozazdroszczenia wnętrza głównego budynku. Kierowca

zapalił papierosa i pierwszy wypuszczony dym zawisł nad jego głową jak mała chmurka. Hyde przetoczył się na plecach po swej samotnej wydmie i spojrzął zadowolony na niebo. Do tego momentu miał jedynie nadzieję, że nic nie zostało wysłane drogą lądową. Teraz był już pewien. Blantyre przyjechał doradzać, zarządzać. Dostawa gazów bojowych i krótkiej broni była w jednym z niższych magazynów. Włoski samolot, który przywiózł towar, był tym samym, który wyleciał z Wenecji, tuż przed ich przybyciem na Marco Polo, i zgodnie z dokumentami miał przylecieć do Walvis Bay. Rejestracja się zgadzała. Dostawa przyleciała, ale nie wyjechała – och nie, nie ma przedstawienia bez Puncta, a Punch właśnie przyjechał. Istne cacko...

Land rover był ukryty pół kilometra dalej, w naj płytszym obniżeniu terenu, zasłonięty nędznymi kępami krzaków. Sprytny stary sukinsyn Aubrey – dobry w zgadywankach, tak czy inaczej.

Wizja pustyni i połyskującego oceanu, cisza, która zapadła teraz, gdy silnik 4WD został wyłączony – wszystko uderzające i przytłaczające. Wydmy na południu, skarpy na wschodzie, pustynia na północy, ocean na zachodzie; on sam na samotnej wydmie. Blantyre, przynajmniej dwie ciężarówki z kontenerami, prawdopodobnie po trzech w kabinie, eskorta być może w dwóch pojazdach, po trzech lub czterech ludzi w każdym 4WD – i mogą jechać bez przystawiania, zmieniając się za kierownicą. On będzie musiał jechać sam, i to bez odpoczynku. Do chwili, aż będą na pustyni, w górach czy kanionie, żeby nie mieć żadnej innej możliwości. Żadnego samolotu, żadnej innej ciężarówki, żadnego helikoptera czy łodzi... a więc żadnej drogi wyjścia.

Przeszedł go dreszcz. To nie było cacko. To było coś zupełnie innego.

Pozostał cierpliwy, panował nad sobą. Nie było to dla niego ważne, że miał przed sobą tygodnie, może miesiące, wybiegów, maskowania się, nawet ukrywania jak ścigane zwierzę – nic go nie przerażało. Miał poczucie obowiązku, które podtrzymywało go bardziej, niż mogła to zrobić wiara. Malan wydał rozkaz lub przynajmniej to usankcjonował. Tak powiedział van Vuuren. *Q.E.D** – Malan zamordował Margarethe, próbując go usunąć. Malan spłaci dług, jaki zaciągnął.

* Quod erat demonstrandum (łac.) – co było do dowiedzenia (przyj. red.)

Nawet obserwacja już dłużej nie była nudna i nie stała się jedynie rutyną. Wsiadł z samochodu zaparkowanego tu przez cały dzień, opuszczając parking jedynie wtedy, gdy Malan wyszedł z MLC. Wrócił tu wczesnym rankiem, tak więc pojazd stał cały czas na tym samym piętrze wielopiętrowego garażu, wychodzącego na biura Malana. Był stąd także widok na parking przy budynku MLC, gdzie mógł patrzeć na długą, kremową limuzynę Malana i jego kierowcę. W końcu będzie musiał wynająć inny samochód, żeby nie zwracać na siebie uwagi tych *białych ekstremistów odpowiedzialnych za porwanie i śmierć Pieta van Vuurena, szanowanego dyrektora, kochającego męża i...* bla, bla, bla. Był oddany tej jednej sprawie i musi ją zakończyć. Poszukiwała go policja, pokazywano jego zdjęcia stare i nowsze, jego przeszłość była przedstawiana w złym świetle, a jego historia przyprawiana wywiadami z ludźmi takimi jak Bright. Niebezpieczny psychopata, szalony i oddany czarnej przemocy oraz pięćdziesiąt innych podejrzanych historii na jego temat. Wiedział, że może uniknąć policji, jeżeli będzie wystarczająco ostrożny. No i, jeżeli będzie wystarczająco cierpliwy, zabije Malana.

Oparł łokcie na szorstkiej, szarej, betonowej barierce parkingu, jego mała lornetka była wystarczająca, aby się upewnić, że w biurze Malana panuje ruch. Przez poziome linie żaluzji widział ciężką postać siedzącą w koszuli z krótkimi rękawami przy biurku lub poruszającą się po pokoju. Przesuwając lornetkę sprawdzał parking. Kierowca mył mercedesa po jeździe Malana po zakurzonej drodze do Wanderers Club, namydlając jego maskę delikatnie, jakby mydlił plecy dziecka.

Przeniósł lornetkę ponownie na biuro. Malan siedział na brzegu wielkiego biurka. W jednej ręce trzymał papiery, wydając polecenia trzem siedzącym pracownikom. Temat ich rozmowy był nieistotny. Potrzebował jedynie wiedzy o nim jako o kimś fizycznym – gdzie jeździł, jak podróżował, dokąd wyjeżdżał na odpoczynek oraz gdzie mógł zostać sam, odosobniony. Gdy dowie się tego wszystkiego, osiągnie to, czego pragnie.

Chwilę później Malan został sam w głównym biurze, kiedy sekretarka sprzątnęła kilka filiżanek i dołała mu kawy z zaparzacza. Mógłby, na przykład, zabić go z dużej odległości. Jednak okno mogło skrzywić czy zwolnić kulę wystarczająco, aby go tylko zraniła. To by było niezadowolające. Gdzieś, w

jakimś momencie, fizyczna postać, bezbronna głowa, pochylająca się teraz nad biurkiem przeglądając papiery, będzie pozbawiona uwagi ochroniarzy, choćby przez moment. Wtedy będzie miał swoją chwilę.

Nalał sobie herbaty z termosu do nakrętki w kształcie filiżanki i sączył ją z namysłem. Ale jego umysł był pusty. Przez szklany dach nad centrum handlowym widział mnóstwo białych sukienek i koszul dryfujących jak liście. Za budynkiem MLC niebo było jasne, bez chmur, a dzień gorący. Na dalekim horyzoncie widniały hałdy odpadów ze starych kopalń, przodków Anglo i MLC. Nie było już tam żadnego ruchu. W przeciwieństwie do Aubreya nie wierzył, że Malan może przenieść swoje operacje poza Afrykę Południową. Nikt nie porzuca złota i diamentów, niezależnie od tego, co osiągnął... chyba, że kopalnie zostaną znacjonalizowane.

Za czerwono-brunatno-żółtymi, sztucznymi wzgórzami widać było na horyzoncie cienkie smugi dymu nad Soweto. Kolejne zamieszki w mieście. Słupy dymu w nieruchomym powietrzu były jak sygnały dzikusów otaczających fortyfikacje białego człowieka. I prawdopodobnie jedynie tak realne jak western. Zulusi i ANC, AWB przeciwko rządowi, MLC i Anglo pilnujący ceny swoich udziałów, nawet wielki, nieunikniony przyływ rzeczywistego postępu – nic z tego nie było ważne. Skończył swoją herbatę i strząsnął ostatnie krople z filiżanki, zanim zakręcił ją ponownie na termosie. Potem umieścił go w bagażniku samochodu i powrócił do obserwowania biura Malana.

Blantyre zabił van Vuurena lub kazał go zabić. Obwinianie siebie nie miało zbyt wielkiego znaczenia. Van Vuuren mówił. Tyle osiągnął dzięki zabandażowanemu, pozbawionemu paznokcia palcu. To Blantyre przyjechał z dwoma innymi mężczyznami w zapadającej ciemności i burzy piaskowej. Anderson przypuszczał, że to patrol policyjny. Mimo wszystko podejrzewał coś i działał tak, żeby go nie zaalarmować. Zostawił im van Vuurena nie dbając o jego los, ponieważ dowiedział się już tego, czego chciał. Uciekł przez tylne drzwi, przedarł się przez wiatr i sypiący piasek do zniszczonego garażu, uruchomił silnik samochodu i odjechał szybko w stronę drogi, znikając w burzy, która połknęła hałas jego silnika i zniechęcała do ścigania. Boczne drogi, granice pola golfowego, Reef, wszystko było na wpół widoczne, zasłonięte kurzem podnoszonym przez samochód. Nie byli w stanie go śledzić. W końcu znalazł

tani pensjonat w dzielnicy Hillbrow. Był świadomy oskarżeń w gazetach, radiu i telewizji, i oszczerstw, tak przesadzonych i gwałtownych, że aż śmiesznych.

Przez ostatnie dwa dni śledził ruch ciała należącego do Malana. Popołudniowe słońce wpadało do jego biura przez drugie okno, rzucając przez żaluzje cień w paski jak na futrze tygrysa. Malan siedział przy biurku w czymś, co wydawało się gorącym, błyszczącym półmrokiem, z głową pochyloną nad papierami. Potem spojrzął w górę. Nogi jego sekretarki, szare spodnie garnituru, potem marynarka, a następnie profil starego mężczyzny, gdy usiadł we wskazanym przez Malana fotelu, tuż przy szklanym stoliku. Anderson spojrzął na starego mężczyznę i wstrząs niemal natychmiast ustąpił miejsca ponuremu rozbawieniu. Było to jak obserwowanie życia w innym świecie lub z najdziwniejszego i najbardziej oddalonego środowiska. Aubrey znajdował się przed Malanem, który teraz siedział na brzegu biurka. Aubrey i Malan... nie interesowały go ich wspólne interesy. Aubrey nie powie Malanowi, co on zamierzał, tego był pewien. A więc nie stanie pomiędzy nimi.

Światło padające zza Malana siedzącego na biurku, przeszkadzało Aubreyowi, który musiał marszczyć się, by dostrzec jego twarz. Znieruchomiał, chcąc wyglądać na cierpliwego i zrelaksowanego pomimo trudności z osiągnięciem spokoju. Chrząknął i powiedział:

– Jak się czuje twój ojciec.

– Źle. Powinien pan do niego zadzwonić, porozmawiać o starych czasach – odpowiedział Malan wymijająco.

– Tak, muszę – wymamrotał Aubrey.

Sekretarka wniosła filiżanki i dzbanek, z uśmiechem naląła kawy Aubreyowi i wyszła. Delikatna, mała filiżaneczka drżała leciutko na spodku, gdy podnosił ją ze stołu. Sączył kawę, wyglądając jak zaniepokojony ptak, specjalnie się nie odzywając.

Malan przecesał włosy prawą ręką i powiedział:

– Dzwonił pan z prośbą o spotkanie. Z Londynu. Zgodziłem się, ale jestem zajęty, sir Kenneth – nawet jego grzeczność była obcesowa. – Czego pan ode mnie chce?

– Z gazet i telewizji w hotelu dowiedziałem się, że właśnie straciłeś, hm... dyrektora firmy.

Malan zaśmiał się, a potem w ciszy, która nastąpiła, Aubrey słyszał ciągłą pracę klimatyzatora. Malan potrząsnął głową.

– Pan nie miał oczywiście z tym nic wspólnego – zauważył, pochylając się lekko na brzegu biurka, jak gdyby miał zaatakować. Potem odchylił się do tyłu, kręcąc głową, zakładając nogę na nogę i składając ręce na szerokiej klatce piersiowej.

– Nie, nie miałem – odparł Aubrey sznurując usta. Odstawił małą niebiesko-złotą filiżankę i spodeczek.

– Ale wie pan, lub prawdopodobnie wiedział, kto był w to zaangażowany. Jak sądzę, pracował dla pana.

Aubrey podniósł dłoń.

– W swego rodzaju nieoficjalnym wymiarze.

Malan uśmiechnął się. Przez okno w pokoju, od strony Aubreya, widać było wielopiętrowy garaż; za nim niebo i pierwsze ciężkie cienie popołudnia opadające z wysokich budynków na inne kompleksy biurowe.

– Rozumiem, sir Kenneth. Nie rozumiem tylko dlaczego? I dlaczego tutaj? Osiągnęliśmy coś w rodzaju remisu, prawda? W Wenecji. Gra jest skończona – jego uśmiech był pewny siebie, nawet pogodny i jakby wyrzeźbiony; mina wielkiego dyktatora w połyskującym kamieniu czy brązie.

– Nie sądzę, że tak jest naprawdę. Twój stary kolega Andrew Babbington mógł zniszczyć dowody, ale było coś jeszcze, co przywiodło nas do Wenecji i co ma związek z tobą. Oczywiście MLC. Sprawy, które powodują zrozumiałe zakłopotanie, a nawet gniew w obecnym klimacie.

– Chce pan, żebym wyjął teraz moją książeczkę czekową, człowieku? – powiedział Malan z pogardą. – A pan wpisze sumę, czy tak?

– Nie szantażuję pana, Malan.

– Jeszcze nie – westchnął trzymając wciąż złożone ręce na klatce piersiowej. – Proszę mówić dalej. Powiedział pan o zakłopotaniu.

– Mamy wiele dowodów dotyczących sieci firm, poprzednich dostaw, funduszy, przejęć – tego rodzaju rzeczy.

– Z tej strony to wygląda na dobry interes.

– Czy w ten dobry interes wchodzi także gaz bojowy, Malan? Pytam nie tylko z ciekawości, rozumie pan.

Malan zdawał się całkowicie zdziwiony, podniósł brwi, wyrażając udawane niedowierzanie.

– Nie rozumiem. Proszę mi to wyjaśnić.

– Pański nieodżałowany ostatni dyrektor zaczął prowadzić na boku interesy w Europie Wschodniej i Wielkiej Brytanii. Van Vuuren zorganizował kilka mniejszych dostaw broni, które pojechały tą samą drogą przez Dumas Electroniques, a potem do Namibii, jak materiały tak bardzo poszukiwane przez MLC i Związek Radziecki. Czy cokolwiek z tego, co mówię, jest dla pana nowe? – Malan potrząsał głową, ale jego oczy były uważne. – Nie jestem pewien, ile było takich dostaw. W ostatniej z nich była pewna ilość paraliżujących gazów bojowych. O tym jestem przekonany.

– Gazy bojowe? Dlaczego?

– Jak wnioskuję, zamierzał je dostarczyć tutaj białym organizacjom ekstremistycznym. Tak jak zrobił z bronią krótką. Jestem tu, aby dowiedzieć się, kto jest tego odbiorcą i gdzie jest ich miejsce przeznaczenia.

– Gdzie to jest teraz? Nie, nie wierzę panu. To jest łatwe oskarżenie rzucone na zmarłego.

– Tu się z panem zgadzam.

– Wie pan o tym od tego szalonego mężczyzny, który wyszedł z buszu, czy tak?

Zabrzączał interkom. Malan nacisnął włącznik i wymamrotał coś do urzędnika. Potem spojrzał ponownie na Aubreya, który potrząsał głową.

– Nie całkiem. Zgadza się, wiele z tego wyznał mi van Vuuren...

– Zanim go zabił.

– Zapewnił mnie, że van Vuuren żył, gdy go zostawił.

– Robin Blantyre zapewnił mnie, że on nie żył. A przedtem był torturowany.

– Ach, tak. Obawiam się, że mogło tak być. Ale ja wierzę temu szaleńcowi, jak go pan nazwał. Co stawia Blantyre'a, który w tej chwili jest...?

Malan miał mu właśnie to powiedzieć, ale potrząsnął głową i stwierdził:

– Wiem, gdzie jest Blantyre.

Było jasne, że wierzył w to, co mówił, ale odczuwał pewne zażenowanie, jak człowiek przesuwający pudła zawierające kradzione dobra i znajdujący za nimi rozkładające się ciało, dowód nikczemności, nie akceptowanego łajdactwa.

– Dobrze. Cieszę się, że pan wie. Wierzę, że Blantyre musi być w to zamieszany, więc tutaj jestem zmuszony częściowo przyjąć słowo szalonego człowieka – Aubrey uśmiechnął się słabo, gdy Malan ześlizgnął się z biurka i przeszedł połowę pokoju w jego kierunku. Wydawał się mniej pewny siebie.

– Fakty pozostają, muszę dobić z panem targu.

– Na zasadzie szantażu? – zapytał Malan. Aubrey ostrożnie wymieszał srebrną łyżeczką brązowy cukier w delikatnej filizance. – Nie sądzę, sir Kenneth.

– Proszę mnie posłuchać – Aubrey nie podnosił wzroku. – Nie wątpię, że czuje się pan wobec mnie bezpieczny. Uważa pan, że moja kariera się kończy i że ludzie odnoszą się do mnie z pobłażliwością. Może pan mieć słuszość – powiedział i podniósł wzrok. – Ale jestem w stanie przysporzyć panu wielkich kłopotów ze strony pańskiego rządu i ANC, jeśli nie w Wielkiej Brytanii. Tyle mogę panu obiecać. Kierując się, jeśli to konieczne, bardziej osobistymi motywami. Rozumie mnie pan? To wszystko jest już przeszłością, niefortunna śmierć mojej bratanicy, ale ja nigdy nie przestałem uważać pana za winnego w pewien bardzo istotny sposób – odchrząknął. – Jestem tak samo szalony jak ten człowiek z buszu. Mogę przestać mieć skrupuły. Chyba, że zgodzi się pan mi pomóc.

Malan milczał przez jakiś czas, stojąc przy oknie, jak gdyby kontemplanował architekturę piętrowego parkingu i miasta widocznego za nim. Potem powiedział nie odwracając się:

– Może pan być jedynie trochę kłopotliwy.

– Jeżeli zdarzy się jakaś „masakra”, ktoś zrobi jakikolwiek użytek z tego gazu – a obaj wiemy, że w każdym kraju jest wystarczająco dużo szalonych ludzi, aby to zrobić, a szczególnie tutaj – to ja z pewnością połączę MLC, van Vuurena, prawdopodobnie Blantyre'a i, jako przypadkowe ogniwo, pana. Zrobię to, zapewniam pana.

Malan obrócił się, poruszając się zręcznie, prawie jak bokser w kierunku Aubreya.

– Chryste, człowieku, ty musisz mnie nienawidzić – stwierdził potrząsając głową, z rękami wepchniętymi w kieszenie. – Ty naprawdę musisz mnie nienawidzić. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią pana bratanicy – powiedział i

wyprostował się. – Nie, ale to nie tylko o to chodzi, prawda? Nawet jeśli by pan chciał, aby tak było. Jest jeszcze coś, czego pan chce? Żeby wszystko było w porządku? Uczciwe, proste? Pan tego nie rozumie, Aubrey. Nawet Babbington, który chodził do takich samych szkół i należał do tych samych klubów, wie, że to tak nie działa!

– Nie mogę zmienić świata, Malan, zdaję sobie z tego sprawę – uśmiechnął się. – Z pewną niechęcią, zgadzam się z tym. Ale nie będę tego lekceważył!

Malan podniósł ręce, celując w niego palcami.

– W porządku, Aubrey. Nic o tym nie wiem. Czego pan chce za swoje milczenie, za swój brak zainteresowania? Niedługo pan umrze, tak jak mój ojciec. Niech pan oczyści powietrze z duszących wyziewów moralności.

Aubrey wzdrygnął się.

– Przypuszczam jednak, że ma pan zamiar porzucić ten kraj...

– Tak właśnie pan myśli, człowieku? – zaśmiał się szyderczo Malan. – Wszystko, co pan widział lub czego się pan domyślił, jest zabezpieczeniem, niczym więcej. Pracuję z Rosjanami, bo to jest wygodne, jak zresztą zawsze było. Więc jeśli kafrowie znacjonalizują kopalnie, zamrożą aktywa, to ja nie będę zaduszony na śmierć! Czy teraz rozumiesz, *royennek*? – opadł na fotel, wzruszając ramionami, i dodał:

– Co pan chce, żebym zrobił?

– To całkiem proste. Potrzebuję pańskiej pomocy w zatrzymaniu tej dostawy do Republiki. Chcę wiedzieć dla kogo jest i gdzie zmierza.

– Skąd?

Tym razem Aubrey wzruszył ramionami.

– Domyślałem się, że z Walvis Bay, ale nie jestem tego pewien.

– Sprawdź. Kiedy to wyleciało z Wenecji?

– W tym samym czasie, co pan i Babbington.

– Okay. Dla kogo jest wysłana?

– Znów nie jestem pewien. Dla ludzi z AWB blisko związanych z van Vuurenem.

– Piet był durniem i w dodatku nielojalnym. Nie jestem już zły, że pana człowiek go zabił.

– Czy też może ktoś inny.

Malan spojrzął na niego i nabazgrał coś w notesie, który zdjął ze stołu i oparł na kolanie.

– Proszę mi dać resztę dnia i wieczór – powiedział. – Zadzwoń do pana jutro. Który hotel? Carlton? – Aubrey skinął głową. – Okay – Malan wstał szybko. – Myślę, że to dobrze wpłynie na nasze interesy, Aubrey. Zrobię to dla pana, ponieważ może pan wywrzeć nacisk, *tym* razem. Zrobi pan cokolwiek innego, co wykracza poza tę prośbę, to wyrządzą panu krzywdę. Rozumiemy się?

– Tak. Myślę, że wystarczająco dobrze, by nie podawać sobie rąk, prawda? Dziękuję, Malan. Jestem wdzięczny, że poświęcił mi pan czas.

Zabrał swoją laskę i podszedł do drzwi. Malan szedł obok niego.

– Niech się pan trzyma z daleka od pozostałych rzeczy, Aubrey? Zrozumiał pan?

– Zgoda. Będę trzymał się z dala od większości tych spraw i przypominam, że nie będę szkodził panu w pańskim rządzie, pod warunkiem, że ten interes będzie zadowalająco zakończony. Do widzenia, Malan.

Drzwi zamknęły się przed ponurą twarzą Malana z oczami zimnymi ze złości i pogardy. Malan z trudem się opanowywał, a Aubrey zdał sobie sprawę, że nie miał żadnej możliwości kontrolowania Malana. Jednak nie było innej drogi. Dla niego samego był to rzeczywiście diabelski pakt! Konieczność z pewnością nie była matką uczciwości.

Aubrey uśmiechnął się do głównej sekretarki Malana, młodej kobiety, która przyniosła mu kawę, kiedy przechodził obok jej biurka.

Babbington wślizgnął się na tylne siedzenie mercedesa obok Malana, marynarkę trzymał na ramieniu, krawat miał rozluźniony. Razem całkowicie wypełniali tylne siedzenie, prawie się stykając. Światła lotniska błyszczały w chłodzie środka nocy. Była jakaś gorzka ironia w mnogości samolotów 747 z wielu światowych linii lotniczych. Witamy w Afryce Południowej – moralna ospa została zwalczona. Wielkie odrzutowce przylatywały każdego dnia pełne biznesmenów. Nawet rosyjskich biznesmenów, chociaż Babbingtona raczej trudno by było do nich zaliczyć, szczególnie gdy wyglądał tak jak teraz, rozchętany i zmęczony oraz zły z powodu uwięzienia w samolocie.

– Dobry lot? – wymamrotał Malan. Ledwie uściśniły sobie ręce.

Babbington siedział rozpalony w ciemnym wnętrzu samochodu, jego oczy były nienaturalnie jasne, jakby zażywał narkotyki.

– Co! – wyszczekał.

– Nieważne.

Limuzyna pomknęła w kierunku wyjazdu z lotniska i potem rozbłysł przed nimi Johannesburg, jakby był w ogniu. Światła miasta dominowały nad tymi z przedmieścia Aleksandra. Rzędy domów noclegowych dla emigrantów – robotników płci męskiej – były ciemne. Zaczęli je nawet rozbierać, odbudowując domy „rodzinne”. Mówiono, że de Villiers był wściekły, gdy po raz pierwszy przyjechał w odwiedziny do Aleksandry, otoczony przez swój personel i towarzyszących ministrów, stojąc przed kafram i wymyślając im. Aubrey i gazy bojowe... było to jakieś potwierdzenie szaleństwa van Vuurena. Przynajmniej było to zrozumiałe.

– Przyjechał do mnie dziś w odwiedziny.

– Aubrey? Dlaczego?

– Poprosić mnie o pomoc – uśmiechnął się Malan.

– Pomoc? W zniszczeniu samego siebie? Dał ci pistolet i poprosił cię o drobną przysługę, jak się domyślam? – powiedział Babbington z zimnym sarkazmem.

– Niezupełnie. Coś innego. Była jeszcze jedna dostawa, o której ja nie wiedziałem, tak samo jak ty – spojrzenie Babbingtona było podejrzliwe. Mercedes wjechał gładko na zewnętrzny pas autostrady w kierunku Gillooly's Interchange. – Gaz bojowy – ogłosił Malan. Jeden z moich ludzi próbował wypożyczyć jakichś swoich przyjaciół, jak powiedział mi Aubrey.

– I ty nic o tym nie wiedziałeś? – zapytał Babbington oskarżywszy cielsko.

– A powinienem? Dostawa przyszła z Czechosłowacji lub innego miejsca. Van Vuuren...

– Coś z nim zrobił?

– Van Vuuren nie żyje – oznajmił. Babbington skinął głową i Malan nie podawał już szczegółów. Zamiast tego powiedział: – Aubrey chce wysledzić dostawę. Dlatego jest tutaj i dlatego prosił, żebym się z nim zobaczył. I dlatego też poinformowałem cię o jego przyjeździe.

Babbington potarł swój podbródek.

– Nie widzę, czym mielibyśmy się martwić, jeśli chodzi o tę sprawę z gazem bojowym. Wybadam to jednak. Ludzie, których wykorzystuję, muszą być w to zaplątani. To jest oczywiście typowe dla Aubreya, że przyjechał tu pośpiesznie w ślad za tym! Ten człowiek uważa, że jest moralnym arbitrem do spraw międzynarodowych i nigdy nie przestaje zadziwiać.

– On jest jedynie starym człowiekiem.

– Ludzie źle go ocenili na tej podstawie już wcześniej. Jego wygląd wprowadza w błąd – twarz Babbingtona była ponura.

– On tu jest – zauważył Malan niecierpliwie. – I to jest najważniejsze. Postrzymałem go do jutra. Potem mogę go poprowadzić w kierunku, który nam odpowiada. Czy to dlatego przyjechałeś?

Babbington wyglądał, jakby przyjął to jako wyzwanie, a nawet obrazę. Potem skinął głową i pogładził zgniecioną marynarkę jak ulubione zwierzę. Pokiwał głową, jakby dawał wyraz swojemu zadowoleniu, a potem powiedział:

– Tak. Trzeba to było zrobić wcześniej, ale teraz jest to konieczne. Powierzono mi zadanie, żeby uwolnić nas od tego obrzydliwego małego człowieka! – pogarda nie całkiem usunęła w cień gniew, że dano mu taki rozkaz – miał być kimś w rodzaju agenta w terenie. Wściekłość Babbingtona zdziwiła Malana. Znał numer pokoju Aubreya, jego ludzie obserwowali go. Wiedział, że był sam i nie próbował skontaktować się z żadnym człowiekiem z wywiadu Republiki Południowej Afryki ani politykiem, jakkolwiek na pewno znalazłby w nich sprzymierzeńców. Stary człowiek właściwie wierzył, zaślepiony swą prawością i poczuciem własnej godności, że Malan przychyli się do jego woli, że pomoże mu w odpowiedzi na jego ostrzeżenia. A więc jego błąd.

Po minięciu dużych skupisk świateł, z autostrady widać teraz było schludne przedmieścia, ciemne pola golfowe i parki. Miasto połyskiwało przed nimi, ze światłami sięgającymi w ciemność. Malan rozważał, czy wspomnieć jeszcze raz o śmierci van Vuurena, ale nic nie powiedział. Szalony mężczyzna z buszu nie miał specjalnego znaczenia. Nie było powiązania pomiędzy Aubreyem i Andersonem, czy jak tam się nazywał. Musiał się zadowolić śmiercią van Vuurena. Ruch stawał się coraz większy. Na spokojnych przedmiejskich ulicach po obu stronach autostrady widać było światła samochodów. Reef było niewidoczne. Dodatkowa luna, jak źródło promieniowania, połyskiwała na południu. Soweto.

– Będziesz chciał pomocy moich ludzi. Powiesz mi jutro, czego potrzebujesz – powiedział Malan. – Nie będziesz wykorzystywał do tego, jak sądzę, swoich ludzi.

Babbington potrząsnął głową. – Chyba lepiej, żebyś mnie w to wszystko włączył, co?

Malan uśmiechnął się, a potem wzruszył ramionami. – Nie mam nic przeciwko temu, Andrew. Jedynie upewnij mnie, że Aubrey zostanie zupełnie zatrzymany, nie tylko na chwilę, dobrze?

Prawa ręka Babbingtona zacisnęła się kurczowo w pięść. Otworzył ją powoli, jakby oczekiwał, że ćma, którą mógł złapać, jest nieżywa.

– Otrzymałem zapewnienie. Od londyńskiego przedstawiciela. Władza Aubreya, kompetencje w prowadzeniu śledztwa zostały drastycznie zmniejszone, jeśli sądzić ze wszystkich dostępnych dowodów – ponownie pogłaskał się po brodzie, jak gdyby była jedynie elementem scenicznej charakteryzacji. – Ludzie tacy jak Longmead, ludzie w gabinecie, nie chcą wywołać tutaj zamieszania ani nie życzą sobie najmniejszego skandalu, który by dotknął Davida Reid. Te dwa względy są daleko ważniejsze niż Aubrey i jego teorie. Bez Aubreya to wszystko ucichnie.

Malan skinął głową, jak gdyby właśnie obejmował w posiadanie fortunę, której się spodziewał.

– Dobrze. W porządku, człowieku. Zawieziemy cię do domu, możesz wziąć prysznic i iść spać, a rano zadecydujemy, co zrobić z sir Kennethem – zachichotał.

– To musi być wypadek.

– Wypadki są łatwe do zaaranżowania, co Andrew? Stary człowiek, samotny w obcym mieście – niewielkie wyzwanie jak dla ciebie i dla mnie – jego śmiech był pełen naturalności, nawet zaraźliwy.

Walczył ze snem, niezgrabnie zakładając okulary i włączając lampę przy łóżku. Cyfrowy zegar wskazywał drugą w nocy. Czuł się odurzony z powodu opóźnienia odrzutowca. Nocna szklaneczka whisky pozostawiła słony posmak. Podnosząc się do pozycji siedzącej w łóżku, złapał słuchawkę telefonu.

- Kenneth, tu Richard.
- Richard, co, gdzie jesteś? Tutaj? Mój drogi...
- Kenneth, znam twoje uprzejmości od dawna. Posłuchaj mnie.

Aubrey przełknął ślinę i przetarł oczy pod okularami, podnosząc oprawki w górę prawie do kosmyków włosów opadających mu na czoło. Zmarszczył brwi. W pokoju panowała cisza.

- Tak, Richard. Ale musimy porozmawiać, spotkać się.
- Nie sądzę, Kenneth. Będziesz próbował mnie odwieść od mojego zamiaru. I nie powinieneś mówić o wkładaniu głowy do paszczy lwa, skoro przyjechałeś tu sam – Anderson mówił, jakby był zmęczony, ale spokojny.

– Richard, mogę jedynie zrozumieć, a nie sprzeciwiać się. Ale martwię się o to, jak sobie dasz radę i o twoje bezpieczeństwo – nachylił się do słuchawki, jakby chciał zacząć szeptać. – Doszedłem do porozumienia z Malanem. Muszę zatrzymać dostawę zmierzającą do Republiki, Richard. Twoja pomoc była bezcenna.

– Nie chcesz, aby stała się krzywda Malanowi, zanim twoja mała robota nie zostanie skończona, co?

– Nie, nie o to chodzi. Ale są jeszcze inne sposoby!

– Tak uważasz? Kenneth, dzwonię, aby cię ostrzec. Śledziłem samochód Malana jadący na lotnisko tej nocy. O północy, jeśli mam być dokładny. Niedawno wróciłem. Odebrał kogoś i zabrał go ze sobą. Andrew Babbingtona. Rozpoznałem go.

– Co? – wyszeptał Aubrey.

– Andrew Babbington jest w Johannesburgu w towarzystwie Malana. Nie powiedziałbym, że to należało do twojego małego planu, jak sądzisz Kenneth? Ty jesteś sam. Uważaj na siebie, Kenneth. Nie sądzę, żebyś naprawdę rozumiał, z jakimi ludźmi masz do czynienia. Przykro mi, że nie mogę ci więcej pomóc. Mam swoje własne sprawy. Dobranoc, Kenneth. Śpij dobrze.

Hałas, cokolwiek to było, obudził go z drzemki, powodując, że zaczął wymachiwać rękami pod kocem, którym się owinął z powodu zimnej nocy. Było wciąż ciemno, jedynie wąska poświata na horyzoncie oświetlała odległe skarpy.

Wyplątał się z koca klnąc, a piasek przyczepiał się do jego mokrych, ciepłych dłoni. Cholera, usnął, na miłość boską!

Przetoczył się na brzuch, ułożył się wygodnie na wydmie i wyjął lornetkę. Trząsał się. Było cholernie zimno w nocy, a to była przecież cholerna Afryka! Zwrotnik Koziorożca dokładnie nad głową...

Przez noktowizor zobaczył poruszające się na otoczonym siatką podwórku jakby szare duchy i duże postacie. Nawet biała para z ust wyglądała jak przywiane przez wiatr firanki. Dwie ciężarówki z kontenerami, dwa 4WD, jeden zwiadowczy samochód pancerny, jedna półciężarówka. Policzył ludzi. Po dwóch w kabinie. Dzięki ci, Chryste, więc mogą się zatrzymać raz na jakiś cholerny czas. Zrobiło mu się cieplej, co wzmogło jego złość i przekleństwa. Czterech ludzi w półciężarówce – muszą wieźć zapasy, dwóch w samochodzie zwiadowczym. Dziesięciu. Potem dostrzegł następnych dwóch ludzi. Mógł nawet zobaczyć niesione przez nich strzelby. Wsiadli z tyłu do półciężarówki. Wszyscy ubrani w traperskie koszule, szorty lub spodnie w kolorze khaki oraz miękkie kapelusze. A więc dwunastu dobrych ludzi i sprawiedliwych.

Brama kompleksu została otwarta i prowadzący XR 311 samochód zwiadowczy – to musi być Blantyre, widział zarys jego postaci – przejechał przez nią na żwirową drogę. Jego światła zajaśniały w kierunku wschodnim. Potem była półciężarówka – nazwijmy ją pomocniczą i będę wiedział, po co tam jest – a potem pierwsza z ciężarówek.

Hyde stanął wyprostowany, ściskając niezgrabnie koc pod pachą, lornetka zwisała mu z szyi, a w prawej dłoni trzymał automatyczną strzelbę. Zbiegł w dół wydmy wielkimi susami, aż dotarł do równego gruntu. Wcześniej przestał bliżej land rovera, ale cicho i ostrożnie, gdyż przed zmierzchem nie było dużego ruchu i niewielu wyjeżdżających pracowników MLC. Zaczął biec, ostrożnie omijając otoczaki i małe skałki rozrzucone pomiędzy brudnym piaskiem. Potem odnalazł płytkie zagłębienie terenu i samochód, który nieco wystawał, jak gdyby ciekaw swego miejsca pobytu. Wrzucił koc na tylne siedzenie, a potem nasłuchiwał w prawie całkowitej ciszy... hałasu silników i wibracji odjeżdżających ciężkich pojazdów, jak odgłosów dalekiej burzy.

Dwunastu dobrych ludzi i sprawiedliwych – zapłakał Jezus. Hyde wsiadł za kierownicę, uruchomił silnik i wyjechał z zagłębienia. Piasek wyrwał spod kół, pojazd wyglądał jak coś wyłaniającego się z bagien na jakimś kiepskim

filmie. Potem droga się wyrównała i samochód łagodnie przyśpieszył w stronę zwirowej drogi, nie włączając świateł. Skarpy na horyzoncie były zabarwione czerwonym złotem, a brzeg wydmy był już koloru ochry. Wysoki maszt radiowy srebrzył się w stronę jaśniejszego nieba nad budynkami MLC.

Wyjechał na drogę i skierował samochód na wschód. Kurz konwoju wisiał przed nim jak chmury. Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Szósta dziesięć. Powinno im to zabrać – przy regularnych przystankach, błagam o to, Boże – dwa dni, aby dotrzeć do granic Republiki Południowej Afryki, niezależnie, którą pojedą drogą. Gdy ją przekroczą, akcja przeciwko nim stanie się natychmiast samobójstwem. To musiało się wydarzyć w ciągu następnych dwóch dni, w Namibii, w ciszy i pustce. Dwunastu mężczyzn przeciwko wszechmogącemu... przeciwko niemu. Jezu.

Rozdział czternasty

JAK DOTĄD BEZPIECZNIE

Okolo poranka przejechali przez jakieś miejsce o nazwie Solitaire, które nie było niczym więcej, jak ulicą ze sklepami, jednym hotelem i kilkoma barami. Kilku jej mieszkańców w roboczych ubraniach lub wzorzystych sukienkach krążyło między paroma starymi samochodami; zdecydowanie przeważały czarne twarze. Potem odosobniona, mała miejscowość usadowiła się niewidocznie w kurzu poza nim. Wieża niemieckiego kościoła wystawała nad ścianą kurzu, sprawiając wrażenie, jakby zaczął drzeć. Solitaire. To był kraj Blantyre'a, a on był wiedziony jego śladem coraz dalej i dalej, zwięzającym się tunelem.

Potem, okolo pierwszej po południu konwoju nie widział już przed sobą i musiał nagle zwolnić, i zjechać na drogę, otaczającą wioskę Maltahohe. Dwie ciężarówki oraz ich eskorta zatrzymały się przy stacji benzynowej. Potem stracił je z oczu, kiedy mijał rząd niskich domów. Czarny ogrodnik spojrział zaskoczony, a kilka kurczaków kręciło się nerwowo w kurzu.

Faliste dachy połyskiwały w słońcu. Białe domy z czerwonymi dachami, drewniany niemiecki kościół, białe kozy, aż wreszcie zatrzymał się w cieniu zakurzonej, rozrośniętej akacji, której kora była na dole chroniona przed trawożernymi zwierzętami i psami przez zardzewiałe, żelazne ogrodzenie. Plac był mały i cichy, jak gdyby centrum małego miasteczka przeniosło się kilkaset metrów dalej, na większy plac, wokół którego skupiły się: mały supermarket i nowy, niski hotel oraz parę sklepów.

Kurz osiadł na jego ubraniu. Bar mrugał do niego z rogu zapomnianego placu, powodując ściskanie w wyschniętym gardle. Ludzie o różnych kolorach skóry krążyli wokół sklepów. Jakiś biały mężczyzna był zajęty rozmową z dwoma czarnymi mężczyznami oraz wysmukłą, młodą czarną kobietą pod rzucającą cień markizą. Manekiny w oknie były nieruchome i w takich samych

pozach jak ludzie na chodniku. Zza firanek wysunęła się twarz kobiety, patrzącej na niego za zniszczonym, drewnianym płotem, kiedy łapczywie pił wodę z plastikowej butelki, a potem przetarł usta wierzchem dłoni.

Czekał cały ranek, jadąc za kurzem, który wzniecali, na jakieś miejsce, gdzie mógłby ich zatrzymać. Gdy przejechali przez skarpy na płaskowyż, wszędzie rozciągała się płaska i otwarta przestrzeń. Nie było miejsca, gdzie mógłby zarzucić na nich sieć. Z pewnością nie zdołaliby zrobić tego tutaj, w Maltahohe, osiadłym na równinie jak cichy, porzucony wagon z pociągu, który pojechał dalej w głąb łądu.

Rozejrzał się dookoła. Stara, biała twarz odsunęła się od okna niskiego bungalowu i firanka opadła na swoje miejsce. Jakiś pies załatwił się przy tylnym kole samochodu. Rozwinął mapę na kolanach drżącymi rękami. Skutek trzymania kierownicy... Poza tym, to była reakcja na Blantyre'a, jak gdyby ten człowiek siedział obok niego przez cały ranek, a nie daleko przed nim, niewidoczny w kłębach kurzu. Był tu – każde wspomnienie o nim. Herwford, Brecon Beacons, nawet Oman podczas krótkiej służbowej podróży. Blantyre, który był skuteczniejszy, bardziej pozbawiony skrupułów, bardziej kompetentny podczas ich wspólnego szkolenia. Więcej w nim było sukinsyna, prawdopodobnie dlatego, że nie miał dwóch wiekowych ciotek na East End, po cichu przerażonych zmianami, jakie zaszły w ich siostrzeńcu po szkoleniu w SAS. Siostrzeniec, który wstąpił do wojska, kiedy nie wyróżniając się skończył niczym się nie wyróżniającą państwową szkołę. Blantyre chodził do najlepszej szkoły w Salisbury – w Rodezji – dokąd w końcu wrócił, aby zaciągnąć się do Selous Scouts. Wyjechał do Namibii, gdy Rodezja przekształciła się w Zimbabwe. Hyde spojrzął na kostki rąk zaciskających się na kierownicy. Blantyre, największy sukinsyn na świecie; jego starszy uczeń, jego dręczyciel, który pogardzał bardziej niż czymkolwiek innym obojętnością, jaką Hyde zawsze mu okazywał.

Jednakże, nie tym razem...

Spojrzął w dół na mapę na zakurzonych udach i otworzył album z porządnie poukładanymi zdjęciami, leżący na siedzeniu obok. Powiększenia zdjęć RAF-u, zdjęcia turystyczne, kolorowe fotokopie wyrwane z albumów, wszystko tak pośpiesznie zebrane, że pierwszą okazję do ich obejrzenia miał dopiero na pokładzie herkulesa. Przesuwał palec wskazujący po mapie wzdłuż trasy, którą

jechali tego poranka, C14. Jeżeli Blantyre zdecydował się na niej zostać, podążając potem C13, to będzie jechał bezpośrednio na południe przez górzyste Schwartrand, a potem przez Rooirand. Przejrzał zdjęcia powkładane pod plastikowe osłony. Było tam lotnisko w Aus, co oznaczało, że może mieć trochę przerwy na odpoczynek. Ale za Aus otwierała się ponownie Namibia, teren kopalni diamentów w Lüderitz – gdzie MLC mogłaby zasilić Blantyre'a. Tak czy inaczej pustynia była zbyt otwarta na skuteczną zasadzkę.

Jego palec posuwał się po głównej drodze BI na wschód. Łatwiej jechać, bardziej płasko, więcej lotnisk. Teren spiskował razem z Blantyre'em. MLC był wszędzie w Namibii, tak blisko, że można było nawiązać kontakt radiowy, a godzinny lot samolotem wystarczył, by do nich dotrzeć.

Zatarł ręce. *Zatrzymać ich* powiedział Aubrey, jak gdyby była to kwestia ruchu na szosie, niczego więcej. *Spowoduj może blokadę drogi? Zostawiam to tobie, Patrick...* Tylko dlatego, ty stary palancie, że nie mogłeś sam wymyśleć żadnego sposobu. Teraz stary marnował czas w Johannesburgu, podczas gdy Hyde płonął! Jego życzenie *powodzenia* i nerwowe potrząśnięcie ręką było ukradkowe i szybkie. Zachowywał się zresztą dziwnie. Zdawał się patrzeć cały czas ponad ramieniem Hyde'a na coś lub na kogoś. Jeżeli ten stary palant nie będzie na siebie uważał, to znajdzie się w takim samym gównie jak on! Stara biała twarz pojawiła się w oknie bungalowu, pomarszczona jak powierzchnia księżycy. Firanka była upięta w oknie niczym wiktoriańska halka. Hyde uśmiechnął się i stara kobieta zniknęła z pola widzenia.

Powinien przeskoczyć przed nich, gdy tylko będzie pewien, którą drogę obrali. Wtedy można by ich zostawić na parę godzin, jadąc w jednym, niezmiennym kierunku. Potarł swój zarośnięty podbródek i opuścił kapelusz na oczy. Wszystko, co musiał zrobić, to znaleźć miejsce na zasadzkę na pozostałych ponad sześciuset kilometrach do granicy Republiki Południowej Afryki. Doremnie przerzucał album ze zdjęciami, potrząsając głową raz za razem, kiedy zestawiał zdjęcia z mapą na kolanach, patrząc w górę na hałasujący samolot. Mała biało-czerwona cesna leciała w kierunku pasa lądowania w Maltahohe.

Gdy spojrzął w dół, pojazd Blantyre'a, a potem reszta małej kolumny przejechała przez główny plac przed nim. Jechali na wschód w stronę Mariental. Uruchomił silnik. Twarz kobiety pojawiła się ponownie w oknie. Pomachał do

niej. Kobieta zatrzymała się na chwilę, jak gdyby miała się wyrwać ze skorupy swojej rutyny, i pomachała do niego. Pozwolił im odjechać. Kurz konwoju zaczynał opadać, gdy dotarł do głównego placu. Kilka kilometrów wzdłuż drogi była inna droga, po której nie mogły jeździć ciężarówki, ale mógł on swoim land roverem. Przecinała spłaszczone skarpy, aby wjechać na B1 czterdzieści kilometrów na północ od Mariental. Może dojechać przed nocą aż do Keetmanshoop, jeżeli się pośpieszy.

Skręcił w lewo z głównego placu. Kurz konwoju wyrastał przed nim za miastem.

Było to nieprzyjazne, suche miejsce, nad którym szybko zapadał wieczór, z widocznymi gdzieniegdzie owcami i płotami. Hyde potarł czoło. Skórę miał suchą i zakurzoną, a wargi popękane. Był wściekły. Prowadziło to donikąd – donikąd. Nawet leopord nie zacząłby się tutaj na swoją ofiarę. Jechał główną drogą na południe przez Namaland, mijając pastwiska, na których wypasano owce, małe wsie i placówki wojskowe. Otwarta przestrzeń rozciągająca się wokół niego przez większą część podróży wprawiała go w nastrój przygnębienia. Owce, od czasu do czasu pastuch w wełnianej czapce, kilka przypadkowych pojazdów. Droga biegła przez najspokojniejszą ziemię, wzdłuż której biegła linia kolejowa. Sfrustrowany i zły przyspieszył, kierując się do Keetmanshoop.

Spojrzał w dół ze skalnego występu na główną drogę, gdy tarczę czerwonego słońca połykał poszarpany horyzont i nad otwartą, porośniętą trawą przestrzenią zapadał zmrok. Owce szukały schronienia, a pierwszy szakal przedierał się przez kępy ostrej trawy jedynie kilkaset metrów stąd. Z daleka widać było kurz wzniesany przez więcej niż jeden pojazd. Jeżeli Blantyre utrzymał poranne tempo, mogli to być oni. Skąły wokół czerwieniły się w ostatnich promieniach słońca, które zniknęło za horyzontem i zapadła ciemność. Mógł dostrzec punkciki świateł zbliżające się wzdłuż zakurzonej krętej drogi. Miał ściśnięte gardło. W ciągu jednego dnia przejechali ponad sześćset kilometrów. Pierwsze duże gwiazdy zajaśniały nad głową, a chudy księżyc teraz był już wysoko. Niebo stało się niebiesko-czarne.

Pojazdy miały już wielkość zabawek, gdy powiał lekki, chłodny wiatr. Światła samochodów były przytłumione kurzem wyrzucanym przez konwój. Powinni zrobić postój na noc – błagam, Boże – w Keetmanschoop lub gdzieś w pobliżu. Jeżeli tego nie zrobią, będzie potrzebował pigułek, żeby nie zasnąć i móc dalej jechać.

Założył noktowizor firmy Nova do nocnych obserwacji, ustawiając soczewki. Ułożył mu się na twarzy, ale był ciężki. Powodował ból mięśni szyi z wysiłku, żeby utrzymać podniesioną głowę z ciężkimi soczewkami, wystającymi jak róg jednorożca. Włączył urządzenie i natychmiast chmura kurzu wydała się bardziej przejrzysta, tak że mógł dostrzec małe postacie jak zjawy w pierwszym pojeździe i niewyraźne kształty za przednią szybą prowadzącej ciężarówki. Widział nawet ludzi w czwartym pojeździe, małe czarne plamy głów. Dwunastu dobrych mężczyzn i sprawiedliwych. Zdjął okulary, położył je na siedzeniu i włączył silnik. Niedaleko drogi przebiegł szakał, szary, prędko przemykający cień, a potem drugi niedaleko wzniesienia, na którym stał. Hyde zwolnił, sprzęgło i land rover opadł w dół wzniesienia. Włożył ponownie okulary – zaczynał być zmęczony, zapominał o prostych rzeczach. Kępki trawy, krzaki i cierniste krzewy, od czasu do czasu aloes. Połujący ptak przeleciał przez drogę i zniknął w buszu, ruszając do ataku. Hyde wskoczył na drogę i skręcił w kierunku Keetmanschoop w ślad za konwojem.

Musiał zrobić coś dziś wieczorem, niezależnie od tego, czy się zatrzymają, czy nie. Oznaczało to ujawnienie swej obecności, chyba że mogłoby podjąć jakąś akcję, by wyglądało to na wypadek. Może uszkodzenie jednego z pojazdów?

Jechał pod karłowatymi akacjami po obydwu stronach drogi. Wystawały z ziemi jak spłaszczone przez wiatr, małe chmury na cienkich żerdziach. Światła konwoju świeciły ostro pośród światła miasta. Obok drogi dostrzegł prześlizgujący się kształt czegoś, co mogło być leopardem, który zaraz znikł, błyskając oczami. Potem zamiast akacji pojawiły się drżące drzewa, dziwne niskie aloesy z korą jak skóra ananasa i z kępami liści, które wystawały, przypominając kształtem rozgwiazdę. Zdał sobie sprawę, że doganiał konwój, więc zwolnił. Kokerboomy – drżące drzewa – niebezpiecznie tłoczyły się przy drodze, a ich

gąszcz wydawał się większy, gdy zatrzymał się przy bocznej drodze, gdzie światła konwoju skręciły w las. To musiał być ich nocny postój, nie było na mapie nic poza farmą i kilkoma rozrzuconymi domami. Blantyre nie skorzystał z szansy zatrzymania się w Keetmanshoop.

Hyde poczekał, aż światła samochodów oddaliły się i stały się podobniejsze do migotania meteorów. Zobaczył rumowisko głazów, jakby rozpadła się jakaś wielka kamienna świątynia, a na świętą ziemię zaczęły się wdzierać aloesy. Poza drogą nie było szansy na poruszanie się land roverem.

Potem światła jakby zatrzymały się i zebrały razem. Musieli znaleźć polanę, którą mogli wykorzystać jako miejsce obozu. Zapalił i pojechał ostrożnie główną drogą, szukając...

...obniżenia terenu, długiego rowu, który by odchodził od drogi i z którego drzewa zdawały się wycofywać. Włączył światła, gdy samochód zjechał z twardej drogi. Bujał się na kamieniach jak pijany, a potem aloesy zaczęły się zamykać nad jego głową. W końcu zatrzymał się, zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik. Cisza wdarła się w jego uszy, wytwarzając napięcie jak siła wybuchu. Z lewej strony usłyszał w ciemności czyjś śmiertelny krzyk, zdławiony przez ukąszenie jakiegoś wielkiego kota. Prawdopodobnie był to leopard, którego widział przy drodze. Zadrzał i spojrzał w górę. Niebo było perłowszare jak jedwab, a gwiazdy połyskiwały jak małe ły. Oczodoły bolały go od nacisku okularów i potarł swoją sztywną szyję. *Może tylko ocalić twoje życie...* Kto to powiedział, Aubrey czy zbrojmistrz? Wsiadł z land rovera na skałę dużą i gładką jak hipopotam i stanął z rękami na biodrach. Nie mógł dostrzec żadnego źródła światła od strony, gdzie, jak wiedział, znajdował się Blantyre – las był zbyt gęsty lub też skrywał ich przed nim skalny występ.

A więc wypadek.

Będiesz miał wiele szczęścia, żeby przekonać o tym Blantyre'a, chłopie. Zeskoczył ze skały na trawę, chwiejąc się i podpierając na drzwiach land rovera. Drzewa miały trochę ponad sześć metrów, a ich pień był szorstki jak skóra jakiegoś tropikalnego owocu. Delikatnie klepnął ręką jeden z pni, rozmyślając. Zanim rozbiją obóz, zjedzą i odpoczną, minie kilka godzin. Sięgnął do pojazdu po butelkę z wodą, napił się i zjadł czekoladę. Później zje zimnej fasoli, a nawet

trochę sera i twardych herbatników. Nie czas na ryzykowne rozpalenie ognia i jedzenie zupy. Gdy skończył czekoladę, wsiadł do samochodu i wyciągnął drugi sweter z jednej z toreb, po czym niezgrabnie włożył go przez noktowizor. Potem zdenerwowany ciężarem noktowizora, zdjął go. Był to typ ulubiony przez producenta, ale nie przez większość żołnierzy, którzy go używali. Zdjęcie go dla wygody zabiło już wielu, którzy starali się polegać na własnym wzroku. Przetarł oczy. Afrykańska noc napierała na niego ze wszystkich stron. Pomyślał o leopardzie. Powinien teraz jeść, ale wciąż trudno go było ignorować. Dwie godziny. Powinien odpocząć, a to da im czas na ugotowanie i inne rzeczy...

Usłyszał strzał. Niezależnie od tego, co teraz zabili – powiedział do siebie uspokajając rozdygotane nerwy – uspokój się, odpręż...

Wyrwany z drzemki od razu spojrzął na zegarek, nasłuchując nocnej ciszy. Ponad dwie godziny. Drzemał, a nawet mocno spał przez jakiś czas. Pomasażował zimne ręce i uda, ziewnął i przetarł oczy. Potem podniósł się i wyciągnął z tyłu pojazdu strzelbę marki Heckler & Koch G3, ważąc ją przez chwilę w rękach. Sporo plastikowych części sprawiało, że nie robiła wiele hałasu w zetknięciu z innymi powierzchniami. Potem sprawdził pistolet i wsunął go za pasek. Dodatkowe magazynki z amunicją. VP 70 też był w połowie plastikowy – sprytnie typy, te szkopy. Przewiesił strzelbę przez klatkę piersiową.

Zaczął iść w kierunku obozu Blantyre'a, orientując się dzięki światłom przejeżdżających po głównej drodze pojazdów. Gwiazdy były jak wielkie, wilgotne oczy w ciemności. Coś małego przebiegło obok jego nogi i uciekło. Ryjówka?

Obóz rzeczywiście znajdował się na małej polanie. Dotarł do niego po dwudziestu minutach ostrożnego marszu, początkowo orientując się po dochodzących do niego odgłosach i rozmowach. Potem blask, który widział przed sobą, przeszedł w światło latarni. Obszedł polanę i ustawił się twarzą do wiatru. Wspiął się na skalne wzniesienie, skąd roztaczał się widok na ich obóz, i położył się na brzuchu.

Jeden z mężczyzn pochylał się nad maską półciężarówki. Słyszał szcęk narzędzi na częściach silnika oraz brzęk talerzy i kubków. Mężczyzna w ciężarówce spokojnie pogwizdywał. Nie mogło być mowy, by samochód nie był rano gotowy do dalszej jazdy. Hyde włożył noktowizor i jasne światło z ogniska oraz lampy poszarżało. Dwie ciężarówki z kontenerami były odwrócone do

siebie jak wielkie koty śpiące po obu stronach ogniska. Obok ostatniego pojazdu dostrzegł czterech ludzi; Blantyre był z nich najwyższy. Na masce samochodu patrolowego leżała mapa rozłożona jak obrus. Na brzegu polany mężczyzna stojący na warcie zdawał się patrzeć zazdrośnie w szare światło ogniska, wokół którego ktoś się kręcił piekąc mięso.

Hyde obrócił z trudem głowę z powodu ciężaru noktowizora, patrząc w stronę Blantyre'a stojącego przy 4WD, trzymającego w ręce kartkę papieru. Gestykulowali, dyskutowali... i najwyraźniej doszli do porozumienia. Trasa na następny dzień, rendez-vous w Republice. Którą drogą? Gdyby tylko mógł...

Poczuł zapach pieczonego kozła nad ogniskiem. Gdyby mógł zaryzykować jedno spojrzenie na mapę, którą Blantyre teraz złożył i wziął butelkę piwa od kaprała, uśmiechając się. Kucharz wbijał długi, połyskujący nóż w ciało kozła i wyczuwało się ich niecierpliwość, nawet człowieka stojącego na warcie. Spod maski półciężarówka wyłonił się mechanik, krzycząc coś z zadowoleniem. Miejsce wydawało się niedostępne, pomimo siedziby ludzkiej wysoko w górach. Spróbuje zepsuć samochód patrolowy albo przynajmniej zdobyć mapę. Będzie wiedział, co zamierza Blantyre. Obserwował ich, jak spokojnie zajmowali się swoimi zwykłymi zajęciami. Poprawił sobie noktowizor, podparł go jedną ręką; strzelba wisiała mu u boku, pistolet przy pasie. Wartownik został przywołany do ogniska i kozioł zaczął się zmniejszać wraz z błyskiem tnącego go długiego noża. Masko samochodu zatrzasnęła się. Mechanik wytarł szmatą ręce i dołączył do pozostałych wokół ognia.

Cholera, dwóch mężczyzn ustawiło przy granicach obozu z boków polany coś, co mogło być stanowiskiem dla głośników hi-fi lub trójnogiem dla kamer. Odchodziły od tego kable jak węże w kierunku jednego z namiotów. Blantyre obserwował dwóch mężczyzn ustawiających mikrofalowe ogrodzenie bez większego zainteresowania. Angielska robota. Rozpoznał to. Niewidzialny płot pomiędzy rozstawionymi stojakami z podobnymi do skrzynek na listy nadajnikami u góry będzie wysoki na dwa i pół metra i tak samo szeroki. W namiocie kable zostaną podłączone do urządzenia kontrolującego i alarmu dźwiękowego. Napięte jak skóra na pieprzonym bębnie, nie do przejścia. To tak, jakby miejsce objęte pożarem zostało otoczone ze względu na bezpieczeństwo. Dwa kontenery, samochód patrolowy i półciężarówka znajdowały się w tym kręgu

chronionym przez pieprzone wróżki. Śmiech Blantyre'a pijącego piwo i jedzącego mięso zirytował go jeszcze bardziej.

Cholerny wynalazek Shorrocka. Używał tego cholernego sprzętu wielokrotnie, lekki, przenośny, składany, skuteczny. Nawet obstawiał swoje mieszkanie i Ros systemami alarmowymi od Shorrocka. Płacił palantom pieniądze, a teraz oni sprzedali to pieprzone urządzenie Blantyre'owi, nie pozwalając mu tam wejść. Zdjął noktowizor i wytarł spoconą twarz, starając się uspokoić. Trzeba być małpą, żeby tam przeskoczyć. Dwa i pół metra w górę, dwa i pół metra szerokie i niewidzialne. Ale on potrzebował tej cholernej mapy! Rozmowa od czasu do czasu przerywana była wybuchami śmiechu. W drzewach za nim coś szeleściło. Jeden z mężczyzn na polanie, słysząc hałas, spojrzął w górę, potem potrząsnął głową powracając do kozła i ziemniaków.

Smukły jak młoda dziewczyna aloes wysuwał się z polany, zbliżając się do dużego drzewa jak pentet. Trzeba być cholerną małpą, powtórzył w myśli. Czy to utrzyma jego ciężar? Oceniał odległość, nachylenie i pień mniejszego drzewa i wytrzymałość wyższego. To była jedyna możliwość. Wydostanie się byłoby... no cóż, już wtedy dowiedzą się o nim. To nie miało znaczenia. Przekreślił się cicho na plecy patrząc na cienki pień pochylonego aloesu. Jesteś wszystkim, co mam. Pod nim, na polanie odgłosy przyjacielskich rozmów. Musiał czekać...

Przebudził się ze świadomością, że nie może się ruszyć, potem spojrzął na swój zegarek, przysuwając do oczu rękę. Druga w nocy.

Przewrócił się delikatnie na brzuch, na razie nie zwracając uwagi na aloes, patrząc w dół na polanę, która rozjaśniła się, gdy założył noktowizor. Szary popiół w miejscu ogniska, szare zarysy namiotów, szare zarysy śpiących ludzi, dwóch z nich niedaleko ciężarówek. I te przekłete małe stojaki mikrofalowego ogrodzenia. Roztarł delikatnie ramiona. Chłód nocy wnikał głęboko w ciało i kości. Usiadł wyprostowany, z twarzą zwróconą w stronę polany, rozcierając zmarznięte nogi i patrząc na pochylony aloes. Potem obserwował polanę. Zobaczył skrawek szarego, wydeptanego piasku, który zamortyzuje jego lądowanie, stłumi wszelki hałas. Blantyre był w namiocie z urządzeniem kontrolującym mikrofalowe ogrodzenie, a reszta na zewnątrz lub w dwóch innych namiotach. Nasłuchiwał. Usłyszał jakiś chłupot wody, a potem jeden z nich wyłonił

się zaspany z krzaków, zapinając rozporek. Hyde obserwował jego powrót do namiotu, gdzie niemal od razu rozległo się chrapanie. Zjedzą śniadanie i wyjadą przed świtem.

Podniósł strzelbę ostrożnie do góry i przelożył jej pasek nad głową. Sprawdził dodatkowy magazynek, potem pistolet, na koniec plecak, zaciskając mocniej paski. Następnie podszedł do aloesu, dosięgając go rękami, i szybko posuwając się nogami po skale. Korzenie drzewa wrastały w skalną rozpadlinę. Sprawdził jego wytrzymałość. Powoli zaczął wspinać się po pniu wzdłuż szorstkiej, sękatą kory. Drzewo drżało pod jego ciężarem. Stopniowo, delikatnie pochyliło się w kierunku niewidzialnego płotu, gdy posuwał się do przodu w stronę piasku. Pocił się i mrugał łzawiącymi oczami. Przesunął się znów kilka centymetrów do przodu, siedząc okrakiem na drzewie, posługując się rękami i drapiąc kolana, oceniając – przez wysuwanie głowy do tyłu i do przodu, wciąż z założonym noktowizorem – gdzie może być linia niewidzialnych czujników. Najbliższy odbiornik był pięćdziesiąt metrów od towarzyszącego mu nadajnika. Drzewo zginało się nad cholernym ogrodzeniem! Jego ręce ślizgały się po szorstkim pniu, kolana drżały. Drzewo trzęsło się pod nim i zaczynało trzeszczeć – małpa zawieszona na czterech łapach...

...wybił się, przekręcając się w ciemności, lądując na nogach. Całe ciało i umysł przyczyły się pełne napięcia, oczekując dźwięku alarmu, gdy skoczył i wylądował po drugiej stronie. Potoczył się, przytrzymując rękami noktowizor. Dwa czarne stojaki połyskiwały za nim w ciszy... w środku. Ciężko oddychał, ale wstrzymał oddech patrząc w górę na drzewo, które kiwało się nad nim. Uśmiechnął się i poczołgał się na brzuchu. Zadrżał, kiedy usłyszał, jak ktoś przewraca się na składanym łóżku. Namioty były nadal czarne, ich wejścia zasłonięte. Dwaj mężczyźni w śpiworach niedaleko ciężarówek pozostawali nieświadomi i nieruchomi. Światło gwiazd i księżycy zdawało się ciężko opaść na polanę. Hyde ukucnął, potem podpełzł do samochodu patrolowego. Najpierw mapa, a potem trzeba uszkodzić samochód.

Przeszedł przez polanę obracając się od czasu do czasu na pięcie, zamazując ślady, obserwując namioty, pojazdy, śpiwory. Gdzieś wśród drzew jakaś małpa pomrukiwała przez sen. Z dala słychać było szczekanie dzikiego psa lub szakala.

Dźwięki dochodzące na polanę były zimniejsze i ostrzejsze niż światło gwiazd. Dotarł do XR 311 – samochodu patrolowego. Blantyre włożył mapę do przedgródki z przodu samochodu. Delikatnie dotknął zamka, zatrzymał się i otworzył drzwi.

Przez noktowizor rozkładana przez niego mapa wydawała się odległa i niczym się nie wyróżniająca. Dostrzegł zaznaczoną drogę na południe od Keetmanshoop, a potem na południowy zachód. Jutrzejsza trasa. Wstrzymał oddech. Mieli jechać drogą, którą chciał. Było to jedyne możliwe miejsce, jedyny teren odpowiedni na zasadzkę, która ich unieruchomi i odetnie od pomocy z zewnątrz. Odetchnął z ulgą. Schował mapę pod koszulę. Musi to więc być samochód patrolowy, żeby ukryć zaginięcie mapy...

Usłyszał cichy dźwięk pocierania metalu o metal. Odwrócił się i zobaczył za sobą mężczyznę i otwarty jeden ze spiworów. Mężczyzna trzymał w garści strzelbę R5 i uśmiechał się, jak gdyby uznał zabią maskę noktowizora za najbardziej zabawną. Hyde wypalił dwa razy z pistoletu. Tłumik wydał przyciszzone dźwięki.

Podbiegł, chwytając opadające ciało i podnosząc karabin. Natychmiast nacisnął spust karabinu pewien, że trzyma go pod odpowiednim kątem. Magazynek w automacie opróżnił się z przerażającym hałasem. Noktowizor zaparował z powodu jego wysiłku, a kolba karabinu stała się gorąca. Puścił ciało i pobiegł, dopóki nie poczuł, że został odrzucony przez siłę wybuchu za sobą. Czuł gorąco z eksplodującego paliwa w samochodzie patrolowym uderzające w plecy i ramiona.

Ledwo słyszał alarm, jaki wywołał, gdy przeszedł przez czujniki w ogrodzeniu, czy okrzyki zaskoczenia i strachu ponad trzaskiem i rykiem płomieni.

– On mi wierzy, ponieważ powiedziałem mu prawdę! Te sukinsyny na tym wysypisku czekają na Blantyre'a i na to, co ma dostarczyć – wrzasnął wściekle Malan. Oświadczenie urosło do rangi wyznania na temat Blantyre'a pracującego niezależnie, oraz zorganizowania i prowadzenia tego interesu z czeskim gazem bojowym. Mieli do tego dostęp wszyscy ludzie Babbingtona! – Obiecano im gaz bojowy – mówił dalej, usiłując się uspokoić – za wielkie pieniądze.

Znalazłem ich, ponieważ Aubrey nie uwierzyłby w nic poza prawdą – patrzył groźnie i dodał: – To pociągnie za sobą konsekwencje, jeżeli zabijesz Aubreya teraz i tutaj.

Babbington rozłożył ręce, jakby udawał, że go błogosławi.

– Nie może być inaczej Paulus – wymamrotał. – Musimy się posunąć tak daleko. Nie ma innego rozwiązania – wypił whisky, którą trzymał jak hostię, kiedy rozłożył ramiona w tym błogosławieństwie.

– Aubrey nie jest jakimś bezimiennym czarnym z Aleksandry – sprzeciwił się Paulus. – Ludzie zainteresują się jego śmiercią. Mój rząd – powiedział to z nie ukrywaną pogardą – zainteresuje się tym.

Odwrocił się na chwilę od pewnego siebie Babbingtona, a potem potrząsnął głową i powiedział:

– Twoi władcy chcą jego śmierci, prawda, człowieku? Ale dlaczego nie poczekać i nie zobaczyć, co będzie? Może przestać się tym interesować lub zostanie odstawiony na boczny tor, albo wezwany do kraju, z tego, co wiem!

– Nie, Paulus, obawiam się, że nie. Nasze bezpieczeństwo zależy od śmierci Aubreya. To musi być zrobione, i to szybko. Jutro wieczorem.

Malan odwrócił się od barku na drugim końcu wielkiego, oświetlonego pokoju, aby odnaleźć to samo udawane przekonanie na twarzy Babbingtona, które ośmieliło go do tego, żeby się z nim nie zgadzać. Z oczu Babbingtona wyzierała nienawiść do Aubreya i chęć zabicia go. Malan nienawidził swojej zależności od Anglika.

– Ja nie pracuję dla KGB! – wrzasnął.

– Twoje interesy także zależą od jego śmierci, tak jak moje oraz ludzi, których ja reprezentuję. Przestań wykręcać się przed nieuniknionym, Paulus – Babbington uśmiechnął się wyniośle.

Malan usiadł z powrotem na fotelu. W końcu uspokoił się i wymamrotał:

– Dobrze, Andrew. W porządku.

Dlaczego teraz się opierał? Widział, na miłość boską, tak samo wyraźnie jak Babbington konieczność śmierci Aubreya. Mógł cieszyć się tym jak Babbington, ale nie było w tym nic osobistego. A może było?

To jak jakieś kafarskie przekleństwo rzucone na innego czarnego, przyznał

niechętnie. Bratanica Aubreya, jego własny ojciec, kontakty pomiędzy nim i Aubreyem... miał jakieś poczucie, że coś było nie tak...

Był świadom, że Babbington go obserwuje. Pieprzyć Babbingtona. Nie potrzebował już dalszych kontaktów z KGB. Przyjadą do niego za dwanaście miesięcy zdesperowani, aby wpuścić na rynek góry diamentów za twardą walutę. Było go stać na czekanie... ale niestety nie mógł. Aubrey był coraz bliżej. Podniósł wzrok i zobaczył, że Babbington wciąż go obserwuje. Potem Anglik uśmiechnął się.

– Myślę, że trzeba to zrobić, Paulus – spojrzał na swoją pustą szklanekę. – Chcę, aby ten piekielny, przeszkadzający nam staruch zginął i jestem tu po to, żeby tego przypilnować – ziewnął, nadal mając na twarzy swój zimny uśmiech. – Obawiam się, że minęła już moja pora pójścia do łóżka. Nie jestem pewien, czy powinienem spać, ale chyba lepiej spróbuję – wstał i przeciągnął się. – Zobaczysz się z tymi ludźmi od razu Paulus, po prostu, żeby się upewnić?

Malan spojrzał ze złością, a potem jedynie wymamrotał:

– Tak, przyjrzę się wszystkim przygotowaniom do ostatniego aktu twojego zbyt długiego dramatu, Andrew.

– Dziękuję Paulus, dziękuję – jego westchnienie pełne zadowolenia doprowadzało do mdłości. – A więc dobranoc.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Malan usiadł, nie mogąc się uspokoić. Prawie zakrztusił się swoim drinkiem, gdy go przełykał.

Najbardziej nienawidził tego, że podlegał Babbingtonowi, musiał mu być posłuszny i robić to, co inni uważali za konieczne, nawet gdy było to nieuniknione, a nawet korzystne, jeśli Aubrey umrze jutro wieczorem.

Zatrzymał się w pobliżu przedmieścia Aleksandra. Był świadom poprzedniego statusu miasta tuż za postrzępionym horyzontem z hałdami przy kopalniach. Jego historia naciskała na okna samochodu jak rozjuszony tłum. Spojrzał na wysypisko śmieci i góry samochodów, wciąż mając w pamięci obraz czerwonego porsche Malana skręcającego przed chwilą przez bramę.

Anderson potarł policzki i ziewnął. Światła wciąż połyskiwały, tworząc lunę wokół miasta. Został wyrwany z drzemki, gdy samochód Malana wyjechał

przez elektroniczną bramę jego posiadłości. Trudno było mu dorównać, ale łatwo go mieć w polu widzenia w czerwonym sportowym samochodzie. Potem porsche zjechało na bok z tej wietrznej drogi na obumierającym przedmieściu do złomowiska, przed którym Anderson zatrzymał się zdziwiony. Nierównymi literami na pofałdowanej bramie napisane było DE VRIES. Nic to Andersonowi nie mówiło.

Podjechał dalej jakieś trzysta metrów do brudnego, porośniętego chwastami kawałka betonu, udającego parking i ostrzegającego przed czarnymi klientami. Motel w bungalowie za parkingiem życzył sobie pozostać w przeszłości. Otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Wczesny ranek był zimny i świeży; poczuł, że obudziła się jego ciekawość, podobnie jak głód. W lekkim wiatyku poczuł smażony bekon i jego żołądek zaprotestował. Odległe fabryki i kopalnie, od których wszystko zależało, wypluwały dym i kurz w jaśniejące niebo. Otworzył bagażnik i wyjął pistolet, aparat fotograficzny i mikrofon kierunkowy. Czarni szli po chodniku lub wędrowali bezpośrednio po jezdni, idąc do pracy albo wracając od kobiet, z nieodpartym wdziękiem.

Miejsce było płaskie, zniszczone, a sterty rozbitych lub starych samochodów i ciężarówek na złomowisku zasłaniały horyzont. Przeszedł przez ulicę i zajrzał przez bramę. Nie było śladu po porsche Malana. Wszedł do środka, czując zdenerwowanie i ból w całym ciele po śnie w niewygodnej pozycji. Natknął się na żurawie, zgniatarki, wielkie zwieszające się chwytaki, podobne do małych żurawi w szklanych pudełkach z jego dzieciństwa podczas wakacji w Bournemouth czy Weston-super-Mare; małe żurawie, których chwytaki zwieszały się nad tabliczkami czekolady i cukierkami. Wrzucić pieniądze, kręcić szybko kołem, nakierować żuraw, zanim ucieknie czas kupiony za pensy... Teraz te żurawie, które zwieszały się nad zeszlórocznymi modelami, aby je z niecierpliwością złapać i przenieść do zgniatarki, mogą złapać Malana, o wiele większą nagrodę. Poruszał się z najwyższą ostrożnością wokół i pomiędzy górami zardzewiałego metalu...

...aby znaleźć, po minięciu niewielu czarnych i jeszcze mniej białych, którzy pracowali na podwórku, Malana i dwóch innych mężczyzn stojących na stopniach przechylonej, zniszczonej przyczepy, która, jak się wydawało, była

zaparkowana przy przenośnej toalecie, co też mógł wyczuć w porannym wietrze. Dwóch mężczyzn wyglądało karykaturalnie – niscy, grubi, pozbawieni szyi. Anderson oparł łokieć o czerwonego, zardzewiałego forda i ustawił ostrość na ciężkim teleobiektywie przymocowanym do aparatu fotograficznego. Malan i dwóch mężczyzn znalazło się na zbliżeniu. Robił zdjęcia koncentrując się na tych dwóch, ale zawsze włączając Malana z profilu, jak gdyby był zainteresowany jedynie kompozycją.

Dlaczego nie zabić go teraz? Ale znał odpowiedź. Chciał przetrwać. Był prawie zawstydzony, przyznając się do tego. Pomimo Margarethe i swojego smutku, tak naprawdę nie chciał umrzeć podczas zabijania Malana.

Malan gestykułował ze złością, zwracając się do dwóch pozostałych, zmuszając Andersona do podniesienia kierunkowego mikrofonu, oparcia go o maskę forda i skierowania w stronę rozwalonego karawanu. Podłączył słuchawkę do mikrofonu i usłyszał:

– Przyprawdę Anglika tutaj wieczorem i chcę, żeby z tym wtedy skończyć. Moi ludzie o to zadbają – Malan robił ręką stanowcze ruchy, jakby coś siekał – ...bez problemu.

Mamrotanie jednego z Afrykanerów nie dotarło do mikrofonu, ale wydawało się, że było to uzgadnianie ceny. Wskazał Malanowi wnętrze chaty i weszli razem zamykając za sobą drzwi.

Anderson przeklinając mógł obserwować ich przemieszczających się tam i z powrotem jak owady za szybą, ale głosy tonęły w skrzypieniu żurawia, podnoszącego w powietrze pierwszy w tym dniu samochód; połyskiwał i błyszczał, zanim został opuszczony w paszczę zgniatarki, której hałas sprawił, że opuścił mikrofon. Zdał sobie sprawę, że przedmiotem ich rozmowy musi być Aubrey. W polu widzenia we wnętrzu chaty pokazał się uśmiechnięty Malan, wykonując rękami zdecydowane gesty. Dogadali się. Malan i Babbington planowali śmierć Aubreya. Chcieli się z nim rozprawić, Aubrey miał skończyć na złomowisku. Rozejrzał się dookoła, patrząc na góry samochodów i obręczy kół oraz innych metalowych części ułożonych jak kopce termitów.

Potem Malan wyszedł z chaty i stanął na jej schodach, jakby czekał, aż go ktoś zabije. Anderson zdał sobie sprawę, że mógłby zabić Malana tej nocy i mieć czas na ucieczkę.

Pozwolił mu zejść po schodach i dotrzeć do samochodu, nie pozbawiając go pewności siebie. Teraz już wiedział, i tylko to miało znaczenie. Metal dookoła niego zaczął się nagrzewać w promieniach słońca, a kurz i smog nad miastem powoli się rozpraszał. Był to niemal najlepszy jego świt od śmierci Margarethe. Malan odjechał od śmierdzącej chaty kolejnym tunelem między wielkimi stertami samochodowych części. Zgniatarka nadal przeżuwała, gdy kolejny rozbity samochód został wrzucony w jej gardło. Wzdrygnął się na myśl, że ktoś musiał w nim umrzeć – wrak był bardzo pognieciony i poskręcany. Pewność siebie powróciła, gdy pomyślał, że Malan będzie schwytany w pułapkę. Nie Aubrey, ale właśnie Malan. Skoro Aubrey musiał być przynętą, niech nią będzie. Niewiele zawdzięczał Aubreyowi. Gdyby nie przypomniał sobie o nim, gdy odnalazł rozbityą dakotę, to Margarethe nie byłaby teraz martwa.

Poszedł ostrożnie jedną z alejek pomiędzy ścianami umarłych samochodów, mikrofon ciągnął za sobą jak zmęczony ogrodnik łopatę, aparat fotograficzny miał powieszony na szyi. Przestraszył go czarny mężczyzna w pobliżu głównej bramy, ale ten nie zwrócił na niego uwagi, interesując się czymś, co połyskiwało jak miedź w stercie zniszczonych samochodów. Niebo nad nim było niebieskie. Anderson pośpieszył do samochodu, kurz z porsche Malana już opadł na drogę. Wrzucił niedbale aparat i mikrofon do bagażnika. Nie musiał już nawet śledzić Malana. Czas pozostały do wieczora nie miał znaczenia. Uruchomił silnik i wykręcił. Mógł wrócić do taniego pensjonatu, na niewygodne łóżko i położyć się spać. Nastawił sobie podróżny budzik, jakby po prostu szedł do pracy. Tak właśnie miało być, po prostu praca, ostatnia robota.

Droga była zapełniona kierowcami śpieszącymi się do pracy w mieście. Wypadek, samochód zgnieciony pod ciężarówką, prawie nie zrobił na nim wrażenia. Dwa dodatkowe pojazdy na złomowisku. Dziś w nocy Malan stanie się jego ofiarą, kiedy upadnie na plecy z małą dziurą w czole, zanim otworzy usta z przerażenia, wydając ostatnie tchnienie. To wystarczy, wystarczy w zupełności. Miasto okrążyło go, rozproszone przedmieścia w końcu stały się bardziej skupione. Małe trawniki przed blokami i starymi, niszczącymi bungalowami. Pola golfowe, parki; białe pokryte stiukiem domy były zasłonięte niechlujnymi domami, jak praniem, wywieszonym w bogatszych częściach miasta, kiedy przejeżdżał bliżej centrum Johannesburga. Schludne posiadłości przeszły

w pochylone, zapchane pensjonaty i kręte, wąskie ulice. Hillbrow. Dla turystów, autostopowiczów i robotników migracyjnych o ziemistej cerze oznaczało to tanie noclegi.

Wjechał w wąską, krętą uliczkę, gdzie stare samochody przywierały jeden do drugiego przy rynsztokach i brudnych chodnikach przed wysokimi, wąskimi domami o nędznym wyglądzie, zaniedbanych i pozbawionych słońca. Pensjonat, w którym był zameldowany pod innym nazwiskiem, znajdował się po lewej stronie. Rozglądał się za miejscem do zaparkowania...

...i zobaczył samochody policyjne. Policjanci rozeszli się po chodniku i jezdni. Niebieskie światła obracały się powoli, hipnotycznie nad samochodami. Karabiny na zewnątrz jego pensjonatu odcinały go. Nędzna ulica pensjonatów, snack barów i sklepów łapała na niego, jakby to było wcześniej zaplanowane.

Władza i wpływy Malana. Znaleźli go.

Hyde musiał czekać za Holoog, aby upewnić się, że trzymają się trasy wyznaczonej na ukradzonej mapie. Potem, kiedy już byli na wietrznej, wznoszącej się drodze prowadzącej przez wzgórza w stronę Fish River Canyon, wyprzedził ich land roverem zyskując prawdopodobnie godzinę, zanim ciężarówka i półciężarówka dotrą... właśnie tutaj.

Zimowe popołudnie ciążyło mu, przepocona koszula przyklejała się do wilgotnego ciała. Ukrył land rover prawie kilometr od kanionu, wpychając go na wąską ścieżkę, która wiła się przez labirynt wzgórz rozciągających się w stronę południowego zachodu. Potem wycofał się z tego miejsca. Tutaj mógł zrobić zasadzkę, zwalić ziemię i skały przed i za nimi, zamykając ich w środku bez szansy ucieczki, chyba że na piechotę.

Spojrzał z drogi w głąb Fish River Canyon. Kilka dołów z wodą, nic ponadto w okresie suszy. Rzeka płynęła jedynie podczas przyboru w sezonie deszczowym, jeżeli padało. Wokół najbliższych i największych dołów wodnych było kilka kozłów, jakaś zebra i para pawianów. Kanion wił się jak wąż poza zasięgiem wzroku na kilkanaście mil w obydwu kierunkach przez górzysty teren. Spojrzał w górę. Wzgórza i płaskowyż widać było ze wszystkich stron, niebieskie i zamglone w świetle popołudnia. Cały teren był poprzecinany kanionami i wąskimi dolinami. Było sucho i pusto, czerwonawy brąz lub ołowiany

błękit pod promieniami słońca. Górzysta pustynia w Namibii, nie więcej niż czterdzieści kilometrów od granicy z Republiką Południowej Afryki – ostatnie miejsce i jedyne, gdzie miał nadzieję ich zatrzymać. Tutaj, na tym wąskim, zakurzonym kawałku drogi mógł to zrobić.

W tym miejscu droga opadała poniżej brzegu kanionu na długość kilku kilometrów, zwieszając się jak most z lin wzdłuż urwiska. Nad drogą pochylała się skała, która mogła być zrzucona w dół.

Jeden z dwóch nawisów, które wybrał, był zasłonięty przez zakręt drogi. Oznaczało to, że Hyde będzie musiał znaleźć się gdzieś pośrodku, ukryty jedynie przez rumowisko skalne obok drogi. Musi być szybki i zdecydowany. Spojrzał na słońce, a potem na zegarek. Przez ostatni odcinek tej drogi, jakieś ostatnie dziesięć kilometrów, ich prędkość poruszania się będzie wynosiła około czterdziestu kilometrów na godzinę. Miał trzy lub cztery minuty. Pod stopami jeszcze nic nie wyczuwał, żadnego drżenia oznaczającego zbliżanie się dwóch wielkich ciężarówek.

I, kiedy już odkryją zasadzkę, będą próbowali się wycofać w jego kierunku, a on będzie stał pośrodku drogi jak pieprzone drzewo cytrynowe. Obejrzał się na drogę, którą przyjechał, ale liczne zakręty zasłaniały widoczność. Żadnego kurzu, jeszcze nie.

Przezesął włosy rękami, czekając w napięciu. Stanął z boku drogi i ukląkł obok dwóch pudeł w kolorach maskujących, które przyniósł z samochodu. Ważyły razem dwadzieścia pięć kilogramów. Ramiona bolały go zarówno z powodu pośpiechu i napięcia, jak i wysiłku, który włożył w to, aby je przemieścić. Ziemia pod jego stopą i zgiętym kolaniem wydawała się drżeć, jak gdyby ostrzegała przed zbliżającym się trzęsieniem ziemi. To byli oni.

Otworzył jedno z pudeł i wyjął krótką rurę – wyrzutnik raket, którą położył obok siebie na ziemi. Kurz podnosił się pod jego palcami, a na czoło wystąpił mu pot. Wyciągnął drugą rurę z pudełka i potem otworzył następne, układając na ziemi kolejne dwie rury, a obok nich cztery rakiety ze sterówkami. Gorączkowo zajął się swoją pracą, jakby była czymś tajemniczym, załadował w każdą z wyrzutni raketę, po wyciągnięciu wewnętrznej rury i usłyszeniu mechanizmu zatraskowego. Potem doszedł do niego odgłos zbliżających się ciężkich pojazdów wspinających się pod górę.

Sprawdził celownik jednej z wyrzutni, a potem położył się płasko na drżącej ziemi, za osłoną małego krzaka i kupą małych kamieni. Hałas dwóch ciężarówek zaczął być ogłuszający. Ziemia trzęsła się pod jego ciałem. Przycisnął ręce do uszu, gdy otoczył go kurz, a potem wielki cień zasłonił promienie słoneczne. Rozejrzał się na obie strony i zobaczył...

...mały, stary, zielony samochód przykryty kurzem z pierwszej ciężarówki. Kierowca o siwych włosach z pasażerką, również siwą, jechali z szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę, ich twarze były zdziwione widokiem i obniżeniem terenu po prawej stronie. Przejechała pierwsza ciężarówka, potem druga. Spojrzał znów w górę, wyobrażając sobie Blantyre'a w przejeżdżającej półciężarówce. Skoczył na równe nogi pośród kurzu i, trzymając w ręku wyrzutnię, pobiegł na drogę za konwojem. Cholera, dlaczego tych dwoje głupich palantów musiało być tu właśnie teraz? Zostaną złapani w pułapkę, to wszystko, musiało tak być... może stary zielony samochód nie zostanie zasypany...

Poczuł się odkryty w opadającym kurzem. Podniósł wyrzutnię, opierając ją na ramieniu, i spoglądając przez prosty, ale skuteczny celownik. Przez chwilę nie widział nic poza kurzem, potem linie celownika pokryły i przybliżyły ocienioną karoserię półciężarówki. Podniósł wyrzutnię powoli do góry, z ręką na spuście i odbezpieczył. Rzucił okiem na zielony samochód, zanim spojrzał na występ skalny. Odległość dwadzieścia pięć metrów. Cel namierzony.

Nacisnął cyngiel. Poczuł delikatne szarpnięcie. Sześć sprężyn wypchnęło sterówki rakiety, a potem dostrzegł smugę ognia z silnika, zanim stracił z oczu mały pocisk. Zobaczył uderzenie, detonację i eksplozję oraz spadanie skał i ziemi z nawisu. Złapał drugą rurę, wyrzucając poprzednią, uzbroił ją, spojrzał i zatrzymał się. Skała spadała z chmurą kurzu jak slumsy wysadzane w powietrzu. Wyglądało to tak, jakby miała się odsłonić stara tapeta w łazience, a nie surowe skały. Wystrzelił drugi pocisk.

Zielony samochód, na miłość boską – biedne palanty...

Usłyszał odgłos gwałtownego hamowania, a nawet głosy zza osuwającej się ziemi. Druga eksplozja pokryła wszystko jeszcze większym kurzem, a jej odgłos odbijał się od ścian kanionu. Kurz kłębił się na drodze, unosząc się w jego kierunku jak morska mgła wchodząca na ląd. Może zielony samochód się prześlizgnął...

Zatoczył się na pobocze drogi, jakby zrobiło mu się słabo, i podniósł trzecią oraz czwartą wyrzutnię. Zagrzemiał odgłos eksplozji. Zobaczył brązowe i niebieskie wzgórza, zanim okrył go kurz. Usłyszał pisk opon. Pobiegł wzdłuż drogi do drugiego nawisu. To może nie wystarczyć. Nie mógł wiedzieć, jak duże będzie obsunięcie ziemi na drodze. Wyszedł z kurzu na oślepiające słońce. Opony piszczały i posuwały się. Słyszał także ludzkie krzyki. Minął nawis, odwrócił się i zatrzymał, głęboko oddychając. W gardle czuł kurz. Potem namierzył i wypalił. Płomień, sprężyny, zasłonięte pole widzenia, eksplozja. Skały zamamrotały, nawet krzyknęły w proteście, a potem zaczęły spadać. Z kurzu wyjechała tyłem półciężarówka i zobaczył dzikie twarze obserwujące drogę, zanim go dostrzegli. Natychmiast usłyszał krzyki i zobaczył ruch czarnych luf karabinów.

Ukląkł na jednym kolanie i strzelił ponownie w zawieruchę kurzu i skał spadających ze szczytu krawędzi. Nie widział ognia eksplozji, ale usłyszał detonację. Ściana skał opadła przed nim na drogę, oddzielając go od pojazdu. Jeden strzał gwizdnął obok niego, nie czyniąc szkody.

Hyde słyszał krzyki i warkot silnika pośpiesznie odjeżdżającego od obsuniętej ziemi. Odwrócił się i zaczął biec przed unoszącym się kurzem. Dotarł do wąskiej szczeliny w skale, która prowadziła na szczyt. Wejść tam, spojrzeć na nich, ocenić zniszczenia. Zielony samochód, dwoje starych ludzi...

Gdy zaczął się wspinać, opierając stopy i plecy o skałę, pot oblewał jego ciało, kurz zatykał mu gardło i nos. Zobaczył otwartą przestrzeń za kłębiącym się kurzem. Jego strzelba uderzała o skałę. Zaczął działać – oby nie mordując dwóch cywilów, błagam – ale zaczął. Kanion był głęboką rysą w suchej ziemi, która unosiła się i opadała dookoła niego we wszystkich kierunkach; wzgórza oraz płaskowyż były puste i gołe w popołudniowym słońcu.

Weiskał się coraz wyżej szczeliną, jego mięśnie drżały z wysiłku.

Zielony samochód. Biedne, stare palanty.

Rozdział piętnasty

WYZWANIE NA PUSTYNI

Winda wspinała się po piętrach parkingu z astmatycznym drżeniem. Graffiti nienawiści i niekonsekwencji wykrzykiwały na siebie na metalicznych ścianach. Anderson spojrział na niesiony przez siebie neseser ze strzelbą, noktowizorem, zapasową amunicją i ubraniem, i poczuł się pewniej. To było łatwe. Minął pensjonat w Hillbrow, nie zwracając uwagi na samochody policyjne i mały tłum łazików i gapiów na chodniku po przeciwnej stronie. Równie łatwo było wrócić do samochodu, prawie tak samo łatwo zjeść śniadanie. W czasie lunchu było inaczej, jego nerwy napięte były do granic wytrzymałości, ponieważ stali się bardziej zapalczywi w poszukiwaniach. Wszystkie południowe wydania wieczornych gazet zamieściły jego zdjęcie. Spędził większość popołudnia na sprawdzaniu i upewnianiu się, że nie jest śledzony, że nikt go nie rozpozna.

Winda szarpnęła i temperatura Andersona podskoczyła jak owad, żerujący na jego niepokojach. To się zbliżało, jak to odrapane metalowe pudło windy. Malan pojechał na spotkanie z Aubreyem w Carltonie, bez wątpienia potwierdzając warunki układu. Tej nocy pozbędą się wścibskiego starego człowieka. Winda stanęła i otworzyły się drzwi. Wyszedł na ocienione piętro.

Musiał wykorzystać Aubreya. Ale starzec miał swoje własne powody, żeby tu być. Można było wykorzystać jedynie jego niewiedzę. Ciche kroki odbijały się echem ponad pomrukiem miejskiego ruchu. Gorące, popołudniowe słońce z trudem tu się wdzierało, jedynie pogłębiając cień. Miał pewne zastrzeżenia, ale śmierć Aubreya nie była tak ważna wobec śmierci Margarethe.

Zauważył przeblýski ostrego popołudniowego światła, przechodzącego w wieczór, oraz kolorowe plamy oleju i benzyny, poczuł zapach paliwa. Daleko w dole, niecierpliwe opony piszczwały, ostro skręcając z jednego piętra na drugie.

Zostanie tutaj, obserwując biuro Malana, dopóki ten nie pojedzie do domu lub do Carltona, aby zabrać Aubreya.

Myśl o Aubreyu sprawiła, że się potknął. Wyprostował się i potrząsnął głową. Tamto było wtedy, a to jest teraz, powiedział sobie. Dostrzegł swój samochód i przyspieszył.

Otworzył bagażnik, aby umieścić w nim neseser i zabrać lornetkę. Jedna mała walizka, drugi pistolet, noktowizor – to wszystko, czego potrzebował. Słońce zaczęło wpadać na wyższe piętro parkingu, odbijając się od porysowanej zakurzonej maski samochodu.

Miał właśnie zatrzasnąć bagażnik ręką zostawiającą odcisk na lakierze, taki jaki był wcześniej zrobiony na brzegu maski, zwykle szczelnie zamkniętej. Ale obok był drugi ślad, jakby ktoś zamykał ostrożnie maskę dwiema rękami. Słońce ujawniło intruza. Jego ręka zadrżała na pokrywie bagażnika, wciąż zawieszona u góry, końce palców były wilgotne, pot spływał na brwi. Czuć było ostry zapach benzyny. Poczul ściskanie w żołądku. Maską wydęła się jak żaba, grożąc wybuchem...

Ostrożnie, z wielkim wysiłkiem woli opuścił pokrywę bagażnika, aż dotknęła drugiej ręki. Pozwolił, aby zatrzymała się na zawiasach i przeszedł ostrożnie do przodu. Ślady zniknęły, ale kiedy spojrział w bok, znowu je zobaczył. Dwie dłonie w cienkich rękawiczkach opuszczające maskę po tym, jak...

Ukląkł na brudnym cemencie i wsunął się pod samochód. Miska olejowa, skrzynia biegów, rura wydechowa... i rakowa narośl z odchodzącymi od niej przewodami. Uwalniana przez wstrząs, przekręcenie kluczyka w stacyjce lub sterowana radiem. Zesztywniał rozglądając się gwałtownie dookoła. Nikogo. Na pewno? Znowu rozejrzał się po parkingu. Nikogo. Pocił się obficie. Przetarł twarz, trzęsąc się ze strachu. Jego śmierć byłaby jedynie jeszcze jednym zamachem terrorystycznym, a ciało miało być nigdy nie rozpoznane.

Otworzył ostrożnie bagażnik i wyjął neseser, gdy pierwsza kula stłumionego wystrzału, bzycząc jak osa, uderzyła o pokrywę. Pistolet, mała prędkość, jedynie wgniecenie metalu. Obrócił się, nie zapominając zamknąć ostrożnie pokrywy bagażnika. Przykucnął z boku samochodu, przy tylnym kole, z kolaniem w płamie brudnego oleju. Drugi strzał rozbił boczną szybę nad jego głową, zasypując jego włosy i szyję kawałkami szkła. Z przerażeniem uświadomił

sobie, że jest na tym samym poziomie co bomba, i że jakikolwiek wstrząs może ją wysadzić. Och, Chryste. Trzeci strzał. Skąd? Gdzie? Chciał krzyżeć. Żadnego błysku z wyciszonej tłumikiem broni. Trzecia kula przebiła samochód zaraz za nim, pokrywając pęknięciami przednią i boczną szybę. Ilu ich było? Pochylił się do przodu i przyciągnął nesesper do siebie; koło jego ręki podniósł się z betonu kurz. Jeden strzelec? Kule zdawały się lecieć z jednego kierunku. Cisza, poza kołami poruszającymi się na niższym piętrze, odgłosami ruchu ulicznego i od czasu do czasu niecierpliwym dźwiękiem klaksonu.

Wślizgnął się za sąsiedni samochód, zbliżając się do strzelca, wciskając swe skulone ciało pomiędzy zderzak i betonową ścianę parkingu. Potem drugi samochód, trzeci – cofnął się na odgłos strzału, który prześlizgnął się po dachu jego samochodu. Nesesper przycisnął do piersi, mijając kolejny samochód – volvo. Z pistoletem za pasem pod marynarką przesuwiał się wzdłuż ściany, przez którą docierały odgłosy normalnego popołudnia w Johannesburgu. Przetarł czoło i oczy...

...kroki, szybkie jak chrobotanie szczura w piwnicy. Podniósł głowę nad maską BMW i dostrzegł ocienioną postać, w jednej ręce trzymającą mały przedmiot, drugą ręką przyciskającą coś do niewidocznej twarzy. Dzwonił po pomoc. Nieświadomie wyciągnął pistolet zza paska, włożył magazynek do komory i zwolnił zabezpieczenie. Delikatny ruch palca, nic więcej. Amerykańska limuzyna osłoniła na chwilę mężczyznę, który potem rzucił głębszy cień na dach cadillaca, wystarczający do... oparcia łokci na dachu BMW, wycelowania pistoletu i dwukrotnego naciśnięcia spustu. Plaśnięcie kul o cement, kopnięcie pistoletu, gwałtowny ruch ranionej głowy i ramion oraz odgłos upuszczonej na beton broni. Pisk opon zagłuszył wszelkie inne dźwięki, nawet jego oddech, gdy biegł do drzwi wyjściowych i schodów.

Położył się na szczycie skały, łokcie szczypały go, gdy podniósł szkła do oczu. Soczewki zaszyły na chwilę mgłą, która zaraz zniknęła. Plama zieleni, którą zobaczył z boku, przyniosła uczucie ulgi. Skierował lornetkę na stary samochód i starszych ludzi gramolących się z niego, zdziwionych widokiem zwałonej skały. Chryste, udało im się uciec, dzięki Bogu. Staruszkowie przyłgnęli do siebie, stojąc jak wśród ruin swojego domu. Jego szczupła, drżąca

ręka klepała ją wciąż po ramieniu i policzku. To było dziwnie wzruszające, więc przesunął lornetkę...

...aby zobaczyć Blantyre'a, machającego rękami, na coś wskazującego. Koszula Hyde'a, która przykleiła mu się do pleców, zaczęła schnąć. Kabina pierwszej ciężarówki była zgnieciona, ale sam kontener – dzięki ci, Chryste – był nietknięty, jedynie odrapany i pognieciony przez spadające skały. Dwóch ludzi próbowało otworzyć drzwi, nie zwracając uwagi na Blantyre'a mówiącego coś o ucieczce i poganiającego ich. Drzwi nie chciały się otworzyć. Jego serce wciąż waliło jak młotem, gdy leżał na skale z wychyloną głową. Droga przed nimi była całkowicie zablokowana tonami skał i rumowiskiem kamieni, nad którymi unosił się kurz. Przyjrzał się przez lornetkę wścieklej twarzy Blantyre'a i reszcie jego żołnierzy. Jeden z nich chyba opatrywał sobie ramię przy drugiej zwalonej skale. Dużo kamieni przeleciało nad kanionem w stronę wyschniętego koryta rzeki, ale wielkie rumowisko skalne leżało w poprzek drogi, chyba na sześć metrów wysokie. Nie do przejścia. Obydwie drogi były zablokowane, znajdowali się w potrzasku. Dzięki ci, Chryste.

Blantyre obserwował teraz przez lornetkę obydwą zwały ziemne. Musiał wyczuć materiał wybuchowy, nawet przez kurz unoszący się w powietrzu. On powinien wiedzieć – i wiedział kto – nawet jeśli wmawiali sobie, że strażnika zastrzelili i zniszczyli samochód patrolowy jacyś bandyci lub niedobitki SWA-PO. Pamięć Blantyre'a musiała właśnie odnajdywać nazwisko i niedługo zareagował...

...wymachując w stronę szczytu skały i krzycząc. Hyde odsunął się metr od brzegu skały. Jeden z nich, chyba kierowca drugiej ciężarówki, gestykulował podczas kłótni z Blantyre'em, którego twarz wyrażała gniew. Potem uspokoił się, opuścił ręce i zaczął kiwać głową przytakując, kiedy kierowca wskazywał na skały blokujące im drogę.

Blantyre zebrał ich wokół siebie, wskazując skalną ścianę. Potem ruszył szybko w jej kierunku. Hyde podniósł lornetkę i zobaczył zieloną plamę, która była samochodem starsuszków. Ona trzymała nakrętkę termosu w dwóch dłoniach i popijała coś gorącego, z czego leciała para. On trzymał ją za ramiona i mówił do niej, powoli kiwając głową. Chryste, naoczni świadkowie. Blantyre wspinał się na szczyt zwalonej skały, a wokół niego unosił się kurz. Dwóch

innych, z karabinami Uzi lub jakimś innym tępym i niebezpiecznym narzędziem przewieszonym przez plecy, poszło w jego ślady. Stara kobieta popijała dalej, niczego nieświadoma. Gorący napój wyraźnie ją uspokajał. Stali blisko siebie, byli razem. Blantyre wdrapał się na szczyt hałdy i zatrzymał się. Dwóch pozostałych przyłączyło się do niego i wciąż wskazywali na dwoje starszków. Naoczni świadkowie, to wystarczyło, aby ich wyeliminować. Widział na twarzach dwojga starych ludzi rosnącą troskę, kiedy zastanawiali się, co mogło się stać z konwojem, który był za nimi, więc odwrócili się, gdy Blantyre i dwóch jego towarzyszy podnieśli do góry karabiny maszynowe.

Och, sukinsynu. Krzyk nic by tu nie pomógł. Nie mogli uciec przed egzekucją. Przygryzł dolną wargę, kiedy jego ciało drgnęło na odgłos wystrzału z dwóch karabinów Uzi. Obserwował powoli upadające ciała. Upadli rozdzielnie, czego nigdy by sobie nie życzyli, po obu stronach rozsypanych małych kamieni. Blantyre natychmiast przeszedł na drugą stronę rumowiska, podnosząc kurz. Reakcja Hyde'a była instynktowna, nawet głupia. Podniósł strzelbę, kolbę oparł o ramię i wprowadził kulę do komory. Szybko ustawił soczewki teleskopowego wizjera. Zobaczył w nim powiększone, spocone plecy – i wypalił. Potem przeniósł swój celownik na drugiego mężczyznę. Dostrzegł Blantyre'a wracającego w pole widzenia i wchodzącego na hałdę, który obejrzał się na odgłos pierwszego strzału. Hyde strzelił ponownie, a potem trzeci raz, ponieważ jego palce raczej skakały po cynglu niż naciskały go. Druga spocona koszula upadła na skały. Dwóch martwych, za tych dwoje starszków.

Blantyre właśnie odskoczył od linii obstrzału w stronę rozrzuconych kamieni, pozostawiając dwa stare ciała. Było coś obscenicznego w tym, że sukienka starej kobiety odłoniła jej chude uda, gdy upadała, a ich rozrzucone ramiona były oddalone, bez szans dotarcia do siebie. Leżeli jedynie kilka metrów od zielonego samochodu. Skała, pod którą ukrył się Blantyre, była skąpana w późno popołudniowym słońcu.

Po tej stronie pułapki mężczyźni poszukiwali schronienia jak mrówki. Zatakował ich mrowisko. Wystrzelił trzy razy, a potem zapadła cisza. Bezruch, spokój. Nagle wszyscy się przed nim ukryli.

No i zaczęło się. Trzymanie ich tutaj, w pułapce. Cisza wdzierła się mu do

uszu, dudniła. Dwa stare ciała na drodze, dwa ciała na kamiennym zwalisku jak brudne ubrania schnące na słońcu. Musiał ich wszystkich tu zatrzymać.

Jego busz zniknął na zawsze, a naturalne środowisko anonimowości zostało zniszczone. Wszystkie wieczorne gazety wydrukowały jego zdjęcie z grubymi czarnymi nagłówkami, rozgłaszając jego wymyślone zbrodnie. W paranoicznym momencie, w paranoicznym kraju, stał się pravicowym terrorystą konspirowującym w celu obalenia rządu i zatrzymania pokojowego procesu zmian. Zamordował nie uzbrojonego policjanta obserwującego jego samochód. Było tam nawet pytanie, dlaczego bezbronni oficerowie policji są zmuszani do ryzykowania życia w konfrontacji z tak niebezpiecznym i szalonym człowiekiem jak on. Jego twarz była wszędzie; nie mógł zaryzykować pokazania się komukolwiek – w firmie wynajmującej samochody, obsłudze tanich pensjonatów, kelterce w obskurnej kawiarni. Był ostatnim lwem na wypalonym stepie, wystawionym na polowanie.

Anderson oparł się o ciepły mur w zaułku, do którego docierały światła jednej z miejskich głównych arterii komunikacyjnych. Reflektory samochodów i błyski policyjnych czerwonych i niebieskich świateł wciąż rozświetlały ciemność. Gdzieś w głębi zaułka, jakiś czarny mężczyzna odnalazł zapomnienie w butelce i chrapał. Od czasu do czasu dobiegał go odgłos radia lub sprzeczki i śmiechu dochodzącego z końca zaułka, gdzie śmieci z restauracji przyciągnęły swymi zapachami chude koty. Zadrżał, kiedy jeden z kotów zwałił pokrywę kosza, która się potoczyła wzdłuż ulicy. Przetarł spoconą twarz, czując drżenie palców na skórze. Chryste... och, Chryste! Neseser stał przy jego stopach, a miejsce przy pasie, gdzie miał przyciśnięty do muru pistolet, było drętwe. Nie było sposobu dalszego przemieszczania się, czy też możliwości wydostania się. Spojrzał na swe dłonie w błysku świateł przejeżdżającego samochodu. Nie mógł nic zrobić. Nie teraz. Nigdy nie dostanie się do Malana. Będzie miał szczęście, jeśli wydostanie się żywy z Johannesburga.

Jego odwaga, determinacja, jakkolwiek to nazwać, zniknęła. Nie czuł już pragnienia zemsty, nie czuł nawet nienawiści. Ich dominacja była zbyt oczywista, zbyt wszechobecna, gdy mijał stojak z gazetami czy oświetloną witrynę

sklepową; zbyt oczywista za każdym razem, kiedy mijał go samochód policyjny lub policjant na piechotę. W końcu wskoczywszy do tej pijackiej i kociej alei na dźwięk kolejnej syreny policyjnego samochodu, poddał się swojemu ciału i wymiotował ze strachu. Czuł to teraz w powietrzu pomieszane z innymi zapachami tej uliczki.

Wszystko, co mógł zrobić – jeżeli znajdzie jeszcze siły na to, żeby w ogóle się ruszyć – to zadzwonić do Aubreya. Przynajmniej ostrzec go przed tym, co zaplanował dla niego Malan. Dać mu znać i wyjść z tego ratując swoją twarz. Przycisnął zegarek do oczu. Dziewięta dwadzieścia lub coś koło tego. Noc stawała się coraz ciemniejsza, powodując jego drzenie.

Była dziewięta czterdzieści, gdy zmusił swe ciało do marszu wzdłuż ściany w kierunku wyjścia z uliczki. Jeden z kotów sprawdzał jego buty, gdyż musiał wdepnąć w coś mięsistego i kuszącego. Światła powodowały, że drżał, przechodzący ludzie mieli głośne, oskarżycielskie głosy. Samochód patrolowy zmusił go do przyjęcia na dłuższą chwilę pozycji biegacza przygotowanego do startu. W końcu wyprostował się, opierając się o ścianę. Palce miał zupełnie wybrudzone kurzem z cegieł. Jeżeli będzie czekał, aż ulice się opróżnią, to Aubrey zginie na pewno...

Budka telefoniczna znajdowała się chyba jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na dobrze oświetlonej, zatłoczonej ulicy. Dziewięta czterdzieści pięć. Dostrzegł plecy policjanta w niebieskiej koszuli, strumyczek potu spływał przyciemniając mundur od szyi do pasa. Uzbrojony policjant z rękami na biodrach był nie dalej niż sześć lub osiem metrów za budką telefoniczną, która była pusta. Dotknął mokrymi palcami rączki nesesera, podniósł ją, wytarł czoło szybkim ruchem i wyszedł na ulicę w płynący tłum, pozwalając porwać się w kierunku budki telefonicznej i policjanta. Trzydzieści metrów, dwadzieścia, scena drżała mu przed oczami. Ścisnął torbę bez czucia. Minuta, nie więcej, wystarczająco dużo czasu, aby wykrzyknąć: Oni zamierzają cię zabić dziś w nocy, nie wychodź nigdzie z Malanem, a potem spróbować wydostać się z miasta, z kraju, znaleźć jakieś wyludnione przejście graniczne i przejść do Botswany lub nawet Nambii.

Jakiś czarny zdjął słuchawkę telefonu z widełek i zaczął wykręcać numer. Anderson zatrzymał się, a tłum potrzącał go, zanim się rozdzielił omijając go.

Policjant obserwował ulicę i chodnik, i Anderson przycisnął się do wystawy, patrząc niewidzącymi oczami na błyskotki i zegarki za ciężką kratą. Gdy obejrzał się na budkę telefoniczną, czarny gestykułował i klócił się z kimś przez telefon. Czas mijał tak samo powoli, jak ściekały po jego policzkach krople zimnego potu. Czarny mężczyzna wciąż wrzeszczał do słuchawki. Przejechał samochód patrolowy, zwolnił i podjechał do chodnika i policjanta. Światła pozostały włączone, jakby poszukiwały Andersona. Czarny wyszedł z budki telefonicznej, wyrzucając niedopałek papierosa, zanim odszedł wściekły. Policjant nachylił się do radiowozu, potem wyprostował się kiwając głową i uśmiechając się. Zapach smażonej cebuli. Policjant podszedł do sprzedawcy i wrócił do samochodu z dwoma bułkami wokół tłustych, połyskujących kielbasek oraz z jedną plastikową filiżanką. Podał jedzenie i filiżankę do samochodu, który włączył się w ruch. Anderson wszedł do budki i wykręcił numer hotelu Carlton. Policjant wrócił do sprzedawcy i znów ustawił się na początku kolejki.

– Sir Kenneth Aubrey! – krzyknął. – Szybko! – Było mu gorąco z powodu napięcia. Palily go policzki i czoło. Spojrzał na policjanta, którego usta były zakneblowane czymś w rodzaju hamburgera. Odór smażonej cebuli powodował mdłości. Uderzył pięścią w książkę telefoniczną na łańcuchu. Szybciej...

– Tak? – usłyszał. W głosie Aubreya wyczuwalne było napięcie.

– Kenneth, tu Richard.

– Richard, proszę, posłuchaj mnie. Widziałem wiadomości, ty nie możesz...

– Co – robić niczego, co mogłoby popsuć twoje plany, Kenneth? – jego złość powstrzymywała go. – Chryste, czy zdajesz sobie sprawę, że Malan zamierza cię zabić? – słyszał swój własny oddech i czuł zapach cebuli oraz spalin. Zrobiło mu się niedobrze.

– Richard, musisz uważać. Jesteś w ogromnym...

– Chryste, nie mów mi, Kenneth! – podjechał samochód, małe BMW i kierowca wyszedł na zewnątrz prawie ocierając się o szybę budki. Podszedł do sprzedawcy, mijając żującego policjanta. – Jestem w niebezpieczeństwie teraz! W tej minucie. Ale ty nie możesz iść z...

– Muszę, Richard. Nie wiem jeszcze, czego potrzebuję. Jednak dziękuję ci.

– Wyjeżdżam, Kenneth. Zanim oni mnie dostaną.

Kluczyki były w stacyjce BMW. Policjant przestał żuć i ktoś pytał go o drogę. Kierowca stał wciąż w kolejce, paląc przy okazji papierosa.

Odwiesił słuchawkę na widełki i podniósł nesesor. To był znak, dar. Zanim numer zostanie podany i zaczną go poszukiwać, on będzie już za rogatkami miasta w ciemności. Na drodze z tego kraju, tego przeklętego, pieprzonego kraju! Wrzucił nesesor na tylne siedzenie samochodu i spojrzął na kierowcę, który obserwował dwie młode kobiety. Policjant pokazywał, jak dotrzeć do jakiejś ulicy. Anderson uruchomił silnik i włączył się w ruch z piskiem opon. W lusterku widział właściciela samochodu, który dopiero powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się stało. Pojechał na północ wąską ulicą, która doprowadzi go do najbliższej autostrady.

Wyjeżdżał.

Aubrey powoli odłożył rozłączony telefon, potem wyprostował się w fotelu i westchnął. Zadrżał, jakby zimny wiatr krążył po ciepłym pokoju jego hotelowego mieszkania – pokoju, który wydawał się zmniejszać, jak gdyby nagle znalazł się na zewnątrz, patrząc na zdjęcie znajdujących się w nim mebli, dywanów i zasłon. Westchnął ponownie i zacisnął palce w pięść. Czuł ostry niepokój o Andersona... i prawdopodobnie żał, że sprawy nie mogły być załatwione w taki sposób, jak sobie tego życzył Anderson, szybkim atakiem, egzekucją. Wiedział, że to byłoby niedobre i oczywiście krótkowzroczne. On, Aubrey, musiał dowiedzieć się więcej, odkryć więcej, zanim Malan podłoży ogień pod wszystko, co zbudował. To było najważniejsze zadanie. Malan mógł mu zaferować prawdziwych ludzi, prawdziwe spiski za cenę jego milczenia.

Wydał policzki i wypuścił powietrze, potem wstał i nalał sobie małą whisky, wracając z nią na jedną z szerokich sof. Dziesiąta. Malan dzwonił godzinę temu, umawiając się, że zabierze go o północy. Był ostrożny i nieszczerzy, ale zlokalizował miejsce przeznaczenia ładunku Blantyre'a z gazem bojowym. Sam Malan oddałby tych ludzi pod miecz, lecz było oczywiste, że to Aubrey grał swoją rolę niewinnego poszukiwacza prawdy i ofiary. Wypił trochę whisky ze szklanki i palce zadrżały mu, objijając szkło o protezę. Poprawił ją, co było widać w lustrze po drugiej stronie pokoju. Pokręcił głową do siebie samego

sobie. Dlaczego nie wyjść? Nie mógłby. Pomyślał o pani premier, której tak długo służył, chodząc w blasku jej poświęcenia; jej głębokim i szczerym gniewie wobec zaistniałych okoliczności. Człowiek, który zajął jej miejsce, nie był nawet w połowie taki jak ona, co stwierdzały ostatnio gazety. I on mógł to potwierdzić mimo ciągłego braku zaufania do niego. Jego gniew był podobny, gniew kogoś całkowicie uczciwego. Musiał się upewnić, że to zostało zatrzymane. Spojrzał w kierunku szuflady, gdzie leżał pistolet. Nie wiedział jak obsługiwać taką nowoczesną broń. Malan był odpowiedzialny za tak wiele morderstw – Kathryn, jego bratanicy w Kalifornii tyle miesięcy temu, Michaela Daviesa, którego firma była wykorzystywana do szmuglowania wysoko rozwiniętej technologii, oraz Terry Chambersa, który został zadżgany w cichej uliczce Midlands.

Potarł spocone czoło i spojrzał do szklanki z whisky. Takie wspomnienia zdawały się ranić i wykańczać w jego wieku – to była część problemu. Kiedy Paulus Malan przyjedzie po niego, wsiądzie do jego samochodu i zostanie zabrany gdziekolwiek, jak poszukiwacz wiedzy lub owca idąca na rzeź.

Tak więc powziął decyzję, skinął głową sam do siebie i wstał, żeby dolać sobie whisky. Wiedział, że Babbington podjął działania, które musiały zakończyć się śmiercią jednego z nich lub obydwu. Tutaj albo w Londynie, albo w posiadłości w Oxfordshire, nawet na jakiejś ulicy czy gdzieś w polu Babbington musiał go zabić. Przełknął whisky spokojnie i z namaszczeniem. To może być równie dobrze tutaj, w Johannesburgu tej nocy.

Dotknął szuflady, wysunął ją odkrywając broń. Bądź przeklęty, Andrew Babbington i ty Paulusie Malan.

Skończył whisky. Jakie były możliwości wchłonięcia alkoholu przez system krwionośny u kogoś, kto miał nadzieję zabić człowieka z bliskiej odległości? Potrząsnął głową. Lepiej nie ryzykować kolejnego drinka.

Gdyby to były czasy dzieciństwa, to naśladowaliby głosy kojotów lub wycie potępionych dusz i byłiby Apaczami czy Komańczami, poruszającymi się wśród skał i karłowatej roślinności. Byliby jego przyjaciółmi z sąsiedniego zakurzonego domu przy ulicy na przedmieściu, gdzie spędził lata, zanim zmarła

jego matka. Hyde wzruszył ramionami. To nie była jakaś tam stara gra, to była *ta sama* stara gra, polowanie, którą rozgrywał przez większość swego dorosłego życia.

Policzył, że było ich sześciu. Oczywiście nie mógł być tego pewien, gdyż rozproszyli się, szukając go. Ale czterech było zabitych lub rannych: typ, którego zabił obok samochodu patrolowego, dwóch na zwałonych skałach i przynajmniej jeden ranny, kiedy na kabinę prowadzącej ciężarówki spadła skała. W sumie zostało ich ośmiu, dwóch z nich pilnowało zablokowanych pojazdów. Sześciu szukało jego. Wcześniej został zmuszony ich strzałami i próbą okrążenia do wycofania się ze szczytu skały na górzysty teren na południowy zachód od rzeki.

Ale upływ czasu wyrównywał szanse, bo nawet dwóch to byłaby już armia, jeżeli trzymaliby się poza polem widzenia i byli pewni, że ich wróg jest sam. Oni także zdawali sobie sprawę, że będą bezpieczni, jeżeli pozostaną w ukryciu. Byli bezpieczniejsi po zapadnięciu zmroku. Istnieli dla Hyde'a jako sporadyczne okrzyki, gdy stopniowo wycofywał się z kanionu wzdłuż suchych wąwozów, wspinając się po stromych wzniesieniach, przez płaskowyż, prowadząc ich za sobą. Teraz była już jedenasta, a księżyc wyglądał, jak ucięty paznokieć, wisząc nisko nad cichym krajobrazem.

Nasłuchiwał uważnie, nie zwracając uwagi na krzyki nieszkodliwych, polujących nocą stworzeń, poruszających się między wzgórzami. Ktoś – człowiek, sądząc po niezręczności i powolności jego ruchów – wspinał się w górę wąwozu, którym dostał się tu na występ. Słyszał oddechy i ocieranie się metalu o skały. Wychylił się i spojrział przez krawędź występu, ale nie widział żadnego błysku broni w słabym świetle księżyca. Mężczyzna był najwyżej trzydzieści stóp od niego i zbliżał się. Jego samochód był wciąż ukryty w wąwozie, ponad półtora kilometra od drogi. Prowadził ich z dala od niego, krążąc wokół. Miał ze sobą jedzenie, wodę i apteczkę. To nie wystarczyłoby na długo, ale musiał ich zatrzymać jakiś czas w miejscu, zdenerwowanych i przestraszonych. Gdyby tylko udało im się go zabić, wróciliby do pilnowanych pojazdów i wezwali pomoc, aby wydostać gaz bojowy.

Dotknął kolby strzelby G3 przy boku, znowu słysząc skrobanie metalu o skałę. Potem usłyszał przekleństwo. Wspinający się nie wiedział, że on tu jest.

Hyde uśmiechnął się. Już niedługo się dowiesz, koleżko, już niedługo.

Wiedział, że musieli go się pozbyć tej nocy. Blantyre nie mógł ryzykować, żeby czekać do rana, kiedy może być większy ruch na drodze. Ktoś zamelduje o obsunięciu się ziemi i przybędzie wielu ludzi zainteresowanych pojazdami i ich ładunkiem.

Okulary wisiały bezużytecznie na szyi. Od czasu do czasu widział zarysy ich postaci mniej widmowe niż zebry i od czasu do czasu małpy na niższych zboczach kanionu. Ale nigdy nie miał ich przed oczami na tyle długo, by *zala-dować – wycelować – strzelić*. Blantyre'a nie widział ani razu. Słyszał jedynie w ciemności jego krzyki, które go denerwowały.

Hyde nasłuchiwał. Ostrożne kroki, ślizganie się suchych palców poszukujących oparcia, strzykanie w stawach, gdy mężczyzna podciągał się wyżej. Wyciągnął nóż z pochwy przyczepionej pod ramieniem. Jego ostrze było poczer-niałe. Podniósł się teraz na wyprostowanych nogach, łapiąc równowagę. Sły-szał każdy oddech, gdy mężczyzna pojawił się na górze nieświadom jego obecności.

– Nie wyglupiaj się, Hyde! – wrzeszczał Blantyre przez megafon. – Nie załatwisz nas wszystkich. Nie masz szans, człowieku!

Nieruchoma ciemność drżała od jego głosu, gdzieś po lewej stronie, jakies sto pięćdziesiąt metrów od niego. Wychylił się ze swej półki, ale nie mógł wciąż nic dostrzec i nic nie słyszał, aż znowu wybuchł wrzask Blantyre'a, łamiąc się, gdy echo odbijało jego głos:

– Ty szalony sukinsynu, nie możesz tego zatrzymać, Hyde! Nigdy nie by-łeś wystarczająco dobry!

Ręce Hyde'a zacisnęły się nerwowo na nożu. Gdzie był ten palant, co się wspinał na górę? Nic nie słyszał. Czyżby się zatrzymał?

– Przed północą, Hyde, przed północą, będziesz leżał gdzieś tutaj! Poszu-kamy ciała rano!

Hyde otworzył usta, jakby miał odkrzyknąć. Gdzie był ten...? Jakaś ręka złapała go za gardło, odciągając mu głowę do tyłu. Wielka dłoń zablokowała jego prawy nadgarstek, kiedy podniósł nóż. Ramię zacisnęło się wokół jego tchawicy i w oczach pokazały mu się gwiazdy. Nie mógł oddychać.

– Szybko, Dirk, tutaj, człowieku! – zawarczał jego napastnik jak wielkie zwierzę.

Ten, co się wspinał, wdrapywał się teraz przez ostatnie kilka metrów suchego wzniesienia jak przestraszona koza. Na małym skalnym wzniesieniu było cicho, jak gdyby pozostali nasłuchiwali w ciemności odgłosów zabijania. Hyde został popchnięty do tyłu na pośladki, kiedy mężczyzna naparł na niego całym ciałem i wzmoenił uścisk. Ręka trzymająca nóż słabła. Jego lewa ręka chwyciła za koszulę, skórę i klatkę piersiową mężczyzny – nie robiąc mu krzywdy. Przed oczami migwały mu jasne plamy, a za nimi dostrzegł mężczyznę wychodzącego na górę, jak gdyby miał skoczyć na niego całym ciężarem.

Po próbie wyrwania się, Hyde nagle się uspokoił. Jego ciało opadło zaskakując na chwilę wspinającego się mężczyznę, który się zatrzymał. Uchwyt na jego nadgarstku nie zmniejszył się ani na chwilę. Pozwolił, aby jego ręka opadła. Na ciemnej twarzy pojawiły się białe zęby. Wyczuł skałę pod lewą ręką, gdy uścisk na jego gardle zaczął słabnąć, ale za chwilę znów się wzmoenił.

Spróbował nie walczyć. Ten drugi wyciągał powoli nóż, zachwycony siłą swego towarzysza, łatwością, z jaką Hyde został przyduszony. Kamień z ostrymi brzegami był w jego dłoni, ale bolało go gardło i zaczynał tracić przytomność. Duszący go mężczyzna ciężko oddychał tuż przy jego policzku i skroni. Miał *tu* głowę...? Tracąc przytomność wydawało mu się, że człowiek, który się wspinał, odpływał od niego, jakby miał spaść tyłem ze skarpy. Ramię wokół jego gardła było drętwe, tak samo jak jego prawa ręka ściskająca nóż. Sądził, że wciąż trzyma nóż, ale nie mógł być pewien... kamień wciąż miał w lewej dłoni... gdzie jest *głowa*? Krzyczał bezgłośnie do siebie. Nie czuł już nóg ani nie widział gwiazd, jeśli w ogóle były gdzieś w tej samej ciemności co i on.

Poruszył powoli lewą ręką, jakby jego mięśnie budziły się ze snu, i uderzył kamieniem w łokieć mężczyzny, którego krzyk bólu był głośniejszą, elektroniczną wersją ludzkiego krzyku. Odrętwienie wokół jego gardła, które zdawało się promieniować na policzki i skronie, zmniejszyło się. Ten, który się wspinał, cofnął się o krok zaskoczony. Ręka Hyde'a odzyskała kontrolę i walnęła nią ponownie, uderzając w miejsce, gdzie była głowa jego napastnika oddychającego i śliniącego się przy jego skroni. Odgłos uderzenia był stłumiony, a potem mężczyzna przewrócił się i Hyde upadł na niego, przyciskając sobą jego nogi. Prawą rękę wciąż miał drętwą. Drugi mężczyzna zbliżył się do niego głośno

przeklinając. Wpadł na nóż Hyde'a. Krew trysnęła mu z brzucha na twarz Hyde'a, który wypuścił nóż, gdyż jego wciąż zdrętwiała ręka nie mogła utrzymać ciężaru mężczyzny. Jego twarz zniknęła Hyde'owi z oczu, kiedy przetoczył się na bok uwalniając go. Podniósł lewą rękę i uderzył dwa razy kamieniem ledwie widoczną twarz.

Nie był świadom tego, że upuścił kamień, podniósł nóż i wytarł go o koszulę martwego mężczyzny. Opadł na jeden bok, jakby był ranny.

Usłyszał Blantyre'a, żądającego wyjaśnień, którego głos dochodził do niego z odległości jakichś stu kroków. Pomasażował swoją szyję i próbował płytko oddychać, aby nie czuć bólu jak przy połykaniu ostrych kryształów lodu. Mężczyzna, który tu się wspinał, nie żył, ciałem drugiego wstrząsał śmiertelny dreszcz. Blantyre wciąż wydawał rozkazy, ale teraz był już bardziej skoncentrowany i natarcywy. Padały odpowiedzi, jak gdyby byli ożywioną i wyczuwającą krew sforą dzikich psów. Podniósł się, by się rozejrzeć. Latarki połykiwały dookoła niego i pod nim, kiedy zaczęły się skupiać.

Gdzieś z ciemności usłyszał radio, które go przeraziło, dopóki nie zdał sobie sprawy, że to musi być jedno z ich kieszonkowych odbiorników, niedaleko od niego. *Jeżeli nie możecie znaleźć tego sukinsyna, to znajdźcie jego samochód* – powtarzała się wiadomość.

Hyde schował nóż do pochwy, sprawdził pistolet oraz G3 i wstał szybko, opierając się o skałę. Latarki podskakiwały niecierpliwie, słyszał jak się wspinali, schodzili i biegali. Podszedł w kierunku brzegu półki i spojrzał na suchy wąwóz. Pusto. Ułożył wygodniej swój pakunek, potrząsnął głową, żeby wyraźniej widzieć, i zaczął schodzić do wąwozu.

Szedł ostrożnie wzdłuż starego, wyschniętego koryta rzeki, unikając kontaktu z postrzępionymi, sztywnymi krzakami i karłowatymi drzewami porastającymi piaszczystą powierzchnię. Ślady jego stóp były poprzerywane skałami i kamykami. Ludzie Blantyre'a byli teraz daleko za nim, na tyle, na ile mógł to określić, powstrzymani widokiem śmierci kolejnego z ich członków i unieszkodliwienia drugiego. Księżyc podniósł się wyżej na niebie, jakby chciał wszystko zobaczyć. Temperatura spadła, ale jemu było gorąco z powodu

wysiłku i konieczności ukrywania się. Było tuż po północy i wciąż żył. Blantyre przestał używać megafonu. Hyde potrzebował więcej jedzenia, wody i amunicji. Miał zamiar przeżyć.

Coś, prawdopodobnie skorpion, zaszeleściło jak powiew śmierci na małej skale tuż przy stopie. Zniknął w ciemności i Hyde ruszył dalej pochylając się pod sztywnymi, czepiającymi się ramion pustynnymi krzakami, które wyrastały w suchym wąwozie. Był około dwóch kilometrów od kanionu. Trzymał ich w szachu. Blantyre'a i pięciu innych. Musiał ich tu zatrzymać, dopóki Aubrey nie rozpocznie polowania na Blantyre'a.

Mógł teraz zobaczyć land rover pod drzewem w wąskim wąwozie. Opadł na skałę obserwując i nasłuchując. Aubrey musiał zdobyć władzę nad Malanem, a potem zorganizować pomoc. Nie pozwolił sobie na pogardliwe prychnięcie. Słuchał odgłosów nocy – zaniepokojonych lub śpiących zwierząt, nieoczekiwanego trasku skał, bzyczenia wielkich owadów – i uznał je za niewinne. Skulił się w nie oświetlonej księżycem ciemności, trzymając strzelbę pomiędzy kolanami, bagaż na barkach, a pistolet przy pasie. Land rover był bezpieczny, mógł poczekać jeszcze minutę lub dwie. Potem pochylony ruszył w kierunku samochodu. Jego ręka dotknęła metalu i pochylił się nad samochodem, natychmiast zabierając wodę, czekoladę, magazynek z amunicją.

Jego ręce poruszały się sprawnie jak u ślepego pianisty. Otwierał paczki, przegródki, rozsuwał suwaki, co w nocy sprawiało wrażenie, jakby coś się rozrywało, za każdym razem przerażając go. Jego ręce wpychały zapasy do torby jak łapy zachłannej wiewiórki...

Przednia szyba pękła centymetr od jego ręki, która gwałtownie się cofnęła, a on sam ukrył się obok pojazdu. Kolejny przyciszony strzał otarł się o maskę, powodując, że podskoczył z napięcia.

Słyszał głos wzywający pozostałych przez krótkofalówkę. Szybko włożył plecak na ramiona, ciężko oddychając. Oparł się ciałem o land rover. Padł kolejny strzał z głuchym odgłosem, ginąc gdzieś w tapicerce. Potem nastąpiła cisza. Hyde skoczył na równe nogi i zaczął biec wzdłuż wąwozu. Został pchnięty w plecy przez wir powietrza, a potem poderwany i pchnięty do przodu pierwszą falą detonacji. Przycisnął ręce do uszu, ziemia rozświetliła się wokół jego upadającego ciała. Usłyszał eksplozję granatu, a potem drugi, natychmiastowy wybuch kanistra benzyny. Skały zabarwiły się czerwienią, a ziemia zadrżała.

Potem wygramolił się ze światła, widząc swój przygarbiony cień. Kule gwizdały, wyraźnie słychać było strzelbę, z której zdjęto tłumik, żeby nie ograniczał prędkości.

Hyde opadł zmęczony za skałę, słysząc pierwsze przytłumione głosy zadowolenia, stopniowo przechodzące w okrzyki wyrażające rozczarowanie i we wzajemne oskarżanie się. Potem słyszał jedynie pulsowanie własnej krwi. Przewrócił się na brzuch, podniósł się i ukucnął. Mogli mieć noktowizor. Był ukryty za wystającą skałą, wokół której dawno temu musiał przepływać strumień. Oddalić się od tego miejsca, idąc dalej wąwozem, za plecami mając miejsce gdzie wjechał land roverem, który się dopalał. Zrobiło się chłodniej i ciemniej. Posuwał się dalej jak jakaś małpa człekokształtna, prawie na czworaka.

W końcu wyprostował się, czując ból w plecach, ciężka torba zawieszona na szyi opadła mu na uda. Wspiął się szybko z wąwozu na brzeg wzniesienia, które wydawało się dogodnym punktem obserwacji na wznoszące się, rozległe wzgórza. Kanion był z tej strony. Kilkaset metrów od niego rozbłysło światło, ale zgasło na ostry rozkaz. Nie widział żadnych postaci w świetle gwiazd czy posępnego księżycy. Przesunął się na brzeg wzgórza. Ostrożnie, jak gdyby wchodził do zbyt gorącej kąpieli, zaczął się opuszczać w dół. Poszukując pewnego oparcia dla stóp, powoli ześlizgiwał się z wzniesienia w kierunku głębokiej ciemności.

Dotknął stopami ziemi. Staął i znalazł się w parowie, który opadał w stronę kanionu. Jeżeli pójdzie nim w dół, może odnajdzie wąską ścieżkę prowadzącą z powrotem na drogę. Dno Fish River Canyon będzie teraz bezpieczniejsze, wypełnione zaroślami, zbiornikami wodnymi, roślinnością, jaskiniami. Tutaj czuł się wystawiony na widok. Sprawdził swoje wyposażenie. Torba, strzelba, pistolet – poprawił go za pasem – nóż. Okulary...

Nie. Zgubił je gdzieś – może gdzieś na górze? Rozejrzył się dookoła. Nie, nie miał ich, gdy land rover eksplodował, po prostu zapomniał o nich. Do diabła, pieprzyć to. Poprawił torbę ruszając natychmiast w dół. Gdy zaczął iść, usłyszał w oddali głosy.

Wydawało się, że krzyczeli, wydając jakieś rozkazy. Potknął się z pośpiechu, przewrócił się obcierając ręce i nagie kolana, a potem bok na skałach,

uderzając o głązy i ostre małe kamienie, próbując uchwycić się jakiejś skały.

Zatrzymał się bez tchu prawie do góry nogami, chwytając się jakiejś skały. Obok niego obsuwały się kamienie, podnosząc kurz. Gwiazdy podskakiwały nad nim, a księżyc kołysał się jak pijany. Głośno oddychał...

... ponad hałasem opadających kamieni. Karabin trzymał w prawej dłoni. Lewą ręką trzymał się brzegu skały. Podniósł kolbę karabinu...

...polujący skorpion był za szybki. Hyde mu przeszkodził i zdenerwował go. Dostrzegł jego podwójny kolec wystający z czarnego odwłoka, i kleszcze przygotowujące się do uderzenia. Gdy Hyde się poruszył, skorpion zaatakował go wpuszczając mu jad w lewą rękę. Zmiażdżył go uderzeniem karabinu, raniąc sobie kostki dłoni na skale. Natychmiast poczuł piekący ból w lewej ręce.

Aubrey spojrział ukradkiem na zegarek. Opadające, podobne do żurawi światła autostrady prowadzącej w kierunku północnych przedmieść odbijały się od tarczy zegarka. Trzydzieści minut po północy. Opuścił niedbale rękę, która spoczęła na brzegu kremowego, skórzanego siedzenia długiej limuzyny marki Mercedes. Napięcie Malana było widoczne, mimo że patrzył w okno, starając się sprawiać wrażenie beztróskiego. Aubrey widział przed sobą wygolony kark kierowcy. Obydwaj, kierowca i Malan, wydawali się tak niefrasobliwi, jak gdyby przewozili zwierzęta przez kanał La Manche do jakiegoś europejskiego odbiorcy.

Aubrey uspokoił delikatne nerwowe drżenie palców, opierając je na skórzanym siedzeniu. Och, tak. Malan z pewnością podsuwał mu jakichś prawicowych ekstremistów, którzy byli powiązani z van Vuurenem, Blantyrem i dostawą gazów bojowych. Nieznani byli niebezpieczni i mogli spowodować jego nieporozumienie z rządem de Villiersa. Teraz mógł ich wystawić z pobudek patriotycznych albo wykorzystać z pożytkiem dla siebie. Z pewnością nie było jego intencją, aby Aubrey ich zdemaskował.

Ciemne plamy nie oświetlonych parków i pól golfowych przemykały obok, otoczone rzędami latarni, które sygnalizowały obecność czystych, uporządkowanych przedmieść. Dalej, za światłami autostrady, ciemność była nieprzenikniona. Czuł się w tych warunkach raczej spokojny, zaskakując tym siebie.

Przedmieścia prześlizgnęły się bokiem jak teatralna kurtyna i ciemność stała się głębsza, kiedy światła dawały o sobie znać z mniejszym powodzeniem. Chwilę potem mercedes skręcił z wygodnej szosy i zjechał na boczną drogę, a potem nagle w szeroką, słabo oświetloną aleję obstawioną małymi fabryczkami i szarymi domami. Minęli kilka jadących samochodów, kilka zaparkowanych, przypadkowego przechodnia, jakieś psy. Powstrzymał drżenie ramion, aby ukryć swoje przeczucie.

– Ci ludzie... – zaczął chrząkając. Malan odwrócił się do niego z błyszczącymi oczyma. – Ci ludzie, Malan, czy oni mi uwierzą?

Malan uśmiechnął się i skinął głową.

– Niepotrzebnie się pan martwi. Oni nie są zbyt sprytni. Będą myśleli, że jest pan z pieniędzmi. Wygląda pan jak wysuszony księgowy – wyszczerzył zęby w uśmiechu i Aubrey próbował odpowiedzieć mu tym samym.

– A potem? Możemy być ich pewni?

– Odjedziemy cichutko i może pan porozmawiać, z kimkolwiek pan zechce – ulice wokół nich stały się uboższe i ciemniejsze, ludzie przemieszczali się pomiędzy cieniami latarni ulicznych. – Podałem panu dwa nazwiska. Oni posłuchają i szybko zrozumieją. Nie będzie pan miał żadnych problemów – westchnął. – Zadowolony? – spytał, a potem jakby przypomniał sobie swoją rolę, dla której stracił zainteresowanie. – To likwiduje nasz dług, nasze konto? – dodał.

Aubrey skinął głową.

– Zgoda. To wszystko, co mogę lub chcę zrobić. Reszta jest już poza moimi możliwościami – jego ręka opadła jak u inwalidy przemawiającego z łóżka. – Pozostawię pana samemu sobie, jeśli da mi pan tych ludzi.

– Pana człowiek może nie wykończyć Robina Blantyre'a – zauważył Malan. – Prawdopodobnie tak będzie, prawdę mówiąc. Robin to twardy człowiek.

– Co? – zapytał Aubrey obojętnie.

Malan uśmiechnął się szeroko i wydawało się, że się odprężył.

– Och, wiem, gdzie jest Blantyre. Tam, gdzie posłał pan swego dzikiego psa Hyde'a. W przeciwnym razie byłby tutaj, pilnowałby pana. Po Wenecji. Słyszałem, że zabił tę dziewczynę, Walentynę?

– To prawda – Aubrey podrapał się w podbródek. – Tak – wymamrotał. – Powstrzymam Blantyre'a. Z pana pomocą dziś w nocy, oczywiście – uśmiechnął się. – Mimo że ma pan życzenie, aby pański udział został anonimowy, jak wszystkie najlepsze dobroczynne dary.

Malan odwrócił się. Aubrey także znowu zaczął wyglądać przez przyciemnione okno, przez które światła wydawały się jeszcze słabsze i odleglejsze. Mógł jedynie zobaczyć gwiazdy nad głową.

Nie potrzebował już więcej się zastanawiać. Wszedł już w to i usłyszał przekręcanie klucza w zamku za plecami. Nie mógł się wycofać. Musiał się po prostu opanować, trzymać nerwy na wodzy. Nie wiedział, jak mógłby uciec; ale miał pistolet, o którym, jak sądził, Malan nie wiedział. Samochód minął budkę telefoniczną. Nie zadzwonił do ambasady czy kogokolwiek z niewielu ludzi, których ledwie znał w wywiadzie Południowej Afryki. Jakikolwiek kontakt mógłby spowodować jedynie szkody i komplikacje. Jeżeli to będzie konieczne, odjedzie jako towarzysz Malana tak jak przyjechał, z wymierzonym pistoletem.

Malan oczywiście miał rację. Może się okazać, że rzeczywiście Patrick nie przeżyje, kiedy będzie próbował zatrzymać dostawę gazu bojowego do Johannesburga. Malan zapewnił go, że dostawa jeszcze nie dojechała. W to przynajmniej wierzył. Malan byłby zrujnowany, gdyby się rozeszły wieści o szmuglowaniu i dostarczaniu tego przez pracowników MLC.

Mercedes przejechał ciemną ulicą z niskimi domami, pustymi parcelami i fabryczkami, przez bramę z falistej blachy na...

Zaskoczony dostrzegł w ciemności podkreślonej przez blask z Aleksandry, że światła samochodu odbijają się od zwałów metalu. Zderzaki, maski, piasty, bagażniki. Samochody były ustawione jeden na drugim, jak gdyby symulowały orgię milionów żab czy krabów. Wzdrygnął się, a Malan roześmiał się głośno, widząc jego niezadowolenie. Potem ktoś otworzył drzwi limuzyny. Aubrey wysiadł. Noc była zimna, bezwietrzna, gwiazdy połyskiwały nad górami żużlu i świątyniami zniszczonych samochodów. Zadrzał. Zbyt łatwo można było sobie wyobrazić, jak wiele istnień ludzkich zakończyło się lub zostało zniszczonych wewnątrz tych pogniecionych metalowych pudełek.

– Tędy – powiedział Malan prowadząc go za łokieć.

Zobaczył przed sobą coś, co po przyzwyczajeniu się wzroku, okazało się niską przyczepą.

– Tak – wymamrotał. – Bardzo dobrze.

Kierowca został obok samochodu, czapkę przesunął na tył głowy. Złomowisko było ciche. Żuraw unosił się ponad miastem wraków jak długoszyi sęp. Aubrey chrząknął i jego ręka mimowolnie zacisnęła się na pistolecie w kieszeni płaszcza.

Ilu ich tam będzie? Zbyt wielu, podejrzewał, jak na jednego starego człowieka.

Rozdział szesnasty

PRZYKRYCIE NOCY

Anderson podniósł się zeszytniały z niewygodnej pozycji kucznej, łapiąc się palcami za parapet okna przechylonej przyczepy i zajrzał do ciemnego wnętrza. Na wąskim, brudnym stole stały kubki, leżały potłuszczone poduszki, i porzucone ubrania. Z metalowego zlewu wystawały brudne naczynia.

Dlaczego, na Boga, tutaj wrócił? Nie było żadnego znaku z nieba, żadnego palca nakazującego mu, że nie może zostawić Kennetha Aubreya jego losowi, jedynie twarz starego mężczyzny i jego postanowienie, nie dające spokoju. Tak więc musiał w końcu zawrócić przejechawszy już kawał drogi na północ, wbrew rozsądkowi czy chęci.

Przed przednią szybą samochodu widział nie tylko twarz Aubreya, ale i Margarethe, jak gdyby chciała włamać się do środka. Zatrzymał nagle BMW i siedział przez długi czas na poboczu z twarzą ukrytą w dłoniach, drżąc i opierając się temu, co jak sam wiedział, musiało być zrobione... aż wreszcie zawrócił, kierując się do Johannesburga.

Lustrował wnętrze przyczepy, aż zauważył, że spoza sfatygowanego fotela przysuniętego do stołu wystawała stopa. Potem dostrzegł drugą stopę i całą nogę, wyciągniętą w stronę kuchennego zlewu. Reszta ciała była zasłonięta. Nie było nikogo innego. Ci, co tu byli, aby spotkać się z ludźmi Malana zostali prawdopodobnie wepchnięci do wraków, przygotowani do wrzucenia do zgniataarki. Nagle w przyczepie zapaliło się silniejsze światło.

Schylił głowę, a jego oddech stał się głośny i chrapliwy.

Ludzie Malana czekali na Aubreya – jeden z nich był teraz w środku. Już zabili i byli ostrzeżeni, aby uważać na niego lub kogokolwiek.

Na drodze przed złomowiskiem zabłysły światła samochodu, a potem oświetliły drogę w jego kierunku. Aubrey przywieziony na rzeź przez Malana.

Słyszał jak silnik ucichł w pewnej odległości stąd, skulił się najbardziej jak mógł, plecy oparł o odpadającą farbę przyczepy, ręce trzymał zaciśnięte wokół kolan ze strzelbą przy piersi. Słyszał jedynie ciszę...

...w którą wpadały uderzenia zamykanych drzwi samochodu, odgłos krótkich rozmów, a potem kroki. Wyciągnął z wiatrówki noktowizor i podczołgał się cicho w kierunku rogu przyczepy. Podniósł go do oczu i wyregulował ostrość. W polu widzenia pojawiły się dwie postacie, jedna wysoka i masywna, a druga bardziej niepewna w ruchach, pomagająca sobie w chodzeniu laską. Szli obok siebie aleją między wrakami samochodów. Widać było parę lecaącą z ust Aubreya. Przesunął okular noktowizora szybko nad katedrą zniszczonych wozów, aż...

Tam. Jeden z nich, ubrany na czarno, twarz usmarowana pastą do butów, jego pomalowana ręka trzymała kolbę strzelby jak gdyby miał jej użyć jako pałki. Anderson poczuł, jak przez ciało przechodzą mu dreszcze niczym stara, znajoma muzyka. Zimny, miejski krajobraz napierał na niego jak dobrze znane miejsce, jego teren polowań. *Tam.* Drugi mężczyzna z obstawy, przesunął się cicho i, zdecydowanie w stronę przyczepy. Żaden z nich nie był gotowy do strzału. Najwyraźniej Aubrey miał się spotkać z mężczyzną, który zapalił światło w przyczepie... zanim zostanie zamordowany. Chciał się upewnić w swych podejrzeniach, ale pozostał na miejscu obserwując wolne zbliżanie się Aubreya i Malana. Słyszał trzeszczenie układającego się żelastwa, ich kroki, syczenie gazu z butli w przyczepie. Ostrożnie wsunął nabój do komory snajperskiego karabinu, podnosząc lufę do góry i opierając kolbę o ramię. Ustawił wizjer i skierował go na pierwszego uzbrojonego mężczyznę, którego głowa wychylała się pomiędzy zgniecioną chłodnicą japońskiego samochodu a otwartym bagażnikiem rdzewiejącego citroena. Para spowodowana zdenerwowaniem zniknęła z soczewek i odzyskał zdolność widzenia. Potem przeniósł spojrzenie na Aubreya, ustawiając ostrość na jego twarzy, wyrzeźbionej jak z kamienia. Malan stał obok niego, twarz miał pozbawioną wyrazu. Jego palec automatycznie zacisnął się na cynglu, teraz, teraz...

Zmusił się do zwolnienia nacisku na cyngiel. Jeszcze nie, dopóki nie będziesz pewien drogi ucieczki i może ucieczki Kennetha. Trzęsły mu się ręce. Aubrey i Malan rozmawiali ze sobą, gdy dotarli do przyczepy. Twarz Margarethe przeszkodziła mu przez chwilę, ale była daleka i bez życia, i nie zainteresowana tym miejscem ani nim w jego obecnej sytuacji. Później, później...

Nieoczekiwanie łyzy spłynęły mu do gardła. *Później*, wrzasnął na siebie wściekle w duchu.

Usłyszał poruszenie wewnątrz przyczepy spowodowane oczekiwaniem na przybycie Aubreya. Zachwiał się i zgięty w pół dotarł do okna, i zajrzał do środka. Natychmiast rozpoznał brodaty profil, tak samo jak błysk światła na pistolecie. Jezu, nie zamierzali się z nim bawić, chcieli po prostu teraz go zabić.

Pistolet skierował się do przodu wycelowując w drzwi przyczepy, czekając na ich otwarcie.

Gdy Malan trzymał go za łokieć, jak gdyby pomagał mu przejść przez ruchliwą ulicę, Aubrey wyczuł jego napięcie. Wypuszczał dymiącą parę jak niecierpliwy mały parowy silnik. Zwierzące napięcie Malana przenosiło się drżeniem na ramię starego człowieka.

– Co się dzieje? – wymamrotał Aubrey.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem. Proszę chwilę zaczekać.

Aubrey dostrzegł cień pojawiający się wewnątrz przyczepy, tuż przed pojawieniem się głównego światła. Cała przyczepa przechylała się jak łódź tonąca w ciemności. Powstrzymał drżenie. Noc była bezwietrzna, ale złomowisko trzeszczało dookoła niego jak przeklęte budynki w slumsach na wietrze. Słyszał nienaturalne odgłosy wydawane przez stare pojazdy jak gdyby szemrzące o swych indywidualnych zgonach.

– Co się dzieje, Malan? – powtórzył z pewnym zniecierpliwieniem.

– Po prostu uważam na pańskie zdrowie, sir Kenneth – w głosie mężczyzny była pewność siebie, wiara, że wszystko było gotowe, pułapka czekała na zamknięcie się. – Wejdziemy? Ktoś na nas czeka.

Aubrey zadrżał, gdy Malan zabrał swoją rękę. To musiał być jego najstarszy wróg. Babbington. Drogi Andrew, jego osobisty Alberich, trawiony chęcią zemsty. Jak dotąd nie zaspokojonej. Chwycił pewnie kolbę pistoletu w kieszeni płaszcza. Miał okazję zabić Andrew Babbingtona tak łatwo, jak Babbington mógł pozbyć się jego.

– Tak – wymamrotał.

Szuranie czegoś, co mogło być szczurem, opóźniło jego odpowiedź.

– Wejźmy do środka.

Aubrey wyprostował swe ramiona i wszedł na trzeszczące schody przyczepy. Musi kontynuować teraz tę szaradę, choć nie oczekiwał, że dowie się czegoś więcej. Usłyszał przeraźliwy brzęk tłuczonego szkła i cofnął się ze schodów. Z wnętrza usłyszał głos, który rozpoznał jako należący do Andersona:

– Kenneth, to jest pułapka! Uważaj na siebie! – a potem: – Babbington, stój gdzie jesteś, albo cię zabiję! – na koniec jeszcze głośniejsze: – Zabij staruszkę, a Malan zginie, słyszysz mnie? Babbington, stój tam, gdzie jesteś!

Nigdy nie umrzesz od jadu skorpiona, tak mówią wszelkie opisy. Och, Chryste, to boli!

Hyde ponownie włożył swoją rękę do wody sączącej się ze szczeliny w jaskini do wąskiego kanału, obok którego leżał rozciągnięty i zmęczony. Hałas wody powodował, że grotę wydawała się większa i głębsza, niż była. Niska temperatura w nocy nie miała wpływu na palący ból w jego sztywnym, opuchniętym ramieniu. Aspiryna, którą wziął, nie przyniosła także żadnego efektu. Nie miał żadnej odtrutki, ponieważ jakiś sukinsyn zapomniał ją zapakować! Nie umiera się od ukąszenia skorpiona, chyba że jesteś dzieckiem lub chorym na serce trzystuletnim dziadkiem... czujesz się tylko jak oni!

Książka mówi: spróbuj dać odpocząć zainfekowanej części ciała. Nałożył opaskę uciskową, by opóźnić rozchodzenie się trucizny i włożył rękę do zimnej wody. Nie było żadnych innych dostępnych środków. Nawet leżenie nic nie dawało. Włączył na chwilę słabe światelko latarki i natychmiast je wyłączył. Lepiej nie patrzeć na spuchniętą, prawie nieruchomą rękę. Czuł mdłości, był bliski gorączki. Leżał na plecach patrząc na niewidoczny dach groty. To, że skorpion pękł jak cienki lód pod uderzeniem kolby nie było żadnym pocieszeniem. Przeklęty skorpion.

Włączył ponownie latarkę, a potem powrócił do ciemności. Coś przeleciało jak podrzucony wiatrem liść – prawdopodobnie nietoperz.

Nie powinien starać się dotrzeć do drogi, nie powinien schodzić na dno Fish River Canyon, pomagając sobie jedną zdrową ręką, czując się źle i chcąc krzyżować z bólu i wysiłku. Jad rozszedł się po jego krwiobiegu przepompowywany z powodu wysiłku – ale jedynym wyjściem było czekanie na Blantyre'a i jego ludzi, bardziej jadowitych od skorpiona. Był – niezależnie od stanu w jakim się znajdował – nadal żywy. Powstrzymał jęk bólu, gdy próbował ruszyć ręką. Potem znowu się położył, pozwalając swej ręce leżeć w kapiącej wodzie, którą ledwie czuł. Woda była słonawa. Nie mógł się jej napić, ale przynajmniej ochłodził swą twarz i czoło. No i rękę, na kilka chwil. Nie mógł powstrzymać drżenia.

Oświetlił latarką zegarek. Prawie pierwsza w nocy. Wyłączył latarkę, a nie toperz zerwał się i poleciał na swoje miejsce nad jego głową. Wiedział, że musi się wkrótce ruszyć.

Czuł się, jakby ukąszenie skorpiona było wstrząsem elektrycznym, popychającym go w kierunku oszalałej aktywności. Zmagał się z labiryntem wąwozów i jarów; w końcu trafił na drogę i przeszedł około kilometra od osuwiska ziemi. Był przerażony patrząc na swoją jedyną drogę ucieczki wzdłuż ściany kanionu w kierunku niegdysiejszego koryta rzeki. Zabrało mu to wiele czasu. Jego spuchnięta ręka mogła jedynie trzymać linę i pozwalała prześlizgiwać się jej między sztywnymi, obrzmiałymi palcami do zdrowej ręki, na której opierał się cały ciężar, kiedy opuszczał się w dół po ścianie kanionu.

W końcu zmęczony dotarł do drobnych kamieni i lina zwiesiła się koło niego, jak wijący się pyton. Odpoczął przez kilka minut i poszedł przez kanion. Na wzgórzach dostrzegł niewyraźny blask ognia w pobliżu dwóch kontenerów.

Szedł wzdłuż kanionu, dopóki nie zorientował się, że musi odpocząć albo upadnie, więc znalazł zimną grotę pełną nietoperzy i kapiącej wody.

Zmusił się, żeby usiąść. Kręciło mu się w głowie, a przed oczami widział jakieś plamy światła, jak połyskujące świetliki. Podparł się prawą ręką, lewą opuszczając ponownie pod wodę. Wcale ci się nie polepszy, chłopie, więc przyzwyczaj się do tego. Blantyre oczywiście miał wspaniałe antidotum, chociaż nie do zaakceptowania. Podniósł się, czując ból, na kolana i usłyszał zaniepokojone nietoperze, które szeleściły, jakby ktoś otwierał stare parasole. Podpierając się karabinem G3 wstał i odwrócił się, czując zawrót głowy, w

stronę wejścia, do którego sączyło się słabe światło gwiazd. Coś przebiegło przez skalne podłoże, potem zwolniło przechodząc po piasku. Skorpiony, jak błyskawica, nie atakują dwa razy.

Zatrzymał się przy wejściu do jaskini. Torba na jego plecach była ciężka, a opaska wokół lewej ręki podrażniała spuchnięte ciało. Oparł strzelbę o biodro, jak karabin maszynowy, a pasek przewiesił przez prawe ramię. Dostrzegł światła odległe o kilkaset metrów opuszczające się wzdłuż innej ściany kanionu. Nikłe światła, niewyraźne i niepewne. Albo znaleźli jego ślady albo wciąż byli podejrzliwi. Cokolwiek to było, mieli rację.

W końcu dostrzegł sześć osobnych światel opadających wzdłuż skały. Nad nimi reflektory jednej z ciężarówek oświetlały brzeg kanionu srebrnym blaskiem. Hyde oparł się ciężko przy wyjściu z jaskini, skała naciskała na jego plecy i bok, ramię odstawało, jak włożone w gips. Strzelbę trzymał teraz w prawej ręce jak zakupy, a torba na plecach była cięższa niż zwykle.

Nie żeby nie mógł zareagować – w każdym razie nie fizycznie. Mógł to zrobić. Było wiele skał, o które mógł się oprzeć. Sierp księżycy odbijał się w kałuży wody pośrodku kanionu. Potrząsnął głową ostrożnie, ale nie mógł powstrzymać zawrotu głowy i mdłości. Miał teraz ciągle dreszcze. Ale nie tylko o to chodziło. Mógł powstrzymać drzenie wystarczająco długo, by zabić jednego czy dwóch. To się *zaczynało*. Wszyscy agenci w terenie uważali, że do wejścia w ostatnią fazę wszelkich akcji powinni być sprawni i dobrze się czuć, a nie zmęczeni czy spięci. Nie po ugryzieniu skorpiona czy zranieniu kulą. Księżyc oświetlał kałużę, do której o świcie przyjdą koty i ich ofiary – jak do pozostałych wodnych zbiorników pośrodku kanionu. Rano będzie także ruch na drodze. Dochodzenie, pomoc...

...ale nie dla ciebie. Będzie to jedynie szansa dla Blantyre'a. Pocił się obficie. Małe światła na przeciwległej skarpie tańczyły, pojawiając się i znikając z pola widzenia. Pierwszy mężczyzna dotarł do podłoża kanionu i jego latarka zgasła. Blantyre zejdzie chyba w dół drugi lub trzeci, w razie gdyby Hyde był wciąż w formie. Sześciu przeciwko jednemu. Spojrzał na swoją spuchniętą, zwisającą rękę. Bał się to zacząć. Finał. Kiedy już da znać strzałem swego karabinu, że jest wystarczająco sprawny, by zabijać czy ranić, nie spoczną,

dopóki go nie wykończą lub on ich, wszystkich. Poczul się niedobrze, mając przed sobą taką perspektywę i zwiesił głowę. Ziemia zaczęła mu się kręcić przed oczami. Potem pociągnął nosem, podniósł strzelbę przy boku i sprawdził noktowizor. Wylot lufy otarł się o skałę. Potem ruszył czując ból i pocąc się z wysiłku, pomagając sobie prawą ręką, podnosząc lewą do odpowiedniej pozycji, aby utrzymała broń. Obserwował swoją rękę zbliżającą się powoli do brzegu szczeliny jak skorupiak atakujący nieruchomą ofiarę. Musi wystarczająco mocno zacisnąć uchwyt. Założył noktowizor. Światło wskoczyło w oko wizjera połyskując szarością. Pośród jego bladego, martwego blasku znalazła się postać schodząca ze skały małymi skokami. Brwi miał mokre i mrugał gwałtownie oczami. Czuł piekący ból w lewej ręce, a palce były sztywne. Nacisnął cyngiel tak mocno, ponieważ czuł, że *musi* z jakichś powodów ruszyć ręką. Prawie natychmiast postać wśród szarego światła zadrzała na tle skały, a potem wyleciała jak we śnie w powietrze i opadła.

A więc zaczęło się. Słyszał alarm, rozkazy i gwałtowną krzataninę. Drżąc wyszedł z jaskini i ukrył się w cieniu.

Babbington odwrócił się w drzwiach wściekły i spojrział na rozbite okno, gdzie krzyczał Anderson. Jednak coś powstrzymało jego pierwszą gwałtowną reakcję, zmusiło go do wepchnięcia rąk do kieszeni i próby uspokojenia się i kalkulacji. Słyszał głos Aubreya, który podziałał na niego jak uderzenie biczem, i aż się skręcał na jego brzmienie.

– Richard? Richard! – zawołał Aubrey z wielką ulgą.

– Babbington! – usłyszał warknięcie Malana, a potem jakieś ciche przekleństwo. Musiał przedostać się na drugą stronę przyczepy i być pochwycony jak mucha?

– Kenneth, gdzieś tam jest dwóch snajperów! – krzyknął Anderson. – Bądź ostrożny!

Babbington spojrział na lufę strzelby, która była wsunięta przez rozbite okno. Poruszał palcami w kieszeni. Potem usłyszał:

– Ze mną wszystko w porządku, Richard. Ostrzeż ich, Malan, ostrzeż ich!

Babbington ruszył oszołomiony w stronę wylotu lufy i rozbitego okna, jego oddech zamieniał się w parę w nagle obniżonej temperaturze przyczepy. Anderson spojrział na niego wymachując groźnie strzelbą.

– Stój tam! – wrzasnął. – Właśnie tam, i odwróć się twarzą do drzwi.

Babbington wyglądał jak dziecko, rozzłoszczone doznaniem zawodem i poczuciem, że zostało wystrychnięte na dudka. Stracił na urodzie, kiedy jego twarz zaczęła wyrażać przebiegłość i frustrację. Potem niechętnie się odwrócił, pokazując plecy Andersonowi.

– Richard, co teraz? – zawołał Aubrey zmieszanym, niepewnym głosem.

Anderson skrzywił się.

– Ja pilnuję Babbingtona, Kenneth. Ty i Malan wejdźcie do środka. Ruszajcie do przodu, ale bądźcie ostrożni.

Anderson wyciągnął rękę wzdłuż zardzewiałego boku przyczepy i dotknął klamki u drzwi po swojej stronie. Czekał, aż otworzą się drzwi od strony Aubreya i zobaczył potężnego Malana wchodzącego do środka. Babbington niechętnie zszedł mu z drogi, poczekał, aż wszedł Aubrey, co spowodowało, że wewnątrz przyczepy stało się jeszcze ciaśniejsze, i zamknął za sobą drzwi. Wtedy otworzył drzwi po swojej stronie i wskoczył do środka, zatraskując je szybko i hałaśliwie za sobą.

Twarz Aubreya połyskiwała bledością jak zakłopotany księżyc. Nienawiść Babbingtona była nieskrywana. Anderson nasłuchiwał. Nie zaryzykowali nawet jednego strzału, niezależnie od tego, czy mieli go, czy też nie w wizjerach swych karabinów. Kula mogła przejść przez cienką ścianę przyczepy i zabić – każdego; mogła nawet przelecieć dokładnie przez portfel, w którym była zapłata za ich robotę. Źle dla interesów. Uśmiechnął się zaskakując sam siebie. Na zewnątrz jeden z nich coś wołał do drugiego, ale nie mógł rozróżnić słów. To, co rzeczywiście słyszał, było jego własnym oddechem i biciem serca oraz prawie krzykiem napięcia pomiędzy trzema mężczyznami, na których skierował strzelbę. Ich wzajemna nienawiść i brak zaufania były jak tarcie metalu o metal.

Skierował karabin na Malana. On musiał umrzeć pierwszy, tak czy inaczej, tak na wszelki wypadek, gdyby nie było czasu na drugi strzał. Jeżeli ci dwaj na zewnątrz są przyzwyczajeni do własnej oceny sytuacji i zdecydują się podjąć ryzyko lub podejść bliżej, aby rozpoznać swoje wyznaczone cele, musiał się upewnić, że Malan odejdzie w ciemność. To przynajmniej było pewne.

– Witaj, Kenneth – powiedział miękko, a potem dodał z ironicznym skinnieniem głowy:– Usiądziemy, panowie?

Stał pomiędzy dwoma łózkami naprzeciwko nich, trzech mężczyzn stojących blisko siebie jak uczniowie, którzy coś przeszkrobali. Widział nogi martwego mężczyzny wystające zza fotela, na którym obojętnie usiadł Malan.

– Kenneth, proszę tutaj – rozkazał. – Zejdź z linii strzału.

Aubrey przesunął się z przesadną ostrożnością na koniec przyczepy, gdzie był Anderson i na jego znak usiadł na jednym z łóżek. Babbington usadowił się z wielką niechęcią na brzegu twardego krzesła przy stole, a jego prawa ręka od razu zaczęła błąkać się po rozsypanym cukrze i brudnych stronach gazety.

Spojrzał na Aubreya, który uśmiechał się z wdzięcznością obluzowaną szczęką.

– Dobrze – powiedział Anderson, a potem nacisnął wyłącznik i zgasił światło w przyczepie. Natychmiast na zewnątrz słychać było w odpowiedzi jakby głos szakala. Wewnątrz Anderson słyszał ich oddechy podobne do sapania wilków, na razie jeszcze zaciekawionych, niezdecydowanych. Ale głodnych. Usłyszał, jak krzesło Babbingtona zatrzeszczało i powiedział:

– Widzę was obydwu. Nie sprowokujcie mnie zbyt szybko – jego spokój był mrozący w tej ograniczonej przestrzeni i ich narastającej furii.

– Dziękuję, Richard – wymamrotał Aubrey. Jego ulga była głęboka...

– To nie z powodu ciebie – stwierdził, chcąc żeby Malan mógł zrozumieć znaczenie tej odpowiedzi. Potem dodał:– Przyszedłem po Malana. To jego chęć.

W przyczepie było teraz jaśniej. Światło z otaczających ulic wpadało teraz przez rozbite okno. Wyniosły profil Babbingtona bardziej przypominał kobiety, jeśli oczywiście nie brać pod uwagę brody. Malan rozsiadł się jak gdyby nigdy nic z przebiegłą miną w fotelu, odwrócony twarzą do Andersona, który usiadł na drugim łóżku naprzeciwko Aubreya, tak że ich kolana prawie się stykały. Anderson klepnął Aubreya po ramieniu lewą ręką, trzymając karabin przy prawym boku, skierowany cały czas na Malana. Od czasu do czasu celował w Babbingtona, którego nie mógł zrozumieć; ten człowiek był ze sztuki Aubreya, nie jego, ale fatalne mogłoby okazać się ignorowanie go. Powiedział więc zimno:

– Wiem, sir Andrew, że jest pan uzbrojony. Proszę więc położyć pistolet na podłodze.

Babbington mruknął, wyjął pistolet z kieszeni płaszcza i opuścił go na podłogę, trzymając za lufę i kopiać na bok, zanim jeszcze dostał takie polecenie. Wszyscy znamy rutynowe działania, pomyślał Anderson z uśmiechem. Prawdopodobnie nawet Malan. Stopniowo ludzie w przyczepie stali się bardziej wyraźni, gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności. Napięcie było tak namacalne jak konsystencja metalowych ścian.

Jak powinien to zakończyć, jeśli chciał przetrwać? Malan musiał być zabity, nie zgodziłby się na mniej. Słyszał za sobą płytki oddech Aubreya. Na zewnątrz było dwóch strzelców, obaj w noktowizorach i ze snajperskimi karabinami. Powstrzymał drżenie. Ale noktowizory nie mogły penetrować wnętrza. Przez wybite okno mogli dostrzec jedynie Malana. Zabierze im trochę czasu, zanim przekonają się, że Aubrey i on byli właśnie tam, gdzie byli, na drugim końcu przyczepy.

Potem Malan zaryzykował.

– Tu jest przyjemnie. Ale co teraz? – powiedział z sarkazmem.

Jego słowa zdawały się wyzwalać w Babbingtonie furię, która skupiała się na Aubreyu.

– Co poszło źle? Co, do diabła, poszło źle? – warknął. Krzesło zatrzęszczało, gdy pochylił się ciężko do przodu. Anderson stał się czujniejszy.

– Nic – odpowiedział Malan z irytacją. Spojrzał na Andersona. – Po prostu ślepy traf.

Ręka Babbingtona wskazała Andersona.

– On powinien być odnaleziony i załatwiony wiele dni temu! Ostrzegałem cię przed nim, na miłość boską.

– Wiem o tym. Nie zajęto się nim. To wszystko.

Babbington patrzył na niego i na Aubreya, a ręka starszego pana drżała na ramieniu Andersona. Ogarnęło go przygnębiające uczucie, jakby był krewnym bardzo starej osoby, wobec której został zaniedbany obowiązek odwiedzin i opieki.

– No więc, Anderson, co teraz? – warknął Malan.

– To się nazywa problem. Jak cię zabić i wydostać się żywym – w pełnej napięcia twarzy Malana błyszczały oczy.

– To niemożliwe – Babbington położył ręce na brudnym stole, jakby ogłosił zwycięstwo. – Samochód Malana jest zbyt daleko, aby któryś z was dotarł tam nietknięty, Anderson.

– Może powinniśmy zadzwonić po kierowcę?

– Nadal będziecie mieli niewielkie szanse, żeby przeżyć.

Babbington obserwował go, jakby próbował porównać jego twarz z tą na starych zdjęciach. Siedział sztywno starając się powstrzymać oznaki wściekłości. Malan był zły jak dzikie zwierzę za kratkami.

– Tak więc, co powinniśmy zrobić, aby się rozerwać w zaistniałych warunkach? – naigrawał się Babbington.

– Teraz, kiedy nie możesz zabić Aubreya?

– Na twoim miejscu, nie byłbym tego taki pewien.

Te spokojnie wycedzone przez niego słowa rozwścieczyły Andersona. Przypomniały mu się wszystkie sprawy, które chciał od siebie odsunąć przez tak wiele lat. To spowodowało, że stał się bardziej czujny wobec uzbrojonych ludzi na zewnątrz, którzy musieli się teraz naradzać, nie wiedząc, co robić. Niedługo mogą dojść do wniosku, że warto posłać parę strażaków w ten koniec przyczepy. Spojrzał na Aubreya.

Stary człowiek wydawał się obserwować Babbingtona nieruchomym wzrokiem jak kot, z nieskończoną cierpliwością, która nosiła też znamiona smutku. Nie wyglądał, jakby się obawiał o siebie, czy o kogoś innego; sprawiał wrażenie nieruchomego, jakby był wypchany. Potem jego stare oczy mrugnęły powoli za okularami.

Malan znów się ożywił, wyzywający i niecierpliwy jak schwytane zwierzę.

– Dobrze, Anderson, czego chcesz? Przykro mi z powodu tego, co stało się z twoją kobietą. A więc, ile?

– Twoje przeprosiny *nie* zostały przyjęte – odpowiedział Anderson przez zaciśnięte zęby. – A tak przy okazji, to była moja *żona*.

Malan milczał, ale nadal uważnie wsłuchiwał się w to, co się działo na zewnątrz. Babbington wydawał się nie przejmować, jak gdyby uznał, że Anderson był tylko przejściowym kłopotem, nie zagrażającym jego planom. Wciąż patrzył na Aubreya, sprawcę jego wszystkich nieszczęść. Gdyby dano mu najmniejszą szansę, spróbowałby go zabić.

Anderson pochylił się do Aubreya.

– Czy jesteś uzbrojony? – wyszeptał. Aubrey skinął głową. – Możesz zabić kogoś z nich, jeżeli to będzie konieczne? – zapytał. Po pewnym wahaniu Aubrey skinął ponownie głową. – Okay. Może będziesz musiał. Babbington nie pozwoli ci odejść tak po prostu.

– Rozumiem, Richard. On i ja rozumiemy się doskonale – potem odchrząknął i głośniej powiedział:

– Jak rozumiem, Malan, nasz martwy przyjaciel był jednym z oczekujących na dostawę gazu bojowego.

– Co? Tak, był. Jest jeszcze kilku, którzy przedwcześnie zmarli. Byli wystarczająco realni. W przeciwnym razie mógłby pan w ogóle nie przychodzić – uśmiechnął się.

– Tak więc zadowolająco załatwił pan tę sprawę, oszczędzając pańskiemu rządowi i czasu, i pieniędzy. Dziękuję w ich imieniu, i swoim.

– Cała przyjemność po mojej stronie, człowieku.

Aubrey pochylił się do Andersona.

– Richard, potrzebuję Malana żywego – wyszeptał.

– Nie – odpowiedział Anderson, potrząsając głową z pełnym przekonaniem.

Aubrey cofnął się, obserwując Andersona, zatrzymanego w ruchu w pudle przyczepy, i stwierdził, że ten człowiek zbliżał się do punktu, w którym gotów był poświęcić własne życie, jeśli miałyby to doprowadzić do śmierci Malana. To uwięzienie, klaustrofobia, miało na niego wpływ. Teraz byłoby mu łatwiej zabić Babbingtona, gdyby zrobił jakiś podejrzany ruch. Andrew doszedł do tego samego wniosku. Jego pistolet leżał na podłodze, bliżej Aubreya niż jego samego, ale nie było prawdziwego bezpieczeństwa w samej odległości. Babbington zaryzykowałby wszystko, aby być pewnym śmierci swego najdawniejszego wroga. Wszelką akcją, która mogła doprowadzić do jego śmierci.

Aubrey usiadł, stwierdzając, że nie ma nadziei na przekonanie ani Babbingtona, ani Andersona. Ale musiał zrobić coś, co pozwoliłoby mu znaleźć wyjście z tej sytuacji i sprowadzić pomoc dla Hyde'a. Był jedynym w przyczepie, który zachował jeszcze resztki rozsądku. Mimo wszystko nie żywił nienawiści do Babbingtona, jedynie nim gardził.

Do osiągnięcia celu niepotrzebna mu była śmierć żadnego z nich. Czuł się bezsilny, niezdolny do tego, by zapobiec...

...temu, co właśnie zaczynało się dziać. Usłyszał jakiś szmer na zewnątrz przyczepty. To zaalarmowało Andersona, zanim jeszcze pozostali dwaj stali się tego świadomi. Zdał sobie z tego sprawę, widząc reakcję Andersona, kiedy zobaczył ożywionego nadzieją Malana, że nie można już było powstrzymać biegu wypadków. Anderson wahał się jedynie przez moment, a potem wypalił w okno, gdzie przez moment pojawił się niewyraźny cień. Malan podniósł się i rzucił się w kierunku drzwi, gdy Aubrey wciąż wznosił błagalnie ręce, jak dziecko próbujące powstrzymać falę od zniszczenia jego zamku z piasku.

Babbington pochylał się, gdy Anderson wycelował z karabinu za znikającym Malanem, który wykrzykiwał w ciemność coś na temat swej tożsamości i żeby nie strzelali. Anderson wystrzelił ponownie z ogłuszającym hałasem. Aubrey oczekiwał, że Malan się zachwieje i upadnie, ale potem uświadomił sobie, że Anderson nie strzelił do swojej ofiary, ale w podłogę. Był oślepiiony błyskiem z wylotu lufy i przez tańczące mu przed oczami plamy zobaczył Babbingtona szperającego koło swoich nóg. Powoli się wyprostował, jak człowiek zmęczony intensywnymi ćwiczeniami, który chce się położyć.

Czarny prostokąt drzwi był pusty, a Aubrey usłyszał ponad hukiem trzeciego strzału, częściowo nim ogłuszony, tupot biegnących nóg i krzyk Malana:

– Zabij go, zabij go!

Aubrey spojrział na Andersona, który wahał się jedynie przez moment, a potem rzucił okiem na Babbingtona leżącego twarzą w dół i wyskoczył przez tylne drzwi przyczepty. Zatrzasnęły się za nim i Aubrey usłyszał dwa strzały.

Zsunął się z łóżka i usiadł na podłodze pociągając za sobą cienki materac – niezbyt odpowiednią ochronę. Większą gwarancję bezpieczeństwa dawał fakt, że Malan i Anderson byli na zewnątrz. Słyszał dalsze strzały i tupot nóg. Wyciągnął rękę, jakby miał dotknąć rannego dzikiego zwierzęcia, i odszukał puls na szyi Babbingtona. Ledwie wyczuwalny. Podniósł się powoli na kolana i odwrócił ciężkie ciało Babbingtona tak, że jego zaciśnięta z bólu twarz patrzyła na niski, brudny sufit. Potem, ciężko oddychając, Aubrey podczołgał się ostrożnie do wciąż otwartych drzwi przyczepty i wyjrzał w zimną, nocną, posępną poświatę.

W światłach oddalonego mercedesa dostrzegł powiększony cień Malana biegnącego w kierunku limuzyny. W jego chodzie było coś dziwnego. Powłóczył

nogami i garbił się, jakby był ranny. Pięćdziesiąt metrów dalej leżało ciało, zbyt małe, by miało należeć do Andersona. Drzwi mercedesa były otwarte i przykucnął za nimi kierowca, prawdopodobnie uzbrojony. Nie było śladu Richarda.

Malan dotarł do samochodu i skoczył desperacko na tylne siedzenie. Kierowca natychmiast wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. Wykręcił gwałtownie w kierunku bramy w tumanach kurzu. Limuzyna przemknęła przez bramę, skręciła ostro w kierunku miasta i zniknęła z pola widzenia.

Niemal od razu pojawił się mniejszy samochód jadący za Malanem. Aubrey słyszał strzały przytłumione przez hałas silnika mercedesa. Spojrzał w napięciu... tak, coś, co było kiedyś człowiekiem leżało niedaleko bramy. Odpadło od drugiego samochodu po desperackiej próbie utrzymania się na nim. Nie ruszało się.

Wiedział, że Malan był skończony. Anderson zabił obydwu rewolwerowców i nie pozwoli mu teraz odejść. Rekin spróbował krwi i ruszał, aby zabić. To może potrwać kilka godzin, nawet dni – nie dłużej niż kilka dni – ale wiedział z całkowitą pewnością, że Anderson zabije Malana. Wyrówna rachunki ich obydwu. Nic, nawet umieranie Babbingtona, nie było bardziej pewne.

Co zresztą, jak zdał sobie z tego jasno sprawę, zapewniało mu bezpieczeństwo. Pozbawiony dowodu, ale bezpieczny.

Spojrzał w dół, wzdychając, i podczołgał się do ciężko dyszącego Babbingtona. Na wykrzywionej twarzy widać było rosnący niepokój wywołany odniesioną raną, zadaną przez strzał z karabinu dużego kalibru z bliskiej odległości. Kula ugrzęzła prawdopodobnie w ziemi pod przyczepą na głębokości piętnastu centymetrów. Przeszła przez środek Babbingtona. Jego ciało było sztywne długo przedtem, zanim serce i umysł zaakceptowały ten fakt. Usiadł obok niego.

Po brodzie spływała mu ślina, jasna jak łzy. Krew połyskiwała na jego płaszczu i koszuli. Krwawił śmiertelnie i nie miało sensu powstrzymywanie krwawienia. Wszelkie tego typu usiłowania były jedynie czczym gestem, którego Aubrey nie miał zamiaru robić. I on, i umierający wydawali się wyczerpani.

Byli sami na wielkim złomowisku. Potem Babbington jęknął i ten dźwięk wydawał się raczej cichym krzykiem protestu, nie z powodu swojego końca,

lecz nie dokończonej sprawy. Aubrey spojrział na sufit, jakby był zakłopotany, kiedy Babbington krztusił się krwią.

Consummatum est – to już koniec.

W końcu Babbington zamilkł i znowu słychać było trzaski na złomowisku. Usta Aubreya wypuszczały parę, ale nie czuł zimna. Nieregularne obłoki pary z ust Babbingtona były jak daremne próby wykrzesania jakiejś iskry, gdy wchodził w ciemność. Odgłos jadących samochodów i pościgu już dawno ucichł, stał się już przeszłością.

Potem obrzydliwe, bulgoczące odgłosy w gardle Babbingtona stały się jeszcze bardziej desperackie. Aubrey spojrział w dół. Oczy Andrew świeciły, jakby rozgniewany wracał ze świata umarłych do jeszcze żywego ciała. Poruszał bezgłośnie ustami, głos urywał się, jak w psującym się mechanizmie. Potem, co było najdziwniejsze, dosięgnął palcami i dotknął rękawa Aubreya, jakby poddając się swemu losowi. Aubrey obserwował rękę, która przesuwiała się po jego płaszczu i próbowała uchwycić dłoń. Chwycił rękę Babbingtona. Mimo wszystko, był to tylko gest. Babbington był już prawie martwy. To nie było przebaczenie, jedynie dotrzymanie towarzystwa przez krótką chwilę. Potrząsnął głową, wyobrażając sobie ciemność, nad którą był zawieszony Babbington.

Stopniowo twarz Babbingtona straciła wyraz wrogości i narastającego przeżalenia. Dziwne spotkanie, pomyślał Aubrey, po tak długim czasie. *Wydawało się, że bez bitwy uciekłem...* Ich wojna, w którą byli tak mocno zaangażowani, była skończona, przynajmniej dla nich. *Żalostne rozpoznanie...* Spojrział w dół na widmową, brodatą twarz Babbingtona. Nigdy specjalnie nie lubił Wilfreda Owena, ale teraz wersy jego poematu nie proszone przyszły mu do głowy. *Mądrość była moja i miałem władzę...* Musiał kiedyś się tego nauczyć. *Ja jestem wrogiem, którego zabiłeś...* Nie, nie czuł nic do tego człowieka, żadnego współczucia czy smutku, nawet małego żalu, jak wobec kogoś obcego, o kim się słyszało lub czytało.

Zacisnął dłoń na dłoni Babbingtona świadom, że zniszczona klatka piersiowa mężczyzny wciąż się podnosiła. Nie trzymał ręki jakiegoś alter ego, odrzucił takie utożsamianie się z nim; po prostu trzymał rękę kogoś, czyja przeszłość mogłaby być identyczna, ale nie była z powodu próżności i żądzy – no i zdrady.

Czuł się bardzo zmęczony, jednak wciąż trzymał rękę mężczyzny, aż do końca. *Polóżmy się teraz spać...*

Wyczuł moment, kiedy mięśnie Babbingtona rozluźniły się i jego ręka stała się cięższa. Mimo to Aubrey nie puścił jej; dalej nasłuchiwał trzeszczącej ciszy na zewnątrz, poddając się uczuciu spełnienia i niemal niezziemskiemu nastrojowi. Nawet nie przejmował się teraz losem Patricka Hyde'a.

Hyde usiadł ze skrzyżowanymi nogami pośród sztywnych, szeleszczących trzcin otaczających mały stawik, przytrzymując chorą rękę zdrową. Byli nie więcej niż kilometr za nim, śledząc jego kroki, przekonani, że jest przed nimi. Sprawdzili wszystkie jaskinie, każde oczko wodne. Blantyre odnalazł ślady jego częstych przystanków, wielu upadków i potykania się. I wiedział także, że był ranny.

Mogli go dopaść na długo przed świtem... Która była godzina? Potrząsnął zwieszoną głową. Nie warto wysilać oczu. To nie było ważne. Mogą go dopaść, zanim się zrobi jasno, i to było ważne.

Zadrzał ze strachu, kiedy usłyszał za sobą eksplozję. Odwrócił się i zobaczył łunę, i usłyszał powolny pomruk opadającej skały. Ktoś wrzucił granat lub wystrzelił raketę do jednej z jaskiń. W świetle gwiazd dostrzegł tuman kurzu około kilometra za sobą.

O ile dobrze pamiętał mapę, to kanion przed nim skręcał się jak zraniony wąż, także się zwężając. Prawdopodobnie nie dojdzie aż tak daleko. Nie będzie mógł także się wspinać ze swoim nieruchomym ramieniem i przy swoim osłabieniu. Były ścieżki prowadzące na szczyt skały, ale miałby dużo szczęścia, gdyby znalazł którąś z nich w ciemności. Musiał po prostu spróbować trzymać się przed nimi.

Dlaczego? O świcie, jeżeli tak długo przeżyje, będzie przynajmniej jeden helikopter, a może więcej. Blantyre zorganizuje zaufanych ludzi i sprowadzi ich z Oranjemund lub nawet ze środka Republiki. Jeżeli Aubrey nie chwyci Malana za jaja, to nawet *on* może pomyśleć, że warto to ukryć – poza tym musiałby załatwić jedynie jednego rannego żołnierza i wścibskiego starego człowieka.

Potał twarz. Następny zakręt kanionu zasłonił go przed nimi na jakiś czas. Mimo że ogarnęła go niechęć i czuł mdłości, wiedział, że nadszedł czas

wypróbowania jakiejś zasadzki. Dotknął swojej ręki. Nie ma szans, synu, nie ma szans. Podniósł się zmęczony, opierając się na karabinie. Nie było widać nikogo na tle dogasającego ognia, który trawił niskie krzaki, i nie słyszał odgłosów walkie-talkie. Było ich pięciu, wciąż w dobrej kondycji i poganianych przez Blantyre'a. Hyde posuwał się z wysiłkiem, wykonując gwałtowne ruchy. W Hollywood kazaliby w ten sposób poruszać się garbusowi.

Jakąś godzinę wcześniej widział światła samochodów na drodze. Zniknęły z pola widzenia za zakrętem kanionu na długo przed dotarciem do miejsca, gdzie oberwały się skały. Teraz kierowca i może jeszcze ktoś prawdopodobnie rozłożyli się obozem przed osuniętymi skałami, a może nawet dzielili się jedzeniem i śmiali się razem z tymi pozostawionymi na straży przez Blantyre'a. Kimkolwiek byli, jemu nie pomogą.

Skręcił, idąc korytem rzeki, i skały zdawały się kłębić ponad nim, kpiąc z niego. Uderzył się o wielki głaz, aż podskoczyła mu głowa. Przycisnął karabin do swego policzka, aby go ochłodzić, ale lufa była gorąca od jego uścisku. Stopniowo gwiazdy zwolniły, a jego oddech się uspokoił. Oczka wodne połykiwały czernią jak mokre plamy asfaltu w światłach gwiazd, kiedy przemykał się pomiędzy trzcinami i karłowatymi krzewami. Poza tym były tu kamienie i wąskie jaskinie, jak ta, w której się ukrywał.

Tej nocy rozwalili już granatami lub raketami trzy jaskinie. Każda z tych, które mijał, kusiła go, ale nie był na tyle głupi. Słyszac choćby najmniejszy szmer wysadzali jaskinie w powietrze, napawając się zniszczeniem, hałasem i błyskiem.

Powoli i ostrożnie przysunął się do skał, jego stopy wspięły się na górę, aż znalazł się sześć metrów lub więcej powyżej dna rzeki. Jedynie podczas pory deszczowej sięgała dotąd woda. Miejsce było suche, księżycowe.

Blantyre uwielbiał zadawać ból i budzić strach. Zawsze było kilku takich w SAS, więcej w Selous Scouts i rodezyjskich SAS. No i oczywiście w Siłach Obrony Afryki Południowej. Blantyre szedł sprawdzonym szlakiem przez Afrykę Południową, zawsze szukając następnej granicy, możliwości następnego najazdu, następnej grupy czarnuchów stających się buntownikami i uzbrojonych przez Wschodnie Niemcy i KGB. Chryste, ilu przerażających rzeczy dokonał, zanim związał się z MLC!

Złość i pogarda rozjaśniły umysł Hyde'a i pozwoliły mu na koncentrację, tak że mógł spojrzeć w wizjer karabinu G3 bez uczucia zmęczenia. Jeszcze nie było widać nikogo nadchodzącego. Odkręcił korek butelki i wypił ciepły płyn – nie pij wody ze stawów, dopóki nie będziesz musiał, leopardy mogą do niej sikać, chociaż przewodniki nie przedstawiają tego w ten sposób. Zakręcił butelkę. W tym miejscu nie było szerzej niż pół kilometra, wąska gardziel kaniou pomiędzy dwoma grzbietami skał. Tak, Blantyre przebył całą tę drogę idąc szlakiem Ziemi Obiecanej przemocy i zniszczenia, od Hereford, Brecon Beacons i Omanu oraz paru innych miejsc, przez Rodezję i Republikę Południowej Afryki do...

...tego miejsca. W wizjerze pojawiła się skulona postać, poruszająca się z dużą szybkością, która skryła się za najbliższym krzakiem zasłaniającym jego szary cień. Potem pojawił się drugi człowiek, trochę bardziej wyprostowany.

Strzelił. Szare ręce cienia podniosły się do góry, a potem runęły do tyłu i zniknęły w kurzu, który się podniósł z kamienistego zbocza. Słyszał ich krzyki i protesty, i wiedział, że zrobił błąd, kiedy zobaczył parsknięcie ognia, a w chwilę potem wybuchła za nim pierwsza rakietka. Rura podobna do komina na ramieniu mężczyzny była do tego momentu niewidoczna. Skała nad jego głową zatrzeszczała, a potem zagrzmiała. Przycisnął plecy do ściany, ścierając stopy i wbił w nie palce, czując znowu ostry ból w ręce.

Światło gwiazd zniknęło we fragmentach skały, kamieniach i kurzu, który podniósł się ze skalnego występu, pod którym się ukrywał. Opadające skały wydawały się przerażająco wielkie, powiększone przez strach. Kurz pchał mu się do gardła, powodując kaszel. Teraz przyjdą tu szybko, jak sfora polujących psów. Wyślizgnął się spod nawisu. Kurz się zmniejszał. Ruch spowodował, że cienie były łatwiej dostrzegalne w wizjerze. Czterech. Lufa spoczywała jak gorące ostrze na jego rannym ramieniu, kiedy przygotowywał broń, chowając się za kolejną kupą kamieni, przełykając gryzący kurz.

Zaczekać na nich.

- Gdzie on jest? Widzisz go, Pik? Hej, Danie?
- Ten sukinsyn zabił Danie! – odkrzyknął ktoś.
- Zamknij się, ty kretynie – wrzasnął Blantyre. – Nie używajcie teraz radia.

Ręka zabolęła Hyde'a pod niewyobraźalnym ciężarem karabinu, aż zacisnęła zęby z bólu. Zmusił się jednak do podniesienia sztywną, spuchniętą ręką lufy, żeby oprzeć karabin na stercie kamieni i przygotować się do strzału. Przy dużym szczęściu może jego głowa widziana przez noktowizor będzie wyglądała jak występ skalny. Dopóki nie wystrzeli. Spojrzał przez celownik.

– Przywał sukinsynowi jeszcze jednym! – krzyknął Blantyre i prawie natychmiast dostrzegł błysk światła i wybuch. Skały rozprysły się i opadły jakieś trzydzieści metrów lub więcej na lewo od niego. Pochylił się przerażony, gdy wielki głaz przeleciał w jego kierunku, potem odbił się nad jego głową i poleciał w stronę najbliższego zbiornika wodnego, gdzie wystraszył niewidoczne zwierzęta. Chmura kurzu poleciała w ich stronę i hałas odbijał się echem. Słaby odgłos ocierania się jego karabinu o skałę nie mógł do nich dotrzeć.

Strzelił dwa razy w stronę krzaka. Krzyk i wyrzucenie szarej nogi. Ranny, nie zabity.

– Pik?

– Ten wszarż mnie trafił!

– Trzymaj mordę na kłódkę, bo cię zabije!

Ten głos dobiegł zza skały – przez chwilę widział głowę i ramię? Hyde strzelił ponownie, dostrzegł rozpryski kamieni i coś ruszyło się szybciej niż zwierzę. Strzelił jeszcze dwa razy, a potem strzały z tamtej strony zmusiły go do ukrycia się za skałą. Trzech sprawnych, jeden ranny. Obrócił się z trudem, obserwując teren. Było wystarczająco dużo rozrzuconych skał, aby zapewnić mu osłonę, jeżeli byłby szybki. Gdyby jeszcze był sprawny i panował nad swym ciałem. Przełożył pasek karabinu przez ramię, przyciskając broń do klatki piersiowej ranną ręką. Bolała go. Potrząsnął głową i posunął się w stronę najbliższej osłony, zatrzymał się i ruszył ponownie. Kule skakały za nim jak rzucone kamienie, odpryski skał uderzały i ślizgały się po jego nogach i plecach. Kryj się! Raczej upadł, niż schylił się za osłoną, łapiąc powietrze, a jego ręka płonęła na dyszącej piersi.

– Dostałeś tego sukinsyna?

– Mogłem go drasnąć, pułkownika.

Nie, do cholery, nie udało ci się...

– To za mało! – usłyszał krzyk Blantyre'a. – Rusz się i sprawdź!

- Niech pan sam sprawdzi, sir!
- Vermaak, albo się ruszysz, albo ja cię wykończę!

No chodź, Vermaak. Chodź i popatrz sobie. Możesz przejść przez czterdzieści metrów otwartego terenu w stronę rannego z dobrym nocnym wizjerem. No, chodź. Czy w głosie Blantyre'a pobrzmiwało zmęczenie, a może krótki oddech spowodowany był bardziej bólem niż złością? Zbyt wiele, aby o tym marzyć, że przyhamował tego sukinsyna, a nawet zranił. Hyde potrząsnął głową. Sukinsyny takie jak Blantyre nigdy nie umierają tak łatwo. Wystarczająco dużo ludzi źle skończyło, próbując go zabić. Chodź, Vermaak, wykonaj rozkaz oficera. Tutaj!

Wystrzelił dziesięć naboń, a potem przełączył G3 na pojedyncze strzały, odpowiednio przedstawiając dźwignię. Potem wyjął nowy, zawierający dwadzieścia kul, magazynek z kieszeni i wsunął go do karabinu. Przygotował się do strzału – nie wiedział czy trafił Blantyre'a, czy nie.

- Vermaak?
- Tak, pułkowniku, niech pan sam idzie, sir!

Cholera, chybił.

Blantyre nagle wygrzebał się z ukrycia i ruszył w stronę krzaków, które skrywały męzczyznę z wyrzutnią rakiet. Hyde wystrzelił raz, a potem ukrył się przed ich ogniem. Czy Blantyre trzymał jedno ramię niżej od drugiego, jak gdyby je chronił? Nie był pewien. Hyde podniósł głowę, bardzo powoli i spojrział przez wizjer. Za krzakami widać było Blantyre'a i Pika, chociaż niewyraźnie. Nie miał już następnego magazynka i szkoda mu było marnować kule na strzelanie seriami. Dwie kule odbiły się od skały przy jego twarzy, więc ukrył się.

Podniósł się, strzelił raz w kierunku krzaków i znów się ukrył. Więcej kul uderzyło o skałę. Przyszpilili cię. Rusz się...

Przesunął się w kucki w prawo, gdzie mógł się lepiej ukryć za skały i gdzie oczekiwali jego ruchu, w kierunku, w którym szedł. Idź na lewo! Na lewo, ty głupi sukinsynu, na lewo!

Wrócił za skrywającą go skałę i poszedł dalej przez rumowisko. Pot oblewał mu ciało, a jego ręka pulsowała. Zdawało się, że coś wybuchło nad jego głową, ale kiedy się skulił i ostrożnie obejrzał, zobaczył, że kryjówka, którą sobie wybrał, zniknęła w gruzie i kurzu. Sukinsyn. Blantyre prawie trafił. Bez wątplenia chciał pogrzebać Hyde'a. Podniósł się i ruszył przechodząc przez nowe osypiska

kamieni, używając jako osłony głazów i krążącego kurzu. Teraz się zawahają, przynajmniej przez chwilę, przekonani, że nie ma się gdzie śpieszyć, że znajdował się pod głazami ważącymi pół tony.

Karabin zawadził o skały, gdy stracił równowagę na obluzowanym kamieniu. Zaczęli natychmiast strzelać, a on wypalił do nich, gdyż dostrzegł jeden wyraźny cień; nie mógł chybić. Znowu pobiegł. Hałas, jaki robił posuwając się wśród zwalonych kamieni, był prawie zagłuszany biciem serca i pracą płuc. Ranna ręka była jakby oddzielona od ciała. Ból nasilił się, gdy niespodzianie potknął się o kamień. Biegł chwiejnie w dół potrącając kamienie, które obsuwały się w stronę koryta rzeki. Kanion nagle zdawał się powiększać i rozszerzać dookoła niego. Wymachiwał rękami, nogi wywoływały hałas, kamienie chrzęściły i zgrzytały. Potem nagle odwrócił się, nie mogąc dłużej znieść napięcia oczekiwania na ich strzały.

Przełączył karabin na automatyczny ogień i wypróżnił magazynek w jedną sekundę, strzelając w stronę ścigających go postaci, widocznych w świetle gwiazd. Hałas był ogłuszający. Potem wyrzucił niepotrzebny już teraz karabin i szybko pobiegł w dół, odbijając się i kołysząc, jakby biegł z piłką w jakimś zwariowanym sporcie. Za nim była cisza. Skóra na plecach stawała się coraz bardziej napięta, gdy czekał na ich pierwszy strzał. Znowu się potknął jak dziecko uczące się chodzić. Przycisnął ranną rękę do piersi zdrową ręką, jakby niósł jakiś ciężki skarb, którego nie chciał upuścić.

Wciąż cisza. Potem, jak mu się zdawało, usłyszał wybuch rakiety gdzieś daleko za nim; jeżeli tak było, to ktoś jeszcze był żywy. Ale słyszał tylko jedną detonację, a to mogło być złudzenie. Potem upadł, jakby coś go uderzyło, wyprostował przed sobą ranną rękę, trafiając na coś, co poruszało się z boku i smagało jego mokrą twarz i szyję. Trzciny. Woda. Wszedł w trzciny, które się wyprostowały, zakrywając go. Niejasno zdał sobie sprawę, że jego ręka była w wodzie, a ciało drżało przy ziemi pełnej śladów zwierząt. Zbiornik wodny, pomyślał tracąc przytomność, a poziom adrenaliny opadł jak gasnące światło.

Za tobą... oni wciąż są za tobą...

Świadomość tego nie była wystarczająca, aby utrzymać go w przytomności. Poczul, że zwija się w kłębek, układając swoją ranną rękę, gdy pochłaniała go ciemność, którą przyjmował z wdzięcznością.

Gdy otworzył oczy, uświadomił sobie, że leży jak dziecko w łonie matki. Nawet pamiętał, jak poddał się nieświadomości.

Dostrzegł wielkiego samca leoparda piętnaście metrów obok, w trzcinie, z przednimi łapami ułożonymi jak u niewinnego domowego kota. Wszędzie dookoła były jego ślady; z trudem opanował drżenie i mógł prawie wyczuć jego szorstki język na skórze. Był wielki – ważył ponad sześćdziesiąt kilogramów. Hyde zdał sobie sprawę, że świtało, było już szaro, na niebie zamiast gwiazd widniały plamy chmur różowiejących we wschodzącym słońcu. Zmusił się, aby się nie ruszać, przyciskając ręce do ciała.

Och, Chryste, czy to pieprzone zwierzę już zabiło? Czy było już najedzone?

Wiedział, że nie. Leopardy były nocnymi myśliwymi, kiedy mogły sobie na to pozwolić, tajemnicze, samotne. Nie czekały teraz, gdyby jego żołądek był pełny. Gdyby coś zabił, to zabrały swoją ofiarę do którejś z jaskiń, w której mieszkał. Wciąż czekał na mięso. Och, Chryste.

Leopard obserwował go z wielkopańskim spokojem. Czekał na pierwszego kozła, nawet małpę, żeby podeszła do wody. Ofiarą było wszystko, co się rusza, co powodowało ciekawość i głód. Gdyby był głodny, to zjadłby go, gdy spał. Och, Jezu, trzymaj swoją wyobraźnię na wodzy! Prawdopodobnie jego obronna, niewinna pozycja, w której znalazł go leopard, rozbroiła go. W tej pozycji nadal leżał, nie mogąc się ruszyć ze strachu.

Przełknął ślinę z największą ostrożnością. Był zbyt zmęczony, by się poruszyć, zbyt przestraszony, aby nawet drgnąć. Pewien, że jakkolwiek ruch byłby ostatni, fatalny. Pistolet wciąż miał przy pasie – mógł zastrzelić leoparda, gdyby był wystarczająco szybki. Jeden strzał to wszystko, na co by mu pozwolono. Nie czuł się na siłach, jeszcze nie. Łatwiej było pozostać nieruchomym, płytko oddychając i przyzwyczajając się do bliskości leoparda.

No i musiałby strzelić mu w oko lub prosto w serce.

Ucho leoparda drgnęło, nie z powodu pierwszych porannych much, ale z uwagą. Nikt tak zmęczony i powolny jak ty nie atakuje leoparda z odległości piętnastu kroków. Jego uszy zastrzygły teraz z uwagą. Zebra, koziół albo małpa – coś zbliżało się do wodopoju. Hyde nic nie słyszał. Leopard nastawił uszy, dokładnie lokalizując źródło dźwięków. Hyde trzymał sztywno ramiona, dłonie

miał wciśnięte między uda. Teraz, kiedy wielki kot był czujny, wiedział, że zapach jego strachu może wkrótce odwrócić jego uwagę od oczekiwanej ofiary i skierować ją na niego samego.

Potem będzie musiał być wystarczająco szybki, aby zabić go jednym strzałem. Musiałby sięgnąć do tyłu, wyciągnąć VP 70, wprowadzić nabój, usiąść, wycelować i strzelić. Chryste, nigdy tego nie dokona, nie z jedną ręką.

Czuł teraz zapach swego strachu, kwaśny i wstrętny. Oczy leoparda obserwowały go uważnie, mimo że jego uszy wciąż były czujne i odbierały sygnały zbliżającego się zwierzęcia – *innej* ofiary. Och, drogi Jezu! Gdzieś tam, chociaż nie wiadomo, ilu ich było wciąż żywych, poszukiwali go. Odnajdą krwawe kości lub skrawki ciała i ubrania, znak, że został zaatakowany.

Potem on także usłyszał odgłos podchodzącego zwierzęcia, zmierzającego przez krzaki otaczające wodopój bez żadnych podejrzeń. Leopard naprężył się, stał się czujny i gotowy. To uspokoiło jego napięcie, które natychmiast zaczęło ponownie narastać. To cholerne zwierzę może usłyszeć bicie jego serca, jeśli będzie jeszcze głośniejsze. Najlepiej skończ sam ze swoim cholernym życiem, chłopie, najlepiej...

Wyprostowana postać ludzka przedarła się przez trzciny na brzeg zbiornika. Blantyre uśmiechał się z wielką, bolesną satysfakcją, gdy dostrzegł ciało Hyde'a zwinięte na brzegu. Wyciągnął pistolet. Hyde zobaczył wielką ciemną plamę krwi na jego koszuli. Broń drżała i wydawało się, że Blantyre zaraz straci równowagę. Zachwiał się...

...zanim leopard podekscytowany zapachem krwi zwałił go z nóg i skoczył na niego. Pistolet wyleciał w górę i Blantyre krzyczał głośno jak zwierzę schwymane w pułapkę przez człowieka. Potem jego krzyki zostały stłumione przez warczenie leoparda. Trzciny, które przykryły obydwie ciała kołysały się w ferworze czegoś, co nie było walką. Blantyre pojawił się znów do połowy, wielki i ciężki jak leopard, ale zwierzę wiedziało, że był ranny.

Hyde usłyszał jeszcze jeden ostatni krzyk, gdy podniósł się na kolana i oddalił się chwiejnym krokiem z tego miejsca. Potem odwrócił się na chwilę. To, co zostało z Blantyre'a, było poszarpane i zalane krwią. Był martwy. Leopard, nie zainteresowany Hyde'em, zaczynał ucztę od brzucha, futro na jego głowie było zabrudzone krwią Blantyre'a.

Hyde odszedł ostrożnie, powoli od zbiornika z wodą, trzymając swoją ranną rękę przy piersiach, a pistolet w prawej dłoni. Nie było nikogo w zasięgu wzroku na dnie kanionu. Pozostali musieli być martwi lub ranni. Jedynie Blantyre przyszedł za nim, zdecydowany go wykończyć. Leopard spędzi większość poranka przenosząc tego sukinsyna do swej jaskini lub na drzewo. Jezu Chryste...

Zwymiotował, a potem ruszył do przodu. Bolało go gardło, ręka pulsowała, sztywna i spuchnięta. Ale ból bardzo powoli ustępował. Wszystko, co musiał zrobić, to dojść do drogi i czekać. Wstał. W prawej ręce wciąż trzymał pistolet i przycisnął ją do czoła, aby osłonić oczy przed pierwszymi promieniami słońca. Około pół mili dalej dostrzegł ścieżkę, jak przedziałek na rudych włosach, podchodzącą w górę w stronę drogi. Kanion był cichy. Samotny sęp krążył w ciepłym poranku.

Na szczycie drogi dostrzegł zaparkowanego 4WD. Pojawiły się pierwsze błyski słońca na szybie i chromowanych częściach. Pojazd i dwoje ludzi, dalekich i małych jak zabawki. Mniejsza z tych postaci – kobieta? – wskazywała w jego stronę. Potem dostrzegł cienką jak zapałka rękę uniesioną w pozdrowieniu. Pomachał do nich z trudnością. Cywile. Turyści. Pomachał jeszcze raz. Teraz nie było już pośpiechu, żadnego pośpiechu.

Usiadł na skale, gdy świt wzniósł się nad przeciwległą ścianą kanionu, złoty i czysty. Szczęśliwy poranek.

EPILOG

Skoro chce trafić do drzwi, to później czy prędzej
Trafi, chociaż tak połowiczny w celu i ocenie,
Że może chybić klamki o metr albo więcej,
A czekającym może to wyglądać na spóźnienie.

Robert Frost: *Uporczywie jadący*

Szanowny Panie Premierze,

Ze szczerym żalem składam swą rezygnację ze stanowiska przewodniczącego Wspólnego Komitetu Wywiadów. Niestety czuję, że nadszedł czas, by młodsze umysły i ręce przejęły tak ciężkie zadania, jakie niepewna przyszłość może postawić przed naszym krajem.

Chciałbym najgoręcej podziękować za pańskie poparcie i zaufanie w czasie naszej zbyt krótkiej znajomości

Szczerze panu oddany,
Sir Kenneth Aubrey